

**CLIVE CUSSLER**

# **CERBER**

(Przełożył: Piotr Maksymowicz, Maciej Pintara)

**AMBER**

**2001**

**W zapomnienie**

Czerwiec 1035, gdzieś w Ameryce Północnej

Płynęli przez poranną mgłę w zupełnej ciszy, niczym duchy w statkach-widmach. Wysokie, wywinięte spiralnie krzywizny dziobów i ruf wieńczyły precyzyjne rzeźby zębatach smoków, których straszny wzrok zdawał się przebijać opary w poszukiwaniu ofiar. Miały one siać panikę w szeregach wrogów i chronić żeglarzy przed złymi demonami, zamieszkującymi morze.

Mała grupa żeglarzy przebyła wrogi ocean w długich, wysmukłych statkach, które pokonywały fale z łatwością i gracją pstrąga, płynącego pod prąd w spokojnym potoku. Długie wiosła sięgały z otworów w kadłubie do ciemnej wody, wbijały się w nią z wielką siłą i pchały statki poprzez fale. Kwadratowe żagle w czerwono-białe pasy zwisały bezwładnie w nieruchomym powietrzu. Na przywiązanych do rufy linach statki holowały małe, poszyte na nakładkę, sześciometrowe łódki z dodatkowym ładunkiem.

Po nich o wiele później nadpłynęli inni: mężczyźni, kobiety i dzieci, wraz ze skromnym dobytkiem i żywym inwentarzem. Ze wszystkich morskich szlaków wikingów najbardziej niebezpieczna trasa wiodła przez pomocny Atlantyk. Mimo zagrożeń, jakie niesły nieznane akweny, odważnie żeglowali wśród lodowej kry, walczyli ze sztormem, stawiali czoło ogromnym falom i wichrom naciągającym nieprzerwanie z południowego zachodu. Większość z nich przeżyła, ale morze odebrało zapłatę za ich śmiałość. Dwa z ośmiu statków, które wypłynęły z Norwegii, zaginęły bez śladu.

Zmęczeni zmaganiem z żywiołem koloniści dotarli do Nowej Fundlandii, lecz zamiast wylądować w L'Anse aux Meadows, gdzie już wcześniej osiedlił się Lief Erickson, postanowili spenetrować tereny położone bardziej na południe. Chcieli znaleźć cieplejsze miejsce, by tam założyć nową kolonię.

Opłynęli jakąś wielką wyspę i ruszyli kursem na południowy zachód, aż dotarli do długiego półwyspu, który wdzierał się w morze łukiem prosto na północ. Minęli dwie mniejsze wysepki i przez kolejne dwa dni płynęli wzdłuż białej, piaszczystej plaży. Jej widok zadziwił żeglarzy, którzy całe życie spędzili na bezkresnych skałach norweskiego wybrzeża.

Opłynawszy przylądek piaszczystego półwyspu, ujrzeli szeroką zatokę. Mała flota wpłynęła na spokojne wody i skierowała się na zachód wraz z przyjazną falą przyływu. Ogarnęła ich mgła, ścieląca się tuż nad wodą. Po południu pomarańczowa kula słońca zaczęła chylić się ku zachodowi nad niewidocznym horyzontem. Dowódcy statków uzgodnili, że trzeba rzucić kotwice i poczekać do rana, kiedy mgła być może uniesie się wyżej.

Z nastaniem brzasku miejsce gęstych oparów zajęła delikatna mgiełka. Okazało się, że

zatoka zwęża się i wrzyna głęboko w ląd, tworząc fiord, z którego woda wypływa do oceanu. Żeglarze chwycili wiosła i skierowali statki pod prąd w tamtą właśnie stronę. Kobiety i dzieci milcząco przyglądały się wysokim, ostro zakończonym skałom, wynurzającym się z mgły na zachodnim brzegu rzeki, złowieszczą górującym nad masztami statków. Za nimi widoczne były pagórki, porośnięte zdumiewająco - w oczach przybyszów - wielkimi drzewami. Nie było widać oznak życia, jednak wszyscy czuli, że obserwują ich ukryte w zaroślach ludzkie oczy. Za każdym razem, gdy wychodzili na brzeg po wodę, byli nękanymi przez Skraelingów - jak nazywali mieszkańców ziem, na których chcieli się osiedlić. Skraelingowie nie mieli przyjaznych uczuć i nieraz obrzucali statki gradem strzał.

Trzymając w ryzach bitną naturę swoich ludzi, przywódca wyprawy, Bjarne Sigvatson, nie pozwolił wojownikom walczyć z napastnikami. Dobrze wiedział, że koloniści z Winlandii i Grenlandii także byli atakowani przez Skraelingów. Sprowokowali to sami wikingowie, mordując kilkuset niewinnych mieszkańców z czysto barbarzyńskiej żądzy zabijania. W czasie obecnej wyprawy Sigvatson zamierzał wydać rozkaz, by miejscowych traktowano przyjaźnie. W jego mniemaniu było to konieczne do przetrwania kolonii i nawiązania pokojowego handlu wymiennego tanimi towarami w zamian za futra i inne potrzebne rzeczy. W odróżnieniu od drużyn Thorfinna Karlsefhi i Liefy Ericksona, których próby kolonizacji Skraelingowie odparli, tym razem załogę stanowili uzbrojeni po zęby, zahartowani w boju Norwegowie, weterani wielu bitew z odwiecznymi wrogami, Anglosasami. Na ramionach mieli miecze, walczyli trzymając w jednej ręce długą włócznię, w drugiej ogromny topór. Byli to najznakomitsi wojownicy swoich czasów.

Nadchodzący przypływ, odczuwalny nawet daleko w górę rzeki, pomógł wiosłarzom ruszyć pod prąd, nieco słabszy z powodu mniejszego nachylenia terenu. Ujście rzeki miało około półtora kilometra szerokości, lecz kawałek dalej woda tworzyła rozlewisko szerokie na ponad trzy kilometry. Ziemia na spadzistym wschodnim brzegu była żyzna, zielona.

Sigvatson, obejmując ramieniem zakończony smoczą głową dziób statku, patrzył w dal poprzez niknącą mgłę. Po chwili wskazał ręką ocienioną niszę w skałach, wynurzających się zza lekkiego zakrętu rzeki.

- Płyńcie w lewo - nakazał wiosłarzom. - Tam jest brama skalna, gdzie możemy schronić się na noc.

Zbliżając się, dostrzegli ciemne, ponure wejście do zalanej wodą groty, na tyle duże, że mógł przez nie przepłynąć statek. Sigvatson zajrzał do ciemnego wnętrza i zobaczył, że rozpościera się ono daleko, aż do linii pionowych skał. Nakazał, by pozostałe statki czekały w pobliżu. Na jego łodzi położono maszt, by zmieścić się pod niskim łukiem sklepienia. Przy

wejściu do groty prąd tworzył liczne wiry, jednak silni wiosłarze bez trudu skierowali statek w głąb pieczary, uważając, by wiosła nie zaczepiły o boczne ściany skalnej bramy.

Gdy mijali wejście do groty, kobiety i dzieci wychyliły się przez burłę, spoglądając przez niesamowicie przezroczystą wodę na ławice ryb, wędrujących nad skalistym dnem piętnaście metrów pod powierzchnią. Po chwili z lękiem dostrzegli, że w wysoko sklepionej grocie mogłoby pomieścić się trzy razy tyle statków, niż liczyła ich niewielka flota. Mimo że przodkowie przybyszów przyjęli chrześcijaństwo, stare pogańskie tradycje umierały powoli. Naturalne jaskinie były uważane za siedliska bogów.

Ściany jaskini, uformowane ze stygnącej, płynnej skały jakieś dwieście milionów lat wcześniej, wygładziły fale praocianu, uderzające o warstwy skał wulkanicznych, przedłużenie pobliskich gór. Skały unosiły się łukowato, tworząc okrągłe sklepienie, zupełnie nagie, pozbawione mchu czy jakiegokolwiek innej roślinności. Co dziwniejsze, nie było tam również nietoperzy. Półka skalna okazała się niemal sucha. Poziom wody znajdował się o metr poniżej jej krawędzi na długości niemal sześćdziesięciu metrów.

Sigvatson krzyknął przez skalny otwór, by pozostałe statki wpłynęły do groty. Wiosłarze przestali pracować i po chwili dziób delikatnie uderzył o krawędź następnej skalnej półki. Gdy wszystkie łodzie stały już przy brzegu, rzucono trapy, po których przybysze po raz pierwszy od wielu dni spokojnie zeszli na ziemię. Najważniejsze było przygotowanie gorącego posiłku - pierwszego od czasu ostatniego zejścia na ląd, kilkaset kilometrów stąd na pomoc. Dzieci rozbiegły się po zerodowanych skalnych półkach, by zebrać drewno wyrzucone przez wodę. Już po chwili kobiety paliły ogniska, robiły placki, gotowały w żelaznych kotłach kaszę z rybami. Mężczyźni zabrali się do naprawy statków, które ucierpiały podczas podróży, inni wyciągali z wody sieci z rybami. Kobiety były szczęśliwe, że udało się znaleźć takie wspaniałe schronienie przed wrogami, wiatrem i deszczem. Jednak mężczyźni - silni, potężnie zbudowani żeglarze o zmierzwionych włosach - nie czuli się dobrze w zamkniętym skalistym wnętrzu.

Po posiłku, na krótko przed ułożeniem się do snu w skórzanych śpiworach, dzieci Sigvatsona - jedenastoletni chłopiec i o rok młodsza dziewczynka - podbiegły do ojca, pokrzykując z wrażenia. Chwyciły go za wielkie dłonie i zaczęły ciągnąć w stronę najciemniejszego zakątka jaskini. Z rozpalonymi łuczywami, poprowadziły go do długiego tunelu, tak niskiego, że z trudnością można było w nim stać. Przejście to powstało w okresie, gdy cała jaskinia znajdowała się pod wodą.

Pokonawszy przeszkodę w postaci głazu, ruszyli pod górę korytarzem. W pewnym momencie dzieci zatrzymały się, wskazując małą szczelinę.

- Tatusiu, popatrz! - zawołała dziewczynka. - Tam jest wyjście. Widać przez nie gwiazdy.

Otwór był za mały, by mogły się przezeń przecisnąć nawet dzieci. Sigvatson jednak wyraźnie zobaczył nocne niebo. Następnego dnia kazał swoim ludziom wyrównać dno tunelu i poszerzyć otwór. Gdy był już tak duży, że mógł w nim stanąć rosły mężczyzna, wikingowie wyszli na zewnątrz i ujrzeli obszerną łąkę otoczoną potężnymi drzewami. To nie była jałowa gleba Grenlandii. Rosło tu pod dostatkiem drzew na budowę domów, ziemię gęsto porastały kwiaty i trawa, która mogła wykarmić bydło. Właśnie tutaj - na tej żyznej hali, wznoszącej się nad błękitnym, bogatym w ryby fiordem - Sigvatson postanowił założyć kolonię.

Bogowie wskazali drogę dzieciom, a one poprowadziły dorosłych do miejsca, które wydawało się nowym rajem.

Wikingowie kochali życie. Ciężko pracowali, wiedli surowy żywot i z trudem umierali. Ich los był nierozdzielnie związany z morzem. W ich mniemaniu mężczyzna bez własnej łodzi nie był wolnym człowiekiem. Przez całe średniowiecze budzili trwogę wśród ludów Europy barbarzyńskimi podbojami, jednak przyczynili się do zmiany oblicza kontynentu. Zahartowani wojownicy walczyli i osiedlili się w Rosji, Hiszpanii i Francji, zajmowali się handlem, byli też najemnikami, słynącymi z odwagi i umiejętności posługiwania się mieczem i toporem. Hrolf opanował Normandię, która otrzymała swoją nazwę od nordyckich najeźdźców. Jego potomek - Wilhelm, podbił Anglię.

Bjarne Sigvatson był typowym wikingiem. Miał jasne włosy i brodę, nie był wysoki, lecz szeroki w barach i odznaczał się ogromną siłą. Urodził się w 980 roku na ziemi swojego ojca w Norwegii i jak większość młodych wikingów tęsknił za tym, by zobaczyć, co znajduje się za horyzontem. Był dociekliwy i odważny, więc już w wieku piętnastu lat wziął udział w wyprawach na Irlandię. Do dwudziestego roku życia zdobył doświadczenie bojowe i łupy pozwalające na wybudowanie statku i odbywanie własnych wypraw. Ożenił się z Freydis, silną, piękną kobietą o długich złotych włosach i błękitnych oczach. Dobrali się cudownie, pasowali do siebie jak słońce i niebo.

Zgromadziwszy bogate łupy z miast i wiosek w Brytanii, poznaczony licznymi bliźniami Bjarne porzucił rzemiosło wojenne i wziął się za handel bursztynem. Po kilku latach stracił cierpliwość, zwłaszcza gdy nasłuchiwał się opowieści o wyprawach Czerwonego Erika i jego syna Liefa Erikssona. Kusiły go nieznane lądy na zachodzie. Postanowił, że zorganizuje własną grupę i wyprawi się w nieznane, gdzie założy kolonię. Wkrótce udało mu się zebrać flotyllę dziesięciu łodzi, które obsadziło trzysta pięćdziesiąt osób wraz z rodzinami, żywym

inwentarzem i narzędziami do obróbki roli. Jeden statek był obładowany bursztynem i łupami z wypraw wojennych - bogactwo to miało służyć przyszłej wymianie ze statkami transportującymi towary z Norwegii i Islandii.

Jaskinia idealnie nadawała się na port, magazyn oraz fortecę, w której można było odpierać ataki Skraelingów. Wysmukłe łodzie wyciągnięto z wody na rolkach z pni drzew, a następnie umieszczono na podporach ustawionych na skalistym podłożu. Wikingowie budowali piękne statki, prawdziwe cuda tamtej epoki. Stanowiły nie tylko doskonały środek transportu morskiego - były też arcydziełami rzeźby dziobowej i rufowej o nieskazitelnych proporcjach. Niewiele statków w historii żeglugi dorównywało im pięknem kształtów.

Długich łodzi używano do wypraw łupieżczych w Europie. Szybkie i wszechstronne, miary pięćdziesiąt otworów na wiosła. Jednak najważniejszą łodzią w podbojach wikingów był knarr. Miał piętnaście do osiemnastu metrów długości, pięć metrów szerokości i mógł zabrać na pokład piętnaście ton ładunku. Na pełnym morzu rozwijano duży, kwadratowy żagiel, jednak na płytkich przybrzeżnych wodach żeglarze używali nawet do dziesięciu wiosła.

Przedni i tylni pokład był wyłożony deskami, pośrodku znajdowała się otwarta przestrzeń, gdzie można było umieścić ładunek lub inwentarz. Załoga i pasażerowie chronili się pod skórą przed morską pogodą. Dowódcy tacy jak Sigvatson nie mieli osobnych pomieszczeń - płynęli ze wszystkimi jak zwykli marynarze, równi pośród równych, przejmując komendę jedynie w momencie podejmowania ważnych decyzji. Knarr spisywał się znakomicie na wzburzonych morzach. Wśród sztormowych wiatrów i ogromnych fal statek parł do przodu, nic sobie nie robiąc z przeciwności, jakie zsyłali bogowie. Płynął z prędkością od pięciu do siedmiu węzłów, pokonując ponad sto pięćdziesiąt mil w ciągu doby.

Szkatnicy wikingów obrabiali drewno wyłącznie siekierami. Kil wycięty był z pojedynczego pnia dębu, w kształcie litery T, i poprawiał stabilność łodzi na niespokojnym morzu. Ociosane dębowe wręgi eleganckim łukiem łączyły się na stwie dziobowej i rufowej. Deski poszycia układano na zakładkę - każda z nich zachodziła na położoną poniżej. Uszczelniano szpary smołowaną sierścią zwierząt. Z wyjątkiem pokładników, które usztywniały kadłub i podtrzymywały pokład, na statku nie było ani jednego prostego elementu z drewna. W tym pozornym szaleństwie tkwiła jednak metoda. Choć konstrukcja wydawała się zbyt delikatna, by wytrzymać sztormy północnego Atlantyku, kil i kadłub nie były sztywne, dzięki czemu statek mógł się ślizgać po powierzchni morza przy minimalnym oporze wody. Była to najbardziej stabilna jednostka morska średniowiecza. Niewielkie zaburzenie umożliwiało pokonywanie nawet wielkich fal.

Także ster był majstersztykiem inżynierii. Masywne wiosło przymocowywano do sterburty - sternik poruszał nim za pomocą poziomego rumpla. Wiosło sterowe zawsze umieszczano po prawej stronie kadłuba i nazywano je *stjornbordi* - później wyraz ten zaczął oznaczać sterburkę. Sternik jednocześnie obserwował morze i misternie zdobioną brązową chorągiewkę kierunkową, przymocowaną na dziobnicy lub maszcie. Widząc i analizując kaprysy wiatru, mógł wybrać najlepszy kurs.

Masywny dębowy blok służył jako kilson, na którym opierała się stopa masztu. Maszt miał dziewięć metrów wysokości i podtrzymywał prostokątny - niemal kwadratowy - żagiel o powierzchni prawie stu dziesięciu metrów kwadratowych. Żagle tkano z surowej wełny, do wzmocnienia używając dwóch warstw tkaniny, a następnie farbowano na różne odcienie czerwieni i bieli, zazwyczaj w pasy lub romby.

Wikingowie byli nie tylko świetnymi skutnikami i żeglarzami, równie dobrze znali się na nawigacji. Rodzili się z marynarską wiedzą. Potrafili czytać z chmur temperaturę wody, wiatru i fal, obserwowali migracje ryb i ptaków. Nocą żeglowali według gwiazd, za dnia używali tablicy, na którą padał cień - była to podobna do dysku tarcza z centralnym trzpieniem, który przesuwano w górę i w dół, by śledząc jego cień na wyłobionych liniach, zmierzyć położenie słońca nad horyzontem. Umieli zdumiewająco dokładnie określić szerokość geograficzną. Nieczęsto zdarzało się, że statek wikingów zagubił się na morzu. Opanowali ten żywioł w stopniu tak doskonałym, jak żaden inny naród.

W ciągu następnych miesięcy koloniści zbudowali solidne drewniane domy z bali, pokryte dachami z darniny. Wzniesli też dużą wspólną izbę, gdzie znajdował się piec do przyrządzania strawy, gdzie spotykano się i trzymano bydło. Pragnęli posiadać tę bogatą krainę, więc nie tracąc czasu na obsiewanie ziemi, zbierali jagody i łowili ryby, których wielkie ławice zamieszkiwały fiord. Skraelingowie byli zaintrygowani, jednak nie odnosili się wrogo do przybyszów. Ozdoby, sukno i krowie mleko wymieniali na cenne futra i dziczyznę. Sigvatson podjął rozsądną decyzję, nakazując swoim ludziom, by pochowali metalowe miecze, topory i włócznie. Skraelingowie posługiwali się wprawdzie hakiem i strzałami, lecz ich broń ręczna była nieporadnie wyciosana z kamienia. Sigvatson słusznie podejrzewał, że już niedługo tubylcy będą chcieli wykraść lub kupić od wikingów ich oręż.

Jesienią koloniści byli w pełni gotowi na nadejście zimy. Tego roku pogoda okazała się łaskawa - spadło niewiele śniegu, mróz utrzymywał się niedługo. Słoneczne dni okazały się o wiele dłuższe niż w Norwegii czy Islandii, gdzie zatrzymali się w drodze na krótki pobyt. Wiosną Sigvatson wysłał ludzi, by zbadali nieznaną, nowy ląd. Sam wolał pozostać na miejscu, przyjąć na siebie obowiązki przywódcy i odpowiedzialność za niewielką społeczność



żyjących w coraz większym dostatku osadników. Tak więc na czele wyprawy postawił swego młodszego brata, Magnusa.

Do udziału w długiej i pełnej trudów ekspedycji Sigvatson wybrał stu ludzi. Po kilkutygodniowych przygotowaniach, na sześciu z najmniejszych łodzi postawiono żagle. Pozostali w osadzie mężczyźni, kobiety i dzieci machali na pożegnanie wikingom, którzy wyruszyli w górę rzeki w poszukiwaniu głównego nurtu. Rekonesans przewidziany na dwa miesiące przeistoczył się w czternastomiesięczną epopeję. Wikingowie żeglowali, wiosłowali, czasami musieli przenosić łodzie przez ląd do następnego szlaku wodnego. Posuwali się szeroko rozlanymi rzekami, pokonywali ogromne jeziora, równie bezbrzeżne, jak ich północne morze. Płynęli rzeką o wiele większą niż te, które widzieli w Europie bądź w basenie Morza Śródziemnego. Przebywszy pięćset kilometrów, wyszli na ląd i założyli obóz w gęstym lesie, gdzie zamaskowali się i ukryli łodzie. Z tego miejsca wyruszyli w roczną wędrówkę po wzgórzach i nieskończonych preriach.

Zobaczyli tam dziwne zwierzęta, których dotąd nie znali - małe, podobne do psów, wyjące do księżyca w nocy, wielkie koty o krótkich ogonach, ogromne, porośnięte futrem bestie z ciężkimi łbami i rogami. Zabijali je włóczniami, a ich mięso okazało się równie smaczne, jak mięso wołu.

Nie zatrzymywali się w jednym miejscu, więc Skraelingowie nie czuli się zagrożeni i nie podejmowali działań zaczepnych. Wędrowców dziwiły i bawiły różnice między szczepami. Jedni stali przed nimi z godnością, dumni i nieporuszeni, inni przypominali bardziej dzikie zwierzęta.

Wiele miesięcy później ujrzeli w oddali szczyty potężnego masywu gór. Olbrzymi, wydający się nie mieć końca ląd budził w nich grozę. Zdecydowali, że czas wracać do kolonii, nim spadnie pierwszy śnieg. Lecz gdy znużeni drogą dotarli w środku lata do osady, oczekując radosnego powitania, na miejscu znaleźli jedynie zniszczenia i śmierć. Całą kolonię spalono, a po ich towarzyszach, żonach i dzieciach zostały jedynie porozrzucane kości. Jaka obłąkańcza przyczyna pchnęła Skraelingów do tej rzezi? Co naruszyło rozejm? Umarli nie mogli na to odpowiedzieć.

Magnus i jego rozwścieczeni, a zarazem zrozpaczeni towarzysze odkryli, że wejście do tunelu, prowadzącego do jaskini, gdzie stały ich statki, zostało zawczasu zakryte przez nieżyjących już mieszkańców kamieniami i gałęziami, by nie odkryli go Skraelingowie. Jakimś sposobem udało im się ocalić skarby i święte relikwie, które Sigvatson zdobył w młodzieńczych latach, a także najcenniejsze rzeczy osobiste. Podczas ataku Skraelingów wszystko zostało ukryte na statkach.

Pograżeni w bólu wojownicy mogli po prostu odpłynąć, lecz byłoby to wbrew ich naturze. Pałali żądzą zemsty, chociaż wiedzieli, że walka zakończyć się może ich śmiercią. Ale dla wikinga śmierć w walce z wrogiem była zaszczytna i chwalebna. Poza tym istniała jeszcze jedna straszliwa możliwość, że ich żony i dzieci zostały wzięte w niewolę przez Skraelingów.

Ogarnięci żalem i gniewem wojownicy zebrali szczątki swych przyjaciół i rodzin, zanieśli je tunelem do jaskini i umieścili na statkach. Była to część tradycyjnej ceremonii - zmarłych należało wyprawić w ostatnią drogę do szczęśliwej krainy Walhalla. Zidentyfikowano okaleczone zwłoki Bjarne Sigvatsona, które położono na jego okręcie, okrywając je płaszczem. Obok spoczęły szczątki jego dwojga dzieci, jego skarby, a także wiadra pełne żywności na ostatnią podróż. Wikingowie chcieli położyć obok ciała żony Bjarne, Freydis, lecz nie można jej było nigdzie odnaleźć. Nie pozostały też żadne zwierzęta z inwentarza, które mogliby złożyć w ofierze. Wszystko zabrali Skraelingowie.

Zgodnie z tradycją, statki i złożone na nich ciała winny być pogrzebane, lecz było to niemożliwe. Obawiano się, że Skraelingowie odkopią i ograbią zwłoki. Aby tego uniknąć, pograżeni w smutku wikingowie pracowicie kuli młotami i dłutami skałę nad wejściem do groty. Spadła na nie ogromna bryła i setki odłamków, odgradzając jaskinię od rzeki. Tylko pod powierzchnią wody pozostał prześwit, stanowiący niewidoczne z góry wejście do środka.

Gdy ceremonia dobiegła końca, wikingowie zaczęli szykować się do walki.

Honor i odwaga były dla nich świętością. Ogarnęła ich euforia, bo wiedzieli, że już wkrótce staną do bitwy. W głębi duszy tęsknili za walką, za metalicznym odgłosem uderzeń, za zapachem krwi. To była część ich życia. Dorastali wśród walki - ojcowie szkolili ich na wojowników, mistrzów sztuki zabijania. Naostrzyli więc długie miecze i topory z przedniej stali, wykute przez germańskich rzemieślników. Była to niezwykle kosztowna i wysoko ceniona broń. Mieczom i toporom nadawano imiona, jakby były żywymi stworzeniami.

Wdziali kolczugi, które chroniły ich torsy, włożyli proste, stożkowate hełmy, niektóre z osłonami na twarz, lecz bez ozdób w postaci sterczących rogów. Wzięli drewniane tarcze, pomalowane na jaskrawe kolory, z dużym metalowym nitem, przytrzymującym paski od wewnętrznej strony. Wszyscy mieli też włócznie o długich, ostrych grotach. Niektórzy walczyli za pomocą szerokich, długich na metr mieczy o dwustronnym ostrzu, inni woleli posługiwać się ogromnym toporem.

Kiedy byli gotowi, Magnus Sigvatson poprowadził setkę swoich wikingów ku dużej osadzie Skraelingów, położonej pięć kilometrów od miejsca masakry. Osada przypominała prymitywne miasteczko - liczyła kilkaset domów i niemal dwa tysiące mieszkańców.

Wikingowie nie próbowali ukrywać swojej obecności. Wskoczyli spośród drzew i wyjąco niczym wściekle psy, rzucili się na niską palisadę, chroniącą mieszkańców przed dzikimi zwierzętami.

Impet ataku zaskoczył Skraelingów. Osłupiali stali w miejscu i zostali wyrżnięci niczym rzeźne bydło. W pierwszych chwilach nieoczekiwanej napaści zginęło dwustu, nim zdolali się zorientować, co się dzieje. Pozostali zbili się w kilkusobowe grupki i stanęli do walki. Umieli posługiwać się włócznią, mieli też prymitywne kamienne topory, jednak ulubioną ich bronią był łuk. Już po chwili niebo przesłonił grad strzał. Kobiety także wzięły udział w bitwie, obrzucając napastników kamieniami, które jednak nie wyrządziły wikingom większej szkody.

Magnus atakował na czele swoich ludzi, trzymając w jednej dłoni włócznię, w drugiej ogromny topór. Broń ociekała krwią. Był człowiekiem, jakiego wikingowie określali mianem *beseerkr* - słowem, które z biegiem stuleci zmieniło formę na *berserk* - oznaczającym szaleńca siejącego postrach wśród wrogów. Wrzeszczał jak opętany, rzucając się na Skraelingów i powalając wielu z nich uderzeniami topora.

Brutalne okrucieństwo atakujących przeraziło Skraelingów. Ci, którzy stanęli do walki wręcz z wikingami, ponieśli potworne straty. Zostali zdziesiątkowani, jednak ich liczebność wcale nie malała. Wysłańcy pobiegli do sąsiednich osad, ściągnąć posiłki. Uszczuplone szyki Skraelingów szybko wypełniali nowo przybyli wojownicy.

Przez pierwszą godzinę mściciele posuwali się w głąb osady, bezskutecznie szukając swoich żon. Zobaczyli jedynie fragmenty materiału z ich szat, noszone przez kobiety Skraelingów jako ozdoby. Mocniejsza od gniewu jest wściekłość, a od wściekłości histeria. W przepływie szaleństwa wikingowie doszli do wniosku, że ich kobiety stały się ofiarami kanibalizmu - a wtedy ich szal ustąpił miejsca zimnemu oblędowi. Nie wiedzieli, że pięciu kobietom, które ocalały z rzezi, nie wyrządzono żadnej krzywdy - przekazano je w darze wodzom okolicznych plemion. Okrucieństwo wikingów osiągnęło szczyty i już wkrótce ziemia w osadzie Skraelingów spłynęła krwią. Jednak posiłki wciąż napływały i po pewnym czasie szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę tubylców.

W obliczu przytłaczającej przewagi liczebnej wroga, osłabieni z powodu ran i wyczerpania wikingowie zostali wycięci w pień - pozostało jedynie dziesięciu, wraz z Magnusem Sigvatsonem. Skraelingowie zaniechali walki wręcz ze śmiercionośnymi mieczami i toporami. Nie bali się rzucanych w ich kierunku włóczni. Armia tubylców, przewyższająca słabnących napastników w stosunku pięćdziesiąt do jednego, obrzuciła pozostałą przy życiu garstkę wikingów gradem strzał. Najeźdźcy kryli się za tarczami, które

wkrótce zaczęły przypominać grzbiet jeżozwierza. Mimo to walczyli dalej.

W pewnym momencie Skraelingowie jak burza uderzyli na garstkę napastników i całkowicie ich otoczyli. Wikingowie stali plecami do siebie i walczyli do końca, przyjmując na siebie lawinę ciosów zadawanych kamiennymi toporami. Nie mogli długo wytrzymać takiego naporu.

W ostatnich chwilach myśleli o swoich bliskich i o chwalebnej śmierci, która miała nastąpić. Zginęli wszyscy, do ostatka nie wypuszczając broni z ręki. Ostatni padł Magnus Sigvatson, a wraz z nim nadzieja na skolonizowanie Ameryki przez kolejne pięćset lat. Pozostawił dziedzictwo, które drogo kosztowało jego następców. Nim zaszło słońce, poległo stu wikingów, a wraz z nimi ponad tysiąc zamordowanych Skraelingów - mężczyzn, kobiet i dzieci. Tubylcy w straszliwy sposób przekonali się, że biali przybysze zza morza stanowią zagrożenie, które można powstrzymać jedynie siłą.

Doznali szoku. Żadna międzyplemienna bitwa nie była równie krwawa, nie przyniosła tylu ofiar, ran i okaleczeń. Ta bitwa była jedynie odległym preludium do potwornych wojen, które miały dopiero nadejść.

Dla wikingów mieszkających w Islandii i Norwegii los kolonii Bjarne Sigvatsona pozostał tajemnicą. Przy życiu nie utrzymał się nikt, kto mógłby opowiedzieć historię wyprawy, a żaden śmiałek nie wybrał się tą samą trasą przez wzburzony ocean. O ich zaginięciu mówiły tylko sagi, przekazywane przez stulecia z pokolenia na pokolenie.

# Potwór z głębin

2 lutego 1894, Morze Karaibskie

Nikt na pokładzie starego, drewnianego okrętu "Kearsarge" nie mógł przewidzieć nadchodzącej katastrofy. Płynąc pod banderą Stanów Zjednoczonych, chronił interesy ojczyzny w Indiach Zachodnich. Na trasie z Haiti do Nikaragui obserwatorzy wypatrzyli w wodzie dziwny obiekt, o milę od sterburty. Tego bezchmurnego dnia widoczność sięgała po horyzont, morze było spokojne, małe fale łamały się na wysokości pół metra. Gołym okiem widać było czarny grzbiet jakiegoś dziwnego, morskiego potwora.

- Co o tym sądzisz? - spytał kapitan Leigh Hunt pierwszego oficera, porucznika Jamesa Ellisa, patrząc przez lornetkę.

Ellis zmrużył oczy. Popatrzył na dziwny obiekt przez lunetę, jedną ręką trzymając się relingu.

- Myślę, że to wieloryb, chociaż jeszcze nie widziałem wieloryba, który pływałby tak spokojnie. Poza tym pośrodku grzbietu ma dziwne wybrzuszenie.

- To chyba jakiś rzadki gatunek węża morskiego - powiedział Hunt.

- Nie znam takiego stwora - mruknął ze zgrozą Ellis.

- To nie jest łódź zbudowana ręką człowieka.

Hunt był szczupłym mężczyzną o siwiejących włosach. Pomarszczona twarz i głęboko osadzone, brązowe oczy świadczyły o wielu godzinach spędzonych na słońcu i wietrze. W zębach trzymał fajkę, którą jednak bardzo rzadko palił. Był marynarzem od ćwierć wieku z nienagannym przebiegiem służby. Przed odejściem na emeryturę, jako specjalne wyróżnienie, powierzono mu dowództwo najslynniejszego okrętu w marynarce. Był zbyt młody, by brać udział w wojnie secesyjnej. Ukończył morską akademię wojskową w 1869 roku i służył na ośmiu różnych okrętach, awansując coraz wyżej, aż wreszcie objął "Kearsarge".

Okręt zyskał sławę trzydzieści lat wcześniej po słynnej bitwie morskiej, w której uszkodził i zatopił piracką jednostkę konfederatów "Alabama", niedaleko Cherbourga u wybrzeży Francji. Obydwa okręty były podobnej klasy, lecz w ciągu niecałej godziny od początku bitwy "Alabama" stała się wrakiem. Po powrocie do macierzystego portu kapitana i załogę "Kearsarge'a" witano jak bohaterów.

Przez następne lata okręt żeglował po morzach całego świata. Jednostka o długości sześćdziesięciu metrów, szerokości dziesięciu i prawie pięciu metrach zanurzenia, napędzana dwoma silnikami rozwijała prędkość do jedenastu węzłów. Dziesięć lat po zakończeniu wojny domowej działa okrętu zastąpiono nowymi: zamontowano dwie jedenastocalowe armaty o gładkich lufach cztery podobne kalibru dziewięciu cali, i dwa działa o

gwintowanych lufach na dziesięciokilogramowe pociski. Załogę stanowiło stu sześćdziesięciu marynarzy. Okręt był już trochę przestarzały, ale nadal budził postrach.

Ellis odłożył lunetę i spojrzał na dowódcę.

- Obejrzymy to, kapitanie?

Hunt kiwnął głową.

- Dziesięć stopni na sterburtę. Niech główny mechanik Gribble da całą naprzód. Załoga baterii numer dwa na stanowiska bojowe. Podwoić liczbę obserwatorów. Nie chcę stracić z oczu tego potwora, czymkolwiek jest.

- Tak jest, sir. - Ellis, wysoki, łysiejący mężczyzna ze starannie przyciętą bródką, przystąpił do wykonania rozkazów i już po chwili okręt zwiększył szybkość. Piana obryzgiwała dziób płynącej pod wiatr jednostki. Z komina buchały kłęby czarnego dymu i iskier, pokład drżał, gdy stara łajba podjęła pościg.

Już wkrótce "Kearsarge" zbliżył się do dziwnego obiektu, który cały czas płynął ze stałą prędkością. Obsługa baterii umieściła ładunek i pocisk w gwintowanej lufie armaty, czekając w gotowości. Dowódca spoglądał na Hunta, który stał przy sterniku.

- Działo numer dwa gotowe do strzału - zameldował.

- Cel pięćdziesiąt metrów przed dziobem obiektu, Merryman! - zawołał Hunt przez tubę.

Merryman pokazał gestem, że zrozumiał rozkaz, po czym kiwnął głową w kierunku marynarza, który ze sznurem spustowym w ręku stał obok armaty. Inny członek załogi obsługiwał pokrętło na trzonie zamka.

- Słyszałeś, co powiedział kapitan - powiedział Merryman. - Cel pięćdziesiąt metrów przed dziobem bestii.

Dokonano korekty ustawienia lufy. Po pociągnięciu sznura spustowego, armata zagrzmiała i cofnęła się aż do oporu na grubej linie odciągowej, biegnącej przez otwór w czopie zamykającym lufę. Strzał udał się niemal idealnie i pocisk uderzył w morze dokładnie przed garbem, sunącym bez wysiłku po wodzie. Zwierzę czy maszyna, dziwny stwór zignorował atak, utrzymując poprzednią prędkość i kurs.

- Zdaje się, że artyleria nie robi na nim wrażenia - rzekł Ellis z lekkim uśmiechem.

Hunt patrzył przez lornetkę.

- Oceniam jego szybkość na dziesięć węzłów przy naszych dwunastu.

- Będziemy obok niego za dziesięć minut.

- Gdy zbliżymy się na trzysta metrów, oddajcie kolejny strzał. Tym razem trzydzieści metrów przed nim.

Cała załoga z wyjątkiem obsługi maszynowni zebrała się przy relingach, spoglądając na potwora, który z każdą minutą zbliżał się do dziobu okrętu. Na powierzchni tworzyła się niewielka fala, ale w kilwaterze widać było białą pianę, powstającą pod wodą. W pewnym momencie garb na grzbiecie stwora błysnął światłem i zamigotał.

- Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że światło słoneczne odbija się od jakiegoś okna czy szyby - mruknął Hunt.

Obsługa załadowała działo i kolejny pocisk wyładował z pluskiem piętnaście metrów przed potworem.

- Żaden morski stwór nie jest zbudowany ze szkła - szepnął Ellis. Żadnej reakcji. Płynął dalej, jakby "Kearsarge" był tylko nic nieznaczącą przeszkodą w jego podróży. Był już na tyle blisko, że kapitan Hunt i jego załoga mogli dokładnie zobaczyć trójkątną nadbudówkę nad korpusem, z dużymi okrągłymi otworami zabezpieczonymi kwarcowym szkłem.

- To jakiś okręt - powiedział zdumiony Hunt.

- Nie mogę w to uwierzyć - odparł cicho Ellis. - Któż potrafiłby zbudować taką niesamowitą maszynę?

- Jeśli nie pochodzi z Ameryki, musi być brytyjska lub niemiecka.

- A skąd to wiadomo? Nie ma żadnej bandery.

Patrzyli, jak dziwny obiekt powoli zagłębił się w morze i wreszcie zniknął im z oczu. "Kearsarge" przepłynął dokładnie nad tym miejscem, lecz załodze nie udało się wykryć żadnego śladu pod wodą.

- Uciekł, kapitanie! - zawołał jeden z marynarzy.

- Obserwujcie pilnie powierzchnię morza - odkrzyknął Hunt. - Niech kilku wejdzie wyżej, stamtąd lepiej widać.

- Co zrobimy, gdy wypłynie? - spytał Ellis.

- Jeśli się nie zatrzyma i nie poda swojej nazwy, strzelimy do niego ze wszystkich dział.

Mijały godziny. W promieniach zachodzącego słońca "Kearsarge" zataczał coraz większe kręgi w nadziei, że uda się odnaleźć tajemniczy obiekt. Kapitan Hunt chciał przerwać poszukiwania, gdy wtem jeden z obserwujących morze marynarzy zawołał:

- Obiekt z lewej burty, odległość pół mili, płynie prosto na nas.

Oficerowie i marynarze rzucili się do relingów z lewej burty. Było jeszcze dość jasno, by wyraźnie zobaczyć, jak dziwny twór płynie z dużą szybkością w kierunku "Kearsarge".

W czasie pościgu kanonierzy czekali cierpliwie, gotowi do salwy. Ci z lewej burty wycelowali lufy w zbliżający się kształt.



- Wziąć poprawkę na szybkość celu, mierzyć w nadbudówkę - rozkazał Merryman.

Dokonano koniecznych poprawek. Gdy obiekt pojawił się w celownikach, Hunt zawołał:

- Ognia!

Sześć z ośmiu dział na "Kearsarge'u" z rozdzierającym powietrze hukiem plunęło ogniem i dymem. Hunt zobaczył przez lornetkę, jak dwa jedenastocalowe pociski uderzają w wodę po obu stronach zagadkowego okrętu. Dziewięciocalowe wzbily w górę kolejne gejzery wody wokół celu. Dopiero ładunek wystrzelony z gwintowanego dział trafił w kadłub morskiego potwora, odbił się od niego i rykoszetem musnął powierzchnię wody, jak kamień robiący "kaczki".

- On jest opancerzony! - zawołał zdumiony Hunt. - Nasz pocisk odbił się od niego, nie czyniąc na kadłubie nawet rysy.

Niewzruszony obiekt, niczym karzące ramię sprawiedliwości, wycelował dziób w śródkręcie "Kearsarge'a" i zwiększył szybkość, by uderzyć z maksymalną siłą.

Marynarze w panice załadowali działa, lecz nim przygotowali się do kolejnej salwy, okręt znalazł się zbyt blisko. Nie można już było obniżyć luf na tyle, by oddać celny strzał. Marynarze zaczęli strzelać do napastnika z karabinów, kilku oficerów otworzyło ogień z rewolwerów, trzymając się olinowania. Grad pocisków po prostu odbijał się od pancerza szarżującej jednostki.

Hunt i jego załoga patrzyli ze zgrozą, jak zbliża się katastrofa. Kapitan, nie spuszczać wzroku z łodzi przypominającej kształtem cygaro, chwycił mocno reling, przygotowując się na cios.

A jednak do zderzenia nie doszło. Załoga odczuła jedynie lekki wstrząs pod pokładem - przypomniało to stuknięcie w nabrzeże podczas cumowania. Rozległ się przytłumiony odgłos pękającego drewna. W ciągu chwili, która załodze wydawała się wiecznością, dziwny obiekt przeciął kadłub "Kearsarge'a" między dębowymi wręgami tuż za maszynownią.

Hunt wstrzymał oddech. W przeszklonej nadbudówce atakującego statku ujrzął twarz brodatego mężczyzny. Malował się na niej smutek i melancholia, jakby człowiek ten odczuwał szczery żal z powodu nieszczęścia, zgotowanego przez jego dziwny okręt.

Po chwili napastnik znikł w głębinie.

Hunt wiedział, że los "Kearsarge'a" jest przesądzony. Do ładowni rufowej i kambuza wdzierała się woda. Otwór w drewnianej burcie, mający kształt niemal idealnego koła, znajdował się dwa metry pod powierzchnią morza. Strumień wody wdzierał się coraz szybciej, okręt zaczął się przechylać na lewą burtę. Jedyne grodzie chroniły "Kearsarge'a"

przed natychmiastowym zatopieniem. Zgodnie z procedurą, Hunt rozkazał je pozamykać, gdy szykował się do bitwy. Powstrzymało to wodę do chwili, gdy grodzie pękły pod olbrzymim ciśnieniem.

Hunt odwrócił się i spojrział na koralową wysepkę, znajdującą się w odległości niecałych dwóch mil.

- Kurs na rafę od sterburty - krzyknął do sternika. Potem zawołał, by w maszynowni wycisnęli z silników pełną moc, ale wszystko zależało od tego, jak długo wytrzymają grodzie, zabezpieczające ją przed zalaniem. Dopóki kotły wytwarzały parę, istniała możliwość dopłynięcia na mieliznę i ocalenia okrętu przed zatonięciem.

Powoli dziób zatoczył wielki łuk i "Kearsarge" ruszył pełną parą w kierunku płycizny. Pierwszy oficer Ellis nie czekał na rozkazy, by przygotować do opuszczenia szalupy i gig kapitana. Z wyjątkiem załogi maszynowni, wszyscy marynarze zebrali się na pokładzie. Wpatrywali się w nagą, koralową rafę, zbliżającą się przerażająco powoli. Śruba szaleńczo waliła w wodę - ogarnięci paniką palacze wyciskali z kotłów najwyższe ciśnienie. Dorzucali węgla do paleniska, ze zgrozą spoglądając na trzeszczącą grodzie, oddzielającą ich od śmierci.

Śruba biła wodę, kierując okręt ku ocaleniu. Sternik wołał o pomoc. Sam nie dawał już rady panować nad kołem sterowym - "Kearsarge" był ociążony od nagromadzonej wody, boczny przechył osiągnął sześć stopni.

Załoga stała przy szalupach, gotowa w każdej chwili opuścić okręt na rozkaz kapitana. Poruszyli się zaniepokojeni, gdy pokład pod ich stopami przechylił się mocniej. Jeden z marynarzy został wysłany na dziób, by sprawdzić głębokość morza.

- Dwadzieścia sążni! - zawołał. - Głębokość maleje - dorzucił z nadzieją w głosie.

Potrzebowali jeszcze trzydziestu metrów, by kil "Kearsarge" osiadł na dnie. Hunt miał wrażenie, że zbliżają się do wysepki z szybkością pijanego ślimaka.

Okręt z każdą minutą zanurzał się coraz głębiej. Przechył wynosił już dziesięć stopni i coraz trudniej było utrzymać kurs na wprost. Załoga patrzyła, jak fale uderzają w rafę i rozpryskują się w promieniach słońca.

- Pięć sążni! - zawołał marynarz na dziobie. - Dno szybko się podnosi.

Hunt nie chciał ryzykować życia ludzi. Już miał wydać rozkaz opuszczenia okrętu, gdy nagle "Kearsarge" uderzył w rafę i złościąc w niej długi ślad, zatrzymał się w piętnastostopniowym przechyle.

- Bogu dzięki, jesteśmy ocaleni - wyszeptał sternik, nie wypuszczając koła z rąk. Twarz miał czerwona z wysiłku, ramiona odrętwiałe.

- Siedzimy mocno na dnie - powiedział Ellis do Hunta. - Wkrótce będzie odpływ, więc

nigdzie nas nie zniesie.

- To prawda - przyznał Hunt. - Szkoda by było, gdyby nie dało się ocalić okrętu.

- Holowniki mogą ściągnąć go z rafy pod warunkiem, że kadłub jest cały.

- Wszystko przez tego potwora. Jeśli Bóg istnieje, łotr zapłaci za to, co uczynił.

- Może już zapłacił - powiedział cicho Ellis. - Po zderzeniu dość szybko znikł pod wodą. Pewnie uszkodził dziób i zrobił w nim wyrwę.

- Dlaczego po prostu nie zatrzymał się i nie wyjaśnił, co robi na tych wodach?

Ellis patrzył w zamyśleniu na turkusowe morze.

- Czytałem kiedyś, że jeden z naszych okrętów, "Abraham Lincoln", trzydzieści lat temu spotkał na morzu tajemniczy, metalowy obiekt, który uszkodził mu płetwę sterową.

- Gdzie to było? - spytał Hunt.

- Chyba na Morzu Japońskim. Poza tym w ciągu ostatnich dwudziestu lat co najmniej cztery okręty floty brytyjskiej zaginęły w tajemniczych okolicznościach.

- Departament Marynarki Wojennej nigdy nie uwierzy w to, co nam się przydarzyło - powiedział Hunt, patrząc z rosnącą złością na zniszczony okręt. - Będę miał dużo szczęścia, jeśli uniknę sądu wojennego i dymisji.

- Ma pan stu sześćdziesięciu świadków na poparcie pańskich słów - zapewnił Ellis.

- Żaden kapitan nie lubi tracić swojego statku, a już szczególnie z powodu niezidentyfikowanego mechanicznego potwora. - Urwał, patrząc na wodę. - Zaczniście ładować zapasy do szalup. Zaczekamy na ratunek na stałym lądzie.

- Sprawdziłem na mapie, kapitanie. To Rafa Roncadora.

- Smutne miejsce i smutny koniec wspaniałego okrętu - powiedział Hunt w zadumie.

Ellis zasalutował i zajął się wydawaniem rozkazów załodze. Mieli przewieźć na koralową wysepkę żywność, brezent na namioty i rzeczy osobiste. W świetle księżyca pracowali całą noc, a potem i następny dzień, zakładając obóz i gotując pierwszy posiłek na stałym lądzie.

Hunt zszedł z pokładu "Kearsarge'a" jako ostatni. Nim zstąpił z drabinki do szalupy, zatrzymał się, spoglądając na niespokojne morze. Do końca życia nie zapomni widoku brodatego mężczyzny, który patrzył na niego z nadbudówki potwora.

- Kim jesteś? - wyszeptał. - Czy przeżyłeś katastrofę? A jeśli tak, kto będzie twoją kolejną ofiarą?

Przez wiele lat, aż do śmierci, Hunt zastanawiał się, czy to właśnie ów brodacz i jego stalowy potwór mają na sumieniu kolejne zaginięcia statków na pełnym morzu.

Załoga "Kearsarge'a" przez dwa tygodnie przebywała na koralowej wyspie, zanim dostrzegła dym nad horyzontem. Hunt wysłał szalupę pod dowództwem Ellisa, który zatrzymał przepływający parowiec. Statek zabrał Hunta i jego ludzi do Panamy.

Co dziwne, po powrocie załogi do Stanów Zjednoczonych nie przeprowadzono żadnego dochodzenia. Wyglądało na to, że dowódca marynarki i admirałowie chcą zatuszować sprawę. Ku swemu zaskoczeniu, przed odejściem na emeryturę, Hunt otrzymał awans na komandora. Pierwszy oficer Ellis również został awansowany. Powierzono mu dowództwo najnowszego krążownika "Helena", na którym służył podczas wojny z Hiszpanią.

Kongres przyznał czterdzieści pięć tysięcy dolarów na podniesienie "Kearsarge'a" z rafy i odholowanie okrętu do macierzystej stoczni. Okazało się jednak, że mieszkańcy okolicznych wysepek podpalili okręt, by odzyskać cenny mosiądz, miedź i żelazo. Zabrano więc do Stanów tylko działa, pozostawiając Kearsarge'a w koralowym grobowcu.

# **CZEŚĆ I**

## **Piekło**

15 lipca 2003, południowy Pacyfik

Gdyby katastrofę szczegółowo zaplanowano wiele miesięcy wcześniej, nie mogłaby okazać się bardziej tragiczna w skutkach. Spełnił się najgorszy senny koszmar. Luksusowy liniowiec pasażerski, "Emerald Dolphin", stał w płomieniach, a nikt na pokładzie nie wiedział o tym ani nawet nie przeczuwał niebezpieczeństwa. Płomienie powoli ogarniały wnętrze kaplicy na śródokręciu, tuż przed okazałym centrum handlowym.

Oficerowie na mostku pełnili służbę nieświadomi zagrożenia. Żaden z automatycznych systemów przeciwpożarowych ani systemów pomocniczych nie sygnalizował ognia. Konsola ze schematem całego statku, na której powinno ukazać się alarmowe światelko lokalizujące płomienie, jarzyła się delikatną zieloną poświatą. Lampka, która powinna rozbłysnąć czerwienią, informując o pożarze w kaplicy, pozostawała ciemna.

O czwartej nad ranem wszyscy pasażerowie spali w swoich kabinach. Bary, salony, kasyno, klub nocny i sala balowa świeciły pustkami. "Emerald Dolphin" z prędkością dwudziestu czterech węzłów płynął z Sydney przez południowe morza w kierunku Tahiti. Był to dziewiczy rejs statku, zwodowanego, a następnie luksusowo wyposażonego, w ubiegłym roku. Nie miał opływowych, eleganckich kształtów typowego liniowca. Kadłub przypominał raczej wielki but z olbrzymim dyskiem pośrodku. Cała nadbudówka, składająca się z sześciu pokładów, była okrągła. Wznosiła się i wychodziła poza obręb burt o ponad czterdzieści metrów, piętnaście metrów górując nad dziobem i rufą. Konstrukcję można było porównać ze znanym z telewizyjnego serialu *Star Trek* statkiem kosmicznym "Enterprise". "Emerald Dolphin" nie miał komina.

Jednostka stanowiła dumę kompanii Blue Seas Cruise Lines. Z pewnością zasługiwała na sześć gwiazdek. Oczekiwano, że stanie się bardzo modnym liniowcem, zwłaszcza że jej wnętrze przypominało luksusowy hotel w Las Vegas. Wszystkie kabiny w dziewiczym rejsie były od dawna zarezerwowane. Statek miał prawie dwieście trzydzieści metrów długości, pięćdziesiąt tysięcy ton wyporności i przyjął w swe bogato wyposażone wnętrza tysiąc sześćset pasażerów, których obsługiwała dziewięćsetosobowa załoga.

Projektanci "Emerald Dolphina" przeszli samych siebie, tworząc supernowoczesne wnętrza pięciu restauracji, trzech barów i salonów, kasyna, sali balowej, teatru i kabin

pasażerskich. Wszędzie rzucało się w oczy różnokolorowe szkło. Na ścianach i sufitach widniały ozdoby z chromu, mosiądzu i miedzi. Wszystkie meble były dziełami współczesnych artystów oraz znanych dekoratorów wnętrz. Jedyne w swoim rodzaju oświetlenie tworzyło iście niebiański nastrój, przynajmniej w odczuciu projektanta, opierającego się na relacjach osób, które po reanimacji wróciły w poczet żywych. Poza odkrytymi pokładami nie trzeba było nawet wiele chodzić. Ruchome schody, platformy i chodniki znajdowały się na całym statku. Co kilka kroków widać było przeszklone windy.

Na pokładzie sportowym umieszczono niewielkie pole golfowe z czterema dołkami, olimpijski basen, boisko do koszykówki i dużą siłownię. Przepiękne i bogate centrum handlowe wznosiło się na trzy poziomy w górę.

Statek był również pływającym muzeum abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Wszędzie wisiały obrazy Jacksona Pollocka, Paula Klee, Willema de Kooninga i innych znanych artystów. Brązowe rzeźby Henry'ego Moore'a stały w niszach na platynowych piedestałach w największej restauracji. Już sama ta kolekcja miała wartość siedemdziesięciu ośmiu milionów dolarów.

Kabiny nie miały ostrych rogów, były przestronne i niemal identyczne - na pokładzie "Emerald Dolphina" nie zaprojektowano małych kabin na śródkręciu ani dużych apartamentów. Twórcy statku nie uznawali różnic klasowych. Meble i wystrój wnętrz przypominały scenografię z filmu science fiction. Stożące na podwyższeniach łóżka wyściełały miękkie materace, łagodne oświetlenie spływało z góry. W kabinach dla nowożeńców umieszczono na suficie dyskretne lustra. W łazienkach były specjalne komory, gdzie rozpryskiwana w mgiełkę woda osiadała na tropikalnych roślinach, które wyglądały tak, jakby przywieziono je z innej planety. Podróż na "Emerald Dolphinie" dostarczała niezwykłych przeżyć.

Projektanci statku wiedzieli, kim będą przyszli pasażerowie, urządzili więc wnętrza w stylu odpowiadającym bogatym, młodym ludziom, zamożnym lekarzom, adwokatom, właścicielom małych i większych firm. Większość z nich podróżowała z rodzinami. Samotni pasażerowie stanowili mniejszość. Była też spora grupa seniorów, którzy mogli sobie pozwolić na każdy luksus.

Po kolacji większość młodych małżeństw wesoło bawiła się w sali balowej, gdzie orkiestra grała najmodniejsze kawałki, w nocnym klubie z występami lub w kasynie. Rodziny z dziećmi spędzały wieczory w teatrze - wystawiano właśnie najnowszy hit z Broadwayu. O godzinie trzeciej trzydzieści wszystkie pomieszczenia były już puste. Żaden z kładących się

spać pasażerów nie przypuszczał, że “Emerald Dolphin” wkrótce czeka zniszczenie i śmierć.

Kapitan Jack Waitkus przed udaniem się na spoczynek do swojej kabiny dokonał krótkiej inspekcji górnych pokładów. Był starym marynarzem - za pięć dni miał obchodzić sześćdziesiąte piąte urodziny. Wiedział, że to jego ostatni rejs. Szefowie firmy uprzedzili go, że po zakończeniu podróży do Australii i z powrotem do macierzystego portu w Fort Lauderdale, zejdzie na ląd. W gruncie rzeczy Waitkus cieszył się z emerytury. Razem z żoną mieszkali na pięknym, trzynastometrowym jachcie pełnomorskim i od wielu lat planowali podróż dookoła świata. W myślach kreślił już na mapie kurs przez Atlantyk w kierunku Morza Śródziemnego.

Dowódcą “Emerald Dolphina” został mianowany w uznaniu zasług dla firmy. Był tęgim, rubasznym mężczyzną z dobrotliwymi, niebieskimi oczami, z jego ust nie znikał ciepły uśmiech. W przeciwieństwie do wielu kapitanów statków wycieczkowych lubił kontakty towarzyskie z pasażerami. Przy kapitańskim stole zabawiał gości opowieściami o tym, jak za młodu uciekł z Liverpoolu na morze, jak pływał na parowcach na Daleki Wschód i stopniowo, ciężką pracą osiągał coraz wyższe marynarskie stopnie. Pilnie się uczył, wreszcie zdał egzaminy oficerskie i uzyskał patent kapitana. Przez dziesięć lat służył w Blue Seas, najpierw jako drugi, potem pierwszy oficer, w końcu dostał dowództwo na “Emerald Dolphinie”. Był bardzo popularny - zarząd niechętnie wysyłał go na emeryturę, nie można było jednak robić wyjątków w personalnej polityce firmy.

Był zmęczony, ale nie kładł się spać, póki nie przeczytał kilku stron jakiejś książki o podwodnych skarbach. Wciąż myślał o pewnym wraku z ładunkiem złota, zatopionym niedaleko wybrzeży Maroka. Chciał go spenetrować w czasie rejsu dookoła świata. Po raz ostatni wywołał mostek. Wszystko było w najlepszym porządku, mógł więc spokojnie zasnąć.

O czwartej dziesiąt nad ranem drugi oficer Charles McFerrin poczuł zapach dymu podczas rutynowego obchodu statku. Najsilniej pachniało przy centrum handlowym, gdzie znajdowały się butiki i sklepy z pamiątkami. Nie usłyszał żadnego alarmu i zdziwiony, kierując się węchem, poszedł aż przed drzwi do kaplicy. Buchało od nich gorąco, więc nie namyślając się długo, otworzył je.

W środku szalały płomienie. Zaskoczony cofnął się przed żarem, stracił równowagę i upadł na pokład. Natychmiast wstał i przez radio wydał serię rozkazów.

- Obudzić kapitana Waitkusa. Pożar w kaplicy. Włączyć alarm i program komputerowy sterujący automatycznym systemem gaszenia ognia.



Pierwszy oficer Vince Sheffield odruchowo spojrzął na pulpit kontrolny. Wszystkie lampki były zielone.

- Jesteś pewien, McFerrin? Nie mamy sygnału o pożarze.

- Uwierz mi! - zawołał McFerrin do mikrofonu. - To prawdziwe piekło. Ogień wymknął się spod kontroli.

- Czy zraszacze działają? - spytał Sheffield.

- Nie, musi być jakaś poważna awaria. System przeciwpożarowy nie działa. Nie było też alarmu wywołanego wysoką temperaturą.

Sheffield był zupełnie zdezorientowany. "Emerald Dolphina" wyposażono w najnowocześniejszy system alarmowy na świecie. Gdyby zawiódł, sytuacja stałaby się beznadziejna. Gapiąc się w osłupieniu na panel kontrolny, gdzie pozornie wszystko było w porządku, tracił cenne sekundy. Wreszcie spojrzął na młodszego oficera, Carla Hardinga.

- McFerrin zgłasza pożar w kaplicy, ale na konsoli niczego nie widać. Idź na dół i sprawdź to.

McFerrin z kolei tracił czas, rzucając się z gaśnicami na coraz większe płomienie. Równie dobrze mógłby próbować ugasić pożar lasu jednym jutowym workiem. Ogień sięgał już poza kaplicę. Drugi oficer wciąż nie mógł uwierzyć, że automatyczne zraszacze nie działają. Pożaru nie da się opanować, jeśli załoga natychmiast nie uruchomi węzów z wodą. Zamiast załogi zjawiał się jednak tylko Harding. Nadchodził powolnym krokiem od strony centrum handlowego.

Na widok ognia stanął jak wryty. Ogarnął go strach, gdy zobaczył, jak McFerrin w pojedynkę przegrywa bitwę z płomieniami. Natychmiast połączył się z mostkiem.

- Sheffield, na Boga! Tu jest prawdziwe piekło i nie ma go czym ugasić! Są tylko gaśnice. Wezwij ekipę strażaków i włącz system przeciwpożarowy.

Sheffield zawahał się, wreszcie - omijając elektronikę - ręcznie włączył zraszacze w kaplicy.

- System włączony - zawołał do mikrofonu.

- Nie działa! - wrzasnął McFerrin. - Szybciej, człowieku, sami nie damy rady!

Sheffield zawiadomił wreszcie dowódcę strażaków i obudził kapitana Waitkusa.

- Panie kapitanie, mam meldunek o pożarze w kaplicy.

Waitkus oprzytomniał w jednej chwili.

- Systemy gaśnicze pracują?

- Oficerowie McFerrin i Harding, którzy są na miejscu, twierdzą, że nie działają.

Próbują opanować ogień gaśnicami ręcznymi.

- Wezwać ekipę strażaków, by uruchomili węże.

- Już wydałem odpowiednie rozkazy.

- Obsługa szalup na stanowiska.

- Tak jest, kapitanie.

Ubierając się w pośpiechu, Waitkus nie potrafił sobie wyobrazić, jakie niebezpieczeństwo mogłoby go zmusić do nakazania dwóm i pół tysiącu pasażerów i członków załogi opuszczenia statku w szalupach, pragnął jednak zachować wszelkie środki ostrożności. Pobiegł na mostek. Pulpit kontrolny nadal jarzył się zielenią. Jeśli naprawdę wybuchł pożar, żaden z nowoczesnych systemów go nie wykrył ani nie włączył automatycznych zraszaczy.

- To pewne? - spytał Sheffielda.

- McFerrin i Harding przysięgają, że w kaplicy szaleje ogień.

- Niemożliwe. - Waitkus podniósł słuchawkę i połączył się z maszynownią.

- Tu maszynownia, mówi Barnum - odezwał się zastępca głównego mechanika, Joseph Barnum.

- Tu kapitan. Czy wasze systemy kontrolne sygnalizują ogień gdzieś na statku?

- Chwileczkę. - Barnum spojrział na duży panel. - Nie, panie kapitanie. Wszystkie kontrolki są zielone. Żadnej informacji o pożarze.

- Gotowi do ręcznego uruchomienia systemu gaśniczego - rozkazał Waitkus.

Na mostek wpadł zdyszany marynarz i podbiegł do Sheffielda.

- Panie poruczniku, dym na pokładzie spacerowym bakburty.

Waitkus podniósł słuchawkę.

- McFerrin?

Wśród huczących płomieni drugi oficer ledwie usłyszał brzęczyk telefonu.

- O co chodzi? - rzucił ostro.

- Mówi kapitan. Razem z Hardingiem natychmiast opuście kaplicę. Zamykamy stalową kurtynę przeciwpożarową, żeby odciąć kaplicę od reszty statku.

- Tylko szybko kapitanie! - krzyknął McFerrin. - Ogień lada chwila przejdzie do centrum handlowego.

Waitkus wcisnął przycisk, który powodował zamknięcie ukrytej stalowej kurtyny wokół kaplicy, izolującej to miejsce od pozostałej części statku.

Ze zdumieniem stwierdził, że lampka kontrolna pozostała ciemna. Znów wezwał McFerrina.

- Kurtyna opadła?

- Nie, kapitanie. Nic się nie dzieje.

- Niemożliwe - mruknął Waitkus. - Nie mogę uwierzyć, cały system zawiódł. - Połączył się z maszynownią. - Barnum - warknął - zamykajcie ręcznie kurtynę wokół kaplicy.

- Zamykam - potwierdził Barnum. - Na mojej tablicy nic się nie dzieje - dodał po chwili. - Nic nie rozumiem. System kurtyn nie działa.

- Cholera! - stęknął Waitkus i spojrzął na Sheffielda. - Idę na dół, sam to sprawdzę.

Pierwszy oficer już nigdy więcej nie zobaczył swojego kapitana. Waitkus wsiadł do windy, zjechał na pokład A i dotarł do kaplicy od strony przeciwnej niż oficerowie walczący z ogniem. Nie zdając sobie sprawy z zagrożenia, otworzył drzwi za ołtarzem. Płomienie ogarnęły go w jednej chwili. W ciągu sekundy doznał oparzenia płuc i zmienił się w żywą pochodnię. Zachwiał się do tyłu i skonał, zanim jeszcze upadł na ziemię.

Kapitana Waitkusa spotkała straszna śmierć. Nie wiedział, że jego statek również skazany jest na zagładę.

Kelly Egan obudził koszmarny sen. Często śniła o tym, że goni ją jakiś potworny, trudny do opisania owad lub zwierzę. Teraz płynęła w wodzie i otarła się o nią ogromna ryba. Jęknęła półprzytomnie i otworzyła oczy. Nocna lampka w łazience rozsiewała słabą poświatę.

Kelly zmarszczyła nos i uświadomiła sobie, że czuje swąd. Starła się określić pochodzenie zapachu, ale był jeszcze słabo wyczuwalny. Uspokojona, że dym nie pochodzi z jej kabiny, położyła się i sennie rozmyślała, czy był to tylko wytwór jej wyobraźni. Po kilku minutach odniosła wrażenie, że dym czuć mocniej, a temperatura w kabinie wzrosła. Odrzuciła koc i postawiła bosc stopy na dywanie, który wydał się jej nienormalnie ciepły. Ciepło najwyraźniej dochodziło spod podłogi. Kelly stanęła na krześle i dotknęła zdobionego miedzią sufitu. Był zimny.

Zaniepokojona włożyła szlafrok i podbiegła do drzwi wiodących do sąsiedniej kabiny, którą zajmował jej ojciec. Doktor Elmore Egan był pogrążony w głębokim śnie, czego dowodziło głośnie chrapanie. Laureat Nagrody Nobla, geniusz mechaniki, podróżował "Emerald Dolphinem", ponieważ statek był wyposażony w opracowane i skonstruowane przez niego supernowoczesne silniki. Doktor sprawdzał, jak sprawują się podczas dziewiczego rejsu. Był tak pochłonięty swoim dziełem, że rzadko wychodził z maszynowni. Od wypłynięcia z Sydney Kelly rzadko widywała ojca. Wczoraj po raz pierwszy zjedli razem kolację. Egan wreszcie nieco się odprężył. Jego wielkie magnetyczne silniki hydrodynamiczne działały bez zarzutu.

Kelly pochyliła się nad łóżkiem i potrząsnęła ojca za ramię.

- Tato, obudź się.

Egan natychmiast oprzytomniał.

- Co się stało? - spytał, wpatrując się w ciemną postać córki. - Zachorowałaś?

- Czuję dym. I podłoga jest gorąca.

- Jesteś pewna? Nie słyszę alarmu.

- Zobacz sam.

Zupełnie już rozbudzony, Egan oparł obie dłonie na dywanie. Uniósł brwi i nabrał nosem powietrza. Po chwili podniósł wzrok na Kelly.

- Ubieraj się. Wychodzimy na pokład.

Opuścili kabiny i ruszyli do windy. Zapach dymu stał się już całkiem wyraźny.

Pod kaplicą w centrum handlowym na pokładzie A załoga przegrywała walkę z żywiołem. Zużyto gaśnice ręczne, a wszystkie automatyczne systemy przeciwpożarowe nadal nie działały. Co gorsza, nie można było podłączyć węży do hydrantów, bo nie udało się zdjąć zabezpieczonych zakrętek. McFerrin wysłał marynarza do maszynowni, żeby przyniósł klucze, ale i to okazało się daremne. Dwóch mężczyzn, ciągnąc z całej siły, nie było w stanie odkręcić zakrętki, jakby przyspawanej do gwintu.

Marynarzy walczących z żywiołem ogarnął strach. Sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej dramatyczna. Kurtyny nie dało się opuścić, nie było więc sposobu, by powstrzymać ogień. McFerrin zadzwonił na mostek.

- Powiedźcie kapitanowi, że tracimy kontrolę. Ogień przedostał się już na wyższy pokład, do kasyna.

- Nie możecie zatrzymać płomieni? - spytał Sheffield.

- Jak? - zirytował się McFerrin. - Nic nie działa. Kończą się gaśnice, nie możemy podłączyć węży, zraszacze nie działają. Czy w maszynowni można ręcznie opuścić kurtyny, pomijając automatykę?

- Nie - odparł Sheffield z paniką w głosie. - Cały program przeciwpożarowy diabli wzięli. Komputery, drzwi ogniotrwałe, zraszacze, wszystko padło.

- Dlaczego nie włączyliście alarmu?

- Nie mogę alarmować pasażerów bez zgody kapitana.

- A gdzie on jest?

- Zszedł na dół, żeby osobiście wszystko sprawdzić. Nie ma go tam?

McFerrin rozejrzał się, ale nie zobaczył Waitkusa.

- Nie.

- Pewnie już wraca na mostek - odparł bez przekonania Sheffield.

- Włącz alarm i kieruj wszystkich do szalup. Niech przygotowują się do opuszczenia statku.

Sheffield był przerażony.

- Mam wydać taki rozkaz tysiącu sześciuset pasażerom? Przesadzasz.

- Nie wiesz, co tu się dzieje! - krzyknął McFerrin. - Włącz alarm, zanim będzie za późno.

- Tylko kapitan może wydać taki rozkaz.

- Na litość boską, człowieku, włącz alarm, by ostrzec ludzi, zanim ogień dotrze do kabin.

Sheffield nie wiedział, co robić. Jeszcze nigdy w czasie osiemnastu lat służby na morzu nie był w tak dramatycznej sytuacji. Nigdy nie chciał zostać kapitanem. Bał się odpowiedzialności. Co ma zrobić?

- Jesteś absolutnie pewien, że sytuacja wymaga tak drastycznych działań?

- Jeśli w ciągu pięciu minut nie uda ci się włączyć systemów przeciwpożarowych, los statku i wszystkich na pokładzie jest przesądzony! - krzyknął McFerrin.

Sheffield wahał się. Myślał tylko o jednym: jego kariera znalazła się w niebezpieczeństwie. Jeśli podejmie niewłaściwą decyzję...

Sekundy mijały.

Jego bierność kosztowała życie ponad stu ludzi.

Marynarze walczący z płomieniami byli przeszkoleni w gaszeniu pożarów jednostek pływających, lecz tym razem niewiele mogli zrobić. Mieli ognioodporne kombinezony i szczelne hełmy, nosili aparaty tlenowe, jednak z każdą chwilą ogarniało ich coraz większe zniechęcenie. Systemy przeciwpożarowe nie działały, sprzęt gaśniczy okazał się niesprawny lub bezużyteczny - właściwie mogli tylko stać i patrzeć na rozprzestrzeniające się piekło. Po piętnastu minutach pokład A stał w płomieniach. Ogarnęły centrum handlowe, długie języki lizały pobliskie stanowisko szalup. Załoga, przygotowująca się do spuszczenia łodzi, rozbiegła się na wszystkie strony, gdy ogień dotarł do łodzi rozmieszczonych wzdłuż obu burt. Nadal nie włączył się alarm.

Pierwszy oficer Sheffield nie dawał sobie rady w nowej sytuacji. Z obawą i niechęcią przejął dowództwo statku, nie przyjmując do wiadomości, że kapitan Waitkus zginął, a wszyscy na pokładzie znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jak wszystkie nowoczesne liniowce, "Emerald Dolphin" był skonstruowany tak, by nie dopuścić do rozprzestrzeniania się pożaru. Fakt, że płomienie tak szybko ogarnęły statek, stanowił zaprzeczenie jednego z podstawowych założeń projektu.

Sheffield marnował cenny czas, wysyłając marynarzy, by szukali kapitana, czekając na ich powrót i na meldunek, że dowódcy nie można odnaleźć. Podszedł do pulpitu z mapami i uważnie przyjrzał się linii kursu, wykreślonej na jednej z nich. Ostatnia pozycja wyznaczona przed czterema minutami przez czwartego oficera na podstawie odczytu z wyświetlacza systemu satelitarnej lokalizacji wskazywała, że najbliższym lądem jest wyspa Tonga, położona ponad dwieście mil na północny wschód. Sheffield wyszedł na boczny podest mostka. Padał deszcz, wiatr przybierał na mocy, coraz większe, teraz już półtorametrowe fale, uderzały w dziób.

Odwrócił się i z przerażeniem zobaczył dym wydostający się ze śródokręcia oraz płomienie, które zaczęły lizać szalupy. Pożar trawił wszystko, co napotkał na drodze. Dlaczego zawiodły systemy kontrolne? "Emerald Dolphin" był jednym z najbezpieczniejszych statków na świecie. Niemożliwe, żeby poszedł na dno. Ogarnięty mroczną wizją Sheffield w końcu uruchomił system alarmowy.

Tymczasem kasyno zmieniło się w piekło. Ogromny żar, którego nie tłumili zraszacze ani sprzęt gaśniczy, topił w ciągu sekund wszystko, co napotykał na swojej drodze. Ogień

wdarł się do teatru i szybko zmienił go w rozpalony piec. Kurtyny wystrzeliły niczym fajerwerki, płomienie zaś ruszyły dalej, pozostawiając za sobą zwęglone pogorzelnisko. Teraz ogień znajdował się już tylko dwa pokłady pod najniżej położonymi kabinami pasażerskimi.

Zabrzmiały syreny i dzwonki - jedyny system ostrzegawczy, który jeszcze działał. Zaspani pasażerowie nie wiedzieli, co się dzieje. Reagowali powoli, zdziwieni alarmem, który zerwał ich z łóżek o czwartej dwadzieścia pięć rano. Z początku zachowywali się spokojnie i bez pośpiechu wkładali jakieś luźne ubrania, a także kamizelki ratunkowe, zgodnie z podaną im instrukcją zachowania podczas próbnych alarmów. Jedyne ci, którzy wyszli na werandy, by sprawdzić, co się dzieje, zdali sobie sprawę z sytuacji.

W feerii świateł ujrzeli kłęby gęstego dymu i języki płomieni, wydobywające się z okien i bulajów na niższych pokładach. Widok był niesamowity, a zarazem przerażający. Dopiero w tym momencie zaczęła rodzić się panika, która wybuchła z pełną mocą, gdy pierwsi pasażerowie dostali się na pokład łodziowy i stanęli naprzeciwko ściany ognia.

Doktor Egan poprowadził córkę do najbliższej windy, którą pojechali na najwyższy pokład, skąd można było widzieć cały statek. Jego najgorsze obawy potwierdziły się, gdy zobaczył płomienie wydostające się ze śródokręcia, siedem pokładów niżej. Ze swojego miejsca widział również ogień trawiący obydwie pokłady, przy których znajdowały się szalupy zamocowane na żurawikach. Na rufie członkowie załogi w pośpiechu rzucali do morza zasobniki z tratwami, które automatycznie otwierały się i napełniały powietrzem. Egan pomyślał, że scena ta przypomina mu skecz z repertuaru Monty Pythona. Załoga najwyraźniej zapomniała, że statek płynie z dużą szybkością i puste tratwy zostają daleko za rufą.

- Zejdź do kawiarni na pokładzie B i czekaj tam - powiedział do Kelly. Miał szarą twarz.

- A ty? - spytała. Miała na sobie tylko bluzkę na ramiączkach i szorty.

- Muszę zabrać dokumenty z kabiny. Idź. Zaraz do ciebie przyjdę.

Windy zacięły się z powodu przeciążenia, więc Kelly i jej ojciec przedarli się na dół schodami, wypełnionymi przerażonymi pasażerami. Ludzie kłębili się we wszystkich korytarzach i windach niczym termity w kopcu atakowane przez mrówkojada. Pasażerowie - na co dzień spokojni i zdyscyplinowani - teraz, ogarnięci paniką, stracili głowę i zachowywali się żałośnie. Niektórzy krążyli jak ślepcy bez określonego celu, inni w osłupieniu przyglądali się szalejącemu żywiołowi. Mężczyźni przeklinali, kobiety krzyczały, sytuacja w szybkim tempie zaczęła przypominać dantejskie piekło.

Załoga bezskutecznie starała się opanować wszechobecny chaos. Gdy zabrakło szalup, ludziom pozostało jedynie skoczyć do morza. Marynarze sprawdzali, czy pasażerowie mają

dobrze zapięte kamizelki ratunkowe, zapewniając wszystkich, że jednostki ratunkowe są już w drodze.

Była to jednak próżna nadzieja. Sparaliżowany niemocą Sheffield wciąż nie nadał sygnału Mayday. Główny radiotelegrafista trzykrotnie przybiegał na mostek, by spytać go, czy ma wezwać pomoc, ale pierwszy oficer wciąż był zupełnie bierny.

Pozostało jeszcze tylko kilka minut. Płomienie syczały już piętnaście metrów od kabiny radiowej.

Kelly Egan przedarła się do kawiarni na pokładzie B, przy rufie. Znajdował się tam tłum zagubionych i przerażonych pasażerów. Nie było oficerów, którzy utrzymaliby spokój. Ludzie zachłystywali się dymem niesionym wiatrem, który omiatał rufę statku, płynącego z prędkością dwudziestu czterech węzłów.

Cudownym zrządzeniem losu większość pasażerów uniknęła śmierci w kabinach. Ludzie opuścili je spokojnie, zanim płomienie odcięły im drogę ucieczki do korytarzy, schodów i wind. Z początku nie traktowali zagrożenia poważnie, lecz ich niepokój wzrósł gwałtownie, gdy okazało się, że droga do szalup jest odcięta. Załoga wykazała ogromną odwagę, kierując wszystkich na pokłady rufowe, gdzie przez jakiś czas pasażerowie byli względnie bezpieczni.

Zgromadziły się tam całe rodziny - ojcowie, matki, dzieci, niektóre w piżamach. Najmłodsi płakali ze strachu, ale innym podobała się akcja ratownicza. Uważali ją za wspaniałą zabawę, do momentu, gdy zobaczyli przerażenie w oczach rodziców. Rozczochrane kobiety w szlafrokach stały obok innych, które odmówiły szybkiej ewakuacji i nałożyły makijaż, eleganckie ubrania, zabrały nawet wieczorowe torebki. Mężczyźni na ogół ubrali się mniej formalnie, kilku miało na sobie bluzy od dresu i bermudy. Tylko jedno młode małżeństwo w strojach kąpielowych było przygotowane do skoku za burtę. Ale wszyscy tak samo bali się śmierci.

Kelly precyzyjnie się do relingu i chwyciła go ze wszystkich sił. Było jeszcze zupełnie ciemno. Patrzyła na pianę, którą tworzyły szybko kręcące się śruby. W światłach pozycyjnych liniowca i w słabej poświacie świtu kilwater widać było na odległość około dwustu metrów. Dalej czarne morze zlewało się z czarnym horyzontem i niebem, wciąż jeszcze usianym gwiazdami. Zastanawiała się, dlaczego statek nadal płynie.

- Spalimy się żywcem! - jęczała histerycznie jakaś kobieta. - Nie chcę umierać w płomieniach! - Zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, wspięła się na reling i wskoczyła do morza. Przerażeni ludzie patrzyli, jak tonie. Przez chwilę widzieli, jak jej głowa wynurzyła się



spod wody, a potem znikła w ciemności.

Kelly zaczęła bać się o ojca. Chciała wrócić do kabiny, by go odnaleźć, ale w tej właśnie chwili pojawił się z brązową, skórzaną teczką w ręku.

- Tato! - zawołała. - Bałam się, że zginąłeś!

- Prawdziwy dom wariatów - wysapał. Miał czerwoną twarz. - Stado była biegające w kółko bez żadnego sensu.

- Co możemy zrobić? - spytała niecierpliwie. - Dokąd mamy iść?

- Do wody - odparł Egan. - To jedyna nadzieja pozostania przy życiu. - Patrzył poważnie w szafirowe, błyszczące w świetle płomieni oczy córki. Nigdy nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo jest podobna do matki. Lana w jej wieku wyglądała identycznie: była równie wysoka, szczupła. Jej figura przypominała idealne proporcje modelek. Długie, proste włosy Kelly, barwy miodu, otaczały twarz o wyrazistych rysach, wysokich kościach policzkowych, pięknie ukształtowanych ustach i nosie, niemal lustrzane odbicie twarzy jej matki. Różnica tkwiła w sprawności fizycznej: Kelly była wysportowana, jej matka delikatna. Razem z ojcem załamali się, gdy Lana przegrała długotrwałą walkę z rakiem piersi. Elmore poczuł straszliwy ucisk w sercu. Zrozumiał, że teraz życie Kelly jest w straszliwym niebezpieczeństwie.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, że jesteśmy w tropikach. Woda jest wystarczająco ciepła.

Objął ją, a potem spojrział w morze przesuwające się pod kadłubem piętnaście metrów poniżej miejsca, gdzie stali.

- Nie skacz, póki statek się nie zatrzyma - powiedział. - Poczekamy do ostatniej chwili i wtedy wyskoczmy. Na pewno ktoś płynie już na ratunek.

Na mostku pierwszy oficer Sheffield chwycił za reling i patrzył na czerwoną poświatę, która mieniając się odbijała się w falach. Całe śródokręcie stało w płomieniach - jężory ognia wydobywały się z bulajów i okien, rozsadzonych przez buchający żar. Słyszał potężny jęk umierającego statku. To wprost niewyobrażalne, że za godzinę "Emerald Dolphin", duma Blue Sas Cruise Lines zmieni się w wypalony kadłub, dryfujący bezwładnie na powierzchni turkusowego morza. Sheffield nie dopuszczał do siebie żadnej myśli o losie dwóch i pół tysiąca ludzi znajdujących się na pokładzie.

Bezmyślnie patrzył w ciemną wodę. Gdyby na horyzoncie ukazały się światła jakichś statków, nie zobaczyłby ich. Na mostek wpadł McFerrin. Miał osmaloną twarz, wypalony mundur, spalone brwi i włosy. Chwycił Sheffielda za ramię i brutalnie odwrócił.

- Statek płynie pełną parą pod wiatr. To podsycza ogień jak kowalski miech. Dlaczego nie zatrzymałeś maszyny?

- To należy do kompetencji kapitana.

- A gdzie jest kapitan?

- Nie wiem - odparł słabym głosem Sheffield. - Wyszedł i nie wrócił.

- Więc na pewno zginął w płomieniach. - McFerrin pojął, że nie porozumie się z wyższym rangą oficerem. Sam chwycił słuchawkę. - McFerrin. Kapitan Waitkus nie żyje. Pożar wymknął się spod kontroli. Zatrzymajcie maszyny i niech wszyscy wyjdą na górę. Nie możecie dostać się na śródkręcie, więc szukajcie drogi na dziób lub rufę. Zrozumiałeś?

- Czy pożar jest naprawdę tak niebezpieczny? - spytał głupio główny mechanik Raymond Garcia.

- Prawdziwe piekło.

- To może od razu pobiegniemy do szalup?

Co za kretynstwo, pomyślał McFerrin. Nikt nie powiadomił załogi maszynowni, że ogień strawił już pół statku.

- Szalupy się spaliły. "Emerald Dolphin" tonie. Uciekajcie, póki można. Zostawcie włączone generatory. Potrzebne nam oświetlenie, żeby opuścić statek i kierować w naszą stronę statki ratunkowe.

Garcia, nie tracąc czasu na rozmowę, wydał rozkaz wyłączenia maszyn. Chwilę później mechanicy opuścili maszynownię i ruszyli przez przedziały bagażowe na dziób statku.

Ostatni wychodził Garcia. Upewniwszy się, że generatory działają bez zarzutu, pobiegł najbliższym korytarzem.

- Kto odpowiedział na sygnał Mayday? - spytał McFerrin.

Pierwszy oficer patrzył tępo przed siebie.

- Mayday?

- Nie nadałeś przez radio pozycji i nie wezwałeś pomocy?

- Tak, musimy wezwać pomoc... - szepnął Sheffield.

McFerrin patrzył na niego ze zgrozą.

- Boże, teraz jest za późno. Płomienie musiały już dotrzeć do kabiny radiowej.

Chwycił telefon. Odpowiedziała mu cisza. Wyczerpany i obolały od oparzeń oparł się ciężko o pulpit sterowy.

- Ponad dwa tysiące ludzi spłonie lub zginie w morzu bez nadziei na ocalenie - wyszeptał. - Musimy się do nich przyłączyć.

Dwanaście mil na południe para opalowych oczu wpatrywała się w niebo jaśniejące na wschodzie, a po chwili w czerwoną poświatę na północy. Mężczyzna zszedł z pomostu do sterówki statku oceanograficznego "Deep Encounter", należącego do NUMA, wziął z pulpitu silną lornetkę i powrócił na stanowisko obserwacyjne.

Był wysoki i dobrze zbudowany, każdy jego ruch wydawał się starannie zaplanowany. Kręcone, czarne włosy na skroniach przyprószyła siwizna. Twarz mężczyzny mówiła, że zna morze na wskroś. Opalona skóra i orle rysy znamionowały człowieka, który uwielbia przebywać pod gołym niebem i spędza tam znacznie więcej czasu niż w oświetlonym jarzeniówkami biurze.

Powietrze tropikalnego poranka było wilgotne i ciepłe. Mężczyzna miał na sobie niebieskie, dżinsowe szorty i hawajską koszulę w kolorowe kwiaty. Na wąskich stopach nosił sandały. Tak wyglądał strój roboczy Dirka Pitta, gdy pracował z ekipą badań podwodnych, szczególnie w obszarze tysiąca mil od równika. Jako dyrektor Wydziału Programów Specjalnych Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych każdego roku wiele miesięcy spędzał na morzu. Obecna wyprawa miała na celu przeprowadzenie badań geologicznych dna w pobliżu Tonga.

Przyglądał się czerwonej łunie przez trzy minuty, po czym wrócił do sterówki i wetknął głowę do kabiny radiowej. Radiotelegrafista z nocnej wachty podniósł zaspany wzrok i powiedział automatycznie:

- Ostatnia satelitarna prognoza pogody zapowiada zbliżające się silne opady, wiatr dochodzący do trzydziestu mil na godzinę oraz trzymetrowe fale.

- Idealne warunki do puszczania latawca - odparł Pitt z uśmiechem. - Odebrałeś jakieś wezwania o pomoc w ciągu ostatniej godziny? - dodał poważnie.

Radiowiec pokręcił głową.

- Rozmawiałem przez chwilę z oficerem z brytyjskiego kontenerowca, ale nie było żadnej informacji o niebezpieczeństwie.

- Chyba jakiś duży statek na północ od nas stoi w płomieniach. Spróbuj nawiązać z nimi kontakt.

Pitt odwrócił się i dotknął ramienia oficera wachtowego, Leo Delgada.

- Leo, kurs na północ i daj całą naprzód. Tam chyba płonie jakiś statek. Obudź

kapitana Burcha i poprosił, żeby przyszedł do sterówki.

Chociaż Pitt był szefem ekspedycji i w hierarchii stał wyżej od Burcha, to jednak kapitan pozostawał dowódcą statku. Kermit Burch zjawił się niemal natychmiast, odziany jedynie w pstre szorty.

- O co chodzi z tym płonącym statkiem? - spytał Pitta, tłumiąc ziewanie.

Przeszli na pokład, Pitt podał mu lornetkę. Burch obejrzał horyzont, wytarł soczewki o szorty i spojrzał jeszcze raz.

- Masz rację. Pali się jak diabli. To chyba pasażer. I to duży.

- Dziwne, że nie nadał Mayday.

- Rzeczywiście. Pewnie ma uszkodzoną radiostację.

- Kazałem Leo zmienić kurs na północny i zwiększyć szybkość. Nie masz mi za złe, że wtargnąłem na twoje terytorium? Chciałem zaoszczędzić parę minut.

Burch uśmiechnął się.

- Sam bym to zrobił. - Podeszedł do telefonu. - Maszynownia, wyciągnijcie Marvina z łóżka. Potrzebna mi cała moc z silników. - Przez chwilę słuchał odpowiedzi. - Dlaczego? Bo płyniemy do pożaru.

Statek zatętnił życiem. Marynarzom i naukowcom przydzielono zadania. Przygotowano do opuszczenia dwie miniaturowe łodzie podwodne. Do dwóch żurawików przymocowano liny - normalnie służące do wyciągania podwodnych kapsuł i sprzętu naukowego - by za ich pomocą ratować ludzi z morza. Wszystkie drabiny, sznury, a także krzeselka do ratowania dzieci i osób starszych ułożono wzdłuż relingów.

Lekarz i jeden z naukowców zorganizowali prowizoryczny szpital i punkt opatrunkowy w mesie. Kucharz wraz z pomocnikami przygotowywali butelki z wodą, kawę i zupę. Wszyscy szykowali ubrania dla rozbitków. Oficerowie wydali kilku członkom załogi polecenie, by dla zachowania równowagi rozlokowywali uratowanych w różnych częściach statku. "Deep Encounter" miał siedemdziesiąt metrów długości i piętnaście szerokości, nie był więc przygotowany do przyjęcia dwóch tysięcy pasażerów. Gdyby nie zostali odpowiednio rozmieszczeni na pokładzie, mógłby się wywrócić do góry stępką.

Maksymalna szybkość jednostki wynosiła tylko szesnaście węzłów, ale główny mechanik, Marvin House, wycisnął więcej z dieslowskich silników o mocy trzech tysięcy koni. Prędkość wzrastała do siedemnastu, osiemnastu, wreszcie do dwudziestu mil na godzinę. Dziób niemal wynurzał się z wody, gdy statek przebijał się przez fale. Nikt nie spodziewał się, że "Deep Encounter" może płynąć tak szybko.

Kapitan Burch - w mundurze - chodził po pokładzie i wydawał setki szczegółowych rozkazów, by jak najlepiej przygotować statek do przyjęcia rozbitków. Poleciał radiotelegrafiście, by skontaktował się z innymi jednostkami, znajdującymi się w pobliżu, przekazał im ogólny obraz sytuacji i poprosił o podanie pozycji oraz przybliżonego czasu przybycia na miejsce katastrofy. W obrębie stu mil znajdowały się tylko dwa statki. Z brytyjskim kontenerowcem "Earl of Wattlesfield" radiooperator rozmawiał już wcześniej. Jego kapitan zareagował natychmiast i płynął pełną parą na ratunek, miał jednak do pokonania jeszcze trzydzieści siedem mil. Drugą jednostką był australijski krążownik rakietowy, który zmienił kurs i zbliżał się do miejsca podanego przez Burcha od południa. Miał przed sobą sześćdziesiąt trzy mile. Zrobiwszy wszystko, co można, Burch zajął miejsce obok Pitta na pomoście. Marynarze, którzy nie mieli przydzielonego zadania, zgromadzili się przy relingach, spoglądając na rozświetlającą niebo czerwoną lunę. Byli coraz bliżej płonącego statku. Gwar rozmów przeszedł w cichy pomruk, gdyż z każdą chwilą ogrom katastrofy budził w patrzących coraz większe przerażenie. Kwadrans później wszyscy stali jak w transie, widząc dramat rozgrywający się na ich oczach. Luksusowy pływający pałac, pełen radosnych, roześmianych ludzi, zamienił się w pogrzebowy stos.

Trzy czwarte olśniewającego statku ogarniały płomienie. Nadbudówka stanowiła gmatwaninę powykręcanych, rozgrzanych do czerwoności blach, która podzieliła całość na dwie części. Niegdyś szmaragdowo-białe ściany były teraz czarne i zwęglone. Powykrzywiane pokładniki i grodzie stanowiły niedającą się opisać masę nadtopionego, poskręcane metalu. Szalupy, a właściwie to, co z nich zostało, wisiały na podporach. Trudno je było nawet rozpoznać.

Widok był potworny, przerastający wyobraźnię najbardziej wyrafinowanego twórcy horrorów.

Przyglądając się "Emerald Dolphinowi", dryfującemu bokiem do wiatru na coraz wyższych falach, oszołomiony Pitt zastanawiał się, czy jego statek, załoga i naukowcy poradzą sobie z ogromem nieszczęścia.

- Boże miłosierny - odezwał się cicho Burch. - Nikt nie uratował się na szalupach.

- Pewnie spaliły się, zanim zdołano je opuścić - odparł ponuro Pitt.

Płomienie z rykiem biły wysoko w niebo, odbijając się w wodzie niczym straszliwe upiory. Statek wyglądał jak pochodnia zanurzona w wodzie, oczekująca, aż jej tragedia zakończy się na dnie oceanu. Naraz z ogłuszającym hukiem zapadły się wewnętrzne pokłady. Każdy, kto stał w odległości dwustu metrów od tego miejsca, poczuł się, jakby nagle otworzono drzwi wielkiego pieca. Było już wystarczająco jasno, by zobaczyć kawałki

zwęglonego poszycia, pływające wokół liniowca na warstwie białoszarego popiołu. W powietrzu unosiły się ogniste chmury płatków palącej się farby i odłamków szklanych włókien. Patrzący myśleli, że w takim piekle nikt nie pozostał przy życiu, ale po chwili ich oczom ukazał się tłum ludzi, zbitych w gromady na pięciu otwartych pokładach rufowych. Na widok "Deep Encounter" zaczęli wskakiwać do morza i płynąć w jego stronę.

Burch skierował lornetkę na wodę wokół rufy.

- Ludzie skaczą z dolnych pokładów jak pingwiny! - zawołał. - Ci wyżej na razie się nie ruszają.

- Nic dziwnego - odparł Pitt. - Pokłady znajdują się na wysokości dziesiątego piętra. Z ich punktu widzenia morze jest potwornie daleko.

Burch wychylił się przez reling.

- Spuszczaj szalupy - wydał rozkaz. - Zbierzcie ludzi, którzy są w wodzie, zanim znikną z oczu.

- Możesz nas wprowadzić pod rufę pasażera?

- Stań burtą przy jego rufie?

- Tak.

- Nie na tyle, żeby mogli skakać na nasz pokład - odpowiedział Burch sceptycznie.

- Im bliżej będą płomienie, tym więcej ludzi wyskoczy do morza. Setki zginą, zanim ich powyberamy. Jeśli podejmiemy do rufy, można będzie rzucić liny. Pasażerowie zsuną się na nasz pokład.

Burch popatrzył dziwnie na Pitta.

- Przy takiej fali rozbijemy się o olbrzyma. Popękają nam płyty kadłubowe, a wtedy zatoniemy.

- Lepiej spróbować i nawet zatonać, niż zrezygnować z ratowania ludzi - rzekł Pitt sentencjonalnie. - Przyjmuję odpowiedzialność za statek.

- Masz rację - zgodził się Burch. Sam stanął przy kole sterowym i przejął kontrolę nad maszynami, delikatnie przysuwając burtę statku do potężnej rufy "Emerald Dolphina".

Gdy pasażerowie schronili się przed ogniem na pokładach rufowych, panika ustąpiła miejsca zwykłemu strachowi. Oficerowie i załoga, zwłaszcza kobiety, krążyli wśród tłumów, uspokajając przerażonych i pocieszając dzieci. Do chwili gdy na horyzoncie pojawił się "Deep Encounter" większość była zdecydowana skakać do morza, uciekając przed śmiercią w płomieniach.

Stracili już nadzieję, więc widok turkusowego statku badawczego, który ukazał się w

świetle nowego dnia, był dla nich prawdziwym cudem. Ponad dwa tysiące ludzi zebranych na pokładach rufowych zaczęło radośnie krzyżeć i histerycznie machać rękami. Sądzi, że ratunek jest blisko, okazało się to jednak zbyt optymistyczną oceną. Oficerowie na "Emerald Dolphinie" szybko zrozumieli, iż stateczek jest zbyt mały, by przyjąć na pokład nawet połowę rozbitków.

Nie rozumiejąc intencji Pitta i Burcha, drugi oficer McFerrin zbiegł z mostka na rufę z megafonem w ręku, by uspokoić pasażerów. Po chwili wychylił się przez reling i zawołał:

- Nie podchodźcie bliżej, w wodzie są ludzie!

W masie pasażerów stłoczonych na rufie liniowca Pitt nie dostrzegł, kto do niego woła. Chwycił swój megafon.

- Zrozumiałem. Wybiorą ich nasze szalupy. Uwaga, zamierzamy do was przycumować. Przygotujcie się do przyjęcia lin.

McFerrin zdumiał się. Nie mógł uwierzyć, że kapitan i załoga "Deep Encounter" chcą ryzykować życie, by podjąć akcję ratunkową.

- Ilu ludzi możecie wziąć na pokład? - zawołał.

- A ilu macie? - odkrzyknął Pitt.

- Ponad dwa tysiące. Może dwa i pół.

- Dwa tysiące - jęknął Burch. - Pod takim ciężarem pójdziemy na dno jak kamień.

Pitt zobaczył wreszcie, z kim rozmawia.

- Inni płyną już na ratunek! - krzyknął. - Jeśli trzeba, przyjmujemy wszystkich. Zrzućcie liny, żeby pasażerowie mogli zjechać na nasz pokład.

Burch przesuwiał dźwignie. Statek powoli płynął do przodu. Potem kapitan uruchomił dziobowe pędniki sterujące, dzięki którym przysuwał się centymetr po centymetrze do liniowca. Ludzie na pokładzie ze strachem zadzierali głowy, patrząc na ogromną rufę. Rozległ się odgłos metalu trącego o metal. Pół minuty później oba statki mocno połączono linami.

Ze statku badawczego podano cumy. Załoga liniowca zrzuciła liny, których końce chwycili naukowcy, by przywiązać je do stałych elementów pokładu. Gdy je umocowano, Pitt zawołał, by zaczęto opuszczać pasażerów.

- Najpierw rodziny z dziećmi! - krzyknął McFerrin przez megafon. Starą tradycję, by najpierw ratować kobiety i dzieci, zastąpiono koncepcją ocalenia rodzin. Po zatonięciu "Titanica", kiedy większość mężczyzn poszła na dno razem ze statkiem, pozostawiając wdowy z małymi dziećmi, stwierdzono, że rodziny powinny żyć i umierać w całości. Z paroma wyjątkami, młodzi i starsi samotni pasażerowie odważnie wycofali się, obserwując, jak marynarze opuszczają na linach mężów, ich żony i dzieci. Znajdowali bezpieczne

schronienie na pokładzie roboczym "Deep Encounter", między dwiema łodziami podwodnymi, robotami do badań na dużych głębokościach i sprzętem hydrograficznym. W następnej kolejności ratowano starców, których wręcz zmuszano do ewakuacji - nie dlatego, że się bali; chcieli, by najpierw zostali ocaleni młodzi, którzy mają przed sobą całe życie.

Dziwne, ale dzieci spuszczone na linach nie bały się. Oficer hotelowy, a także członkowie zespołu muzycznego i trupy teatralnej zaczęli grać i śpiewać piosenki z różnych musicali. Początkowo niektórzy pasażerowie nucili razem z nimi; ewakuacja postępowała sprawnie i przy burtach nie tworzyły się zatory. Po pewnym czasie jednak płomienie podeszły na tyle, że buchający żar i dym utrudniały oddychanie. Ludzie znów wpadli w panikę. Do relingów ruszyli ci, którzy zdecydowali się szukać ocalenia w wodzie, nie czekając na swoją kolejkę do zbawczych lin. Do morza skakali głównie młodzi, stojący na niższych pokładach. Spadali jak deszcz, często uderzając w tych, którzy już byli w wodzie. Inni trafiali w pokład "Deep Encounter", raniąc się poważnie lub ginąc na miejscu. Jeszcze inni spadali do morza między statkami, gdzie czekała ich straszna śmierć - byli miażdżeni przez stykające się kadłuby, które pchała ku sobie siła morskich fal.

Załoga "Emerald Dolphina" starała się pokazać pasażerom, jak powinni skakać. Trzymanie rąk nad głową w momencie wejścia w wodę powoduje zerwanie kamizelki ratunkowej, a wtedy rozbitek zdany jest już tylko na siłę własnych mięśni. Ci, którzy nie chwycili za kołnierz kamizelki i nie pociągnęli go do dołu w chwili uderzenia w wodę, ryzykowali złamanie karku.

Toteż wkrótce wokół obu statków unosiły się martwe ciała pasażerów, pływające pośród skrawków zwęglonego poszycia.

Kelly bała się. Mały statek badawczy był tak blisko, a zarazem wydawał się taki odległy. Przed nimi w kolejce do jednej z lin ratunkowych stało jeszcze tylko dziesięć osób. Doktor Egan był zdecydowany, by mimo żaru i dymu czekać z córką na pokładzie, aż nadejdzie ich kolej, jednak napór duszącego się tłumu rzucił go na reling. Nagle zza pleców innych wyłonił się potężny mężczyzna o rudych włosach i wąsach; sięgały aż na policzki i łączyły się z bokobrodami. Chwycił teczkę Egana i próbował mu ją wyrwać z rąk. Po chwilowym zaskoczeniu, Egan z całych sił przytrzymał neseser.

Przeżrana Kelly obserwowała szamotaninę. Jakiś czarnoskóry oficer w nieskazitelnym mundurze stojący obok, obojętnie przyglądał się walce. Miał surową twarz o mocno wyrzeźbionych rysach.

- Zrób coś! - krzyknęła Kelly. - Nie stój tak! Pomóż mojemu ojcu!

Ku jej zaskoczeniu oficer nie tylko zignorował prośbę, ale przyłączył się do



napastnika, usiłującego wyrwać teczkę.

Pod ciosami obu mężczyzn Egan potknął się i upadł na reling. Impet uderzenia sprawił, że przekoziółkował przez balustradę i wyleciał za burtę głową w dół. Zaskoczony rozwojem wydarzeń Murzyn i jego rudowłosy kompan zamarli, po czym zniknęli w tłumie pasażerów. Kelly z okrzykiem przypadła do relingu. Ojciec właśnie z pluskiem wpadł do morza.

Wstrzymała oddech. Po dwudziestu sekundach, które wydały się jej wiecznością, głowa Egana pojawiła się na powierzchni. W momencie uderzenia w wodę zgubił kamizelkę ratunkową. Kelly pojęła, że ojciec stracił przytomność. Głowa kołysała się na wszystkie strony.

Niespodziewanie poczuła na szyi czyjeś dłonie, zaciskające się z mocą. Wierzgnęła nogą do tyłu, starając się bezskutecznie oderwać ręce napastnika od szyi. Na szczęście udało się jej trafić w krocze. Atakujący jęknął z bólu i rozluźnił morderczy chwyt. Kelly odwróciła się i zobaczyła przed sobą czarnoskórego oficera.

W tej chwili pojawił się rudowłosy, odsunął Murzyna i rzucił się na Kelly. Ostatnim wysiłkiem chwyciła za kołnierz kamizelki, przeskoczyła reling i runęła w otchłań.

Widziała przed sobą jedynie zamazany obraz przesuwającego się kadłuba statku. Po chwili, która wydawała się krótka jak mgnienie oka, wpadła do wody. Siła uderzenia wycisnęła z jej płuc powietrze, słona woda wdarła się do nosa. Zmusiła się, by nie otworzyć ust i nie odetchnąć pełną piersią.

Wbiła się w wodę pośród tysięcy bąbelków. Kiedy pęd zwolnił, spojrzała do góry: powierzchnia morza błyszczała w promieniach reflektorów obydwu statków. Wspomagana przez kamizelkę szybko wypłynęła na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze. Rozejrzała się dokoła, szukając wzrokiem ojca. Zobaczyła go około dziesięciu metrów od osmalonego kadłuba liniowca.

I wtedy zakryła go duża fala. Kelly gwałtownie podpłynęła do miejsca, gdzie zniknął. Z grzbietu fali ujrzała go ponownie. Był sześć metrów od niej. Dotarła do niego, objęła ramieniem i chwyciwszy za włosy, podciągnęła mu do góry głowę.

- Tato! - zawołała.

Zamrugał oczami i spojrzał na nią. Na jego twarzy malował się grymas bólu.

- Ratuj się - szepnął z trudem. - Ja nie dam rady.

- Trzymaj się, tato. Zaraz wezmą nas na szalupę.

Podał córce brązową teczkę.

- Kiedy wpadłem do wody, uderzyłem się. Musiałem złamać kręgosłup. Jestem

sparalizowany, nie mogę płynąć.

Obok Kelly przepłynęło twarzą w dół czyjeś ciało. Z trudem powstrzymała mdłości, odpychając trupa.

- Pomogę ci, tato. Nie puszczę cię. Neseser może nam posłużyć za koło ratunkowe.

- Weź - powiedział cicho, wpychając jej teczkę. - Pilnuj tego, póki nie nadejdzie odpowiednia chwila.

- Nie rozumiem.

- Dowiesz się... - wykrztusił z trudem. Nagle skrzywił się w agonii i opadł bezwładnie.

Dopiero po chwili zrozumiała, że ojciec umiera na jej oczach. Egan wiedział, że to koniec, ale pogodził się z losem. Najbardziej żałował nie tego, że traci córkę, która na pewno się uratuje, ale tego, że nigdy się nie dowie, czy jego teoria okaże się realna. Uśmiechał się słabo, patrząc w niebieskie oczy Kelly.

- Twoja matka na mnie czeka - wyszeptał.

Rozpaczliwie rozejrzała się za szalupą. Najbliższa była odległa o niecałe sześćdziesiąt metrów. Puściła ojca, przepłynęła kilka metrów i machając rękami krzyknęła.

- Tutaj! Płyńcie tutaj!

Jakaś kobieta, osłabiona dymem i naporem fal, zobaczyła ją i wskazała palcem jednemu z marynarzy, lecz oni byli zbyt pochłonięci ratowaniem ludzi. Kelly obróciła się na plecy i wróciła do ojca. Nigdzie go jednak nie było. Na wodzie unosił się jedynie skórzany nesaser.

Egan puścił teczkę i poszedł pod wodę. Chwyciła ją i zawołała ojca, ale w tym momencie jakiś chłopak, skaczący z górnego pokładu, wpadł do wody tuż obok niej, uderzając ją kolaniem w tył głowy. Kelly ogarnęła nieskończona ciemność.

Z początku rozbitkowie napływali na pokład "Deep Encounter" wartkim strumieniem. Wkrótce zamienił się on w ogromną falę ludzi, która całkowicie wchłonęła załogę i naukowców. Było ich za mało, by podjąć sytuacji. Pięćdziesięciu jeden mężczyzn i osiem kobiet nie dawało sobie rady.

Mimo wstrząsu wywołanego widokiem martwych i umierających w wodzie ludzi, nie ustawiali w wysiłkach, by pomóc rozbitkom. Kilku z nich, nie zważając na ryzyko, przewięzało się linami w pasie i skoczyło do spienionej wody, by chwycić po dwoje nieszczęśników naraz. Pozostali na statku koledzy wciągali całą trójkę na pokład.

Marynarze ze statku badawczego, którzy znajdowali się w szalupach, gorączkowo wylawiali z wody kolejnych rozbitków, rzucających się z liniowca w morskie odmęty. Ludzie pływali wokół rufy wołając o ratunek, wyciągając ręce ku szalupom, jakby w obawie, że mogą zostać pominięci.

Załoga na pokładzie opuszczała na żurawikach tratwy i siatki, gdzie rozbitkowie mogli przeczekać do chwili, aż zostaną wciągnięci na górę. Za burtę wyrzucano nawet przywiązane do relingów szlauchy i drabinki sznurowe, po których ludzie mogli wspinać się na pokład. Ratownicy nie ustawiali w wysiłkach, by ocalić ofiary, jednak przerażała ich liczba rozbitków wciąż jeszcze znajdujących się w wodzie. Później z bólem i żalem wspominali tych, co utonęli, zanim zdołano ich wyciągnąć.

Pasażerami, którzy znaleźli się na pokładzie "Deep Encounter", zajmowały się kobiety z grupy naukowców: pocieszały ich, opatrywały poparzonych i rannych. Wiele osób oślepiły dym i opary - tych trzeba było odprowadzić do prowizorycznego szpitala i ambulatorium, urządzonych w mesie. Żaden z naukowców nie został przeszkolony w udzielaniu pomocy ofiarom zatrucia czadem, lecz uczyli się szybko. Nigdy nie będzie wiadomo, ile istnień ludzkich zostało ocalonych dzięki ich wysiłkom.

Zdrowych pasażerów kierowano do kabin i przedziałów pod pokładem. Rozmieszczano ich równomiernie na całym statku, by nie naruszyć jego stabilności. Zorganizowano też małe centrum informacyjne, gdzie zapisywano nazwiska uratowanych, by ułatwić im odnalezienie bliskich lub przyjaciół, którzy mogli się zgubić w chaosie.

Przez pierwsze pół godziny wylowiono z wody na szalupy ponad pięćset osób. Dwustu rozbitków własnymi siłami dotarło do tratw, skąd wciągnięto ich na pokład

specjalnymi wyciągami. Ratownicy koncentrowali się na żywych. Gdy na szalupie okazywało się, że wyłowiony człowiek nie żyje, zsuwano go z powrotem do morza, by zrobić miejsce innym, którzy mieli szansę przeżyć.

Szalupy zbierały dwa razy więcej ludzi, niż zezwalały przepisy. Podpływały pod rufę "Deep Encounter", gdzie wciągano je na górę dużym żurawiem towarowym. Pasażerowie mogli więc zejść z łodzi na pokład bez potrzeby przechodzenia nad relingiem statku, rannych natychmiast kładziono na noszach i niesiono do ambulatorium w mesie. System - wymyślony przez Pitta - zdał egzamin: puste szalupy wracały na wodę dwa razy szybciej, niż gdyby wyczerpani rozbitkowie musieli być pojedynczo przenoszeni nad relingiem.

Burch nie śledził akcji ratunkowej, skupiony na tym, by kadłub jego statku nie rozpadł się w zetknięciu z ogromną rufą liniowca. Odpowiedzialność za to spoczywała wyłącznie na nim i choć dałby sobie uciąć rękę, żeby włączyć system dynamicznego pozycjonowania, wiedział, że to niemożliwe, skoro obie jednostki dryfowały w silnym wietrze.

Patrzył na wzrastającą wysokość fal, bijących w sterburtę, i delikatnie manewrował statkiem, by zapobiec jego uderzeniu w kadłub "Emerald Dolphina". Nie zawsze skutecznie. Czasami płyty kadłuba trzeszczały i wyginały się, przyprawiając go o szybsze bicie serca. Nie musiał być prorokiem, by wiedzieć, że przez powstałe szczeliny do wnętrza zaczyna wdzierać się woda. Obok niego Leo Delgado przeliczał siłę i współczynniki przechyłu bocznego, gdy na pokład wchodziła jak niekończąca się fala przyływu rozbitkowie. Znaki na burcie, wskazujące maksymalne zanurzenie, znajdowały się już prawie pół metra pod wodą.

Pitt wziął na siebie zadanie kierowania całą akcją. Załodze i naukowcom z "Deep Encounter", gorączkowo ratującym życie ponad dwu tysiącom ludzi, wydawało się, że jest wszędzie: wydawał polecenia przez radiotelefon, wyciągał rozbitków z wody, kierował szalupy do tych, których fale odsunęły na znaczną odległość, pomagał w obsłudze żurawi wciągających łodzi na pokład. Przekazywał też ocalonych pasażerów naukowcom, by sprowadzili ich lub znieśli pod pokład, chwycił w powietrzu dzieci, których zmęczone ręczki nie wytrzymały wysiłku i puszczały liny ratownicze trzy metry nad pokładem. Z rosnącą troską obserwował przeciążenie statku, a przecież na ratunek czekało jeszcze tysiąc osób.

Pobiegł do sterówki, by dowiedzieć się od Delgada, jaka jest sytuacja.

- Co z nami? - spytał.

Delgado z niewróżącą nic dobrego miną podniósł głowę znad komputera.

- Kiepsko. Jeśli zanurzymy się o metr głębiej, pójdziemy na dno.

- Mamy jeszcze tysiąc rozbitków.

- Przy takim stanie morza woda zacznie przelewać się przez burte, jeśli weźmiemy na

pokład kolejnych pięciuset ludzi. Powiedz swoim naukowcom, żeby kierowali więcej osób na dziób. Mamy zbyt obciążoną rufę.

Rozważając złe wiadomości, Pitt patrzył na ludzi, którzy opuszczali się na linach z płonącego statku. Z szalupy schodziło na pokład następnych sześćdziesięciu rozbitków. Nie ma mowy, nie skaże na śmierć setek ludzi, odmawiając im wstępu na statek. W jego głowie zrodził się pomysł. Szybko zbiegł na pokład roboczy i zgromadził kilku marynarzy.

- Musimy zmniejszyć ciężar statku - powiedział. - Odetnijcie kotwice z łańcuchami i wyrzucie je za burtę. Spuście na morze łodzie podwodne, niech dryfują. Zabierzemy je później. Każdy aparat powyżej pięciu kilo trzeba wyrzucić do wody.

Opuszczono łodzie podwodne, które powoli odpłynęły od statku, i zdemontowano duży wysięgnik na rufie, służący do obsługi sprzętu oceanograficznego. Gdy wyrzucono go za burtę, poszedł prosto na dno. Chwilę później jego śladem poleciały wciągarki wraz z kilometrami nawiniętej na nie stalowej liny. Pitt z radością zarejestrował, że rufa uniosła się o piętnaście centymetrów.

Miał w zanadru jeszcze jeden sposób.

- Jesteśmy mocno przeciążeni! - zawołał do marynarzy na szalupach. - Gdy zabierzecie ostatnią grupę rozbitków, nie wciągajcie ich na pokład. Zostańcie w wodzie.

Marynarze gestami potwierdzili, że zrozumieli polecenie. Łodzie zawróciły. McFerrin krzychał coś do Pitta z rufy "Emerald Dolphina". Ze swojego punktu obserwacyjnego widział, że mimo wyrzucenia za burtę części wyposażenia, statek niebezpiecznie się zanurzył.

- Ilu ludzi możecie jeszcze przyjąć?

- A ilu was zostało?

- Około czterystu. Niemal wyłącznie członkowie załogi, pasażerowie już uciekli.

- Dawajcie ich. Czy to wszyscy?

- Nie. Reszta załogi schroniła się na dziobie.

- Ilu?

- Około czterystu pięćdziesięciu. - McFerrin podziwiał sprawność, z jaką rosły mężczyzna z "Deep Encounter" dowodził akcją ratowniczą. - Jak się pan nazywa?

- Dirk Pitt, dyrektor Wydziału Programów Specjalnych Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. A pan?

- Drugi oficer Charles McFerrin.

- Gdzie wasz kapitan?

- Kapitan Waitkus zaginął. Prawdopodobnie nie żyje.

Pitt widział oparzenia na ciele McFerrina.

- Charlie, schodź szybko na dół. Mam dla ciebie butelkę tequili.

- Wolę szkocką.

- Należę jedną, specjalnie dla ciebie.

Wyciągnął do góry rękę, by chwycić opuszczaną na linie dziewczynkę. Przekazał ją w ramiona Elsie Graham, jednej z trojga biologów morskich. Po dziewczynce na pokładzie znaleźli się jej rodzice - wszystkich sprowadzono na dół. Po chwili Pitt wyciągał z łodzi rozbitków, zbyt słabych, by o własnych siłach wysiąść z szalupy.

- Opłynięcie liniowiec z bakburty - polecił sternikowi. - Pozbierajcie tych, których zniosły fale i prąd.

Zmęczony marynarz spojrzał na niego z kpiącym uśmiechem.

- Brakuje mi jednej naszywki.

- Później dopilnuję, żeby zjawiała się na pagonie. A teraz ruszaj, zanim...

Gdzieś z dołu dobiegł rozdzierający krzyk dziecka. Spojrzał przez reling w tamtą stronę: mała, najwyżej ośmioletnia dziewczynka wisiała na linie przerzuconej za burtę. Jakimś sposobem spadła z pokładu "Deep Encounter". W zamieszaniu nikt tego nie zauważył. Pitt przewiesił się przez reling i odczekawszy, aż mała znajdzie się na wierzchołku fali, chwycił ją oburącz za nadgarstki. Po chwili stała obok niego na pokładzie.

- Miło ci się pływało? - spytał wesoło.

- Za duża fala - odparło dziecko, przecierając opuchnięte od dymu oczy.

- Twoi rodzice zeszli razem z tobą?

Kiwnęła głową.

- Razem siostrą i dwoma braciszkami. Wpadłam do wody i nikt mnie nie zobaczył.

- Nie gniewaj się na nich - powiedział miękko, podając ją Misty Graham. - Na pewno martwią się o ciebie.

Misty z uśmiechem wzięła dziecko za rękę.

- Chodź, poszukamy twoich rodziców.

Pitt kątem oka zauważył błysk jasnobrązowych włosów, które rozłożyście unosiły się na zielononiebieskiej wodzie, jak koronka na satynowym prześcieradle. Twarzy nie było widać, lecz ręka poruszała się: może kobieta próbowała płynąć, a może bezwładne ramie kołysały morskie fale? Przebiegł dwadzieścia metrów, by znaleźć dogodniejsze miejsce. Miał nadzieję, że kobieta żyje. Jej głowa unosiła się nad powierzchnią wody. Nawet z tej odległości zobaczył duże, piękne, niebieskie oczy, w których malował się strach i skrajne wyczerpanie.

- Podnieście ją! - krzyknął do sternika szalupy, wskazując dziewczynę palcem. Łódź była już w połowie poza rufą "Emerald Dolphina" i marynarz nie usłyszał wołania. - Płyn do mnie! - krzyknął Pitt do kobiety, ale ona patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

Nie czekając dłużej, wspiął się na reling i skoczył w morze. Nie wynurzył się od razu, lecz płynął pod wodą, mocno pracując nogami, jak olimpijski pływak po skoku basenu. Gdy ukazał się na powierzchni, z trudem dojrzał kobietę, której głowa zanurzyła się pod wodę. Podpłynął bliżej i za włosy uniósł jej głowę nad powierzchnię. Wyglądała jak zmokła kura, lecz spostrzegł, że jest atrakcyjna, młoda i - co zauważył dopiero teraz - że trzyma w ręku jakąś teczkę, pełną wody, stanowiącą dodatkowy balast wciągający ją w głąb.

- Rzuć to, głupia! - powiedział ostro.

- Nie mogę! - stwierdziła ze zdumiewającą determinacją. - I nie zrobię tego!

Najwyraźniej nie była bliska śmierci, więc nie nalegał dłużej, ale chwycił ją za pasek i zaczął holować w stronę "Deep Encounter". Gdy dotarł do burty, marynarze chwycili kobietę i wciągnęli ją na pokład. Pitt wspiął się sam po sznurowej drabince. Jedna z kobiet z ekipy naukowej okryła uratowaną kocem i chciała sprowadzić ją pod pokład. Pitt zatrzymał ją.

Popatrzył w błękitne oczy i spytał:

- Co aż tak ważnego jest w tej tezcze, że niemal zginęłaś, żeby ją uratować?

Spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

- To dzieło życia mojego ojca.

Pitt zerknął na neseser z szacunkiem.

- Ojciec się uratował?

Wolno pokręciła głową, patrząc ze smutkiem na pokrytą popiołem wodę, w której unosiły się martwe ciała.

- Został tam - szepnęła.

Potem nagle odwróciła się i zniknęła w korytarzu.

Szalupy uratowały tylu ludzi, ilu udało się odnaleźć w morzu. Rannych i potrzebujących pomocy medycznej odstawiono na statek badawczy, potem łodzie cofnęły się nieco, unosząc bezpieczną liczbę pasażerów, by w ten sposób ulżyć i tak już przeciążonemu "Deep Encounterowi".

Pitt połączył się z załogami szalup przez radio.

- Idziemy teraz pod dziób liniowca, by poszukać innych rozbitków. Płynięcie naszym kilwaterem.

Gdy ostatni z uratowanych znalazł się na pokładzie, statek przypominał mrowisko. Rozbitkowie tłoczyli się w maszynowni, magazynach sprzętu naukowego, laboratoriach i pomieszczeniach dla załogi. Siedzieli lub leżeli w salonie, kuchni, mesie i kabinach. Wszystkie korytarze były pełne ludzi. Pięć rodzin zajmowało kabinę kapitana Burcha. W sterówce, kabinie nawigacyjnej i radiowej także panował nieopisany tłok. Główny pokład roboczy o powierzchni ponad trzystu metrów kwadratowych wyglądał jak wielkowiejska ulica w godzinie szczytu.

“Deep Encounter” osiadł tak głęboko, że woda przelewała się na pokład roboczy, nawet gdy fala miała tylko metr. Załoga “Emerald Dolphina” zachowywała się w sposób, który przynosił jej zaszczyt. Dopiero gdy ostatni pasażer z rufy został ewakuowany, marynarze zaczęli zsuwać się po linach na pokład statku badawczego. Wielu z nich było poparzonych, gdyż czekali, aż wszyscy pasażerowie znajdą się w bezpiecznym miejscu.

Pierwsi zeszli ci, którzy mogli wesprzeć naukowców, niosąc pomoc rozbitkom na zatłoczonym statku badawczym. Kilka osób spośród najciężej oparzonych i rannych zmarło wśród modlitw i płaczu najbliższych. Ciała zsunięto za burtę, gdyż miejsce dla żywych było zbyt cenne.

Pitt odesłał oficerów do sterówki, by zgłosili się do kapitana Burcha. Wszyscy zaoferowali pomoc, którą z wdzięcznością przyjął.

Ostatni zszedł McFerrin.

Pitt chwycił go za ramię, by wyczerpany i poparzony mężczyzna nie przewrócił się na pokład. Palce McFerrina przecinała głęboka, krwawiąca rana.

- Szkoda, że nie mogę uścisnąć dłoni dzielnego człowieka.

McFerrin spojrział na swoje oparzone ręce, jakby należały do kogoś obcego.

- Tak, to pewnie trochę potrwa. - Spochmurniał. - Nie wiem, ilu z tych biedaków, którzy przedostali się na dziób, pozostało przy życiu.

- Zaraz się dowiemy - odparł Pitt.

McFerrin zobaczył, jak fale przelewają się przez pokład.

- Sytuacja jest chyba bardzo niebezpieczna - powiedział cicho.

- Robimy, co można - mruknął Pitt z ponurym uśmiechem.

Odesłał McFerrina do szpitala.

- To już ostatni rozbitek z rufy, kapitanie. Reszta przeszła na dziób! - zawołał do Burcha.

Burch kiwnął głową i zamknął konsolę pędników, potem wszedł do sterówki.

- Ster jest twój - powiedział do sternika. - Poprowadź nas wolniutko na dziób. Uważaj,



żeby nie zwiększyć uszkodzeń kadłuba.

- Będę się z nim obchodził jak z jajkiem - zapewnił młody marynarz.

Burch odczuł ulgę, gdy statek odsunął się od liniowca. Wysłał Leo Delgada pod pokład, by sprawdził wygięte płyty i przecieki w kadłubie. Czekaając na meldunek, zadzwonił do głównego mechanika, Marana House'a.

- Marvin, jak sytuacja?

Mechanik stał w przejściu między silnikami i obserwował strużkę wody, tworzącą pod nimi kałużę.

- Musiało nastąpić poważne uszkodzenie kadłuba gdzieś z przodu, chyba w jednym z magazynów. Pompy pracują pełną mocą.

- Nadażacie z pompowaniem?

- Kazałem podłączyć pompy pomocnicze i węże. - House urwał i rozejrzał się po swojej maszynowni, zapchanej do granic możliwości rozbitkami. - A jak na górze? - spytał.

- Tłumy jak na Times Square w noc sylwestrową - odparł Burch.

Wrócił Delgado. Widząc jego ponurą minę, Burch domyślił się, że meldunek nie będzie optymistyczny.

- Kilka płyt poszycia uległo zgnieceniu i wykrzywieniu - Delgado sapał, zmęczony biegiem z dolnego pokładu. - Woda wdziera się do środka w alarmującym tempie. Pompy jeszcze nadażają, ale nie dadzą rady, jeśli fale osiągną ponad dwa metry. Wtedy już będzie po nas.

- Szef maszynowni włączył pompy pomocnicze, by wyprzedzić napływ wody.

- Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Zbierz ekipę remontową i spróbujcie uszczelnić kadłub. Wzmocnijcie, co tylko się da. Zgłaszajcie mi natychmiast każdą zmianę w przecieku, na gorsze czy na lepsze.

- Tak jest.

Burch spoglądał niespokojnie na ciężkie, szare chmury, zbierające się na południowej stronie nieba. Do sterówki wrócił Pitt.

- Jaka prognoza pogody? - spytał.

Burch wskazał ręką czterometrową kopułę, pod którą znajdował się system radarowy.

- Nie potrzebuję dokładnych danych o dynamice sztormu, uaktualnianych co minutę przez komputer, żeby wiedzieć, że w ciągu dwóch godzin nadciągnie burza.

Pitt patrzył na chmury, odległe o niecałe dziesięć mil. Nastął już dzień, lecz poranne słońce skryło się za nimi.

- Może przejdzie bokiem.

Burch polizał palec wskazujący, podniósł go do góry i pokręcił głową.

- Ten komputer mówi co innego. Nie utrzymamy się na powierzchni - dodał złowroźnie.

Otarł czoło ramieniem.

- Jeśli przyjmiemy, że średnia waga jednego rozbitka wynosi sześćdziesiąt kilogramów, to mamy na pokładzie dodatkowe sto dwadzieścia ton, nie licząc naszej załogi i naukowców. Jedyna nadzieja, że pozostaniemy na powierzchni do czasu, aż większość pasażerów przejmie od nas inny statek.

- Nie ma mowy, żebyśmy dopłynęli do jakiegoś portu - dodał. - Pójdziemy na dno, zanim pokonamy milę.

Pitt wszedł do kabiny radiowej.

- Jakież wiadomości od Australijczyków i Francuzów?

- Według wskazań radaru, "Earl of Wattlesfield" znajduje się dziesięć mil od nas. Australijska fregata idzie z pełną szybkością, ale musi jeszcze przepłynąć trzydzieści mil.

- Powiedz, żeby się pośpieszyli - rzekł ponuro Pitt. - Jeśli sztorm ich wyprzedzi, mogą nie znaleźć tu nikogo.

“Emerald Dolphin” rozpadał się: grodzie uderzały o siebie, pokłady opadały jeden na drugi. Po niepełnych dwóch godzinach od wybuchu pożaru wspaniałe wyposażenie statku pochłonęły płomienie. Całą nadbudowę trawił ogień. Wyszukany wystrój, eleganckie centrum handlowe, kolekcja dzieł sztuki warta siedemdziesiąt osiem milionów dolarów, luksusowe kasyno, restauracje i salony, a także kabiny i bogato wyposażone pomieszczenia służące rozrywce i rekreacji - wszystko zmieniło się w popiół.

Stłoczeni na otwartym pokładzie “Deep Encounter” pasażerowie i obie załogi, przerwali zajęcia i patrzyli na piekło z mieszanymi uczuciami żalu i fascynacji, gdy kapitan Burch opływał rufę, kierując się w stronę dziobu.

To nie była już kula szalejącego ognia. Statek po prostu topił się, płomienie, które strawiły wszystkie palne materiały i przedmioty, zaczęły powoli przygasać. Szalupy ze szklanego włókna zwisały wzdłuż burt, groteskowo powykręcane i odkształcone. Wielkie koliste pokłady opadły na kadłub niczym skrzydła zdechłego sępa. Wielki salon widokowy oraz mostek zapadły się i znikły, jakby połknęła je ogromna otchłań. Stopione szkło krzepło w wodzie, tworząc nienaturalne kształty.

Przeżarta ogniem kolista nadbudowa runęła w kłębach gęstego dymu. Nagle jasne płomienie, powstałe w wyniku wewnętrznych eksplozji, wydobyły się przez rozdarty kadłub. “Emerald Dolphin” zatrzęsł się jak wielki, boleśnie dźgnięty potwór, nie chciał jednak umrzeć i zniknąć pod wodą. Unosił się na powierzchni coraz bardziej szarego i wzburzonego morza. Wkrótce ze statku pozostanie jedynie wypalony kadłub. Już nigdy na jego pokładach nie rozlegną się odgłosy kroków, rozmowy i śmiech rozbawionych pasażerów. Nie będzie już wpływać majestatycznie do egzotycznych portów jako najpiękniejszy statek świata. Jeśli kadłub utrzyma się na powierzchni po wygaśnięciu ognia, a płyty poszycia nie powyginają się od żaru, zostanie odholowany do stoczni i pocięty na złom.

Pitt z głębokim smutkiem patrzył na wspaniałą liniowiec, z którego pozostały tylko szczątki. Nawet z odległości czuł na skórze żar płomieni. Dlaczego piękne statki muszą umierać, choć inne żeglują po morzach świata przez trzydzieści lat bez żadnego wypadku? “Titanic” i “Emerald Dolphin” kończyły swój żywot podczas dziewiczego rejsu. Są statki szczęśliwe i takie, które zapadają się w otchłań.

Zamyślony, oparty o reling, nie zauważył, że u jego boku pojawił się McFerrin. Drugi

oficer liniowca był dziwnie milczący, gdy "Deep Encounter" przesuwał się wzdłuż ginącego olbrzyma. Przeciążone szalupy podążały jego kilwaterem.

- Jak twoje dłonie? - spytał z troską Pitt.

McFerrin pokazał bandaż, które wyglądały jak rękawiczki. Jego zaczerwieniona, poparzona twarz, posmarowana środkiem antyseptycznym, przypominała szkaradną maskę na Halloween.

- No cóż, niełatwo mi korzystać z toalety.

- Wyobrażam sobie. - Pitt uśmiechnął się.

McFerrin patrzył jak zauroczony na płonący statek. Był bliski łez.

- To się nie powinno wydarzyć - powiedział drżącym głosem.

- Co było przyczyną pożaru?

- To nie przypadek - rzekł gniewnie McFerrin. - Jestem pewien.

- Atak terrorystyczny? - spytał z niedowierzaniem Pitt.

- Raczej tak. Ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko, jak na samoistny pożar. Nie włączył się żaden z systemów ostrzegawczych ani gaśniczych. Nie chciały działać nawet wtedy, gdy włączaliśmy je ręcznie.

- Dlaczego wasz kapitan nie nadał przez radio sygnału Mayday? Ruszyliśmy do was dopiero wtedy, gdy zobaczyliśmy lunę na horyzoncie. Radio nie odpowiadało.

- Pierwszy oficer Sheffield nie potrafił podjąć żadnej decyzji - odezwał się gniewnie McFerrin. - Kiedy zorientowałem się, że nie nadano wezwania o pomoc, zadzwoniłem do kabiny radiowej, ale było już za późno. Trawiły ją płomienie, a radiotelegrafiści uciekli w bezpieczne miejsce.

Pitt wskazał gestem potężny dziób liniowca.

- Tam ktoś jest.

Na pokładzie dziobowym stała grupa ludzi machających rękami. Pięćdziesięciu pasażerów oraz znaczna część załogi pobiegła na dziobową część statku. Na szczęście dziób znajdował się co najmniej sześćdziesiąt metrów od przednich grodzi nadbudowy, buchający zaś żar i dym unosił się w stronę rufy.

McFerrin osłonił dłonią oczy przed promieniami słońca i wypatrywał małych postaci rozbitków.

- To głównie załoga i kilku pasażerów. Wygląda na to, że trzymają się dobrze. Ogień przesuwa się w przeciwnym kierunku.

Pitt wziął lornetkę i spojrzał na wodę wokół dziobu.

- Chyba nikt nie wyskoczył do morza. Nie widzę żywych ani martwych.

- Na razie ogień nie jest dla nich zagrożeniem - powiedział Burch, który właśnie wyszedł ze sterówki. - Chyba lepiej, żeby zostali tam do momentu przybycia innych statków albo poprawy pogody.

- Nie będziemy mogli utrzymać się na wzburzonym morzu, jeśli przyjmimy na pokład jeszcze czterysta osób - zgodził się Pitt. - Już teraz jesteśmy o krok od katastrofy.

Wiatr wzmógł się, osiągając pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Na trzymetrowych falach tworzyła się piana. Bałwany napierały z coraz większą, niedającą się powstrzymać mocą, a był to jedynie przedsmak nadciągającego gwałtownego sztormu.

Pitt zbiegł z mostka. Zawołał do marynarzy i naukowców, by ściągnęli z pokładu roboczego tylu ludzi, ilu się tylko da, zanim fale zmyją ich do wody. Tłok pod pokładem stawał się nie do zniesienia, nie było jednak innego rozwiązania. Pozostawienie setek ludzi na zewnątrz podczas burzy równało się wyrokowi śmierci na nich.

Patrzył, jak ludzie tłoczą się na dwóch szalupach, płynących w kilwaterze "Deep Encounter". Niepokoił go ich los. Morze było zbyt wzburzone, aby łodzie mogły podejść do burty i przekazać pasażerów na pokład. Spojrzał na Burcha.

- Może opłyniemy liniowiec i schronimy się przed sztormem od zawietrznej? Nie da rady podjąć wszystkich ludzi z szalup. Musimy skierować ich na spokojniejszą wodę, bo za kilka minut będzie za późno.

Burch kiwnął głową.

- Masz rację. A poza tym ocalimy własne życie.

- Nie możecie ich zabrać na pokład? - spytał McFerrin.

- Jeszcze jedna setka ludzi na pokładzie to kropla, która przepełni czarę - powiedział sucho Burch.

- Nie powinniśmy się bawić w Pana Boga.

Na twarzy Burcha malowało się cierpienie.

- Musimy, skoro to oznacza życie wszystkich, którzy już są na pokładzie.

- Zgadza się - powiedział stanowczo Pitt. - Lepszą ochronę przed sztormem da im "Emerald Dolphin" niż nasz statek.

Burch patrzył przez chwilę na pokład, rozważając w myślach wszystkie ewentualności.

- Przyciągniemy szalupy blisko naszej rufy. Gdyby ich sytuacja stała się krytyczna, będą mogli przejść. - Zerknął na ścianę czarnych chmur, która sunęła nad wodą niczym rój szarańczy. - Mam nadzieję, że Bóg da nam szansę w walce z tym żywiołem.

Burza z rykiem zbliżała się do tłumu, zgromadzonego na małym statku. Jeszcze kilka minut i spadnie na niego z całą mocą. Słońce i błękit już dawno znikły za chmurami. Grzbiety fal tańczyły na wodzie jak szaleni derwisze, rozpryskując pianę na wszystkie strony. Ciepła, zielona woda omywała pokład roboczy, obryzgując wszystkich, którym nie udało się znaleźć schronienia gdzie indziej. Ludzi upychano we włazach i korytarzach, przypominających zatłoczony autobus w godzinach szczytu.

Ludzie na szalupach cierpieli bardziej z powodu żaru buchającego z płonącego liniowca niż od wiatru i fal, które rzucały nimi po powierzchni morza. Pitt i Burch czujnie sprawdzali sytuację, gotowi w każdej chwili rozpocząć ewakuację łodzi.

Jeśli szybko nie nadejdzie pomoc, a "Deep Encounter" pójdzie na dno wraz z ładunkiem, katastrofę przeżyje jedynie garstka ludzi.

- Czy ktoś na waszym dziobie ma radio? - spytał Pitt McFerrina.
- Wszyscy oficerowie mają przenośne radiotelefony.
- Na jakiej częstotliwości?
- Dwadzieścia dwa.

Pitt podniósł nadajnik do ust, ochraniając go przed wyjącym wiatrem połą kurtki.

- "Emerald Dolphin", tu "Deep Encounter". Czy ktoś mnie słyszy? Odbiór - powtarzał trzeci raz, pośród silnych zakłóceń atmosferycznych, gdy wreszcie nadeszła odpowiedź.

- "Deep Encounter", słyszę cię - odezwał się kobiecy głos. - Mocno szumi, ale rozumiem, co mówisz.

- Jakaś kobieta - powiedział Pitt, spoglądając na McFerrina.
- To pewnie Amelia May, nasz płatnik.
- Ogień wywołuje zakłócenia. Ledwie ją rozumiem.
- Spytaj, ilu ludzi jest na dziobie - rozkazał Burch.
- Czy pani nazywa się Amelia May? - spytał Pitt.
- Tak. Skąd zna pan moje nazwisko?
- Obok mnie stoi wasz drugi oficer.
- Charles McFerrin! - zawołała. - Bogu dzięki. Myślałam, że zginął w ogniu.
- Czy może pani powiedzieć, ilu ludzi zostało na pokładzie?
- Około czterystu pięćdziesięciu członków załogi i sześćdziesięciu pasażerów. Kiedy możemy rozpocząć ewakuację?

Burch patrzył ze zgrozą na dziób liniowca.

- Nie ma mowy, żebyśmy przyjęli wszystkich - powiedział, kręcąc głową.
- Jak by nie patrzeć, nie mamy żadnych szans - odezwał się Pitt. - Siła wiatru i

wysokość fal rosną w alarmującym tempie. Nie możemy ich wziąć na szalupy, a skok do wody to dla nich samobójstwo.

Burch przytaknął.

- Cała nadzieja w tym, że w ciągu pół godziny zjawi się ten brytyjski kontenerowiec. Potem wszystko będzie w ręku Boga.

- Pani May! - zawołał Pitt. - Proszę posłuchać. Nasz statek jest przeciążony daleko poza granicę bezpieczeństwa. Obawiamy się też zatonięcia z powodu uszkodzonego kadłuba. Musicie poczekać, aż poprawi się pogoda, albo przyplynie inny statek. Rozumie pani?

- Tak, rozumiem. Wiatr kieruje ogień ku rufie, żar daje się znieść.

- To nie potrwa długo - ostrzegł ją Pitt. - "Emerald Dolphin" obraca się i wkrótce stanie bokiem do wiatru i prądu. Wtedy ogień i dym dotrą do waszej sterburty.

Zapadło krótkie milczenie.

- Musimy zacisnąć zęby - odezwała się po chwili.

Pitt popatrzył na dziób, mrużąc oczy przed bryzgami niesionej wiatrem wody.

- Jest pani dzielną kobietą. Mam nadzieję, że spotkamy się, gdy będzie już po wszystkim. Stawiam kolację.

- Może... - zawahała się. - Proszę powiedzieć, jak się pan nazywa.

- Dirk Pitt.

- Fajnie. Nazwisko dla silnego mężczyzny. *Over.*

McFerrin uśmiechnął się słabo.

To piękna kobieta. I bardzo niezależna w stosunku do mężczyzn.

Pitt również usiłował żartować.

- Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej.

Deszcz przyszedł nagle, jak ściana wody, jednak "Emerald Dolphin" wciąż płonął, burty jarzyły się czerwono. Opadający na rozgrzane pokłady deszcz w jednej chwili okrył statek wielkim obłokiem pary.

- Podprowadź nas na sześćdziesiąt metrów od kadłuba. Tylko powoli - polecił sternikowi Burch, zaniepokojony mocnym kołysaniem statku na wzburzonym morzu. Jego niepokój wzrósł, gdy odebrał meldunek z maszynowni.

- Łajba zaczyna się sypać! - krzyczał główny mechanik. - Przecieki są coraz większe. Nie wiem, jak długo wytrzymają pompy.

- Jesteśmy przy burcie liniowca - odparł Burch. - Mam nadzieję, że to nas ochroni przed sztormem.

- Wszystko się liczy.
- Zrób, co w twojej mocy.
- To trudne - burknął House. - Potykam się o ludzi upchniętych tu jak sardynki.

Burch odwrócił się do Pitta, który przez lornetkę wpatrywał się w szalejący żywioł.

- Widać kontenerowiec i australijską fregatę?
- Deszcz ogranicza widoczność do minimum, ale radar pokazuje, że kontenerowiec jest pół mili od nas.

Burch wziął starą chustkę i otarł nią moką szyję i czoło.

- Miejmy nadzieję, że kapitan jest dobrym marynarzem, bo będzie potrzebował całego swego doświadczenia.

Kapitan Malcolm Nevins, dowódca kontenerowca "Earl of Wattlesfield", należącego do West Shipping Lines, siedział na fotelu obrotowym, trzymając stopy oparte na pulpicie i wpatrując się w ekran radaru. Dziesięć minut temu nawiązał kontakt wzrokowy z płonącym statkiem, ale właśnie wtedy nadszedł nagle gwałtowny sztorm, zasłaniając widok. Spokojnie wydobył i kieszeni spodni platynową papierośnicę, wyjął dunhilla i włożył go do ust. Całkiem niestosownie przypalił drogiego papierosa starą, porysowaną zapalniczką, którą miał od czasów służby w marynarce wojennej podczas wojny o Falklandy.

Na różowej i zazwyczaj uśmiechniętej twarzy Nevinsa widać było pełną koncentrację. Zmrużył przezroczyście, szare oczy. Zastanawiał się, jakie piekło go tu czeka. Alarmujące meldunki z amerykańskiego statku badawczego mówiły o ponad dwóch tysiącach osób, starających się uciec z płonącego liniowca. Od trzydziestu lat służył na morzu, nigdy jednak nie miał do czynienia z tragedią o takiej skali.

- Są! - zawołał pierwszy oficer, Arthur Thorndyke, wskazując kierunek przez okno na mostku.

Ściana wody rozsunięła się przez chwilę na boki, jak kurtyna w teatrze, ukazując palący się statek w kłębach pary i dymu.

- Silniki na wolne obroty - rzucił Nevins.
- Tak jest.
- Załogi szalup na stanowiskach? - spytał. W strugach deszczu wyraźnie widać było ogromny liniowiec.

- Na stanowiskach, gotowe do zejścia na wodę - zameldował Thorndyke. - Nie zazdroszczę im wycieczki po czterometrowych falach.

- Podejźmy jak najbliżej, by zmniejszyć odległość i zaoszczędzić czas. - Raptem



wziął lornetkę i przyjrzał się morzu wokół liniowca. - Nie widzę nikogo w wodzie. I ani śladu szalup.

Thorndyke wskazał głową szczątki spalonych łodzi.

- Nikt nie mógł na nich opuścić statku.

Nevins zeszywniał. W jego wyobraźni pojawił się obraz buchającego ogniem kadłuba, w którym spłonęły tysiące ludzi.

- Musiały zginąć tysiące ludzi - powiedział przygnębionym głosem.

- Nie widać tego amerykańskiego statku badawczego.

Nevins zrozumiał, o co chodzi.

- Opłyniemy olbrzyma. Amerykanie muszą być po zawietrznej.

“Earl of Wattlesfield” płynął spokojnie i powoli przez wzburzone fale, jakby nie zważał na niebezpieczeństwo. Sześćdziesięcioosmiotysięcznik był dłuższy od przeciętnego bloku mieszkalnego. Na wznoszących się kilka pięter w górę pokładach stały kontenery pełne towaru. Od dziesięciu lat żeglował po oceanach, nie tracąc ani jednego kontenera, ani też członka załogi. Był uważany za jednostkę szczęśliwą, zwłaszcza przez właścicieli.

Tego dnia miał się stać równie słynny co “Carpathia” - statek, który uratował rozbitków z “Titanica”.

Wiatr przeszedł w wicher, fale stawały się coraz potężniejsze, jednakże nie robiły większego wrażenia na olbrzymim kontenerowcu. Nevins nie miał dużych nadziei, że uda mu się ocalić kogoś z pasażerów lub załogi. Ci, którzy uniknęli śmierci w płomieniach, zapewne wyskoczyli do morza, gdzie utonęli w spienionych odmętach. “Earl of Wattlesfield” powoli opływał wysoki, zaokrąglony dziób; kapitan patrzył na wielkie, wymalowane zieloną farbą litery: “Emerald Dolphin”. Z przygnębieniem przypomniał sobie dzień, gdy wspaniały liniowiec opuszczał port w Sydney. Nagle ze zdumieniem zobaczył coś zupełnie nieoczekiwanego.

“Deep Encounter” kołysał się ciężko na morzu, w którym odbijały się pomarańczowe płomienie. Woda sięgała niemal okieżnicy, na pokładzie tłoczyli się skuleni ludzie. Nie dalej niż dwadzieścia metrów za rufą dwie szalupy - również pełne pasażerów - podskakiwały na falach. Statek wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał ześlizgnąć się pod wodę.

- Mocny Boże! - szepnął Thorndyke. - Oni toną.

Z kabiny radiowej wychylił się dyżurny.

- Mam kontakt z tym amerykańskim statkiem.

- Przełącz na głośnik.

Po chwili zabrzmiał donośnie wzmocniony głos.

- Do kapitana i załogi kontenerowca. Cieszymy się z waszego przybycia.
- Mówi kapitan Nevins. Czy rozmawiam z kapitanem statku?
- Nie, kapitan Burch jest w maszynowni. Sprawdza przecieki.
- Kim pan jest?
- Dirk Pitt, dyrektor Wydziału Programów Specjalnych Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.
- Wygląda na to, że ledwie trzymacie się na powierzchni.
- To prawda - odparł szczerze Pitt. - Uszkodziliśmy płyty kadłuba, gdy staliśmy przy rufie liniowca, ratując załogę i pasażerów. Nabieramy wodę szybciej, niż nasze pompy mogą ją usunąć.
- Ilu rozbitków macie na pokładzie? - spytał Nevins. Z niedowierzaniem obserwował zbity tłum ludzi na pokładzie roboczym. Ocaleni trzymali się nawzajem, by uniknąć zmycia do morza.
- Około tysiąca dziewięciuset. Do tego sto osób na szalupach.
- Jezu! - powiedział niemal szeptem Nevins. - Uratowaliście dwa tysiące rozbitków?
- Z dokładnością do pięćdziesięciu osób.
- Gdzież ich pomieściliście, na litość boską?
- Musi pan do nas zejść i przekonać się na własne oczy - odparł Pitt.
- Nic dziwnego, że wyglądacie jak faszzerowana gęś - mruknął zdumiony Nevins.
- Jest jeszcze pięciuset członków załogi i pasażerów na dziobie liniowca. Nie mogliśmy ich zabrać bez narażania wszystkich na zgubę.
- Grozi im śmierć w ogniu?
- Mamy kontakt z oficerami. Twierdzą, że nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa - wyjaśnił Pitt. - Z całym szacunkiem, panie kapitanie, proponuję, aby przenieść jak najwięcej ludzi z naszego statku na wasz, dopóki jeszcze trzymamy się na wodzie. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyście najpierw przyjęli tych na szalupach. Są w gorszej sytuacji.
- Tak zrobimy. Opuszczę szalupy i zacznę transportować rozbitków na nasz statek. Jest tu dla nich mnóstwo miejsca. Wasze łodzie, po wzięciu pasażerów, będą mogły podjąć rozbitków z dziobu. Niech się zsuną na linach.
- Mamy to opracowane do perfekcji.
- No to do roboty.
- Kapitanie Nevins - powiedział Pitt - nigdy się pan nie dowie, jakie to dla nas cudowne zrządzenie losu, że zdążyliście na czas.
- Dzięki Bogu, byliśmy niedaleko.

Nevins spojrział na Thorndyke'a z pełnym niedowierzania uśmiechem.

- To cud, że udało im się zmieścić tylu ludzi na takim małym statku.

- To prawda - stwierdził cicho równie oszołomiony Thorndyke. - Można powiedzieć jak Churchill: jeszcze nigdy tak wielu nie zostało uratowanych przez tak niewielu.

Kelly siedziała w jednym z magazynów "Deep Encounter", z kolanami -podciągniętymi pod brodę. Czuła się, jak w centrum Kalkuty. W małym pomieszczeniu znajdowało się tylu rozbitków, że tylko kobiety mogły usiąść na podłodze. Mężczyźni stali. Nikt nie zauważył, że zaczęła płakać, ukrywając twarz w dłoniach. Opadła ją fala żalu po stracie ojca. Widziała, jak umiera, była wtedy o wyciągnięcie ręki, a teraz czuła ogromny ból, beznadzieję i smutek.

Dlaczego tak się stało? Kim był rudowłosy i dlaczego walczył z jej ojcem? A ten czarnoskóry oficer? Dlaczego pomagał napastnikowi, zamiast interweniować? Wydawało się, że obaj próbują wyrwać ojcu teczkę. Spojrzała na skórzany, mokry od słonej wody neseser, który wciąż trzymała przyciśnięty do piersi. Czyjego zawartość jest na tyle cenna, że dla niej zginął ojciec?

Walczyła z wyczerpaniem, starając się nie zasnąć - na wszelki wypadek, gdyby rudzielec podjął kolejną próbę odebrania teczki. W zatłoczonym pomieszczeniu było jednak bardzo gorąco, a w tych warunkach system klimatyzacyjny okazał się równie skuteczny jak kostka lodu w nagrzanym piecu. Poczowała straszne znużenie i wreszcie zapadła w niespokojny sen.

Nagle obudziła się. Wciąż siedziała na podłodze, opierając się o szafkę, jednak teraz magazyn wydał się jej całkowicie wyludniony. Kobieta, która wcześniej przedstawiła się jako biolog morski, pochyliła się i delikatnie odgarnęła jej z oczu wilgotne włosy. Miała zmęczoną twarz i oczy, jednak uśmiechała się przyjaźnie.

- Czas ruszyć z miejsca - powiedziała cicho. - Przyplłynął brytyjski kontenerowiec. Przenosimy wszystkich na jego pokład.

- Tak bardzo jestem wam wdzięczna, zwłaszcza temu mężczyźnie, który wskoczył do morza i uratował mnie przed utonięciem.

- Nie wiem, kto to był - odparła kobieta. Była śliczna, miała rude włosy i brązowe oczy.

- Nie mogę zostać u was? - spytała Kelly.

- Obawiam się, że nie. Nabieramy wody. W tym sztormie nie zdołamy utrzymać się na powierzchni. - Delikatnie pomogła Kelly wstać. - Szybciej, bo nie zdążysz na szalupę.

Kobieta wyszła z magazynu, by kierować innych pasażerów na pokład, do łodzi

przysłanych przez kontenerowic. Kelly została sama. Stała sztywno na nogach. Od długiego siedzenia na twardej podłodze miała obolałe ciało. Doszła już niemal do drzwi, gdy nagle zatrzymał ją jakiś rosy mężczyzna. Podniosła wzrok. Rudowłosy, który przedtem szamotał się z jej ojcem na pokładzie liniowca, wszedł do magazynu i zamknął za sobą drzwi.

- Czego pan chce? - szepnęła ze strachem.

- Neseseru twojego ojca - odpowiedział głębokim, cichym głosem. - Jeśli go oddasz, nic ci się nie stanie. Inaczej będę musiał cię zabić.

Widziała jego zimne oczy i rozumiała, że nie żartuje. Dotarło do niej coś jeszcze: zabije ją bez względu na to, czy odda teczkę czy nie.

- Chodzi o papiery ojca? Po co to panu?

Wzruszył ramionami.

- Wykonuję zleconą robotę. Mam dostarczyć teczkę razem z zawartością. To wszystko.

- Dostarczyć... komu?

- Nieważne - odparł niecierpliwie.

- Zastrzeli mnie pan? - spytała, rozpaczliwie starając się zyskać na czasie.

- Nie używam broni palnej ani noży. - Z uśmiechem uniósł wielkie, sękatę rękę. - Używam tylko tego.

Panika kazała jej się cofać. Podchodził coraz bliżej - widziała białe zęby pod rudymi wąsami, gdy rozchylił wargi w upiornym uśmiechu. W oczach malowała się dzikość drapieżnika osaczającego ofiarę. Kelly zeszywniała ze strachu. Serce biło jej jak szalone, łączywie chwytając powietrze. Nogi uginały się pod nią, kosmyki włosów przykleiły się do twarzy, po której płynęły łzy.

Wyciągnął ręce, ogromne jak szpony, i chwycił ją. Krzyknęła przeraźliwie, a jej głos odbił się dźwięcznie o stalowe grodzie niewielkiego magazynu. Wyrwała się z uścisku i obróciła na pięcie. Chyba puścił ją celowo, by pobawić się jak kot ze schwytaną myszą. Nie była w stanie walczyć. Poczła ogarniającą ją słabość, zachwiała się i kucnęła w rogu magazynu, nie mogąc opanować drżenia.

Widziała, jak mężczyzna podchodzi do niej, chwytając pod ramionami i bez wysiłku stawia na nogi. Morderczy chłód w jego oczach ustąpił pożądaniu. Jakby w zwolnionym filmie przycisnął wargi do jej ust. Otworzyła szeroko oczy. Próbowała krzyknąć, ale wydała z siebie jedynie przytłumione łkanie. Mężczyzna cofnął się z lubieżnym uśmiechem.

- Tak - powiedział twardym, obojętnym głosem. - Pokrzyycz sobie. Nikt cię nie usłyszy w tej burzy. Lubię, jak kobieta krzyczy. To bardzo podniecające.

Podniósł ją z podłogi, jakby ważyła nie więcej niż styropianowy manekin, przyparł do grodzi i rękami zaczął błądzić po ciele, mocno, brutalnie, zostawiając na skórze ślady. Zesztywniała z przerażenia Kelly zaczęła wrzeszczeć.

- Przestań! To boli!

Wielkimi łapami chwycił ją za gardło.

- Obiecuję ci - powiedział lodowato - że śmierć będzie szybka i bezbolesna.

Zaczął ją dusić. Kelly pociemniało w oczach.

- Nie, błagam! - wyrzuciła z siebie szeptem.

- Miłych snów, kochanie.

- Twój sposób uwodzenia kobiet pozostawia wiele do życzenia - odezwał się czyjś głos za plecami rudego.

Morderca puścił Kelly i odwrócił się z szybkością błyskawicy. Mężczyzna stojący w drzwiach niedbale opierał dłoń na klamce. Nie widać było jego twarzy na tle światła, docierającego z korytarza. Bandyta uniósł ręce i zaatakował przybysza kopniakiem.

Ani morderca, ani Kelly nie wiedzieli, że to Pitt usłyszał krzyki i bezgłośnie otworzył drzwi. Przez kilka sekund stał w przejściu, oceniając sytuację i obmyślając taktykę obrony. Nie było już czasu, żeby wezwać pomoc. Dziewczyna zginie, zanim ktokolwiek przybędzie na ratunek. Pitt wyczuł, że napastnik jest niebezpieczny i że bez skrupułów gotów jest zabić. Tacy ludzie muszą mieć konkretny powód, by zamordować z zimną krwią bezbronną kobietę. Przygotował się na atak.

Gwałtownym obrotem ciała wyskoczył na korytarz. Stopa napastnika wystrzeliła w powietrze. Kopniak minął głowę Pitta o kilka centymetrów i wylądował na futrynie. Kość w stawie skokowym pękła z wyraźnym trzaskiem.

Normalny mężczyzna upadłby, wijąc się z bólu, ale nabity mięśniami osilek nauczył się nie zwracać uwagi na cierpienie. Upewnił się, że Pitt jest sam, i ruszył do ataku, rytmicznie poruszając ramionami jak wprawny karateka. W końcu skoczył na swoją ofiarę, siekąc powietrze dłońmi, jakby to były topory.

Pitt zamarł. Do ostatniej chwili stał w bezruchu, po czym runął na podłogę i przetoczył się bliżej napastnika. Rudowłosy stracił równowagę, potykając się o Pitta, i przewrócił na pokład. Pitt już siedział mu na karku. Całą wagą swojego ciała przycisnął go do podłoża, wbił kolano w plecy i zaczął tłuc go pięściami w uszy.

Bębenki mordercy strzeliły, jakby ktoś przebił je na wylot śrubokrętem. Bandyta wrzasnął przeraźliwie i konwulsyjnie rzucił się na bok, rzucając Dirka na zamknięte drzwi. Pitta zaskoczyła siła mężczyzny i jego niewrażliwość na ból. Póллеżąc, kopnął go obiema

nogami nie w krocze, lecz w złamaną kostkę.

Rudy syknął przez zaciśnięte zęby i wykrzywił twarz w okropnym grymasie, rzucając nienawistne spojrzenie. Naprawdę cierpiał, ale nie przestawał atakować, powłócząc złamaną nogą. Teraz zmienił strategię i zebrał siły do kolejnego uderzenia.

Pitt nie musiał być jasnowidzem, by zdać sobie sprawę, że nie może się równać z zawodowym mordercą o posturze niedźwiedzia. Cofnął się więc, rozumiejąc, że jego jedyna przewaga polega na szybszej pracy nóg. Kontuzjowany przeciwnik nie mógł go już kopnąć w głowę.

Pitt nigdy w życiu nie uczył się sztuki samoobrony. Trochę boksował podczas studiów w Akademii Lotniczej, ale na ringu odniósł tyle samo zwycięstw, co porażek. Taktyki wolnej amerykanki nauczył się podczas bijatyk w knajpach. Pierwsza zasada, którą poznał dość wcześnie, mówiła, że nie należy walczyć pięściami w zwarcu. Trzeba przede wszystkim myśleć, znaleźć jakiś przedmiot - butelkę, krzesło, czy cokolwiek innego - i rzucić go w przeciwnika. Najmniej ran odnosili ci, którzy znajdowali się na zewnątrz kręgu walczących.

W przejściu za plecami mordercy pojawiła się Kelly. Do piersi przyciskała mocno skórzany neseser. Rudowłosy był tak skoncentrowany na przeciwniku, że nie wyczuł jej obecności.

Pitt błyskawicznie dostrzegł okazję.

- Biegnij! - zawołał do Kelly. - Biegnij na pokład!

Napastnik zawahał się, nie wiedząc, czy nie jest to stary jak świat blef. Był jednak zawodowcem, który dokładnie obserwuje ofiary. Zobaczył nieznaczny ruch oczu Pitta i odwrócił się gwałtownie. Kelly pobiegła w kierunku schodów prowadzących na górny pokład. Rudowłosy przypomniał sobie o swoim zadaniu i ruszył w ślad za dziewczyną. Potykał się, kulał, walczył z bólem.

Tego właśnie oczekiwał Pitt.

Nadszedł moment, by kontratakować. Skoczył do przodu, lądując brutalnie na plecach mordercy. Wykorzystując ich łączną masę, rzucił przeciwnika na ziemię, przygniótł go całym ciężarem, jednocześnie uderzając jego głową o wyłożoną cienkim dywanem metalową podłogę.

Usłyszał nieprzyjemny głuchy odgłos, a potem trzask. Ciało mordercy znieruchomiało. Zapewne pękła mu czaszka albo doznał silnego wstrząsu mózgu. Przez chwilę Pitt leżał na plecach bezwładnego przeciwnika i ciężko oddychając, starał się uspokoić łomoczące serce. Zamrugał oczami, strząsając spływający z czoła pot. Otarł go rękawem.

Zobaczył, że głowa napastnika jest nienaturalnie wykręcona, a jego otwarte oczy

zmatowiały.

Przycisnął palce do szyi w miejscu, gdzie znajduje się tętnica. Nie wyczuł pulsu. Morderca nie żył. Widocznie uderzył głową w podłogę i skręcił sobie kark. Pitt usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi do magazynu, gdzie przechowywano baterie. Starał się ocenić sytuację. To wszystko w ogóle nie miało sensu. Na pewno wiedział tylko to, że przypadkowo znalazł się w miejscu, gdzie usiłowano zamordować kobietę, którą wcześniej wyratował z morza. A teraz siedzi tutaj, w magazynie, patrząc na zupełnie obcego, zabitego przez siebie człowieka. Spojrzał w jego matowe oczy i mruknął do siebie:

- Jestem takim samym bandytą jak ty.

I wtedy pomyślał o uratowanej kobiecie.

Wstał, przeskoczył leżące ciało i pobiegł schodami na zewnętrzny pokład, pełen rozbitków trzymających się lin bezpieczeństwa, zamocowanych przez marynarzy. Ludzie stali w milczeniu na deszczu, smagającym ich głowy i ramiona. Oczekiwali swej kolejki, by przejść na szalupy wysłane z kontenerowca.

Pitt przeciskał się przez tłum, szukając kobiety ze skórzanym neseserem, ale nie znalazł jej w grupie osób przewożonych właśnie na "Earla of Wattlesfield". A więc była jeszcze na pokładzie.

Musi ją odszukać. W przeciwnym razie, jak wytłumaczy kapitanowi Burchowi obecność trupa w magazynie? I skąd dowie się, o co tu chodzi?



Los zaczął sprzyjać “Deep Encounterowi”. Późnym popołudniem wszyscy - jeśli nie liczyć nieco ponad setki pasażerów, z których dziesięciu było ciężko rannych i nie nadawało się do ewakuacji - zostali przetransportowani na pokład “Earl of Wattlesfield”. Po odesłaniu rozbitków statek badawczy uniósł się o półtora metra, a załoga przystąpiła do naprawy uszkodzonych płyt kadłuba. Przecieki zmniejszyły się i pompy wreszcie zaczęły nadażać z odprowadzaniem wody.

Australijska fregata raketowa przybyła w końcu na miejsce katastrofy. Wysłano szalupy, by ratować rozbitków, którzy skoczyli lub spadli do wody z rufy liniowca. Na szczęście sztorm skończył się równie nagle, jak zaczął, i morze było spokojne.

McFerrin zszedł ze statku badawczego ostatni. Zanim przeskoczył na szalupę przyslaną z kontenerowca, podziękował załodze i naukowcom z “Deep Encounterera”.

- Akcja ratunkowa, w której ocaliliście tyle istnień ludzkich, przejdzie do historii żeglugi - powiedział uroczyście.

- Szkoda, że nie udało się uratować wszystkich - szepnął Burch.

- To, czego dokonaliście, graniczy z cudem. - McFerrin oparł zabandażowane dłonie na ramionach Pitta. - Dirk, to był dla mnie prawdziwy zaszczyt. W moim domu twoje imię będzie zawsze wymawiane z najwyższym szacunkiem. I mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Musimy - odparł jowialnie Pitt. - Jestem ci winien butelkę szkockiej.

- Panie i panowie. Niech Bóg was błogosławi.

- Żegnaj, Charles. Rzadko spotyka się takich jak ty.

McFerrin zszedł do szalupy. Salutował, mijając burtę “Deep Encounterera”.

- Co teraz? - zagadnął Burcha Pitt.

- Najpierw musimy wyciągnąć łodzie podwodne, bo admirał Sandecker utnie nam głowy na stopniach Kapitela. - Sandecker był dyrektorem naczelnym NUMA. - A potem płyniemy do Wellington. To najbliższy port, gdzie można naprawić uszkodzenia.

- Nie będzie wielkiej straty, jeśli zaginie “Ancient Mariner”. Staruszek już dawno spłacił sumę, za jaką go kupiono. Ale “Abyss Navigator” dopiero co opuścił stocznię, a kosztował dwanaście milionów dolarów. Nie możemy go stracić.

- Znajdziemy go. Ma bardzo silny i wyraźny sygnał identyfikacyjny.

Kapitan musiał niemal krzyżeć. Niebo nad statkami zaroilo się od samolotów i helikopterów - z Nowej Zelandii, Tonga, Fidzi i Samoa - wynajętych przez ekipy telewizyjne. Każda stacja chciała zdać relację z "największej operacji ratunkowej w historii żeglugi". Radiostacje na statkach nieustannie przyjmowały wiadomości od instytucji rządowych, niespokojnych rodzin rozbitków, wysokich rangą przedstawicieli linii oceanicznych Blue Seas Cruise Lines oraz pracowników morskich firm ubezpieczeniowych. Radiostacja była tak przeciążona, że komunikacja między trzema statkami musiała się odbywać za pośrednictwem ręcznych radiotelefonów i sygnalizacji świetlnej.

Burch odetchnął z ulgą. Usiadł na swoim wysokim krześle w sterówce i zapalił fajkę. Uśmiechnął się słabo.

- Myślisz, że admirał wyśle nas do diabła, kiedy się dowie, co zrobiliśmy z jego pięknym statkiem badawczym?

- Sądzę, że stary wyga wysie do ostatniej kropli naszą popularność w mediach.

- A zastanawiałeś się, jak wyjaśnisz obecność tego trupa pod pokładem? - spytał Burch.

- Mogę powiedzieć tylko to, co wiem.

- Szkoda, że dziewczyna nie może zeznawać.

- Nie rozumiem, jak mogłem ją zgubić.

- Chyba twój problem został rozwiązany - oświadczył Burch z diabolicznym uśmiechem.

Pitt popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Rozwiązany?

- Nie lubię nieporządku na pokładzie - wyjaśnił Burch. - Osobiście wyrzuciłem twojego przyjaciela za burtę. Dołączył do tych nieszczęśników, którzy zginęli podczas katastrofy. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta.

- Kapitanie - powiedział Pitt z błyskiem w oku. - Bez względu na to, co inni mówią na twój temat, równy z ciebie gość.

Z kabiny radiowej wyszedł radiotelegrafista.

- Panie kapitanie, nadeszła wiadomość od kapitana Harlowa z australijskiej fregaty. Jeśli chce pan odpłynąć, fregata pozostanie na miejscu, by pozbierać ciała i poczekać na holowniki, które zaciągną liniowiec do portu.

- Proszę potwierdzić i podziękować kapitanowi i jego załodze za pomoc.

Radiotelegrafista wrócił po chwili.

- Kapitan Harlow życzy nam szczęśliwego powrotu.

- To chyba pierwszy wypadek w historii - odezwał się Pitt - żeby fregata raketowa przyjęła na pokład pięciuset cywilnych pasażerów.

- Tak - powiedział wolno Burch, kierując wzrok ku wypalonemu kadłubowi liniowca.

Deszcz tylko w niewielkim stopniu stłumił ogień. Płomienie i dym nadal unosiły się w niebo. Poza małym fragmentem pokładu dziobowego cały statek był doszczętnie spalony. Powyginane stalowe płyty i nadbudowa tworzyły labirynt wypalonych, powykrecanych i zgniecionych elementów szkieletu. Nie zostało ani kawałka drewna i materiałów organicznych. To, co mogły strawić płomienie, zostało zamienione w popiół. Projektanci i budowniczo wie statku twierdzili, że statek jest ognioodporny. Zastosowano materiały niepalne, nie wzięto jednak pod uwagę tego, że może powstać ogromny żar, który roztopi nawet metal i strawi wszystko na swojej drodze.

- Oto kolejna z wielkich tajemnic morskich - powiedział Pitt.

- Z każdym rokiem alarmująco rośnie liczba pożarów na statkach - mentorskim tonem stwierdził Burch. - Ale nigdy nie sły sz ałem o takim wypadku, jaki zdarzył się na pokładzie "Emerald Dolphina". Na dużej jednostce ogień nie powinien rozprzestrzeniać się tak szybko.

- Drugi oficer McFerrin twierdził, że pożar wymknął się spod kontroli, bo nie zadziały ały systemy gaśnicze.

- Myślisz, że to sabotaż?

Pitt pokiwał głową, spoglądając na osmalony kadłub.

- To wbrew logice, pożar nie jest tylko splotem niefortunnych przypadków.

- Panie kapitanie - odezwał się ponownie radiotelegrafista. - Chce z panem rozmawiać kapitan Nevins z "Earla of Wattlesfield".

- Przełącz na głośnik.

- Gotowe.

- Mówi kapitan Burch.

- Tu kapitan Nevins. Jeśli chcecie płynąć do Wellington, będziemy wam towarzyszyć. To najbliższy port, gdzie możemy wysadzić rozbitków na ląd.

- Dziękujemy, kapitanie. I przyjmujemy waszą propozycję. Płyniemy do Wellington. Mam nadzieję, że nie będziecie musieli na nas czekać.

- Nie wypada, żeby nasi bohaterowie i bohaterki zatone ły w drodze do portu.

- Pompy wybierają wodę szybciej, niż wdziera się ona na statek. Daliśmy radę sztormowi, więc powinniśmy dotrzeć do Wellington w dobrym stanie.

- Ruszajcie, popłyniemy za wami.

- Jak dajecie sobie radę z tysiąc osmiuset rozbitkami na pokładzie? - spytał Pitt.

- Większość umieściliśmy w dwóch pustych ładowniach, a reszta jest rozłokowana na całym statku. Niektórzy zajęli nie do końca wypełnione kontenery. Jedzenia mamy tyle, że wystarczy na jeden porządny posiłek, ale potem wszyscy, łącznie z załogą, przechodzą na ścisłą dietę. Ja też. - Nevins urwał na chwilę. - Aha, jeśli zdołacie przepłynąć między moim statkiem i australijską fregatą, prześlemy wam pożegnanie. Koniec.

- Pożegnanie? - spytał zdziwiony Burch.

- Może chcą zawołać "Aloha" i rzucić parę serpentyn - zaśmiał się Pitt.

Burch podniósł słuchawkę.

- Maszynownia, możemy ruszać?

- Tak, ale maksymalnie osiem węzłów - odezwał się House. - Przy większej szybkości nabierzemy wody jak dziurawe wiadro.

- Rozumiem. Osiem węzłów.

Załoga i naukowcy z "Deep Encounter", półprzytomni ze zmęczenia po dwunastogodzinnym wysiłku, ledwie trzymając się na nogach, stali wyprostowani na pokładzie. Pitt zebrał ich wszystkich. Burch nalegał, by zjawiała się też w komplecie załoga maszynowni. Główny mechanik nie chciał zostawić pomp bez nadzoru, ale kapitan był nieubłagany. Na mostku pozostał jedynie sternik, który wprowadził statek między "Earla of Wattlesfield" i australijską fregatę, w dwustumetrowy przesmyk.

Pomiędzy dwiema potężnymi jednostkami "Deep Encounter" wyglądał jak zabawka, płynąc dumnie z powiewającym na maszcie radarowym proporcem NUMA i banderą Stanów Zjednoczonych na rufie.

Pitt i Burch patrzyli ze zdumieniem, że załoga fregaty stoi w szyku niczym na galowym przeglądzie. Gdy "Deep Encounter" wpłynął między statki, rozległy się syreny okrętowe i wiwaty ponad dwóch tysięcy rozbitków, zebranych przy relingach kontenerowca i fregaty. Mężczyźni, kobiety i dzieci machali rękami i krzyczeli na całe gardło, rzucali podarte gazety i czasopisma, których kawałki spadały niczym karnawałowe konfetti. Dopiero teraz do zgromadzonych na pokładzie statku badawczego ludzi dotarło w pełni znaczenie ich czynu.

Oto bowiem nie tylko uratowali dwa tysiące rozbitków, ale zrobili o wiele więcej: gotowi byli oddać życie, by ocalić innych. Wszyscy mieli łzy w oczach.

Po kilku dniach okaże się, że nie są w stanie opisać dokładnie, co się wydarzyło. Zajęci akcją ratunkową, nie widzieli tego, co dzieje się dookoła nich. Ich bohaterstwo, wszystko, co wtedy zrobili, wyda się im już tylko koszmarnym snem z odległej przeszłości. Zapewne nigdy go nie zapomną, ale nie będą umieli opisać koszmaru, który przeszli.

Niemal jednocześnie wszystkie głowy odwróciły się, by po raz ostatni spojrzeć na smutne szczątki liniowca, jeszcze wczoraj jednego z najpiękniejszych statków, jakie kiedykolwiek pływały po morzach świata. Pitt również patrzył w tamtą stronę. Żaden marynarz nie lubi widoku tonącego statku. Nie dawało mu spokoju pytanie, kto jest odpowiedzialny za ten akt zniszczenia. Co było jego przyczyną?

- O czym rozmyślasz? - odezwał się Burch.

Pitt spojrzał na niego zdziwiony.

- Rozmyślam?

- Założę się o wszystko, że zżera cię ciekawość.

- Nie rozumiem.

- Wszyscy zastanawiamy się nad tym samym - wyjaśnił Burch. - Jaki motyw mógł mieć szaleniec, by chcieć zamordować dwa i pół tysiąca bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci? Gdy odholują wrak do Sydney, eksperci zbadają dokładnie pogorzelisko i znajdą odpowiedź.

- Niewiele mają materiału do zbadania.

- Nie doceniasz ich - odparł Burch. - Są naprawdę dobrzy. Jeśli ktokolwiek może odkryć przyczynę, to tylko oni.

Pitt uśmiechnął się lekko.

- Obyś miał rację, kapitanie. Cieszę się, że to nie ja będę badał wrak.

Pod koniec tygodnia Pitt przekonał się jednak, że nie miał racji. Nie spodziewał się, że to właśnie jemu zostanie powierzone zadanie rozwikłania zagadki pożaru na "Emerald Dolphinie".

Pierwszym holownikiem, który dotarł do “Emerald Dolphina”, był “Audacious”, należący do Quest Marine Offshore. “Audacious” miał prawie sześćdziesiąt metrów długości i był jednym z największych holowników na świecie. Bliźniacze silniki dieslowskie osiągały łączną moc dziewięciu tysięcy ośmiuset koni mechanicznych. Jednostka stała w Wellington, porcie najbliższym miejsca katastrofy, przybyła więc wcześniej niż dwa inne potężne holowniki wysłane z Brisbane.

“Audacious” płynął z maksymalną szybkością, aktualizując kurs na podstawie komunikatów nadawanych z australijskiej fregaty. Kapitan kazał zachować ciszę radiową, co było normalnym zachowaniem wśród dowódców holowników, zmierzających do ratowanej jednostki. Ten, który pierwszy zamelduje się na miejscu, otrzymuje specjalną premię od Lloyd’a, a także dwadzieścia pięć procent wartości ratowanego statku.

Kapitan McDermott, nawiązawszy kontakt wzrokowy z wypalonym liniowcem i australijską fregatą, przerwał ciszę w eterze i połączył się drogą radiową z kierownictwem linii Blue Seas Cruise Lines, które po półgodzinnych negocjacjach zaakceptowało warunki umowy. Przyjęto zasadę, że w wypadku fiaska operacji holowniczej żadne honorarium nie zostanie wypłacone, jednocześnie gwarantując Quest Marine status głównego wykonawcy kontraktu.

McDermott i jego załoga ze zdumieniem oglądali jarzące się czerwienią szczątki liniowca, przypominającego Hiroszimę po wybuchu bomby atomowej: statek był poczerniały, powyginany, kompletnie zniszczony.

- To przecież złom - stęknął pierwszy oficer, Herm Brown, były rugbista, który został marynarzem, gdy kolana odmówiły mu posłuszeństwa na boisku. Miał kędzierzawe, jasne włosy, potężnie umięśnione nogi i owłosiony tors, widoczny spod rozpiętej koszuli.

McDermott spuścił okulary na nos i spojrzał ponad nimi. Jasnowłosy Szkot o wąskim nosie i brązowzielonych oczach miał za sobą dwadzieścia lat pracy na różnych holownikach. Wystająca szczeka i przenikliwe oczy nadawały mu wygląd buchaltera jakby żywcem wyjętego z powieści Dickensa.

- Szefowie nie będą zachwyceni tą robotą. Nie miałem pojęcia, że taki statek może się doszczętnie spalić.

Odezwał się brzęczyk telefonu.

- Tu kapitan Harlow z krążownika stojącego z waszej lewej burty - odezwał się w słuchawce męski głos. - Z kim mówię?

- Kapitan Jock McDermott, dowódca holownika "Audacious".

- Kapitanie, w związku z waszym przybyciem, opuszczam miejsce katastrofy i udaję się do Wellington. Mam na pokładzie pięciuset rozbitków, którzy marzą o tym, żeby znaleźć się na stałym lądzie.

- Odwaliliście tu kawał dobrej roboty - odparł McDermott. - Dziwię się, że nie odpłynęliście stąd dwa dni temu.

- Zbieraliśmy ciała ofiar katastrofy. Poza tym Międzynarodowa Komisja Morska zwróciła się do mnie z prośbą, żebyśmy zostali w pobliżu i nadawali komunikaty dotyczące pozycji wraku, ponieważ uznano, że stanowi poważne zagrożenie dla żeglugi.

- To wcale nie przypomina statku.

- Niestety to prawda - odparł Harlow. - Trudno uwierzyć, że był jednym z najpiękniejszych liniowców na świecie. Czy możemy wam jakoś pomóc, gdy będziecie brać go na hol?

- Dziękuję, damy sobie radę - powiedział McDermott.

- Wygląda strasznie. Mam nadzieję, że nie pójdzie na dno, póki nie dopłyniecie bezpiecznie do portu.

- Nie jestem pewien, bo nie wiem, jak bardzo uszkodzony jest kadłub.

- Pożar sprawił, że statek jest znacznie lżejszy. Będzie miał małe zanurzenie, co chyba ułatwi operację holowniczą.

- Żadna operacja holownicza nie jest łatwa, kapitanie.

- W Wellington oczekuje was gorące powitanie i stado reporterów. Przygotujcie się.

- Wprost nie mogę się doczekać - odparł sucho Harlow. - Życzę powodzenia.

McDermott spojrzał na pierwszego mata, Arle'a Browna.

- No, zabieramy się do roboty.

- Przynajmniej morze jest spokojne - rzekł Brown, kiwając głową.

McDermott patrzył przez kilka sekund na pływający kadłub.

- Mam wrażenie, że spokojne morze to jedyne ułatwienie, jakie nas czeka w czasie tego zadania.

McDermott nie tracił czasu. Opłynawszy wrak dookoła, zorientował się, że ster liniowca ustawiony jest idealnie wzdłuż stępki. "Audacious" zbliżył się na dwieście metrów do dziobu "Emerald Dolphina". Kapitan mógł mieć tylko nadzieję, że ster wielkiego statku

zablokował się na wprost. Jeśli nie, kadłub zacznie ściągać na boki i trudno będzie zachować nad nim kontrolę.

Z holownika spuszczone na wodę motorówkę, w której Brown i czterech innych marynarzy podплыło pod dziób wraku. Nie byli sami - wokół ich łodzi krążyło stado rekinów. Jakimś szóstym zmysłem wyczuwały, że gdy statek ma kłopoty, w wodzie można znaleźć parę smakowitych kąsków.

Wejście na wrak nie było łatwe. Metal śródkręcia był zbyt rozgrzany, jednak dziób uniknął szalejących płomieni. Zwiślało z niego około trzydziestu lin, wśród nich dwie drabinki z drewnianymi szczeblami. Sternik zatrzymał motorówkę pod jedną z drabinek. W celu lepszego manewrowania łódź stanęła tyłem do fal.

Brown ruszył pierwszy. Obserwując pilnie rekiny, stanął na krawędzi burty i złapał równowagę, a następnie chwycił oburącz drabinę. Gdy motorówka uniosła się nieco na grzbiecie fali, przeszedł na jeden ze szczebli i spokojnie zaczął wspinać się w górę, pokonując niemal piętnastometrową wysokość w ciągu trzech minut. Na samym szczycie złapał reling i wciągnął się do forpiku. Następnie przesunął jedną z lin, jakich wcześniej używali rozbitkowie, aż znalazła się w rękach załogi motorówki. Przywiązano do niej koniec innej liny, ciągniętej przez motorówkę od holownika.

Trzej inni marynarze wspięli się na wrak, wspólnymi siłami wybrali stalową linę na pokład i zamocowali ją na ogromnej wyciągarce, którą zainstalowano tu w zupełnie innym celu. Końcówkę podano marynarzowi w motorówce, a ten zawrócił do holownika, gdzie linę przymocowano do kabla zwiniętego na ogromnej windzie holowniczej. Zanim Brown dał sygnał do jej włączenia, jeden z marynarzy pokrył smarem wyciągarce.

“Emerald Dolphin” był pozbawiony zasilania, więc wciągnięcie na pokład potężnej liny holowniczej o średnicy dwudziestu centymetrów i wadze trzydziestu kilogramów na metr bieżący okazało się niełatwym zadaniem. Wyciągarki na liniowcu użyto jako bloku. Po włączeniu, winda holownicza zaczęła wciągać łączącą oba statki linę na niewielki bęben, przymocowany do głównej szpuli. Pięciocentymetrowy kabel, przyczepiony do jednego końca liny, przechodził przez wyciągarce na liniowcu, a następnie wracał na holownik. Drugi koniec kabla ciągnął za sobą linę, którą na dziobie wraku przymocowano do łańcuchów kotwicznych za pomocą wielkich szekli. Innego zaczepu nie było - znajdował się bowiem na niższym pokładzie, strawionym przez ogień.

- Lina przymocowana - zameldował Brown przez radio. - Wracamy na pokład.
- Przyjąłem.

Zwykle na pokładzie holowanego statku pozostałaby niewielka załoga, lecz w tym



wypadku nie wiadomo było, jakie są uszkodzenia kadłuba. Przebywanie na wraku wiązało się z dużym ryzykiem. Gdyby statek zaczął nagle tonąć, mogło zabraknąć czasu na ewakuację.

Brown i jego ludzie zeszli po drabince do motorówki. Gdy tylko przyjęto ich na pokład holownika, McDermott kazał ruszyć z minimalną szybkością. Brown, obsługujący winde holowniczą, oddawał linę do chwili, aż liniowiec znalazł się ćwierć mili za rufą. Wtedy włączył blokadę, lina naprężyła się i "Audacious" powoli ruszył do przodu.

Załoga holownika wstrzymała oddech, patrząc, jak zareaguje "Emerald Dolphin". Wolno, centymetr po centymetrze, wielki dziób zaczął rozcinać falę. Wszyscy stali nieruchomo, lecz gigantyczny wrak szedł prostą linią dokładnie w kilwaterze holownika. Wciąż trawiony ogniem kadłub płynął równo, nie szamocząc się na boki. Załoga odetchnęła z ulgą.

Dziesięć godzin później "Audacious" ciągnął olbrzymi wrak. Ogień już przygasł, płomienie widać było jedynie wśród powykręcanych elementów nadbudówki. Księżyc znikł za zasnuwającymi całe niebo ciężkimi chmurami. W ciemnościach trudno było ocenić, gdzie znajduje się granica między morzem i niebem.

Wielki reflektor zamontowany na holowniku oświetlał wrak i marynarze pełnili wachty, uważając, by ciągnięty kadłub nie schodził z kursu. Po północy na stanowisku obserwacyjnym zjawił się kucharz. Usiadł na składanym leżaku, który zawsze przynosił z kambuza, żeby w wolnych chwilach zażywać kąpieli słonecznych. Było zbyt gorąco i wilgotno na kawę, popijał więc dietetyczną pepsi. Kilka jej puszek leżało w wiaderku z lodem. Z napojem w dłoni zapalił papierosa, odchylił się do tyłu i spoglądał na monumentalny kształt za rufą.

Po dwóch godzinach niemal przysypiał, zwalczając zmęczenie za pomocą dziesiątego papierosa i trzeciej pepsi. "Emerald Dolphin" znajdował się tam, gdzie powinien. Kucharz wyprostował się i lekko przekrzywił głowę na odgłos łomotu, który dobiegł z wnętrza kadłuba. Dźwięk przypominał grzmot dobiegający zza horyzontu; kilka uderzeń, następujących w kilkusekundowych odstępach. Kucharz zmrużył oczy. W pierwszym odruchu pomyślał, że to wytwór jego wyobraźni, lecz po chwili dostrzegł jakiś ruch. Zrozumiał, że wrak osiadł głębiej w wodzie.

Spalony kadłub szedł lekko z kursu, by moment później wrócić na prostą. W świetle reflektora widać było dym, unoszący się ze śródokręcia i znikający w ciemności. Kuk poczuł panikę.

"Emerald Dolphin" tonął, zanurzał się coraz szybciej.

Kucharz podbiegł do mostka.

- On tonie! Jezus Maria, tonie!

McDermott usłyszał hałas i wypadł z kabiny. Nie pytając o nic, rzucił okiem na holowany wrak. Zrozumiał błyskawicznie, że jeśli nie przetną liny, statek pociągnie ich na dno, znajdujące się sześć kilometrów pod powierzchnią wody. Brown także zorientował się w sytuacji. Obaj pobiegli do windy holowniczej.

Z wysiłkiem zwolnili blokadę i zaczęli rozwijać linę, która znikła w morzu, ciągnąc w dół dziób liniowca. Lina rozwijała się z bębna z coraz większą szybkością. McDermott i Brown mieli nadzieję, że jej końcówka zerwie się z mocujących klamer, uwalniając holownik. W przeciwnym razie "Audacious" pójdzie na dno rufą w dół.

Wrak zanurzał się coraz głębiej. Jego dziób był już pod wodą. Kadłub przechylał się do przodu pod kątem piętnastu stopni, lecz mimo to statek tonął szybko. Zmęczony metal brzęczał głośno - rozgrzane ogniem, poddane działaniu ciśnienia wody gradzie wykrzywiały się i gięły. Ster i wielkie pędniki strumieniowe wynurzyły się z wody. Rufa wisiała nad powierzchnią morza przez kilka sekund, po czym ruszyła w ślad za dziobem w czeluście oceanu. Statek nikał pod wodą coraz szybciej, aż wreszcie pozostały po nim jedynie bąble powietrza na powierzchni.

Na wielkim bębnie pozostał ostatni zwój liny, która nagle naprężyła się, pociągając w dół rufę holownika. Dziób uniósł się wysoko nad wodę. Załoga zamarła w bezruchu, wpatrując się w bęben. Ostatni obrót i cały kabel znalazł się w wodzie. Nadszedł punkt kulminacyjny dramatu.

Rozległ się przeraźliwy gwizd, końcówka liny wystrzeliła z bębna i znikła w oceanie. Pozbawiony ciężaru holownik gwałtownie wrócił do równowagi, kołysząc się na kilu w przód i w tył. Śmierć minęła ich o włos.

Napięcie powoli opadło, Brown mruknął:

- Nie wiedziałem, że statek może zatonać tak błyskawicznie.

- Ja też - powiedział McDermott. - Wyglądało, jakby odpadło mu dno.

- Straciliśmy linę wartą milion funtów. Nasi szefowie nie będą zachwyceni.

- Nie mieliśmy wyboru. Wszystko stało się tak szybko. - McDermott przerwał i uniósł rękę. - Posłuchajcie! - zawołał.

Wszyscy spojrzeli tam, gdzie zniknął "Emerald Dolphin".

- Ratunku! - dobiegło ich z ciemności wołanie.

McDermott przez chwilę myślał, że któryś z marynarzy wypadł za burtę, ale jeden rzut oka na pokład wystarczył mu, by stwierdzić, że wszyscy są obecni. Krzyk rozległ się ponownie, teraz jednak był słabszy, ledwie słyszalny.

- Tam ktoś jest - powiedział kuk, wskazując kierunek, skąd dobiegał głos.

Brown podbiegł do reflektora i skierował strumień światła na wodę. Sto metrów za rufą zobaczył ciemną twarz mężczyzny, ledwie widoczną na tle czarnej wody.

- Możesz podpłynąć do łodzi? - krzyknął Brown.

Nie było odpowiedzi, ale mężczyzna miał widać jeszcze sporo sił, bo zaczął równo płynąć w kierunku holownika.

- Rzuć mu linę - polecił Brown jednemu z marynarzy - i wciągnij na pokład, zanim dopadną go rekiny.

Mężczyzna chwycił zbawczą linę, a dwaj marynarze pomogli mu wejść na pokład holownika.

- To aborygen - powiedział Brown. - Rodowity Australijczyk.

- Ma zbyt kręcone włosy - zauważył McDermott. - Wygląda raczej na Afrykanina.

- Ma na sobie mundur oficera.

McDermott spojrzał pytająco na rozbitka.

- Skąd pan się tu wziął?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Myślałem, że to oczywiste. Jestem, a raczej byłem, oficerem do spraw obsługi pasażerów na "Emerald Dolphin".

- Jak to się stało, że został pan na wraku, skoro zabrano stamtąd wszystkich? - spytał Brown. Był zdumiony, że mężczyzna nie ma żadnych obrażeń. Poza mokrym mundurem nie widać było na nim śladu dramatycznych przeżyć.

- Upadłem i uderzyłem się w głowę, gdy pomagałem pasażerom ewakuować się na statek badawczy. Pewnie uznano, że nie żyję, i zostawiono mnie. Kiedy odzyskałem świadomość, "Emerald Dolphin" był już na holu.

- Musiał pan leżeć nieprzytomny całą dobę - rzeki sceptycznie McDermott.

- Na to wygląda.

- To niesamowite, że pan nie spłonął.

- Miałem niebywale szczęście. Wpadłem w korytarz, którego nie strawiły płomienie.

- Mówi pan z amerykańskim akcentem.

- Pochodzę z Kalifornii.

- A jak się pan nazywa?

- Sherman Nance.

- No cóż, panie Nance - powiedział McDermott - niech pan lepiej zdejmie ten mokry mundur. Jest pan podobnej postury co pierwszy oficer Brown, który może panu pożyczyć

suche ubranie. Potem niech pan idzie do kuchni. Musi pan być mocno odwodniony i głodny. Dopilnuję, by kucharz dał panu coś do picia i solidny posiłek.

- Dziękuję, panie kapitanie...

- McDermott.

- Bardzo chce mi się pić.

Gdy kucharz zabrał Nance'a pod pokład, Brown spojrzął na kapitana.

- To po prostu nieprawdopodobne, że wyszedł z pożaru bez najmniejszego zadrapania czy oparzenia.

McDermott w zamyśleniu pocierał podbródek.

- Masz rację. - Westchnął. - Ale to nie nasz problem. Mam teraz na głowie nieprzyjemny obowiązek powiadomienia dyrekcji o utraceniu jej cennego holu i naszego wraku.

- Statek nie powinien tego zrobić - mruknął Brown zajęty własnymi myślami.

- Czego?

- Najpierw płynie spokojnie, a za chwilę idzie na dno. Nie powinien zatonać tak szybko. To nie jest normalne.

- Zgadzam się. - McDermott wzruszył ramionami. - Ale nie mamy na to wpływu.

- Faceci z ubezpieczeń nie ucieszą się, jeśli nie będą mieli co zbadać.

McDermott kiwnął głową.

- Gdy nie ma materiału dowodowego, sprawa na zawsze pozostanie wielką morską zagadką.

Podszedł do reflektora i wyłączył go, pogrążając grób liniowca w nieprzeniknionej ciemności.

Kiedy "Audacious" dotarł do Wellington, mężczyzna uratowany z morza gdzieś zniknął. Funkcjonariusze służby imigracyjnej przysięgali, że nie zszedł po trapie, gdyż w przeciwnym wypadku zatrzymaliby go, aby udzielił wyjaśnień w sprawie pożaru i tragicznego końca liniowca. McDermott stwierdził, że Sherman Nance musiał opuścić holownik w jedyny możliwy sposób - skacząc za burtę, kiedy jednostka cumowała w porcie.

Gdy McDermott składał zeznania przed pracownikami firmy ubezpieczeniowej, poinformowano go, że na liście załogi "Emerald Dolphina" nie figuruje żaden Sherman Nance.

“Earl of Wattlesfield” czekał w pobliżu. Załoga “Deep Encounter” odszukała dryfujące w morzu miniaturowe łodzie podwodne i wciągnęła je na pokład. Gdy zostały zamocowane, kapitan Burch powiadomił o tym kapitana Nevinsa i oba statki ruszyły do Wellington.

Straszliwie zmęczony Pitt posprzątał swoją niewielką kabinę, w której jakimś cudem koczowało aż czterdzieści osób. Bolały go mięśnie, co - jak stwierdził w ostatnim czasie - było symptomem starzenia się. Wrzucił ubrania do worka i wszedł pod prysznic. Odkręcił gorącą wodę, położył się na plecach w brodziku i oparł nogi o ściankę na wysokości mydelniczki. W tej pozycji zasnął i drzemał tak przez dwadzieścia minut. Obudził się rześki, choć wciąż obolały. Umył się, wytarł, wyszedł z kabiny i spojrzął w wiszące nad mosiężną umywalką lustro.

Twarz i ciało, które zobaczył, wyglądały inaczej niż dziesięć lat temu. Choć nie zaczął jeszcze łysieć, gęste, kręcone włosy były na skroniach mocno przyprószone siwizną. Przenikliwe, zielone oczy pod krzaczastymi brwiami nadal błyszczały. Odziedziczył je po matce: miały hipnotyczną właściwość wnikania w duszę wszystkich ludzi, jakich spotykał. Działały zwłaszcza na kobiety, które dostrzegały w nich głębię osobowości prawdziwego, godnego zaufania mężczyzny.

Na twarzy widać było jednak nieuchronne ślady postępującego wieku. W kącikach oczu pojawiały się zmarszczki, skóra straciła dawną elastyczność, była mniej gładka, zniszczona. Bruzdy wokół policzków i czoła stały się jeszcze bardziej wyraziste. Nos pozostał na razie dość prosty, mimo że już trzykrotnie był złamany. Pitt nie był przystojny jak Errol Flynn, ale jego wygląd zwracał ogólną uwagę.

Tak, pomyślał. Z twarzy przypominał matkę, natomiast wzrost i szczupłą sylwetkę, a także pełne humoru podejście do życia - z pewnością miał po ojcu i jego przodkach.

Delikatnie dotknął kilku blizn, pamiątek po przygodach, które przeżył podczas dwudziestoletniej służby w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Ukończył Akademię Lotniczą i nadal miał stopień majora sił powietrznych, skorzystał jednak ze sposobności, by służyć pod admirałem Jamesem Sandeckerem w nowo powstałej agencji badań morskich. Nigdy się nie ożenił, chociaż był już blisko podjęcia tej życiowej decyzji - od wielu lat łączył go związek z kongresmanką Loren Smith, jednak ich kariery i życie

okazały się zbyt skomplikowane. Jego praca w NUMA i jej zaangażowanie w Kongresie uniemożliwiały zawarcie małżeństwa.

Dwie poprzednie przyjaciółki zginęły w tragicznych okolicznościach: Summer Moran w podwodnym trzęsieniu ziemi niedaleko Hawajów, a Maeve Fletcher zastrzelona przez swoją siostrę u wybrzeży Tasmanii.

Summer wciąż pojawiała się w jego snach. Widział, jak nurkuje w poszukiwaniu ojca, który utknął w podwodnej grocie. Jej cudowne ciało i wspaniałe rude włosy znikwały w zielonych wodach Pacyfiku. Kiedy wychylił się na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, i zobaczył, że Summer wciąż nie ma, chciał wrócić po nią w głębinę. Czekający na łodzi koledzy powstrzymali go siłą.

Od tamtej pory żył tylko pracą na morzu i pod jego powierzchnią. To woda stała się jego ukochaną. Mieszkał w starym hangarze na skraju waszyngtońskiego lotniska Ronalda Reagana - mieściła się w nim jego kolekcja samochodów i samolotów. Ale najszczęśliwszy był wtedy, kiedy wraz z ekspedycją pływał na statku badawczym po morzach świata.

Westchnął, włożył szlafrok frotte i położył się na łóżku. Już prawie zasypiał, bo naprawdę zasłużył sobie na odpoczynek, gdy wtem przypomniał sobie coś i gwałtownie usiadł. W jego myślach pojawił się obraz dziewczyny z teczką w ręku. Coraz bardziej dziwił się, że nie widział, jak zeszła z pokładu na szalupę kontenerowca. I nagle wszystko zrozumiał.

Wcale nie zeszła z "Deep Encounter". Ukryła się gdzieś na statku.

Walcząc z sennością, wstał i szybko się ubrał. Pięć minut później rozpoczął poszukiwania od rufowej części pokładu. Zaglądał do każdego zakamarka w pomieszczeniu generatora, maszynowni, magazynach ze sprzętem naukowym. Posuwał się powoli, gdyż między aparaturą można było urządzić dziesiątki kryjówek.

Sprawdzając magazyn części zamiennych niemal pominął coś, co w tylko niewielkim stopniu mogło budzić podejrzenia. Zauważył kilka dużych puszek z olejem, równo ustawionych na stole warsztatowym. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie, jednak Pitt wiedział, że puszki powinny stać w przeznaczonej na nie drewnianej skrzyni. Cichutko podszedł do niej i uchylił wieko.

Kelly Egan spała mocno. Zaciśnęła dłonie na teczce opartej o ściankę skrzyni. Uśmiechnął się, wyrwał kartkę z zeszytu wiszącego na grodzi i napisał:

*Droga Pani,*

*Kiedy się Pani obudzi, proszę przyjść do mojej kabiny numer 8 na pokładzie drugim.*

*Dirk Pitt*

Po krótkim namyśle dopisał:

*Czekam z kolacją.*

Delikatnie położył kartkę na jej piersi, cicho zamknął wieko i ostrożnie wyszedł z magazynu.

Tuż po siódmej wieczorem Kelly lekko zapukała do drzwi kabiny Pitta. Stała zawstydzona z opuszczonymi oczami, trzymając w dłoni tajemniczy neseser. Delikatnie wprowadził ją do środka.

- Na pewno jest pani głodna - powiedział wesoło, żeby wiedziała, że nie jest na nią zły.

- Pan się nazywa Dirk Pitt?

- Tak, a pani...?

- Kelly Egan. Przepraszam, że sprawiłam panu tyle...

- To żaden kłopot - przerwał. Wskazał ręką biurko, gdzie postawił tacę z kanapkami i dzbanek mleka. - Nie jest to wykwintna kolacja, ale z tego, co zostało na statku, nic lepszego nie dało się zrobić. - Podał jej damską bluzkę i szorty. - Jedna z moich koleżanek, która jest mniej więcej pani wzrostu, pożyczyła mi to ubranie. Proszę zjeść, a potem wziąć prysznic. Wrócę za pół godziny i wtedy porozmawiamy.

Kiedy wrócił, Kelly była już wykąpana, zdążyła też zjeść niemal wszystkie kanapki z serem i szynką. W dzbanku pozostało niewiele mleka. Usiadł w fotelu naprzeciwko dziewczyny.

- Czy już czuje się pani jak człowiek?

Z uśmiechem kiwnęła głową. Przypominała uczennicę, przyłapaną na psocie.

- Na pewno zastanawia się pan, dlaczego nie zesłam ze statku.

- Owszem, przyszło mi to do głowy.

- Bałam się.

- Kogo? Mężczyzny, który napadł na pani ojca i panią? Miło mi poinformować, że dołączył do ofiar katastrofy.

- Był jeszcze drugi - powiedziała z wahaniem. - Oficer z "Emerald Dolphina". Pomagał temu rudemu, który chciał mnie zamordować. Razem próbowali ukraść teczkę ojca i myślę, że jego też chcieli zabić. Ale coś im nie wyszło i tylko wepchnęli ojca do wody...

- A on zabrał ze sobą teczkę - dokończył Pitt.

- Tak. - Na wspomnienie śmierci ojca w jej oczach stanęły łzy. Pitt podał jej chusteczkę. Otarła twarz i spojrzała na materiał. - Nie sądziłam, że mężczyźni jeszcze noszą takie chustki. Myślałam, że wszyscy używają papierowych.

- Reprezentuję starą szkołę - powiedział cicho. - Nigdy nie wiadomo, kiedy można spotkać prawdziwą damę.

Spojrzał zdziwiona.

- Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak pan - wyznała z lekkim uśmiechem.

- Mój gatunek nie żyje w stadach. Czy może pani opisać tego oficera?

- Tak, to wysoki Murzyn, myślę, że Amerykanin, podobnie jak większość załogi.

- Dziwne, że czekali z napaścią aż do pożaru.

- To nie był pierwszy atak na ojca - powiedziała ze złością. - Opowiadał mi, że kilkakrotnie mu grożono.

- Ale co jest na tyle ważne, że kosztowało pani ojca życie? - spytał Pitt, wskazując teczkę, stojącą na podłodze.

- Mój ojciec nazywa... - urwała - nazywał się doktor Elmore Egan, i był geniuszem. Specjalizował się w mechanice i chemii.

- Znam to nazwisko - powiedział Pitt. - Doktor Egan był znanym wynalazcą, prawda? To on skonstruował kilka różnych typów silników okrętowych? O ile sobie przypominam, wynalazł także bardzo wydajne paliwo do diesli, używane teraz powszechnie w przemyśle transportowym.

- Wie pan o tym? - zdziwiła się.

- Sam jestem inżynierem - przyznał. - Nie zrobiłbym dyplomu, gdybym nie słyszał o pani ojcu.

- Ostatnio zajmował się silnikami magnetohydrodynamicznymi.

- Takimi, jakie miał "Emerald Dolphin"?

Milcząco przytaknęła.

- Muszę wyznać, że nie znam się na nich. Czytałem gdzieś, że taka technologia zostanie wprowadzona dopiero za trzydzieści lat, więc informację o zainstalowaniu silników magnetohydrodynamicznych na statku wycieczkowym przyjąłem ze zdumieniem.

- Jak wszyscy. Ale tata wymyślił coś zupełnie nowego. Odyskiwał energię elektryczną z morskiej wody, która dopiero potem przepływała przez umieszczony w silnym polu magnetycznym kanał, utrzymywany za pomocą ciekłego helu w temperaturze zera bezwzględnego. Wytworzony w ten sposób prąd dostarczał energii, pompującej wodę przez pędniki.



- Czyli jedynym źródłem energii jest woda morska?

- Solanka wytwarza bardzo małe pole elektryczne. Ojciec wynalazł metodę wielokrotnego zwiększania go, by generować energię.

- Trudno wyobrazić sobie silnik z niewyczerpalnym źródłem paliwa.

Na twarzy Kelly odmalowała się duma.

- Wyjaśnił mi...

- Pani z nim nie pracowała? - przerwał.

- Nie, prawie wcale. - Po raz pierwszy roześmiała się. - Rozczarowałam go. Nie potrafię myśleć abstrakcyjnie. Nigdy nie mogłam sobie poradzić z algebrą. Rozwiązywanie równań było ponad moje siły. Skończyłam studia ekonomiczne w Yale. Pracuję jako analityk handlowy dla firmy konsultingowej, a nasi klienci to domy towarowe i tanie sklepy.

Pitt uśmiechnął się.

- Nie jest to tak podniecające jak wymyślanie nowych form energii.

- Może nie - pochyliła powoli głowę w taki sposób, że jasnobrązowe włosy owinęły się wokół szyi i opadły na ramiona. - Ale zarabiam dość dobrze.

- Co sprawiło, że ojcu udało się udoskonalić technologię silników magnetohydrodynamicznych?

- W początkowej fazie projektu natknął się na poważną przeszkodę. Eksperymentalny silnik, mimo wspaniałych osiągnięć sprawnościowych, charakteryzował się nadmiernym tarciem. Silniki pracowały na wysokich obrotach jedynie przez kilka godzin, a potem stawały. Ojciec i jego współpracownik i przyjaciel, Josh Thomas, inżynier chemik, wynaleźli nowy olej, stokrotnie wydajniejszy od powszechnie używanych. Wtedy ojcu udało się stworzyć silnik, który działał bez przerwy przez wiele lat.

- A więc to ten cudowny olej umożliwił mu przeniesienie silnika z deski kreślarskiej do rzeczywistości.

- Tak. Po zakończonych powodzeniem próbach, dyrektorzy kompanii Blue Seas Cruise Lines zwrócili się do ojca w sprawie zainstalowania nowych silników na "Emerald Dolphinie", który właśnie budowano w stoczni w Singapurze. Powstawała tam także luksusowa pasażerska łódź podwodna, ale nie pamiętam jej nazwy. Dali mu wyłączność na budowę silników.

- Czy można odtworzyć skład chemiczny oleju?

- Skład tak, ale nie proces jego produkcji. Tego się nie da powtórzyć.

- Przypuszczam, że ojciec zabezpieczył się patentami.

- Oczywiście - pokiwała energicznie głową. - Razem z Joshem Thomasem otrzymali

co najmniej trzydzieści dwa patenty za projekty silników.

- A za olej?

Zawahała się, wreszcie pokręciła głową.

- Wolał zatrzymać to dla siebie. Nie ufał nawet urzędowi patentowemu.

- Doktor Egan mógł zostać bardzo bogatym człowiekiem, gdyby zawarł umowy licencyjne na produkcję oleju i silników.

Kelly wzruszyła ramionami.

- Podobnie jak pan, ojciec nie chodził tymi samymi ścieżkami, co inni ludzie. Chciał, żeby świat korzystał z jego odkryć i gotów był przekazać je za darmo. Poza tym zajmował się jeszcze czymś. Mówił mi, że pracuje nad jeszcze większym odkryciem, które będzie miało ogromny wpływ na przyszłość ludzkości.

- Powiedział pani, czego to dotyczy?

- Nie. Był skryty. Wolał, żebym o niczym nie wiedziała.

- Bardzo rozsądnie. Chciał panią ochronić przed tymi, którzy zechcą wykraść mu tajemnicę.

W oczach Kelly pojawił się smutek.

- Po śmierci mamy nigdy nie zbliżyłam się do ojca. Dobrze się mną opiekował, ale na pierwszym miejscu stawiał swoją pracę. Myślę, że zaprosił mnie na ten rejs, abyśmy mogli lepiej się poznać.

Pitt siedział w milczeniu. Potem znów spojrzał na teczkę.

- Nie sądzi pani, że nadszedł czas, by ją otworzyć?

Zakryła dłońmi twarz.

- Chciałabym, ale boję się.

- Czego? - spytał cicho.

Zarumieniła się jakby ze wstydu, albo bardziej obawy przed tym, co może znaleźć w środku.

- Nie wiem.

- Nie jestem złodziejem, który ucieknie z dokumentami. Będę spokojnie siedział po drugiej stronie kabiny, a pani zajrzy do teczki. Ja niczego nie zobaczę.

Nagle wszystko wydało się jej śmieszne. Roześmiała się, kładąc sobie teczkę na kolanach.

- Wie pan co? Nie mam najmniejszego pojęcia, co jest w środku. Przypuszczam, że to kupa notatek ojca, zapisanych tymi jego niezrozumiałymi bazgrołami.

- Więc może warto rzucić na nie okiem.

Zawahała się, wreszcie powoli, jakby otwierała pudełko z niespodzianką na sprężynie, zwolniła zatrzaski i uchyliła wieko nesesera.

- Boże! - Nabrała gwałtownie powietrza.

- Co się stało? - Pitt wyprostował się w fotelu.

Jakby w zwolnionym tempie odwróciła teczkę i położyła ją na biurku.

- Nie rozumiem - wyszeptała. - Przecież nie wypuściłam jej z ręki.

Pitt pochylił się i zajrzał do środka.

Teczka była pusta.

Dwieście mil od Wellington urządzenia meteorologiczne przepowiadały czyste niebo i spokojne morze przez kolejne cztery dni. “Deep Encounterowi” nie groziło już niebezpieczeństwo zalania lub zatonięcia, więc kapitan Nevins wydał rozkaz, by kontenerowiec nabrał szybkości.

Chciał jak najprędzej dotrzeć do portu. Im szybciej “Earl of Wattlesfield” znajdzie się w Wellington, tym lepiej. Zapasy żywności były na wyczerpaniu, gdyż na pokładzie przebywały dwa tysiące niespodziewanych pasażerów.

Kapitan Nevins doprowadził statek do Wellington sześć godzin przed przybyciem tam “Deep Encounter”. Załogę i rozbitków oczekiwało gorące powitanie. U nabrzeża zebrały się tysiące ludzi z radością witających tych, którzy cudownym zrządzeniem losu przeżyli najgorszy pożar w historii żeglugi.

Cały kraj ogarnęła fala współczucia dla rozbitków i ofiar katastrofy. Dla pasażerów stanęły otworem wszystkie domy. Zewsząd napływała żywność i ubrania. Celnicy przepuszczali wszystkich bez zbędnych pytań, ponieważ większość pasażerów utraciła paszporty w płomieniach. Linie lotnicze zorganizowały dodatkowe rejsy, by dostarczyć rozbitków do domów. W komitecie powitalnym znaleźli się przedstawiciele rządu Nowej Zelandii oraz ambasador Stanów Zjednoczonych. Tłum dziennikarzy oblegał rozbitków, którzy chcieli jak najszybciej zejść na ląd i skontaktować się z rodzinami i przyjaciółmi. Wszystkie gazety i stacje telewizyjne relacjonowały bohaterką akcją ratunkową, jaką przeprowadzili marynarze i naukowcy z “Deep Encounter”.

Wszczęto też śledztwo, mające wyjaśnić przyczyny katastrofy. Pasażerowie chętnie odpowiadali na pytania, dotyczące działań podjętych przez załogę w czasie pożaru. Członkowie załogi, zobligowani przez prawników do zachowania milczenia, zamieszkali w hotelach, gdzie mieli pozostać aż do momentu złożenia oficjalnych zeznań.

Przybycie statku badawczego wywołało wśród oczekujących prawdziwą euforię. Gdy “Deep Encounter” przeszedł przez Cieśninę Cooka i zmierzał do Wellington, wyszła mu na spotkanie flotylla złożona z kilku setek prywatnych jachtów. Eskortujące statki pożarnicze wystrzeliwały w niebo pióropusze wody, tworzące w promieniach słońca przepiękne tęcze.

Zebrałe tłumy podziwiała zdartą turkusową farbę i powyginane poszycie burt,

rozbitych o kadłub liniowca. Kapitan Burch musiał użyć megafonu, podczas cumowania, by przekrzyczeć wiwatujących, klaksony tysięcy aut, dzwony kościelne i syreny okrętowe. Na pokład spadły tony serpentyn i prawdziwy deszcz konfetti.

Nie mieli pojęcia, że zostaną obwołani bohaterami na międzynarodową skalę. Dziwiła ich huczna ceremonia, przygotowana specjalnie dla nich. Już nie wyglądali na zmęczonych. Na widok podpływających jachtów pośpiesznie odświeżyli się, uczesali i włożyli najlepsze ubrania. Kobiety były w sukienkach, naukowcy w luźnych spodniach i sportowych marynarkach, marynarze zaś włożyli mundury. Cała załoga zebrała się na pokładzie roboczym, gdzie nie było już sprzętu, z wyjątkiem dwóch miniaturowych łodzi podwodnych. Wesoło machali przybyłym na spotkanie tłumom.

Kelly stała obok Pitta na pomoście. Chyba martwiła się, że w uroczystym powitaniu nie może uczestniczyć jej ojciec. Spojrzała Pittowi w oczy.

- Pora się rozstać.

- Wraca pani do Stanów?

- Gdy tylko uda mi się zarezerwować bilet na najbliższy lot do domu.

- A co pani nazywa domem?

- Nowy Jork - odpowiedziała, chwytając spadającą serpentynę. - Mam dom z czerwonego piaskowca na Upper West Side.

- Mieszka pani sama?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Z burym kotkiem imieniem Zippy i basetem. Wabi się Shangasty.

- Nieczęsto tam bywam, ale przy najbliższej okazji zaproszę panią na kolację.

- Chętnie. - Zapisała mu numer telefonu na skrawku papieru.

- Będzie mi pani brakowało, Kelly Egan.

Spojrzała w jego niesamowite oczy i zrozumiała, że to nie żarty. Poczula, że kolana uginają się pod nią. Złapała reling. Co się dzieje? Nieoczekiwanie dla samej siebie, stanęła na palcach, objęła Pitta za szyję i wycisnęła na jego ustach długi pocałunek. Zamknęła oczy, ale on patrzył na nią mile zaskoczony.

Odstąpiła krok do tyłu i opanowała się szybko.

- Dziękuję za uratowanie życia i za wszystko, co dla mnie uczyniłeś. - Zrobiła kilka kroków i odwróciła się jeszcze raz. - Aha,teczka mojego ojca.

- Tak? - spytał, nie wiedząc, co miała na myśli.

- Jest twoja.

A potem zeszła schodkami na pokład roboczy. Gdy tylko przerzucono trap, zniknęła w

tłumie reporterów.

Pitt zostawił zaszczyty i liczne bankiety Burchowi i innym. Sam siedział na statku i za pomocą telefonu satelitarnego przekazał pełny raport admirałowi Sandeckerowi do Waszyngtonu.

- "Deep Encounter" uległ niewielkim uszkodzeniom - wyjaśnił. - Uzgodniłem z dyrekcją miejscowej stoczni, że rano statek zostanie zabrany do suchego doku. Szacunkowy czas naprawy określono na trzy dni.

- Prasa i telewizja ciągle mówią o waszej akcji ratunkowej - odparł admirał. - Z samolotów wykonano fantastyczne zdjęcia płonącego liniowca i "Deep Encounter". Bez przerwy odbieramy telefoniczne gratulacje, a w budynku kłębi się tłum dziennikarzy. W imieniu agencji dziękuję serdecznie całej załodze.

Pitt wyobrażał sobie admirała, siedzącego w gabinecie i pęczniejącego z dumy. Sandecker uwielbiał być centrum zainteresowania. Oczami duszy Pitt widział rude, lekko farbowane włosy, szpiczastą bródkę a la van Dyke, błękitne oczy błyszczące z zadowolenia jak neony. Niemal czuł zapach słynnych cygar admirała.

- Czy to znaczy, że wszyscy dostaniemy podwyżkę? - spytał sarkastycznie.

- O, nie - uciął Sandecker. - Za pieniądze nie da się kupić chwały.

- Ale jakaś premia byłaby mile widziana.

- Nie przeciągaj struny. Masz szczęście, że nie potracę ci z pensji kosztów naprawy statku.

Pitta nie zmyliła gburowatość admirała. Wśród pracowników NUMA miał opinią bardzo hojnego. Pitt gotów był założyć się, że już wystawiał czeki z premią dla wszystkich. I wcale się nie pomylił. Nie dlatego, że Sandecker nie oszczędzał funduszy swojej ukochanej agencji. Pitt nie potrzebował kryształowej kuli, by domyślić się, że admirał już planował, w jaki sposób wykorzystać akcję ratowniczą i jej światowy rozgłos, by uzyskać od Kongresu dodatkowe pięćdziesiąt milionów dolarów w przyszłorocznym budżecie.

- Mógłby pan potracić za coś jeszcze - odezwał się tonem niegrzecznego dziecka. - Aby nie zatonać, musieliśmy wyrzucić za burtę większość sprzętu.

- Łodzie podwodne też? - Sandecker spoważniał.

- Opuściliśmy je na wodę, ale potem wróciły na pokład.

- To dobrze. Będą wam potrzebne.

- Nie rozumiem, admirale. Połowa sprzętu leży na dnie, więc nie będziemy mogli sporządzić map geologicznych dna Rowu Tonga, co, jak wiadomo, było naszym zadaniem.

- Nie to zadanie miałem na myśli - odparł powoli admirał. - Odnajdziecie "Emerald

Dolphina”. Wasze obecne zadanie to zbadać wrak i uzyskać materiał dowodowy, wyjaśniający przyczynę pożaru i raptownego zatonięcia statku. - Przerwał. - Chyba wiesz, że w niewyjaśniony sposób zatonął podczas holowania.

- Tak, przysłuchiwaliśmy się rozmowom kapitana holownika z biurem na lądzie.

- “Deep Encounter” to jedyny statek w promieniu tysiąca mil, który może podjąć się tej misji.

- Badanie z pokładu łodzi podwodnej ogromnego wraku, leżącego na głębokości sześciu kilometrów to nie to samo, co przesiewanie popiołów po spalonym domu. Poza tym musieliśmy też pozbyć się żurawia.

- Więc kupcie lub wynajmijcie inny. Zróbcie, co się da, żeby odnaleźć jakieś dowody. Przemysł stoczniowy wyłoży pieniądze bez względu na rezultat waszej pracy, a firmy ubezpieczeniowe chętnie opłacą wysiłki NUMA.

- Nie jestem ekspertem od pożarów. Czego konkretnie mam szukać?

- Nie martw się - odparł Sandecker. - Przyślę kogoś, kto ma doświadczenie w dziedzinie katastrof morskich. Jest także specjalistą, jeśli chodzi o pracę na dużych głębokościach.

- Znam go?

- Powinieneś - rzekł powściągliwie Sandecker. - To twój zastępca.

- Al Giordino! - zawołał uszczęśliwiony Pitt. - Myślałem, że wciąż pracuje nad projektem “Atlantis” na Antarktydzie.

- Już nie. Teraz jest w samolocie i jutro rano powinien wylądować w Wellington.

- Nie mógł pan znaleźć nikogo lepszego.

Sandecker uwielbiał drażnić się z Pittem.

- Owszem - powiedział chytrze. - Sądziłem, że tak właśnie sobie pomyślisz.

Albert Giordino schodził po trapie z górnej krawędzi suchego doku na pokład "Deep Eucontera", taszcząc na potężnym ramieniu staromodny kufer, oblepiony kolorowymi plakietkami hoteli z całego świata. Jedną ręką trzymał pasek przymocowany do metalowej skrzyni, oplecionej drewnianymi listwami, w drugiej niósł równie stary, skórzany worek. Na końcu trapu zatrzymał się i zrzucił ładunek na pokład. Rozejrzał się po pustym statku. Jeśli nie liczyć stoczniowców, naprawiających kadłub, nie było nikogo.

Barki Giordina niemal dorównywały szerokością jego wzrostowi. Mierzył tylko sto sześćdziesiąt centymetrów, a jego niesamowicie umięśnione ciało ważyło niemal osiemdziesiąt kilogramów. Włoskie pochodzenie zaznaczało się w oliwkowym kolorze skóry, czarnych kręconych włosach i orzechowych oczach. Był towarzyski, bystry, jowialny, jego specyficzne poczucie humoru przyprawiało ludzi o śmiech albo o zgrzytanie zębów.

Pitt i Giordino byli przyjaciółmi od dzieciństwa, grali w tych samych drużynach futbolowych w szkole i w Akademii Lotniczej. Ich wspólne przygody na morzu i pod wodą obrosły legendą. W przeciwieństwie do Pitta, mieszkającego w hangarze pełnym starych samochodów, Giordino zajmował mieszkanie, które przyprawiłoby każdego dekoratora wnętrz o zawał. Jeździł starą corvetta. Oprócz pracy pasją Ala były kobiety. Nie widział nic złego w odgrywaniu roli lowelasa.

- Ahoj! - zawołał. Chciał powtórzyć okrzyk, ale właśnie w tej chwili ktoś przeszedł ze sterówki na mostek i spojrzał na niego z góry. Znajoma twarz.

- Trochę ciszej! - powiedział Pitt z żartobliwą powagą. - Nie lubimy, gdy barbarzyńcy wchodzą na pokład naszego eleganckiego statku.

- Wobec tego macie szczęście - odparł Giordino z szerokim uśmiechem. - Przyda się wam hałaśliwy awanturnik, żeby ożywić trochę tę trupiarnię.

- Zaczekaj. Zaraz zejdem.

Po chwili obejmowali się serdecznie, jak przystało na starych kumpli. Giordino był trzykrotnie silniejszy, jednak Pitt zawsze z lubością unosił niższego przyjaciela go góry.

- Co cię zatrzymało? Sandecker mówił, że będziesz tu już wczoraj.

- Znasz admirała. Nie chciał mi udostępnić firmowego odrzutowca, więc musiałem lecieć rejsowym samolotem. Zgodnie z przewidywaniem, wszystkie loty były opóźnione, więc nie zdążyłem na połączenie do San Francisco.



Pitt poklepał go po ramieniu.

- Dobrze cię widzieć, stary. Myślałem, że siedzisz na Antarktydzie. - Spojrzał pytająco na przyjaciela. - Słyszałem, że się zaręczyłeś i zamierzasz się ożenić.

Giordino podniósł ręce w geście bezradności.

- Sandecker wybił mi to z głowy, a moja ukochana wyjechała beze mnie.

- Co się stało?

- Żadne z nas nie chciało porzucić pracy i zamieszkać w cichym domku na przedmieściach. Zaproponowano jej wyjazd do Chin; ma odczytać starożytnie inskrypcje; to potrwa dwa lata. Nie chciała odrzucić takiej szansy, więc pierwszym samolotem odleciała do Pekinu.

- Cieszę się, że jakoś sobie radzisz.

- No cóż, lepsze to niż chłosta batem, przybicie języka do drzewa i wrzucenie do szybu na starym ramblerze.

Pitt chwycił worek, ale nie miał zamiaru podnieść kufra.

- Chodź, zaprowadzę cię do apartamentu.

- Apartament? Kiedy tu byłem ostatnio, kabiny miały rozmiar komórki na szczotki.

- Zmieniono tylko pościel.

- Statek wygląda jak grobowiec - powiedział Giordino, rozglądając się dookoła. - Gdzie są wszyscy?

- Oprócz mnie jest tylko główny mechanik House. Reszta mieszka w najlepszym hotelu i w blasku jupiterów udziela wywiadów oraz przyjmuje nagrody.

- Słyszałem, że to ty okazałeś się największym bohaterem.

Pitt wzruszył lekko ramionami.

- To nie w moim stylu.

Giordino spojrzał na niego ze szczerym podziwem.

- Wszystko się zgadza. Zawsze zgrywałeś skromnisia. Za to cię lubię. Jesteś jedynym facetem, jakiego znam, który nie kolekcjonuje swoich fotografii ze znanymi ludźmi i nie rozwiesza tych trofeów w łazience.

- A kto by to oglądał? Rzadko wydają przyjęcia. Zresztą, kogo to obchodzi?

Giordino pokręcił głową. Pitt nigdy się nie zmieni. Gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych chciał wręczyć mu najwyższe odznaczenie państwowe, Pitt zawiadomiłby Biały Dom, że właśnie zachorował na tyfus.

Giordino rozpakował rzeczy i wpadł do kabiny Pitta, który siedział przy biurku,

oglądając plany “Emerald Dolphina”.

- Przywiozłem ci prezent. - Al położył na stercie planów drewniane pudełko.

- Boże Narodzenie? - Pitt roześmiał się. Otworzył pudełko i westchnął głęboko. - Dobry z ciebie chłop, Albercie. Butelka błękitnej agawy, *anejo tequila*.

Giordino wyjął dwa srebrne kubeczki.

- Sprawdzimy, czy odpowiada naszym wymaganiom?

- A co powiedziałby na to admirał? Łamiesz jego dziesiąte przykazanie, zabraniające wnoszenia alkoholu na pokład statków NUMA.

- Jeśli natychmiast nie pokrępię się czymś mocniejszym, mogę zupełnie opaść z sił.

Pitt wyjął korek i nalał jasnobrązowy trunek do srebrnych kubeczków. Unieśli je do góry, metal stuknął lekko o metal.

- Za szczęśliwą wyprawę do wraku “Emerald Dolphina” - wzniosł toast Pitt.

- I szczęśliwy powrót na powierzchnię. - Giordino smakował tequilę. - Gdzie dokładnie zatonął?

- Na zachodnim stoku Rowu Tonga.

Giordino uniósł brwi.

- To bardzo głęboko.

- Przypuszczam, że leży na głębokości około pięciu tysięcy ośmuset metrów.

Giordino otworzył szeroko oczy.

- Jaką łódź chcesz wykorzystać?

- “Abyss Navigator”. Został zbudowany do takich właśnie zadań.

Al milczał przez chwilę z troską.

- Oczywiście wiesz, że jego maksymalne zanurzenie wynosi sześć kilometrów. Należy jeszcze przeprowadzić próby na tej głębokości.

- A więc nadarza się sposobność, by sprawdzić wiedzę konstruktorów - powiedział gładko Pitt.

Giordino przysunął mu pusty kubek.

- Nalej mi jeszcze. Powinienem wypić z tuzin kolejek, bo inaczej nie będę mógł zasnąć w drodze do Tonga; będę sobie wyobrażał zgniatanę ciśnieniem łodzie podwodne.

Siedzieli u Pitta do północy, popijając tequilę, opowiadając sobie stare historie i wspominając wspólnie przeżyte przygody. Pitt opisał pożar na “Emerald Dolphinie”, akcję ratunkową, przybycie kontenerowca “Earl of Wattlesfield”, meldunek o zatonięciu wraku, nadany przez kapitana z “Audaciousa”, ocalenie Kelly i śmierć napastnika.

Gdy skończył, Giordino wstał, by wrócić do swojej kabiny.

- Miałeś dużo zajęć.

- Nie chciałbym przeżyć tego jeszcze raz.

- Kiedy skończą naprawę kadłuba?

- Razem z kapitanem Burchem mamy nadzieję wyruszyć w morze pojutrze, a na miejsce dotrzeć cztery dni później.

- Starczy czasu, żeby odzyskać straconą na Antarktydzie opaleniznę. - Zauważył skórzaną teczkę, leżącą w rogu kabiny. - To jest teczka doktora Egana?

- Tak.

- Mówiłeś, że była pusta.

- Jak kasa w banku po wizycie Butcha Cassidy.

Giordino podniósł teczkę i przesunął palcami po skórzanej powierzchni.

- Dobra jakość. Musi być dość stara. Niemiecka. Egan miał niezły gust.

- Możesz ją sobie zabrać.

Giordino usiadł i położył teczkę na kolanach.

- Lubię takie stare torby.

- Zauważyłem.

Giordino odpiął zatrzaski i otworzył neseser. Z wnętrza wylały się niemal dwa litry oleju, mocząc mu nogawki spodni i spływały w niewielką kałużę na dywanie. Po pierwszym osłupieniu Al spojrzał ostro na Pitta.

- Nie wiedziałem, że lubisz takie dowcipy.

Pitt był zdumiony.

- Wcale nie. - Skoczył na nogi i zajrzał do teczki. - Naprawdę, nie mam z tym nic wspólnego. Wczoraj teczka była pusta. W ciągu ostatniej doby na pokładzie oprócz mnie był tylko główny mechanik House. Nie rozumiem, po co ktoś miałby zakraść się tutaj i napełnić ją olejem. To bez sensu.

- Więc skąd się wziął? Przecież nie zmaterializował się samoistnie.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział Pitt z dziwnym wyrazem twarzy. - Ale założę się, że poznamy prawdę jeszcze przed końcem rejsu.

Rozwikłanie tajemnicy, kto umieścił olej w teczce Egana, odłożono na później. Tymczasem Pitt i Giordino zabrali się do sprawdzania sprzętu i systemów elektronicznych “Sea Sleuth”, bezzałogowego robota podwodnego. W czasie podróży do miejsca spoczynku “Emerald Dolphina” omawiali procedurę zbadania wraku z kapitanem Burchem i inżynierami, znajdującymi się na pokładzie. Wszyscy zgadzali się, że ze względów bezpieczeństwa najpierw należy opuścić pod wodę robota.

“Sea Sleuth” stanowił kwintesencję funkcjonalności do tego stopnia, że ładownik wysłany na Marsa wyglądał przy nim jak arcydzieło sztuki. Miał dwieście dziesięć centymetrów wysokości, tyleż długości i metr osiemdziesiąt szerokości, ważył prawie trzy i pół tony. Jego pancierz był zbudowany z grubej warstwy tytanu. Z pewnej odległości przypominał wielkie, otwarte po bokach jajo, stojące na krótkich płozach. Kulisty występ na grzbiecie zawierał dwie komory wypornościowe. Niżej znajdowały się wykonane z rur wzmocnienia.

Wnętrze zawierało kamery i aparaty fotograficzne o wysokiej rozdzielczości, obudowę komputera, czujniki zasolenia wody, temperatury oraz zawartości tlenu. Wszystko rozmieszczono tak, jakby małe dziecko powkładało do środka idealnie dopasowane klocki lego. Silnik elektryczny zasilany był systemem manganowo-alkalicznych akumulatorów. Supernowoczesne przetworniki przekazywały sygnały i obrazy spod wody na statek macierzysty, a także umożliwiały zdalne sterowanie z góry. Dziesięć zewnętrznych reflektorów rozświetlało obszar wokół robota.

Prawdę mówiąc, wyglądał jak mechaniczny potwór z filmu science fiction. Miał niezwykle skomplikowane ramię robocze, zwane też manipulatorem, które wystawało z boku korpusu. Było tak silne, że mogło podjąć z dna dwustukilogramową kotwicę, a zarazem bardzo precyzyjne: można nim było podnieść filiżankę herbaty.

W odróżnieniu od wcześniejszych urządzeń tego typu “Sea Sleuth” nie miał kabla łączącego go z panelem kontrolnym operatora. Był całkowicie autonomiczny. Jego silnikiem i kamerami można było sterować z mostku “Deep Encounter”, znajdującego się kilka kilometrów wyżej.

Pitt pomógł Giordino ustawić manipulator, gdy podszedł jeden z marynarzy.

- Kapitan Burch kazał powtórzyć, że jesteśmy trzy mile od celu.

- Dziękuję. Proszę powiedzieć kapitanowi, że niedługo przyjdziemy do niego na mostek.

Giordino wrzucił śrubokręty do skrzynki z narzędziami i wyprostował plecy.

- Gotowe.

- Chodźmy na mostek. Zobaczymy, jak wygląda wrak na ekranie sonaru.

Burch wraz z kilkoma naukowcami siedzieli w punkcie dowodzenia, znajdującym się tuż za sterówką. Na twarze i dłonie zebranych padało z góry liliowe światło: niedawne eksperymenty wykazały, że właśnie taka długość fal świetlnych pozwala idealnie odczytywać wskazania urządzeń pomiarowych.

Obserwowali ekran wspomaganego komputerowo systemu Klein 5000. Położone sześć kilometrów niżej dno oceanu pojawiało się powoli, jak rozwijający się rulon papirusu. Kolorowy obraz ukazywał stosunkowo równą powierzchnię, która tworzyła stromą pochyłość. Burch odwrócił się, pokazując wyświetlacz satelitarnego systemu lokalizacji.

- Pozostała nam jeszcze niecała mila - powiedział.

- Czy to pozycja podana przez holownik? - spytał Giordino.

Burch potwierdził ruchem głowy.

- W tym miejscu pękła lina holownicza i "Emerald Dolphin" zatonął.

Dno pod czujnikiem, który ciągnął się za statkiem, było zupełnie płaskie, pozbawione kamieni i pagórków. Absolutne pustkowienie. Obraz jakby hipnotyzował ludzi, czekających, aż na ekranie pojawi się jakiś obiekt.

- Pozostało pięćset metrów - oznajmił Burch.

W kabinie zapadła cisza. Dla większości takie wyczekiwanie byłoby męczące, jednak badacze morza traktowali to zupełnie inaczej. Byli cierpliwi, przywykli do wielotygodniowego wpatrywania się w instrumenty, czekania na interesujący obiekt - zatopiony statek czy też ciekawe formacje geologiczne. Z reguły widzieli jednak tylko jałowe, bezkresne dno oceanu.

- Mamy coś - powiedział Burch, zajmujący lepszy punkt obserwacyjny.

Powolutku na ekranie wyłonił się obraz o kształcie przypominającym wykonany ręką człowieka obiekt o nierównych krawędziach. Był bardzo mały i w niczym nie przypominał wielkiego liniowca.

- To on - stwierdził stanowczo Pitt.

Burch uśmiechnął się jak szczęśliwy pan młody.

- Znalazłem go przy pierwszym podejściu.

- Pozycja podana przez holownik idealnie się zgadza.

- Nie zgadza się za to wielkość - powiedział spokojnie Giordino.

Burch wskazał palcem ekran.

- Al ma rację. Widzimy tylko część statku. Oto kolejny fragment.

Pitt w zamyśleniu spoglądał na obraz.

- "Emerald Dolphin" przełamał się, opadając pod wodę, albo rozbił się o twarde podłoże.

Na monitorze widać było obiekt, który Burch zidentyfikował jako rufę. Między głównymi częściami wraku na dnie leżało mnóstwo pomniejszych, nie dających się rozpoznać przedmiotów różnej wielkości, rozrzuconych dookoła jakby siłą tornada.

Giordino szybko naszkicował w notesie obraz z ekranu.

- Chyba rozleciał się na trzy części.

Pitt obejrzał rysunki i porównał je z wizerunkiem na monitorze.

- Znajdują się w odległości około ćwierć mili od siebie.

- Konstrukcję osłabił pożar - odezwał się Burch. - Statek rozpadł się, idąc na dno.

- To się zdarza - dorzucił jeden z naukowców. - "Titanic" również przełamał się na pół.

- Ale ten statek wchodził pod wodę pod bardzo łagodnym kątem - powiedział Burch. - Rozmawiałem z kapitanem holownika. Twierdzi, że zanurzył się bardzo szybko, ale pod kątem nie przekraczającym piętnastu stopni. "Titanic" miał czterdziestopięciostopniowy przechył.

Giordino patrzył przez okno na morze.

- Wygląda na to, że zatonął nienaruszony, a rozbił się dopiero, gdy opadł na dno, w które zapewne uderzył z prędkością trzydziestu, czterdziestu węzłów.

Pitt pokręcił głową.

- Gdyby tak było, fragmenty leżałyby bliżej siebie. A przecież pokrywają znaczny obszar.

- Więc co sprawiło, że kadłub rozpadł się w czasie opadania? - zapytał Burch.

- Przy odrobinie szczęścia - powiedział wolno Pitt - znajdziemy odpowiedź. Jeśli nasz "Sea Sleuth" potwierdzi, że nie na darmo nadano mu imię "Tropiciel".

Oślepiająco pomarańczowe słońce wznosiło się na wschodniej stromej horyzontu. "Sea Sleuth" zawisł na nowym żurawiu, który zastąpił dźwig wyrzucony za burtę podczas akcji ratunkowej. Zainstalowano go już w stoczni, lecz dopiero przed kilkoma godzinami załoga ukończyła podłączenie wciągarki oraz liny. Zebrani z zapartym tchem patrzyli, jak podłużny

kształt wysuwa się za rufę. Morze było spokojne, wysokość fal nie przekraczała jednego metra.

Drugi oficer kierował opuszczaniem urządzenia, a gdy znalazło się poza rufą, dał sygnał marynarzowi obsługującemu wciągarkę. Gdy wszystko było gotowe, "Sea Sleuth" opadł do wody, ale jego część znajdowała się nadal nad powierzchnią. Ostatni raz sprawdzono systemy elektroniczne, po czym robot zanurzył się w Pacyfiku. Zwolniono zaczep i uwolniono linę, na której spuszczone go do morza.

W kabinie dowodzenia Giordino usiadł przy konsoli pełnej pokręteł i przełączników, rozmieszczonych wokół manetki. Jego zadaniem było sterowanie robotem pod wodą. Był współautorem oprogramowania komputera zainstalowanego na sondzie, a także głównym inżynierem, odpowiedzialnym za jej produkcję. Nikt lepiej od niego nie znał subtelności kierowania robotem na głębokości sześciu kilometrów. Spoglądając na monitor, gdzie pojawił się "Sea Sleuth", włączył zawory komory wypornościowej. Po chwili robot zanurzył się i zniknął pod wodą.

Pitt siedział obok Ala, wprowadzając polecenia do komputera na pokładzie sondy. Giordino kontrolował system napędowy, Pitt sterował kamerami i oświetleniem. Za nimi, nieco z boku, siedziała Misty Graham, przeglądając plany "Emerald Dolphina", dostarczone przez konstruktorów. Oczy pozostałych osób były skupione na monitorach, gdzie pojawiał się obraz przesyłany spod wody.

Misty była małą, bardzo energiczną kobietką. Z przyciętymi krótko - dla wygody - włosami wyglądałaby nawet chłopięco, gdyby nie wyraźne kobiece kształty. Miała jasnobrązowe oczy, zawadiacki nosek i miękkie usta. Nigdy nie wyszła za mąż. Była naukowcem z powołania, jednym z najlepszych biologów morskich w NUMA. Na morzu spędzała o wiele więcej czasu niż w swoim waszyngtońskim mieszkaniu, rzadko więc miewała czas na randki.

Podniosła głowę znad planu i spojrzała na Burcha.

- Jeśli kadłub zapadł się pod wpływem ciśnienia, "Sea Sleuth" nie będzie mógł znaleźć niczego interesującego.

- Dowiemy się, gdy dotrze na miejsce - odparł powoli.

W pomieszczeniu rozległ się gwar rozmów, jak zwykle w podobnych sytuacjach. Próbnik potrzebował trzech i pół godziny, by opuścić się na wymaganą głębokość, dla naukowców stanowiło to dość monotonną rutynę. Na ekranach nie pojawiło się nic ciekawego, z wyjątkiem chwil, gdy przed obiektywami przepływały dziwne gatunki ryb, zamieszkujących głębię oceanu.

Panuje ogólna opinia, że badania podmorskie są ciekawe. W rzeczywistości mogą się wydać strasznie nudne. Na jakiegokolwiek wydarzenie trzeba czasem czekać wiele godzin. Wszyscy badacze wpatrują się jednak z nadzieją w ekrany, oczekując jakiejś anomalii w typowym obrazie morza.

Bardzo często naukowcy ponoszą fiasko, jednak obraz dochodzący z głębiny wywiera na nich hipnotyzujący wpływ. Nie mogą oderwać wzroku od instrumentów. Na szczęście tym razem lokalizacja wraku, który opadł sześć kilometrów na dno, została zapisana przez holownik za pomocą systemu satelitarnego GPS i odnalezienie go okazało się stosunkowo łatwe.

Na monitorze ukazywały się liczby określające położenie robota, kierunek przemieszczania się oraz głębokość zanurzenia. Kiedy dotrze na dno, Giordino będzie musiał nakierować sondę bezpośrednio na wrak, bez potrzeby czasochłonnego poszukiwania w ciemnościach.

- Siedemset pięćdziesiąt metrów do dna - odczytał dane z monitora.

Podawał położenie co dziesięć minut. Po dwóch i pół godzinie czujniki przekazały sygnał o zbliżaniu się do dna.

- Sto pięćdziesiąt metrów.

- Włączam reflektory - odpowiedział Pitt.

Giordino zwolnił tempo opadania sondy do pół metra na sekundę na wypadek, gdyby miała osiąść bezpośrednio na wraku. Nie chcieli, by ugrzęzła w płątaninie blach i elementów konstrukcji kadłuba. Wkrótce na monitorach ukazało się brunatne dno oceanu. Giordino zatrzymał "Sea Sleuth" na wysokości trzydziestu metrów.

- Jaka głębokość? - spytał Burch.

- Sześć tysięcy dwadzieścia pięć metrów. Widoczność nadspodziewanie dobra. Prawie sześćdziesiąt metrów.

Teraz Giordino przejął całkowitą kontrolę nad robotem. Wpatrując się w monitor, kręcił gałkami i manetką, jakby leciał samolotem na komputerowym symulatorze. Dno przesuwało się pod spodem straszliwie wolno. Z powodu ogromnego ciśnienia silniki mogły nadać sondzie prędkość nie przekraczającą jednego węzła.

Pitt uderzał w klawiaturę komputera. Przesłał polecenia, mające na celu poprawienie ostrości obiektywów kamer zamocowanych na dziobie i kilu. Burch siedział przy konsoli sterującej i utrzymywał "Deep Encounter" bezpośrednio nad wrakiem.

- Jaki zamiar? - spytał Giordino.

- Osiemnaście stopni. Odległość od wraku około sto dwadzieścia metrów.



Giordino wprowadził robota na wskazany kurs. Po dziesięciu minutach na monitorach pojawił się niewyraźny, zamglony kształt.

- Cel dokładnie na wprost! - zawołał.

Stopniowo jakość obrazu poprawiała się. Widać było fragment prawej burty w miejscu, gdzie znajdowała się kotwica. W odróżnieniu od wcześniej budowanych statków pasażerskich, była umieszczona znacznie dalej od dziobu i niżej nad linią zanurzenia.

Pitt włączył potężne reflektory, które rozdarły podwodny mrok, oświetlając znaczą część burty.

- Kamery włączone. Nagrywamy.

Odnalezienie wraku nie wywołało euforii. Wszyscy milczeli, jakby patrzyli na trumnę leżącą w grobie. Po chwili, ściągnięci magiczną siłą, zebrali się wokół monitorów. "Emerald Dolphin" nie leżał na dnie pionowo - był przechylony na bok pod kątem dwudziestu pięciu stopni, odsłaniając burtę niemal po samą stępkę.

Giordino prowadził "Sea Sleuth" wzdłuż kadłuba, szukając ewentualnych przeszkód, mogących uwięzić go pod wodą. Przeważność opłacała się. Zatrzymał pojazd trzy metry przed ogromną dziurą o poszarpanych krawędziach, wyrwaną w burcie.

- Zrób zbliżenie - powiedział do Pitta.

Po chwili obiektywy skupiły się na otworze, ukazując go z różnych kierunków. Giordino wycelował dziób robota przodem w kierunku wyrwy.

- Tak trzymać - odezwał się Pitt. - Ciekawe.

- To nie mogło powstać w wyniku pożaru - powiedział ktoś.

- Wrak jest rozerwany od wewnątrz.

Burch przetarł oczy i spojrzał na monitory.

- Może wybuchł zbiornik z paliwem?

Pitt pokręcił głową.

- Silniki magnetohydrodynamiczne nie pracują na ropopochodnym paliwie. Al, popłyn wzdłuż burty, aż znajdziemy miejsce, gdzie ten fragment oderwał się od śródokręcia.

Giordino wykonał polecenie i poruszył manetką, prowadząc sondę wzdłuż kadłuba. Po około sześćdziesięciu metrach, ukazała się jeszcze jedna, większa dziura. Tu również widać było wyraźne ślady po wybuchu, który od środka rozerwał metalowe płyty.

- W tym miejscu znajdowały się urządzenia klimatyzacyjne - poinformowała ich Misty. Przyjrzała się leżącym przed nią planom liniowca. - Nie widzę tu nic, co mogłoby spowodować takie zniszczenia.

- Ja też nie - zgodził się Pitt.

Giordino poprowadził robota nieco wyżej, na ekranach ukazał się pokład łodziowy. Podczas opadania na dno niektóre z wypalonych szalup zostały wyrwane z żurawików. Pozostałe spaliły się i stopiły w bezkształtną masę. Wydawało się niemożliwe, by najnowocześniejszy statek świata stracił w jednej chwili wszystkie szalupy.

Sonda opłynęła zniszczony i oderwany od reszty wraku fragment kadłuba. Rury, powykęcane belki i zniszczone płyty pokładowe sterczały od strony rufowej jak resztki strawionej ogniem rafinerii. Wyglądało to tak, jakby "Emerald Dolphin" został rozerwany jakąś potężną siłą.

Śródokręcie w ogóle nie przypominało statku - stanowiło kupę czarnego, poskręcane żelastwa. "Sea Sleuth" popłynął dalej, ukazując bezkresny krajobraz dna oceanu.

- Jaki kurs do części rufowej? - spytał Giordino.

Kapitan sprawdził liczby u dołu monitora.

- Kurs dziewięćdziesiąt stopni na zachód, odległość około stu metrów.

- Skręcam dziewięćdziesiąt stopni na zachód - powtórzył Giordino.

Dno pokrywały porozrzucane szczątki, w większości doszczętnie spalone. Ocalały jedynie przedmioty wykonane z materiałów ceramicznych. Talerze, wazy, filiżanki ukazywały się w mule, jak ułożone w wachlarz karty na stoliku. Sprawiało to makabryczne wrażenie: delikatne przedmioty oparły się płomieniom i opadły sześć kilometrów na dno, nie doznając najmniejszych uszkodzeń.

- Zbliżamy się do rufy - stwierdził Giordino. Szczątki pozostały za sondą, w świetle reflektorów ukazała się ostatnia sekcja liniowca. Wszyscy, którzy bohatercko nieśli pomoc rozbitkom, ze zgrozą patrzyli na pokład, gdzie jeszcze niedawno przebywali pasażerowie i załoga.

- Nie myślałam, że będę musiała jeszcze raz na to patrzeć - szepnęła jedna z kobiet.

- Niełatwo o tym zapomnieć - powiedział Pitt. - Podpłyn do przedniej części, gdzie nastąpiło oderwanie od śródokręcia.

- Wykonuję.

- Zejdz półtora metra nad dno. Chcę dokładnie obejrzeć kil.

"Sea Sleuth" posłusznie wykonywał polecenia przesyłane przez Giordina i płynął tuż przy dnie kadłuba. Al bardzo ostrożnie zatrzymał robota w miejscu, gdzie część rufowa oderwała się od reszty statku. Potężny kil nie ugrzązł głęboko w szlamie. Było wyraźnie widać, że jest skrzywiony i wygięty do dołu tam, gdzie został rozerwany na pół.

- To musiała być jakaś bomba - rzucił Pitt.

- Całe dno zostało wysadzone od wewnątrz - powiedział Giordino. - Osłabiona płomieniami oraz siłą wybuchu struktura wewnętrzna statku rozerwała się pod wpływem rosnącego ciśnienia w czasie opadania na dno.

- To by wyjaśniało, dlaczego poszedł pod wodę z taką szybkością - dodał Burch. - Kapitan holownika mówił, że "Dolphin" omal nie pociągnął za sobą jego krypy.

- Co prowadzi do wniosku, że ktoś miał powód, aby wzniecić pożar, a potem zatopić statek w najgłębszym miejscu oceanu, aby nie można było zbadać wraku.

- Logiczne - odezwał się hydrograf, Jim Jakubek. - Ale gdzie dowody? Jak można to udowodnić w sądzie?

Pitt wzruszył ramionami.

- Odpowiedź jest prosta: nie można.

- Więc co nam pozostaje? - spytała Misty.

Pitt z namysłem wpatrywał się w monitory.

- "Sea Sleuth" wykonał swoje zadanie i pokazał, że "Emerald Dolphin" nie zginął samoistnie ani w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Musimy dogrzebać się do dowodów, które doprowadzą do wykrycia mordercy, odpowiedzialnego za zniszczenie pięknego statku oraz śmierć ponad stu ludzi.

- Dogrzebać się? - spytał Giordino z takim uśmiechem, jakby już znał odpowiedź. - Jak?

Pitt spojrzał szelmowsko na przyjaciela.

- Ty i ja zejdziemy do wraku w "Abyss Navigatorze" i wrócimy z materiałem.

- Jesteśmy wolni - powiedział Giordino i pomachał przez bulaj nurkowi, który zdjął przyczepiony do liny hak z ucha umieszczonego na grzbiecie łodzi. Zaczekał, aż nurek dokona ostatnich oględzin kadłuba przed zejściem na dno. Po kilku minutach w jednym z czterech okienek pojawiła się ukryta pod maską twarz i marynarz dał kciukiem sygnał, że wszystko jest w porządku.

- Wszystkie systemy działają - powiadomił Pitt centrum dowodzenia na "Deep Encounterze".

- U nas wszystko w porządku - odparł Burch. - Jesteśmy gotowi.

- Otwieram zbiorniki balastowe - powiedział Giordino.

Woda wlewała się do górnego zbiornika, powodując zanurzenie się łodzi. Kiedy zejdzie na dno, ciśnienie będzie zbyt wielkie, aby pompy mogły usunąć wodę. Wtedy odczepi się zamocowane pod spodem obciążniki i "Abyss Navigator" wyruszy w drogę ku powierzchni oceanu.

Trzonem czteroosobowego pojazdu była wykonana ze stopu tytanowego kulista kapsuła, gdzie przebywali pilot i technik, kontrolujący systemy podtrzymujące życie, zewnętrzne światła, kamery, a także dwuramienny manipulator. Był on przymocowany od spodu kapsuły i wystawał niczym ręce robota. Tuż poniżej zamocowano metalowy kosz, gdzie wkładano pobrane z dna próbki i przedmioty. Wokół kapsuły załogowej znajdowała się mocna rama wykonana z rur, do której były przytwierdzone odporne na wysokie ciśnienie obudowy sprzętu elektronicznego, akumulatorów i urządzeń komunikacyjnych. "Abyss Navigator" i "Sea Sleuth" miały podobne przeznaczenie i osprzęt, lecz wyglądały obok siebie jak bernardyn i muł. Jeden nosił beczułkę z brandy, drugi jedną lub więcej osób.

Tym razem na pokładzie "Abyss Navigatora" znajdowała się trzyosobowa załoga. Do Dirka i Ala dołączyła Misty Graham. Były ku temu dwa powody. Po pierwsze, Misty wkładała całą duszę w zadanie, którego się podjęła. Każdą wolną chwilę poświęcała studiowaniu planów liniowca, znała więc rozkład statku lepiej niż ktokolwiek inny. A po drugie, była to dla niej okazja, by poznać mieszkające blisko dna żywe organizmy.

Pitt załadował kasety do kamer i sprawdził system podtrzymujący życie. Ustawił fotel w wygodnej pozycji. Przygotował się na długie, nudne zejście w otchłań oceanu. Miał czas na rozwiązanie krzyżówki. Od czasu do czasu wyglądał przez okienka, gdzie woda stopniowo

traciła kolor, aż w końcu stała się zupełnie czarna. Włączył jeden z reflektorów zewnętrznych, ale i tak nie było tam nic do oglądania. Żadne podmorskie stwory nie pod pływały bliżej, by sprawdzić, jaki intruz wtargnął do ich królestwa.

Weszli w ciemną strefę oceanu, bezkresny obszar pelagialu zaczynający się około stu pięćdziesięciu metrów pod powierzchnią i sięgający do mniej więcej takiej samej odległości od dna. W tym momencie zobaczyli pierwszego przybysza.

Pitt odłożył krzyżówkę. W bulaju po lewej pojawiła się dziwna niesamowita ryba, opuszczającą się razem z "Abyss Navigatorem". Była tak okropna, jak mało które żyjące pod wodą stworzenie. Miała paciorkowate oczy w kolorze szarych pereł, z jej nozdrzy sterczał pionowo do góry wyrostek, którego koniuszek emitował światło, mające zwabić w ciemnościach jakiś posiłek.

Ryba była pozbawiona łusek - inaczej niż jej mieszkający bliżej powierzchni krewniacy. Pokrywała ją pomarszczona, brązowa skóra, przypominająca zgniły pergamin. W poprzek głowy biegła ogromna paszcza z setkami podobnych do igieł zębów, niczym najeżona skalistymi wyrostkami jaskinia. Gdyby tego stwora napotkała na swojej drodze równa mu długością pirania, uciekłaby w popłochu w czeluście oceanu.

Pitt uśmiechnął się.

- Idealny przykład na zilustrowanie powiedzenia: "taką twarz może pokochać tylko matka".

- W porównaniu z innymi poczwarami, które mieszkają w tej strefie, to małeństwo jest prawdziwą pięknoscią.

Ciekawość krwiożerczej rybki osłabła, więc oddaliła się w ciemność.

Poniżej sześciuset metrów pojawiły się dziwne formy życia - żelatynowate drapiezniki o przedziwnych kształtach i różnych rozmiarach, od kilku centymetrów do prawie czterdziestu metrów. Mieszkają w królestwie, pokrywającym ponad dziewięćdziesiąt pięć procent wód na ziemi, a jednak wciąż stanowią tajemnicę dla naukowców. Rzadko się je widuje, a jeszcze rzadziej udaje się schwytać jakiegoś osobnika.

Misty jak urzeczona wpatrywała się w inne, niezwykle piękne stworzenia. Były półprzezroczyste jak meduzy, zamieszkujące płytkie wody. Miały niesamowite barwy, oryginalne wzory jarzyły się w ciemności własnym światłem. Ich ciała charakteryzowały się modułową budową i obecnością wielu organów wewnętrznych: niektóre miały nawet sto żołądków, widocznych przez przezroczystą tkankę. Wiele odmian posiadało wiotkie macki o długości ponad trzydziestu metrów: jedne przypominały kształtem puchowe pióra, inne końcówkę od mopa - wszystkie rozpościerały się niczym pajęcza sieć, by pochwycić

przepływające ryby.

Głowy większości tych zwierząt nazywane są dzwonami. Pozbawione oczu i otworu gębowego funkcjonują jako niezwykle wydajny narząd ruchu. Woda wciągana do środka poprzez ssawki, w efekcie skurczu mięśni wyrzucana jest na zewnątrz, przemieszczając odrzutowo galaretowate zwierzę w wybranym przezeń kierunku, zależnie od tego, które ssawki i mięśnie zostały użyte.

- Nie lubią jasnego światła - powiedziała Misty do Pitta. - Możesz przyciemnić lampy?

Pitt zredukował moc promieni do nieznaczej poświaty, w której znacznie lepiej widać było luminescencyjne barwy organizmów.

- Apolemia - szepnęła Misty, obserwując przepływające obok stworzenie o niemal trzydziestometrowych mackach, rozpostartych w śmiertelnej sieci.

Na przestrzeni następnych setek metrów pojawiały się nowe okazy fauny. Misty pilnie sporządzała notatki, Pitt nagrywał obrazy na magnetowidach. Stopniowo liczba ukazujących się zwierząt zmalała, pozostały jedynie osobniki znacznie mniejsze. Żyły w warunkach ogromnego ciśnienia wody, równoważonego ciśnieniem wewnętrznym ich ciała.

Pitt był tak pochłonięty niesamowitym widokiem za oknem, że zapomniał o krzyżówce. Odwrócił wzrok dopiero wtedy, gdy otrzymał szturchańca od Giordina.

- Zbliżamy się do dna.

W wodzie zaczął się pojawiać "morski śnieg" - małe fragmenty obumarłych organizmów oraz odpady i odchody zwierząt zamieszkujących wyższe partie oceanu. Załoga "Abyss Navigatora" odniosła wrażenie, że ich pojazd przedziera się przez śnieżną zamieć. Pitt zastanawiał się, co spowodowało, że śnieg wydawał się teraz o wiele cięższy niż poprzedniego dnia, kiedy obraz przekazywały kamery z "Sea Sleuth".

Włączył wszystkie światła i spoglądał przez okienko umieszczone w podłodze. Nagle, jakby zza gęstej mgły, ukazało się dno, na które padł cień pojazdu.

- Jesteśmy tuż nad dnem - ostrzegł siedzącego obok Giordina.

Al zwolnił szybkość opadania, odłączając od spodu dwa ciężarki i neutralizując w ten sposób siłę wyporu. Opadali z minimalną prędkością, póki nie stanęli sześć metrów nad dnem. Giordino wprawnie zatrzymał łódź w wyznaczonym miejscu, jakby przeprowadzał pokazowe lądowanie helikoptrem.

- Dobra robota - pochwalił go Pitt.

- Kolejne z moich wielu osiągnięć - odparł pompatycznie Giordino.

- Jesteśmy na dnie. Potrzebny namiar - powiedział Pitt do Burcha.

- Dwieście metrów na południowy wschód - w głośniku rozległ się głos kapitana. - Ruszajcie kursem sto czterdzieści stopni. Dojdziecie do końca przedniej części wraku, gdzie oderwała się rufa.

Giordino włączył silniki, kierując "Abyss Navigatora" na kurs podany przez Burcha. Po czternastu minutach ukazał się poszarpany kadłub w miejscu, gdzie rozerwał się na części. Teraz widzieli bez pośrednictwa kamer straszliwe dzieło, jakiego dokonał ogień. W tym miejscu nie było żadnych dających się rozpoznać obiektów. Czuli się tak, jakby zagłędali do ogromnej jaskini, pełnej wypalonych szczątków. Jedyne zarys kadłuba przypominał im, że mają przed sobą wrak statku.

- Dokąd teraz? - spytał Giordino.

Misty przez chwilę uważnie oglądała plany wewnętrznych pokładów liniowca. Wreszcie zakreśliła kółkiem jedno miejsce i podała kartkę Giordinowi.

- Chcesz wpłynąć do środka? - spytał Pitta, wiedząc, że odpowiedź z pewnością mu się nie spodoba.

- Możliwie jak najdalej - odparł Pitt. - Chciałbym spenetrować kaplicę, w której wybuchł pożar.

Giordino z powątpiewaniem spojrział w kierunku ponurego wnętrza wraku.

- Możemy utknąć w środku.

Pitt uśmiechnął się.

- Będę miał czas na dokończenie krzyżówki.

- Tak - odchrząknął Giordino. - Całą wieczność. - Jego sarkazm był wyłącznie na pokaz. Za Pittem bez wahania skoczyłby z mostu Golden Gate. Ścisnął drążek sterowy i delikatnie położył dłoń na dźwigni kontrolującej pracę silników. - Powiedz gdzie i kiedy.

Misty starała się nie zwracać uwagi na ich sardoniczne żarty, ale myśl o śmierci na dnie oceanu, gdzie nikt ich nie odnajdzie, nie należała do przyjemnych.

Zanim Pitt wydał polecenie, poprosił Burcha o informacje o bieżącej sytuacji. Nikt jednak nie odpowiedział na jego wezwanie.

- Dziwne - powiedział. - Nikt się nie odzywa.

- Pewnie jakaś usterka w systemie komunikacyjnym - odparł spokojnie Giordino.

Pitt nie tracił już czasu na próbę nawiązania kontaktu. Sprawdzał wskaźniki tlenu. Mogli zostać na dnie jeszcze przez około godzinę.

- Wchodzimy - polecił. Giordino lekko kiwnął głową i powolutku skierował "Abyss Navigatora" do otworu.

We wraku zdążyły się już rozgościć pierwsze żywe organizmy. Zauważyli kilka ryb o

szczurzych ogonach, jakiś gatunek krewetki oraz stworzenie, które można było opisać jedynie jako morskiego nagiego ślimaka, wijącego się wśród szczątków statku.

Wypalone wnętrze robiło przerażające wrażenie. Był tam niewielki prąd, jednak Giordino bez trudu utrzymywał "Abyss Navigatora" we właściwej pozycji. Z mroku wyłonił się obraz tego, co pozostało z pokładów i grodzi. Pitt co chwilę unosił wzrok znad planów i patrzył w bulaj, by ustalić, na którym pokładzie znajduje się kaplica.

- Wejź na czwarty poziom - odezwała się Misty. - Tam jest centrum handlowe, a za nim kaplica.

- Spróbujemy się tam dostać - powiedział Pitt.

Giordino powoli skierował łódź do góry wyłącznie z pomocą silników, nie odrzucając ani jednego z obciążników balastowych. Gdy dotarli na właściwy pokład wskazany przez Misty, statek zawisł przez chwilę nieruchomo. Obaj mężczyźni zajrzeli do wnętrza wraku, oświetlonego czterema reflektorami. Ze stropu zwisały stopione rury i fragmenty instalacji elektrycznej. Pitt włączył kamery i zaczął nagrywać obraz na taśmie.

- Nie ominiemy tej przeszkody - rzekł Giordino.

- Nie ominiemy - stwierdził Pitt - ale przedostaniemy się przez środek. Wjedź dziobem w ten gąszcz z minimalną prędkością.

Bez słowa sprzeciwu Giordino wprowadził łódź między sterczące z sufitu fragmenty rur, które rozchyliły się i zaczęły kruszyć, jakby wykonano je z kiepskiego gipsu, po czym rozsypywały się w pył.

- Miałeś rację - mruknął Giordino.

- Pomyślałem, że się rozpadną, skoro przebywały w takim żarze.

Płynęli przez spalone centrum handlowe. Ze sklepów nie zostało zupełnie nic, jeśli nie liczyć powyginanych grodzi. Giordino ostrożnie prowadził, omijając sterty szczątków, przypominające wzgórza pokryte nieregularną warstwą zastygłej lawy.

Misty poczuła się dziwnie. Wiedziała, że znajdują się w miejscu, gdzie przechadzali się pasażerowie, których żony były zajęte robieniem zakupów, a dzieci ze śmiechem biegały przed rodzicami. Oczami wyobraźni niemal widziała spacerujące dookoła duchy. Większości pasażerów udało się uniknąć śmierci - teraz znajdowali się już w drodze do swoich domów, pełni wspomnień, jakie będą ich nawiedzać do końca życia.

- Niewiele tu widać - powiedział Giordino.

- Żaden poszukiwacz skarbów nie będzie tracił na tym wraku cennego czasu - stwierdził Pitt.

- Nie byłbym tego taki pewien. Wiesz, jak to jest. Za dwadzieścia lat ktoś stwierdzi, że



na pokładzie w sejfie został milion dolarów. Po pięćdziesięciu latach gruchnie wieść, że to pięćdziesiąt milionów w srebrze, a po dwustu, że miliard w złocie.

- Ciekawe, że w zeszłym stuleciu wydano więcej pieniędzy na poszukiwanie złota w morzu, niż wynosiła wartość odnalezionych skarbów.

- Opłaciły się tylko ekspedycje, które spenetrowały "Edinburgh", "Atochę" i "Central America".

- Ale to są wyjątki od reguły - stwierdził Pitt.

- W morzu oprócz złota są jeszcze inne skarby - odezwała się Misty.

- Tak - stwierdził Pitt - nieodkryte skarby, których nie pozostawił tam człowiek.

Przestali rozmawiać, bo dalszą drogę zagroziły im zwalone belki. Giordino ostrożnie prowadził pojazd przez labirynt, zdzierając farbę z płóz.

- Za blisko - westchnął. - Teraz cała sztuka polega na tym, żeby wrócić.

- Zbliżamy się do kaplicy - poinformowała Misty.

- Skąd wiesz? - spytał Pitt.

- Zostało parę elementów, które jestem w stanie dopasować do planów - powiedziała.

Na jej twarzy widać było najwyższe skupienie. - Jeszcze dziesięć metrów i zatrzymaj się.

Pitt położył się na brzuchu, patrząc przez okienko w dnie łodzi. Giordino pokonał podany dystans i zatrzymał "Abyss Navigatora". Zawisł nieruchomo nad miejscem, gdzie niegdyś znajdowała się kaplica. Jediną oznaką, że znajdują się na właściwej pozycji, były stopione klamry, przytrzymujące ławki.

Pitt pochylił się nad konsolą z urządzeniami sterującymi manipulatorem. Poruszając delikatnie dźwigniami i gałkami wysuwał ramię ku dołowi. Mechaniczne palce zaczęły badać zwęglone szczątki.

Na odcinku pierwszych trzech metrów nie znaleziono niczego ciekawego. Pitt spojrzał na Giordina.

- Półtora metra do przodu - zarządził.

Giordino wykonał polecenie i czekał cierpliwie, aż Pitt kazał mu przesunąć łódź o kolejny odcinek. Niewiele rozmawiali, koncentrując się na swoich zadaniach. Po pół godzinie Pitt zdołał sprawdzić większą część kaplicy. To, czego szukał, znajdowało się w ostatniej z przeczesywanych sekcji. Na pokładzie leżała bryła dziwnie wyglądającej substancji wielkości piętnaście na pięć centymetrów. Była gładka, jakby nietknięta przez płomień, nie czarna ani szara, jak wszystko dookoła, lecz zielonkawa.

- Czas minął - ostrzegł Giordino. - Zostało mało tlenu. Ledwie zdążymy się wynurzyć.

- Chyba znaleźliśmy to, o co nam chodziło - rzekł Pitt. - Daj mi jeszcze pięć minut.

Delikatnie manewrując końcówką manipulatora, wsunął ją wolno pod dziwną substancję, do połowy zakrytą popiołami. Mechaniczne palce uchwyciły grudę i uniosły ją do góry. Gdy opadły z niej popioły i szczątki, Pitt cofnął całe ramię i umieścił znalezisko w koszu. Dopiero wtedy zwolnił zacisk mechanicznych palców i przesunął ramię do wyjściowej pozycji.

- Wracamy do domu.

Giordino wykonał powoli zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył z powrotem przez centrum handlowe.

Nagle rozległ się nieprzyjemny chrzęst i pojazd zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Misty w odruchu przerażenia oparła dłonie na piersiach. Pitt i Giordino spojrzeli po sobie. Obaj pomyśleli, że oto zostali uwięzieni na całą wieczność w tym okropnym miejscu.

- Zdaje się, że uderzyłeś w jakąś przeszkodę - powiedział swobodnym tonem Pitt.

- Na to wygląda - odparł flegmatycznie Giordino.

Pitt przechylił głowę i spojrział przez okienko w suficie.

- Chyba zbiornik balastowy zaczepił o jakąś belkę.

- Powinienem to wcześniej zauważyć.

- Nie było jej, gdy płynęliśmy do środka. Pewnie opadła później.

Przerażona Misty nie potrafiła pojąć, jak mogą rozmawiać tak lekko, gdy ich życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Nie wiedziała, że nieraz już byli w znacznie większych tarapatkach. Żarty to sposób na oczyszczenie umysłu z myśli o lęku i o śmierci.

Giordino spokojnie sprowadził "Abyss Navigatora" nieco niżej i cofnął go o kilka metrów. Rozległ się zgrzyt, a po chwili nastąpiła błoga cisza. Łódź oswobodziła się.

- Zbiornik balastowy nie wygląda zbyt dobrze - stwierdził Pitt ze stoickim spokojem. - Jest porządnie wgięty i odkształcony na szczycie.

- I tak jest pełen wody, więc nie będzie przeciekać.

- Na szczęście nie jest nam potrzebny, żeby wrócić na powierzchnię.

Pozornie Giordino nie przejawiał żadnej reakcji, jednak w głębi serca poczuł niezmierną ulgę, gdy udało mu się wyprowadzić pojazd na otwartą wodę. Od razu odczepił ładunki balastowe i ruszył do góry.

Pitt znowu wywołał Burcha i tym razem zaniepokoił się, gdy nie otrzymał odpowiedzi.

- Nie rozumiem, dlaczego nie działa system łączności - powiedział powoli. - U nas wszystko jest w porządku, a przecież oni mają lepszy sprzęt, żeby naprawić ewentualne

uszkodzenie.

- Prawo Murphy'ego zaczyna działać w nieoczekiwanym miejscu i czasie - odparł filozoficznie Giordino.

- To chyba nie jest poważna usterka - odezwała się Misty. Odczuła wyraźną ulgę, gdy ruszyli w drogę powrotną ku powierzchni, gdzie świeciło piękne słońce.

Pitt zrezygnował z dalszych prób nawiązania kontaktu z jednostką. Wyłączył kamery i oświetlenie zewnętrzne, aby oszczędzić energię na wypadek jakiejś awarii. Potem usiadł wygodnie w fotelu i zabrał się do rozwiązywania krzyżówki. Wkrótce znalazł wszystkie odpowiedzi z wyjątkiem jednej. Chwilę potem zapadł w drzemkę.

Trzy godziny później woda zmieniła barwę z czarnej na ciemnoniebieską. Wyglądając przez górne okienko widzieli w oddali błyszczącą powierzchnię morza. Niecałą minutę później "Abyss Navigator" wynurzył się. Z radością patrzyli na małe, półmetrowe fale. Pojazd, którego większa część została pod wodą, kołysał się łagodnie na powierzchni.

Nie widzieli statku, bo wszystkie okienka poza jednym znajdowały się pod wodą. Przez górne nie było widać linii horyzontu tylko niebo. Czekali na nurków, aby przymocowali linę wciągarki, ale po dziesięciu minutach żaden się nie zjawił. Coś musiało się stać.

- Nadal brak kontaktu - powiedział Pitt. - Nie ma nurków. Zasnęli, czy co?

- Może nasz statek zatonął - zażartował Giordino, tłumiąc ziewanie.

- Nie mów tak - skarciła go Misty.

Pitt uśmiechnął się.

- To mało prawdopodobne. Zwłaszcza przy tak spokojnym morzu.

- Fale nie przelewają się górą; może otworzymy właz i zobaczymy, co się dzieje?

- Słusznie - zgodziła się Misty. - Mam już dosyć tego powietrza przesyconego męską wonią.

- Trzeba było wcześniej powiedzieć - odparł rycersko Giordino. Wziął pojemnik z odwaniaczem do samochodów i rozpylił trochę zapachu we wnętrzu kabiny. - Żegnaj, zepsute powietrze.

Pitt nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Stał w wąskim kominie wiodącym przez środek uszkodzonego zbiornika. Obawiał się, że kolizja z belką na wraku mogła zablokować zaczep, ale po przekręceniu koła zapewniającego szczelność, udało mu się bez wysiłku otworzyć pokrywę. Wysunął głowę i ramiona nad krawędź włazu i wdychając świeże powietrze rozejrzał się. Szukał statku i szalup z nurkami. Omiótł wzrokiem cały horyzont.

Trudno opisać emocje, które go ogarnęły.

Morze było puste. "Deep Encounter" znikł. Jakby go nigdy tu nie było.

Weszli na pokład niemal dokładnie w tej samej chwili, gdy “Abyss Navigator” dotarł do dna i Pitt zadzwonił po rutynowe dane. Załoga wykonywała swoje zwykłe czynności, naukowcy zebrali się w centrum dowodzenia, obserwując poczynania Pitta i Giordina. Napad nastąpił tak szybko i niespodziewanie, że nikt nie zdawał sobie sprawy, co się stało.

Burch siedział wygodnie oparty w swoim fotelu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, spoglądając od czasu do czasu na monitory. Delgado, obserwujący wskazania radarów, spostrzegł na ekranie jakiś obiekt, który szybko zmieniał położenie.

- Coś zbliża się do nas od północnego wschodu.

- To pewnie okręt wojenny - powiedział Burch, nie odrywając wzroku od monitora. - Znajdujemy się ponad dwie mile od szlaków statków handlowych.

- Nie wygląda na okręt. Ale płynie bardzo szybko prosto na nas.

Kapitan uniósł brwi. W milczeniu wziął lornetkę i wyszedł na pomost. Zobaczył pomarańczowo-białą jednostkę, zbliżającą się szybko do “Deep Encounterera”. Burch uspokoił się - statek nie wyglądał groźnie.

- Co pan o tym myśli? - spytał Delgado.

- Statek techniczny firmy wydobywającej ropę - odparł Burch. - Szybki, co widać po wodzie bryzgającej spod dzioba. Co najmniej trzydzieści węzłów.

- Ciekawe, skąd płynie. W promieniu tysiąca mil nie ma żadnej platformy wiertniczej.

- Mnie bardziej ciekawi to, dlaczego zainteresował się naszym statkiem.

- Ma na kadłubie nazwę albo logo?

- Dziwne - powiedział wolno Burch. - Nic nie widzę.

Na pomoście zjawił się radiooperator.

- Mam na linii dowódcę tego statku. Należy do firmy wydobywczej - powiedział do Burcha.

Kapitan otworzył wodoszczelną skrzynkę i włączył głośnik.

- Tu kapitan Burch z “Deep Encounterera”, jednostki NUMA. Proszę mówić.

- Kapitan Wheeler, “Pegasus” z Mistral Oil Company. Macie na pokładzie lekarza?

- Tak. Co się stało?

- Mamy ciężko rannego.

- Podejdźcie do nas. Lekarz przejdzie na wasz statek.

- Przeniesiemy chorego na wasz pokład. Nie mamy żadnego zaplecza medycznego.

Burch spojrzał na Delgada.

- Słyszałeś?

- Bardzo dziwne.

- Też tak myślę - zgodził się Burch. - Rozumiem, że można nie mieć lekarza na statku, ale żadnych lekarstw i opatrunków? Coś tu nie gra.

Delgado ruszył w stronę korytarza.

- Wyznaczę marynarzy, żeby wciągnęli nosze na pokład.

Statek zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od "Deep Encounter". Po kilku minutach opuszczono szalupę z mężczyzną szczelnie owiniętym w koce. Leżał płasko na ławie. Towarzyszyło mu czterech innych marynarzy. Łódka stanęła przy burcie statku badawczego i wtedy nieoczekiwanie trzech mężczyzn wskoczyło na pokład i pomogło wciągnąć rannego, odpychając na bok członków załogi.

Nieoczekiwani goście odrzucili koce i chwycili ukryte pod spodem automaty, kierując lufy na Burcha i jego ludzi. Mężczyzna leżący na noszach zerwał się na równe nogi, zabrał podaną mu broń i pobiegł schodkami z prawej burty na mostek.

Burch i Delgado zrozumieli, że mają do czynienia z piratami. Na statku handlowym lub prywatnym załoga porwałaby za broń, jednak międzynarodowe prawo zabrania, by statki badawcze miały na pokładzie karabiny i pistolety. Mogli jedynie przyglądać się biernie, jak napastnik zajmuje mostek.

Nie wyglądał na pirata - nie miał drewnianej nogi, papugi na ramieniu ani przepaski na oku. Sprawiał wrażenie człowieka silnego, władczego o przedwcześnie posiwiałych włosach i lekko opalanej słońcem twarzy, był średniego wzrostu i średniej tuszy. Wydawał się zadowolony ze swojej władzy. W geście kurtuazji nie wycelował strzelby w Burcha ani w Delgada, lecz mierzył niedbale w niebo.

Przez chwilę patrzyli na siebie uważnie. W końcu napastnik zignorował Delgada i odezwał się grzecznie do Burcha z czystym amerykańskim akcentem.

- Kapitan Burch, jeśli się nie mylę.

- A pan?

- Moje imię jest nieistotne - odparł ostrym tonem. - Mam nadzieję, że nie będziecie stawiać oporu.

- Co, do cholery, robicie na moim statku? - spytał gniewnie Burch.

- Konfiskujemy go - powiedział twardo intruz. - Nikomu nic się nie stanie.

Burch patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ten statek jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Nie macie prawa dokonywać abordażu ani skonfiskować jednostki.

- Ależ mamy takie prawo. - Podniósł wyżej broń. - Oto ono.

Jego trzech towarzysze otoczyli zgromadzoną na pokładzie załogę. Szalupa powróciła z dziesięcioma uzbrojonymi ludźmi, którzy zajęli pozycje na całym statku.

- To szaleństwo! - krzyknął Burch z oburzeniem. - Co chcecie osiągnąć?

- Nawet nie potraficie sobie tego wyobrazić.

Zbliżył się jeden z uzbrojonych napastników.

- Statek jest opanowany, komendancie. Załoga i naukowcy są pod strażą w mesie.

- A w maszynowni?

- Czekają na pańskie rozkazy.

- Przygotować się. Potrzebuję pełnej mocy.

- Nie uda się wam uciec na tyle szybko, by uniknąć pościgu - powiedział Delgado. - Nasza łajba rozwija nie więcej niż dziesięć węzłów.

Porywacz roześmiał się.

- Dziesięć? To oszczerstwo. Wiem, że płynąc na ratunek liniowca rozwijaliście szybkość dwukrotnie większą. Mimo wszystko nawet dwadzieścia węzłów to za mało. - Wskazał ręką dziób, gdzie załoga szalupy szykowała się do zamocowania liny holowniczej. - Między nami mówiąc, popłyniemy z prędkością dwudziestu pięciu węzłów.

- Dokąd nas zabieracie? - spytał Delgado ze złością. Burch nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie.

- Nie wasza sprawa - odparł obojętnie napastnik. - Kapitanie, czy mam pańskie słowo, że zarówno pan, jak i załoga nie będziecie stawiać oporu i posłusznie wykonacie moje polecenia?

- Macie broń palną - odrzekł Burch. - A my jedynie kuchenne noże.

W trakcie tej rozmowy piraci przeciągnęli linę holowniczą przez poler na dziobie statku. Nagle w oczach Burcha pojawił się niepokój.

- Nie możemy odpłynąć! - rzucił ostro. - Jeszcze nie teraz!

Pirat spojrzał na niego, doszukując się jakiegoś podstępu.

- Już teraz kwestionuje pan moje rozkazy.

- Nie rozumie pan - wtrącił się Delgado. - Wysłaliśmy na dno miniaturową łódź podwodną, w której jest dwóch mężczyzn i kobieta. Nie możemy ich tak zostawić.

- Szkoda. - Napastnik wzruszył ramionami. - Będą musieli dotrzeć do lądu o własnych siłach.

- Nie ma mowy. To byłoby morderstwo.

- Nie mają radiostacji, żeby wezwać pomoc?

- Mają tylko małe przenośne radio i podwodny telefon akustyczny - wyjaśnił Delgado.

- Ten sprzęt ma zasięg około dwóch mil.

- Na miłość boską, człowieku - odezwał się Burch. - Kiedy wynurzą się i zobaczą, że zniknęliśmy, nie będą mieli najmniejszej szansy na ocalenie. Jesteśmy za daleko od szlaków handlowych. Skazuje ich pan na śmierć.

- To nie moja sprawa.

Rozwścieczony Burch zrobił krok w kierunku porywacza, który błyskawicznie uniósł broń i przytknął lufę do piersi kapitana.

- Zadzieranie ze mną nie jest rozsądne, panie kapitanie.

Burch zacisnął pięści, spojrzał dziko na napastnika, odwrócił się i pustym wzrokiem patrzył na ocean w miejscu, gdzie ostatnio widział "Abyss Navigatora".

- Jeśli ci ludzie zginą, niech Bóg ma was w opiece - powiedział zimno. - Zapłacicie za to.

- Nie wy będziecie nam wymierzać sprawiedliwość - odparł lodowato porywacz.

Możliwości działania czy negocjacji zostały wyczerpane. Burch i Delgado dali się odprowadzić uzbrojonemu strażnikowi do mesy.

Zanim "Abyss Navigator" wyszedł na powierzchnię, statek badawczy zniknął za północno-wschodnim horyzontem.

Sandecker pracował w takim skupieniu, że nie od razu zauważył nadejście Rudiego Gunna, który usiadł po drugiej stronie biurka. Rudi był niskim mężczyzną o wesołym usposobieniu. Na czubku głowy pozostała mu resztką włosów, nosił okulary w grubej rogowej oprawie i tani zegarek na nadgarstku - wszystko to sugerowało, że jest nudnym, bezbarwnym biurokratą, pracującym w pocie czoła, jako jeden z wielu do niego podobnych urzędników, siedzących w ciasnym przedziale za przenośnym klimatyzatorem.

Gunna można było posądzić o wszystko, ale na pewno nie o to, że jest postacią bezbarwną. Był najlepszy w swojej grupie w akademii w Annapolis, z wyróżnieniem odbył służbę w marynarce wojennej, wreszcie zaczął pracować w NUMA jako zastępca dyrektora i szef operacyjny. Miał błyskotliwy umysł i pragmatyczny instynkt, co pozwalało mu kierować bieżącą działalnością agencji ze sprawnością nieznaną innym instytucjom rządowym. Był bliskim przyjacielem Pitta i Giordina. Często wspierał ich szaleńcze projekty, sprzeczne z dyrektywami Sandeckera.

- Przepraszam, że przeszkadzam, admirale, ale mamy poważny problem.

- Co się stało tym razem? - spytał Sandecker, nie podnosząc wzroku. - Kolejny pomysł, na którego realizację brakuje pieniędzy?

- Obawiam się, że o wiele gorzej.

Dopiero teraz admirał spojrzał na zastępcę.

- O co chodzi?

- "Deep Encounter" zaginął razem z całą załogą.

Sandecker nie okazał zdziwienia, nie powtórzył machinalnie słowa "zaginął". Siedział spokojnie, czekając, aż Gunn powie coś więcej.

- Wszystkie nasze próby nawiązania kontaktu radiowego i satelitarnego spełzły na niczym... - zaczął wyjaśniać Gunn.

- Zerwanie łączności da się wyjaśnić na setki sposobów - przerwał Sandecker.

- Ale mają systemy awaryjne - powiedział cierpliwie Gunn. - Wszystko nie mogło nawalić.

- Kiedy miał miejsce ostatni kontakt?

- Dziesięć godzin temu. - Gunn przygotował się na wybuch, jaki musiał nastąpić.

Admirał zareagował w typowy dla siebie sposób.



- Dziesięć godzin! Wydałem instrukcje, że wszystkie statki badawcze, które wyszły w morze, mają się meldować co dwie godziny.

- Pańskie instrukcje są dokładnie przestrzegane. "Deep Encounter" zgłaszał się regularnie.

- Nie rozumiem.

- Ktoś podający się za kapitana Burcha meldował się co dwie godziny. Przekazywał aktualne dane dotyczące badania wraku. Wiemy, że to nie kapitan, bo wykryły to nasze systemy analizy głosu. Ktoś chciał go nieudolnie naśladować.

Sandecker słuchał uważnie. Wyciągał wnioski.

- Jesteś tego pewien, Rudi?

- Mogę szczerze powiedzieć, że w stu procentach.

- Nie potrafię pojąć, jakim sposobem statek z załogą rozpląnął się w powietrzu.

Gunn pokiwał głową.

- Kiedy dostałem wiadomość z naszego działu łączności, poprosiłem przyjaciela, który pracuje w Narodowej Agencji Badań Atmosfery, żeby przeanalizował satelitarne zdjęcia zjawisk pogodowych, wykonane na obszarze, gdzie pracował statek. Powiększenia tych zdjęć wykazują, że nie ma go w promieniu stu mil.

- Jaka była wtedy pogoda?

- Czyste niebo, wiatr dziesięć węzłów, niewielkie fale.

Sandecker próbował uporządkować te niezrozumiałe informacje.

- Statek nie mógł zatonać bez powodu. Nie miał na pokładzie środków chemicznych, które mogłyby go zniszczyć. Nie mógł wylecieć w powietrze. Więc może kolizja z inną jednostką?

- Znajdował się z dala od szlaków żeglugowych. W pobliżu nie było innego statku.

- A więc jakiś podszywający się głos, składający aktualne meldunki. - Admirał wbił przenikliwe spojrzenie w Gunna. - Sugerujesz, że "Deep Encounter" został uprowadzony?

- Na to wygląda - przyznał Gunn. - Nie widzę innej alternatywy. Mógł zostać zatopiony przez okręt podwodny, ale to przecież śmieszne. Musiał zostać przejęty i wyprowadzony poza zasięg, nim kamery satelitarne wykonały zdjęcia obszaru.

- Ale dokąd porwano statek? Jak mógł zniknąć w ciągu dwóch godzin? W najlepszym razie rozwija szybkość nieco ponad piętnaście węzłów. Od ostatniego meldunku nie mógł przepłynąć więcej niż sto pięćdziesiąt mil.

- To moja wina - powiedział Gunn. - Powiniennem poprosić o zwiększenie zasięgu kamery. Ale prośbę o te zdjęcia zgłosiłem, nie wiedząc, że ktoś podszywał się pod kapitana

Burcha. Myśl o porwaniu w ogóle nie przyszła mi do głowy.

Sandecker oparł się w fotelu i na moment ukrył twarz w dłoniach. Potem wyprostował się.

- W tym rejsie brali udział Pitt i Giordino - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Ostatni raport przekazany osobiście przez kapitana Burcha zawierał informację, że Pitt i Giordino są na pokładzie "Abyss Navigatora". Szykowali się do zanurzenia, aby dotrzeć do wraku.

- To szaleństwo! - rzucił ostro admirał. - Kto śmiałby porwać na południowym Pacyfiku statek należący do rządu Stanów Zjednoczonych? W tej części świata nie ma wojen ani rewolucji. Nie widzę motywu.

- Ani ja.

- Czy skontaktowałaś się z rządami Australii i Nowej Zelandii i poprosiłaś o wszczęcie poszukiwań?

Gunn kiwnął głową.

- Zapewnili mnie o swojej współpracy. Wszelkie statki handlowe i wojskowe, znajdujące się w pobliżu, zgodziły się zboczyć z kursu i rozpocząć akcję poszukiwawczą.

- Zdobądź z każdego dostępnego źródła powiększone odbitki zdjęć tej części oceanu. Chcę mieć każdy centymetr morza. "Deep Encounter" musi gdzieś tam być. Nie wierzę, że poszedł na dno.

Gunn wstał i ruszył do drzwi.

- Dopilnuję tego.

Sandecker siedział dłuższą chwilę, spoglądając na galerię fotografii, wiszących na ścianie. Jego wzrok spoczął na kolorowym zdjęciu Pitta i Giordina. Stali obok małej łodzi podwodnej, popijając szampana. Świątowali w ten sposób odnalezienie i wydobywanie z jeziora Michigan statku ze skarbem, należącym do rządu chińskiego. Giordino palił jedno z prywatnych cygar admirała.

Trzech mężczyzn łączyła bliska przyjaźń. Pitt i Giordino byli dla admirała jak synowie, których nigdy nie miał. Nie dopuszczał do siebie myśli, że zginęli. Obrócił się razem z fotelem i wyjrzał przez okno gabinetu, położonego na najwyższym piętrze budynku agencji, okno z widokiem na Potomac.

- W jakie tarapaty - powiedział do siebie - wpadliście tym razem?

Pitt, Giordino i Misty musieli pogodzić się ze zniknięciem “Deep Encounterera”, usiedli więc w kapsule, by rozważyć możliwości ratunku. Na morzu nie było widać nic, nawet plamy ropy. Ich statek nie zatonął, lecz z jakiegoś powodu oddalił się i zapewne niedługo powróci.

Minęła noc, potem dwa kolejne dni, a statku wciąż nie było widać. Zaniepokojeni zaczęli podejrzewać najgorsze. Całymi godzinami wpatrywali się w horyzont, lecz widzieli jedynie zieleń morza i błękit nieba. Nie pojawił się żaden statek ani nawet samolot pasażerski. Dzięki systemowi lokalizacji satelitarnej GPS wiedzieli, że dryfując przekroczyli międzynarodową linię zmiany daty i oddalali się coraz bardziej od szlaków żeglugowych. Powoli tracili nadzieję na ocalenie.

Nie oszukiwali się. Przepływający w pobliżu statek musiałby niemal zderzyć się z nimi, by jego załoga dostrzegła otwarty właz “Abyss Navigatora”. Sygnał naprowadzający sondy miał zasięg dwudziestu mil, jednak był tak zaprogramowany, że mógł go odbierać jedynie komputer nawigacyjny na pokładzie statku badawczego. Znajdujący się nawet niedaleko statek lub samolot nie mógłby go wykryć. Pozostała jedynie nadzieja, że statek lub samolot ratunkowy zbliży się na odległość dwóch mil, bo tyle wynosił zasięg małego radia rozbitków.

Najważniejsza była słodka woda. Na szczęście dość często padał deszcz, więc nad włazem rozpostarli winylową matę z podłogi, która jak wielki lejek zbierała wodę do butelek. Gdy zjedli wszystkie kanapki, zabrali się do łapania ryb. Za pomocą posiadanych narzędzi Pitt wykonał kilka haczyków, zaś Misty wykorzystwała swój talent artystyczny i sporządziła z różnych dostępnych materiałów kolorowe przynęty. Zarzucili parę linek jednocześnie i udało się im złowić trzy rybki, zidentyfikowane przez Misty jako pewien podgatunek makreli. Pocięli je na kawałki i wbili na haczyki, by zwabić więcej ryb. Po dziesięciu godzinach złowili ich już sporo - wszystkie fachowo oskrobała i wypatroszyła Misty. Zjedli je jako sushi do ostatniego kęsa. Nie były smaczne, ale nikt się nie skarżył, bo dostarczyły wszystkim pożywienia.

Po niekończących się spekulacjach na temat miejsca pobytu “Deep Encounterera” i jego załogi, w końcu dali sobie spokój i zaczęli rozmawiać o czym innym: o polityce i technologii morskiej. O wszystkim, co zabiłoby nudę, gdy jedno z nich stało w otwartym luku, chwytając deszczową wodę lub wypatrując na horyzoncie jakiegoś statku, a pozostała dwójka nosiła

na mapę zmianę dryfu i łowiła ryby.

Substancję, którą znaleźli na wraku, przełożyli do plastikowej torby. Mieli mnóstwo czasu, więc całymi godzinami dyskutowali o jej składzie chemicznym.

- Jak daleko odpłynęliśmy z prądem? - spytała po raz setny Misty, osłaniając oczy przed słońcem.

Pitt stał w kapsule tuż pod włazem.

- Od wczoraj prawie trzydzieści dwie mile na południowo-południowy wschód - odpowiedział.

- W tym tempie za pół roku dopłyniemy do wybrzeży Ameryki Południowej - stwierdziła ponuro.

- Albo do Antarktydy - mruknął Giordino.

- Tam już byliśmy - odparł Pitt. - Nigdy nie lubiłem spędzać wakacji dwa razy w tym samym miejscu.

- Powiadomię o tym wiatr i prąd oceaniczny.

- A może zrobimy żagiel z maty podłogowej? - zaproponowała Misty.

- Dziewięćdziesiąt pięć procent masy łodzi podwodnej znajduje się pod wodą, więc raczej nie nadaje się na żaglówkę.

- Ciekawe, czy admirał Sandecker zdaje sobie sprawę z naszej sytuacji - szepnęła Misty.

- Znamy go dobrze - stwierdził z mocą Pitt. - Jestem pewien, że poruszył niebo i ziemię, żeby wszcząć akcję ratunkową.

Giordino siedział skulony na krześle, marząc o grubym, średnio wysmażonym steku.

- Oddałbym całoroczne zarobki, żeby wiedzieć, gdzie jest teraz nasz statek.

- Nie ma sensu do tego wracać - rzekł Pitt. - Niczego się nie dowiemy, dopóki nas nie wyłowią.

Czwartego ranka niebo było zasnuwane chmurami. Wciąż wykonywali te same czynności - chwyтали deszczówkę, łowili ryby, wpatrywali się w horyzont. Wszystko pozostawało bez zmian. Każde z nich przez dwie godziny pełniło wachtę na stanowisku obserwacyjnym. Wieżyczka włazu wystawała nad powierzchnię morza tylko nieco więcej niż metr, więc stojąca w tym miejscu osoba była skazana na przemoczenie, gdy fale przelewały się nad krawędzią luku. Giordino odczepił wszystkie obciążniki, masa łodzi wciągała ją jednak pod pieniające się grzywacze. Sonda kołysała się mocno, ale jej załoga już dawno uodporniła się na chorobę morską, spędziwszy niemal połowę życia na wodzie.

Pitt zrobił grot harpuna, wycinając go scyzorykiem z twardej plastikowej podkładki

notesu Misty. Giordino upolował metrowego rekina. Zjedli mdłe mięso i popili je resztką wody.

Podczas wachty Misty niedaleko "Abyss Navigatora" przeleciał samolot. Misty wymachiwała energicznie matą, w którą chwyтали wodę, nikt ich jednak nie zauważył.

- Ten samolot nas szukał! - zawołała, z trudem tłumiąc łzy. - Przeleciał nad nami i wcale nas nie zobaczył.

- Bo to nie takie łatwe - przypomniał jej Pitt.

Giordino pokiwał głową.

- Nigdy nas nie zobaczą z kilkuset metrów. Ten wąż jest przecież mikroskopijny. Z powietrza wygląda pewnie jak kamyk na pustyni.

- Albo grosik na polu golfowym.

- Więc jakim sposobem mogą nas odnaleźć? - spytała Misty łamiącym się głosem.

Pitt przytulił ją i uśmiechnął się pocieszająco.

- Statystyki mówią, że wrócą tu i odnajdą nas.

- Poza tym szczęście zawsze nam sprzyja - wtrącił Giordino. - Prawda, przyjacielu?

- Jak cholera.

Misty otarła oczy, wygładziła szorty i bluzkę, przeczesała ręką krótkie włosy.

- Przepraszam. Widocznie nie jestem taka twarda, jak myślałam.

Przez kolejne dwa dni Pitt i Giordino musieli bardzo się starać, by zachować optymizm. Nad łodzią przeleciały trzy samoloty, lecz żaden jej nie zauważył. Pitt usiłował wywołać pilotów za pomocą przenośnego radia, lecz znajdowali się poza zasięgiem. Świadomość, że ratunek jest tak blisko, a jednocześnie tak daleko, była niesłychanie przygnębiająca. Pocieszało ich jedynie to, że admirał Sandecker uruchomił wszelkie dostępne środki, by przeprowadzić szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą.

Szare chmury, wiszące nad nimi złowieszczo przez cały dzień, pod wieczór rozplynęły się. Pomarańczowe słońce rozświetlało zachodnią stronę nieba, które na wschodzie miało już barwę granatu. Dyżur w otworze wjazdu pełnił Giordino. Znudzony monotonią bezowocnych obserwacji zapadał w lekką drzemkę, lecz budził się po piętnastu minutach, spoglądał na horyzont i znowu przysypiał.

Nagle zbudziła go muzyka. Pomyślał, że to halucynacja i wychylił się, nabrał dłonią morskiej wody i chlusnął nią sobie w twarz.

Muzyka brzmiała nadal.

Teraz rozpoznawał melodię. Walc Straussa *Opowieści Lasku Wiedeńskiego*. Potem zobaczył światło. Wyglądało jak gwiazda, lecz przemieszczało się niewielkim łukiem tam i z

powrotem na zachodnim horyzoncie. W nocy określenie dystansu na morzu jest prawie niemożliwe, lecz Giordino był pewien, że muzyka i ruchome światelko znajdują się w odległości nie przekraczającej pięciuset metrów.

Szybko wskoczył do wnętrza kapsuły, chwycił latarkę i wrócił na posterunek. Teraz już widział zarys małej łodzi, z której kwadratowych okienek dochodziło słabe światło. Zaczął szybko włączać i wyłączać latarkę.

- Tutaj! Tutaj! - krzyknął jak ochrypli osioł.

- Co się dzieje?! - zawołał z dołu Pitt.

- Jakaś łódź w pobliżu! - odkrzyknął Giordino. - Chyba płynie w naszym kierunku.

- Wystrzel racę - powiedziała zaaferowana Misty.

- Nie mamy rac. Zanurzamy się tylko w dzień, a po powrocie na powierzchnię jesteśmy blisko macierzystego statku - wyjaśnił spokojnie Pitt. Bez pośpiechu wziął radio i zaczął wywoływać przybysza na różnych częstotliwościach.

Misty bardzo chciała zobaczyć, co się dzieje na górze, ale u wylotu wjazdu było miejsce tylko dla jednej osoby. Mogła tylko usiąść i czekać. Pitt starał się nawiązać kontakt. Chciała też usłyszeć od Giordina potwierdzenie, że zostaną uratowani.

- Nie zauważyli nas - jęknął Giordino w przerwie między okrzykami. Cały czas wymachiwał latarką. Ledwie świeciła, baterie były już bardzo słabe. - Płyną obok.

- Halo, halo, odezwijcie się - mówił błagalnie Pitt.

Żadnej odpowiedzi.

Ogarnęło ich rozgoryczenie. Giordino patrzył, jak światła na wodzie zaczynają ginąć w ciemności. Nikt na pokładzie ich nie zauważył. Nieznana jednostka oddalała się kursem na północny zachód.

- Tak blisko, a tak daleko - mruknął przygnębiony.

Nagle w głośniku odezwał się czyjś głos:

- Z kim rozmawiam?

- Jesteśmy rozbitkami! - zawołał Pitt. - Przepłynęliście tuż obok nas. Zawróćcie.

- Trzymajcie się. Zawracam.

- Skreć! - zawołał radośnie Giordino. - Wracaj!

- Gdzie was szukać? Jaki kurs?

- Al! - zawołał Pitt. - Podaj naszą pozycję.

- Niech skreśli dwadzieścia stopni na lewą burzę.

- Dwadzieścia stopni w lewo. Powinniście nas zobaczyć - przekazał informację Pitt.

Mineła minuta.

- Widzę słabą żółtą poświatę sto metrów przed sobą - powiedział głos.

Właściciel podpływającej łodzi włączył zewnętrzne oświetlenie. Duży reflektor omiatał silnym promieniem powierzchnię morza, wreszcie zatrzymał się na Giordinie, wciąż wymachującym latarką jak szaleniec.

- Nie bójcie się - odezwał się głos. - Przepłynę nad wami i zatrzymam się nad waszą wieżyczką, gdy zrówna się z moją rufą. Wyrzuciłem drabinę, żebyście mogli wejść.

Pitt nie zrozumiał.

- Przepłyniecie nad nami? - powtórzył. - Nie rozumiem. Nie było odpowiedzi.

- On chyba chce nas staranować! - krzyknął Giordino.

Pitt pomyślał, że odnaleźli ich nasłani mordercy, być może nawet związani z mężczyzną, który chciał zabić Kelly Egan. Objął mocno Misty.

- Trzymaj się mnie. Po zderzeniu szybko wyskakuj przez właz, zanim zatoniemy. Podsadzę cię i wypchnę na zewnątrz.

Chciała coś powiedzieć, ale w końcu ukryła twarz na jego piersi. Zamknął ją w mocnych ramionach.

- Zawołaj, kiedy ma nastąpić zderzenie! - rozkazał Pitt Alowi. - A potem skacz.

Giordino przygotował się do skoku, z przerażeniem patrząc na zbliżający się jasno oświetlony statek. Łódź wyglądała zupełnie inaczej niż typowy pełnomorski jacht. Była podobna do wielkiej zielono-białej manty, z głowowymi płetwami otaczającymi półkolistą paszczę, zbierającą plankton. Szeroki pokład dziobowy wznosił się, a potem omijał z obu stron wielkie okno widokowe okrągłej sterówki.

Niepokój Giordina ustąpił miejsca uldze. Bliźniacze kadłuby katamaranu mijały właz sondy w odległości półtora metra z każdej strony. Nad jego głową przesuwiała się nadbudówka łodzi. Wreszcie katamaran zatrzymał się. Byli pod jego rufą. Giordino chwycił instynktownie chromowaną drabinę, która nieoczekiwanie pojawiła się w odległości pół metra.

Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, by zawiadomić o tym Pitta i Misty.

- Nie bójcie się. To katamaran. Jesteśmy dokładnie pod jego rufą! - zawołał i zniknął.

Misty wyskoczyła z włazu jak korek od szampana, zaskoczona widokiem niesamowitej łodzi. W mgnieniu oka wspięła się po drabinie, a po chwili znalazła się na eleganckim pokładzie rufowym. Stały tam miękkie sofy i stolik.

Pitt włączył sygnał wywoławczy, zabezpieczył właz i dopiero wtedy przeszedł na katamaran. Nie powitał go nikt z załogi ani pasażerów. Łódź ruszyła, odsłaniając dryfującego "Navigatora", lecz po przepłynięciu dwustu metrów zatrzymała się. Patrzyli, jak ze sterówki

wynurza się jakaś postać.

Postawny mężczyzna był tego samego wzrostu co Pitt, ale ponad pięć kilogramów cięższy. Był także trzydzieści lat starszy, miał siwiejące włosy i brodę, które nadawały mu wygląd lądowego szczura. Niebieskozielone oczy błyszczały, gdy z uśmiechem przyglądał się rozbitkom.

- Więc jest was troje - powiedział ze zdziwieniem. - Myślałem, że na tej tratwie był tylko jeden człowiek.

- To nie tratwa - odparł Pitt - a miniaturowa łódź podwodna przeznaczona do pracy na bardzo dużych głębokościach.

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i uznał po prostu:

- Skoro pan tak mówi...

- Badaliśmy wrak zatopionego statku pasażerskiego - wyjaśniła Misty.

- Tak, "Emerald Dolphin". Słyszałem o tym. Straszna tragedia. Cud, że tylu ludzi ocalało.

Pitt nie rozwodził się nad ich udziałem w akcji ratowniczej, lecz po prostu opisał, w jaki sposób zostali rozbitkami.

- I po wynurzeniu nie znaleźliście swojego statku? - spytał z powątpiewaniem mężczyzna.

- Znikł - zapewnił go Giordino.

- Powinniśmy natychmiast skontaktować się z naszą centralą w Waszyngtonie i zawiadomić dyrektora NUMA, że zostaliśmy uratowani.

- Oczywiście. Chodźcie do sterówki. Możecie skorzystać z radiostacji albo telefonu satelitarne, a nawet wysłać e-mail. "Periwinkle" jest doskonale wyposażony w najnowocześniejsze systemy komunikacyjne.

Pitt przyglądał się starszemu mężczyźnie.

- Myśmy się już kiedyś spotkali.

- Chyba tak.

- Nazywam się Dirk Pitt. - Wskazał na swoich towarzyszy. - A to Misty Graham i Al Giordino.

Mężczyzna serdecznie uściśnął ich dłonie, a potem uśmiechnął się do Pitta.

- Jestem Clive Cussler.



Pitt przyglądał się mu ciekawie.

- Mamy wielkie szczęście, że przepływał pan w pobliżu - odezwała się Misty, zadowolona, że nie musi tkwić w ciasnej kapsule.

- Odbywam rejs dookoła świata - wyjaśnił Cussler. - Ostatnio byłem w Hobart na Tasmanii, a teraz płynę do Papeete na Tahiti. Chyba najlepiej będzie, gdy zбочę z kursu i wysadzę was na najbliższej wyspie z lotniskiem.

- Jaka to wyspa? - spytał Giordino.

- Rarotonga.

Pitt rozglądał się dookoła.

- Nie widzę żadnej załogi.

- Płynę sam - odparł Cussler.

- Takim wielkim jachtem?

Cussler uśmiechnął się.

- "Periwinkle" to nie jest zwykły jacht. Wszystkie systemy są automatyczne i skomputeryzowane, więc może płynąć zupełnie sam. I tak właśnie się dzieje.

- Czy mogę skorzystać z pańskiej propozycji rozmowy z telefonu satelitarnego? - spytał Pitt.

- Oczywiście.

Cussler poprowadził go schodkami do sterówki. Wokół kabiny przyćmione szyby tworzyły panoramiczne okno, skąd można było obserwować horyzont w dowolnym kierunku. Wnętrze również nie było typowe. Zamiast przyrządów i wskaźników, koła sterowego czy dźwigni regulujących pracę silników stało tam siedem ekranów ciekłokrystalicznych i duży, wygodny fotel. Na prawej poręczy zamontowano komputerowy trackball, na lewej joystick. Monitory umieszczono w orzechowych obudowach. Ta kabina sterowa wyglądała bardziej elegancko niż mostek na pokładzie statku kosmicznego "Enterprise".

Cussler wskazał Pittowi fotel.

- Telefon satelitarny jest w panelu po prawej. Wystarczy wcisnąć niebieski guzik i można rozmawiać.

Pitt wybrał numer bezpośredniej linii Sandeckera w centrali NUMA. Admirał jak zwykle odebrał po pierwszym dzwonku.

- Sandecker.

- Mówi Dirk.

Zaległa ciężka cisza.

- Jesteś cały i zdrowy? - spytał powoli admirał.

Trochę odwodniony i stęskniony za normalnym jedzeniem, ale poza tym w porządku.

- A Al?

- I on, i Misty Graham z ekipy naukowej "Deep Encounter" stoją obok mnie.

Pitt wyczuł wielką ulgę w głosie Sandeckera.

- Jest tu ze mną Rudi. Przełączę na głośnik.

- Dirk! - zawołał radośnie Rudi Gunn. - Tak się cieszę, że żyjecie. Wszystkie jednostki ratownicze z Australii i Nowej Zelandii wyruszyły na poszukiwania statku.

- Mieliśmy szczęście. Wziął nas na pokład przepływający w pobliżu jacht.

- Nie jesteście na statku badawczym? - spytał ostro Sandecker.

- Spędziliśmy parę godzin na dnie, badając wrak "Emerald Dolphina", a gdy wyszliśmy na powierzchnię, statku i załogi nigdzie nie było widać.

- Więc nic nie wiecie?

- O czym?

- Nie jesteśmy jeszcze zupełnie pewni, ale wygląda na to, że statek uprowadzono.

- Skąd ten wniosek?

- Dopiero wczoraj o tej porze nasze systemy wykryły różnicę we wzorcu głosu kapitana Burcha, gdy przekazywał meldunki do centrali. Do tej chwili uważaliśmy je za autentyczne. Nie było powodów do podejrzeń.

- Gdy schodziliśmy pod wodę, wszystko było w porządku.

- Ostatni prawdziwy meldunek od Burcha mówił, że "Abyss Navigator" za chwilę zostanie opuszczony do morza. Porywacze musieli wejść na pokład, gdy byliście na dnie.

- Wiadomo, dokąd go uprowadzono?

- Nie - odparł krótko Sandecker.

- Przecież nie wyparował - odezwała się Misty. - Marsjanie nie zabrali go w kosmos.

- Obawiamy się - stwierdził ponuro admirał - że statek został celowo zatopiony. - Powstrzymał się od uwagi, że cała załoga spoczywa na dnie oceanu.

- Ale dlaczego? - spytał Giordino. - Jaką wartość ma dla piratów statek badawczy? Na pokładzie nie ma żadnych skarbów, nie można go wykorzystać do przemytu, jest zbyt wolny i łatwo rozpoznawalny. Więc dlaczego?

- Dlaczego... - powtórzył bezwiednie Pitt. - Ludzie, którzy podpalili liniowiec i zatopili go, chcieli nam przeszkodzić w zdobyciu dowodów sabotażu.

- Udało się wam zbadać wrak? - spytał Gunn.

- Nie ma wątpliwości, że dno statku zostało wysadzone od środka w co najmniej

sześciu miejscach. "Emerald Dolphin" osiadł na dnie Rowu Tonga.

- Słyszałem - powiedział Sandecker - że niewiele brakowało, a pociągnąłby za sobą holownik.

- Sześć kilometrów pod wodą to dobre miejsce, żeby ukryć niewygodne dowody - zauważył Giordino.

- Bandyty nie brali pod uwagę, że statek badawczy NUMA - dodał Gunn - znajduje się w pobliżu i może wysłać na dno miniaturowe łodzie podwodne.

W oczach Misty pojawiło się przerażenie.

- Z tego wynika, że żeby zatrzeć ślady, wymordowali całą załogę "Deep Encounter".

Na jachcie i w gabinecie Sandeckera zapadła bolesna cisza. Nikt nie miał wątpliwości, że ludzie, którzy z zimną krwią gotowi byli spalić żywcem lub utopić pasażerów liniowca, nie zawahają się posłać na dno statku badawczego wraz z załogą.

Pitt przypuszczał, że mordercy nie zrealizowali jeszcze swojego planu.

- Rudi?

Gunn zdjął okulary i przetarł szkła.

- Tak?

- Piraci mogli bez trudu zatopić statek. Udawali jednak głos Burcha, nadając do was regularne meldunki. Po co mieliby to robić, gdyby statek znajdował się na dnie?

- Nie wiemy, czy został zatopiony - odparł Gunn.

- Tak, ale na powierzchni nie zauważyliśmy śladów oleju ani szczątków. Nie było też słychać dźwięków, wydawanych przez rozpadający się pod wielkim ciśnieniem na dużej głębokości kadłub. Mam nadzieję, że zabrali statek wraz z załogą i ukryli go jako kartę przetargową na wypadek, gdyby ich plany zawiodły.

- A gdy okaże się, że są poza podejrzeniami - podjął Gunn - pozbędą się dowodów swoich zbrodni?

- Nie możemy do tego dopuścić - powiedziała przerażona Misty. - Jeśli przypuszczenia Pitta są słuszne, mamy niewiele czasu, by ocalić przyjaciół.

- Problem polega na tym, gdzie ich szukać - stwierdził Sandecker.

- Nigdzie ani śladu? - spytała Misty.

- Nic.

- Nawet statku piratów?

- Nie - odparł cicho Sandecker.

- Chyba należy odnaleźć obydwa statki. - W głosie Pitta zabrzmiała pewność siebie.

Sandecker i Gunn popatrzyli po sobie.

- Co ci chodzi po głowie? - spytał ostrożnie admirał. - Trzeba rozszerzyć obszar poszukiwań.

- Nie rozumiem? - zapytał Gunn.

- Założmy, że obie jednostki znajdowały się poza zasięgiem kamer satelitarnych, które pokrywają wąski pas oceanu.

- To całkiem możliwe - przyznał Sandecker.

- Przyjmuję, że kiedy satelita nadlatywał nad ten obszar po raz kolejny, poszerzyliście zakres obserwacji.

- Zgadza się.

- I nadal nie było śladu żadnego ze statków.

- Nie.

- Czyli, że nie wiemy, gdzie jest "Deep Encounter", ale mam już pewność, gdzie go nie ma.

Sandecker gładził równo przystryżoną brodę.

- Wiem, do czego zmierzasz, ale to chyba nie ma sensu.

- Zgadza się z admirałem - poparł go Gunn. - Maksymalna szybkość statku to zaledwie piętnaście węzłów. Nie ma mowy, żeby znalazł się poza zasięgiem kamer satelity.

- Główny mechanik House wyciągnął dwadzieścia węzłów, gdy płynęliśmy na ratunek płonącego liniowca - powiedział Pitt. - Wiem, że to czysta spekulacja, ale jeśli porywacze mieli wystarczająco szybki statek, mogli wziąć "Deep Encounter" na hol i zwiększyć jego szybkość o kolejne cztery do sześciu węzłów.

- To nic nie daje. - W głosie admirała brzmiało nadal powątpiewanie. - Gdy zwiększyliśmy zasięg kamer, statków wciąż nie było widać.

Wtedy Pitt zagrał swojego dzokera.

- Owszem, ale szukaliście tylko na wodzie.

- A gdzie mieliśmy szukać? - spytał zaciekawiony Sandecker.

- Dirk ma rację - powiedział w zamyśleniu Gunn. - Nie braliśmy pod uwagę stałego lądu.

- Przepraszam, że pytam - odezwał się Giordino - ale jakiego lądu? Najbliższa ziemia od miejsca zatonięcia "Dolphina" to północny cypel Nowej Zelandii.

- Nie - odparł Pitt cicho, żeby wywołać lepszy efekt. - Niecałe dwieście mil na południe znajdują się wyspy Kermadec. Płynąc z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, można tam swobodnie dotrzeć w ciągu ośmiu godzin. - Odwrócił się i spojrzał na Cusslera. - Zna pan te wyspy?

- Opłynąłem je. Nie są ciekawe. Trzy małe wysepki i stercząca z morza skała. Największa wyspa nazywa się Raoul, ale to tylko bryła zastygłej lawy o powierzchni trzydziestu paru kilometrów kwadratowych. Klifowe nabrzeże wznosi się wysoko, tworząc górę Mamukai.

- Są tam jakieś ludzkie osady?

- Mała stacja meteorologiczna i telekomunikacyjna, ale w pełni zautomatyzowana. Naukowcy zaglądają tam raz na pół roku, żeby sprawdzić i ewentualnie naprawić sprzęt. Na stałe mieszkają na wyspie tylko kozy i szczury.

- Czy przystań jest na tyle duża, by przyjąć mały statek?

- Przypomina raczej lagunę - odparł Cussler. - Ale mogą tam zakotwiczyć dwa, a może nawet trzy niewielkie statki.

- A roślinność, która może posłużyć jako kamuflaż?

- Na wyspie rośnie gęsty las i bujne krzewy. Mogą ukryć kilka małych statków nawet przed wzrokiem uważnego obserwatora.

- Słyszał pan? - powiedział Pitt do słuchawki.

- Słyszałem - potwierdził admirał. - Poproszę, by satelita podczas kolejnego przelotu nad południowym Pacyfikiem wycelował obiektywy w Kermadec. Jak mogę się z wami skontaktować?

Pitt chciał spytać Cusslera o kod, lecz żeglarz napisał już na kartce szereg cyfr. Pitt przekazał kod Sandeckerowi i wyłączył się.

- Mógłby pan zawrócić w kierunku wysp Kermadec?

Oczy Cusslera rozbliły.

- Ma pan jakiś sprytny plan?

- A czy pan ma na pokładzie buteleczkę tequili?

Cussler poważnie kiwnął głową.

- Tak. Cały karton najlepszego gatunku. Od czasu do czasu odrobina błękitnej agawy pomaga mi utrzymać się w dobrej formie.

Napełnili szklanki i Pitt opowiedział, jaki pomysł przyszedł mu do głowy, ale tylko tyle, ile uznał za właściwe w tych okolicznościach. Pomyślał, że w końcu nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje zniszczenia pięknego jachtu, żeby realizować jego desperacką akcję.

Malachitowa zieleń morza łączyła się z oliwinową zielenią wody płynącej laguną między wulkanicznymi klifami wyspy Raoul. Za kanałem laguna rozszerzała się w niewielki, ale zupełnie przyzwoity basen, gdzie mogły kotwiczyć małe statki. Dalej znajdowało się ujście strumienia, spływającego z góry Mumakai. Na piaszczystej plaży w kształcie podkowy tu i tam widniały czarne skały oszlifowane przez wodę. Wokół nich rosły kokosowe palmy.

Od strony morza przez bramę utworzoną przez skały po obu stronach kanału widać było tylko niewielką część laguny. Przypominało to zagłębienie przez lunetę w głęboką rozpadlinę. Wysoko, na szczycie zachodniej skały wejścia, sto metrów nad powierzchnią morza i niebezpiecznie blisko krawędzi stała chatka z palmowych liści, stanowiących jedynie kamuflaż ścian zbudowanych z betonowych bloków. Wnętrze było klimatyzowane, okna chroniły przyciemnione szyby. W komfortowo wyposażonym domku siedział strażnik, wypatrujący przez silną lornetkę zamocowaną na statywie każdego śladu statku. Spoczywał w wygodnym fotelu przed komputerem, radiostacją i kamerą z monitorem. Mężczyzna palił papierosa za papierosem i zdążył już zgromadzić w popielniczce stertę niedopałków. Na przeciwległej ścianie wisiały cztery wyrzutnie pocisków i dwa karabiny automatyczne. Z takim arsenałem strażnik mógł powstrzymać małą flotyllę okrętów, próbujących wtargnąć do laguny.

Mężczyzna miał trzydzieści lat, był dobrze umięśniony i sprawny fizycznie. Pocierał ręką niewielki zarost na podbródku, spoglądając bezmyślnie na błyszczące morze. Niebieskooki blondyn, były żołnierz Sił Specjalnych, został wynajęty przez wydział bezpieczeństwa wewnętrznego dużej korporacji, o której wiedział niewiele i która niewiele go obchodziła. Wykonywał zadania w różnych częściach świata, w tym czasami również zabójstwa, ale dostawał za to pieniądze i to niemałe. I tylko to się liczyło.

Ziewnął i zmienił płyty kompaktowe w odtwarzaczu. Miał eklektyczny gust - od muzyki poważnej po soft rock. Wcisnął guzik i nagle zauważył jakiś ruch wokół oderwanej bryły skalnej, znajdującej się poniżej punktu obserwacyjnego. Podniósł do oczu lornetkę i nastawiwszy ostrość, zobaczył szybko płynący, niebiesko-biały obiekt.

Był to najdziwniejszy jacht, jaki widział w życiu. Motorowy katamaran pozbawiony masztu rozcinał lśniąca od słońca wodę z szybkością blisko czterdziestu węzłów. Strażnik przetaił oczy i ponownie spojrzął przez lornetkę.

Łódź miała z pewnością ponad dwadzieścia metrów. Sam nie wiedział, czy podoba mu się jej kształt, czy też nie. Im dłużej się przyglądał, tym bardziej jej linia wydawała mu się elegancka i egzotyczna. Przypominała parę łyżew, nad którymi znajdowała się okrągła sterówka. Na górnym pokładzie dwoje ludzi - kobieta i mężczyzna - zażywało kąpieli w

jacuzzi. Śmiali się, popijając drinki. Wszystkie okna wykonano z przyciemnionego szkła, nie wiedział więc, czy wewnątrz są jeszcze inni pasażerowie lub członkowie załogi.

Włączył radio i nastawił przełącznik na nadawanie.

- Tu Pirat. Od północnego wschodu zbliża się jakiś jacht.

- Od północnego wschodu - powtórzył szorstki głos.

- Prawdopodobnie płynie z Tahiti do Nowej Zelandii.

- Widać broń albo uzbrojoną załogę?

- Nie.

- Nie wygląda groźnie?

- Absolutnie, chyba że zagrożenie może stanowić dwoje nagich ludzi w jacuzzi.

- Płynie do kanału?

Strażnik sprawdził kurs zbliżającego się jachtu.

- Wygląda na to, że nas ominie.

- Pozostań w kontakcie radiowym i zgłaszaj każdy podejrzany ruch. Jeśli skręci do kanału, wiesz, co masz robić.

Strażnik popatrzył na jedną z ręcznych wyrzutni.

- Szkoda będzie zniszczyć taki piękny jacht. - Przechylił się w fotelu i ponownie spojrział przez lornetkę. Poczul zadowolenie, że łódź mija wejście do kanału i płynie w swoją stronę. Obserwował ją do momentu, gdy stała się maleńką odległą plamką. Znow włączył radiostację.

- Tu Pirat. Jacht odpłynął. Chyba rzucił kotwicę w otwartej lagunie przy południowym krańcu wyspy Macaulay.

- To jest nieszkodliwy - orzekł chropowaty głos.

- Na to wygląda.

- Gdy zapadną ciemności, obserwuj jego światła pozycyjne i pilnuj, czy stoi w miejscu.

- Pewnie zatrzymał się tu na noc. Pasażerowie i załoga za chwilę urządzią sobie grilla na plaży. Wyglądają na turystów, odbywających rejs po południowym Pacyfiku.

- Wyśle helikopter i przekonamy się, czy masz rację.

Misty i Giordino wcale nie byli nadzy. Mieli na sobie kostiumy kąpielowe, które pożyczył im Cussler. Popijali rum. Łódź wpłynęła pod strome skały wyspy Raoul. Cussler i Pitt nie mieli tyle szczęścia. Stary siedział w sterówce z mapą na kolanach, obserwując wskazania głębokościomierza oraz znajdujące się na dnie rafy koralowe, które mogły

rozplatać kadłuby “Periwinkle’a” równie łatwo, jak brzytwa przecina papier. Na barkach Pitta spoczywało najgorsze zadanie. Leżał spocony pod warstwą poduszek i ręczników na dolnym pokładzie, filmując domek strażnika, znajdujący się na skale przy wejściu do kanału.

Gdy rzucili kotwicę, zebrali się w saloniku i patrzyli w monitor, na którym pojawił się materiał nagrany przez Pitta. Silny teleobiektyw i elektroniczne rozjaśnienie obrazu pozwoliły dostrzec w oknie strażnicy człowieka, patrzącego na nich przez wielką lornetkę. Dzięki supernowoczesnym urządzeniom Cusslera udało się również nagrać dźwięk, w tym rozmowę strażnika z mężczyzną o chropowatym głosie.

- Oszukaliśmy ich - stwierdziła rażno Misty.

- Dobrze, że nie próbowaliśmy wpłynąć do kanału, powiewając flagami - rzekł Giordino, przykładając sobie do czoła puszkę zimnego piwa.

- Nie wyglądają na przyjaźnie nastawionych do obcych - przyznał Pitt.

Jakby na potwierdzenie jego słów usłyszeli warkot silników helikoptera, który właśnie przeleciał nad jachtem.

- Facet powiedział, że musi zorientować się w sytuacji - powiedział Pitt. - Może wyjdziemy na pokład i pomachamy mu?

Czerwonożółty śmigłowiec unosił się w powietrzu nieco za rufą “Periwinkle’a”, na wysokości nie większej niż trzydzieści metrów. Numery rejestracyjne na kadłubie miał zalepione szeroką taśmą. Wewnątrz siedzieli dwaj mężczyźni w kwiecistych koszulach i obserwowali łódź.

Pitt położył się wygodnie na pokładowej sofie, podczas gdy Giordino schował się pod daszkiem i filmował helikopter kamerą, ukrytą pod pachą i koszulą. Misty z Cusslerem stanęli obok jacuzzi i pomachali przybyszom.

Pitt uniósł kieliszek, jakby zapraszał ich do wspólnego toastu. Widząc kobietę i starszego mężczyznę o siwych włosach i brodzie, musieli pozbyć się wszelkich podejrzeń. Pilot pomachał do nich także. Potem okrążył jacht i skierował się do wyspy Raoul, zadowolony, że turyści nie stanowią żadnego zagrożenia.

Po odlocie śmigłowca, wrócili do saloniku. Giordino wyjął z kamery kasetę i włożył ją do odtwarzacza. Na ekranie widać było wyraźnie mężczyznę z jasnymi włosami i siwiejącą brodą, który siedział za sterami maszyny, a także jego czarnoskórego kompana.

- Nareszcie mamy konkretne twarze ludzi biorących w tym udział - powiedział w zadumie Giordino.

- I co teraz? - Cussler wyłączył magnetowid.

- Gdy zapadnie ciemność, zbudujemy małą tratwę i zamocujemy na niej lampy, aby z



odległości wyglądała jak zakotwiczona łódź. Pod osłoną skał podpłyniemy do kanału tak, żeby nie zauważył nas strażnik. Nie wykryje nas radar, bo go nie widać na taśmach. Potem ja i Al wejdziemy do wody i popłyniemy kanałem do laguny na mały zwiad. Jeśli "Deep Encounter" rzeczywiście jest ukryty i zamaskowany siatką, wejdziemy na pokład, opanujemy statek, sterroryzujemy piratów, w końcu uwolnimy naszych przyjaciół i wypłyniemy na pełne morze.

- Więc taki jest ten twój plan? - spytał Giordino, mrużąc oczy, jakby zobaczył fatamorganę.

- Tak, to jest mój plan - powtórzył Pitt.

- Chyba nie mówisz tego poważnie - odezwała się Misty. - Was dwóch przeciwko co najmniej pięćdziesięciu uzbrojonym drabom? To najbardziej wariacki pomysł, o jakim słyszałam.

Pitt wzruszył ramionami.

- Trochę to uprościłem. Ale, szczerze mówiąc, nie widzę innego sposobu, by dopiąć celu.

- Moglibyśmy zawiadomić Australijczyków - zasugerował Cussler. - Niech przyślą jednostkę do zadań specjalnych. Będą tu za dwadzieścia cztery godziny.

- Możemy nie mieć tyle czasu - rzekł Pitt. - Jeśli porywacze nie zatopili jeszcze statku wraz z załogą, to mogą zrobić to zaraz po zapadnięciu ciemności. Jutro o tej porze będzie już za późno.

- To szaleństwo tak ryzykować życiem - nalegała Misty.

- Nie mamy wyboru - odparł stanowczo Pitt. - Ani czasu.

- Co z bronią? - odezwał się Giordino obojętnie, jakby pytał o cenę lodów w wafli.

- Mam dwa karabiny automatyczne, które wożę ze sobą - powiedział Cussler. - Nie wiem jednak, czy po kąpieli w oceanie broń będzie działać.

Pitt pokręcił głową.

- Nie, lepiej będzie, jeśli popłyniemy bez obciążenia. O broń będziemy się martwić w swoim czasie.

- A sprzęt do nurkowania? Mam cztery butle i dwa reduktory.

- Im mniej sprzętu, tym lepiej. Butle będą nam ciężać, gdy wyjdziemy na brzeg. Do laguny weźmiemy tylko fajki. Nikt nas nie zauważy w ciemnościach, nawet z odległości pięciu metrów.

- Czekaj, czeka cię długa droga - powiedział Cussler. - Od miejsca, gdzie zacumuję łódź, do laguny odległość wyniesie ponad milę.

- Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli dopłyniemy tam przed północą - mruknął Giordino.

- Mogę skrócić wam mękę o dwie godziny.

Pitt spojrzał na uważnie Cusslera.

- Jak?

- Mam podwodny silnik dla nurków, który pociągnie was obu.

- Świetnie. Bardzo dziękujemy.

- Czy żadne moje słowa nie odwiodą was od tego szaleństwa? - odezwała się Misty.

- Nie. - Pitt uśmiechnął się do niej. - Trzeba to zrobić. Gdyby w lagunie nic nie było, po co trzymaliby tego strażnika przy wejściu do kanału? Musimy sprawdzić, czy nie ma tam "Deep Encounter".

- A jeśli się mylicie?

Uśmiech znikł z twarzy Pitta.

- Jeśli się mylimy, to nasi przyjaciele zginą, bo nie potrafiliśmy ich uratować.

Ruszyli zaraz po zachodzie słońca. Trzej mężczyźni w ciągu dwóch godzin zbudowali z pni palmowych tratwę, na której ustawili ramę z kawałków dryfującego drewna, zaś na niej atrapę "Periwinkle'a". Do przymocowanych tu i ówdzie żarówek podłączyli akumulator i przycumowali tratwę do burty jachtu od strony wysepki.

- Całkiem podobna - przyznał Cussler.

- Nie jest piękna - powiedział Giordino - ale powinna zmylić strażnika pięć mil stąd.

Pitt spryskał sobie twarz morską wodą, by obmyć pot. W powietrzu panowała okropna wilgoć.

- Włączymy oświetlenie na tratwie i w tej samej chwili zgasimy je na jachcie.

Kilka minut później Cussler włączył silniki, przycisnął guzik uruchamiający winde kotwiczną i powoli ruszył z miejsca. Zapalił oświetlenie na tratwie, jednocześnie wygaszając wszystkie lampy "Periwinkle'a". Wypłynął z atolu, pilnie obserwując głębokościomierz. Ostre krawędzie koralowców, niczym kły drapieznika, gotowe były przebić jacht i posłać go na dno.

Za pomocą radaru skierował się do wyspy Raoul. Spoglądał na kilwater, aby upewnić się, czy spieniona woda nie błyszczy w ciemnościach. Ustawił szybkość na dziesięć węzłów. Na rozgwieżdżonym niebie nie było księżyca. W sterówce zjawili się Pitt i Misty, która w końcu z rezygnacją zaakceptowała plan i przygotowała kanapki w kambuzie. Podała je mężczyznom i usiadła obok Ala, a on ze słuchawkami na uszach wsłuchiwał się w

chropowaty głos człowieka, prowadzącego rozmowę ze strażnikiem.

Cussler rozłożył mapę, z zaznaczoną głębokością wokół wyspy i skierował katamaran w stronę światełka z domku na szczycie klifu.

- Podpłynę do zwaliska skalnego u wejścia do kanału - wyjaśnił. - Od tego miejsca jesteście zdani na silnik podwodny. Trzymajcie się z dala od przybrzeżnych fal. Możecie się do nich zbliżyć dopiero wtedy, gdy wejdziecie na spokojną wodę.

Po raz pierwszy w głosie Cusslera słychać było niepokój. Rzadko spoglądał za okno, gdzie panowała zupełna ciemność. Od czasu do czasu zerkał na kompas. Prowadził jacht według wskazań przyrządów - sondy i radaru. Siedział nonszalancko rozparty, trzymając dłonie na trackballu i joysticku. Zza otwartego okna usłyszał odgłos fal uderzających w klif.

Pitt usłyszał go także. Byli koło zwaliska skalnego, poza zasięgiem wzroku siedzącego wysoko strażnika. Dalej morze było bardzo spokojne. Cussler zwolnił do kilku węzłów. Podpłynął tak blisko skał, jak tylko było to możliwe, włączył jałowy bieg i spojrzał na Pitta takim wzrokiem, jakby mówił: "To nie jest dobry pomysł". Nic jednak nie powiedział.

Pilnie obserwując poszarpane dno na głębokości niecałych pięciu metrów pod kadłubami jachtu, rzucił kotwicę. Gdy łódź była już unieruchomiona i ustawiona dziobami w kierunku nadchodzącej fali przyływu, Cussler kiwnął głową.

- Dalej nie popłynę.

- Jak długo może pan tu zostać?

- Chciałbym poczekać na wasz powrót, ale za trzy godziny i dwadzieścia minut fala przyływu zmieni kierunek. Żeby nie ryzykować uszkodzenia jachtu, będę musiał odejść od brzegu i opłynąć wyspę, poza zasięgiem wzroku strażnika.

- Jak pana znajdziemy w ciemności?

- Mam podwodny nadajnik radiowy. Używam go do obserwacji reakcji ryb na różne dźwięki. Za dwie godziny zacznę nadawać muzykę zespołu Meatloaf.

- Słucha pan Meatloaf? - Misty patrzyła na niego zdumiona.

- Czy stary wilk morski nie może lubić rocka? - roześmiał się Cussler.

- Ta muzyka nie przyciąga rekinów? - spytał z obawą Giordino.

Cussler pokręcił głową.

- Wolą Tony'ego Bennetta.

Pitt i Giordino włożyli pożyczone płetwy i maski. Cussler opuścił drabinkę na rufie, cofnął się i poklepał ich po ramieniu.

- Pamiętajcie, trzymajcie się daleko od skał u wejścia do kanału, a potem odczekajcie, aż fale zniosą was do środka. Nie ma sensu zużywać akumulatora. - Powodzenia - dodał

poważnie. - Będę czekał tyle, ile można.

Wskoczyli do ciepłej, czarnej wody z cichym pluskiem i przepłynęli krótki dystans od łodzi. Giordino płynął śladem Pitta. Temperatura wody wynosiła około dwudziestu sześciu stopni. Od łądu wiała lekka bryza, na powierzchni tworzyły się niewielkie fale przyływu. Płynęli tak przez kilka minut. W końcu zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Z odległości trzydziestu metrów "Periwinkle" był zupełnie niewidoczny. Pitt podniósł do oczu nadgarstek i przyjrzał się fosforyzującej wskazówce na kompasie Cusslera. Delikatnie trącił Giordina w głowę, wskazując kierunek. Giordino objął go mocno za nogi. Pitt włączył silnik. Maszyna zaczęła pracować z cichym szmerem i pociągnęła ich z prędkością blisko trzech węzłów.

Pitt mógł kierować się jedynie wskazaniem kompasu albo głuchym odgłosem fal rozbijających się o skały, w odległości stu albo dwustu metrów - w ciemności nie można było tego lepiej ocenić.

Nagle jego uszu dobiegły dwa osobne grzmoty. To fale uderzały w przeciwległe ściany kanału. Skorygował kierunek. Silnik pociągnął ich w stronę wyspy, do miejsca, gdzie odgłosy rozbijających się fal były słyszalne równie głośno z obu stron. Zgodnie z instrukcją Cusslera, wyłączył silnik i pozwolił, by silny prąd wprowadził ich w wejście do kanału. Stary żeglarz miał rację.

Między stromymi ścianami kanału nie powstawała wysoka fala. Duża głębokość środka przesmyku i brak przeszkód sprawiały, że morze spokojnie wpływało do laguny, ciągnąc ich z prądem.

Pitt położył się na wodzie twarzą do dołu, rozpostarł szeroko nogi i unosił się swobodnie jak żółw morski zażywający drzemki. Oddychał wolno i spokojnie przez fajkę. Dzięki silnikowi nie byli zmęczeni. Giordino rozluźnił chwyt i płynął obok Pitta.

Żaden z nich nie spojrzął do góry, by sprawdzić, czy zostali zauważeni. Nie musieli się o to martwić. Skoro oni nie widzieli strażnika na krawędzi klifu, to i on nie był w stanie dostrzec ich z tej odległości w ciemnej wodzie. Dopiero teraz Pitt zaczął się zastanawiać, czy piraci rozstawili strażników wokół laguny. Wątpił, żeby byli aż tak ostrożni. Przecież nikt nie zdoła w ciemności wdrzeć się na skały otaczające wyspę, a następnie pokonać gęstą dżunglę, wędrując po nierównym podłożu wulkanicznym. Miał pewność, że ewentualnych intruzów wypatrują jedynie oczy strażnika przy wejściu.

Wcześniej, przez krótką chwilę widział lagunę, gdy "Periwinkle" przepływał koło wejścia. Oceniał, że w prostej linii znajduje się około jednej trzeciej mili od otwartego morza. Poczł, że siła fal nieco słabnie, więc dał znak Giordinowi, by chwycił go za nogi i ponownie włączył silnik.

Po niecałym kwadransie gwiazdy rozsypały się na niebie. Wypłynęli z kanału do szerokiej laguny. Pitt skierował się ku znajdującej się z boku plaży, a gdy poczuł pod nogami piasek, wyłączył silnik.

Na plaży nie widać było żadnych zabudowań, ale laguna wcale nie była opuszczona. Na samym środku stały burta w burtę dwa statki. Ich kształty nie dawały się rozpoznać w nocnym mroku. Tak jak podejrzewał Pitt, obydwie jednostki pokrywała siatka maskująca. Widać było jedynie słabą poświatę, dobiegającą z okien. Bez bliższych oględzin nie dawało się stwierdzić, czy jednym ze statków jest "Deep Encounter".

- Zdejmij maskę - szepnął Pitt do Giordina. - Może się w niej odbijać światło.

Silnik zostawili na plaży. Podpłynęli do większego z dwóch statków. Stał na kotwicy, z dziobem pięknie wysuniętym w kierunku kanału. Sylwetką przypominał "Deep Encounter", ale musieli się jeszcze upewnić. Pitt zdjął płetwy, podał je Giordinowi i wspiął się po łańcuchu kotwicznym. Był wilgotny, ale stosunkowo czysty - wolny od rdzy i mułu. Pitt zatrzymał się na wysokości kluzy.

W słabym świetle sączącym się z jakiegoś luku dostrzegł litery przyspawane do dziobu.

Napis brzmiał: "Deep Encounter".

Kluza kotwiczna była co najmniej trzy metry pod krawędzią pokładu dziobowego. Bez liny z kotwiczką Pitt i Giordino nie mogliby wspiąć się na pokład. Pozostała część kadłuba też nie nadawała się do wspinaczki, bo nie było na niej żadnych występów. Pitt zaklął, zły na siebie za tak elementarny brak zdolności przewidywania.

Zsunął się po łańcuchu do wody.

- To "Deep Encounter" - powiedział do przyjaciela.

Giordino spojrzał do góry ze zdumieniem.

- Jak mamy się dostać na pokład bez trapu ani drabinki? Tędy nie wejdziemy.

- Oczywiście masz jakiś zapasowy plan - powiedział Giordino odruchowo.

- Oczywiście.

- Śmiało, wal.

Uśmiezek Pitta zniknął w ciemności.

- Statek porywaczy jest niższy. Mam nadzieję, że uda nam się wejść na rufę, a stamtąd jakoś przejdziemy na "Deep Encounter".

Pitt znowu czuł się pewnie. Okazało się, że miał rację, w dodatku jednostka piratów nie była naszpikowanym działami okrętem, lecz statkiem remontowym o długości czterdziestu metrów. Rufa znajdowała się wystarczająco nisko, by można było wejść na pokład, w dodatku zwisała z niej drabinka i mała platforma.

- Mam nadzieję, że znajdziemy tu kawałek jakiejś rurki - mruknął Giordino. - To najlepsza, sprawdzona broń. Z gołymi rękami czuję się zupełnie nagi.

- A ja sądzę przeciwnie - odparł Pitt. - Widziałem już, co potrafisz zrobić tymi gołymi rękami. Zapominasz o jednym: na naszą korzyść działa element zaskoczenia. Oni nie oczekują gości, zwłaszcza takich jak my, którzy wchodzą tylnymi drzwiami.

Pitt przechodził przez reling rufy, kiedy Giordino wbił mu palce w ramię.

- O co chodzi? - spytał cicho, rozcierając rękę.

- Ktoś stoi w cieniu tej nadbudówki i pali papierosa - szepnął Giordino prosto do ucha Pitta.

Dirk powoli uniósł głowę i spojrzał na przeciwną stronę pokładu roboczego. Giordino miał naprawdę znakomity wzrok. W ciemności rysowała się postać mężczyzny. Oparty o reling palił papierosa i rozkoszował się powietrzem tropikalnej nocy. Wyglądało na to, że

całkowicie pogrążył się w myślach.

Giordino jak duch przeskoczył reling, z nadzieją, że spadające z niego krople wody nie będą słyszalne wśród szumu palm, poruszanych wiatrem. Cicho przebiegł przez pokład i zacisnął potężne dłonie na szyi mężczyzny, odcinając mu wszelki dopływ powietrza. Po krótkiej samotności ciało zaskoczonych pirata zwiotczało. Z cichym westchnieniem Giordino przeciągnął go na rufę i położył za dużą wciągarką.

Pitt szybko przeszukał mu ubranie. Znalazł duży składany nóż i rewolwer z krótką lufą.

- Dobra nasza.

- Wciąż oddycha - powiedział Giordino. - Co z nim zrobimy?

- Połóż go na platformie dla nurków.

Giordino skinął głową i z łatwością przeciągnął mężczyznę nad relingiem, po czym rzucił go na platformę, niemal strącając do wody.

- Brudna robota wykonana.

- Miejmy nadzieję, że nie obudzi się przez najbliższą godzinę.

- Gwarantuję. - Giordino patrzył w ciemność, omiatając wzrokiem pokłady. - Jak sądzisz, ilu ich tam jest?

- NUMA ma dwa statki remontowe podobnej wielkości. Ich załoga to piętnastu ludzi, ale mogą przyjąć nawet setkę pasażerów.

Pitt podał nóż Ałowi, który spojrzał nań posepnie.

- Dlaczego nie rewolwer?

- Przypomnij sobie stare filmy z Errolem Flynnem.

- On używał miecza, a nie taniego scyzoryka.

- Udawaj, że to długa broń.

Giordino przestał narzekać. Nie spiesząc się, ruszyli przez pokład towarowy i roboczy do wjazdu przy grodzi rufowej. Luk był zamknięty, aby nie wypuszczać z klimatyzowanego pomieszczenia chłodnego powietrza. Być może powinni bać się nieznanego, lecz nie mogli sobie na to pozwolić. Bali się, że przybyli za późno, by ocalić ludzi z "Deep Encounter". Pittowi przyszło do głowy najgorsze, lecz odegnał złe myśli. Sam też przestał się bać śmierci.

Zatrzymali się przed trapezami łączącymi oba statki, by zajrzeć do wnętrza przez oświetlone okienko. Pitt naliczył dwudziestu dwóch porywaczy, którzy siedzieli wokół stołu, grając w karty, czytając lub oglądając telewizję satelitarną. Mieli tyle broni, że mogliby zorganizować małą rewolucję. Żaden nie wydawał się zaniepokojony perspektywą pojawienia się intruzów ani ucieczki więźniów. Byli zupełnie spokojni, zbyt spokojni, by mieć na głowie

obowiązek piklowania pięćdziesięciu zakładników.

- Przypomnij mi, żebym wynajął paru z nich do pilnowania domu - mruknął Giordino.

- Wyglądają bardziej na najemników niż na piratów - odparł Pitt.

Odrzucił myśl o zemście. Jeden sześciostrzałowy rewolwer i nóż przeciwko dwudziestce uzbrojonych mężczyzn nie dawały szans na powodzenie. Chciał przede wszystkim sprawdzić, czy na statku badawczym są żywi ludzie, a potem - o ile to będzie możliwe - spróbować ich ocalić. Razem z Giordinem przywarli płasko do nadbudówki przy lewej burcie, nasłuchując i wpatrując się w ciemność. Nie wykryli niczego podejrzanego, więc ruszyli bezgłośnie dalej. Nagle Pitt stanął.

Giordino zamarł tuż obok niego.

- Widzisz coś?

Pitt wskazał szeroki płat pomalowanego kartonu, który byle jak przymocowano taśmą do nadbudówki.

- Zobaczymy, co tam schowali!

Powoli, bardzo ostrożnie zrywał taśmę, przyciskając karton do metalowej ściany. Gdy usunął większą część taśmy, schylił się i zajrzał pod spód. Znaki były ledwie widoczne w rozsypanym świetle, płynącym z okien.

Zobaczył stylizowany rysunek psa z trzema głowami i wężem zamiast ogona. Pod spodem widniał napis CERBER. Nic nie zrozumiał, więc umieścił karton z powrotem na ścianie i przymocował go taśmą.

- Widziałeś coś? - spytał Giordino.

- Wystarczająco dużo.

Skierowali się do wąskiego trapu i ostrożnie przeszli na drugi statek. W każdej chwili z ciemności mogli wyłonić się porywacze i skosić ich serią z automatu.

Bez przeszkód dotarli na pokład "Deep Encounter", gdzie zatrzymali się w ciemnym miejscu. Teraz Pitt był u siebie. Znał tu każdy kąt i mógł się poruszać nawet z opaską na oczach.

Giordino przysunął usta do ucha Pitta i osłonił je dłońmi.

- Rozdzielimy się?

- Nie. Trzymajmy się razem. Zaczniemy od sterówki, a stamtąd pójdziemy na dół.

Mogli dostać się na mostek po drabince zewnętrznej, lecz woleli nie rzucać się w oczy. W każdej chwili z mesy mógł wyjść któryś z porywaczy. Przez właz dostali się na schodki, którymi weszli do sterówki. Była ciemna i pusta. Pitt zajrzał do kabiny radiowej i zamknął za sobą drzwi, Giordino został na zewnątrz. Dirk włączył telefon satelitarny i wybrał



numer telefonu komórkowego Sandeckera. Spojrzał na tarczę wodoszczelnej doxy. Dwie po dziesiątej. W pamięci obliczył różnicę czasu - w Waszyngtonie była teraz szósta rano. O tej porze admirał zawsze biegał, pokonując codziennie ośmiokilometrowy dystans.

Sandecker odebrał telefon. Przebiegł już pięć kilometrów, ale oddychał zupełnie normalnie. Pitt nie miał czasu, by bawić się w szyfrowanie tekstu, dla zmylenia osób ewentualnie podsłuchujących tę rozmowę. W kilku słowach zameldował o odnalezieniu "Deep Encounter" oraz podał jego pozycję.

- A moja załoga i naukowcy? - spytał admirał, jakby ludzie ci stanowili jego bliską rodzinę.

- Jeszcze nie wiem - odparł Pitt. - Dam znać, kiedy będę miał pozytywną odpowiedź - dodał, cytując słynną wypowiedź majora Deverieux. Potem rozłączył się i wyszedł z kabiny radiowej.

- Widziałeś albo słyszałeś coś? - Cisza jak w grobie.

- Wolałbym - powiedział ponuro Pitt - żebyś nie używał słowa "grób".

Zeszli na pokład znajdujący się poniżej. W kabinach i laboratoriach panowała śmiertelna cisza. Pitt wszedł do swojej kabiny, otworzył szufladę i ze zdumieniem odnalazł w niej własnego colta. Włożył go sobie za pasek szortów, a rewolwer przekazał Alowi, który przyjął broń bez słowa. Pitt wyjął latarkę i omiótł jej światłem pomieszczenie. Niczego tu nie ruszono z wyjątkiem teczki doktora Egana, pozostawionej przez niego w szafie. Teraz leżała otwarta na łóżku.

W kabinie Giordina sytuacja była podobna - nie przeprowadzono tam żadnej rewizji.

- To zupełnie nie ma sensu - powiedział cicho Giordino. - Nie słyszałem jeszcze o piratach, którzy nie plądrują porwanego statku.

Pitt skierował strumień światła na schody.

- Chodźmy dalej.

Na następnym pokładzie znajdowało się osiem kabin, mesa, kambuz, pokój konferencyjny oraz salonik. Na stole w mesie leżały talerze z resztkami psującego się jedzenia, w saloniku walały się gazety, jakby niedawno porzucone przez czytające je osoby. W sali konferencyjnej znaleźli wypalone po filtry niedopałki papierosów. Na kuchence w kambuzie stały garnki i patelnie ze spleśniałą zawartością. Wyglądało na to, jakby wszyscy nagle, w pośpiechu opuścili pokład.

Pitt i Giordino nie wiedzieli, ile czasu przeszukiwali pomieszczenia - pięć minut czy może dziesięć. Nasłuchiwali jakiegoś głosu lub dźwięku - jakiegokolwiek dźwięku - a może po prostu obawiali się, że nie odkryją prawdy. Pitt wyjął colta zza paska. Nie użyłby go nawet

w samoobronie, gdyż strzał zaalarmowałby natychmiast horde piratów odpoczywających na drugim statku.

Zeszli do maszynowni i pomieszczenia generatora. Pitt zaczynał wierzyć, że ziściły się jego najgorsze przeczucia, bo nigdzie nie było widać żadnego strażnika. Przecież musieliby pilnować więźniów, gdyby ci znajdowali się jeszcze na pokładzie. Nigdzie nie paliła się ani jedna żarówka. Strażnicy nie siedzieliby w ciemnościach. Ogarniała go rozpacz. Nagle mijając kabiny na pokładzie maszynowym, dostrzegli światło w kabinie głównego mechanika.

- Nareszcie - szepnął Giordino.

W końcu korytarza znajdowały się drzwi do maszynowni. Przyciśnięci do grodzi po obu jej stronach ruszyli w tamtym kierunku. Z odległości trzech metrów usłyszeli szmer rozmowy. Popatrzyli po sobie. Pitt przyłożył ucho do stalowych drzwi i nasłuchiwał. Ktoś komuś ubliżał, rzucał pełne pogardy słowa. Co chwilę rozlegał się śmiech.

Pitt nacisnął delikatnie klamkę, która poddała się bezgłośnie. Pomyślał, że musi później podziękować House'owi za to, że kazał systematycznie oliwić zamki. Przesuwał klamkę bardzo powoli, aby z wnętrza nie zwrócono uwagi na jej ruch. Kiedy wyczuł opór, uchylił drzwi w taki sposób, jakby wiedział, że w środku znajduje się tuzin potworów z kosmosu, żywiących się ludzkim mięsem.

Teraz głosy słyhać było całkiem wyraźnie. Dwa obce, lecz dwa pozostałe Pitt znał doskonale. Serce biło mu w piersi. To nie była przyjacielska pogawędka. Obcy najwyraźniej grozili swoim ofiarom.

- Niedługo wszyscy się przekonacie, jak to jest, gdy człowiek tonie.

- Tak. To zupełnie co innego niż zamarnięcie w Arktyce dorzucił zjadliwie jego kompan. - Wydaje się, że głowa pęka od środka, jakby wybuchały w niej fajerwerki. Oczy wychodzą z orbit, bębunki pękają, jakby przebite kolcem do lodu. Czujecie, że ktoś wrywa wam gardło, a płuca smaruje kwasem azotowym. I wtedy bum!

- Bandyci! - krzyknął kapitan Burch.

- Jak możecie tak mówić w obecności kobiet? Jesteście bandą zdegenerowanych bestii - dodał House.

- Hej, Sam, wiedziałeś, że jesteś degeneratem?

- Dowiedziałem się dopiero w zeszłym tygodniu.

Zarechotali.

- Jeśli nas zabijecie - powiedział gniewnie Burch - będą was ścigać jednostki śledcze z całego świata i powywieszają was wszystkich, co do jednego.

- Wcale nie, jeśli nie będzie dowodów przestępstwa - odparł szyderczo Sam.

- Staniecie się po prostu kolejną załogą, która wraz ze swoim statkiem zaginęła na morzu i poszła na dno.

- Jak to? - odezwała się jakaś kobieta z ekipy naukowców. - Przecież mamy rodziny. Nie możecie tego zrobić.

- Przykro mi - odparł zimno Sam. - Dla ludzi, którzy nam płacą, wasze życie nie jest warte złamanego grosza.

- Za pół godziny na statek wejdzie nasza załoga - powiedział drugi z porywaczy i spojrzał na coś, co znajdowało się poza zasięgiem wzroku Pitta. - Dwie godziny później drodzy państwo, pracownicy NUMA, będziecie sobie mogli prowadzić bezpośrednie badania dna morskiego.

Przez szparę w drzwiach Pitt widział, że bandyci trzymają broń gotową do strzału. Zerknął na Giordina i skinął głową. Obaj pochylili się i gotowi do walki, ramię w ramię, wpadli do maszynowni.

Bandyci wyczuli za plecami jakiś ruch, ale nie chciało się im odwracać. Byli pewni, że to przybyli ich kumple, by wcześniej, niż zaplanowano, przystąpić do egzekucji.

- Co was tak przycisnęło? - spytał Sam. - Jeszcze nie czas.

- Mamy rozkaz popłynąć kursem na Guam - odezwał się Giordino, niezle naśladując zachrypnięty głos bandziora.

- No proszę - zaśmiał się Sam. - Szanowni państwo, lepiej zaczniecie się modlić. Niedługo spotkacie swojego...

Nie dokończył zdania, bo Giordino uniósł go za głowę i uderzył nią o grodzie. Pitt zdzielił drugiego opryszka w szczękę kolbą pistoletu. Bandyta zwałił się na podłogę.

Rozległa się radosna wrzawa. Porwani krzyczeli i cieszyli się, brakowało jedynie baloników i szampana.

Byli tam wszyscy. Siedzieli na podłodze wokół generatorów, z nogami okutymi w łańcuchy jak galernicy. Stalowe obręcze na kostkach przymocowano do długiego łańcucha, a ten z kolei przytwierdzono do podstawy generatora. Pitt usiłował ich policzyć, oni zaś patrzyli na dwóch zabitych mężczyzn. Burch, House, załoga i naukowcy wyglądali tak, jakby znaleźli się w niesamowitym śnie. Pitt uciszył ich, podnosząc obie ręce.

- Na litość boską, uspokójcie się, bo zaraz wpadnie tu zgraja uzbrojonych strażników.

- Skąd się tu wzięliście? - spytał Burch.

- Z bardzo luksusowego jachtu - odparł Giordino. - Ale to zupełnie inna historia. - Spojrzał na House'a. - Czym można przeciąć ten łańcuch?

House wskazał boczne pomieszczenie.

- W narzędziowni są nożyce do lin, zawieszona na grodzi.

- Najpierw uwolnij załogę - polecił Pitt. - Musimy uruchomić statek, zanim na pokład wtargną piraci.

Giordino wrócił po trzydziestu sekundach i zaczął gorączkowo przecinać łańcuch. Pitt wybiegł na pokład, by upewnić się, że nikt nie zauważył akcji. Na statku porywaczy nie było nikogo. Wszyscy nadal siedzieli w mesie, pożywiając się, jak głodne hieny i napawając się myślą, że już niedługo wyślą "Deep Encounter" wraz z załogą na wieczny spoczynek w czeluściach oceanu.

House i obsada maszynowni byli już na stanowiskach, przygotowując statek do odpłynięcia.

- Teraz się zmywam - powiedział Pitt do Burcha.

Kapitan popatrzył na niego zdziwiony. Tak samo zareagował Giordino.

- Na skałach przy wejściu do kanału jest strażnik w wartowni. Uważam, że nie tylko wypatruje niepożądanych przybyszów, ale jest wystarczająco dobrze uzbrojony, by nie wypuścić nikogo z laguny.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Giordino.

- Można pomyśleć, że porywacze chronią ogród pełen kwiatów przed zającami. Dwóch ludzi pilnuje pięćdziesięciu więźniów, a reszta odpoczywa sobie jak na wakacjach. To nieprawdopodobne. Muszą mieć pewność, że ten statek nigdy nie wydostanie się na pełne morze, nawet gdyby załoga odzyskała nad nim kontrolę. Kanał ma ponad sto metrów głębokości. Mogą zatopić "Deep Encounter" i nikt go tam nie odnajdzie, a statek piratów będzie miał dość miejsca pod kilem, by opuścić lagunę.

- Noc jest ciemna - powiedział Burch. - Może udałoby się nam wymknąć niezauważenie.

- Nic z tego. Gdy tylko to zrobicie, bandyci was zobaczą i natychmiast ruszą w pościg. Wystarczy, że usłyszą odgłos podnoszonej kotwicy i zapuszczanych silników. Od razu zawiadomią strażnika przy wejściu do kanału. Muszą tam dotrzeć pierwszy.

- Idę z tobą - powiedział stanowczo Giordino.

Pitt pokręcił głową.

- Nikt lepiej od ciebie nie zdoła powstrzymać napastników przed wdarciem się na nasz statek.

- Admirał Nelson na mostku to właśnie ja.

- Nie dotrzesz tam na czas - powiedział House. - To kilkaset metrów pod górę przez

gęstą dżungłę.

Pitt uniósł trzymaną w dłoni latarkę.

- Mam światło. Poza tym musi istnieć jakaś przebita przez zarośla ścieżka między laguną i wartownią.

Giordino ścisnął mu dłoń.

- Powodzenia, przyjacielu.

- Trzymajcie się.

Po chwili Pitt zniknął im z oczu.

Załoga przystąpiła do wykonywania swoich zadań tak spokojnie, jakby dopuszczała port w San Francisco. Nikt nie mówił nic zbędnego. O dziwo, nikt nie wspominał również o groźącym niebezpieczeństwie. Ludzie nie wyrażali głośno obaw i lęku. Naukowcy usunęli się z drogi i wrócili do swoich kabin.

Kapitan Burch przykucnął na pomoście i spoglądał na pogrążony w ciemnościach statek porywaczy. Chwilę potem podniósł do ust przenośne radio i powiedział cicho:

- Maszynownia, jesteśmy gotowi. Możemy ruszać w każdej chwili.
- Podnieście kotwicę - odpowiedział House. - Gdy tylko znajdzie się nad dnem, wycisnę z silników tyle mocy, ile jest w nich ukryte.
- Pozostańcie na nasłuchu.

Kiedyś kotwice podnoszono tak, że któryś z marynarzy wciskał odpowiedni guzik lub przestawiał dźwignię. Na pokładzie "Deep Encounter" działał znacznie nowocześniejszy system. Burch wprowadził do komputera odpowiedni kod, reszta odbywała się automatycznie. Jednak żaden komputer nie mógł stłumić grzechotania łańcucha, ocierającego się o kluzę i opadającego do komory łańcuchowej.

Wieloletnie doświadczenie pozwoliło Burchowi wyczuć moment, kiedy kotwica zerwała się z dna.

- W porządku. Cała naprzód. Zabierz nas stąd.

House przesunął dźwignie na panelu sterującym w swoim królestwie pod pokładem. Śruby wgryzły się w wodę i energicznie pchnęły statek do przodu.

Giordino wziął automaty odebrane dwóm obezwładnionym napastnikom, i usadowił się za krawędzią burty, kilka metrów od trapu wiodącego na statek porywaczy. Położył się na pokładzie, opierając jeden karabin w zgięciu ramienia, drugi położył obok siebie, tuż przy rewolwerze. Nie lękał się, że zwycięży w strzelaninie, chciał tylko powstrzymać piratów od wejścia na "Deep Encounter", kiedy ta zacznie uciekać. Mógł zepchnąć trap do morza, między burty stojących obok siebie statków, wołał jednak nie robić niepotrzebnego hałasu. Trap sam zleci, gdy tylko statki oddalą się od siebie.

Poczuł wibracje pokładu. Ożyły generatory i silniki spalinowo-elektryczne. Dwóch marynarzy podczołgało się do burty, by zrzucić cumy. Potem bezszelestnie wycofali się za

nadbudówkę.

Dopiero teraz zacznie się zabawa, pomyślał Giordino, słysząc chrzęst łańcucha kotwicznego. Na pokładzie statku badawczego zabrzmiało to jak odgłos dwudziestu młotów kowalskich uderzających w kowadło. Zgodnie z oczekiwaniami, z mesy wybiegło trzech piratów, by sprawdzić, skąd pochodzi hałas.

Byli zdziwieni widokiem podnoszonej kotwicy. Nie wiedzieli, że ich koledzy zostali obezwładnieni. Jeden z nich zaczął krzyczeć na całe gardło:

- Stać! Stać! Nie możecie płynąć bez załogi.

Natura Giordina nie pozwoliła mu milczeć.

- Niepotrzebna mi załoga - powiedział chropowatym głosem, wciąż imitując jednego z porywaczy. - Sam to załatwię.

Na pokład wychodziło coraz więcej piratów. Wtem znajomy, szorstki głos odkrzyknął:

- Kim jesteś?

- Sam!

- Nie jesteś Samem. Gdzie on jest?

Giordino poczuł, że silniki pracują na wyższych obrotach. Statek powolutku ruszał z miejsca; za kilka sekund trap łączący oba pokłady wpadnie do wody.

- Sam mówi, że jesteś śliniącym się imbecylem, jakiemu nie można powierzyć spuszczenia wody w ubikacji.

Klnąc i krzycząc, piraci rzucili się do trapu. Dwóch, którym udało się go dopaść, dosięgły kule. Giordino trafił ich w kolana - jeden z napastników został odrzucony z powrotem na pokład pirackiego statku, drugi chwycił za poręcz trapu, krzycząc z bólu. Trap spadł z krawędzi, a "Deep Encounter" pełną parą skierował się do kanału.

Piraci błyskawicznie przystąpili do działania. Zanim statek badawczy pokonał sto metrów, podnieśli kotwicę i rzucili się w pościg. Padły pierwsze strzały i odbiły się echem od wulkanicznych skał. Giordino odpowiedział ogniem, mierząc w okno mostku.

Wpływając do kanału, "Deep Encounter" wykonał skręt, niknąc na chwilę z oczu piratów. Giordino wykorzystał ten moment, by pobiec schodkami do sterówki.

- Są wściekli - powiedział do Burcha, trzymającego koło sterowe.

- Mogą sobie teraz postrzelać - odparł Burch. W zębach trzymał fajkę. - Nie uda się im tak łatwo wejść na nasz pokład.

Płynęli szybko - House zmusił silniki do maksymalnego wysiłku. W ciemnym przesmyku na tle gwiazdzistego nieba rysowały się niewyraźne kontury wznoszących się po

obu stronach skał, dając uciekinierom wizualne poczucie kierunku. Delgado stał pochylony nad radarem, podając cichym głosem zmiany kursu. Pozostali z niepokojem wpatrywali się w ciemność za rufą. Po chwili ujrzeli światła pirackiego statku, który właśnie ukazał się w kanale.

Płynął niemal dwa razy szybciej niż "Deep Encounter" - czarny i groźny na tle palm, tworzących nieregularny kształt na brzegu. Naraz oczy wszystkich zwróciły się ku górze, gdzie znajdowała się słabo oświetlona wartownia. Ciekawe, czy Pittowi uda się tam dotrzeć, zanim wypłyną z kanału. Tylko Giordino nie miał co do tego wątpliwości, strzelając resztką amunicji w zbliżający się szybko statek piratów.

Ścieżka - jeśli w ogóle można ją tak określić - miała około trzydziestu centymetrów szerokości i wiała się po stromym zboczu. Pitt biegł szybko, raniąc stopy o twardą skałę. Pod pletwami miał jedynie sportowe skarpetki, z których zostały już tylko strzępy. Biegł ciężko, serce waliło mu coraz mocniej, lecz nie zwolnił ani na chwilę. Już po chwili pot zaczął mu zalewać twarz i pierś.

Oślonił latarkę dłonią, by wartownik nie dostrzegł światła. W takich chwilach żałował, że nie poświęca więcej czasu kondycji fizycznej. Sandecker przebiegłby ten dystans pod górę bez wysiłku, ale dla Pitta jedyną formą ćwiczeń był aktywny tryb życia. Teraz ciężko oddychał, a stopy bolały go tak, jakby stapał po rozżarzonych węglach. Obejrzał się przez ramię, słysząc odgłosy strzałów. Wierzył, że przyjaciel nie dopuści żadnego z porywaczy na pokład "Deep Encounter". Ruch świateł, padających ze statku i odbijających się w wodzie, powiedział mu, że już płyną. Piraci też o tym wiedzieli; słyszał ich okrzyki odbite echem o skały. Zabrzmiały kolejne strzały - to Giordino celował w mostek łodzi piratów.

Był już mniej niż pięćdziesiąt metrów od wartowni. Zwolnił i zatrzymał się, ujrawszy cień w oświetlonych drzwiach. Strażnik wyszedł na zewnątrz i stanął na krawędzi klifu. Patrzył, jak uprowadzony statek płynie kanałem. Pitt ruszył schylony do przodu, nie starając się specjalnie kryć. Wartownik był całkowicie pochłonięty tym, co dzieje się na kanale. W świetle docierającym z wnętrza widać było, że trzyma w rękach jakąś broń. Może zaalarmował go odgłos strzałów albo ostrzeżono go przez radio, iż załoga NUMA jakoś zdołała się wyswobodzić, i ucieka w kierunku pełnego morza.

Pitt zeszytniał: wartownik trzymał w rękach wyrzutnię rakiet. Obok na ziemi leżała drewniana skrzynka z pociskami. Mężczyzna oparł broń na ramieniu.

Koniec z ukrywaniem się. I tak nie udałoby się podejść go od tyłu niezauważenie, nawet wyłaniając się z ciemności. Pitt w akcie desperacji skoczył do przodu. Jeśli strażnik



wystrzelił raketę w kierunku statku, zginie pięćdziesięciu niewinnych ludzi, a wśród nich najbliższy przyjaciel Pitta. Brawurowym biegiem pokonał ostatnie dziesięć metrów.

Wyłonił się z mroku jak anioł śmierci. Nie czuł już bólu poranionych stóp. Strażnik zbyt późno zorientował się, że od tyłu nadchodzi atak. Był zajęty mechanizmem spustowym wyrzutni, gdy wyczuł pędzącą ku niemu postać. Pitt skoczył i uderzył go w momencie, gdy odpalił pocisk.

Podmuch, błysk i ogień salwy ogłuszyły Pitta i osmały mu włosy. Wbił się ramieniem i głową w pierś przeciwnika, obaj upadli na ziemię. Pocisk z broni wytraconej przez Pitta nie trafił w wyznaczony cel, lecz w ścianę skalną, piętnaście metrów nad powierzchnią wody, za rufą "Deep Encounter". Do kanału posypały się odłamki wulkanicznej lawy. Niektóre upadły na statek uciekinierów, nie wyrządzając jednak nikomu krzywdy.

Zaskoczony strażnik z trudem stanął na nogach. Miał złamane dwa żebra. Zacisnąwszy ręce, chciał uderzyć napastnika wyuczonym ciosem w szyję, lecz trafił go w czubek głowy. Pitt niemal stracił przytomność, ale podniósł się na klęczki i z całej siły uderzył wartownika w brzuch tuż nad kroczeniem. Wartownik upadł, stękając z bólu. Pitt podniósł wyrzutnię i uderzył nią w biodro mężczyzny, który osunął się na bok. Był już ranny i ciężko poturbowany, lecz nadal walczył. Jego ciało było przyzwyczajone do wysiłku i bólu przez lata intensywnego treningu. Obrócił się, wyprostował i skoczył na Pitta jak ranny dzik.

Pitt użył rozumu zamiast mięśni. Stanął na nogi i usunął się w bok. Nie mogąc powstrzymać impetu, wartownik potknął się i przeleciał przez krawędź urwiska. Koniec nastąpił tak nieoczekiwanie, że nie zdążył nawet krzyknąć. Z dołu doleciał jedynie głośniejszy plusk wody. Z zimną krwią Pitt wyjął ze skrzynki kolejny pocisk, załadował nim wyrzutnię i wycelował w statek piratów, który płynął kanałem niecałe sto metrów za "Deep Encounterem". Dziękował Bogu, że wystrzelenie rakiety nie wymagało skomplikowanej procedury, jak na przykład w wypadku pocisków typu Stinger, lecz było na tyle proste, by poradził z nim sobie prymitywny terrorysta. Korzystając ze zwykłego celownika, nakierował wyrzutnię na statek porywaczy i pociągnął za spust.

Pocisk odleciał w ciemność, by po chwili uderzyć w cel: trafił w śródkręcie tuż ponad linię zanurzenia. Z początku eksplozja nie wyglądała zbyt efektownie, jednak raketa przebiła płyty kadłuba i wybuchła z pełną siłą w maszynowni. Krzyki załogi i las stojących płomieni świadczyły o tym, że statek otrzymał śmiertelną ranę. Kula pomarańczowoczerwonego ognia rozświetliła kanał i otaczające go klify. Detonacja rozerwała zbiorniki paliwa, zmieniając statek w prawdziwe piekło. Cała nadbudowa uniosła

się znad kadłuba jak fragment układanki, zdjęty niewidzialną ręką. Nagle ogień zgasł i w kanale znów nastąpiła ciemność. Tylko gdzieś na wodzie unosiły się szczątki, porozrzucane dookoła. Statek piratów znikł w głębinach kanału.

Pitt stał wyprostowany i patrzył jak zahipnotyzowany w dół, gdzie jeszcze przed chwilą płynęła potężna łódź. Nie czuł żalu. Ci ludzie byli mordercami, zdecydowanymi zabić pięćdziesiąt jeden osób znajdujących się na pokładzie statku badawczego. Teraz byli już niegroźni, a dla Pitta tylko to miało znaczenie.

Cisnął wyrzutnię do wody. Poranione stopy znowu przypomniały o sobie ostrym bólem. Kulejąc wszedł do wartowni. Po chwili poszukiwań znalazł apteczkę, polał obficie stopy środkiem dezynfekującym i grubo owinął je bandażem, by móc chodzić. Przeszukał pomieszczenie w nadziei, że znajdzie jakieś dokumenty, jednak w szufladach pod blatem, na którym stała radiostacja, znalazł tylko notes. Przerzucił pobieżnie kartki i stwierdziwszy, że zapiski sporządził wartownik, schował notes do kieszeni. Opróżnił kanister, do połowy wypełniony paliwem potrzebnym do przenośnego generatora zasilającego obwody oświetleniowe oraz radiostację, w końcu zabrał pudełko zapalek, które znalazł w popielnicze pełnej niedopałków.

Wyszedł z wartowni. Podpalił całe pudełko i wrzucił je do środka. Buchnęły płomienie. Nie zwlekając, ruszył ścieżką w powrotną drogę do laguny. Na plaży oczekiwali go Giordino i Misty. Obok wbita dziobem w piasek, czekała szalupa, a w niej dwóch marynarzy z "Deep Encounter".

Giordino serdecznie objął przyjaciela.

- Przez chwilę myślałem, że zboczyłeś z drogi dla jakiejś miejscowej piękności.

Pitt odwzajemnił uścisk.

- Chyba naprawdę udało mi się w ostatniej chwili.

- Co ze strażnikiem?

- Razem z kolegami leży na dnie kanału.

- Niezła robota.

- Czy na naszym statku są ranni? I jakieś uszkodzenia?

- Kilka wygiętych blach, parę zadrapań, nic poważnego.

Misty zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie mogę uwierzyć, że żyjesz.

Pitt pocałował ją po ojcowsku i rozejrzał się dookoła.

- Przyplłynęliście tą szalupą?

Kiwnęła głową.

- Nasz niedawny miły gospodarz podpłynął jachtem do “Deep Encountera” i pomógł mi przejść na pokład.

- A gdzie jest teraz?

- Pogadał chwilę z kapitanem Burchem i popłynął dalej w swój rejs dookoła świata. - Misty wzruszyła ramionami.

- Nawet nie miałem okazji mu podziękować - powiedział z żalem Pitt.

- Zabawny gość - mruknął Giordino. - Mówił, że pewnie się jeszcze spotkamy.

- Kto wie, wszystko jest możliwe - rzekł w zadumie Pitt.

**CZEŚĆ II**  
**Strażnik Hadesu**

25 lipca 2003, Nuku'alofa, Tonga

Na rozkaz admirała Sandeckera kapitan Burch poprowadził statek kursem do portu Nuku'alofa, stolicy Tonga, jedynej monarchii w Polinezji. Na Pitta i Giordina czekał już samochód, który zawiózł ich na międzynarodowe lotnisko Fua'amotu. Tam wsiedli na pokład samolotu linii Royal Tongan, lecącego na Hawaje, skąd odrzutowiec NUMA miał ich zabrać do Waszyngtonu.

Rozstanie z załogą i naukowcami z "Deep Encounter" było naprawdę rzewne. Mimo straszliwych przeżyć, większość z nich chciała powrócić do przerwanej pracy w okolicy Rowu Tonga. Misty płakała, Giordino co chwilę wycierał nos w chusteczkę, Pitt miał wilgotne oczy, nawet Burch i House wyglądali tak, jakby właśnie stracili ukochanego psa. Pitt i Giordino w końcu oderwali się od przyjaciół i wskoczyli do czekającego wozu.

Boeing 747 ruszył pasem startowym i po chwili zaczął nabierać wysokości. Zielony krajobraz Tonga szybko zniknął w oddali - lecieli nad ciemnoniebieskim oceanem, a potem ponad chmurami, tak grubymi, że chciałoby się po nich stąpać. Po pół godzinie Giordino zasnął, siedzący zaś przy oknie Pitt wyjął spod fotela neseser Egana i otworzył zamki. Ostrożnie podniósł wieko w obawie, że w środku znowu może być olej. Co za idiotyzm, pomyślał rozbawiony. Przecież to był jakiś kawał, nie czarna magia.

Tymczasem w środku był jedynie ręcznik oraz kasety wideo ze zdjęciami wraku "Emerald Dolphina", jakie nakrecono z pokładu „Abyss Navigatora”. Delikatnie rozwinął ręcznik i wziął do ręki dziwny, zielonkawy przedmiot, który znaleźli na podłodze w kaplicy. Trzymając go w lewej dłoni, obrócił przedmiot palcami drugiej ręki. Dopiero teraz miał sposobność przyjrzeć się znalezisku z bliska.

Był dziwnie tłusty. W przeciwieństwie do innych spalonych materiałów nieorganicznych, które stały się chropowate i strzępiaste, to coś miało zaokrąglone i gładkie ściany, lekko skrócone w spiralę. Pitt nie miał pojęcia, jaki jest jego skład chemiczny. Owinął przedmiot ręcznikiem i z powrotem ułożył go w neseserze. Był pewien, że chemicy z NUMA poradzą sobie z jego identyfikacją. Gdy dostarczy im materiał, jego rola w rozwikłaniu tajemnicy zostanie zakończona.

Przyniesiono śniadanie, lecz Pitt wypił jedynie sok pomidorowy i kawę. Nie czuł głodu. Popijając kawę, wyglądał przez okno. Daleko w dole pod samolotem przesuwała się szmaragdowa wysepka, osadzona w morzu barwy błękitnego topazu. Obserwował ją przez chwilę i wreszcie rozpoznał jej kształt - to Tutuila, jedna z wysp archipelagu Samoa. Widział port w Pago Pago, gdzie wiele lat temu razem z ojcem, wówczas kongresmanem, zwiedzał

bazę marynarki wojennej.

Dobrze pamiętał tamtą wycieczkę. Miał wtedy kilkanaście lat i wykorzystywał każdą nadarzącą się sposobność, kiedy ojciec przeprowadzał inspekcję, by nurkować w morzu wokół wyspy w towarzystwie bajecznie kolorowych ryb, z kuszą w rękę. Rzadko strzelał - wolał obserwować i fotografować podmerskie dziwy. Po całym dniu spędzonym w wodzie odpoczywał na plaży w cieniu palmy i zastanawiał się nad przyszłością.

Potem przypomniał sobie inną plażę, na Oahu w Archipelagu Hawajskim. Wtedy służył jeszcze w lotnictwie. Był młodym mężczyzną i miał dziewczynę, której nigdy nie zapomniał. Summer Moran była najcudowniejszą istotą, jaką znał. Pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami, jak się poznali w barze hotelu Ala Moana na plaży Waikiki. Nadal widział jej kuszące, szare oczy, długie, ogniste rude włosy, cudownie zgrabną sylwetkę w obcisłej, orientalnej sukience z jedwabiu z pęknięciami po bokach. Potem po raz tysięczny zobaczył jej śmierć. Zginęła podczas trzęsienia ziemi w podwodnym miasteczku, które budował jej szalony ojciec, Frederick Moran. Nurkowała, żeby go ratować i już nigdy nie wróciła.

Zamknął tę część wspomnień, jak czynił to już wielokrotnie w przeszłości. Zobaczył swoje odbicie w okienku. Jego oczy wciąż błyszczały, jednak powoli zaczynało wyzierać z nich zmęczenie i wiek. Zastanawiał się, jak wyglądałoby spotkanie, gdyby stanął oko w oko z sobą samym sprzed dwudziestu lat. Gdyby na przykład tamten Dirk Pitt przysiadł się do niego na ławce w parku. Jak zareagowałby na młodzieńca, który odznaczył się w służbie lotniczej? Czy w ogóle by go rozpoznał? A jak ten młodzieniec widziałby starego Dirka Pitta? Czy umiałby przewidzieć niesamowite przygody, wielką rozpacz, krwawe potyczki, rany? Stary Pitt szczerze w to wątpił. Czy młodzik zniechęciłby się tym widokiem i wybrał zupełnie inną życiową drogę?

Pitt odwrócił wzrok od okna, przymknął oczy i wyrzucił z myśli siebie w młodości, a także wszelkie spekulacje dotyczące hipotetycznych scenariuszy jego życia. Czy teraz, mając możliwość rozpoczęcia wszystkiego od początku, zrobiłby dokładnie tak samo? W większości wypadków odpowiedź brzmiałaby: tak. Z pewnością dokonałby paru zmian, inaczej rozegrał niektóre epizody z przeszłości. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, był zadowolony i dumny ze swoich osiągnięć. Powinien być wdzięczny losowi za to, że żyje, i na tym koniec.

Rozmyślenia przerwały nagle turbulencje. Na widok podświetlonego napisu posłusznie zapiął pasy. Potem czytał czasopisma, aż do lądowania na lotnisku Johna Rodgersa w Honolulu. Na płycie lotniska podszedł do nich pilot odrzutowca należącego do NUMA, który miał ich przewieźć do Waszyngtonu. Poszedł z nimi do budynku terminalu, by odebrali bagaże, a potem podjechali razem do stojącego w odległej części lotniska odrzutowca. Gdy

oderwali się od ziemi, słońce już zachodziło, a na wschodzie niebo zmieniało barwę z błękitu na głęboką czerń.

Większą część podróży Giordino przespał jak zabity. Pitt drzemał tylko, budząc się co chwilę. W końcu oprzytomniał na dobre i zaczął się zastanawiać, czy to już koniec jego udziału w tragedii "Emerald Dolphina"? Na pewno admirał Sandecker zleci mu jakieś nowe zadanie, ale nie miał zamiaru go przyjąć. Musi poznać tajemnicę liniowca i doprowadzić tę sprawę do końca. Ci, którzy wywołali pożar na pokładzie, powinni za to odpowiedzieć. Trzeba ich wytropić, poznać motyw, a potem ukarać.

Powoli przestał myśleć o zbrodniarzach, zatęsknił za swoim łóżkiem w hangarze. Ciekawe, czy kongresmanka Loren Smith, jego obecna przyjaciółka, wyjdzie mu na spotkanie, tak jak już nieraz bywało. Miała rude włosy i fiołkowe oczy. Kilka razy postanawiali, że się pobiorą, ale jakoś nigdy nic z tego nie wychodziło. Może teraz nadeszła właściwa chwila. Bóg jeden wie, pomyślał Pitt, nie będę w nieskończoność pływał po oceanach i prowadził życia awanturnika i łowcy przygód. Miał świadomość, że się starzeje, że musi zwolnić tempo, aż kiedyś obudzi się i powie: "Panie Boże, mogę już tylko być klientem opieki społecznej i służby zdrowia".

- Nie! - powiedział głośno.

Giordino obudził się i spojrzał na przyjaciela.

- Co mówiłeś?

- Gadam przez sen - uśmiechnął się Pitt.

Giordino wzruszył ramionami, ułożył się na boku i powrócił do krainy sennych marzeń.

Nie, powiedział Pitt, tym razem już tylko w myślach. Jeszcze nie wybieram się na emeryturę. Jeszcze długo, długo nie. Będą kolejne projekty badawcze, kolejne podmorskie tajemnice, wymagające wyjaśnienia. Nie wycofa się do chwili, aż zamknie się nad nim wieko trumny.

Kiedy obudził się po raz kolejny, samolot lądował w bazie lotniczej w Langley. Był ponury, deszczowy dzień, po szybach płynęły strużki wody. Pilot podkołował do terminalu NUMA i zatrzymał się przed otwartym hangarem. Pitt stanął na asfalcie i rozejrzał się dookoła, zatrzymując wzrok na parkingu. Jego nadzieje okazały się płonne.

Loren Smith nie przyszła go powitać.

Giordino pojechał do mieszkania w Aleksandrii, żeby się odświeżyć i obdzwonić swoje przyjaciółki - niech wiedzą, że wrócił i jest w mieście. Pitt odłożył na później wizytę w

hangarze i firmowym dżipem udał się do centrali NUMA, znajdującej się na wschodzie miasta, nad rzeką Potomac. Zatrzymał auto w podziemnym parkingu i wjechał windą na dziesiąte piętro, do królestwa Hiram Yaegera, geniusza komputerowego, który kierował całą wielką sekcją informatyczną. Jego baza danych zawierała każdy znany nauce fakt i wydarzenie dotyczące oceanów, jakie zanotowano od początku dziejów, a nawet jeszcze wcześniej.

Yaeger przybył z Doliny Krzemowej i spędził w NUMA prawie piętnaście lat. Wyglądał jak stary hippis - siwe włosy ściągnięte w koński ogon, levisy, dżinsowa kurtka i kowbojskie buty. Nie wyglądał na to, ale mieszkał w eleganckim domu w bardzo modnej i prestiżowej dzielnicy Maryland. Jeździł BMW 740 iL, a jego córki były świetnymi studentkami i zdobywczyniami licznych nagród w zawodach hippicznych. Zaprojektował i zbudował bardzo zaawansowany technicznie komputer imieniem Max, który przejawiał już pewne ludzkie cechy. Wprowadził doń holograficzny wizerunek swojej żony, pojawiający się, gdy z nim rozmawiał.

Yaeger studiował raporty nadesłane przez ekspedycję NUMA, która u wybrzeży Japonii dokonywała podwodnych odwiertów w celu sprawdzenia, czy pod skałami istnieją jakieś formy życia. Na widok Pitta podniósł głowę i z szerokim uśmiechem wyciągnął rękę do gościa.

- No, no, wrócił nasz tropiciel podmorskich otchłani. - Spoważniał, gdyż wygląd Pitta nie napawał optymizmem. Dyrektor Wydziału Projektów Specjalnych wyglądał jak bezdomny - był ubrany w wymięte i zszarzałe szorty, koszulę w kwiaty, na obandażowanych stopach miał zwykłe klapki. Mimo kilku godzin snu na pokładach samolotów, jego oczy były zmęczone i zmatowiały. Na twarzy widniał nierówny, całotygodniowy zarost. Ten człowiek z pewnością miał ostatnio ciężki okres. - Nie przypominasz bohatera, o którym trąbią media, tylko drugorzędnego rzezimieszka, grasującego po autostradach.

Pitt uściskał wyciągniętą dłoń gospodarza.

- Przyjechałem prosto z lotniska, żeby uprzykrzyć ci życie.

- O tym nie wątpię. - Spojrzał na Pitta z podziwem. - Czytałem raport o waszej akcji ratunkowej, a potem o walce z piratami. Jakim sposobem jesteś wszędzie, gdzie grozi niebezpieczeństwo?

- Kłopoty same mnie znajdują - odparł Pitt, unosząc dłonie w geście skromności. - Poważnie mówiąc, nasza sława to zasługa całej załogi "Deep Encounter". To oni ratowali rozbitków. A ich ocalił przede wszystkim Giordino.

Yaeger dobrze znał awersję Pitta do pochwał i komplementów. Wiedział, że kolega



jest skromny i nieśmiały, postanowił więc skończyć o tym mówić i poprosił gościa, by usiadł.

- Widziałeś się już z admirałem? Sporządził dla ciebie listę pięćdziesięciu dziennikarzy. Masz im udzielić wywiadów.

- Jeszcze nie jestem gotów do publicznych wystąpień. Porozmawiam z nim rano.

- Co sprowadza cię do mojego wirtualnego świata?

Pitt położył na biurku neseser Egana i otworzył go. Wyjął i podał Yaegerowi znalezione z kaplicy liniowca.

- Chciałbym się dowiedzieć, co to jest i jaki ma skład.

Yaeger obejrzał przedmiot i kiwnął głową.

- Zlecę to laboratorium chemicznemu. Jeśli struktura molekularna nie jest zbyt złożona, za dwa dni będę miał wyniki. Coś jeszcze?

Pitt podał mu kasety nakręcone z pokładu "Abyss Navigatora".

- Popraw jakość i stwórz cyfrowo trójwymiarowy obraz.

- Da się zrobić.

- I jeszcze jedno, zanim pojedę do domu. - Położył na biurku rysunek. - Czy widziałeś kiedyś takie logo?

Yaeger obejrzał szkic wykonany ręką Pitta, na którym widniał trójgłowy pies z ogonem w postaci węża. Pod spodem znajdował się napis CERBER. Spojrzał na Pitta zdziwiony.

- Naprawdę nie wiesz, co to jest?

- Nie.

- A gdzie to widziałeś?

- Na pokładzie statku piratów, pod płachtą maskującą.

- To był statek remontowy z platformy wiertniczej.

- Tak - odparł Pitt. - Znasz to?

- Owszem - rzekł z powagą Yaeger. - Otwierasz puszkę Pandory, łącząc korporację Cerber z uprowadzeniem "Deep Encounter".

- Korporacja Cerber - powtórzył Pitt. - Ale głupiec ze mnie. Powinienem wiedzieć. Ten moloch jest właścicielem większości pól naftowych w Stanach, a także kopalń miedzi i żelaza. Oddział chemiczny firmy wytwarza setki różnych produktów. Ten trójgłowy pies mnie zmylił. Nie skojarzyłem jednego z drugim.

- A wszystko się zgadza, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

- Skąd ten trójgłowy pies?

- Każda głowa oznacza część firmy. Jedna to wydobywanie ropy, druga kopalnie, a

ostatnia przemysł chemiczny.

- A ogon w postaci węża? - spytał półzartem Pitt. - Czy reprezentuje coś mrocznego, złowieszczego?

- Któż to wie? - Yaeger wzruszył ramionami.

- Skąd pochodzi ten wizerunek psa?

- Cerber... to brzmi jakby po grecku.

Zasiadł przy komputerze i napisał coś na klawiaturze. Po chwili naprzeciwko konsoli pojawiła się trójwymiarowa postać atrakcyjnej kobiety, ubranej w jednoczęściowy kostium kąpielowy.

- Wezwałś mnie.

- Cześć, Max. Znasz Dirka Pitta.

Orzechowe oczy obrzuciły Pitta spojrzeniem od stóp do głów.

- Tak, znam go. Jak się pan miewa, panie Pitt?

- Średnio na jeża, jak to mówią. A ty jak się masz, Max?

Na twarzy kobiety pojawił się grymas niezadowolenia.

- Nie odpowiada mi ten kretyński kostium, w który ubrał mnie Hiram.

- Wolałabyś coś innego? - spytał Yaeger.

- Elegancką garsonkę od Armaniego, bieliznę Andry Gabrielle, sandały na wysokim obcasie z paseczkiem nad kostką od Todsa. To byłby ładny zestaw.

Yaeger uśmiechnął się krzywo.

- W jakim kolorze?

- Czerwonym - padła odpowiedź.

Yaeger szybko przebiegł palcami po klawiaturze, potem odchylił się w fotelu, by podziwiać swoje dzieło.

Max znikła na moment, po czym zjawiała się w eleganckim czerwonym kostiumie i białej bluzce.

- Znacznie lepiej - powiedziała. - Nie lubię wyglądać frywolnie, gdy pracuję.

- Skoro jesteś już w dobrym nastroju, poproszę o informacje.

Max wygładziła ręką nowy strój.

- Słucham.

- Co wiesz o Cerberze, trójgłowym psie?

- Pochodzi z mitologii greckiej - odpowiedziała natychmiast Max. - Herkules, rzymski odpowiednik greckiego Heraklesa, w przyływie szaleństwa zamordował własną żonę i dzieci. Bóg Apollo nakazał mu za karę służyć przez dwanaście lat królowi mykeńskiemu

Eurysteuszowi. W ramach tego wyroku Herkules musiał wykonać dwanaście prac, tak trudnych, że z pozoru niemożliwych. Musiał pokonać przeróżne potwory, a najtrudniejsze było okiełznanie Cerbera, który stanowi odpowiednik greckiego Kerberosa. Był to groteskowy, trójgłowy pies, broniący wejścia do Hadesu i pilnujący, by dusze zmarłych nie uciekły z podziemnego królestwa cieni. Trzy głowy reprezentowały przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Znaczenie ogona nie jest mi znane.

- Czy Herkules zabił psa? - spytał Pitt.

Max pokręciła głową.

- Tam, gdzie do świata podziemnego wpływała rzeka Acheron, jedna z pięciu takich rzek, gołymi rękami obezwładnił potwora. Został przy tym pogryziony, jednak nie przez krwiożercze szczęki, lecz właśnie przez węża, który był ogonem psa. Herkules zabrał Cerbera do Myken, pokazał, że wykonał zadanie, po czym pozwolił mu wrócić do Hadesu. Tak to w skrócie wygląda. Można jeszcze dodać, że siostrą Cerbera była Meduza, Gorgona z wężami zamiast włosów.

- Co wiesz o korporacji Cerber?

- Której? Na świecie jest kilkanaście firm o tej nazwie.

- Prowadzi wszechstronną działalność, zajmuje się wydobyciem ropy i innych kopalin oraz przemysłem chemicznym.

- A, już wiem. - Max rozjaśniła się. - Macie dziesięć godzin, by wysłuchać mojej odpowiedzi?

- Masz aż tyle? - spytał Pitt, zadziwiony pojemnością bazy danych.

- Jeszcze nie, ale zdobędę informacje, gdy wejdę do ich sieci oraz do systemów firm, które z nimi współpracują. Ponieważ prowadzą interesy na skalę międzynarodową, więc instytucje rządowe zainteresowanych krajów muszą mieć sporo danych na ten temat.

Pitt spojrzał nieufnie na Yaegera.

- Czy zalegalizowano włamywanie się do komputerów korporacji?

Yaeger zrobił sprytną minę.

- Gdy wydaję Max polecenie, nie wnikam w stosowane przez nią metody.

Pitt wstał.

- Zostawiam wam znalezienie odpowiedzi.

- Weźmiemy się do tego.

Pitt odwrócił się i spojrzał na Max.

- Na razie, Max. Wyglądasz olśniewająco.

- Dziękuję, panie Pitt. Lubię pana. Szkoda, że nasze obwody nie mogą się

zintegrować.

Pitt podszedł do wizerunku i wyciągnął rękę, która przeszła na wylot przez postać Max.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może kiedyś Hiram cię zmaterializuje.

- Mam nadzieję, panie Pitt - powiedziała Max matowym głosem. - Mam taką nadzieję.

Stary hangar, wybudowany w latach trzydziestych dla od dawna nieistniejących linii lotniczych, stał w narożniku międzynarodowego lotniska Ronalda Reagana. Ściany i dach z falistej blachy pokryte były warstwą rdzy. Nieliczne okna zabito deskami, z podniszczonych drzwi do pomieszczeń biurowych schodziła płatami farba. Pawilon z zaokrąglonym dachem znajdował się na końcu utwardzonego traktu, niedaleko bramy.

Pitt zaparkował dzipa pośród chwastów przed hangarem i zatrzymał się przed drzwiami. Zerknął na kamerę, będącą częścią systemu ochrony, zamocowaną na drewnianym słupie po drugiej stronie drogi. Przestała się obracać i wycelowała swój obiektyw prosto w niego. Pitt wybrał kombinację cyfr, odczekał chwilę i przekręcił mosiężną gałkę. Stare drzwi otworzyły się bezgłośnie. We wnętrzu było ciemno, jeśli nie liczyć kilku świetlików, znajdujących się nad mieszkaniem na poddaszu. Włączył światło.

Nagły efekt był olśniewający. Pośród białych ścian na epoksydowej podłodze stały cudownie oświetlone, pięknie odrestaurowane klasyczne automobile. Na ostatnim miejscu w rzędzie pysznił się wspaniały, lśniący ford "hotrod" z 1936 roku. Z jednej strony hangaru znajdował się niemiecki myśliwiec odrzutowy z drugiej wojny światowej i trzysilnikowy transportowiec z 1929 roku. Dalej widać było pullmanowski wagon kolejowy z przełomu wieków, dziwnie wyglądającą żaglówkę, przytwierdzoną do gumowej tratwy, a także wannę z przymocowanym silnikiem.

Ta kolekcja środków transportowych reprezentowała różne wydarzenia z życia Pitta - wszystkie egzemplarze były pamiątkami jego osobistej historii. Dbał o nie i pokazywał tylko najbliższym przyjaciołom. Nikt, kto jadąc autostradą w pobliżu lotniska, ujrzał stojący na końcu pasów startowych opuszczony hangar, nie przypuszczał, że zawiera on cudowną kolekcję bezcennych, starodawnych pojazdów.

Pitt zamknął i zabezpieczył drzwi. Jak zwykle po powrocie z wyprawy, obszedł swoje małe muzeum. W ostatnim miesiącu padały ulewne deszcze, co znacznie zmniejszyło kurz i pył w powietrzu. Powiedział sobie, że nazajutrz miękką ściereczką przetrze lśniące pojazdy, by zebrać z karoserii i kadłubów to, co dostało się do wnętrza pod jego nieobecność. Potem wszedł po kręconych, metalowych schodkach do mieszkania, usytuowanego po jednej stronie

nad głównym poziomem hangaru.

Wnętrze było równie ekscentryczne, jak jego eklektyczna kolekcja pojazdów. Umieblowano je antykami związanymi z żeglugą. Żaden szanujący się dekorator wewnątrz nie postawiłby nogi w tym miejscu. Powierzchnię stu metrów kwadratowych zajmowały duży pokój dzienny, łazienka, kuchnia oraz sypialnia - wszystkie pełne przedmiotów pochodzących z zatopionych lub przeznaczonych na złom statków. Było tam duże, drewniane koło sterowe ze starego klipra, obudowany kompas ze wschodniego parowca, dzwony okrętowe, mosiężne i miedziane hełmy do nurkowania. Meble stanowiły zbieraninę antyków, które niegdyś znajdowały się na dziewiętnastowiecznych statkach. Na niskich półkach w szklanych gablotach stały modele różnych jednostek morskich, na ścianach zaś wisiały obrazy znanego marynisty Richarda DeRosseta.

Wziął prysznic i ogolił się, po czym zamówił stół w małej francuskiej restauracji, niecałe dwa kilometry od hangaru. Mógł zadzwonić do Loren, ale zdecydował, że woli zjeść kolację sam. Gdy zagoją się rany, przyjdzie czas na nadrabianie zaległości towarzyskich. Przyjemny posiłek, a potem noc spędzona na wypchanym gęsim puchem materacu powinny przywrócić mu młodzieńcze siły, przygotować na trudy następnego dnia.

Włożył garnitur. Zostało mu jeszcze dwadzieścia minut, które musiał czymś wypełnić. Wyjął kartkę z numerem telefonu Kelly Egan i zadzwonił do niej. Po piątym sygnale chciał już odłożyć słuchawkę, zdziwiony, że nie włączyła się automatyczna sekretarka, i wtedy Kelly odezwała się.

- Halo, słucham.

- Witaj, Kelly Egan.

Usłyszał, jak szybko nabrała powietrza.

- Dirk! Wróciłeś.

- Właśnie wszedłem do domu i pomyślałem, że zadzwonię.

- Strasznie się cieszę.

- Mam kilka dni wolnego. Jesteś bardzo zajęta?

- Tkwią po uszy w działalności charytatywnej. Jestem prezesem lokalnego Stowarzyszenia Dzieci Upośledzonych. Organizujemy doroczny przelot dla naszych podopiecznych, a ja odpowiadam za organizację.

- Może głupio pytam, ale co to za przelot?

Kelly zaśmiała się.

- Taki pokaz lotniczy. Ludzie latają starymi aeroplanami i zabierają dzieciaki na podniebne przejażdżki.

- Idealne zajęcie dla ciebie.

- Jasne - w słuchawce zabrzmiał jej osobliwy śmiech. - Mężczyzna, który jest właścicielem sześćdziesięcioletniego Douglasa DC-3 miał zabrać dzieci i pokazać im z lotu ptaka Manhattan, ale okazało się, że ma problem z podwoziem i nie może wziąć udziału w pokazie.

- Gdzie to się odbywa?

- W New Jersey, po drugiej stronie rzeki Hudson, na prywatnym lotnisku w pobliżu miejscowości Englewood Cliffs. To niedaleko farmy i laboratorium ojca - dodała posmutniałym nagle głosem.

Pitt wyszedł z bezprzewodowym telefonem na balkon i spojrzał na trzysilnikowy transportowiec.

- Myślę, że mogę ci pomóc.

- Możesz? - spytała uradowana. - Znasz właściciela jakiegoś starego transportowca?

- Kiedy ma się odbyć ten przelot?

- Za dwa dni. Ale jakim sposobem zorganizujesz samolot w tak krótkim czasie?

Pitt uśmiechnął się pod nosem.

- Znam kogoś, kto ma słabość do pięknych kobiet i niepełnosprawnych dzieci.

Następnego ranka Pitt wstał wcześniej, ogolił się i włożył ciemny, elegancki garnitur. Sandecker nalegał, by wygląd jego dyrektorów odpowiadał piastowanemu stanowisku. Po lekkim śniadaniu pojechał na drugą stronę rzeki do centrali NUMA. Jak zwykle na drogach panował duży ruch, lecz Pitt nie śpieszył się i wykorzystywał przymusowe przystanki, by zebrać myśli i zaplanować zajęcia na cały dzień. Z podziemnego parkingu pojechał windą na czwarte piętro, do swego gabinetu. Podłogę w korytarzu wykonano z ceramicznej mozaiki, przedstawiającej statki na morzu. Całe piętro było puste - o siódmej rano nikt nie przychodził do pracy.

Wszedł do gabinetu, zdjął płaszcz i powiesił na staromodnym wieszaku. Rzadko spędzał więcej niż pół roku za biurkiem. Wolał prace w terenie. Papierkowa robota wcale go nie pociągała. Kolejne dwie godziny poświęcił na sortowanie korespondencji i zapoznanie się z logistyką przyszłych ekspedycji naukowych. Jako dyrektor Wydziału Programów Specjalnych nadzorował przedsięwzięcia obejmujące przede wszystkim inżynierię oceanograficzną.

Dokładnie o dziewiątej do sekretariatu weszła jego wieloletnia sekretarka, Zerri Prochinsky. Ujrzawszy Pitta za biurkiem, podbiegła szybko i pocałowała go w policzek.

- Witaj. Słyszałam, że należą ci się gratulacje.

- Tylko nie zaczynaj - burknął Pitt, szczęśliwy, że znowu ją widzi.

Zerri miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, gdy została zatrudniona jako jego sekretarka. Teraz była żoną waszyngtońskiego lobbysty. Nie mieli własnych dzieci, lecz adoptowali pięć sierot. Była bystra i inteligentna, pracowała jedynie cztery dni w tygodniu: Pitt chętnie zgodził się na taki układ ze względu na jej fantastyczną biegłość w wykonywaniu obowiązków oraz fakt, że zawsze była dwa kroki dalej niż on. Poza tym nie znał żadnej innej sekretarki, która umiała stenografować.

Miała ujmujący, wesoły uśmiech, piwne oczy, jasne włosy opadające na ramiona - tego stylu nie zmieniła nigdy od czasu, gdy ją poznał. Dawniej często flirtowali ze sobą, lecz Pitt miał niezłomną zasadę, by nie wdawać się w żadne historie w miejscu pracy. Pozostali bliskimi przyjaciółmi bez romantycznych podtekstów.

Zerri obeszła biurko i mocno objęła szefa.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Zawsze cierpię jak matka, gdy słyszę, że zaginałeś

w akcji.

- Wracam jak zły szeląg.

Wyprostowała się i obciągnęła spódniczkę.

- Admirał Sandecker oczekuje cię w sali konferencyjnej punktualnie o jedenastej - powiedziała oficjalnym tonem.

- Giordina też?

- Też. Nie planuj nic na popołudnie. Admirał umówił cię na wywiady z dziennikarzami. Zupełnie poszaleli, nie mając innego naocznego świadka wydarzeń, które doprowadziły do zagłady "Emerald Dolphina".

- Wszystko już powiedziałem w Nowej Zelandii - mruknął Pitt.

- Za to teraz jesteś nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i w Waszyngtonie. Media uważają cię za bohatera. Musisz się z tym pogodzić i odpowiedzieć na ich pytania.

- Admirał powinien wyznaczyć Ala do tego zadania. Al uwielbia być w centrum zainteresowania.

- Ale formalnie ci podlega, więc to ty jesteś najważniejszy.

Przez kolejne kilka godzin Pitt pracował nad szczegółowym sprawozdaniem z niezwykłych wydarzeń ostatnich dwóch tygodni, od dryfującego w oddali płonącego liniowca, po ucieczkę "Deep Encounter". Nie wspomniał o korporacji Cerber, ponieważ nie miał zielonego pojęcia, w jaki sposób łączy się ona ze sprawą uprowadzenia. Ten wątek pozostawił Hiramowi Yaegerowi.

Punktualnie wszedł do sali konferencyjnej i zamknął za sobą drzwi. Sandecker i Rudi Gunn siedzieli już przy długim stole, z desek odzyskanych z wraku szkunera zatopionego w jeziorze Erie w 1882 roku. Pomieszczenie wyłożono boazerią z drzewa tekowego, na podłodze leżał turkusowy dywan, przy jednej ze ścian stał wiktoriański kominek. Dookoła wisiały obrazy bitew morskich z udziałem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Najgorsze obawy Pitta sprawdziły się, gdy dwóch innych mężczyzn wstało z krzeseł, żeby się z nim przywitać

Sandecker pozostał na miejscu i dokonał prezentacji.

- Dirk, przypuszczam, że znasz tych panów.

Wysoki blondyn z wąsami i błękitnymi oczami uściśnął prawicę Pitta.

- Miło cię widzieć, Dirk. Ile to już czasu minęło? Dwa lata?

Pitt odwzajemnił uścisk Wilbura Hilla, dyrektora CIA.

- Raczej trzy.

Zbliżył się również Charles Davis, asystent dyrektora FBI.



Miał prawie dwa metry wzrostu i znacznie przewyższał obecnych w pokoju mężczyzn. Przypominał Pittowi psa o smutnych oczach, poszukującego miski.

- Ostatni raz spotkaliśmy się podczas wspólnej pracy nad sprawą chińskich imigrantów.

- Dobrze to pamiętam - odparł ciepło Pitt.

Rozmawiali o starych czasach, gdy w sali pojawili się Al Giordino z Hiramem Yaegerem.

- Zdaje się, że jesteśmy w komplecie - powiedział Sandecker. - A więc do rzeczy.

Yaeger puścił w obieg dossier zawierające zdjęcia zatopionego "Emerald Dolphina".

- Obejrzyjcie to panowie, a ja tymczasem pokażę materiał nagrany na wideo.

Z ukrytej w suficie niszy opadł wielki, trójwymiarowy monitor. Yaeger wcisnął guziki na pilocie i już po chwili na ekranach pojawił się trójwymiarowy obraz, nagrany z pokładu "Abyss Navigatora". Wrak na dnie oceanu wyglądał upiornie i zarazem żałośnie. Trudno było uwierzyć, że piękny statek mógł ulec tak potwornym zniszczeniom.

Pitt komentował obraz przesuwany się po ekranach.

- Wrak leży na głębokości sześciu tysięcy dwudziestu dwóch metrów na gładkim stoku Rowu Tonga. Jest przełamany na trzy części. Jego szczątki pokrywają obszar jednej mili kwadratowej. Rufa i fragment śródokręcia leży ćwierć mili od głównej części dziobowej. Tam skoncentrowaliśmy nasze poszukiwania. Z początku sądziliśmy, że statek rozpadł się, uderzając o dno, ale gdy obejrzelśmy dziury w kadłubie wybite od środka, stało się oczywiste, że kadłub został zniszczony serią eksplozji pod linią zanurzenia, które nastąpiły podczas holowania wraku. Możemy z dużą pewnością założyć, że konstrukcja liniowca, osłabiona serią zsynchronizowanych detonacji, rozpadła się, opadając na dno.

- Czy kadłub nie mógł się rozlecieć, gdy ogień sięgnął zbiorników paliwa i wywołał eksplozję w trakcie holowania? - spytał Davis.

Wilbur patrzył to na monitor, to na trzymane w ręku zdjęcia.

- Mam spore doświadczenie nabyte podczas śledztw w sprawach bombowych ataków terrorystycznych. Wydaje mi się, że Dirk ma rację. Dno "Emerald Dolphina" nie zostało rozerwane jedną, skoncentrowaną eksplozją. Jak widać na filmie i fotografiach, kadłub uległ uszkodzeniu w kilku miejscach, a wszędzie płyty są powyginane na zewnątrz. Poza tym wydaje się, że bomby znajdowały się w jednakowych odległościach, a to oznacza dobrze zaplanowaną i przeprowadzoną akcję terrorystyczną.

- Ale w jakim celu? - odezwał się Davis. - Po co ten cały kłopot, by zatopić spalony kadłub? A zresztą, kto miałby to zrobić? Przecież w czasie holowania na pokładzie liniowca

nie było już nikogo.

- Otóż nie - rzekł Gunn. - Kapitan holownika... - zerknął do notatek - nazwiskiem Jock McDermott stwierdził, że wyciągnął z wody jednego z oficerów zaraz po zatonięciu wraku.

Davis nie wydawał się przekonany.

- W jaki sposób ten człowiek przeżył pożar na statku?

- Słusznie - powiedział Gunn, uderzając długopisem w notes. - McDermott nie umiał wyjaśnić tego cudu. Stwierdził, że mężczyzna był w szoku. Gdy holownik przybił do redy w Wellington, ów oficer wyskoczył na ląd i znikł, nim ktokolwiek zdążył zadać mu choćby jedno pytanie.

- Czy McDermott podał rysopis tego człowieka?

- Tylko to, że był Murzynem.

Sandecker nie prosił innych o pozwolenie, czy może zapalić. NUMA była jego królestwem, więc zapalił jedno ze swoich legendarnych, ogromnych cygar, które bardzo sobie cenił i prawie nigdy nie częstował nimi nawet najbliższych przyjaciół. Wydmuchał chmurę dymu w kierunku sufitu i powiedział powoli:

- Chodzi przede wszystkim o to, że "Emerald Dolphin" został celowo zatopiony, aby uniemożliwić firmom ubezpieczeniowym śledztwo w sprawie przyczyn pożaru. Zatopienie było przykrywką. Przynajmniej z mojego punktu widzenia.

Davis spojrzał na admirała.

- Jeśli to prawda, admirale, musimy dojść do straszliwego wniosku, że pożar powstał w wyniku podpalenia. Nie przychodzi mi do głowy żaden motyw, jaki mogli mieć terroryści, by zniszczyć liniowiec, a wraz z nim dwa i pół tysiąca ludzi. Zresztą jakaś grupa powinna wziąć na siebie odpowiedzialność za ten czyn, jednak jak dotąd nikt się nie zgłosił.

- Tak, to jest niezrozumiałe - powiedział Sandecker. - Ale skoro takie są fakty, musimy pójść ich śladem.

- Jakie fakty? - nalegał Davis. - Przecież nie da się znaleźć dowodów na to, że pożar powstał w wyniku rozmyślnego działania człowieka, a nie jako efekt awarii.

- Według zeznań oficerów, którzy przeżyli katastrofę, wszystkie systemy przeciwpożarowe na statku zawiodły - odezwał się Rudi Gunn. - Opowiadali o swojej bezradności, gdy musieli patrzeć, jak ogień wymyka się spod kontroli, bo nie ma go czym ugasić. Mówimy tu o dwunastu różnych systemach, łącznie z zapasowymi. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wszystkie zawiodły?

- Takie samo jak to, że wyścigi Formuły I w Indianapolis wygra rowerzysta.

- Dirk i Al dostarczyli nam dowodów, że pożar wywołano celowo - powiedział

Yaeger.

Oczy wszystkich spoczęły na nim.

- Czy nasze laboratorium zidentyfikowało już materiał, który przywieźliśmy?

- Pracowali całą noc i w końcu im się udało - odparł triumfalnie Yaeger.

- O czym mówicie? - spytał Hill.

- O substancji, jaką znaleźliśmy podczas przeszukiwania wraku - wyjaśnił Giordino. - Zauważyliśmy ją w kaplicy, gdzie podobno wybuchł pożar, więc zabraliśmy ze sobą próbkę.

- Nie będę was zanudzał długim wykładem na temat metod, za pomocą których dokonaliśmy analizy chemicznej - podjął Yaeger. - Nasi naukowcy stwierdzili, że jest to materiał o silnych właściwościach zapalających, znany pod nazwą pyrotorch 610. Gdy się zapali, praktycznie nie da się ugasić. Substancja jest tak mało stabilna, że nawet wojsko nie chce jej wykorzystywać do swoich celów.

Yaeger przyglądał się różnym reakcjom mężczyzn siedzących przy stole. Tymczasem Pitt uściśnął rękę Giordina.

- Dobra robota, współniku.

Giordino uśmiechnął się z dumą.

- Wygląda na to, że nasza wycieczka w „Abyss Navigatorze” opłaciła się.

- Szkoda, że nie ma Misty.

- Misty? - spytał Davis.

- Misty Graham - odparł Pitt. - To biolog z ekipy pracującej na „Deep Encounterze”.

Była z Alem i ze mną, gdy badaliśmy wrak.

Sandecker strząsnął popiół z cygara do dużej, mosiężnej popielniczki.

- W takim razie to, co wyglądało na potworną tragedię, okazało się ohydny aktem bandytyzmu... - urwał. W jego oczach pojawił się gniew.

Giordino wyjął z kieszeni na piersi cygaro, takie samo, jakie miał Sandecker, i zapalił je.

- Mówił pan... - odezwał się zachęcająco Hill, nie mając pojęcia o grze między admirałem i Giordinem. Sandecker był prawie pewien, że Al podbiera mu cygara, lecz nie mógł tego udowodnić, bo żadnego nigdy nie brakowało. Nie przyszło mu do głowy, że Giordino kupuje je z tego samego co on źródła w Nikaragui.

- Mówilem - rzekł powoli admirał, patrząc krzywo na Giordina - że mamy do czynienia ze zbrodnią. - Popatrzył na Hilla i Davisa. - Mam nadzieję, że panowie i podległe wam agencje podejmą natychmiast dochodzenie i doprowadzą winnych przed oblicze sprawiedliwości.

- Skoro już wiemy, że istotnie popełniono zbrodnię - odezwał się Davis - możemy współpracować, by razem znaleźć wszystkie poszukiwane odpowiedzi.

- Możecie zacząć od porwania "Deep Encounter" - rzekł Pitt. - Nie mam cienia wątpliwości, że te sprawy są ze sobą związane.

- Przeczytałem krótki raport dotyczący tego wypadku - powiedział Hill. - Ty i Al jesteście dzielnymi ludźmi. Udało się wam ocalić statek i pokonać piratów.

- To właściwie nie byli piraci. Raczej najemnicy.

Hill nie chciał się z tym zgodzić.

- Po co porywaliby statek należący do NUMA?

- To nie była po prostu kradzież - odparł cierpko Pitt. - Chcieli zatopić statek i zamordować wszystkich pięćdziesięciu członków załogi i naukowców. Szukacie motywu? Chcieli nas powstrzymać przed zbadaniem wraku. Bali się, że możemy coś wykryć.

Gunn zamyślił się.

- Kto, na litość boską, może stać za tą zbrodnią?

- Możecie się zająć korporacją Cerber - powiedział Yaeger, spoglądając na Pitta.

- Bzdura - prychnął Davis. - Jedna z największych, najbardziej szacownych firm w kraju miałaby stać za próbą zamordowania dwóch i pół tysiąca ludzi po drugiej stronie globu? Możecie sobie wyobrazić, że General Motors, Exxon czy Microsoft popełniają masową zbrodnię? Bo ja nie mogę.

- Zgadzam się w zupełności - powiedział Sandecker. - Ale Cerber to nie jest firma ludzi o czystych rękach. Prowadzą różne ciemne interesy.

- Kilkakrotnie stawali przed komisją Kongresu - dodał Gunn.

- Ale wszystko to okazało się czysto politycznym zagranem - odparł Davis.

Sandecker uśmiechnął się.

- Kongres niechętnie udzieli nagany firmie, która zasila obydwie partie funduszami na cele wyborcze i to w kwocie, za jaką można postawić na nogi dziesięć krajów Trzeciego Świata.

Davis pokręcił głową.

- Zanim podejmę śledztwo przeciwko Gerberowi, muszę mieć namacalne dowody.

Pitt dojrzał w oczach Yaegera dziwny błysk.

- Czy pomoże wam informacja, że pyrotorch 610 stworzyli naukowcy laboratorium chemicznego korporacji Cerber?

- Tego nie można być pewnym - powiedział z powątpiewaniem Davis.

- Żadnej innej firmie na świecie nie udało się podrobić tego materiału ani uzyskać

innego o podobnych właściwościach.

Davis nie dał się zbić z tropu.

- Substancja została zapewne skradziona. Każdy mógł ją zdobyć.

- FBI ma przynajmniej jakiś punkt zaczepienia. - Sandecker spojrzął na przedstawiciela Biura. - Co na to CIA?

- Chyba powinniśmy zbadać wrak zatopionego statku. Zobaczymy, jakie będą wyniki.

- Czy NUMA może w tym dopomóc? - spytał Pitt.

- Nie ma potrzeby. Współpracujemy z pewną prywatną firmą, która przeprowadza dla nas badania podwodne.

- W porządku. - Sandecker wydmuchał dym. - Jeśli będziecie chcieli skorzystać z naszych usług, wystarczy, że zadzwonicie. NUMA chętnie podejmie pełną współpracę.

- Chciałbym prosić o pozwolenie przesłuchania załogi "Deep Encounter" - powiedział Davis.

- Załatwione - admirał zgodził się bez wahania. - Coś jeszcze?

- Jedno pytanie - rzekł Hill. - Kto był właścicielem "Emerald Dolphin"?

- Statek zarejestrowano w Wielkiej Brytanii - odparł Gunn. - Właścicielem są linie żeglugowe Blue Seas Cruise Lines. Firma ma swoją siedzibę w Anglii, ale większość akcji jest w rękach Amerykanów.

Hill posłał Davisowi lekki uśmiech.

- A więc to akt terroru na skalę krajową i międzynarodową. Zdaje się, że będziemy musieli ściśle współpracować.

Wyszli razem. Gdy zamknęli za sobą drzwi, admirał zajął miejsce przy stole. Jego oczy zwęziły się nieprzyjemnie.

- Obydwa przestępstwa miały miejsce na morzu, więc absolutnie nie mogą wykluczyć z dochodzenia naszej agencji. Pójdziemy własnym tropem, nie wchodząc w paradę FBI ani CIA. - Spojrzął na Pitta i Giordina. - Wy dwaj weźcie sobie trzy dni wolnego, a potem wracajcie do roboty.

Pitt spojrzął na admirała, potem na kolegów.

- Od czego mamy zacząć?

- Kiedy wróćcie, będę miał gotowy plan. Tymczasem Rudi i Hiram zbiorą wszystkie możliwe informacje.

- W jaki sposób zamierzacie wypocząć? - spytał Gunn Pitta i Giordina.

- Przed wyprawą na Pacyfik kupiłem jedenastometrowy jacht. Stoi na przystani koło Annapolis. Chyba zaproszę na pokład kilka dam i popłyniemy sobie do zatoki Chesapeake.

- A ty? - Gunn zwrócił się do Pitta.

- Ja? - Pitt wzruszył ramionami. - Wybieram się na pokaz lotniczy.

Nie można było wybrać wspanialszego dnia na pokaz lotniczy i akcję charytatywną na rzecz niepełnosprawnych dzieci. Ponad tysiąc osób zgromadziło się pod kobaltowym, bezchmurnym niebem. Od strony Atlantyku wiała lekka bryza, chłodząc ciepłe, letnie powietrze.

Lotnisko Gary Taylora było własnością prywatną i znajdowało się w środku osiedla, którego wszyscy mieszkańcy mieli własne samoloty. Ulice rozplanowano tak, by rodziny mogły doprowadzić maszyny z domu na pas startowy i z powrotem. W przeciwieństwie do innych lotnisk, teren wokół pasa startowego porastały krzewy i kwiaty. Duże zieleńce wokół betonowego pasa przeznaczono na tereny piknikowe oraz na parking. Można stamtąd było oglądać akrobacje w powietrzu i podziwiać stare aeroplany, stojące przy końcu pasa startowego.

Niepełnosprawne dzieci zostały przywiezione przez rodziny, a także szkoły i szpitale z czterech stanów. Nie brakło wolontariuszy, by oprowadzić je po ekspozycji i pokazać samoloty.

Kelly z trudem wytrzymała napięcie. Wiedziała, że ciśnienie krwi podskoczyło jej do niebezpiecznie wysokiej wartości. Do tej pory wszystko przebiegało sprawnie, bez żadnych potknięć. Wolontariusze byli naprawdę bardzo pomocni. Właściciele i piloci dziewięćdziesięciu samolotów z radością poświęcali czas i środki na udział w pokazie, pozwalali dzieciom siadać w kokpitach, opowiadali historię każdej maszyny.

Nie zjawił się tylko samolot, na który Kelly najbardziej liczyła - transportowiec, do przelotu nad Manhattanem. Właśnie miała przekazać dzieciom złą wiadomość, gdy podeszła jej przyjaciółka i współpracowniczka, Mary Conrow.

- Tak mi przykro - powiedziała współczująco. - Wiem, że liczyłaś na niego.

- Nie wiem, dlaczego Dirk nie uprzedził mnie, że nie udało mu się zorganizować maszyny - rzekła Kelly strapiona.

Mary była niezwykle atrakcyjną i elegancką trzydziestokilkuletnią kobietą. Miała jasne włosy barwy jesiennych liści, opadające na ramiona. Szeroko rozstawione jasnozielone oczy spoglądały na świat z pewnością siebie, zaakcentowaną wysokimi kośćmi policzkowymi i stanowczym podbródkiem. Już chciała coś powiedzieć, lecz zamiast tego przysłoniła dłonią oczy i wskazała ręką niebo.

- Co tam nadlatuje z południa?

Kelly spojrzała.

- Nie mam pojęcia.

- Wygląda na stary samolot transportowy! - krzyknęła podniecona Mary. - Leci do nas!

Kelly odczuła ulgę. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- To na pewno on! - zawołała. - Jednak nie sprawił mi zawodu.

Dziwny, starodawny samolot przeleciał kilkadziesiąt metrów nad szczytami drzew otaczających lotnisko. Nie rozwijał więcej niż sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Miał w sobie jakąś grację, urok, dzięki którym nazywano go czule Blaszaną Gęsią - był to najlepszy samolot pasażerski swojej epoki.

Trójsilnikowy 5-AT zbudowano w zakładach Forda na początku lat trzydziestych. Egzemplarz Pitta był jednym z niewielu, jakie przetrwały w muzeach i prywatnych kolekcjach. Większość nosiła oryginalne barwy i znaki rozpoznawcze starych, macierzystych linii lotniczych. Pitt zachował srebrną barwę falistego aluminium, z którego wykonano skrzydła i kadłub. Pozostały jedynie symbole rejestracyjne oraz logo Forda.

Był to w tej chwili jedyny samolot znajdujący się w powietrzu, więc zgromadzeni goście i piloci zadarli głowy i patrzyli, jak legendarny aeroplan podchodzi do lądowania. Śmigła migotały w słońcu i przecinały powietrze z wyraźnym pomrukiem.

Dwa silniki były zamocowane na skrzydłach, trzeci na samym nosie kadłuba. Duże, grube skrzydła sprawiały wrażenie tak mocnych, że mogłyby udźwignąć dwukrotnie większą maszynę. Przednia szyba miała nieco komiczny wygląd, lecz boczne okienka były duże i zapewniały pilotowi znakomitą widoczność. Stara maszyna jakby zawisała na chwilę w powietrzu, jak prawdziwa gęś przed lądowaniem na wodzie. Po chwili samolot powoli i delikatnie dotknął ziemi - duże opony zapiszczały cicho przy zetknięciu z asfaltem, wzbijając w powietrze niewielkie kłęby białego dymu.

Jeden z wolontariuszy ruszył po pasie startowym odrestaurowanym dżipem, dając pilotowi znak, by kołował za nim na miejsce postoju. Pitt zaparkował między hydroplanem fokkerem DR 1 z pierwszej wojny światowej, pomalowanym na czerwono, tak jak słynny aeroplan barona von Richthofena, a niebieskim wodnopłatem Sikorsky S-38 z 1932 roku, który mógł lądować zarówno na pasie startowym, jak i na wodzie.

Kelly i Mary Conrow podjechały do samolotu cadillakiem z 1918 roku, prowadzonym przez właściciela - również wolontariusza. Wskoczyły z auta i czekały, aż wielkie śmigła zatrzymają się. Minutę później otworzyły się boczne drzwi i ich oczom ukazał się Pitt.



Wystawił na ziemię schodek, po czym zszedł na płytę lotniska.

- To ty! - zawołała Kelly. - Nie mówiłeś, że samolot należy do ciebie.

- Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę. - Uśmiechnął się szelmowsko. -  
Przepraszam za spóźnienie. Na trasie z Waszyngtonu napotkałem silny, przeciwny wiatr. -  
Przeniósł wzrok na Mary. - Dzień dobry.

- Wybaczcie - powiedziała Kelly. - To jest moja serdeczna przyjaciółka, Mary  
Conrow. Pomaga mi przy organizacji tej imprezy. A to...

- Wiem. Słynny Dirk Pitt, o którym nie przestajesz mi opowiadać. - Mary utkwiła  
wzrok w jego zielonych oczach. - Miło cię poznać - powiedziała cicho.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Dzieci strasznie się cieszą, że polecą twoim samolotem - mówiła Kelly. - O niczym  
innym nie rozmawiają. Już ustawiamy je w kolejce do lotów.

Pitt spojrzał na tłum niepełnosprawnych dzieci, z których wiele siedziało na wózkach.

- Ile z nich chce lecieć? Mogę zabrać piętnastu pasażerów.

- Mamy około sześćdziesięciu chętnych - odparła Mary. - Wystarczy na cztery  
wycieczki.

Pitt uśmiechnął się.

- Dam sobie radę, ale jeśli mam zabrać pasażerów, będę potrzebował drugiego pilota.

Mój przyjaciel, Al Giordino, nie mógł przyjechać.

- Nie szkodzi - stwierdziła Kelly. - Mary jest pilotem. Pracuje dla linii Conquest.

- Od kiedy?

- Dwanaście lat na Boeingach 737 i 767.

- A ile godzin na mniejszych samolotach?

- Ponad tysiąc.

Pitt skinął głową.

- W porządku. Wejdz do środka. Polecimy na mały lot próbny.

Mary rozjaśniła się jak małe dziecko, które znalazło prezent pod choinką.

- Wszyscy znajomi zzielenieją z zazdrości, kiedy się dowiedzą się, że siedziałam za  
sterami trzysilnikowego forda.

Zapięli pasy. Pitt wyjaśnił Mary, do czego służą poszczególne instrumenty. Przedni  
panel był urządzony z racjonalną prostotą. Kilka niezbędnych przełączników oraz nieco  
ponad tuzin podstawowych instrumentów rozmieszczono dogodnie na dużej, czarnej tablicy  
w kształcie piramidy. Panel obsługiwał tylko instrumenty silnika umieszczonego na nosie  
samolotu. O dziwo, tachometr, a także wskaźniki ciśnienia i temperatury oleju dwóch

pozostałych silników ulokowano poza kokpitem, na zewnętrznych rozporkach.

Trzy dźwignie sterujące ciągiem silników zamontowano między fotelami pilotów. Na kolumnach zamocowano koła sterujące z drewnianymi ramionami, kontrolujące pracę lotek. Wyglądały jak przeniesione żywcem z samochodów. Henry Ford nie lubił marnować pieniędzy, więc w ramach oszczędności polecił, by wykorzystać istniejące już kierownice z samochodów modelu T. Wyważenie samolotu regulowała korbka, umieszczona nad głową pilota. Duża dźwignia hamulca przechylała się na prawo i lewo, sterując maszyną podczas kołowania na ziemi. Zamontowano ją także między fotelami pilotów.

Pitt włączył silniki. Krztusiły się i drgały mocno. Dopiero po chwili zaczęły pracować równomiernie i spokojnie. Gdy osiągnęły właściwą temperaturę, Pitt skierował samolot na koniec pasa i wyjaśnił Mary procedurę startową. W końcu przekazał jej stery, przypominając, że pilotuje samolot z trzecim kółkiem umieszczonym pod ogonem, a nie odrzutowiec pasażerski, gdzie goleń z kołem wysuwa się pod nosem.

Mary była pojętna i szybko przyswoiła tajniki kierowania siedemdziesięciodwuletnim aeroplanem. Pitt zademonstrował, jak samolot przeciąga przy prędkości stu kilometrów na godzinę, leci bez wysiłku na dwóch silnikach i ma dość mocy, by bezpiecznie wylądować na jednym.

- To takie dziwne - powiedziała głośno, przekrzykując wycie maszyn - że silniki znajdują się na zewnątrz bez żadnych osłon.

- Zostały tak skonstruowane, by nie poddawać się wpływowi czynników atmosferycznych.

- Jaka jest jego historia?

- Został zbudowany w Stout Metal Airplane Company w 1929 roku - zaczął Pitt. - Była to część koncernu samochodowego Forda. W sumie powstało sto dziewięćdziesiąt sześć sztuk pierwszych amerykańskich samolotów wykonanych całkowicie z metalu. Ten egzemplarz zszedł z taśmy jako sto pięćdziesiąty ósmy. Obecnie istnieje jeszcze osiemnaście sprawnych technicznie i latających samolotów tego typu. Mój rozpoczął służbę w liniach lotniczych Transcontinental Air Transport, obecnie TWA. Latał na trasie z Nowego Jorku do Chicago i woził na pokładzie wiele ówczesnych znakomitości: Charlesa Lindbergha, Amelię Earhart, Glorię Swanson, Douglasa Fairbanka Seniora i Mary Pickford. Franklin Roosevelt wycarterował go, by polecieć na konwencję demokratów do Chicago. Wszyscy znani ludzie nim latali. W tamtych czasach nie było lepszego i wygodniejszego środka transportu. Na tych właśnie samolotach po raz pierwszy zainstalowano toaletę oraz zatrudniono stewardessy. Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale siedzisz w pojeździe, który dał początek

nowoczesnemu lotnictwu pasażerskiemu. To pierwszy król przestworzy.

- Ma ciekawy rodowód.

- Kiedy w 1934 roku do produkcji wszedł Douglas DC-3, "Stary Pewniak", ten samolot przeszedł na emeryturę. Przez kolejne lata woził pasażerów w Meksyku. Nieoczekiwanie w 1942 roku pokazał się na wyspie Luzon na Filipinach, skąd ewakuował do Australii wielu naszych żołnierzy. Potem jego losy spowija mgła tajemnicy. Zjawił się ponownie w Islandii, jako własność mechanika lotniczego, dowożącego zaopatrzenie do odizolowanych od świata farm i miejscowości. Ja kupiłem go w 1987 roku, przyleciałem nim do Waszyngtonu i wyremontowałem.

- Jakie ma osiągi?

- Trzy silniki Pratt & Whitney o mocy czterystu pięćdziesięciu koni mechanicznych. W zbiornikach jest dość paliwa, by zapewnić zasięg ośmiuset osiemdziesięciu kilometrów przy szybkości sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Maksymalnie osiąga dwieście dwadzieścia. Prędkość wznoszenia trzysta trzydzieści metrów na minutę, pułap pięć tysięcy dwieście siedemdziesiąt pięć metrów. Rozpiętość skrzydeł wynosi dwieście trzy i pół metra, a długość samolotu piętnaście metrów. Opuściłem coś?

- To chyba wszystko - powiedziała Mary.

- Twoje stery. - Pitt cofnął dłonie z panelu. - Jest bardzo czuły na każdy ruch rąk. Nie można sobie pozwolić na chwilę nieuwagi.

- Rozumiem. - Musiała dość mocno napiąć mięśnie, by zmienić położenie wielkich lotek. Po wykonaniu kilku skrętów, zaczęła podchodzić do lądowania.

Pitt obserwował, jak delikatnie siadła kołami na asfalcie, dopiero po chwili opuszczając ogon na ziemię.

- Bardzo ładnie - pochwalił ją. - Jak stary oblatywacz takich maszyn.

- Dziękuję, kapitanie - roześmiała się.

Samolot zatrzymał się na swoim stanowisku, na pokład zaczęły wchodzić dzieci. Większość trzeba było podsadzić. Wolontariusze podawali je Pittowi, a on zanosił małych pasażerów na miejsca i zapinał im pasy bezpieczeństwa. Widząc niepełnosprawne, kalekie dzieci, które mimo wszystko zachowywały dobry humor i nie traciły odwagi, Pitt poczuł ukłucie w sercu. Kelly pomagała malcom. Żartowała i śmiała się razem z nimi. Już w powietrzu pokazywała im Manhattan z lotu ptaka. Pitt leciał nad rzeką Hudson w kierunku miasta.

Stary samolot idealnie nadawał się do tego typu wycieczek. Leciał z niewielką szybkością, miał duże, prostokątne, panoramiczne okna, znakomite do podziwiania widoków

z góry. Dzieci siedziały w starych wiklinowych fotelach, pokrytych poduchami. Radośnie krzyczały, widząc pod sobą drapacze chmur, strzelające wysoko w niebo.

Pitt wykonał już trzy loty. W przerwie, gdy napełniano zbiorniki, poszedł przyjrzeć się trójpłatowemu fokkerowi z pierwszej wojny światowej, który stał tuż obok. Kiedyś był to prawdziwy postrach aliantów. Latały nim takie asy niemieckiego lotnictwa jak Manfred Richthofen, Verner Voos i Hermann Goring. Richthofen twierdził, że wspina się do góry jak mała i manewruje w powietrzu jak sam diabeł.

Pitt oglądał działka wmontowane w obudowę silnika, gdy podszedł do niego mężczyzna w starym kombinezonie pilota.

- Co pan o nim sądzi? - spytał.

Pitt odwrócił się i spojrzał w oliwkowe oczy ciemnoskórego mężczyzny o ostrych, egipskich rysach. Miał w wyglądzie coś władczego. Stał wysoki, wyprostowany jak żołnierz. Miał dziwne spojrzenie: patrzył twardo, prosto przed siebie, nie wodząc oczami na boki.

Obaj przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Byli mniej więcej równego wzrostu i wagi.

- Zawsze się dziwię - powiedział w końcu Pitt - że stare myśliwce na zdjęciach lub filmach wydają się takie małe. W rzeczywistości mają naprawdę imponujące rozmiary. - Wskazał dwa karabiny maszynowe zamontowane za śmigłem. - Wyglądają na prawdziwe.

Tamten skinął głową.

- Oryginały firmy Spandau. Kaliber 7,92 milimetra.

- A taśmy z amunicją? Są w nich pociski.

- Dla lepszego wrażenia. W swoim czasie był to naprawdę znakomity myśliwiec. Chciałbym, żeby tak pozostało. - Zdjął rękawicę i wyciągnął dłoń: - Conger Rand, właściciel samolotu. To pan pilotuje tego forda?

- Tak. - Pitt odniósł dziwne wrażenie, że mężczyzna go zna. - Nazywam się Dirk Pitt.

- Wiem. Pracuje pan w NUMA.

- Znamy się?

- Nie, ale mamy wspólnego znajomego.

Pitt nie zdążył odpowiedzieć, gdy zawołała go Kelly.

- Jesteśmy gotowi do ostatniego lotu.

Odwrócił się, by przeprosić rozmówcę, lecz pilot fokkera szybko znikł za swoim samolotem.

Zamknięto wlewy paliwa. Gdy cysterna odjechała, Pitt przekazał stery drugiemu pilotowi, czyli Mary, sam zaś poszedł porozmawiać z dziećmi. Pokazał im Statuę Wolności i wyspę Ellis, które okrążyli na wysokości trzystu metrów. Potem wrócił do kokpitu i

przejawszy stery, skierował samolot ku Mostowi Brooklyńskiemu.

Temperatura powietrza wynosiła około trzydziestu stopni, więc Pitt otworzył boczne okienko, wpuszczając do kokpitu świeże powietrze. Gdyby nie miał na pokładzie dzieci, mógłby się pokusić o przelot pod mostem, ale wtedy straciłby licencję. Zdecydował, że nie byłoby to zbyt mądre.

Jego uwagę zwrócił cień, który zjawił się obok i nieco wyżej od ich samolotu.

- Mamy towarzystwo - powiedziała Mary. Zachwycone dzieci w kabinie pasażerskiej zaczęły piszczeć z radości.

Pitt podniósł wzrok i na tle błękitnego nieba ujrzął czerwony kształt. Pilot fokkera pomachał im z odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Miał skórzaną pilotkę i gogle z powiewającą, jedwabną wstążką. Stary fokker był tak blisko, że Pitt widział, jak jego pilot szczyrzy zęby w diabelskim uśmiechu. Chciał go pozdrowić ruchem dłoni, ale samolot się oddalił.

Fokker zrobił pętlę, a potem znowu skierował się w stronę fonda, tym razem od lewej strony.

- Co on wyprawia? - spytała Mary. - Nie wolno robić takich akrobacji nad miastem.

Otrzymała odpowiedź. Z bliźniaczych luf karabinów maszynowych myśliwca błysnął ogień. Przez chwilę myślała, że to część symulowanej walki powietrznej, ale wtedy przednia szyba roztrzaskała się na kawałki, a z silnika na dziobie zaczęły bić kłęby dymu i strumień oleju.

Pitt wyczuł niebezpieczeństwo, zanim jeszcze w samolot uderzył grad pocisków. Poderwał maszynę stromo w górę, wykręcając pętlę o 360 stopni. Fokker był teraz niżej, z lewej strony, lecz już po chwili skręcił, szykując się do kolejnego ataku. Pitt przesunął dźwignie gazu do samego końca w nadziei, że zdoła utrzymać się za jego ogonem. Pomysł był jednak z góry skazany na niepowodzenie. Mając trzy sprawne silniki, mógł jeszcze próbować ścigać się z szalonym pilotem, gdyż bił go prędkością o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ale teraz, bez jednego z motorów, nie wygrałby w wyścigu ze zwrotnym myśliwcem.

Z uszkodzonego silnika waliły kłęby dymu. Jeszcze chwila, a zajmie się ogniem. Pitt sięgnął do kurka paliwa i włącznika zapłonu, poniżej dźwigni gazu. Śmigło centralnego silnika zatrzymało się w poziomym położeniu.

Mary nie wiedziała, co się dzieje.

- On do nas strzela!

- Tylko nie pytaj mnie dlaczego - warknął Pitt.

W drzwiach kokpitu stanęła Kelly.

- Czemu rzucacie samolotem na wszystkie strony? - spytała gniewnie. - Dzieci się przestraszyły. Co się dzieje? - Zauważyła dym wydobywający się z silnika, rozbitą szybę, poczuła powiew powietrza.

- Atakuje nas jakiś wariat.

- Strzela prawdziwymi kulami! - wykrzyknęła Mary. Podniosła rękę, by osłonić twarz.

- Przecież tu są dzieci!

- On wie i nic sobie z tego nie robi. Wracaj tam i uspokój malców. Powiedz im, że to taka zabawa. Niech śpiewają, niech robią cokolwiek, byle nie myślały o niebezpieczeństwie. - Pitt spojrział na Mary i kiwnął zachęcająco głową. - Włącz radiostację i nadaj Mayday. Każdego, kto się zgłosi, poinformuj o naszej sytuacji.

- Ktoś nam może pomóc?

- Nie zdąży.

- Więc co zrobisz?

Pitt zobaczył, że fokker szykuje się do następnego podejścia.

- Uratuję wszystkich, jeśli mi się uda.

Kelly i Mary podziwiała jego opanowanie i determinację bijącą z oczu. Mary zaczęła wzywać pomocy przez radio; Kelly wróciła do przedziału dla pasażerów.

Pitt rozejrzał się po niebie w poszukiwaniu chmur, w których mógłby się ukryć przed fokkerem. Były w odległości kilku kilometrów od niego, ponad sześć kilometrów nad ziemią, poza zasięgiem samolotu. Nie było się gdzie schować. Stary transportowiec leciał bezbronny jak baranek na pastwisku, ścigany przez wygłodniałego wilka. Dlaczego on to robi? Pitt nie potrafił znaleźć prostej odpowiedzi.

Mógł spróbować posadzić samolot na East River. Gdyby dokonał tego, nie uszkadzając maszyny, nie raniąc dzieci, gdyby ford utrzymał się na wodzie wystarczająco długo, by zdążyli uciec... Szybko odrzucił ten pomysł. Samolot miał twarde podwozie. Istniało niebezpieczeństwo, że takie lądowanie zakończy się katastrofą. Poza tym nie miał pewności, czy oszalały pilot fokkera nie zacznie strzelać do bezbronnych pasażerów, jeśli nawet przeżyją awaryjne wodowanie. Skoro strzela do nich w powietrzu, dlaczego nie miałby ich zabić w wodzie?

Podjął decyzję i zawrócił w kierunku Mostu Brooklyńskiego.

Fokker stanął na czubkach skrzydeł i ruszył za fordem wzdłuż rzeki. Pitt zmniejszył ciąg silników, pozwalając przeciwnikowi zbliżyć się. W odróżnieniu do nowoczesnych myśliwców, które mogły razić pociskami rakietowymi z dużej odległości, lotnicy pierwszej wojny światowej mogli strzelać do celów znajdujących się najwyżej sto metrów przed nimi. Pitt liczył na to, że napastnik wyczeka z kolejną salwą do ostatniej chwili.

Jak za dawnych czasów na zachodnim froncie, ostrzeżenia alianckich pilotów wciąż były aktualne. Przypomniał sobie stare powiedzenie: "Uważaj na słońce". Fokker zadarł dziób i zaczął się wspinać coraz wyżej i gdy niemal zawisł na wirującym śmigle, przeszedł w lot nurkowy od słońca. W odległości stu metrów otworzył ogień. Kule wbiły się w metalowe poszycie prawego skrzydła tuż za silnikiem. Nie miał czasu na poprawkę, gdyż samolot Pitta znajdował się w celowniku przez niepełne dwie sekundy, po chwili zanurkował pionowo w dół.

Pitt leciał w kierunku wody. Fokker siedział mu na ogonie, ale nie strzelał, czekając, aż przeciwnik pojawi się na linii ognia. Pitt wciąż spadał. Widział już ludzi spacerujących po obu brzegach rzeki, tłumek na pokładzie statku wycieczkowego, strażaków na kutrze pożarniczym, jakby samolot miał rzeczywiście uderzyć w wodę. W ostatniej chwili pociągnął wolant i skierował maszynę pod Mostem Brooklyńskim.

Most wyglądał jak ogromna pajęczyna z siecią lin, na których wisiała jezdnia. Został zbudowany w 1883 roku. Co dzień przejeżdżało po nim ponad sto pięćdziesiąt tysięcy

samochodów, dwa tysiące rowerzystów, przechodziło trzystu pieszych. Auta zatrzymywały się jedno za drugim, a kierowcy patrzyli w osłupieniu na dwa stare samoloty pędzące w stronę mostu. Przechodnie i rowerzyści, jadący po drewnianej kładce, umieszczonej nad jezdnią, zatrzymywali się, nie mogąc uwierzyć, że myśliwiec z czasu pierwszej wojny światowej strzela do starego transportowca.

- Boże! - szepnęła Mary. - Chyba nie chcesz przelecieć pod mostem.

- Patrz na mnie - mruknął z uporem.

Nie zwracał uwagi na pylony wznoszące się osiemdziesiąt metrów nad wodę. Pośpiesznie oszacował odległość jezdni od lustra rzeki na czterdzieści pięć metrów, faktycznie wynosiła ona o cztery metry mniej. Dym walił z uszkodzonego silnika, ale ford śmignął pod mostem i wy dostał się na wolną przestrzeń, tuż nad holownikiem, pchającym przed sobą dwie barki.

Zachwycone dzieci patrzyły, jak most przesuwa się nad nimi. Myślały, że to zabawa. Kelly kazała im śpiewać, więc szczęśliwe i nieświadome niebezpieczeństwa, zaintonowały piosenkę.

Kontrolerzy ruchu powietrznego na La Guardia, JFK i mniejszych okolicznych lotniskach odebrali sygnał, wysłany przez Mary. Przez eter mknęły policyjne komunikaty o walce, jaka toczy się w przestworzach. Jeden z kontrolerów lotów na lotnisku Kennedy'ego zgłosił to swojemu zwierzchnikowi.

- Mam sygnał Mayday od kobiety, która leci starym trzysilnikowym fordem z wystawy lotniczej. Twierdzi, że atakuje ją myśliwiec z okresu pierwszej wojny światowej.

- Jasne - roześmiał się szef. - A Marsjanie lądują na Statui Wolności.

- Ale w tym musi coś być. Słyszę meldunki policyjne o trójpłatowcu ścigającym stary transportowiec pod Mostem Brooklyńskim. Uciekający samolot ma uszkodzony, mocno dymiący silnik.

- Czy na transportowcu są pasażerowie? - Humor zwierzchnika zniknął.

- Policja mówi, że jest tam piętnaścioro niepełnosprawnych dzieci. - Urwał na chwilę, po czym dodał z wahaniem: - Ja... słyszę, jak one śpiewają.

- Śpiewają?

Kontroler lotów w milczeniu kiwnął głową.

Tym razem szef przejął się. Podszedł do ekranów radaru i położył dłoń na ramieniu dyżurującego pracownika.

- Co widać nad Manhattanem?

- Miałem dwa samoloty nad East River, ale większy właśnie gdzieś przepadł.



- Rozbił się?

- Na to wygląda.

- Biedne dzieciaki - powiedział kierownik wieży kontroli lotów.

Pilot fokkera poderwał maszynę nad rozpostartymi linami, mijając je zaledwie o kilka metrów. Potem zanurkował, by nabrać dodatkowej szybkości, wykrcił o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył wprost na lecącego w jego kierunku forda.

Pitt nie czekał, aż zostanie strącony jak puszka stojąca na kamieniu. Przewrócił samolot na lewe skrzydło, wpadł w bardzo ciasny zakręt, poleciał nad nabrzeżem jedenaście i trzynaście, przeciął FDR Drive i South Street pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wyprostował maszynę, niecałe sześćdziesiąt metrów nad Wall Street, minął pomnik Waszyngtona składającego uroczyste ślubowanie w czasie obejmowania urzędu. Ryk dwóch silników odbijał się echem od budynków, wprawiając szyby w drżenie. Szeroko rozstawione skrzydła z trudem mieściły się między domami. Wreszcie samolot wydostał się z betonowo-szklanego kanionu.

Mary była w szoku. Z policzka płynęła jej strużka krwi, tam gdzie uderzył ją odłamek szyby.

- To przecież szaleństwo.

- Przykro mi - powiedział matowym głosem Pitt. - Nie miałem wyboru.

Ściągnął dźwazek. To, co wydawało się szeroką ulicą, było w rzeczywistości dolnym krańcem Broadwayu. Miał tylko kilka metrów miejsca. Skręcił gwałtownie i ruszył ulicą obok gmachu giełdy, kościoła św. Pawła i naprzeciwko parku City Hall. Radiowozy na sygnale usiłowały jechać tą samą drogą, ale okazało się to niewykonalne. Nie mogły przedrzeć się przez gęszcz samochodów tarasujących drogę.

Pilot fokkera na jakiś czas zgubił Pitta, lawirującego w miejskiej dżungli. Zatoczył koło nad East River, wspiął się na pułap trzystu metrów i ruszył nad Manhattan. Minął statki stojące w porcie przy South Street, po czym wychylił się z kokpitu, szukając forda. Zobaczył srebrny błysk odbitego światła. Podniósł gogle i z niedowierzaniem zobaczył, jak transportowiec leci między budynkami wzdłuż Broadwayu.

Pitt wiedział, że naraża życie innych, że w wypadku strącenia go przez fokkera oprócz dzieci ucierpią także ludzie w samochodach i przechodnie. Jego nadzieją było jak najdłuższe zwodzenie nieuchronnego losu. Może uda mu się jakoś uzyskać przewagę i uciec z miasta, pozostawiając szalonego pilota na pastwę policyjnych helikopterów. Postanowił za wszelką cenę uratować wciąż śpiwające dzieci.

Nagle ujrzał, jak asfalt eksploduje, wzbijając w powietrze setki odłamków. Przeciwnik

znowu siedział mu na ogonie i strzelał z góry pociskami kaliber 7,62, których grad spadł na dach żółtej taksówki i skrzynkę pocztową. Na szczęście nikt z przechodniów nie został trafiony. Początkowo Pitt sądził, że jego samolot uniknął pocisków, po chwili jednak odkrył, że niektóre urządzenia sterujące przestały działać. Ster kierunku poruszał się z dużym opóźnieniem, stery wysokości w ogóle nie reagowały na ruch drążkiem. Jedynie lotki zachowywały się normalnie. Kula musiała trafić krawężek linowy lub zaczepy linek sterujących, przeciągniętych z kokpitu do urządzeń na zewnątrz kadłuba.

- Co się dzieje? - spytała Mary.

- Trafił w stery wysokości. Nie możemy się już wznosić.

Nalot fokkera był niemal perfekcyjny, pilota musiał jednak nieco przestraszyć widok budynków nad maszyną. Wycofał się, nim zdążył zestrzelić uciekający samolot. Poszedł świecą do góry i wykonał zawrót, podchodząc teraz z przeciwnego kierunku. Pitt szybko pojął, że napastnik nie będzie tracił czasu na frontalny atak. Podejdzie od tyłu i odda serię w ogon forda.

- Widzisz go cały czas? - spytał Mary.

- Nie wtedy, gdy jest tuż za nami - odparła spokojnie. Rozluźniła pas i odwróciła się do tyłu. - Wychylę się i będę pilnować ogona.

- Dobra dziewczyna.

W przejściu stanęła Kelly.

- Dzieciaki są niesamowite. Zupełnie się nie przejmują.

- Bo nie wiedzą, że żyjemy już na kredyt. - Pitt zerknął na ziemię i rozpoznał Greenwich Village. Potem minęli Union Square Park. W oddali widział już Times Square. Dzielnica teatrów i kin znajdowała się po lewej stronie. Migały wielkie neony, gdy przeleciał nad pomnikiem Georgesa M. Cohana. Chciał wzbić się wyżej, ale stery wysokości odmówiły posłuszeństwa. Teraz mógł jedynie utrzymywać lot po linii prostej i na stałej wysokości. Na razie dawał sobie radę, ale gdy doleci do zakrętu Broadwayu przy Czterdziestej Ósmej, będą kłopoty. Musiał z całej siły naciskać pedały, by uzyskać jakąkolwiek reakcję steru kierunku. Najmniejszy błąd, niewielkie nawet szarpnięcie wolantu mogło posłać samolot w ścianę mijanego budynku. Musiał lecieć prosto wzdłuż Broadwayu, operując jedynie dźwigniami przepustnic.

Pocił się, w ustach mu zaschło. Ściany mijanych domów były tak blisko, że niemal wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by ich dotknąć. Ulica ciągnęła się w nieskończoność, zwężała się w maleńki punkt na horyzoncie. Przechodnie stali z zadartymi głowami i przyglądali się, jak leci nad Broadwayem na wysokości trzeciego piętra. Ogłoszający ryk silników słysząc

było już z dużej odległości. Pracownicy biur wyglądali przez okna i stawali jak wryci -patrzyli z góry na przelatujący samolot, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wszyscy sądzili, że ford lada moment się rozbije.

Pitt gorączkowo próbował unieść nos maszyny, ale nie dał rady. Zredukował szybkość do stu dziesięciu kilometrów na godzinę, tylko o dziesięć więcej od minimalnej prędkości lotu. Mężczyzna za sterami fokkera był dobrym pilotem. Walka z nim wymagała ogromnej odwagi, stanowiła prawdziwe wyzwanie. Była to potyczka dwóch równorzędnych przeciwników, wymagająca cierpliwości i wytrwałości. Pitt walczył nie tylko o swoje życie, lecz również o życie dwóch kobiet i piętnaściora niesprawnych dzieci. Ilu ludzi zginęłoby, gdyby samolot rozbił się i eksplodował na zatłoczonych ulicach miasta?

Mali pasażerowie zaczęli odczuwać lekki niepokój, widząc budynki przesuwane się tuż za oknami samolotu, nie przestawali jednak śpiewać, zachęceni przez Kelly, która sama bała się patrzeć na mijane domy i wyglądające zza okien zdumione twarze pracowników biur.

Z wysokości trzystu metrów pilot fokkera obserwował lecący nisko transportowiec z cierpliwością diabła, dybiącego na duszę człowieka. Teraz nie musiał już atakować. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ford sam się rozbije. Do pościgu włączył się policyjny śmigłowiec, lecąc nad dachami domów między obydwu samolotami.

Z chłodnym wyrachowaniem i precyzją przesunął do przodu drążek sterowy, nurkując prosto na helikopter. Policjant krzyknął coś do pilota, wskazując ręką w górę. Śmigłowiec wykonał unik, lecz ręczna broń, jaką dysponowali policjanci, nie mogła się równać z szybkostrzelnymi karabinami. Pociski trafiły w silnik tuż pod śmigłem. Atak przeprowadzono z zimną krwią.

W ciągu trzech sekund zgrabny helikopter zmienił się w opadający wrak, który po chwili rozbił się na dachu jednego z budynków.

Deszcz szczątków poleciał na ulicę, jednak nikt z przechodniów nie został ranny. Policjanci ze śmigłowca - tylko z kilkoma złamaniami - zostali wyciągnięci przez pracowników technicznych. Ich życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Było coś nieludzkiego, pozbawionego sensu w działaniu pilota fokkera. Mógł spokojnie uciec, widząc, że lada chwila ford i tak ulegnie katastrofie. Strzelał do helikoptera nie w samoobronie, lecz dla czystej przyjemności zabijania. Nawet nie rzucił okiem na dokonane przez siebie zniszczenie, tylko podążył dalej śladem transportowca.

Pitt nie dostrzegł katastrofy. Mary, wychylona przez okno w kokpicie widziała ją, lecz nie mogła wykrztusić ani słowa. Ulica zataczała lekki łuk, Pitt musiał więc skoncentrować się bez reszty na wprowadzeniu maszyny w skręt. Broadway odchyłał się w lewo przy Columbus

Circle. Pitt kopnął mocno prawy orczyk i samolot zatoczył łuk, wyłamując się wreszcie spomiędzy wysokich budynków. Końcówka lewego skrzydła minęła dwudziestometrowy pomnik Krzysztofa Kolumba o niecałe trzy metry. Przeleciał nad Central Park West i Pięćdziesiątą Dziewiątą Aleją. Przy południowo-zachodnim skraju Central Parku ominął pomnik marynarzy, poległych na zatopionym pancerniku "Maine", i ruszył nad park. Jeźdźcy z trudem utrzymywali konie, które cofały się lękliwie, gdy samolot przeleciał tuż nad nimi.

Tysiące ludzi spędzających niedzielne popołudnie w parku patrzyło na rozgrywający się przed ich oczami dramat. Zewsząd nadjeżdżały radiowozy z wyjącymi syrenami. Znad Piątej Alei nadleciały policyjne helikoptery, a wraz z nimi cała chmara śmigłowców z ekipami telewizyjnymi na pokładach.

- On wraca! - zawołała Mary. - Jest na wysokości dwieście pięćdziesiąt metrów i zaczyna nurkować na nasz ogon!

Pitt mógł skręcić, lecz nie miał możliwości wznieść się ani o metr, gdyż stery wysokości zatrzymały się w neutralnej pozycji. Jego plan mógł się powieść, jeżeli fokker poleciał bezpośrednio nad transportowcem i strzeli. Sięgnął do włącznika zaworu paliwa. Mocno nadwreżony silnik zakaszłał, ale po chwili zaczął pracować. Pitt skręcił ostro w prawo, wiedząc, że jego prześladowca spada na niego prosto z góry. Manewr ucieczki zmylił napastnika i bliźniacze karabiny posłały kule daleko z lewej strony celu.

Ford nie dorównywał zwrotnością fokkerowi, którym przed osiemdziesięciu laty latali najlepsi piloci cesarskich Niemiec. Myśliwiec szybko skorygował kurs i po chwili Pitt poczuł, jak pociski karabinowe uderzają w poszycie skrzydła oraz prawy silnik. Wewnątrz gondoli za silnikiem buchnęły płomienie, ale cylindry wciąż pracowały. Skierował maszynę przeciwnym kursem i czekał cierpliwie, aż nadejdzie moment kolejnego ataku.

Grad kul spadł prosto na kokpit, rozbijając tablicę rozdzielczą. Szalony pilot potrafił przewidzieć każdy ruch Pitta. Był sprytny, ale teraz nadeszła kolej na rewanż.

Pitt przesunął do oporu wszystkie trzy dźwignie gazu. Z dwoma sprawnymi silnikami mógł rozwinąć taką samą szybkość jak przeciwnik. Środkowy silnik pluł dymem i olejem, ale pracował, dając transportowcowi dodatkową moc.

Po twarzy Pitta spływała krew, odłamki szkła poraniły mu policzki i czoło. Oczy zalewał olej. Oślepiiony dymem zawołał wojowniczo:

- Niech pochłonie cię piekło, Czerwony Baronie!

Pilot fokkera za późno się odwrócił. Ford znajdował się już tylko sześć metrów od niego. Gwałtownie skręcił, nie był to jednak właściwy manewr. Gdyby poszedł świecą ku niebu, transportowiec byłby bezsilny. Przy dziewięćdziesięciostopniowym przechyle trzy

płaty skierowały się pionowo do góry. W tym momencie uderzyło w nie podwozie forda, przebijając drewno i materiał. Górny płat niemal przestał istnieć.

Pitt przez chwilę widział pilota, gdy samolot wpadł w niekontrolowany korkociąg. Jakby nic się nie działo, pogroził Pittowi pięścią. Potem znikł mu z oczu, by po chwili rozbić się na drzewach wokół Ogrodów Szekspirowskich. Drewniane śmigło rozleciało się na sto kawałeczków, uderzywszy w pień wielkiego wiązu. Uderzenie zgmiotło kadłub i skrzydła, jakby były modelem z patyczków, bibuły i kleju. Po kilku minutach przy wraku stały już radiowozy z błyskającymi czerwienią i błękitem kogutami.

Kelly z niewiarygodnym hartem ducha wciąż śpiewała razem z dziećmi, Pitt walczył, by nie runąć na ziemię.

Wyłączył silniki centralny i środkowy, zanim zmieniły samolot w latającą pochodnię. Jak ranny koń, który nieustępliwie prze do przodu, stary samolot rozpaczliwie bił powietrze. Z dwóch uszkodzonych silników buchały płomienie i dym, na pełnych obrotach pracował tylko jeden. Pitt wykonał płaski skręt i skierował samolot ku największej pustej polaci ziemi w zasięgu wzroku - dużej łące Sheep Meadow.

Mnóstwo ludzi opalało się tam jak na pikniku. Na widok podziurawionego kulami samolotu wszyscy rzucili się do ucieczki. Widzieli, że maszyna może rozbić się i spłonąć pośrodku placu. Pitt wychylił się przez okno, by uniknąć dymu wpadającego do kokpitu. Ze zmrużonymi oczami patrzył na łąkę, szykując się do lądowania. W normalnych warunkach umiałby wylądować na skrawku ziemi wielkości znaczka pocztowego, ale teraz miał znacznie ograniczoną kontrolę nad maszyną. Zmniejszył ciąg i powoli zniżył samolot nad trawą.

Dwa tysiące ludzi patrzyło w milczeniu. Niektórzy modlili się, by ciężko uszkodzony transportowiec, z którego buchają dym i płomienie, wylądował bezpiecznie, by nie stanął cały w ogniu. Gapie wstrzymali oddech, zaciskali kciuki. Zafascynowani, słuchali ryku jedyne go sprawnego silnika, pracującego na pełnych obrotach. Nieruchomi ze strachu, patrzyli nie wierząc własnym oczom, jak samolot otarł się podwoziem o czubki drzew na skraju łąki. Po latach żaden z nich nie będzie mógł dokładnie opisać tego wydarzenia. W kabinie pasażerskiej dzieci wciąż powtarzały refren:

- "Do domu wrócił stary człek".

Samolot zakołysał się lekko, gdy Pitt ślizgowym lotem podchodził do lądowania. Potem jakby zawisł nisko nad ziemią, aż wreszcie dotknął wielkimi kołami trawy, odbił się od niej dwa razy, wreszcie usiadł, opuszczając ogon. O dziwo zatrzymał się już po niecałych pięćdziesięciu metrach. Nikt nie mógł uwierzyć, że to możliwe.

Widząc nadbiegających ludzi, Pitt wyłączył silnik i patrzył, jak śmigło przestaje się

obracać. Spojrzał na Mary i zaczął coś mówić, chciał ją pochwalić za wspaniałą, brawurową pomoc. Ale zamilkł, ujrawszy jej bladą twarz. Dotknął palcami szyi, szukając tętna. A potem ręka opadła mu bezwładnie i zacisnęła się w pięść.

Do kokpitu zajrzała Kelly.

- Udało ci się! - wyrzuciła w końcu z siebie, szczęśliwa.

- Co z dziećmi? - spytał nieobecny głosem Pitt.

- Wszystkie całe i zdrowe.

Tył fotela, w którym siedziała Mary, przecinała seria równo rozmieszczonych otworów od kul wystrzelonych ze sprzężonych karabinów fokkera. Pitt pokręcił głową. Kelly nie chciała wierzyć, że Mary nie żyje, że jej najlepsza od wielu lat przyjaciółka odeszła na zawsze. Na podłodze zobaczyła rosnącą kałużę krwi i wtedy zrozumiała straszną prawdę.

Ogarnął ją potworny żal. Spojrzała na Pitta.

- Dlaczego? - szepnęła matowym głosem. - Dlaczego to musiało się stać? Przecież śmierć Mary nie ma żadnego sensu.

Z okolicznych ulic i parku nadbiegali ludzie, by obejrzyć ostrzelany samolot, krzyčili i machali w jego kierunku. Ale Pitt nie widział ich i nie słyszał. Czuł się osaczony, nie przez ludzi, ale przez bezsens tego wszystkiego. Popatrzył na Kelly.

- Nie tylko ona zginęła. Inni też niepotrzebnie stracili dziś życie.

- Jakie to beznadziejne - szepnęła Kelly przez dłonie, którymi zakryła twarz. Płakała cicho.

- Cerber - powiedział Pitt, a jego głos ledwie przebił się przez wrzawę. - Ktoś, jeszcze nie wiem kto, zejdzie do Hadesu, żeby się z nim spotkać.

Sanitariusze opatrzyli drobne zadrapania i siniaki dzieci, i mali pasażerowie wrócili do rodziców. Pitt stał obok zrozpaczonej Kelly. Ciało jej przyjaciółki właśnie przenoszono z samolotu do ambulansu. Policjanci otoczyli kordonem maszynę, a potem zaprowadzili Pitta i Kelly do radiowozu, by zawieźć ich do najbliższego komisariatu na przesłuchanie.

Chwilę wcześniej Pitt obszedł samolot, zdumiony rozmiarem uszkodzeń. Nie wiadomo, jakim cudem transportowiec utrzymał się w powietrzu aż do lądowania. Obejrzał ogon i skrzydła podziurawione kulami, rozbite głowice cylindrów w dwóch nadal dymiących silnikach, z których dochodził trzask rozgrzanych części.

Położył dłoń na osłonie koła.

- Dziękuję - powiedział cicho.

Poprosił policjanta, aby w drodze zatrzymali się koło wraku fokkera. Oficer kiwnął głową i wskazał ręką najbliższy radiowóz.

Czerwony trójpłatowiec wyglądał jak zgnieciony latawiec, wprasowany w olbrzymi wiąz na wysokości sześciu metrów nad ziemią. Stojący na drabinie pożarniczej strażacy zadzierali głowy, by obejrzeć pogieły wrak. Pitt wysiadł z samochodu i stanął pod fokkerem. Silnik wyrwany z obudowy samolotu leżał wbity głęboko w trawę. Ku jego zaskoczeniu nie był to unowocześniony motor, lecz oryginalny, dziewięciocylindrowy oberursel o mocy stu dziesięciu koni mechanicznych. Potem zajrzał do otwartego kokpitu.

Był pusty.

Rozejrzał się po gałęziach, po trawie wokół drzewa. Po pilocie zostały tylko kurtka, pilotka i gogle poplamione krwią.

W niezrozumiały sposób mężczyzna gdzieś zniknął.

Policjanci przesłuchiwali Kelly. Tymczasem Pitt zatelefonował do miejscowej firmy zajmującej się remontami samolotów, z którą uzgodnił, że transportowiec zostanie rozebrany na części i odwieziony do Waszyngtonu, gdzie nastąpi naprawa i rekonstrukcja, czego mieli dokonać najlepsi fachowcy w branży. Następnie zadzwonił do Sandeckera i przedstawił mu sytuację.

Potem usiadł spokojnie przy pustym biurku i zaczął rozwiązywać krzyżówkę z "New York Timesa". Wywołano jego nazwisko. W drzwiach spotkał wychodzącą właśnie Kelly.

Przytulił ją mocno, wreszcie wszedł do pokoju, gdzie czekał na niego oficer i czterech detektywów. Siedzieli za zniszczonym, dębowym biurkiem, którego wiek określała liczba śladów po zgaszonych papierosach.

- Pan Pitt? - spytał niski mężczyzna z wąsikami. Nie miał marynarki i widać było wąskie szelki.

- Tak.

- Inspektor Mark Hacken. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Nie ma pan nic przeciwko nagraniu przesłuchania?

- Nie.

Hacken nie przedstawił swoich kolegów. Nie wyglądali na policjantów, znanych z telewizji. Przypominali zwykłych ludzi, sąsiadów, których widuje się przed domami, jak koszącą trawniki.

Hacken poprosił, żeby Pitt opowiedział trochę o sobie, wyjaśnił, na czym polega jego praca w NUMA, i dlaczego przyprowadził swój samolot na pokaz lotniczy zorganizowany dla niepełnosprawnych dzieci. Pozostali policjanci wtrącali od czasu do czasu jakieś pytanie, lecz głównie zajmowali się robieniem notatek, gdy Pitt opisywał swój lot od momentu startu do lądowania na Sheep Meadow.

- Sam jestem pilotem - rzekł jeden z detektywów. - Zdaje pan sobie sprawę, że może pan za swoje wyczyny wylądować w więzieniu, nie mówiąc o utracie licencji.

Pitt obrzucił go pewnym siebie spojrzeniem i uśmiechnął się lekko.

- Jeśli uratowanie od śmierci piętnastki dzieciaków jest przestępstwem, niech tak będzie.

- Mógł pan to osiągnąć, nie skręcając znad rzeki nad ulice miasta.

- Gdybym w odpowiednim momencie nie skręcił w Wall Street, zostalibyśmy zestrzeleni. Nikt nie przeżyłby takiej katastrofy.

- Musi pan jednak przyznać, że bardzo pan ryzykował.

Pitt obojętnie wzruszył ramionami.

- Nie siedziałbym tutaj, gdybym nie podjął ryzyka.

- Czy orientuje się pan, dlaczego tamten pilot narażał na zniszczenie samolot wart milion dolarów, uzbroił go w sprawne, stare karabinki, a następnie zaatakował zabytkowy transportowiec pełen dzieci? - spytał Hacken.

- Bardzo chciałbym to wiedzieć - odparł Pitt, unikając odpowiedzi.

- Ja również - dodał sarkastycznie Hacken.

- Czy wie pan, kim był pilot? - spytał z kolei Pitt.



- Nie mam pojęcia. Wmieszał się w tłum i uciekł.
- Jego samolot musi mieć numer rejestracyjny, który doprowadzi do właściciela.
- Nasi eksperci nie mieli jeszcze możliwości zbadać fokkera.
- Organizatorzy pokazu muszą mieć jego kartę zgłoszeniową - stwierdził Pitt. -

Wszyscy musieliśmy je wypełnić dla celów ubezpieczeniowych. To powinno dać jakąś wskazówkę.

- W tej sprawie współpracujemy z organami ścigania stanu New Jersey. Na razie byli nam w stanie powiedzieć tyle, że zadzwonił do nich jakiś kolekcjoner samolotów i stwierdził, że identyczna maszyna stała w hangarze na małym lotnisku koło Pittsburgha. Właścicielem jest podobno niejaki Raul St. Justin.

- Brzmi jak fałszywe nazwisko.

- Nam też się tak wydaje - odparł Hacken. - Zna pan St. Justina, czy jak on tam naprawdę się nazywa?

- Nie. - Pitt patrzył spokojnie w oczy Hackena. - Rozmawialiśmy krótko tuż przed moim startem.

- O czym?

- O jego fokkerze. Zawsze fascynowały mnie stare samoloty. Nic więcej.

- A więc nie spotkał go pan nigdy przedtem.

- Nie.

- Czy może go pan opisać i pomóc grafikowi sporządzić jego portret?

- Chętnie.

- Przepraszamy, że pan i pani Egan musieliście przez to przejść, lecz w związku ze śmiercią Mary Conrow wszczęliśmy dochodzenie w sprawie morderstwa, a także narażenia życia obywateli. To cud, że nikt nie zginął, gdy czerwony samolot ostrzelał was nad ulicami miasta, a nasz helikopter został zestrzelony w pobliżu ruchliwego skrzyżowania.

- Wszyscy możemy być za to wdzięczni - odparł szczerze Pitt.

- Na razie to wszystko - powiedział Hacken. - Oczywiście pan i pani Egan musicie pozostać w mieście do zakończenia śledztwa.

- Obawiam się, że to niemożliwe, panie inspektorze.

Hacken uniósł brwi. Nie przywykł do tego, by świadek w ważnej sprawie mówił mu, że wyjeżdża z miasta.

- Można wiedzieć dlaczego?

- Uczestniczę w dochodzeniu prowadzonym przez organy rządowe, dotyczącym pożaru na pokładzie statku pasażerskiego "Emerald Dolphin", a także porwania statku

badawczego NUMA. Czekają na mnie w Waszyngtonie. - Pitt zrobił efektowną pauzę. - Oczywiście, może pan to potwierdzić u mojego przełożonego, admirała Sandeckera z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. - Wyjął portfel i wręczył Hackenowi służbową wizytówkę. - Tu jest jego numer.

Hacken bez słowa przekazał karteczkę jednemu z policjantów, który zaraz wyszedł z pokoju.

- Jestem już wolny? Chciałbym zabrać pannę Egan do domu.

Hacken kiwnął głową, wskazując drzwi.

- Proszę zaczekać na korytarzu, aż potwierdzimy pański udział w tym rządowym śledztwie.

Kelly siedziała skulona na drewnianej ławie. Wyglądała jak mała, żalonna dziewczynka, zostawiona na schodkach sierocińca.

- Dobrze się czujesz? - spytał Pitt.

- Nie mogę się pogodzić ze śmiercią Mary - powiedziała smutno. - Przez wiele lat była bliską przyjaciółką mojego ojca.

Pitt rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie słucha ich rozmowy.

- Jak blisko była Mary z twoim ojcem?

Popatrzyła na niego ze złością.

- Przez całe lata byli kochankami.

- Nie o to mi chodzi - powiedział łagodnie Pitt. - Co wiedziała o jego pracy?

- Znała jego badania. Ja zajmowałam się własną karierą i większość czasu spędzałam poza domem, więc to ona była jego powiernicą, sekretarką i gosposią. Kiedy nie pracowała jako pilot w liniach lotniczych.

- Czy ojciec rozmawiał kiedyś z tobą o swojej pracy?

Pokręciła głową.

- Zawsze był skryty. Mówi, że wyjaśnienie tego komuś bez przygotowania naukowego byłoby niemożliwe. Opowiadał mi o pracy tylko jeden raz, na pokładzie "Emerald Dolphina". Był dumny ze swoich silników, kiedyś przy kolacji wyjaśnił mi magnetohydrodynamiczną zasadę działania.

Tylko tyle ci powiedział?

- Po wypiciu kilku martini przyznał się, że to prawdziwy historyczny przełom. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie fantazjował pod wpływem alkoholu.

- Więc Mary była jedyną osobą, która wiedziała, czym się zajmował?

- Nie. - Nagle podniosła głowę. - Jest jeszcze Josh Thomas.

- Kto?

- Doktor Josh Thomas był przyjacielem i czasami asystentem ojca. Razem studiowali w Massachusetts Institute of Technology i doktoryzowali się: ojciec w inżynierii, a Josh w chemii.

- Wiesz, gdzie go szukać?

- Tak - odparła.

- Gdzie jest laboratorium ojca? - spytał Pitt.

- W jego domu, niedaleko lotniska Gene'a Taylora.

- Możesz zadzwonić do doktora Thomasa? Chciałbym się z nim spotkać.

- Dlaczego?

- Wprost nie mogę się doczekać, by usłyszeć, na czym polega ten historyczny przełom naukowy.

Admirał Sandecker stał na podium i odpowiadał na pytania dziennikarzy i reporterów. Jediną rzeczą, jakiej nie można było admirałowi zarzucić, było uwielbienie dla mediów. Zawsze utrzymywał z nimi poprawne stosunki i dobrze się czuł w towarzystwie dziennikarzy, lecz nie lubił być w centrum uwagi ani lawirować czy robić uników. Sandecker bywał po prostu zbyt szczery i wylewny jak na biurokratyczny Waszyngton.

Już od czterdziestu minut opowiadał o udziale NUMA w badaniu przyczyn zatonięcia "Emerald Dolphina". Na szczęście konferencja prasowa miała się ku końcowi.

- Czy może nam pan powiedzieć, co pańscy ludzie znaleźli we wraku podczas badań z pokładu łodzi podwodnej? - spytała znana reporterka telewizyjna.

- Znalaziono dowód na to, że pożar został wywołany umyślnie.

- Może pan opisać ten dowód?

- Wygląda na łatwopalny materiał, który leżał w pomieszczeniu, gdzie, według słów załogi, wybuchł pożar.

- Czy zidentyfikowano już tę substancję? - spytał dziennikarz z "Washington Post".

- Próbkę znajduje się w laboratorium FBI. Wkrótce powinny być wyniki.

- Co może pan powiedzieć o uprowadzeniu waszego statku badawczego? - odezwał się reporter z CNN.

- Niewiele więcej ponad to, co już wiadomo z wcześniejszych raportów. Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego terroryści porwali statek należący do NUMA, lecz żaden z przestępców nie przeżył, by wyjaśnić tę sprawę.

Kobieta z ABC w błękitnym kostiumie podniosła rękę.

- W jaki sposób waszej załodze udało się zniszczyć piracki statek i wszystkich napastników?

To pytanie musiało paść i Sandecker był na nie przygotowany. Nie lubił kłamać, lecz zrobił to, by naukowcom i załodze "Deep Encounter" nie zarzucono morderstwa.

- O ile wiadomo, jeden z piratów, pilnujący wejścia do laguny, wystrzelił raketę w stronę naszego statku, jednak chybił i trafił w statek porywaczy.

- Co się stało z tym wartownikiem? - nalegała kobieta. - Został aresztowany?

- Nie. Zginął przez przypadek w czasie walki z dyrektorem Wydziału Programów Specjalnych NUMA, który usiłował powstrzymać go przed oddaniem drugiego strzału.

- Czy orientuje się pan - zapytał dziennikarz z "Los Angeles Times" - jaki może być związek między tymi dwiema sprawami?

Sandecker uniósł ręce i wzruszył ramionami.

- To dla mnie zupełna tajemnica. Prędzej uzyskacie państwo odpowiedzi od przedstawicieli FBI i CIA. Obydwie agencje prowadzą dochodzenie.

- Czy to ten sam dyrektor, który uczestniczył w akcji ratunkowej "Emerald Dolphina", ocalił statek badawczy przed zniszczeniem, a w końcu uratował życie niepełnosprawnych dzieci podczas wczorajszej walki?

- Tak - odparł z dumą Sandecker. - Nazywa się, jak już państwo wiecie, Dirk Pitt.

- Czy sądzi pan, że istnieje tu jakieś powiązanie...? - spytała kobieta z końca sali.

- Nie - przerwał admirał. - I proszę, nie zadawajcie mi więcej pytań w tej sprawie, bo od czasu tego zdarzenia nie rozmawiałem jeszcze z panem Pittem. Wiem tylko tyle, co piszą wasze gazety i nadają wasze programy informacyjne. - Urwał, wycofał się z podium i uniósł ręce. - Panie i panowie, nic więcej nie wiem. Dziękuję za uwagę.

Hiram Yaeger czekał na admirała w sekretariacie. Na podłodze obok krzesła stał neseser doktora Egana. Zaczął nosić w nim papiery z pracy do domu, gdyż był większy i bardziej prostokątny niż większość teczek. Na widok Sandeckera wstał i wszedł za nim do gabinetu.

- Co masz dla mnie? - spytał admirał, siadając za biurkiem.

- Aktualne wiadomości z przebiegu oględzin wraku statku piratów. Zajmuje się tym CIA. - Otworzył neseser i wyjął z niego skoroszyt. Sandecker uniósł wysoko brwi i spojrzał na niego znad okularów.

- Skąd masz te informacje? Przecież CIA nic jeszcze nie ujawniła. Ich nurkowie badają wrak... - zerknął na zegarek - dopiero od dziesięciu godzin.

- Kierownik tej grupy co godzinę aktualizuje dane w komputerze. Znamy ich dokonania niemal na bieżąco.

- Jeśli ktoś się dowie, że Max ma dostęp do tajnych plików CIA, będziemy mieli poważne kłopoty.

Yaeger uśmiechnął się chytrze.

- Nie, admirale, nigdy się nie dowiedzą. Max uzyskuje informacje z komputera statku ratowniczego, zanim jeszcze zostaną zaszyfrowane i odesłane do analizy w Langley.

Tym razem Sandecker uśmiechnął się diabolicznie.

- No więc, czego dowiedziała się Max?

Yaeger otworzył teczkę i zaczął czytać.

- Jest to statek remontowy o długości czterdziestu jeden metrów, wybudowany w stoczni Hogan and Lashere Boat Yard w San Diego, w Kalifornii. Miał obsługiwać platformy wiertnicze w rejonie Indonezji. Był uważany za jednostkę wszechstronną i niezwykle szybką.

- Czy ustalono już właściciela?

- Ostatnio był zarejestrowany jako własność firmy Barak Oil Company, będącej częścią Colexico.

- Colexico - powtórzył Sandecker. - Myślałem, że ta korporacja przestała istnieć, gdy została wykupiona i zamknięta na cztery spusty.

- Rząd Indonezji bardzo się zaniepokoił, gdy nagle znikło główne źródło dochodów z wydobycia ropy.

- Kto przejął Colexico?

Yaeger uśmiechnął się.

- Firmę przejęła i rozwiązała korporacja Cerber.

Sandecker rozparł się w fotelu.

- Chciałbym zobaczyć minę Charliego Davisa, kiedy się o tym dowie.

- Właściciel statku nigdy się nie zmienił. W naszej bibliotece nie ma ani śladu na temat jego losów od roku 1999 do chwili obecnej. Poza tym jest mało prawdopodobne, by porywacze trzymali na łodzi jakieś dowody prowadzące do Cerbera.

- Czy nurkowie z CIA zidentyfikowali kogoś z porywaczy?

- Z ich ciał niewiele pozostało, za to strażnik laguny wypłynął na pełnym morzu wraz z odpływem. Tak jak podejrzewał Dirk, analiza uzębienia i odcisków palców dowiodły, że ludzie ci byli niegdyś żołnierzami Sił Specjalnych, którzy po zwolnieniu ze służby zostali najemnikami.

- W dzisiejszych czasach to dość powszechne.

- Niestety, najemnicy są znacznie lepiej opłacani.

- Czy Max ma jakieś teorie dotyczące motywów, jakie kierowały dyrekcją Cerbera, gdy zdecydowała się popełnić masowe morderstwo?

- Na razie nie wymyśliła nic sensownego.

- Być może kluczem jest doktor Egan - powiedział w zamyśleniu admirał.

- Każę Max, by przyjrzała się szczegółowo życiu naszego doktora.

Yaeger wrócił do komputera i zasiadł przy klawiaturze. Wezwał Max i zaczął, aż pojawi się jej holograf. W końcu podniósł na nią wzrok.

- Czy coś się stało, kiedy byłem u admirała?

- Nurkowie zameldowali, że nie można znaleźć właściwie niczego, co ma związek z załogą statku pirackiego. Żadnych przedmiotów osobistych, notesów. Są tylko ubrania i broń. Szef tej pirackiej akcji był mistrzem kamuflażu.

- Na razie zostaw to. Teraz chcę, żebyś dokładnie zbadła biografię doktora Elmore'a Egana.

- Tego naukowca?

- Właśnie.

- Zobaczę, co da się znaleźć poza informacjami z oficjalnej biografii.

- Dziękuję, Max.

Yaeger czuł się zmęczony. Postanowił, że dzisiaj wcześniej pojedzie do domu. Zanieczywał rodzinę od czasu, gdy został wciągnięty w sprawę katastrofy "Emerald Dolphina". Miał zamiar zabrać żonę i córki na kolację i do kina. Położył neseser na konsoli i otworzył go, by włożyć do środka dokumenty.

Nie był człowiekiem, którego łatwo przestraszyć. Zawsze zachowywał spokój i opanowanie. Jednak to, co zobaczył, przyprawiło go o palpację serca. Ostrożnie, jakby wkładał rękę do jaskini lwa, wsunął dłoń do środka. Poczuł jakąś substancję i rozsmarował ją między palcami.

- Olej - mruknął, wpatrując się ze zdumieniem w ciecz, która do połowy wypełniała skórzany neseser. To niemożliwe. Przecież nie wypuścił go z rąk od wyjścia z gabinetu Sandeckera.

Kelly jechała autostradą numer 9 na zachodnim brzegu rzeki Hudson. Dzień był deszczowy i wietrzny. Z wprawą kierowała sportowym jaguarem XK-R po mokrej nawierzchni. Turbodoładowany silnik o mocy trzystu siedemdziesięciu koni mechanicznych oraz komputerowo aktywne zawieszenie i system kontroli trakcji umożliwiały bezpieczną jazdę z szybkością o wiele wyższą, niż pozwalały przepisy.

Pitt siedział obok niej i tylko od czasu do czasu zerkał na prędkościomierz. Ufał umiejętnościom Kelly, jednak nie znał jej na tyle, by wiedzieć, jak znakomicie radzi sobie na mokrej nawierzchni. Ku jego uldze ruch w niedzielny poranek nie był duży. Uspokoił się i zaczął oglądać widoki za oknem. Nad skalnymi palisadami widział dużo zieleni i wysokie drzewa, które rosły tak gęsto, że zasłaniały wszystko. Tylko niekiedy ściana lasu ustępowała miejsca uprawnym polom.

Naliczył mniej więcej pół tuzina sklepików z antykami, gdy Kelly skręciła w prawo na asfaltową drogę, nieco ponad Stony Point w stanie Nowy Jork. Minęli kilka malowniczo położonych domów otoczonych ogrodami i wypielegnowanymi trawnikami. Droga wiła się jak wąż i nieoczekiwanie kończyła na grodzącej ją bramie. Trzymetrowej wysokości skały po obu stronach dobrze komponowały się z wiejskim krajobrazem. Stalowa brama była tak potężna, że mogłaby zatrzymać pędzącego tira, wyładowanego ołowiem. Dwadzieścia metrów za bramą, na wysokich słupach, zainstalowano dwie kamery. Można je było wyłączyć jedynie precyzyjnym strzałem z karabinu.

Kelly wychyliła się przez okno i wybrała kombinację cyfr na klawiaturze, umieszczonej w skalnym słupie przy drodze. Potem wyjęła ze schowka pilota i wybrała kolejny kod. Brama otworzyła się powoli. Gdy samochód znalazł się po drugiej stronie, wielkie skrzydła znowu zwały się, by nie wpuścić żadnego pojazdu, który chciałby przemknąć za jaguarem.

- Twój ojciec ceniał sobie bezpieczeństwo. Ma o wiele lepszy system zabezpieczeń ode mnie.

- To nie wszystko. Są jeszcze czterej strażnicy.

Droga wiła się pośród pól kukurydzy, lucerny i zbóż. Gdy minęli winnicę, pełną dojrzałych winogron, przed samochodem pojawiła się kolejna przeszkoda. Kelly spodziewała się jej, więc zawczasu zaczęła zwalniać. Gdy samochód stanął, z pnia wielkiego drzewa



wyszedł mężczyzna z karabinem maszynowym, pochylił się i zajrzał do wnętrza.

- Miło panią znowu widzieć, panno Egan.

- Witaj, Gus. Jak tam twoja córeczka?

- Wylaliśmy ją razem z kąpielą.

- Bardzo rozsądnie. - Wskazała ruchem głowy dom, ledwie widoczny poza ścianą drzew. - Jest Josh?

- Tak, proszę pani. Pan Thomas nie opuścił domu od śmierci pani ojca. Jest mi naprawdę przykro. To był dobry człowiek.

- Dziękuję ci, Gus.

- Miłego dnia - powiedział wartownik i niemal w tej samej chwili zniknął we wnętrzu pnia.

Pitt spojrzał pytająco na Kelly.

- O co chodziło z tym dzieckiem wylanym z kąpielą?

- To hasło - wyjaśniła z uśmiechem. - Gdybym spytała o synka, zamiast o córeczkę, wiedziałby, że jestem zakładniczką i zastrzeliłby cię przed zaalarmowaniem pozostałych trzech strażników.

- Dorastałaś w takiej atmosferze?

- Ależ nie. - Roześmiała się. - Kiedy byłam małą, nie było powodów do takich środków bezpieczeństwa. Mama umarła, gdy miałam dziesięć lat. Ojciec był pochłonięty pracą, więc zdecydował, że będzie lepiej, jeśli przeprowadzę się do miasta i zamieszkać u ciotki. Dorastałam na ulicach Nowego Jorku.

Zatrzymała jaguara na półkolistym podjeździe przed dużym, piętrowym domem z wysokimi kolumnami na froncie. Wysiedli z auta i Pitt poszedł za nią po schodach do wielkich drzwi, zdobionych płaskorzeźbami przedstawiającymi wikingów.

- Co to znaczy?

- Nie ma w tym nic tajemniczego. Ojciec uwielbiał historię wikingów. To jedna z jego wielu pasji, oczywiście poza pracą. - Podniosła klucz, lecz nie włożyła go do zamka, tylko nacisnęła dzwonek. - Mogłabym otworzyć sama, ale wolę nie robić Joshowi aż takiej niespodzianki.

Po chwili drzwi otworzył sześćdziesięciokilkuletni łyśy mężczyzna, ubrany w kamizelkę i pasiastą koszulę z muszką pod szyją, z resztką siwych włosów na głowie. Przezroczyście, niebieskie oczy znamionowały człowieka, który często popada w zadumę. Nosił starannie przystrzyżone, siwe wąsy pod długim, potężnym i czerwonym od alkoholu nosem.

Na widok Kelly uśmiechnął się szeroko i serdecznie objął dziewczynę.

- Kelly, jak dobrze cię widzieć. - Po chwili cofnął się i spochmurniał. - Tak mi przykro z powodu Elmore'a. To straszne, że musiałaś patrzeć, jak umiera.

- Dziękuję, Josh - powiedziała cicho. - Wiem, że to dla ciebie wielki wstrząs.

- Nie spodziewałem się, że odejdzie. Nie tak. Bałem się, że to oni kiedyś go zabiją.

Pitt odnotował w myśli, że musi później spytać Thomasa, kim są tajemniczy "oni". Kelly dokonała prezentacji. Uścisk dłoni Josha nie był tak silny, jak życzyłby sobie Pitt, mimo to Thomas sprawiał wrażenie miłego człowieka.

- Miło mi pana poznać. Kelly dużo mi o panu opowiadała przez telefon. Dziękuję za uratowanie jej życia i to dwukrotnie.

- Żałuję tylko, że nie udało mi się również ocalić doktora Egana.

Na twarzy Thomasa odmalował się nieklamany żal. Objął Kelly czule.

- I do tego jeszcze Mary. Cóż to za wspaniała kobieta. Dlaczego ktoś chciał ją zabić?

- Jej śmierć to wielka strata dla nas obojga - powiedziała ze smutkiem.

- Kelly mówiła mi, że był pan bliskim współpracownikiem jej ojca - odezwał się Pitt, by nie rozmawiać już dłużej o śmierci.

Thomas wskazał gestem wewnątrz domu.

- Tak. Pracowaliśmy razem z małymi przerwami przez ponad czterdzieści lat. Był najgenialniejszym człowiekiem, jakiego znałem, nie pozostawałby w tyle za Einsteinem i Teslą. Mary miała również błyskotliwy umysł. Gdyby nie kochała tak bardzo latania, mogłaby zostać pierwszorzędnym naukowcem.

Thomas zaprowadził ich do przytulnego salonu z wiktoriańskim umeblowaniem i zaproponował lampkę wina. Chwilę później wrócił, niosąc na tacy butelkę chardonnay i trzy kieliszki.

- Dziwnie się czuję, przyjmując Kelly w jej własnym domu.

- Minie trochę czasu, zanim majątek zostanie zinwentaryzowany - powiedziała Kelly.

- Tymczasem mieszkaj tu jak u siebie. - Podniosła kieliszek. - Na zdrowie.

- Panie Thomas - odezwał się Pitt, spoglądając na wino w swoim kieliszku - nad czym pracował ostatnio doktor Egan?

Zapytany spojrzał na Kelly, która kiwnęła głową.

- Projektował i opracowywał bardzo wydajny i niezawodny silnik magnetohydrodynamiczny. - Popatrzył Pittowi prosto w oczy. - Kelly mówiła mi, że jest pan inżynierem specjalizującym się w badaniach oceanicznych dla NUMA.

- Zgadza się. - Pitt miał wrażenie, że Thomas coś ukrywa.

- Więc powiedziała już panu, że jej ojciec wziął udział w dziewiczym rejsie "Emerald Dolphina" ze względu na to, że statek wyposażono w skonstruowane przez niego silniki.

- Tak, ale chciałbym wiedzieć, na czym polegał wkład doktora Egana. Silniki magnetohydrodynamiczne są wypróbowywane od dwudziestu lat. Japończycy zbudowali statek o podobnym napędzie.

- Owszem, ale nie był wystarczająco wydajny. Osiągał niewielką szybkość i nie nadawał się do rejsów pasażerskich. To zdumiewające, ale Elmore'owi udało się stworzyć źródło energii, które mogło zrewolucjonizować systemy napędowe jednostek morskich. Zaprojektował cały napęd przez ponad dwa lata. To niesamowite osiągnięcie, zważywszy, że pracował zupełnie sam. Badania naukowe i opracowanie konstrukcji powinny zająć ponad dziesięć lat, a on zbudował działający model w niecałe pięć miesięcy. Eksperymentalne urządzenia wykraczały poza technologię magnetohydrodynamiczną. Były samonapędzające się.

- Wyjaśniałam Dirkowi, że silniki taty wykorzystywały jako paliwo morską wodę, dzięki czemu powstawała energia pompująca wodę przez strumienice - powiedziała Kelly.

- To był rewolucyjny pomysł - podjął Thomas - ale pierwsze silniki nie działały prawidłowo i ulegały uszkodzeniu ze względu na powstające we wnętrzu ogromne tarcie. Razem z Elmorem staraliśmy się rozwiązać ten problem. Między nami mówiąc, udało się nam opracować olej, który nie tracił swoich właściwości w warunkach ogromnego tarcia i wysokiej temperatury. W ten sposób otworzyła się nowa możliwość: silniki mogły pracować nieprzerwanie i bezawaryjnie przez wiele lat.

- A więc razem opracowaliście nowy olej - powiedział Pitt.

- Tak można powiedzieć.

- A jak by się zachował, gdyby zastosować go w silnikach wewnętrznego spalania?

- Teoretycznie można by przejechać samochodem trzy miliony kilometrów albo więcej, zanim części silnika wymagałyby jakiegokolwiek naprawy - odparł rzeczowo Thomas. - Samochody wyposażone w silniki wysokoprężne mogłyby przejechać ponad piętnaście milionów kilometrów. Lotnicze silniki odrzutowe wymagałyby o wiele mniej obsługi, poprawiłaby się też ich żywotność. To samo dotyczyłoby wszystkich pojazdów przemysłowych, od wózków widłowych po buldożery.

- Nie wspominając o napędzie dla jednostek pływających - dodał Pitt.

- Dopóki nie pojawi się nowa technologia, nie zawierająca ruchomych elementów, nasz olej, który nazwaliśmy żartobliwie Slick 66, będzie miał ogromny wpływ na każde mechaniczne źródło energii, wymagające obecności oleju.

- Czy jest kosztowny w produkcji?  
- Uwierzy pan, że jest droższy od zwykłego oleju silnikowego tylko o centa na litrze?  
- Rafinerie nie będą zachwycone waszym odkryciem. Mogą stracić miliardy, a nawet biliony dolarów w ciągu dwudziestu lat. Chyba że producenci kupią od was patent i sami zajmą się promocją oleju.

Thomas wolno pokręcił głową.

- Do tego nigdy nie dojdzie - powiedział zdecydowanie. - Elmore nie chciał za swój wynalazek ani centa. Chciał oddać swoje dzieło światu za darmo, bez żadnych zobowiązań.

- Z pana słów wynika, że receptura należy w połowie do pana. Czy pan również zgodził się, by przekazać ją światu zupełnie za darmo?

Thomas zaśmiał się cicho.

- Mam już sześćdziesiąt pięć lat. Mam także cukrzycę, ostry artretyzm, raka trzustki i wątroby oraz parę innych chorób. Będę miał szczęście, jeśli za pięć lat zostanę jeszcze wśród żywych. Co miałbym zrobić z miliardem dolarów?

- Och, Josh - odezwała się Kelly. - Nigdy nie mówiłeś...

Dotknął jej dłoni.

- Nawet twój ojciec o tym nie wiedział. Ukrywałem prawdę przed wszystkimi, ale teraz nie ma to już znaczenia. - Podniósł butelkę. - Jeszcze wina, panie Pitt?

- Nie w tej chwili, dziękuję.

- A ty, Kelly?

- Tak poproszę. Po tym, co powiedziałaś, muszę się jeszcze napić dla kurażu.

- Dysponuje pan znakomitym systemem bezpieczeństwa - powiedział Pitt.

- Tak - przyznał Thomas. - Mnie i Elmore'owi wielokrotnie grożono. Kiedyś zostałem ranny w nogę, gdy złodziej usiłował włamać się do laboratorium.

- Ktoś próbował wykraść recepturę?

- Nie ktoś, ale ogromna korporacja chemiczna.

- Wie pan która?

- Ta sama, która wyrzuciła mnie i Elmore'a na bruk po dwudziestu pięciu latach sumiennej pracy.

- Obaj zostaliście zwolnieni?

- W tamtym okresie tata i Josh pracowali nad udoskonaleniem receptury - odparła Kelly. - Dyrektorzy firmy zaczęli przedwcześnie snuć plany produkcji oleju Slick 66 i jego sprzedaży z ogromnym zyskiem.

- Elmore i ja nie chcieliśmy o tym słyszeć - powiedział Thomas. - Uzgodniliśmy, że

nasz olej jest zbyt cenny dla ludzkości, by sprzedawać go tylko tym, którzy mają dużo pieniędzy. Dyrektorzy sądzili, że pozostali chemicy i inżynierowie mają dość danych, by samodzielnie go wyprodukować. Wymówili nam i grozili, że nas zniszczą, jeśli samodzielnie dokończymy badania. Padły zakamuflowane groźby, że zostaniemy ciężko pobici, a nawet zabici. Ale pracowaliśmy dalej.

- Myśli pan, że to wasza dawna firma kryje się za próbą zamachu na pańskie życie i wykradzenia receptury? - spytał Pitt.

- A któż inny mógł wiedzieć, nad czym pracujemy? - odparł Thomas. - Kto miał motyw i mógł osiągnąć z tego korzyści? Gdy nie udało się im odtworzyć składu oleju, cały program runął w gruzy. Więc wzięli się za nas.

- Kim są?

- Korporacja Cerber.

Pitt poczuł się, jakby dostał w głowę wielkim młotkiem.

- Korporacja Cerber - powtórzył.

- Zna ich pan?

- Są dowody łączące tę firmę z pożarem na "Emerald Dolphinie".

O dziwo, Thomas wcale nie wydawał się zaskoczony.

- To do nich podobne - powiedział. - Człowiek, który jest właścicielem korporacji, nie zatrzyma się przed niczym, by bronić swoich interesów, nawet jeśli miałby spalić statek pasażerski ze wszystkimi ludźmi na pokładzie.

- Kogoś takiego lepiej nie mieć za wroga. A udziałowcy? Nie wiedzą, co się dzieje?

- Co ich to obchodzi, skoro otrzymują ogromne zyski z zainwestowanych pieniędzy? Zresztą i tak nie mieli wiele do powiedzenia. Stojący na szczycie tego imperium Curtis Merlin Zale ma osiemdziesiąt procent akcji.

- To potworne, że amerykańska firma dopuszcza się morderstwa dla zysku.

- Takich wypadków jest o wiele więcej, niż pan przypuszcza, panie Pitt. Mogę podać panu nazwiska ludzi związanych z Cerberem, którzy z niewiadomych przyczyn znikli lub zginęli, jak to określano, w wyniku wypadku. Inni rzekomo popełnili samobójstwo.

- Dziwne, że rząd nie bada tej przestępczej działalności.

- Cerber ma wpływy w każdej agencji rządowej i stanowej. Bez skrupułów zaplaca milion dolarów podrzędnemu urzędnikowi w zamian za lojalność, przekazywanie poufnych, ważnych informacji. Każdy polityk pracujący dla Cerbera w dniu przejścia na emeryturę ma sporą fortunę w zagranicznym banku. - Thomas urwał, by nalać sobie wina. - Proszę się nie ludzić, że ktoś zgodził się zostać waszym informatorem, bo nagle poczuł się zlekceważony

albo postanowił być uczciwy. Cerber ma metody, by chronić swoje brudy przed światem. Wysuwają groźby wobec rodziny informatora, a potem okazuje się, że jego córka lub syn ulega pozornie niewinnemu wypadkowi, w którym łamie rękę czy nogę. Jeśli to go nie uciszy, okazuje się, że popełnił samobójstwo albo zabiła go śmiertelna choroba, ponieważ ktoś w tłumie wstrzyknął mu dawkę wirusów. Zdziwiłby się pan, ilu prywatnym śledztwom prowadzonym przez dziennikarzy ukręcono łeb po tym, jak szefowie redakcji i stacji telewizyjnych odbyli spotkanie z dyrekcją Cerbera. Jedyny, który stanął okoniem i wyrzucił ich z gabinetu, załamał się, gdy jego córkę znaleziono potwornie pobitą, rzekomo przez bandytów. Proszę mi wierzyć, to nie są mili ludzie.

- Kogo wynajmują do brudnej roboty?

- Tajną organizację, zwaną Żmije. Przyjmują polecenia wyłącznie od Zale'a. Wiem o tym, bo stary przyjaciel Elmore'a, który wstąpił do Żmij, ostrzegł go, że razem ze mną jest na ich liście.

- Co się stało z tym przyjacielem?

- Znikł - odpowiedział bez zastanowienia Thomas, jakby to było oczywiste.

Coś zaświtało Pittowi w głowie.

- Ogon Cerbera, strażnika Hadesu.

Zaintrygowany Thomas popatrzył na Pitta.

- A więc wie pan o trójgłowym psie.

- To logo korporacji. Końcówkę psiego ogona stanowi głowa węża.

- Stał się symbolem firmy - rzekł Thomas.

- A co sądzą pracownicy? - spytał Pitt.

- Od chwili rozpoczęcia pracy są indoktrynowani jak członkowie sekty. Firma robi wszystko, by zapewnić im czterodniowy tydzień pracy, dużą premię na koniec roku, profity o wiele większe niż to, co oferują inni pracodawcy. Stają się prawie niewolnikami, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Cerber nie ma kłopotów ze związkami zawodowymi?

- Związki nigdy nie zagroziły polityce firmy. Jeśli liderzy związków rzucają hasło do akcji protestacyjnej, szybko rozchodzi się wieść, że jej uczestnicy nie wylecą z pracy, ale stracą premie i dodatkowe świadczenia. Kiedy jakiś stary pracownik umiera, etat przejmują zwykle jego dzieci, trudno więc przebić się do infrastruktury firmy. Wzajemne stosunki w hierarchii od dyrektora po strażnika przypominają relacje między parafianami. Uwielbienie dla korporacji stało się religią. W oczach pracowników Cerber nigdy się nie myli.

- Jak to się stało, że pan i doktor Egan przeżyliście tak długo po odejściu z firmy?

- Człowiek, który kieruje korporacją, zostawił nas w spokoju. Zamierzał wykraść recepturę oleju i plany silników magnetohydrodynamicznych we właściwej chwili.

- Dlaczego czekali, aż doktor Egan tak udoskonalił silniki, że zostaną zamontowane na "Emerald Dolphinie".

- Chcieli zniszczyć statek i podać, że przyczyną katastrofy są silniki - odparł Thomas.

- W ten sposób zniechęciliby potencjalnych kupców i wtedy bez trudu mogliby zdobyć patenty.

- Ale przecież pożar nie powstał w maszynowni.

- Nie wiedziałem - przyznał zdziwiony Thomas. - Jeśli to prawda, mogę tylko zgadywać, że operacja spalenia statku nie przebiegła tak, jak zaplanowano. Ale to tylko domysły.

- Może bardzo trafne - zgodził się Pitt. - W kaplicy na statku znaleźliśmy materiał zapalający, a właśnie tam, według załogi, wybuchł ogień. Zapewne podłożono wiele ładunków, które miały eksplodować po kolei, poczynając od maszynowni aż po górne pokłady. Ostatni miał wybuchnąć w kaplicy, ale, jak pan powiedział, coś przebiegło niezgodnie z pierwotnym planem.

Pitt nie powiedział tego głośno, ale pomyślał, że zatopienie liniowca przed oficjalnym dochodzeniem prawdopodobnie miało na celu zrzucenie odpowiedzialności za tragedię na silniki.

Thomas zniżył głos do szeptu.

- Mam tylko nadzieję i modłę się, by nie podjęli podobnej zbrodniczej próby wobec "Golden Marlina".

- Tej luksusowej łodzi podwodnej przeznaczonej do rejsów wycieczkowych?

- Tak. Pojutrze wyrusza w dziewiczy rejs.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała Kelly.

Thomas popatrzył na nią.

- Nie wiesz?

- Czego nie wiem?

- "Golden Marlin" to własność linii Blue Seas Cruise Lines. Zamontowano na nim te same silniki, które opracowaliśmy z Elmorem.

Pitt zaalarmował Sandeckera, który wysłał po niego odrzutowiec NUMA. W drodze powrotnej Kelly jechała jeszcze szybciej. Byli na lotnisku Gene'a Taylora kilka minut przed lądowaniem samolotu. Nalegała, że może się przydać. Perswazje Pitta nie zdały się na nic i Kelly wsiadła razem z nim, by towarzyszyć mu w drodze do Waszyngtonu.

Giordino i Rudi Gunn czekali na lotnisku w Langley. Gdy tylko weszli na pokład, samolot natychmiast wzbił się z powrotem w powietrze i skierował do Fort Lauderdale na Florydzie, gdzie znajdowała się siedziba Blue Seas Cruise Lines. Gunn zamówił wielkiego lincolna i już kilka minut po lądowaniu wszyscy jechali nim w kierunku portu. Prowadził Giordino.

Budynek linii miał dwieście siedemdziesiąt metrów wysokości i stał na tej samej wysepce, gdzie cumowały ich statki pasażerskie. Wyglądał jak wielki żaglowiec. Zewnętrzne windy jeździły ogromnym szybem, który piął się w górę niczym maszt. Reszta pokrytej szkłem, wygiętej łukowato konstrukcji przypominała żagiel. Szklane ściany były błękitne, a pomalowany na biało korpus budynku mógł stawić czoło wiatrom osiagającym szybkość nawet dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Na dolnych czterdziestu piętrach znajdowały się biura, górne pięćdziesiąt stanowiło hotel dla pasażerów oczekujących wejścia na pokład statku.

Giordino wjechał do podziemnego tunelu, który prowadził pod wodą na wyspę. Jeden z pracowników zajął się wozem. Wsiedli do windy i wjechali na trzecie piętro do głównego holu okrytego wysokim na dwieście metrów atrium. Hol biegł przez środek części hotelowej i biurowej. Sekretarka dyrektora linii już na nich czekała. Zaprowadziła ich do prywatnej windy dla wyższego personelu. Pojechali na czterdzieste piętro. Warren Lasch, prezes linii, powitał ich w swoim gabinecie.

Rudi Gunn dokonał prezentacji, po czym wszyscy zajęli miejsca.

- No cóż - zaczął Lasch, wysoki mężczyzna o siwiejących włosach i lekkiej nadwadze. Wyglądał, jakby w młodości grał w drużynie futbolowej. Miał ciemnobrązowe oczy, które teraz przesuwały się po Dicku, Kelly, Giordinie i Gunnie niczym panoramiczna kamera po pięknym pejzażu. - O co tu chodzi? Admirał Sandecker bardzo nalegał, abyśmy opóźnili rejs "Golden Marlina".

- Istnieje obawa, że statek może spotkać podobny los, co "Emerald Dolphina" -



powiedział Gunn.

- Czekam właśnie na raport potwierdzający, że pożar na liniowcu był przypadkiem - rzekł z powątpiewaniem Lasch. - To niemożliwe, żeby taka katastrofa miała się powtórzyć.

Pitt pochylił się nieco do przodu.

- NUMA znalazła niepodważalny dowód na to, iż pożar wywołano rozmyślnie. Możemy też dowieść, że do zatopienia holowanego wraku użyto materiałów wybuchowych.

- Coś podobnego! - W głosie Lascha zabrzmiał nieukrywany gniew. - Firmy, które ubezpieczały statek, nie zgłosiły ani mnie, ani żadnemu z moich dyrektorów, że pożar wywołano celowo. Powiedziano nam tylko, że systemy gaśnicze z jakiegoś powodu nie działały. Oczywiście nasze linie żeglugowe wniosą pozwy przeciwko producentom tych urządzeń.

- To może być trudne, jeśli udowodnimy, iż urządzenia te zostały celowo uszkodzone.

- Nigdy nie kupię tej bajeczki.

- Proszę mi uwierzyć - powiedział Pitt. - To nie jest bajka.

- Komu mogłoby zależeć na zniszczeniu statku i zamordowaniu dwóch i pół tysiąca ludzi?

- Sądzymy, że motywem było zniszczenie nowych, magnetohydrodynamicznych silników, które opracował doktor Egan - wyjaśnił Giordino.

- Po co ktoś miałby niszczyć ten napęd, największy wynalazek wieku? - spytał zdumiony Lasch.

- Żeby wyeliminować konkurencję.

- Szczerze mówiąc, panowie - uśmiechnął się do Kelly - i panie, wasza opowieść brzmi jak czysta fikcja.

- Szkoda, że nie możemy wyjaśnić tego szczegółowo - powiedział Gunn - ale mamy związane ręce do momentu, aż FBI i CIA opublikują wnioski z prowadzonego przez siebie śledztwa.

Lasch nie był głupcem.

- A więc oficjalne dochodzenie nie jest prowadzone przez NUMA. Nie macie na nie upoważnienia.

- To prawda - przyznał Giordino.

- Mam nadzieję, że nie rozgłaszacie wszem i wobec tych niesprawdzonych spekulacji.

- Admirał Sandecker zgodził się, by nie publikować żadnych wniosków do chwili, póki zaangażowane w sprawę agencje nie zakończą prac - powiedział Pitt. - Mogę tylko dodać, że według admirała byłoby to ze szkodą dla przemysłu stocznioowego i turystyki,

gdyby media zaczęły żerować na sensacyjnych wieściach, iż to terroryści zniszczyli statek i zabili pasażerów.

- Z tym się zgadzam - przyznał Lasch. - Ale dlaczego mam opóźnić wypłynięcie "Golden Marlina"? Dlaczego nie innych statków? Jeśli zatonięcie "Emerald Dolphina" było dziełem terrorystów, czemu nie mielibyśmy zaalarmować innych linii żeglugowych na całym świecie? - Uniósł obie dłonie. - Nie przekonacie mnie, nie odłożę dziewiczego rejsu "Golden Marlina". Tą pierwszą wycieczkową łodzią podwodną zapoczątkujemy nową epokę luksusowych rejsów. Pasażerowie dokonywali rezerwacji już dwa lata temu. Nie mogę sprawić zawodu czterystu osobom, które wykupiły bilety. Wiele z nich jest już na miejscu i mieszka w naszym hotelu. Przykro mi. "Golden Marlin" wypłynie jutro, zgodnie z planem.

- Skoro nie da się pan przekonać - powiedział Pitt - może moglibyśmy przedsięwziąć dodatkowe środki bezpieczeństwa? Inspektorzy prowadziliby stały nadzór nad urządzeniami i systemami na pokładzie w czasie rejsu statku.

- Łodzi - przerwał z uśmiechem Lasch. - Statki podwodne nazywa się łodziami.

- To nie jest luksusowy liniowiec? - spytała Kelly.

- Tak, gdy płynie w wynurzeniu. Ale został zbudowany po to, by płynąć pod wodą.

- Zgodzi się pan na dodatkowe środki bezpieczeństwa i grupę inspektorów? - nalegał Gunn.

- Tak, oczywiście - odparł przyjaźnie Lasch.

Ale Pitt chciał czegoś więcej.

- Prosiłbym także, by ekipa nurków obejrzała kadłub pod linią zanurzenia.

Lasch kiwnął głową.

- Zorganizuję nurków. Zatrudniamy ich do dokonywania podwodnych napraw i obsługi statków i budynku.

- Dziękujemy za współpracę - powiedział Gunn.

- Uważam te środki za zbędne, ale nie chcę, aby powtórzyła się tragedia "Emerald Dolphina". Gdyby nie ubezpieczenie Lloyd'a, stanęlibyśmy w obliczu bankructwa.

- Pan Giordino i ja też chcielibyśmy popłynąć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział Pitt.

- Ja też - wtrącała się Kelly. - Ciekawi mnie praca mojego ojca.

Lasch wstał.

- Nie widzę problemu. Mimo że mamy różne opinie w tej sprawie, chętnie zamówię dla państwa kabiny. Wszystkie miejsca dla pasażerów są zarezerwowane, ale być może kilku się nie zjawi. Jeśli nie, znajdziemy coś w pomieszczeniach dla załogi. Łódź zacumuje przed

hotelem jutro o siódmej rano. Wtedy możecie wejść na pokład.

Gunn uściśnął dłoń Lascha.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie niepokoił się pan bezpodstawnie. Admirał Sandecker bardzo nalegał, by uświadomić panu grożące niebezpieczeństwo.

- Proszę przekazać admirałowi, że jestem wdzięczny za jego troskę, ale nie przewiduję żadnych trudności. "Golden Marlin" przeszedł intensywne próby na morzu. Silniki doktora Egana oraz wszystkie systemy awaryjne działały bez zarzutu.

- Dziękuję, panie Lasch - powiedział Pitt. - Będziemy pana na bieżąco informować o sytuacji.

Kiedy wracali na dół windą, Giordino westchnął głęboko.

- No cóż, chcieliśmy dobrze.

- Wcale mu się nie dziwię - odparł Gunn. - Katastrofa "Emerald Dolphina" sprawiła, że firma znalazła się na krawędzi. Odłożenie rejsu łodzi podwodnej spowodowałoby bankructwo armatora. Lasch i dyrekcja nie mają wyboru: muszą wysłać łódź w morze z nadzieją, że nie wydarzy się nic złego.

Gunn pojechał na lotnisko, by wrócić do Waszyngtonu. Pitt, Giordino i Kelly poprosili sekretarkę Warrena Lascha, by zarezerwowała im miejsca w hotelu na najbliższą noc. Pitt zadzwonił do Sandeckera.

- Nie udało się nam namówić Lascha, by przesunął termin rejsu - wyjaśnił.

- Tak myślałem - westchnął admirał.

- Ja, Al i Kelly popłyniemy w ten rejs.

- Uzgodniliście to z Laschem?

- Zgodził się bez wahania.

Pitt słyszał, jak Sandecker przesuwa jakieś papiery na biurku.

- Mam dla was wiadomości - powiedział admirał. - FBI twierdzi, że na podstawie opisu rozbitków zidentyfikowali człowieka odpowiedzialnego za pożar na "Emerald Dolphinie".

- Kto to jest?

- Gangster. Naprawdę nazywa się Ono Kanai, urodzony w Los Angeles. Miał osiemnaście lat, gdy lista jego przestępstw była już długa jak moje ramię. Zaciągnął się do wojska, żeby uniknąć oskarżenia o napad. Awansował do stopnia oficerskiego i został przeniesiony do tajnej organizacji wojskowej o nazwie CEASE.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Zważywszy na jej zadania, niewiele osób w rządzie o niej wie. CEASE to Tajna Elita do Eliminacji Selektywnej (Covert Elite Action for Select Elimination).

- Nadal nic mi to nie mówi - powiedział Pitt.

- Została stworzona do walki z terroryzmem. Jej zadaniem była eliminacja przywódców grup wywrotowych, zanim ich działanie mogło zagrozić amerykańskim obywatelom. Jednak dziesięć lat temu prezydent rozwiązał jednostkę, co okazało się niezbyt fortunnym posunięciem. Przeszkolony w skrytobójczym fachu Ono Kanai, już w randze kapitana, odszedł z dwunastoma ze swoich ludzi i utworzył komercyjne przedsiębiorstwo zabójców.

- Mordercy Sp. z o.o.

- Coś w tym rodzaju. Wynajmują się do zabójstw. Istnieje długa lista niewyjaśnionych śmierci, które nastąpiły w ciągu ostatnich dwóch lat. Od polityków po dyrektorów dużych firm i znanych ludzi kultury. Mordowali nawet szefów mafii.

- Czy prowadzi się dochodzenia w ich sprawie?

- FBI ma sporo materiału, ale członkowie organizacji są czyści jak łąza. Nie ma dowodów na ich udział w zbrodniach. Agenci prowadzący śledztwo są wściekli, bo nie mogą tknąć palcem Kanai i jego bandziorów. Istnieje obawa, że przyszłe wojny gospodarcze doprowadzą do utworzenia brygad śmierci.

- Morderstwa i okaleczenia nie są elementem prognoz gospodarczych.

- Choć brzmi to okropnie - powiedział spokojnie Sandecker - jest wielu szefów firm, którzy nie cofną się przed niczym, by zyskać władzę i monopol.

- Co prowadzi nas do Cerbera.

- Właśnie - odparł zwięźle Sandecker. - Prawdopodobnie Kanai nie tylko wywołał pożar na pokładzie liniowca i eksplozję, które posłały holowany wrak na dno, ale był także odpowiedzialny za sabotaż systemów przeciwpożarowych.

- Żaden człowiek nie mógłby dokonać tego samodzielnie. - W głosie Pitta brzmiało powątpiewanie.

- Kanai nie zawsze pracuje sam. Dlatego ostrzegam ciebie i Ala: uważajcie na pokładzie "Golden Marlina".

- Będziemy obserwować każdego podejrzanego zachowującego się członka załogi.

- Wypatrujcie Ono Kanai.

- Nie rozumiem.

- Ma silną osobowość. Nie zostawi takiej roboty podwładnym. Założę się, że zechce to zrobić sam.

- Wiadomo, jak wygląda?
- Powinieneś wiedzieć. Już go spotkałeś.
- Naprawdę? Gdzie?
- Właśnie otrzymałem informację od nowojorskiej policji. Ono Kanai był pilotem fokkera, który próbował cię zestrzelić.

“Golden Marlin” nie wyglądał jak liniowiec pasażerski. Nie miał pokładów widokowych, balkonów i kominów. Okrągła nadbudowa była opasana rzędami bulajów. W oczy rzucała się kopuła nad dziobem, w której znajdował się mostek i sterówka, wysoka płetwa na rufie mieściła luksusowy salon i kasyno obracające się wokół stacjonarnych okien.

Łódź miała sto dwadzieścia metrów długości i dwanaście szerokości, wielkością odpowiadała statkom wycieczkowym żeglującym po morzach świata. Do tej pory turystyczne rejsy podwodne odbywały się w małych łodziach o ograniczonym zanurzeniu i zasięgu. “Golden Marlin” miał zmienić historię podwodnej żeglugi. Dzięki samonapędzającym się silnikom doktora Egana mógł pływać w Morzu Karaibskim na głębokości do trzystu metrów przez dwa tygodnie. Dopiero po tym czasie musiał wrócić do portu po zapasy żywności.

Niezaspokojona żądza przygód i ogólny wzrost stopy życiowej ludzi sprawiły, że rejsy morskie stały się znaczącą częścią wartego trzy biliony dolarów światowego rynku usług turystycznych. Przed wielkim podwodnym liniowcem otwierały się niewyczerpane możliwości podróży.

- Jest piękny! - zawołała Kelly, gdy wcześniej rano stanęli na nabrzeżu przed jednostką.

- Ale nie jest złoty - mruknął Giordino, poprawiając okulary przeciwsłoneczne, by ochronić oczy przed promieniami, odbijającymi się od nadbudówki.

Pitt w milczeniu przyglądał się kadłubowi z tytanu bez jednego szwu. Nie było widać płyt ani nitów. Prawdziwy cud technologii morskiej. Z trapu zszedł do nich jakiś oficer.

- Przepraszam, czy państwo są z NUMA?

- Tak - odpowiedział Giordino.

- Nazywam się Paul Conrad, jestem pierwszym oficerem. Pan Lasch zawiadomił kapitana Baldwina o waszym udziale w dziewiczym rejsie. Czy macie jakieś bagaże?

- Tylko to, co przy sobie - rzekła Kelly. Chciała jak najszybciej obejrzeć wnętrze statku.

- Pani Egan otrzyma do dyspozycji kabinę pasażerską - powiedział uprzejmie Conrad.

- Panowie Pitt i Giordino będą musieli zamieszkać razem w jednej z kabin przeznaczonych dla załogi.

- Czy obok dziewcząt z rewii? - spytał poważnie Giordino.

- Niestety, nie. - Conrad roześmiał się. - Proszę za mną.

- Zaraz do was dołączę. - Pitt ruszył wzdłuż nabrzeża ku drabince schodzącej do wody. Mężczyzna i kobieta w kombinezonach porządkowali sprzęt do nurkowania. - Czy to wy macie sprawdzić spód kadłuba?

Szczupły, przystojny mężczyzna uśmiechnął się.

- Tak jest.

- Nazywam się Dirk Pitt. To ja prosiłem o dokonanie inspekcji.

- Frank Martin.

- A ta pani?

- To moja żona, Caroline. Kochanie, to jest Dirk Pitt z NUMA. Możemy mu podziękować za tę fuchę.

- Miło pana poznać - powiedziała śliczna blondynka w obcisłym kombinezonie.

Pitt podał jej dłoń i zdziwił się, że tak mocno odwzajemniła uścisk.

- Jest pani zapewne znakomitym nurkiem.

- Robię to od piętnastu lat.

- Równie dobrze jak najlepszy mężczyzna - powiedział z dumą Martin.

- Może nam pan powiedzieć, czego szukamy? - spytała Caroline.

- Nie będę owijał w bawełnę. Szukajcie przedmiotu przyczepionego do kadłuba.

Chodzi o bombę.

Martin zachował kamienną twarz.

- A jeśli znajdziemy?

- Będzie tego kilka sztuk. Nie dotykajcie ich. Wezwiemy saperów, oni się nimi zajmą.

- Kogo mamy zawiadomić?

- Kapitana. Na tym etapie on odpowiada za bezpieczeństwo.

- Miło było pana poznać - powiedział Martin.

Caroline uśmiechnęła się czarująco.

- Powodzenia. Poczuję się znacznie lepiej, jeśli niczego nie znajdziecie.

Zanim doszedł do trapu, znikli w wodzie.

Pierwszy oficer poprowadził Kelly przez luksusowe solarium, a potem szklaną windą, ozdobioną motywami tropikalnych ryb, zjechali do komfortowej kabiny na pokładzie Manta. Potem pokazał Pittowi i Giordinowi małą kabinę pod pokładem pasażerskim w części zajmowanej przez załogę.

- Chciałbym jak najszybciej porozmawiać z kapitanem Baldwinem - powiedział Pitt.

- Kapitan oczekuje pana za pół godziny na śniadaniu w mesie oficerskiej. Będą

również obecni oficerowie i inspektorzy ze stoczni, gdzie zbudowano naszą łódź. Przyjechali wczoraj wieczorem.

- Chciałbym, aby w spotkaniu uczestniczyła też panna Egan - powiedział Pitt oficjalnym tonem.

Conrad zmieszał się, lecz po chwili odzyskał pewność siebie.

- Spytam kapitana Baldwina, czy zgodzi się na jej udział w spotkaniu.

- Ten statek nie istniałby, gdyby nie geniusz jej ojca - rzekł szorstko Giordino. - Powinna tam być.

- Jestem pewien, że kapitan wyrazi zgodę - powiedział pojednawczo Conrad. Wyszedł z kabiny, zamykając za sobą drzwi.

Giordino rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu.

- Odnoszę wrażenie, że nie jesteśmy tu mile widziani.

- Mile czy nie, musimy zapewnić bezpieczeństwo łodzi i pasażerom. - Pitt sięgnął do torby i podał mu przenośne radio. - Jeśli coś znajdziesz, daj mi znać. Ja zrobię podobnie.

- Gdzie zaczniemy?

- Gdybyś chciał posłać tę kryptę na dno, jak byś to zrobił?

Giordino myślał przez chwilę.

- Gdyby udało mi się z pożarem na "Emerald Dolphinie", zrobiłbym tak samo. Ale gdybym chciał posłać łajbę na dno bez hałasu, wysadziłbym kadłub albo zbiorniki balastowe.

- Tak myślałem. Zaczynaj więc od tego i szukaj materiałów wybuchowych.

- A ty czego będziesz szukał?

Pitt uśmiechnął się, ale wcale nie było mu wesoło.

- Ja poszukam człowieka, który podpali lont.

Jeśli Pitt żywił nadzieję, że kapitan będzie wzorem współpracy, bardzo się pomylił. Kapitan Morris Baldwin szedł zawsze prostą linią, z której nigdy nie zbaczał. Trzymał w ryzach całą załogę i nie miał zamiaru dopuścić, by ludzie z zewnątrz przeszkadzali w wykonywaniu rutynowych czynności. Jego jedynym domem był siatek, na którym służył. Gdyby miał żonę albo dom - a uważał to za stratę czasu - czułby się jak ostryga bez muszli.

Na surowej, podobnej do maski czerwonej twarzy nigdy nie gościł uśmiech. Przenikliwe oczy patrzyły uważnie spod ciężkich powiek. Jedynie grzywa wspaniałych, siwych włosów nadawała mu nieco dostojęstwa. Ramiona miał niemal tak samo szerokie jak Giordino, jednak w pasie mierzył co najmniej dwadzieścia pięć centymetrów więcej. Teraz postukiwał palcami po stole, mierząc wzrokiem Pitta, który spokojnie patrzył mu prosto w oczy.



- Twierdzi pan, że łódź jest w niebezpieczeństwie?

- Tak. Podobnie jak admirał Sandecker i wielu innych wysokich przedstawicieli FBI i CIA.

- Bzdura - powiedział wyraźnie, zaciskając mocno dłonie na poręczach fotela. - Fakt, że jeden z naszych liniowców uległ katastrofie, nie oznacza, że taka sytuacja się powtórzy. Ta łódź jest całkowicie bezpieczna. Sam sprawdziłem ją cal po calu. Cholera, nadzorowałem nawet jej budowę. - Z irytacją spojrzął na Pitta, Giordina i czterech inspektorów ze stoczni. - Róbcie to, co musicie. Ale ostrzegam: nie wtrącajcie się do rutynowych czynności podczas rejsu, bo obiecuję, że wysadzę was w najbliższym porcie bez względu na to, co o tym sądzi szefostwo.

Rand O'Malley, człowiek równie szorstki jak Baldwin, uśmiechnął się sardonicznie.

- Jako kierownik grupy inspekcyjnej mogę pana zapewnić, że nie będziemy się wam płatać pod nogami. Oczekujemy jednak współpracy w wypadku znalezienia uszkodzeń systemów bezpieczeństwa.

- Szukajcie, gdzie chcecie - mruknął Baldwin. - Nie zajdziecie niczego, co naraziłoby łódź na niebezpieczeństwo.

- Zaczekajmy na meldunek od nurków, którzy sprawdzają spodnią część kadłuba - powiedział Pitt.

- Nie widzę powodu, żeby czekać - uciął Baldwin.

- A jeśli znajdą jakieś obiekty przymocowane do kadłuba?

- To jest rzeczywistość, panie Pitt - powiedział obojętnie Baldwin - a nie fantastyczna bajka z telewizji.

Na długą chwilę zapadła zupełna cisza. Wreszcie Pitt wstał, wsparł się rękami o stół z lekkim uśmiechem na ustach i wbił wzrok w Baldwina.

Giordino wiedział, co teraz będzie. Dobry stary Dirk, pomyślał o przyjacielu. Daj bezczelnemu palantowi szkołę.

- Wygląda na to, że nie ma pan zielonego pojęcia o niebezpieczeństwie, na jakie narażona jest pańska łódź - odezwał się poważnie Pitt. - Jestem tu jedynym człowiekiem, który był świadkiem koszmaru, jaki spowodował pożar na "Emerald Dolphinie". Widziałem mężczyzn, kobiety i dzieci umierających setkami. Jedni spalili się żywcem, inni utonęli, zanim zdążyliśmy ich wyłowić. Na dnie oceanów spoczywa wiele statków, których kapitanowie sądzili, że są bezpieczni, nie ulegną żadnej katastrofie. "Titanic", "Lusitania", "Morro Castle"... Ich kapitanowie zlekceważyli znaki świadczące o niebezpieczeństwie i zapłacili za to wysoką cenę. Kiedy nadejdzie nieuchronne nieszczęście, kapitanie Baldwin, to

nadejście z szybkością błyskawicy, zanim pan i pańska załoga zdążą zareagować. Katastrofa spadnie nieoczekiwanie, tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa. A wtedy będzie za późno. "Golden Marlin" i wszyscy na jego pokładzie zginą i pan będzie za to odpowiedzialny.

- Urwał i wyprostował się. - Ludzie, których zadaniem jest zniszczyć pańską łódź, z pewnością są już na pokładzie. Może to być jeden z oficerów, marynarz albo pasażer. Rozumie mnie pan, kapitanie Baldwin?

O dziwo, Baldwin nie wpadł w gniew. Wydawał się zagubiony w myślach, nie okazywał żadnej emocji.

- Dziękuję panu za opinię - powiedział wreszcie przez zaciśnięte zęby. - Rozważę pańskie słowa. - Wstał i skierowali się do drzwi. - Dziękuję, panowie. Ruszamy dokładnie za trzydzieści siedem minut.

W mesie zostali tylko Pitt, Giordino i O'Malley. Giordino odchylił się do tyłu w krześle i bezceremonialnie oparł nogi na stole.

- Ruszamy za trzydzieści siedem minut - przedrzeźniał Baldwina. - Ale pedant, co?

- Z końskiego łajna i betonu - zauważył O'Malley.

Pitt i Giordino od razu poczuli do niego sympatię.

- Mam nadzieję, że pan traktuje sprawę poważniej niż kapitan.

O'Malley uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli macie rację, a nie twierdzą, że nie macie, nie zamierzam zginąć na tym wytworze chorej wyobraźni i chciwości.

- Nie jest pan zachwycony łodzią? - spytał lekko rozbawiony Pitt.

- To kwintesencja przesady - prychnął O'Malley. - Więcej uwagi poświęcono pałacowemu wystrojowi wewnątrz niż stronie technicznej. Bez względu na pozytywny przebieg prób na pełnym morzu, wcale się nie zdziwię, jeśli ta łajba zanurzy się i nigdy nie wypłynie.

- Trochę niemiło słyszeć to z ust eksperta w dziedzinie inżynierii okrętowej - mruknął Giordino.

Pitt skrzyżował ręce na piersi.

- Mnie martwi raczej to, że katastrofę wywoła celowe działanie sabotażysty.

- Czy wie pan, ile jest miejsc, gdzie można umieścić bombę, by posłać tę skorupę na dno? - spytał O'Malley.

- Podczas zanurzenia wyrwanie dziury w dowolnym miejscu kadłuba będzie miało fatalne skutki.

- Tak. Albo przebicie zbiorników balastowych.

- Nie miałem czasu przestudiować planów i danych technicznych łodzi - stwierdził

Pitt. - Ale musi być jakiś system ewakuacyjny, używany w zanurzeniu.

- Jest i to całkiem niezły. Zamiast szalup są specjalne gondole, mogące pomieścić pięćdziesiąt osób. Najpierw zamyka się i uszczelnia pokrywę wewnętrzną wjazdu, a potem otwiera zewnętrzną, jednocześnie wpuszczając sprężone powietrze do mechanizmu wyrzutowego. Gondole oddzielają się od łodzi i wypływają na powierzchnię. To rzeczywiście bardzo sprawny system. Wiem, bo byłem konsultantem przy jego budowie.

- Gdyby chciał pan uniemożliwić ewakuację, jak by pan to zrobił?

- To niezbyt przyjemna myśl.

- Musimy się przygotować na każdą ewentualność.

O'Malley podrapał się w głowę.

- Wywołałbym awarię systemu wyrzutowego.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan i pańscy ludzie starannie sprawdzili, czy nikt przy tym nie majstrował - poprosił Pitt.

- Jeśli od tej inspekcji ma zależeć moje życie, na pewno będzie staranna. - O'Malley przymknął oczy.

Giordino oglądał sobie paznokcie.

- Mam nadzieję, że to najprawdziwsze zdanie, jakie wypowiedziano na świecie.

Obsługa portu rzuciła cumy. Wciągnięto je na pokład "Golden Marlina" i już po chwili zadudniły pędniki rufowe. Statek oddalił się bokiem od nabrzeża. Ponad tysiąc osób obserwowało, jak pierwsza wielka, turystyczna łódź podwodna wyrusza w swój dziewiczy rejs. Gubernator Florydy i inni oficjele wygłosili stosowne przemówienia. Orkiestra uniwersytetu stanowego zagrała wiązaną melodię żeglarskich, a potem wystąpił folklorystyczny zespół z Karaibów. Gdy łódź odbijała od nabrzeża, obydwie zespoły z towarzyszeniem trzeciego, który odpływał na pokładzie, zagrały tradycyjną pieśń marynarzy *Aż spotkamy się znowu*. Przy wtórze okrzyków i pożegnalnych gestów posypały się serpentyny i confetti. Była to wzruszająca scena. Pitt ze zdumieniem spostrzegł, że wiele kobiet, nawet Kelly, miało łzy w oczach.

Nie zauważył jednak nurków. Bezskutecznie próbował połączyć się z kapitanem Baldwinem na mostku. Denerwował się, nie mógł jednak zatrzymać statku w porcie.

"Golden Marlin" był jeszcze w kanale, kierując się ku otwartemu morzu, gdy wszystkich pasażerów zaproszono do salki teatralnej, gdzie pierwszy oficer, Paul Conrad, wyjaśnił zasady funkcjonowania łodzi podwodnej oraz systemu ewakuacyjnego. Kelly usiadła z przodu, Pitt z tyłu, po przeciwnej stronie. Na pokładzie było sześć czarnoskórych rodzin,

lecz żaden z mężczyzn nawet w przybliżeniu nie przypominał Ono Kanai. Po wykładzie rozległa się seria gongów, po czym pasażerowie zostali skierowani do punktów ewakuacyjnych przy gondolach.

Giordino współpracował z zespołem inspektorów, poszukując materiałów wybuchowych i uszkodzeń wyposażenia, Pitt i Kelly razem z płatnikiem ustalali nazwiska i numery kabin poszczególnych pasażerów. Robota szła powoli. Do obiadu zdołali sprawdzić jedynie połowę pasażerów, a przecież pozostali jeszcze członkowie załogi.

- Zaczynani wątpić, czy facet jest na pokładzie - powiedziała znużona Kelly.

- Albo go nie ma, albo się gdzieś ukrył. - Pitt oglądał zdjęcia pasażerów wykonane przez fotografa, gdy wchodzili na pokład. W pewnej chwili podniósł jedno z nich bliżej światła, uważnie przyglądając się rysom twarzy.

- Przypomina ci kogoś? - spytał, podając zdjęcie Kelly.

Przeczytała nazwisko i uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście istnieje wyraźne podobieństwo. Problem w tym, że pan Jonathan Ford jest biały.

Pitt wzruszył ramionami.

- Wiem. Trudno, szukamy dalej.

O czwartej po południu w głośnikach na całym statku rozległy się kuranty, wygrywające melodię *Nad pięknym morzem*. Był to znak, że za chwilę nastąpi zanurzenie. Pasażerowie rzucili się, by zająć miejsca przy oknach. Nie poczuli żadnych wibracji ani zmniejszenia szybkości. Łódź powoli ześlizgiwała się pod wodę. Wydawało się, że to morze unosi się do góry w tumanie pęcherzyków powietrza, a miejsce złocistego słońca i błękitu nieba zajął głęboki granat podwodnej otchłani.

Silniki magnetohydrodynamiczne działały bezgłośnie, bez wibracji. Gdyby nie woda przesuwająca się za okienkami, pasażerowie w ogóle nie mieliby wrażenia ruchu. Urządzenia regeneracyjne oczyszczały powietrze z dwutlenku węgla.

Z początku niewiele było widać, ale ludzie jak urzeczeni wpatrywali się w świat całkiem inny od tego, do jakiego przywykli na co dzień. Wkrótce pojawiły się ryby, zupełnie niezainteresowane ogromnym pojazdem, który wtargnął w ich królestwo. Cudownie kolorowe ryby tropikalne, mieniące się odcieniami purpury, żółci i czerwieni, przepływały tuż przed oknami. Mieszkańcy morskiej toni mieli o wiele ciekawsze formy niż ich słodkowodni kuzyni. Wkrótce znikły z widoku, gdy łódź zanurzyła się jeszcze głębiej.

Ławica połyskujących srebrzyście barakud przepłynęła leniwie wzdłuż statku. Ich dolne szczęki wystawały nieco do przodu, czarne oczka szukały zdobyczy. Płynęły leniwie,

bez wysiłku dotrzymując tempa łodzi. Potem w okamgnieniu uciekły w sobie tylko znanym kierunku.

Pasażerowie na lewej burcie mogli podziwiać ogromnego samogłowa. Owalne ciało długości trzech metrów i prawie tak samo wysokie, ważyło zapewne około dwóch ton, połyskiwało metalicznie bielą i oranżem. Dziwna ryba miała długą płetwę grzbietową i odbytową i wyglądała tak, jakby zapomniała urosnąć wzdłuż. Wielki ogon zaczynał się tuż za głową. Ale i ten przyjazny olbrzym z głębin wkrótce pozostał w tyle za łodzią.

Zatrudnieni przez linie żeglugowe biolodzy morscy opisywali poszczególne gatunki, ich typowe cechy, zachowanie i migracje. Po samogłowie pojawiły się dwa rekiny młoty półtorametrowej długości. Pasażerów dziwiły poprzeczne wyrostki na głowie, zakończone gałkami ocznymi. Ciekawskie rekiny płynęły jakiś czas obok łodzi, przyglądając się jednym okiem dziwnym stworom po drugiej stronie szyby. Szybko jednak znudziły się i machnąwszy z gracją ogonami, oddaliły się w ciemność.

Na cyfrowych wyświetlaczach, zamontowanych przy każdym oknie, widać było aktualną głębokość zanurzenia. Conrad zapowiedział przez głośniki, że łódź znajduje się sto osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią i zbliża się do dna. Pasażerowie podbiegli do okien, spoglądając w dół. Po chwili ukazało się dno - krajobraz niegdyś pełen koralowców, lecz gdy woda w oceanie podniosła się, pozostały tam jedynie stare muszle, muł i skały wulkaniczne, gdzie toczyło się bogate życie. Na takiej głębokości nie było już bajecznie kolorowych okazów fauny. Dno przybrało zielonkawobrazową barwę. Tuż nad pustkowiem unosiły się ławice tysięcy przydennych ryb. Można było obserwować ten wspaniały świat, gdyż widoczność w tym miejscu przekraczała sześćdziesiąt metrów.

Pod kopułą dziobową, gdzie mieściła się sterówka i mostek, kapitan Baldwin ostrożnie prowadził "Golden Marlina" piętnaście metrów nad dnem, czuwając, czy przed łodzią nie wyłania się jakaś przeszkoda. Radar i sonar badały przestrzeń pół mili przed i po bokach łodzi, umożliwiając załodze wczesną zmianę kursu i głębokości zanurzenia, gdyby nagle przed dziobem wyłoniła się podwodna skała. Bardzo precyzyjnie wyznaczano kurs z dziesięciodniowym wyprzedzeniem. Wynajęty prywatnie statek oceanograficzny zbadał dno między wyspami i oznaczył głębokość, na jakiej można bezpiecznie płynąć. Właściwy kurs łodzi utrzymywały zaprogramowane uprzednio komputery.

Dno nagle urwało się i łódź znalazła się nad rowem, który opadał dziewięćset metrów w dół, a więc sześćset metrów głębiej, niż wynosiło dopuszczalne zanurzenie wyznaczone przez konstruktorów ze względu na wytrzymałość kadłuba. Baldwin przekazał stery trzeciemu oficerowi. Radiotelegrafista podał mu kartkę z odebrany chwilę wcześniej

meldunkiem. W miarę czytania twarz Baldwina zdradzała coraz większe zdumienie..

- Znajdź i przyslij tu pana Pitta - rozkazał jednemu z marynarzy, który z zachwytem obserwował podwodne krajobrazy.

Pitt i Kelly nie mieli czasu, by podziwiać widoki. Wciąż tkwili w kabinie płatnika, przeglądając dane osobowe załogi. Po otrzymaniu polecenia od kapitana, Pitt bezzwłocznie udał się na mostek. Baldwin podał mu kartkę z meldunkiem.

- Co pan o tym sądzi? - spytał natarczywie.

Pitt odczytał na głos:

- Informujemy, że znaleziono ciała dwojga nurków, którzy badali spód kadłuba waszej łodzi. Ciała były przywiązane do podwodnych pali. Wstępne dochodzenie wykazało, że zostali zamordowani ciosem zadany od tyłu w serce przez nieznanego sprawcę lub sprawców. Czekamy na odpowiedź.

Pod tekstem widniał podpis porucznika Dela Cartera z policji w Port Lauderdale.

Pitt poczuł nagłe wyrzuty sumienia. Przecież to właściwie on nieświadomie posłał Franka i Caroline Martinów na śmierć.

- Jaką mamy głębokość? - spytał ostro.

- Głębokość? - powtórzył zaskoczony Baldwin. - Minęliśmy szelf kontynentalny i jesteśmy na głębokich wodach. - Wskazał głębokościomierz nad jednym z okien. - Sam pan widzi: dno znajduje się siedemset trzydzieści metrów pod nami.

- Niech pan natychmiast zawraca! - rozkazał Pitt. - Płynmy na płytką wodę, zanim będzie za późno.

Rsy twarzy Baldwina stwardniały.

- O czym pan mówi?

- Nurkowie zostali zamordowani, bo znaleźli ładunki wybuchowe przytwierdzone do naszego kadłuba. Ja nie proszę, kapitanie. Ze względu na życie wszystkich, którzy znajdują się na pokładzie, niech pan wróci na płytką wodę, dopóki jest jeszcze na to czas.

- A jeśli nie? - spytał zaczepnie Baldwin.

Pitt spojrział na niego lodowato.

- Wtedy w imię ludzkości - rzucił z zaciętością - przysięgam, że zabiję pana i przejmę dowodzenie.

Baldwin odsunął się gwałtownie do tyłu, jakby otrzymał cios. Powoli, bardzo powoli opanował się i uśmiechnął pobladłymi wargami. Spojrział na sternika, który patrzył na nich zdumiony wielkimi oczami.

- Zawracaj. Cała wstecz. Jest pan zadowolony, panie Pitt?

- Proszę włączyć system alarmowy. Niech wszyscy pasażerowie zajmą stanowiska przy gondolach ratunkowych.

Baldwin kiwnął głową.

- Tak jest. - Odwrócił się do pierwszego oficera. - Opróżnić zbiorniki balastowe. Na powierzchni możemy płynąć dwukrotnie szybciej.

- Módlmy się, żeby nie było za późno. - Pitt poczuł ulgę. - Bo w przeciwnym razie pozostanie nam jedynie wybór: utopić się lub udusić.

Kelly siedziała w kabinie płatnika, przeglądając dokumenty dotyczące załogi, gdy zorientowała się, że nie jest sama. Podniosła głowę. Jakiś mężczyzna bezgłośnie wszedł do kabiny. Był ubrany w koszulkę polo i szorty, na twarzy czaił się złowieszczy uśmiešek. Poznała go natychmiast: był to ten sam pasażer, o którym wcześniej rozmawiała z Pittem. Stał w milczeniu, a ona przyglądała mu się z coraz większym przerażeniem.

- Pan nazywa się Jonathan Ford.

- Pani mnie zna?

- Nie... niezupełnie - wyjąkała.

- A powinna pani. Spotkaliśmy się przelotnie na "Emerald Dolphinie".

Kelly była zdezorientowana. Mężczyzna przypominał tamtego czarnoskórego oficera, który usiłował zabić ją i ojca, ale stojący przed nią człowiek miał białą skórę.

- Pan nie może być...

- Ależ jestem. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Widzę, że jest pani zaskoczona. - Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę. Lekko dotknął jej koniuszka językiem i potarł wierzch lewej dłoni. Biała warstwa starła się, ukazując ciemną skórę.

Kelly niezdarnie wstała i rzuciła się do drzwi, lecz mężczyzna chwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany.

- Nazywam się Ono Kanai. Mam rozkaz zabrać cię ze sobą.

- Dokąd? - jęknęła przerażona. Pragnęła, by do kabiny weszli teraz Pitt i Giordino.

- Jak to dokąd? Oczywiście do domu.

Ta odpowiedź nie miała sensu. Zobaczyła tylko zło w jego oczach, gdy przytknął jej do twarzy kawałek materiału nasączonego jakąś cieczą o dziwnym zapachu. Ogarnęła ją ciemność.

To był wyścig ze śmiercią. Pitt nie miał wątpliwości, że na kadłubie znajdują się ładunki wybuchowe. Martinowie je odkryli, ale zostali zamordowali, nim zdążyli ostrzec kapitana Baldwina. Pitt wezwał Giordina przez radio.

- Możesz przerwać poszukiwania i zwolnić inspektorów. Ładunków wybuchowych nie ma we wnętrzu łodzi.

Giordino potwierdził, że zrozumiał informację, i pognał na mostek.

- Czego się dowiedziałeś? - spytał wpadając przez drzwi. Rand O'Malley deptał mu po piętach.

- Właśnie otrzymaliśmy meldunek, że nurkowie zostali zamordowani - powiedział Pitt.

- A więc nie ma już wątpliwości - mruknął ze złością Giordino.

- Nurkowie, którzy badali kadłub naszej łodzi? - zapytał O'Malley.

Pitt kiwnął głową.

- Wygląda na to, że ładunki ustawiono w taki sposób, by detonowały, gdy znajdziemy się nad głęboką wodą.

- Jak teraz - rzekł cicho Giordino, spoglądając na głębokościomierz.

Pitt odwrócił się do Baldwina stojącego przy pulpicie obok sternika.

- Kiedy wejdziemy na płytką wodę?

- Za dwadzieścia minut minie krawędź rowu i wejdziemy na szelf - odparł Baldwin. Jego twarz wyrażała napięcie, wreszcie uwierzył, że łódź faktycznie jest w niebezpieczeństwie. - Za dziesięć minut wynurzymy się, co nam pozwoli zwiększyć prędkość o połowę i szybko dotrzeć na płyciznę.

- Panie kapitanie! - zawołał marynarz stojący przy głównej konsoli. - Coś się dzieje z gondolami ratunkowymi.

Baldwin z O'Mallem z przerażeniem spojrzeli na konsolę. Wszystkie szesnaście kontrolki oznaczających szesnaście gondoli jarzyło się czerwonym światłem z wyjątkiem jednej, płonącej na zielono.

- Zostały aktywowane - jęknął Baldwin.

- I to zanim ktokolwiek zdążył do nich wsiąść - dodał posepnie O'Malley. - Teraz już nie uda się nam ewakuować pasażerów i załogi.

Wizja eksplozji na kadłubie, wody wdzierającej się do środka i ciągnącej łódź w morską otchłań wraz z siedmiuset pasażerami i członkami załogi była zbyt straszna, by się nad nią zastanawiać, lecz zarazem zbyt realna, by ją zignorować.

Pitt wiedział, że osobnik, który uruchomił gondole, zapewne opuścił łódź w jednej z



nich, a więc ładunki mogły eksplodować w każdej chwili. Podszedł do ekranu radaru umieszczonego obok wyświetlacza sonaru. Dno oceanu podnosiło się niezmiernie powoli. Mieli pod kilem jeszcze trzysta metrów wody. Kadłub mógłby wytrzymać ciśnienie na takiej głębokości, jednak nadzieja na uratowanie zmalałaby wtedy praktycznie do zera. Oczy wszystkich spoczywały na głębokościomierzu. Każdy w myślach odliczał mijające sekundy.

Dno podnosiło się bardzo powoli. Do wynurzenia pozostało jeszcze trzydzieści metrów. W sterówce rozległo się głośnie westchnienie ulgi, gdy łódź minęła granicę szelfu. Głębokość zmalała do stu osiemdziesięciu metrów. Woda za oknami stawała się coraz jaśniejsza, w górze widać już było błyszczącą w promieniach słońca powierzchnię oceanu.

- Głębokość pod kilem sto sześćdziesiąt metrów i maleje! - zawołał Conrad.

Ledwie skończył, łodzią wstrząsnęło gwałtowne uderzenie. Nie było czasu na reakcję, na myślenie o katastrofie. "Golden Marlin" obrócił się w niekontrolowany sposób. Silniki stanęły, a przez dwie wyrwy wdarła się woda.

Łódź dryfowała z prądem, lecz jednocześnie schodziła metr po metrze w kierunku dna. Do wnętrza wpadały tony wody i nikt na mostku nie znał dokładnej lokalizacji uszkodzonych miejsc. Powierzchnia morza wydawała się bliska na wyciągnięcie ręki.

Baldwin nie miał żadnych złudzeń. Jego łódź tonęła.

- Zadzwoń do maszynowni - rzucił drugiemu oficerowi. - Niech główny mechanik poda, jakie mają uszkodzenia.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

- Główny mechanik melduje, że w maszynowni jest przeciek. Tak samo w przedziale bagażowym, ale kadłub jest nienaruszony. Pompy na pełnych obrotach wybierają wodę. Melduje również, że uszkodzeniu uległ system pomp zbiorników balastowych. Woda wdzierą się do zbiorników otworami odpływowymi. Załoga próbuje zastopować przepływ, lecz przybywa jej bardzo szybko. Być może będą się musieli ewakuować z maszynowni. Przykro mi, panie kapitanie, ale główny mechanik mówi, że nie jest w stanie utrzymać dodatkowej wyporności.

- Boże - szepnął młody oficer stojący przy konsoli. - Toniemy.

Baldwin szybko odzyskał równowagę.

- Powiedz mu, żeby pozamykał wszystkie grodzie i jak długo się da, podtrzymał pracę generatorów. - Przez chwilę patrzył na Pitta w milczeniu. Wreszcie odezwał się. - No cóż, panie Pitt. Teraz chyba powinien pan powiedzieć mi: "A nie mówiłem?"

Pitt myślał intensywnie, rozważając różne możliwości ratunku dla łodzi i jej pasażerów. Giordino widział ten wyraz twarzy przyjaciela już niejedną raz.

- Fakt, że się nie myliłem, nie przynosi mi satysfakcji - powiedział Pitt.

- Zbliżamy się do dna. - Conrad nie spuszczał oczu z ekranu radaru i wyświetlacza sonaru. Ledwie skończył mówić, gdy "Golden Marlin" uderzył w dno z głośnym hukem i trzaskiem. Kadłub osiadł w szlamie, wzbijając ku górze brązową chmurę, zasłaniającą widok za oknami.

Pasażerowie wiedzieli, że dzieje się coś bardzo złego. Pokłady pasażerskie na razie pozostawały jednak suche, a żaden z członków załogi nie okazywał zdenerwowania - nie zdając sobie sprawy z zagrożenia - tak więc tymczasem nikt nie wpadł w panikę. Kapitan Baldwin zapewnił przez głośniki, że chociaż "Golden Marlin" nie może używać silników, niedługo sytuacja powróci do normy. Pasażerowie i załoga nie dali wiary tym słowom. Wszyscy zauważyli, że większość słuz gondoli jest pusta. Ludzie przepychali się bezładnie. Jedni zostali przy oknach, by patrzeć na ryby, które pojawiły się, gdy drobinki mułu opadły na dno. Inni przeszli do salonu, zamówić drinki, serwowane teraz na koszt armatora.

Kapitan Baldwin i jego oficerowie studiowali procedury przewidziane na sytuację zagrożenia, napisali je jednak ludzie nie mający pojęcia, jak należy postępować na pokładzie wielkiej pasażerskiej łodzi podwodnej, leżącej bezwładnie na dnie z siedmiuset osobami na pokładzie. Sprawdzono, że kadłub jest niemal całkowicie szczelny, zamknięto grodzie i włączono pompy, by woda nie zalała zupełnie maszynowni i przedziału bagażowego. Na szczęście eksplozja nie uszkodziła żadnego z systemów.

Baldwin siedział w kabinie radiowej. Z trudem nawiązał łączność z Laschem w siedzibie firmy, ze Strażą Przybrzeżną i innymi statkami znajdującymi się w promieniu pięćdziesięciu mil. Nadał sygnał Mayday i podał pozycję łodzi. Potem ukrył twarz w dłoniach. Najpierw obawiał się, że jego kariera legnie w gruzach, ale w końcu dotarło do niego, że w tych okolicznościach kariera nie ma żadnego znaczenia. Miał obowiązki wobec pasażerów i załogi.

- Do diabła z karierą - powiedział cicho. Wstał i poszedł do maszynowni, by zapoznać się z sytuacją, chodził po pokładach, pocieszając pasażerów, że nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa. Mówił, że nastąpiła awaria zbiorników balastowych, ale już ją usuwają.

Pitt, Giordino i O'Malley zeszli na pokład ewakuacyjny. O'Malley sprawdził panele kontrolne. Postawny Irlandczyk budził zaufanie, znał swoją robotę i to dobrze. Nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów. Po pięciu minutach usiadł na krześle i westchnął.

- Ten, kto uruchomił gondole, dobrze wiedział, co robi. Zrobił to ręcznie, omijając obwody prowadzące na mostek. Na szczęście jedna się nie oderwała.

- Też mi pociecha - mruknął Giordino.

Pitt z rezygnacją pokręcił głową.

- Od początku wyprzedzali nas o dwa kroki.

- Kto? - spytał O'Malley.

- Ludzie, którzy zabijają dzieci z taką łatwością, jak ty i ja zabijamy muchy.

- Tą jedną gondolą możemy ewakuować dzieci - powiedział Giordino.

- Rozkaz musi wydać kapitan - odparł Pitt. - Pozostaje pytanie, ile z nich zmieści się w środku?

Godzinę później pojawił się kuter Straży Przybrzeżnej, wciągnął na pokład pomarańczową boję sygnalizacyjną wypuszczoną z łodzi podwodnej wraz z kablem telefonicznym i nawiązał kontakt z mostkiem. Dopiero wtedy Baldwin polecił, by wszyscy zgromadzili się w sali teatralnej. Starał się minimalizować niebezpieczeństwo i stwierdził, że zgodnie z przepisami w wypadku awarii najpierw ewakuuje się najmłodszych; to obudziło podejrzenia. Padały pytania, rozgorzały emocje. Kapitan musiał przyjąć na siebie złość i obawy pasażerów.

Pitt i O'Malley zasiedli do komputera w kabinie płatnika i ustalili, ile osób można umieścić w gondoli ponad ustaloną fabrycznie normę, by dotarła bezpiecznie na powierzchnię.

Giordino wyruszył w poszukiwaniu Kelly.

- Ile mamy dzieci na pokładzie? - spytał O'Malley.

- Pięćdziesięcioro czworo poniżej osiemnastu lat.

- Teoretycznie gondole mieszczą pięćdziesiąt osób o średniej wadze siedemdziesięciu pięciu kilogramów, tak więc łączne obciążenie nie może przekraczać trzech tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu kilogramów. W przeciwnym wypadku gondola nie wynurzy się na powierzchnię.

- Możemy podzielić tę liczbę przez dwa. Dzieci ważą średnio trzydzieści pięć kilo, albo mniej.

- Tak więc mamy na razie tonę osiemset, co pozwoli nam zabrać kilka matek - powiedział O'Malley. Czuł się nieswojo, decydując, kto zostanie uratowany.

- Przyjmijmy przeciętną wagę sześćdziesiąt pięć kilogramów, co oznacza, że możemy zabrać dwadzieścia dziewięć kobiet.

O'Malley wprowadzał dane do komputera.

- Mamy na pokładzie dwadzieścia siedem matek - powiedział z nutą optymizmu w głosie. - Możemy ewakuować wszystkie wraz z dziećmi.

- Trzeba zignorować nową tradycję nierozbijania rodzin - stwierdził Pitt. - Mężczyźni za dużo ważą.

- Masz rację - odparł z trudem O'Malley.

- Mamy jeszcze miejsce dla jednej lub dwóch osób.

- Nie możemy prosić pozostałych sześciuset siedemnastu pasażerów i członków załogi, żeby ciągnęli losy.

- Nie. W gondoli musi popłynąć jeden z nas, kto przekaże szczegółowy raport o sytuacji na dole, której nie da się przedstawić podwodnym systemem komunikacji.

- Ja jestem bardziej potrzebny tutaj - powiedział stanowczo O'Malley.

Wrócił Giordino. Miał nietęgą minę.

- Kelly znikła. Szukałem, ale nigdzie jej nie ma.

- Cholera jasna - zaklął Pitt. Nie pytał o nic, ale ani przez chwilę nie wątpił, że dziewczyna naprawdę zaginęła. W jego myślach pojawił się portret jednego z pasażerów. Wystukał na klawiaturze nazwisko Jonathan Ford.

Na monitorze pojawiło się zdjęcie Forda wykonane w momencie, gdy schodził z trapu na pokład "Golden Marlina". Pitt wydrukował wizerunek mężczyzny na kolorowej drukarce. Giordino i O'Malley przyglądali się w milczeniu, jak porównywał w myślach twarz Forda z twarzą pilota czerwonego fokkera. Zaniósł wydruk na biurko i ołówkiem zaczerpnął niektóre partie. Gdy skończył, poczuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch.

- Był tu na pokładzie, a ja go nie zauważyłem.

- O kim pan mówi? - spytał zdziwiony O'Malley.

- O mężczyźnie, który omal nie zabił mnie i tuzina dzieci, z którymi leciałem samolotem nad Nowym Jorkiem. To przez niego leżymy teraz bezsilnie na dnie. To on uruchomił gondole ratunkowe. Obawiam się, że sam uciekł w jednej z nich, zabierając ze sobą Kelly.

Giordino położył mu rękę na ramieniu. Wiedział, co czuje przyjaciel i sam miał poczucie winy.

Pitt zapamiętał numer kabiny Forda i wybiegł na korytarz. Giordino i O'Malley ruszyli za nim. Pitt nie czekał na stewardesę, by otworzyła mu drzwi. Wyłamał je mocnym kopnięciem. Kabina była sprzątnięta, nie został w niej żaden bagaż. Pitt powyciągał szuflady w szafkach. Pusto. Giordino otworzył szafę i zobaczył jakiś biały przedmiot leżący na górnej półce. Sięgnął i wyjął grubą rolkę papieru. Rozpostarł ją na łóżku.

- Plany naszej łodzi - powiedział cicho O'Malley. - Skąd je wytrzasnął?

Pitt poczuł nagły chłód. Zrozumiał, że jednym z zadań Forda było uprowadzenie

Kelly.

- Facet ma za sobą potężną organizację wywiadowczą. Mógł się dokładnie zapoznać z każdym systemem i urządzeniem.

Pitta ogarnęło poczucie bezsilności. Nie mógł w żaden sposób pomóc Kelly. Usiadł zniechęcony na krześle. Nie mieli wolnych gondoli, a tych, które zostały uruchomione, nie dało się odzyskać. Jak można ocalić ponad sześciuset ludzi, znajdujących się na zatopionej łodzi? Siedział bez ruchu jeszcze kilka sekund, a potem przeniósł wzrok na milczącego O'Malleya, który patrzył nań wyczekująco.

- Zna pan każdy kąt na tej łajbie - stwierdził bardziej, niż zapytał.

O'Malley zawahał się, nie wiedząc, o co mu chodzi.

- Tak, znam.

- Czy oprócz gondoli istnieje inny system ewakuacyjny?

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

- Czy w stoczni zainstalowano zapasowy system ucieczki?

- Chodzi panu o specjalny właz w górnej części kadłuba?

- Właśnie.

- Tak, jest coś takiego, ale nie ma mowy, żeby wydostało się tamtędy sześciuset ludzi.

Zabraknie nam powietrza.

- Jak to? - spytał Giordino. - Przecież już płyną nam na pomoc.

- Więc nic nie wiecie?

- I nie będziemy wiedzieli, jeśli nam pan nie powie - odparł szorstko Pitt.

- "Golden Marlin" został tak zaprojektowany, by pozostawać pod wodą nie dłużej niż cztery dni. Po tym czasie powietrze nie nadaje się do oddychania.

- Myślałem, że system urządzeń oczyszczających powietrze może je regenerować bez końca. - powiedział zaskoczony Giordino.

O'Malley pokręcił głową.

- Te urządzenia są bardzo wydajne, znakomicie odświeżają powietrze, ale po pewnym czasie dwutlenek węgla wydychany przez siedmiuset ludzi w zamkniętym pomieszczeniu osiąga takie stężenie, że regeneratory nie są w stanie go zneutralizować. Co i tak zresztą nie ma znaczenia, jeśli woda dostanie się do generatorów i utracimy źródło energii elektrycznej. Wszystkie urządzenia natychmiast przestaną działać.

- Więc mamy cztery dni, jeśli dopisze nam szczęście - powiedział wolno Pitt. - W zasadzie trzy i pół, bo jesteśmy pod wodą już od dwunastu godzin.

- Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych dysponuje pojazdem ratunkowym,

który może wykonać zadanie - powiedział Giordino.

- Tak, ale zorganizowanie tego przedsięwzięcia, transport urządzenia i jego obsługi na miejsce, opracowanie procedury ratunkowej, na pewno zajmą cztery dni. Zanim opuszczą łódź ratunkową i zacumują do włazu, zostanie nas już tylko garstka.

Pitt spojrzał na Giordina.

- Al, ty popłyniesz gondolą na górę z kobietami i dziećmi.

Przez kilka sekund Giordino nie dowierzał własnym uszom. Wreszcie powiedział ze złością:

- Syn pani Giordino nie jest tchórzem. Nie będzie uciekać ze statku, chowając się pod kobiecą spódnicą.

- Stary, możesz zdziałać o wiele więcej, by uratować wszystkich, jeśli będziesz ze mną współpracował z powierzchni morza.

Giordino chciał zaproponować, żeby Pitt sam popłynął, ale po chwili przyjął jego argumenty.

- No dobrze. A co mam robić, gdy będę już na górze?

- Najważniejsze jest dostarczenie tu węża, którym będzie można tłoczyć czyste powietrze.

- Skąd ci wytrzasnę sto pięćdziesiąt metrów węża i pompę, która będzie w stanie utrzymać przy życiu sześćset siedemnastu ludzi? Jak go zamocuję do zatopionej łodzi?

Pitt spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się.

- Na pewno coś wymyślisz.

Wciągu pięciu godzin od zatonięcia łodzi podwodnej, na miejsce wypadku przybyły cztery statki: kuter Straży Przybrzeżnej “Joseph Ryan”, tankowiec “King Zeus”, holownik Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych “Orion” i drobnicowiec “Compass Rose”. Oprócz tego zjawiała się flotylla jachtów i łodzi motorowych z Miami i Fort Lauderdale, ale bardziej z ciekawości niż z potrzeby niesienia pomocy. Admirał Sandecker wysłał należący do NUMA statek ratunkowy z Savannah, który miał się zjawić dopiero za dwanaście godzin. Łódź ratunkowa marynarki wojennej “Mercury” wraz z obsługą i statkiem macierzystym “Alfred Aultman” płynęli na miejsce katastrofy z rejonu Portoryko, gdzie przeprowadzali rutynowe ćwiczenia. Z kutra Straży Przybrzeżnej do kapitana “Alfreda Aultmana” przekazywano wiadomości od kapitana Baldwina, dotyczące sytuacji, w jakiej znalazł się “Golden Marlin”.

Dzieci i ich matki umieszczono w gondoli ratunkowej, gdy O’Malley uporał się z naprawą mechanizmu zwalnającego. Ze łzami w oczach żegnały się z ojcami i starszymi krewnymi. Wiele dzieci zaczęło przeraźliwie krzyczeć na widok ciasnej kapsuły. Tylko niektóre dawały się z trudem uspokoić.

Giordino starał się uciszyć wrzeszczące dzieci i ich matki. Czuł się nieco osamotniony, był jedynym mężczyzną uciekającym z zatopionej łodzi.

- Czuję się jak facet, który wszedł do szalupy “Titanica” w damskiej sukience.

Pitt objął go ramieniem.

- Pomożesz nam o wiele bardziej, będąc na górze.

- Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś ci się stanie - jęknął Giordino. - Masz przeżyć, rozumiesz? Jeśli coś się nie uda...

- Uda się - zapewnił go Pitt. - Ale tylko wtedy, gdy ty będziesz kierował akcją.

Uścisnęli sobie dłonie. Pitt popchnął lekko Giordina, sadzając go w jedynym pozostałym wolnym fotelu. Starał się powstrzymać uśmiech, gdy jakaś przerażona matka podała jedno ze swoich płaczących dzieci w ramiona Ala. Mały Włoch był tak nieszczęśliwy, jakby usiadł na rozbitym szkle. Drzwi gondoli zamknęły się z cichym sykiem, uruchomiono procedurę startową. Po minucie rozległ się głośny szum i gondola wyruszyła ku powierzchni morza. Unosiła się bardzo powoli ze względu na duży ciężar.

- Teraz możemy już tylko czekać - odezwał się stojący za Pittem O’Malley.

- Nie. Musimy się przygotować.
- Od czego zaczniemy?
- Od awaryjnej komory śluzowej.
- Co chce pan wiedzieć?
- Czy luk pasuje do wojskowej łodzi ratunkowej?

O'Malley kiwnął głową.

- Wiem na pewno, że został zaprojektowany zgodnie ze standardem marynarki, aby można było ratować ludzi.

- Proszę mi wskazać drogę. Chcę to sam sprawdzić.

Pojechali windą na górny pokład, gdzie znajdowała się restauracja, i poszli dalej przez kuchnię. Kucharze przygotowywali kolację, jakby rejs wycieczkowy odbywał się bez zakłóceń. Ten widok był wręcz nierealny. Pitt poszedł za O'Malleyem wąskimi schodkami do niewielkiej kabiny z ławką umieszczoną wzdłuż grodzi. Kilka stopni prowadziło na podest, a wyżej drabinka niknęła w tunelu kończącym się włazem o średnicy dziewięćdziesięciu centymetrów. O'Malley wspiął się po niej i oglądał pokrywę. Pitt odniósł wrażenie, że niepotrzebnie siedzi tam tak długo. Gdy wreszcie zszedł, usiadł ciężko na podeście.

- Wasz przyjaciel to bardzo skrupulatny gość - rzekł do Pitta.

- Co to znaczy?

- Rama wokół włazu jest wygięta i zaklinowana. Żeby to otworzyć trzeba z dziesięć kilo plastiku.

Pitt spojrział w głąb tunelu i zatrzymał wzrok na pokrzywionej klapie. Poczul rosnący strach.

- Nie można wydostać się stąd do łodzi ratunkowej.

- Nie - powiedział O'Malley. Wiedział, że nie ma już nadziei na uratowanie sześciuset siedemnastu ludzi. Wbił wzrok w podłogę. - Nie ma już innej drogi ucieczki.

Pitt i O'Malley przekazali straszną wiadomość kapitanowi Baldwinowi. Przyjął ją ze stoickim spokojem.

- Jesteście pewni? Na pewno nie da się otworzyć włazu awaryjnego siłą?

- Być może udałoby się go przeciąć palnikiem, ale wtedy woda przedostałaby się do środka. Na tej głębokości ciśnienie wynosi około siedemnastu atmosfer. Przyjmując jedną atmosferę na dziesięć metrów, ciśnienie wywierane przez wodę na kadłub wynosi siedemnaście kilogramów na centymetr kwadratowy. Nie ma mowy, by pasażerowie przeszli przez tak silny strumień do łodzi ratunkowej.



Na twarzy Baldwina pojawił się nieprzyjemny grymas. Zwykle nie przejawiał żadnych emocji, teraz jednak nie mógł pogodzić się z myślą, że wszystkich pozostałych na pokładzie czeka śmierć.

- Nie ma żadnej nadziei na ocalenie?

- Zawsze jest nadzieja - odparł Pitt. - Ale trzeba zastosować niekonwencjonalne metody.

Baldwin opuścił z rezygnacją ramiona.

- Będziemy żyć tak długo, jak się da.

Conrad wręczył Pittowi słuchawkę.

- Dzwoni pan Giordino. Jest już na górze.

Pitt wziął telefon.

- Al?

- Jestem na kutrze Straży Przybrzeżnej - rozległ się znajomy głos.

- Jak przebiegła ewakuacja?

- Nie jestem przyzwyczajony do gromady wrzeszczących malców. Bołą mnie bębenki w uszach.

- Udało się?

- Wszystkie dzieci i ich matki są całe i zdrowe. Przeniesiono je na pokład drobnicowca, który jest lepiej przystosowany do takiej liczby gości niż kuter. Już płyną do najbliższego portu. Kobiety wcale nie były zadowolone, że ich mężowie zostali pod wodą. Patrzyły na mnie krzywo całą drogę.

- Kiedy przybędzie łódź ratunkowa?

- Podobno za trzydzieści sześć godzin. A co tam u was?

- Niedobrze. Nasz przyjaciel Kanai był na pokładzie i przed ucieczką zaklinował wąż awaryjny.

Giordino nie od razu odpowiedział. W końcu odezwał się.

- Jak to wygląda?

- Zakleszczony na amen. O'Malley twierdzi, że nie da się go otworzyć, nie niszcząc przy okazji całej łodzi.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- Nie poddamy się tak łatwo - obiecał Giordino. - Zadzwoń do Yaegera i powiem, żeby przedstawił sytuację Max. Musi być jakiś sposób, żeby się stamtąd wydostać.

Pitt wyczuł w głosie przyjaciela rozpacz. Postanowił nie podsycać jej jeszcze bardziej.

- Bądź z nami w kontakcie - zażartował - ale nie każ nam płacić za twoje telefony.

Załoga i pasażerowie łodzi nie wiedzieli o burzy, jaka szalała nad ich głowami. Cały tydzień prasa i telewizja podawały informacje o tragedii "Emerald Dolphina". Teraz reporterzy powrócili relacjonować zatopienie łodzi podwodnej oraz wyścig z czasem, by uwolnić ludzi uwięzionych na dnie morza. Pojawili się nawet politycy i ludzie znani z show biznesu.

Łodziom pełnym fotoreporterów i kamerzystów towarzyszyła zgraja dziennikarzy w awionetkach i helikopterach. Po niespełna dwóch dniach od zatonięcia "Golden Marlina" nad miejscem katastrofy pływało już prawie sto jednostek. Z czasem wszyscy, z wyjątkiem akredytowanych dziennikarzy, zostali usunięci przez Straż Przybrzeżną.

Pożar na liniowcu pasażerskim wydarzył się w odległym rejonie Pacyfiku, teraz jednak sytuacja przedstawiała się inaczej. Katastrofa nastąpiła dziewięćdziesiąt siedem mil od wybrzeży Florydy. W miarę jak zbliżała się nieuchronna śmierć ludzi uwięzionych pod wodą, podniecenie mediów przeszło w gorączkę. Pod koniec trzeciego dnia rozemocjonowani dziennikarze szykowali się do relacjonowania ostatniego aktu tragedii.

Próbowano wszelkich sposobów, by nawiązać kontakt z zatopioną łodzią. Niektórzy usiłowali podłączyć się do linii telefonicznej przymocowanej do boi, lecz Straż Przybrzeżna nie dopuściła do tego, oddano nawet strzały ostrzegawcze w kierunku łodzi z dziennikarzami, aby usunęły się i nie przeszkadzały w akcji ratunkowej.

Uratowane kobiety i dzieci zasypywano gradem pytań. Dziennikarze usiłowali dobić się do Giordina, który wszedł na pokład statku badawczego NUMA i odmówił wszelkiego kontaktu z przedstawicielami mediów. Razem z załogą wysłano pod wodę zdalnie sterowanego robota "Sea Scout", bliźniaczego brata "Sea Sleuth", by zbadał łódź od zewnątrz.

Giordino kierował robotem za pomocą leżącego na kolanach pulpitu. Ogarniała go rozpacz, gdy oglądał obraz wjazdu awaryjnego w górnej części kadłuba. Pitt miał rację. Zaklinowana kłapa nie nadawała się do naprawy. Mógłby ją ruszyć jedynie materiał wybuchowy lub palnik, ale to spowodowałoby wdarcie się do wnętrza wody, zanim rozbitkowie zdążyliby opuścić wrak. Wysłanie łodzi ratunkowej do "Golden Marlina" było niemożliwe. Innej zaś drogi ucieczki nie było.

Następnego ranka przyplłynął okręt marynarki wojennej z łodzią ratunkową. Giordino przeszedł na pokład "Falcona", którego załoga bez zwłoki szykowała łódź ratunkową do zejścia pod wodę. Dowódca, komandor porucznik Mike Turner, powitał Giordina na pokładzie.

- Witam - powiedział Turner, ściskając dłoń Ala. - Marynarka wojenna zawsze chętnie współpracuje z NUMA.

Większość dowódców marynarki sprawia wrażenie przesadnie ostrożnych, jakby zapłacili za okręt z własnej kieszeni i traktowali go jak schronienie dla wybranych gości. Turner uśmiechał się przyjaźnie, jego zachowanie świadczyło o wybitnej inteligencji. Piwne oczy spoglądały na świat spod rzednących jasnych włosów, tworzących spiczasty klin na czole.

- Wolałbym, aby nasze spotkanie miało miejsce w mniej tragicznych okolicznościach - odparł Giordino.

- To prawda - przyznał Turner. - Poproszę jednego z oficerów, żeby zaprowadził pana do kabiny. Ma pan ochotę coś zjeść? "Mercury" nie zejdzie do wody jeszcze przez godzinę.

- Mam nadzieję, że pozwolicie mi popłynąć, jeśli tylko nie zajmę wam miejsca.

Turner uśmiechnął się.

- Jest tam dość miejsca dla dwudziestu ludzi. Nie będzie nam pan przeszkadzał.

- Nam? - spytał Giordino, zdziwiony, że dowódca nie wysłał pod wodę jednego z podwładnych. - Pan też płynie?

Turner kiwnął głową, a jego przyjazny uśmiech znikł.

- Nie po raz pierwszy idę na ratunek ludziom uwięzionym w zatopionym statku. Jesteśmy ich jedyną nadzieją.

Przed wodowaniem, pomalowany na żółto, z ukośnym czerwonym pasem, "Mercury" zawisł nad pokładem roboczym, jak wielki banan z dziwnymi wypustkami. Była to jedenastometrowa jednostka o wyporności trzydziestu ton, maksymalnym zanurzeniu trzystu sześćdziesięciu metrów i prędkości dwóch i pół węzła.

Kapitan Turner wspiął się po drabince do włazu. Za nim poszedł jeden z marynarzy. Drugim pilotem łodzi był starszy chorąży marynarki Mack McKirdy, siwy wilk morski, który swoją brodą przypominał żeglarza ze starego klipra.

- Słyszałem, że jest pan starym podwodniakiem - powiedział McKirdy do Giordina.

- Tak, spędzam w morzu sporo czasu.

- Mówią, że badał pan wrak "Emerald Dolphina" na głębokości sześciu kilometrów.

- To prawda. Razem z moim przyjacielem Dirkiem Pittem i biologiem morskim Misty Graham.

- Zejście na sto osiemdziesiąt metrów musi się panu wydawać trywialne.

- Nie, jeśli uda się nam zacumować do ich włazu.

McKirdy dostrzegł przygnębienie w oczach Giordina.

- Posadźmy pana dokładnie na włazie. Proszę się nie martwić - dodał pocieszająco. - Jeśli ktokolwiek może otworzyć ten przeklęty właz, to tylko ja i "Mercury". Mamy niezbędny sprzęt, by to zrobić.

- Mam nadzieję - mruknął Giordino.

Prowadzony przez chorążego McKirdy robot dotarł do zatopionej łodzi w niecały kwadrans. Okrążył kadłub wyglądający jak ogromne zwierzę.

Wszyscy trzej mężczyźni poczuli się dziwnie, gdy w oknach ujrzeli twarze uwieczonych w nim ludzi. Ałowi wydawało się, że zauważył Pitta, który machał do niego ręką, ale minęli się zbyt szybko, aby mógł mieć pewność, że to on.

Przez trzy godziny dokonywali skrupulatnych oględzin leżącej na dnie łodzi. Kamery zapisywały obraz, aparaty fotograficzne wykonywały zdjęcia w dwusekundowych odstępach.

- Ciekawe - odezwał się cicho Turner. - Obejrzelismy go bardzo dokładnie, a prawie nie widać pęcherzyków powietrza.

- To rzeczywiście niezwykle - zgodził się McKirdy. - Na szczęście do tej pory przeprowadzaliśmy akcję ratunkową tylko na dwóch łodziach podwodnych. Niemiecki "Seigen" i rosyjska "Tavda". Obydwa poszły na dno po kolizji z jednostką nawodną. W obu wypadkach z uszkodzonych kadłubów bardzo długo uciekało powietrze.

- Woda wdarła się jedynie do maszynowni i przedziału bagażowego - powiedział Giordino. - Są pewnie całkowicie zatopione, nie ma więc w nich powietrza, które mogłoby uciekać na zewnątrz.

McKirdy podpłynął bliżej do uszkodzonych miejsc, wygiętych do środka siłą eksplozji. Wskazał coś przez szybę.

- Te otwory są zdumiewająco małe.

- Ale wystarczająco duże, by go zatopić.

- Czy zbiorniki balastowe popękały? - spytał Turner.

- Nie. Pozostały nienaruszone. Kapitan Baldwin opróżnił je, ale łódź i tak poszła na dno, bo woda wdarła się do środka przez dziury w kadłubie. Pompy nie nadążały z jej odprowadzaniem. Na szczęście udało się pozamykać wodoszczelne grodzie, więc pozostała jedynie w maszynowni i przedziale bagażowym.

- Przerazające - powiedział Turner, wskazując dwie rany na kadłubie. - Gdyby były nieco mniejsze, łódź mogłaby się sama wynurzyć.

- Panie komandorze, może sprawdzimy właz awaryjny - odezwał się McKirdy - zanim podpłyniemy wyżej.

- Zgoda. Posadź nas na nim. Może się przekonamy, czy da się uzyskać hermetyczność.

Jeśli tak, wrócimy z ekipą naprawczą, która spróbuje go otworzyć.

McKirdy podprowadził łódź nad "Golden Marlinem" i zatrzymał ją obok włazu. Razem z Tumerem oglądali uszkodzenia.

- Nie wygląda to zachęcająco - powiedział McKirdy.

- Kołnierz uszczelniający pod klapą jest pocięty na strzępy - Turner był zafrasowany. - Nie możemy wykorzystać komory śluzowej do wykonania napraw, bo kadłub jest zbyt uszkodzony, by zachować hermetyczność, ani wypompować wody i posłać tam ludzi z palnikami.

- A nurkowie? - spytał Giordino. - Przecież zdarza się, że pracują na takich głębokościach.

- Musieliby to robić bez chwili przerwy na zmiany, a resztę czasu spędzać w kabynie dekompresyjnej. Zanim ją ściągniemy i dokonamy naprawy włazu, miną cztery dni. A do tej pory... - zawiesił głos.

Patrzyli na pokiereszowane miejsce wokół włazu bardzo długo, przynajmniej tak im się wydawało. Giordino poczuł nagle ogromne zmęczenie, nie wiadomo, czy z powodu stęchłego powietrza, czy ogarniającej go frustracji. Był inżynierem i wiedział, że nie da się wyważyć włazu, nie powodując zalania łodzi, a tym samym śmierci uwięzionych w niej ludzi. Każda próba była skazana na niepowodzenie. McKirdy jeszcze przez minutę wisiał nad pokrywą.

- Musimy opuścić kabinę ciśnieniową na kadłub, uszczelnić złącze i wyciąć w kadłubie otwór, przez który ludzie będą mogli wydostać się na "Mercurego". - Turner opisał procedurę tak prosto, jak nauczyciel w szkole zadający pracę domową.

- Ile czasu to zajmie? - spytał Giordino.

- Powinniśmy dać radę w czterdzieści osiem godzin.

- Za długo - Giordino był szczery. - Powietrza wystarczy im na trzydzieści godzin.

Wytniemy przejście do wielkiej trumny.

- Racja - zgodził się Turner. - Ale według planów producenta łodzi, które przywiózł nam helikopter, zanim wyruszyliśmy w rejs, jest tam zewnętrzny zawór powietrzny, przewidziany na takie właśnie sytuacje. Konektor dla węża poprowadzonego z powierzchni znajduje się tuż przed sterem na rufie. Mamy wąż i mocną pompę, która tłoczy powietrze pod ciśnieniem siedemdziesięciu atmosfer. Możemy ją przygotować w ciągu... - zerknął na zegarek - najwyżej trzech godzin.

- Przynajmniej - powiedział McKirdy - będziemy mogli utrzymać biedaków przy życiu do chwili, aż dostaniemy się do środka.

- Tak, wiem o tym awaryjnym wlocie powietrza - powiedział Giordino. - Ale lepiej sprawdźcie, w jakim stanie jest ten konektor.

McKirdy nie czekał na polecenie Turnera. Wykonał ostry skręt i poprowadził łódź w stronę ogromnego pionowego steru kierunku, w którego górnej części znajdował się salon. Potem zatrzymał się nad małą okrągłą komorą przytwierdzoną do kadłuba u nasady steru.

- To osłona konektora? - spytał.

- Chyba tak - odparł Turner, spoglądając na plany łodzi.

- Wygląda na nieuszkodzoną.

- Bogu dzięki - ucieszył się McKirdy. - Teraz możemy doczepić wąż i podać im tyle powietrza, by doczekali, aż ich wyciągniemy.

- Macie tu manipulatory - powiedział Giordino. Uważał, że ich euforia jest przedwczesna. - Upewnijmy się. Podnieśmy pokrywę i sprawdźmy, czy końcówka węża będzie pasować do konektora.

- Zgoda - rzekł Turner. - Skoro jesteśmy blisko, możemy od razu przygotować go do połączenia, co potem oszczędzi czas. - Wziął małego pilota i zaczął sterować dwoma manipulatorami. Ostrożnie odciągnął cztery zaczepy, po jednym z każdej strony komory. Potem uniósł pokrywę od strony przeciwnej niż ta, gdzie znajdowały się zawiasy.

Nie takiego widoku oczekiwali. Brakowało końcówki, pasującej do zakończenia węża. Wyglądało na to, że ktoś zniszczył i wyrzucił ją z pomocą młota i dłuta.

- Któż mógł zrobić coś takiego? - spytał przybity Turner.

- Wredny maniak - szepnął Giordino. Rozpierała go żądza zemsty.

- Nie da się dokonać naprawy, zanim skończy się powietrze - stwierdził McKirdy, przyglądając się zniszczonemu konektorowi.

- Chce pan powiedzieć, że sześciuset mężczyzn i kobiet zginie, a my będziemy patrzeć na to bezradnie? - spytał Giordino z pociemniałą twarzą.

Turner i McKirdy spojrzeli na siebie jak ludzie, którzy szukają drogi podczas zamieci. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Nie mogli uwierzyć w kolejne przeszkody. Perfidia uszkodzeń przekraczała wszelkie granice pojmowania.

Giordino miał wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Strata przyjaciela w nagłym wypadku to jedno, ale czekanie, aż zdrowy mężczyzna umrze, bo nikt nie udzielił mu pomocy, a współczesna nauka i technika okazały się bezradne, było nie do przyjęcia. Rozżalony człowiek przeciwstawia się bogom. Giordino postanowił, że musi coś zrobić, cokolwiek, nawet gdyby sam miał zejść sto siedemdziesiąt metrów do leżącego na dnie wraku.

Nagle, tknięty złym przeczuciem, McKirdy bez rozkazu Turnera opróżnił zbiornik balastowy, wyrównał łódź i poszybował w górę. Każdy z nich czuł, chociaż nie chciał o tym myśleć, że załoga i pasażerowie we wnętrzu łodzi obserwują, jak łódź ratownicza oddala się i ginie w mętnej pustce, a wraz z nią odchodzą nadzieje i złudzenie.

Wewnątrz łodzi podwodnej panował upiorny nastrój. Pasażerowie przychodzili do restauracji i jedli posiłki, grali w kasynie, pili koktajle w salonie, czytali w bibliotece, kładli się do łóżek, jakby rejs trwał bez zakłóceń. Nic innego im nie pozostało. Jeśli ktoś odczuł obniżającą się powoli zawartość tlenu, zachował to dla siebie. Rozmawiali o tym, co się stało, jak o pogodzie, jakby na przekór wszystkiemu.

Na pokładzie zostali głównie ludzie starsi, kilka młodych, bezdzietnych małżeństw, dwa tuziny samotnych mężczyzn i kobiet oraz ojcowie, których żony i dzieci zostały ewakuowane. Załoga w miarę normalnie pełniła swoje obowiązki wobec pasażerów - obsługiwano ich w restauracji, gotowano posiłki, sprzątano kabiny, były nawet występy w teatrze. Załoga maszynowni pracowała bez wytchnienia, podtrzymując działanie pomp i generatorów, wciąż jeszcze dostarczających energii. Na szczęście znajdowały się w innym pomieszczeniu niż silniki i natychmiast po wybuchach zostały odcięte.

Najgorsze obawy Pitta sprawdziły się, gdy zobaczył, że łódź ratunkowa wraca na powierzchnię. Giordino przekazał telefonicznie złe wiadomości. Kilka godzin później Pitt siedział przy stole na mostku i po raz kolejny oglądał plany łodzi, szukając najmniejszej wskazówki, która mogłaby uratować wszystkim życie. Baldwin usiadł na taborecie po drugiej stronie stołu. Trochę się już opanował, lecz ponure perspektywy bardzo go przygnębiały. Oddychał coraz ciężiej.

- Nie spał pan od trzech dni - odezwał się do Pitta. - Może się pan zdrzemnie?

- Jeśli zasnę, jeśli ktokolwiek z nas zaśnie, już się nie obudzi.

- Oszukiwałem ich, że pomoc jest tuż, tuż - powiedział głuchym głosem Baldwin. - Ale prawda zaczyna już do nich docierać. Jak na razie nie dochodzi do awantur. Są zbyt słabi, by cokolwiek zrobić.

Pitt potarł zaczerwienione oczy, wypił łyk zimnej kawy i chyba po raz setny obejrzał plany konstrukcyjne "Golden Marlina".

- Musi być jakiś sposób - powiedział cicho. - Musi być sposób, by przymocować wąż i wtłoczyć czyste powietrze do środka.

Baldwin wyjął chusteczkę i otarł czoło.

- To niemożliwe, właz i konektor są uszkodzone. Każda próba wybicia otworu w kadłubie spowoduje zalanie łodzi. Musimy się pogodzić z prawdą. Zanim nurkowie naprawią



zniszczone elementy, wykonają hermetyczne połączenie i przewiercą się przez kadłub, byśmy mogli się wydostać, nie będziemy już mieli powietrza.

- Możemy zatrzymać generatory. Dzięki temu zyskamy kilka godzin.

Baldwin słabo pokręcił głową.

- Lepiej niech pracują, by ludzie mogli do samego końca w miarę normalnie żyć. Poza tym pompy muszą odprowadzać wodę z zalanych przedziałów.

Do sterówki wszedł doktor John Ringer, lekarz okrętowy. Był oblegany przez pasażerów, którzy skarżyli się na ból głowy, drażliwość i nudności. Robił, co mógł, by im pomóc, nie wyjaśniając, skąd pochodzi ich cierpienie.

Pitt spojrzał na wyczerpanego, bliskiego omdlenia lekarza.

- Czy wyglądam tak samo źle jak pan, doktorze?

Ringer zmusił się do uśmiechu.

- Nawet gorzej, jeśli może pan w to uwierzyć.

- Mogę.

Doktor usiadł ciężko na krześle.

- Teraz czeka nas uduszenie się. Niewydolne oddychanie spowodowane niewystarczającą ilością tlenu we wdychanym powietrzu, a także zbyt małe wydychanie dwutlenku węgla.

- Jakie są dopuszczalne warunki? - spytał Pitt.

- Tlenu dwadzieścia procent, dwutlenku węgla trzy dziesiąte procenta.

- A jak stoimy teraz?

- Tlenu osiemnaście - odpowiedział Ringer. - Nieco ponad cztery procent dwutlenku węgla.

- A granice bezpieczeństwa?

- Odpowiednio szesnaście i pięć procent. Poza tymi granicami stężenia stają się bardzo niebezpieczne.

- Niebezpieczne, a więc śmiertelne - rzekł Pitt.

Baldwin zadał pytanie, którego żaden z nich nie chciał wypowiedzieć na głos.

- Ile czasu nam zostało?

- Tak samo jak ja odczuwacie brak tlenu - odparł cicho Ringer. - Dwie godziny, może dwie i pół, na pewno nie więcej.

- Dziękujemy za szczerość, doktorze - powiedział Baldwin. - Czy część osób można utrzymać przy życiu dłużej, podając im aparaty tlenowe strażaków?

- Mam około dziesięciu osób w wieku poniżej dwudziestu lat. Podam im tlen, aż do

wyczerpania zapasów. - Ringer wstał. - Lepiej wróć do szpitala. Pewnie czeka na mnie kolejka pacjentów.

Pitt wrócił do oglądania planów.

- Na skomplikowany problem istnieje proste rozwiązanie - powiedział filozoficznie.

- Kiedy pan je odnajdzie, proszę mnie zawiadomić. - Baldwin wstał i ruszył do drzwi.

- Czas, żebym się stawił w restauracji. Powodzenia.

Pitt w milczeniu kiwnął głową.

Powoli ogarniał go obezwładniający strach. Nie bał się swojej śmierci, lecz skazania na śmierć tylu ludzi, których życie zależy teraz tylko od tego, czy on, Pitt, znajdzie jakieś rozwiązanie. Na kilka chwil ta myśl zdopingowała go, wyostrzyła jego zmysły, pozwoliła z wyjątkową jasnością ocenić sytuację. Przyszło mu do głowy coś tak niesamowitego, że przez moment nie mógł się ruszyć z miejsca. Rozwiązanie naprawdę było proste. Pojawiło się nagle, z przerażającą łatwością. Tak jak w wypadku wielu olśnień, które nieoczekiwanie spadają na ludzi, mógł się tylko zastanawiać, dlaczego nie dostrzegł tej możliwości o wiele wcześniej.

Wstał tak gwałtownie, że przewrócił taboret. Skoczył do telefonu połączonego przewodem z boją.

- Al! Jesteś tam?! - krzyknął.

- Jestem - odpowiedział ponuro Giordino.

- Chyba znalazłem rozwiązanie! Nawet jestem tego pewien.

Giordino zaskoczył entuzjazm Pitta.

- Chwileczkę, przełączę cię na głośnik na mostku, żeby słyszał to kapitan Turner i reszta załogi. - Nastąpiła krótka przerwa. - W porządku, mów.

- Ile czasu zajęłoby doprowadzenie węża z powietrzem tu do nas na dół?

- Pan wie, że nie możemy go podłączyć - powiedział Turner z poszarzałą twarzą.

- Tak, tak, wiem - rzekł niecierpliwie Pitt. - Jak długo potrwa, zanim zaczniecie pompować powietrze?

Turner zerknął na stojącego po drugiej stronie mostka McKirdy'ego, który patrzył na pokład, jakby zastanawiał się, co jest pod podłogą.

- Możemy to przygotować w ciągu trzech godzin.

- Zróbcie to w dwie albo nie ma o czym gadać.

- A co to da? Nie możemy podłączyć węża.

- Czy wasza pompa przeważa ciśnienie wody?

- Tłoczy pod ciśnieniem trzydziestu pięciu atmosfer - odpowiedział McKirdy. - To

dwa razy więcej niż ciśnienie wody na waszej głębokości.

- Świetnie - zachrypiał Pitt. Myślał coraz jaśniej. - Dawajcie szybko tego węża na dół. Ludzie zaczynają padać. Przygotujcie do działania manipulatory łodzi ratunkowej.

- Czy może pan powiedzieć, o co panu chodzi? - spytał Turner.

- Wyjaśnię, gdy zejdziecie na dół. Kiedy się zjawicie, dajcie znać. Podam kolejne instrukcje.

O'Malley potykając się, wszedł do sterówki. Słyszał rozmowę.

- Co pan wymyślił?

- To znakomity pomysł. - Pitta rozpieął optymizm. - Jeden z najlepszych w moim życiu.

- Jak pan zamierza wpuścić tu powietrze?

- Nie zamierzam.

O'Malley popatrzył na Pitta jak na ciężko chorego.

- Więc na czym polega ten wspaniały pomysł?

- To proste - wyjaśnił od niechcienia Pitt. - Jeśli Mahomet nie chce podejść do góry...

- To jakiś nonsens.

- Przekona się pan - odparł tajemniczo Pitt. - To najprostsze doświadczenie fizyczne, znajdzie je pan w każdym podręczniku szkolnym.

“Golden Marlin” był już niemal podwodną kryptą. Jakość powietrza pogorszyła się przerażająco, pasażerowie i załoga tracili przytomność, co było pierwszym krokiem przed śpiączką i śmiercią. Poziom dwutlenku węgla osiągał wartość, przy której dalsze życie jest niemożliwe. Pitt i O'Malley, jedyni pozostali na mostku, trzymali się resztką sił.

Brak tlenu spowodował, że pasażerowie stracili zdolność logicznego myślenia, zachowywali się jak zjawy. Nikt nie wpadał panikę, bo nikt nie zdawał sobie sprawy, że koniec jest już tak bliski. Baldwin rozmawiał z tymi, co siedzieli jeszcze w restauracji, pocieszając ich słowami pozbawionymi sensu. Wracając na mostek, osunął się na kolana i upadł. Obok przechodziło starsze małżeństwo. Popatrzyli na kapitana pozbawionymi wyrazu oczami i zataczając się, poszli dalej do swojej kabiny.

W sterówce O'Malley mamrotał coś w miarę logicznie, lecz był bliski omdlenia. Pitt nabierał głęboko powietrza, by pochwycić jak najwięcej tlenu.

- Gdzie jesteście? - sapnął do słuchawki. - Z nami już prawie koniec.

- Zbliżamy się - odpowiedział zdesperowanym głosem Giordino. - Spójrz przez okno. Jesteśmy blisko kopuły nad mostkiem.

Pitt z trudem dobrnął do okna nad konsolą i zobaczył "Mercurego", który schodził coraz niżej.

- Macie wąż?

- Gotowi do tłoczenia powietrza w każdej chwili i w każdym miejscu - odpowiedział chorąży McKirdy. Kapitan Turner został na pokładzie "Aultmana", by kierować operacją z powierzchni.

- Zejdźcie, aż dotkniecie dna, potem zbliżcie się do wyrwy w kadłubie naprzeciwko maszynowni.

- Ruszamy - odparł Giordino, nie pytając o nic więcej.

Pięć minut później Turner zameldował:

- Jesteśmy naprzeciwko otworu po wybuchu ładunku.

Pitt odczuł ironię losu: z trudem oddychał, a życiodajne powietrze w nieograniczonej ilości znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Z trudem mówił dalej.

- Manipulatorami włóżcie końcówkę węża jak najgłębiej do maszynowni.

W łodzi ratunkowej McKirdy i Giordino wymienili spojrzenia. McKirdy wzruszył ramionami, a Giordino przystąpił do umieszczania węża w wyrwie, uważając, by nie przeciąć go o ostrą krawędź otworu. Pracował jak mógł najszybciej, lecz dopiero po dziesięciu minutach poczuł, jak wąż dotyka grodzi i zaczepia się o mocowania silnika.

- Gotowe.

- Dobrze. Zaczynicie pompować - powiedział Pitt, wymawiając kolejne słowa na przemian w trakcie wydechania i wdychania powietrza.

McKirdy przekazał polecenie Turnerowi. Po dwóch minutach z węża w maszynowni zaczęło wydostawać się powietrze.

- Co mamy robić? - spytał Giordino. Był przygnębiony, słuchając, jak sądził, ostatnich słów przyjaciela.

Pitt wycharczał odpowiedź.

- Statek tonie, gdy woda pod ciśnieniem wypełnia przestrzeń w kadłubie, wypierając powietrze, ale na tej głębokości powietrze z waszego węża ma dwukrotnie wyższe ciśnienie niż woda, więc wtłacza ją z powrotem do morza.

To wyjaśnienie odebrało mu resztkę sił. Opadł na biurko obok ciała O'Malleya, który już wcześniej stracił przytomność.

Nadzieje Giordina odżyły, gdy zobaczył, jak woda wydostaje się z maszynowni, wypychana ciśnieniem powietrza dostarczanego przez pompy znajdujące się na powierzchni.

- To działa! - krzyknął. - Powietrze tworzy w środku wielki bąbel.

- Tak, ale nie przedostaje się do innych części łodzi - powiedział McKirdy.

Ale Giordino już dostrzegł metodę w szaleństwie Pitta.

- On wcale nie chce oczyścić powietrza we wnętrzu. Chce podnieść łódź na powierzchnię.

McKirdy spojrział na kadłub łodzi podwodnej, zanurzony w mule. Wątpił, czy statek zdoła pokonać siłę ssącą podłoża i unieść się.

- Twój przyjaciel nie odpowiada - powiedział po chwili.

- Dirk! - ryknął Giordino do telefonu. - Powiedz coś! Nikt się nie odezwał.

Na pokładzie okrętu wspomagającego "Alfred Aultman" kapitan Turner chodził tam i z powrotem po mostku, słuchając odgłosów dramatu, rozgrywającego się pod wodą. Już zrozumiał genialność pomysłu Pitta, ale pomyślał, że to zbyt proste, by mogło się udać. Prawo Murphy'ego rzadko nie miało zastosowania w praktyce.

Na mostku było teraz ośmiu mężczyzn. W powietrzu wisiał niepokój i poczucie klęski. "Golden Marlin" stawał się tytanowym cmentarzyskiem. Trudno im było uwierzyć, że ponad sześćset osób wydaje ostatnie tchnienie sto metrów pod ich stopami. Zebrali się wokół głośnika, rozmawiając szeptem, jakby byli w kościele. Czekali na informacje z "Mercurego".

- Będą wydobywać ciała? - spytał jeden z oficerów.

O'Malley ze smutkiem wzruszył ramionami.

- Wydobyć ich kosztowałoby miliony dolarów. Pewnie zostaną tam, gdzie są.

Młody chorąży uderzył mocno pięścią w blat.

- Dlaczego się nie zgłaszają? Dlaczego McKirdy nie mówi, co się tam dzieje?

- Spokojnie, chłopcze. Mają dość problemów na głowie i bez naszych pytań.

- Wynurza się. Wynurza się. - Słowa padły z ust operatora sonaru, który ani na sekundę nie spuścił wzroku z wyświetlacza.

Turner pochylił się nad jego ramieniem i z otwartymi ustami patrzył na obraz. "Golden Marlin" naprawdę się poruszył.

- Rzeczywiście wynurza się - potwierdził.

W głośniku rozległ się głośny jęk - odgłos metalu odkształcającego się podczas wznoszenia.

- Oderwał się od dna! - krzyknął radośnie McKirdy. - Idzie do góry. To tłoczenie powietrza do maszynowni zdało egzamin. Ma już dość wyporności, by pokonać siłę ssącą podłoża...

- Próbujemy trzymać się blisko - przerwał mu Giordino - aby końcówka węża nie

wypadła z kadłuba, bo inaczej wrak znowu pójdzie na dno.

- Jesteśmy gotowi - uciał Turner.

Zaczął wydawać rozkazy, by marynarze z ekipy technicznej weszli na pokład łodzi natychmiast po jej wynurzeniu i wycięli dziurę w kadłubie, żeby doprowadzić świeże powietrze do wnętrza i ocucić pasażerów. Następnie nadał apel do wszystkich jednostek, znajdujących się w promieniu dwudziestu mil, by przybyły jak najszybciej, szykując aparaturę do oddychania i respiratory. Prosił również, by wszyscy lekarze byli gotowi do wejścia do łodzi podwodnej, kiedy tylko uda się zapewnić dostęp do wnętrza. Czas był na wagę złota. Musieli dostać się tam szybko, jeśli mieli uratować nieprzytomnych ludzi.

Nastrój na statkach zgromadzonych nad "Golden Marlinem" przeszedł z cichej depresji w dziką radość. Gruchnęła wieść, że łódź zaczęła się wynurzać. Tysiące oczu wpatrywały się w wodę. Na powierzchni ukazały się tysiące pęcherzyków powietrza, wzbijając mgielkę, mieniającą się w słońcu wszystkimi barwami tęczy. "Golden Marlin" wyskoczył wreszcie na równym kilu niczym ogromny korek, po chwili opadł z pluskiem, bryzgając wodą na wszystkie strony, kołysząc jachtami jak liśćmi opadłymi z drzewa w czasie jesiennej wichury.

- Jest! - zawołał Turner, jakby się bał, że to, co widzi, jest tylko złudzeniem. - Szalupy! - krzyknął przez megafon z pomostu. Łodzie były już na morzu. - Szybko!

Rozległy się radosne okrzyki. Ludzie krzyczeli, gwizdali, uruchamiali syreny. Nikt nie wierzył własnym oczom. Zmartwychwstanie nastąpiło tak nagle, tak nieoczekiwanie. Kamerzyści na pokładach łodzi, samolotów i helikopterów zignorowali zakazy i groźby Turnera oraz kapitana kutra Straży Przybrzeżnej, by trzymać się z dala od miejsca akcji. Niektórzy mieli nawet ochotę wejść na pokład łodzi.

Gdy "Golden Marlin" osiadła spokojnie na wodzie, zewsząd podpłynęły łodzie ratownicze. Szalupy z "Alfreda Aultmana" przybyły pierwsze i zacumowały przy burcie ocalonej jednostki. Turner odwołał rozkaz przecięcia kadłuba, polecił, by jego ludzie dostali się do wnętrza przez luki towarowe, które teraz można było otworzyć od zewnątrz bez ryzyka, że woda wedrze się do środka.

Tuż obok wynurzył się "Mercury", sterowany przez McKirdy'ego w taki sposób, by wąż nie wydostał się z maszynowni i pompował powietrze, wypychające wodę na zewnątrz. Giordino otworzył właz i zanim McKirdy zdążył go powstrzymać, wskoczył prosto do morza i podpłynął do jednej z szalup. Jej załoga otwierała luk towarowy w prawej burcie. Wspiął się do szalupy i pomógł zdjąć zaczep z pokrywy luku pokrytej mułem z dna morskiego.

Odemknęli pokrywę na centymetr. Spróbowali jeszcze raz i teraz udało się ją

odciągnąć i oprzeć o kadłub. Zajrzeli do środka i przez chwilę patrzyli w milczeniu. Odór stęchłego powietrza podrażnił ich nozdrza. To powietrze nie nadawało się do oddychania. Generatory wciąż działały, ale zdziwili się, że wewnątrz łodzi jest jasno oświetlone.

Załoga ratownicza po drugiej stronie kadłuba otworzyła luk w lewej burcie. Przeciąg powoli zaczął wydmuchiwać z wnętrza zastale powietrze. Obie załogi znalazły ciała ludzi, leżących na pokładzie, i przystąpiły do przywracania im przytomności. Giordino rozpoznał w jednym z nich kapitana Baldwina.

Jednak nie jego szukał. Pobiegł do części recepcyjnej, ruszył korytarzem na dziób i po schodkach dostał się na górę. Biegł z ciężkim sercem, z trudem łapiąc powoli powracające do normy, zanieczyszczone powietrze. Wpadł do sterówki, przerażony, że jest już za późno, by uratować przyjaciela.

Przeszedł nad ciałem O'Malleya i przykląkł obok Pitta, leżącego płasko na pokładzie. Pitt miał zamknięte oczy, wydawało się, że nie oddycha. Giordino nie tracił czasu na szukanie pulsu, lecz pochylił się i rozpoczął sztuczne oddychanie usta - usta. Wtem, ku swojemu zdumieniu zobaczył, jak błyszczące, zielone oczy Pitta otwierają się, a usta zaczynają się poruszać.

- Mam nadzieję, że to już koniec części artystycznej - wyszeptał Dirk.

Jeszcze nigdy tak wielu ludzi nie przechytryło zakapturzonego starca z kosą i trójgłowego psa pilnującego Hadesu. Ich ocalenie graniczyło z cudem. To niewiarygodne, ale nikt z załogi i pasażerów łodzi nie zmarł. Wszyscy wrócili znad przepaści. Do szpitali w Miami śmigłowce Straży Przybrzeżnej przetransportowały siedemnaście osób, głównie starszych kobiet i mężczyzn. Wszystkie, z wyjątkiem dwóch, powróciły do pełnego zdrowia. Pozostała dwójka została zwolniona po tygodniu. Cierpieli na silne bóle głowy.

Większość odzyskała siły, gdy świeże powietrze rozeszło się po wnętrzu łodzi. Tylko pięćdziesiąt dwie osoby wymagały zastosowania aparatów tlenowych. Kapitan Baldwin został okrzyknięty przez media i dyrekcję linii Blue Seas Cruise Lines bohaterem, który zapobiegł wielkiej tragedii, podobnie fetowano doktora Johna Ringera. To jego heroiczne wysiłki sprawiły, że nikt nie zginął. Kapitan Turner i jego załoga otrzymali odznaczenia i budzili powszechny podziw swoim udziałem w akcji ratunkowej.

Tylko niewiele osób wiedziało, jaką rolę w ocaleniu łodzi i jej pasażerów odegrali Pitt i Giordino. Zanim dziennikarze dowiedzieli się o udziale tego samego człowieka, który ocalił dwa tysiące osób z pokładu "Emerald Dolphina", Pitt i Giordino uciekli. Helikopter NUMA zabrał ich z lądowiska na pokładzie "Alfreda Aultmana".

Żadnemu z reporterów nie udało się odszukać Pitta. Jakby wskoczył do głębokiego dołu i zamaskował wejście.



# **CZEŚĆ III**

## **Tysiącletni szlak**

31 lipca 2003, jezioro Tohono, New Jersey

Jezioro Tohono leżało daleko od głównej szosy, jak to w New Jersey. Dookoła nikt nie mieszkał, teren należał do korporacji Cerber i przyjeżdżali tutaj tylko szefowie firmy. Pracownicy odpoczywali w ośrodku rekreacyjnym pięćdziesiąt kilometrów dalej. Posiadłość na pustkowiu nie musiała być ogrodzona. Dostępu broniła zamknięta brama, osiem kilometrów od jeziora. Zagradzała drogę wijącą się wśród niskich wzgórz i gęstych lasów, prowadzącą do komfortowego piętrowego domu z drewnianych bali, który stał nad wodą obok krytej przystani z kajakami i łódkami wiosłowymi. Na jeziorze nie wolno było używać silników.

Fred Ames nie pracował w Cerberze. Jak kilku innych miejscowych, ignorował tablicę z napisem "Zakaz wstępu" i chodził nad jezioro na ryby. Obozował pod drzewami na brzegu. Wędkarzy było niewiele, więc w wodzie roiło się od okoni. Do południa zawodowiec zwykle bez trudu wyciągał kilka sztuk o wadze od dwóch do czterech kilogramów. Miał wejść do wody w wysokich gumowcach i zarzucić wędkę, kiedy zauważył czarną limuzynę. Zatrzymała się obok pomostu. Wysiedli z niej dwaj wędkarze. Kierowca zepchnął łódkę na wodę.

Dziwne, pomyślał Ames. Takie waźniaki i pływają bez silnika?

Jeden z mężczyzn chwycił za wiosła. Zaczęli łowić na środku jeziora. Ames wycofał się do lasu. Postanowił podgrzać sobie kawę na kuchence i poczytać książkę, dopóki faceci nie odjadą.

Mężczyzna przy wiosłach wyglądał na sześćdziesiąt lat. Dobrze się trzymał, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, rudawe włosy bez śladu siwizny i opaloną twarz. Przypominał antyczną rzeźbę grecką o idealnych proporcjach głowy, szczęki, nosa, uszu, ramion, dłoni, nóg i stóp. Jasnoniebieskie oczy patrzyły ciekawie, ale nie przenikliwie. Ich łagodne spojrzenie często brano za oznakę ciepła i przyjaznego nastawienia, choć w rzeczywistości analizowały wszystko w zasięgu wzroku. Mężczyzna wiosłował, zakładał przynętę i zarzucał wędkę precyzyjnie odmierzonymi ruchami, bez żadnego zbędnego gestu.

Curtis Merlin Zale był perfekcjonistą. Nie pozostało w nim nic z chłopca, który kiedyś pracował na polach kukurydzy. Po śmierci ojca rzucił szkołę i w wieku dwunastu lat zaczął

prowadzić rodzinną farmę. Mieszkał z matką i trzema siostrami. Uczył się sam. Przed dwudziestką miał największe gospodarstwo w okręgu i zatrudnił zarządcę.

Był sprytny i wytrwały. Sfałszował świadectwo szkolne, żeby dostać się do najbardziej prestiżowej szkoły biznesu w Nowej Anglii. Brakowało mu obycia, ale miał błyskotliwy umysł i fotograficzną pamięć. Skończył studia z wyróżnieniem i zrobił doktorat z ekonomii.

Potem działał według jednego schematu: zakładał firmy, doprowadzał je do rozkwitu i sprzedawał. W wieku trzydziestu ośmiu lat był dziewiąty na liście najbogatszych ludzi w Ameryce. Jego majątek liczone w miliardach dolarów. Kupił towarzystwo naftowe. Przynosiło małe zyski, ale dzierżawiło mnóstwo terenów w kraju i na Alasce. Po dziesięciu latach połączył je ze starą, solidną firmą chemiczną. W końcu utworzył ze swoich holdingów gigantyczny konglomerat o nazwie Cerber.

Nikt naprawdę nie znał Curtisa Merlina Zale'a. Nie miał przyjaciół, nie chodził na przyjęcia, nie udzielał się towarzysko, nie założył rodziny. Kochał tylko władzę. Kupował i sprzedawał polityków niczym zwierzątka domowe. Był bezwzględny, twardy i zimny jak lód. Na żadnym interesie nigdy nie stracił. Używał brutalnych metod i większość jego konkurentów wypadła z gry. Nie uznawał żadnej etyki.

Dzięki wyjątkowemu sprytowi i ostrożności zawsze doskonale zacierał ślady. Nikt nawet nie podejrzewał, że Curtis Merlin Zale odnosi sukcesy, bo szantażuje i morduje przeciwników. O dziwo, jego wspólnicy, media i wrogowie zawsze przechodzili do porządku dziennego nad śmiercią ludzi, którzy weszli mu w drogę. Ofiary zwykle umierały na atak serca, raka i inne pospolite choroby. Część ginęła w wypadkach drogowych lub przy nieostrożnym obchodzeniu się z bronią. Inni tonęli albo po prostu znikali. Ale żaden ślad nie prowadził do Zale'a.

Curtis Merlin Zale był zimnym socjopatą bez sumienia. Mógł zabić dziecko równie łatwo, jak rozdeptać mrówkę.

Utkwił jasnoniebieskie oczy w szefie swojej ochrony, który próbował niezgrabnie rozplatać żyłkę przy wędce.

- Nie rozumiem, jak to się stało, że nie wypaliły aż trzy ważne projekty. Były starannie zaplanowane i przeanalizowane komputerowo.

James Wong nigdy nie umiał robić nieprzeniknionej miny typowego Azjaty. Był potężnie zbudowany jak na swoją rasę, bardzo zdyscyplinowany, szybki i niebezpieczny niczym skrzyżowanie czarnej mamby ze żmiją afrykańską. Dosłużył się stopnia majora w Siłach Specjalnych. U Zale'a dowodził ludźmi do brudnej roboty, zwanymi Żmijami.

Szarpnął wściekle kołowrotek.

- Sprawy wymknęły się spod kontroli - warknął. - Kiedy "Emerald Dolphin" rozpadł się i zatonął, nagle pojawili się tamci naukowcy z NUMA. Udało im się zanurkować i zbadać wrak. Porwaliśmy załogę ich statku, ale uciekli. Według moich źródeł, odwalili też kawał roboty przy ratowaniu "Golden Marlina". Są jak zaraza.

- I jak pan to wyjaśni, panie Wong? NUMA to agencja oceanograficzna, nie wojskowa, wywiadowcza czy dochodzeniowa. Jej zadaniem jest badanie mórz. Jakim cudem potrafiła przeszkodzić najlepszym zawodowym najemnikom w wykonaniu operacji?

Wong odłożył wędkę i kołowrotek.

- Nie mogłem przewidzieć, że ci z NUMA to tacy spryciarze. Po prostu mieliśmy pecha.

- Nie lubię przegrywać - powiedział beznamyślnie Zale. - Wypadki przy pracy to wina złego planowania, błędy to wina niekompetencji.

- Bardzo żałuję, że tak wyszło - odrzekł Wong.

- Poza tym Ono Kanai niepotrzebnie się wygłupił w Nowym Jorku. Przez niego straciliśmy drogą, zabytkową maszynę. Po co próbował zestrzelić samolot z dziećmi? Na czyje polecenie?

- Działał na własną rękę, ale nadział się na Pitta. Kazał nam pan eliminować wszystkich przeciwników. A na pokładzie była Kelly Egan.

- Dlaczego chciał ją zabić?

- Bo mogła go rozpoznać.

- Mieliśmy szczęście, że przez niego policja nie trafiła do Żmij, a potem do Cerbera.

- I nie trafi - zapewnił Wong. - Jak zwykle podsunęliśmy im tyle fałszywych tropów, że nigdy nie znajdą właściwego.

- Osobiście załatwiłbym to inaczej - odparł lodowato Zale.

- Liczą się efekty - sprzeciwił się Wong. - Silniki Egana już nie wejdą do produkcji. Przynajmniej do czasu zakończenia śledztwa w sprawie katastrof "Emerald Dolphina" i "Golden Marlina". A to potrwa rok albo dłużej. Egan nie żyje i niedługo zdobędziemy wzór chemiczny Slicka 66.

- Zobaczymy.

- Przydzieliłem do tego Kanai. - Tym razem nie nawali.

- A co z Joshem Thomasem? Nic z niego nie wyciśniemy.

Wong roześmiał się.

- Ten stary pijaczyna lada chwila wszystko nam wyśpiewa. Obiecuję.

- Skąd wiesz?

- Kanai chce się zrehabilitować za wcześniejszy nieudany występ. Po wybuchu na łodzi podwodnej porwał z pokładu Kelly Egan. Zabierają samolotem do domu jej ojca w New Jersey.

- Domyślam się, że będzie ją torturował na oczach Thomasa, żeby zmusić go do zdradzenia nam wzoru chemicznego oleju.

- Niezbyt pomysłowy plan, ale powinien się udać.

- A co z ochroną farmy?

- Znaleźliśmy sposób, jak się tam dostać bez uruchomienia alarmu.

- Kanai miał szczęście, że kazał mu pan wracać tutaj, zanim jego ludzie i statek wylecieli w powietrze na wyspach Kermadec.

- Wezwałem go z innych powodów.

Zale milczał przez chwilę.

- Chcę załatwić tę sprawę raz na zawsze - odezwał się w końcu. - Nikt nie może nam przeszkadzać w realizacji naszych projektów. Nie życzę sobie dalszych błędów. Może powinienem znaleźć kogoś nowego do kierowania operacjami Żmij bez komplikacji?

Zanim Wong zdążył odpowiedzieć, wędka Zale'a wygięła się w literę U. Ryba chwyciła przynętę i rzuciła się w wodzie. Ważyła na oko trzy kilogramy. Zale zmęczył ją, potem przyciągnął do łódki. Wong podebrał ją siatką obok burty i patrzył, jak ciska mu się między stopami.

- Ładna sztuka - pochwalił.

Zadowolony prezes Cerbera wyciągnął haczyk z pyska ryby i wyjął z pudełka nową przynętę.

- Słońce jest coraz wyżej - powiedział. - Spróbujemy inaczej.

W mózgu Wonga zapaliło się światełko ostrzegawcze. Spojrzał Zale'owi w oczy, żeby coś z nich wyczytać.

- Sugeruje pan, że nie nadaję się już na szefa Żmij?

- Uważam, że ktoś inny mógłby sobie lepiej radzić.

- Pracuję dla pana lojalnie od dwunastu lat - przypomniał ze złością Wong. - To się nie liczy?

- Niech mi pan wierzy, że doceniam... - zaczął Zale i nagle wskazał wodę za plecami Wonga. - Bierze panu!

Wong obejrzał się. Za późno przypomniał sobie, że nie rozplątał żyłki i jego wędka leży w łódce. Zale błyskawicznie porwał z pudełka strzykawkę i wbił mu igłę w szyję.

Trucizna zadziałała niemal natychmiast. Wong wytrzeszczył oczy i osunął się tyłem na dno łódki.

Zale spokojnie sprawdził mu puls. Nic nie wyczuł. Przywiązał do kostek Wonga linkę z dużą puszką zalaną cementem. Służyła w łódce za kotwicę. Wyrzucił ją za burtę i wypchnął ciało. Patrzył obojętnie na wodę, dopóki nie zniknęły pęcherzyki powietrza.

Ryba na dnie łódki jeszcze się ciskała, ale szybko słabła. Rzucił ją za Wongiem.

- Wybacz, przyjacielu - powiedział - ale jedna porażka prowadzi do następnej. Kiedy przytępią ci się zmysły, czas cię kimś zastąpić.

Fred Ames stracił cierpliwość i pod osłoną drzew podkrał się ostrożnie do jeziora. Zobaczył samotnego wędkarza wiosłującego w stronę limuzyny.

- Dziwne - mruknął do siebie. - Dałbym głowę, że było ich dwóch.

Drużyna zreorganizowanych Żmij - dowodzonych teraz przez Ono Kanai - ustaliła, kiedy zmieniają się ochroniarze na farmie Egana. Potem z powietrza wytopiła i sfotografowała ich tajną kwaterę. Ludzie Kanai przebrali się za zastępców szeryfa i podjechali do bramy fałszywym radiowozem. Zabili strażnika, weszli do domu i złapali Josha Thomasa. Później wezwali resztę ochrony farmy pod pozorem nagłej odprawy na temat nowego programu bezpieczeństwa.

Kiedy ochroniarze stawili się w domu, zostali zastrzeleni i wrzuceni do piwnicy pod stodołą.

Ono Kanai przyleciał na pobliskie lotnisko nieoznakowanym odrzutowcem Cerbera. Wpakował półprzutomną Kelly do bagażnika samochodu i pojechał na farmę jej ojca. Wniósł dziewczynę do pokoju i rzucił na podłogę przed przywiązany do krzesła i zakneblowanym Thomasem.

Naukowiec zaczął się szarpać i kląć niezrozumiale, ale tylko rozśmieszył pięciu mężczyzn. Zdążyli już zdjąć fałszywe mundury policyjne i włożyć swoje czarne ubrania.

- Wszystko poszło dobrze? - zapytał Kanai.

Dwumetrowy mięśniak o wadze prawie stu czterdziestu kilogramów kiwnął głową.

- Ochroniarze Egana byli kiepscy. Od razu kupili bajeczkę o szeryfie.

- Gdzie teraz są?

- Załatwiliśmy ich.

Zadowolony Kanai popatrzył na krzywy uśmiech szczerbatego kumpla z bliznami na twarzy, złamanym nosem i kałafiorowatym uchem.

- Dobra robota, Darfur - pochwalił.

Pod gęstą grzywą czarnych włosów błyszcząły ciemne, okrutne oczy. Kanai i Darfur pracowali razem od lat. Poznali się podczas likwidowania irańskiej grupy terrorystycznej. Wielki Arab wskazał Thomasa.

- Zwróć uwagę, że nie uszkodziłem go zewnątrz. Ale zmiękczyłem na tyle, że zaraz wszystko ci wyśpiewa.

Kanai przyjrzał się skrzywionemu z bólu Thomasowi. Nie wątpił, że Darfur połamał mu zębra. Zobaczył też wściekłość w oczach naukowca na widok Kelly. Uśmiechnął się do Thomasa i kopnął dziewczynę w brzuch. Jęknęła żałośnie i uniosła powieki.

- Pobudka, panno Egan. Czas przekonać pana Thomasa, że musi nam zdradzić sekret pani ojca.

Kelly zwinęła się w kłębek i ścisnęła brzuch. Z trudem łąpała powietrze. Jeszcze nigdy tak nie cierpiała. Kanai wiedział, gdzie wycelować. Po chwili uniosła się na łokciu i spojrzała na Thomasa.

- Nie mów tej świni, Josh...

Urwała, kiedy Kanai przydepnął jej szyję i przydusił głowę do dywanu. Zabrakło jej tchu.

- Jest pani strasznie uparta - wycedził lodowato. - Lubi pani ból? Proszę bardzo...

Do pokoju wszedł człowiek z radiem.

- Odebrałem meldunek, że do bramy zbliża się jakiś samochód. Mamy go spławić?

Kanai zastanowił się.

- Wpuście go. Zobaczymy, kto to. Jeśli odjedzie z kwitkiem, nabierze podejrzeń.

- Dobra, mistrzu - ziewnął Giordino, zmęczony nagłym lotem z Miami. - Jak planujesz otworzyć wrota tego zamczyska?

- Wystukam kod - rzekł Pitt zza kierownicy starego forda pikapa, który pożyczycyli od sprzedawcy maszyn rolniczych.

- Znasz kombinację?

- Nie.

- Niecałą godzinę temu wywlokłem cię z łodzi podwodnej. Ciągniesz mnie tutaj, bo masz jakieś głupie przeczucie, że Kanai przywiózł Kelly do laboratorium jej ojca. I nie znasz kodu?!

- To najlepsze miejsce, żeby wydusić z niej i Thomasa informacje. Wzór chemiczny musi być schowany gdzieś tutaj.

Giordino patrzył na masywną bramę i wysoki mur.

- Więc jakiego sprytnego gadżetu użyjesz, żeby tam wjechać?

Pitt nie odpowiedział. Wychylił się przez okno samochodu i wcisnął kilka guzików.

- To powinno wystarczyć. Kelly miała zapasowego pilota z innym kodem.

- A jeśli Kanai i jego kołesie obeszli alarm i załatwili ochronę? Myślisz, że nas wpuszczą?

- Tak. Wprowadziłem do kodu nazwę Cerbera.

Giordino przewrócił oczami.

- Gdybym miał choć odrobinę rozumu, dałbym stąd nogę.



- Jeśli się pomyliłem, brama się nie otworzy, przyjechaliśmy na darmo i nie uratujemy Kelly - powiedział ponuro Pitt.

- Nie pękaj - pocieszył go Giordino. - Jakoś ją znajdziemy.

Wielka brama zaczęła się wolno otwierać.

- Udało się - odetchnął Pitt.

- Oczywiście wiesz, że będą czekali w zasadzce, żeby podziurawić nas kulami?

Pitt wrzucił bieg i wjechał przez bramę.

- My też mamy broń.

- Jasne - zadrwił Giordino. - Twojego zabytkowego colta i śrubokręt, który znalazłem w skrytce tego grata. A tamci są uzbrojeni jak na wojnę.

- Może coś skombinujemy po drodze.

Pitt minął pole i zwolnił przy winnicy. Czekał, aż podniesie się zaporą na drodze. Do samochodu podszedł jeden z ludzi Kanai w mundurze ochroniarza. Na piersi trzymał automatyczny karabin szturmowy. Zajrzał do kabiny.

- Słucham panów?

- Jest Gus? - zapytał niewinnie Pitt.

- Zachorował - odpowiedział strażnik i poszukał wzrokiem broni w samochodzie. Nic nie znalazł i odprężył się.

- A jak jego córeczka?

Ochroniarz lekko uniósł brwi.

- O ile wiem, zdrowa...

Urwał, kiedy Pitt dzielił go w czoło kolbą pistoletu ukrytego pod prawym udem. Wartownik zrobił zeza i osunął się na ziemię.

Zanim zdążył całkiem upaść, Pitt i Giordino powlekli go przez winnicę do pnia wielkiego drzewa. Tu wciągnęli faceta po ośmiu stopniach do podziemnego pokoju obserwacyjnego ochrony. Na ścianie wisiało dwadzieścia monitorów. Ruchome kamery przekazywały obrazy z farmy i wnętrza domu. Pitt zamarł na widok związanego Thomasa i zwiniętej na podłodze Kelly. Wściekł się, ale ulżyło mu, że dziewczyna żyje i jest zaledwie kilkaset metrów dalej. Pięciu ludzi z drużyny Żmij najwyraźniej nie wiedziało, że są obserwowani.

- Znaleźliśmy ją! - ucieszył się Giordino.

Pitt znów poczuł wściekłość.

- Na szczęście jeszcze żyje, ale te męty dają jej ostry wycisk.

- Tylko nie szarżuj jak Siódmy Pułk Kawalerii pod Little Big Horn - odparł Giordino.

- Możemy stąd wysledzić, gdzie jest reszta koleśków Kanai.

- Ale musimy się pospieszyć. Czekają na meldunek o nas od tego na podłodze.

Giordino usiadł przy konsoli. Pitt znalazł czarne ubranie fałszywego ochroniarza i popatrzył na nieprzytomnego faceta. Byli prawie tego samego wzrostu i budowy. Szybko przebrał się w czarne spodnie i sweter. Buty okazały się trochę za małe, ale jakoś wcisnął je na nogi. Potem włożył kominiarkę.

- Ci goście nie krępują się zabijaniem - powiedział Giordino, kiedy monitor pokazał trupy ochroniarzy Egana w piwnicy pod stodołą.

Przełączył się na następną kamerę.

- Oprócz tamtych pięciu w domu, naliczyłem jeszcze dwóch - dodał. - Jeden pilnuje tylnych drzwi od strony jeziora, drugi stodoły.

- Więc razem z naszym przyjacielem na podłodze mamy ośmiu.

- Czas wezwać posiłki.

Pitt wskazał głową trzy telefony na pulpicie.

- Zawiadom biuro szeryfa o sytuacji i poproś o jednostkę specjalną SWAT.

- A ty? Co knujesz?

- W tym stroju mogę udawać jednego z nich. Nie zaszkodzi mieć kogoś wewnątrz, kiedy rozpęta się piekło.

- A ja? - zapytał Giordino.

- Siedz tutaj, obserwuj sytuację i kieruj drużyną SWAT.

- A jeśli zadzwoni Kanai i zapyta, kto przyjechał samochodem i gdzie się podział?

- Coś wymyślisz. Na przykład, że to byli sprzedawcy nawozów i zająłeś się nimi.

- Jak się stąd dostaniesz do domu Egana?

- Winnica kończy się blisko drzwi frontowych. Podkradnę się między pnączami i wskoczę na ganek. Najgorzej będzie przebiec przez trawnik.

Giordino uśmiechnął się lekko.

- Nie wpakuj nas w następne szambo, Stanley.

- Obiecuję, że będę grzeczny, Ollie.

Giordino odwrócił się z powrotem do monitorów. Pitt wspiął się po schodkach i wymknął przez stary pień drzewa między winorośle.

Pitt bał się o Kelly i jednocześnie pragnął zemsty. Nie do wiary, że korporacja Cerber i gang Żmij mogli zamordować tyle osób. Dla zysku? Dla władzy? To obłąd.

Biegł schylony między rzędami krzewów. Buty zapadały się w miękką ziemię. Nie wziął automatu ogłuszonego wartownika. Rzadko strzelał z karabinu. Wolał swój stary

pistolet. Miał przy sobie tylko colta i dwa zapasowe magazynki. Letni dzień był upalny i duszny. Zaczynał się pocić pod kominiarką. Nie chciał jej zdejmować, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Żmije zawsze zasłaniały twarze.

Po stu metrach winnica kończyła się nieopodal ganku. Oddzielał ją tylko wąski pas starannie przystrzyżonej trawy. Wartownicy za domem i przy stodole nie zauważiliby Pitta, ale mogli go zobaczyć ludzie w domu. Przebiegnięcie piętnastu metrów otwartej przestrzeni przypominało bardziej zabawę w niewidzialnego człowieka niż tajną akcję. Pitt popatrzył w okna i dostrzegł jakiś ruch w pokoju. Wyjście z ukrycia było ryzykowne.

Piętnaście metrów do pierwszej kolumny ganku. Piętnaście metrów trawy w pełnym słońcu. Pitt posuwał się ostrożnie skrajem winnicy, dopóki nie zasłoniły go kotary. Nagły ruch mógł kogoś zaalarmować. Uważał na strażnika za domem i skradał się wolno przez podwórze, niczym kot do ptaka wydziobującego robaki.

Na ganek prowadziło pięć drewnianych stopni. Wszedł się wolno i cicho. Modlił się, żeby nie skrzypnęła jakaś deska. Ale nic się nie stało. Odetchnął z ulgą. Po kilku sekundach przywarł plecami do ściany przy rogu domu. Pół metra dalej było duże okno wykuszowe od salonu. Położył się i przeczołgał pod parapetem w stronę wejścia. Wstał, przekręcił powoli klamkę i ostrożnie zerknął do środka. W holu nie było nikogo. Wśliznął się do domu jak cień.

Salon nie miał drzwi, tylko otwarte łukowe przejście. Obok stała donica z rośliną tropikalną. Pitt schował się za nią i zajrzał do pokoju. Patrzył długo, żeby dobrze zapamiętać, gdzie kto jest.

Na środku siedział związany, pobity Thomas. Z czoła, nosa i uszu ciekła mu krew. Pitt rozpoznał w Ono Kanai pilota czerwonego fokkera. Szef Żmij siedział niedbale rozwalony na skórzanej sofie. Opierał się o podłokietnik i spokojnie palił papierosa. Dwaj ludzie w czerni stali przy kominku z bronią gotową do strzału. Trzeci przykładał nóż do oka Thomasa. Czwarty - wielki mięśniak - trzymał Kelly w powietrzu za włosy. Wrywała się i machała nogami kilka centymetrów nad podłogą. Jęczała z bólu.

Pitt cofnął się. Był ciekaw, czy Giordino widzi go na monitorze. Nie mógł po prostu wejść do salonu i powiedzieć: "Czas do bozi, sukinsyny". Nie dożyłby późnej starości. Faceci w czerni bez namysłu podziurawiliby go jak sito. Od lat ćwiczili się w zabijaniu i podejmowali decyzje natychmiast.

Zabijanie było dla nich czymś tak zwyczajnym, jak mycie zębów. Pitt nie potrafiłby zastrzelić człowieka z zimną krwią. Co innego w samoobronie. Usprawiedliwiał się teraz przed sobą, że pociągając za spust, mógłby uratować życie Kelly i Joshowi. Ale czarno widział swoje szansę.

Wprawdzie w stroju gangstera miałby po swojej stronie element zaskoczenia, ale uznał, że zyska dodatkowo dwie sekundy przewagi, gdyby otworzył ogień z kryjówki za donicą. Tamci nie od razu zorientowaliby się, skąd padają strzały. Można byłoby wybrać najważniejsze cele.

Szybko odrzucił ten pomysł. Załatwiłby dwóch czy trzech, ale reszta zasypałaby go gradem pocisków. Zabłąkana kula mogłaby trafić Kelly lub Thomasa. Postanowił grać na zwłokę i czekać na SWAT. Położył colta na stoliku przy donicy, wszedł do salonu i stanął bez słowa.

W pierwszej chwili nikt go nie zauważył. Wszyscy patrzyli na Kelly, którą tarł Darfur. Dziewczyna płakała i Pitt cierpiał, że nie może jej pomóc. Oceniał, że drużyna SWAT zjawi się za pięć minut. Za długo. Nie wytrzymał.

- Niech ten grubas ją puści - powiedział spokojnie do szefa Żmij.

Kanai ze zdumienia uniósł brwi.

- Co?!

- Niech twój tłusty koleś zabierze swoje brudne łapy od dziewczyny - odparł Pitt i ściągnął kominiarke.

Bandyci zrozumieli, że to obcy i wycelowali w niego broń.

- To ty! - wymamrotał zaskoczony Kanai. - Nie strzelajcie!

Kelly na moment zapomniała o bólu.

- Po co tak ryzykujesz?! - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Jeśli grubas jej nie puści, Kanai, zginiesz pierwszy - ostrzegł Pitt.

Kanai popatrzył na niego z rozbawieniem.

- Naprawdę? A kto mnie zabije? Ty?

- Za moment będzie tu SWAT. Możesz uciec tylko drogą. Jesteś w pułapce.

Kanai dał znak głową mięśniakowi.

- Postaw panią na ziemi, Darfur.

Odwrócił się do Pitta.

- Nie wierzę ci. Zabiłeś mojego człowieka przy bramie?

- Nie. Wpakowałem go tylko nieprzytomnego do centrum bezpieczeństwa i pożyczyłem sobie jego łachy.

- Mamy rachunki do wyrównania, Pitt. Zgadzasz się ze mną?

- Osobiście uważam, że należy mi się medal za utrudnianie ci życia. Ty i twoi kumple pasujecie do Parku Jurajskiego.

- Będziesz miał powolną i bolesną śmierć, Pitt.

Otóż to, pomyślał Pitt. Nie zabije mnie szybko. Musi się zrewanżować. Kiepska sytuacja. Ciekawe, co myśli Giordino, kiedy ogląda to na monitorze? I kiedy przyjadą gliny? Trzeba grać na czas.

- Przerwałem wam jakąś zabawę, kiedy wpadłem tu na imprezę?

Kanai przyjrzał mu się uważnie.

- Mieliśmy przyjacielską pogawędkę z panną Egan i panem Thomasem o pracach doktora Egana.

- Domyślałem się, że znów chodziło o wzór chemiczny oleju. Jesteś strasznie niezaradny, Kanai. Chyba wszyscy w New Jersey znają już ten wzór, tylko nie ty i twoi kołesie z Cerbera.

- Masz dobre informacje.

Pitt wzruszył ramionami.

- Zależy, co przez to rozumiesz.

Kelly pochyliła się nad Thomasem. Wyjęła mu knebel i ścierała mu swoim swetrem krew z twarzy. Widać jej było stanik. Thomas patrzył na nią i mamrotał podziękowania. Zwalisty Darfur stał za Pittem. Wyglądał jak kojot, który zapędził królika do dziury bez wyjścia.

- Możesz mi się przydać - powiedział Kanai, a potem zwrócił się do Kelly. - Poproszę o wzór chemiczny oleju, panno Egan, albo przestrzelę mu kolana, później łokcie, a później rozwalę bębunki w uszach.

Kelly popatrzyła z rozpaczą na Pitta. Nie mogła narażać Pitta i Thomasa. Załamała się.

- Wzór jest ukryty w pracowni ojca.

- Gdzie? - warknął Kanai. - Wszystko już dokładnie przeszukaliśmy.

Otworzyła usta, ale Pitt ją powstrzymał.

- Nie mów mu. Cerber nie zasługuje na taki prezent. Lepiej niech nas zastrzela.

- Dosyć tego! - wkurzył się Kanai, wyciągnął spod pachy pistolet i wycelował w kolano Pitta. - Widzę, że pannie Egan przyda się mała perswazja.

Darfur stanął przed Pittem.

- Jeśli pozwolisz, ja się z nim pobawię.

Kanai uśmiechnął się do olbrzyma.

- Gdybym ci odmówił, podałbym w wątpliwość twoją siłę perswazji, przyjacielu. Jest twój.

Pitt udał przerażonego. Kiedy Darfur odwrócił się, żeby oprzeć karabin o krzesło,

kopnął go kolanem w krocze. Trochę źle wymierzył i nie trafił w genitalia, lecz w pachwinę.

Zaskoczony bandyta zgiął się i zacharczał z bólu. Ale prawie natychmiast doszedł do siebie. Złożył dłonie i walnął Pitta w pierś jak młotem. Pitta zatkało, przeleciał przez stół i wylądował na dywanie. Jeszcze nigdy nie dostał takiego ciosu. Ukłęknął i próbował złapać oddech. Drugi taki atak i będzie się nadawał do kostnicy. Wiedział, że nie pokona olbrzyma gołymi rękami. Musiałby mieć mięśnie jak rury kanalizacyjne. Potrzebował jakiejś broni. Chwycił stolik do kawy i trzasnął Darfura w łeb, aż poleciały drzazgi. Facet miał chyba czaszkę ze stali. Trochę zmętniał mu wzrok i zachwiał się lekko. Pitt spodziewał się, że Darfur upadnie i przygotował się do skoku po broń Kanai. Ale osiłek otrząsnął się jak mokry pies i zaatakował.

Pitt walczył o życie i przegrywał. Bokserzy mówią, że dobry mały zawodnik nie wygra z dobrym dużym przeciwnikiem. Przynajmniej nie w uczciwej walce. Pitt rozejrzał się gorączkowo za nową bronią. Porwał ze stołu ciężką lampę ceramiczną i cisnął oburącz zza głowy. Odbiła się od ramienia Darfura jak kamień od czołgu. W powietrzu poszybował telefon, waza i zegar z kominka. Bombardowanie nie wywarło żadnego wrażenia na górze mięsa.

Pitt wyczytał w zimnych, okrutnych oczach, że olbrzym ma dosyć zabawy. Darfur rzucił się przez pokój niczym obrońca na quarterbacka. Al Pitt był zwinniejszy i zrobił unik. Żywy pociąg ekspresowy minął go i zderzył się z fortepianem. Pitt podbiegł, złapał stółek obrotowy i zamachnął i na Darfura.

Nie zdążył uderzyć.

Kelly wisiała na plecach szefa Źmij i dusiła go. Kanai strząsnął ją i zdzielił Pitta w głowę kolbą pistoletu. Pitt nie zemdlał, ale opadł z bólu na kolana. Na moment pociemniało mu w oczach. Kiedy oprzytomniał, usłyszał krzyk Kelly. Zobaczył, że Kanai wykręca jej rękę. Lada chwila mógł ją złamać. Dziewczyna próbowała odebrać mu broń, kiedy obserwował walkę Pitta z Darfurem.

Pitt poczuł, że ktoś szarpnął go w górę. Olbrzym opasywał mu pierś ramionami i ścisnął jak wąż boa. Zaczynało mu brakować powietrza. Otworzył usta, ale nie mógł oddychać. Ogarnęła go ciemność. Już po mnie, pomyślał. Zaraz trzasną mi żebra. Nagle stalowy chwyt zelżał.

Jak przez mgłę zobaczył Giordina. Włoch wyróżnął Kanai od tyłu w nerki. Szef Źmij zgiął się wpół i puścił rękę Kelly. Wypadł mu pistolet.

Jego ludzie wycelowali karabiny w Ala. Czekali na rozkaz.

Darfur spojrzał na intruza. Kiedy zobaczył, że nowy przeciwnik nie ma broni i jest

niższy od niego, zrobił pogardliwą minę.

- Zostawcie go mnie - warknął.

Puścił Pitta, który zwał się na podłogę, zrobił dwa kroki, złapał Giordina w pasie jak niedźwiedź i podniósł. Patrzyli sobie w oczy z odległości kilku centymetrów. Darfur wykrzywił twarz w szyderym uśmiechu, Giordino nie okazywał żadnych emocji.

Olbrzym zaczął zaciskać ramiona jak imadło. Włoch wyciągnął do góry wolne rękę, ale mięśniak to zignorował. Skoncentrował się na zgniataniu niskiego przeciwnika.

Lekko zamroczony i obolały Pitt czołgał się przez pokój. Łapczywie chwytał powietrze, pękała mu głowa. Kelly wskoczyła z tyłu na Darfura, jak wcześniej na Kanai. Zasłaniała mu oczy i szarpała go za włosy. Osilek złapał ją jedną ręką i odrzucił jak manekin sklepowy. Wylądowała na sofie. Olbrzym wrócił do duszenia Giordina.

Ale mały Włoch nie potrzebował pomocy. Z całej siły zacisnął palce na gardle Darfura. Bandyta nagle zdał sobie sprawę, że to on patrzy śmierci w oczy. Drwina na jego twarzy zamieniła się w strach. Tracił oddech. Na zmianę walił Giordina pięściami w pierś i próbował uwolnić szyję. Ale Włoch nie puszczał. Wisiał na gardle ofiary niczym bezlitosny buldog, a olbrzym miotał się po salonie.

Nagle zwał się z jękiem na podłogę jak ścięte drzewo. Giordino wylądował na nim. W tej chwili na zwirowym podjeździe zahamowały wozy patrolowe i furgonetki SWAT. Dom zaczęli otaczać uzbrojeni po zęby gliniarze. Rozległ się warkot helikopterów.

- Do tylnych drzwi! - krzyknął Kanai do swoich ludzi. Złapał Kelly w tali i powłókł do wyjścia.

- Zrób jej coś, a rozerwę cię na strzępy - ostrzegł lodowato Pitt.

Kanai szybko ocenił szansę ucieczki z szarpiącą się dziewczyną.

- Bez obaw - odparł i pchnął ją przez pokój do Pitta. - Na razie jest twoja. Do naszego następnego spotkania.

Pitt próbował gonić Kanai, ale potknął się i zrezygnował. Nie miał siły na bieganie. Oparł się o kredens w kuchni i czekał, aż zelżeje ból, a w głowie się rozjaśni. Potem wrócił do salonu, gdzie Giordino przecinał więzy Thomasowi, a Kelly przemywała pokaleczoną twarz naukowca szmatką nasączoną whisky.

Pitt spojrzał na leżącego Darfura.

- Trup?

Giordino pokręcił głową.

- Nie całkiem. Pomyślałem, że lepiej go nie zabijać. Może coś wyśpiewa policji i FBI.

Pitt uśmiechnął się lekko.

- Nie spieszyłeś się do nas.

Giordino wzruszył ramionami.

- Wystartowałem dwie sekundy po tym, jak zobaczyłem, że cię uziemili. Ale po drodze musiałem się zająć strażnikiem przy stodole.

- Dzięki - odrzekł szczerze Pitt. - Gdyby nie ty, byłoby po mnie.

- Ratowanie twojego tyłka zaczyna mnie nudzić.

Giordino zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Pitt podszedł do Thomasa i pomógł mu wstać.

- Jak forma, stary?

Thomas uśmiechnął się dzielnie.

- Kilka szwów i będę jak nowy.

Pitt objął Kelly.

- Twarda jesteś - pochwalił.

Popatrzyła mu w oczy.

- Uciekł?

- Kto?

- Kanai.

- Obawiam się, że tak. Chyba że ludzie szeryfa jeszcze go złapią.

- Nie uda im się - powiedziała ze smutkiem. - Wróci tutaj i zemści się. Szefowie Cerbera nie zrezygnują ze zdobycia wzoru chemicznego taty.

Pitt wpatrywał się w okno, jakby czegoś szukał na horyzoncie.

- Mam wrażenie - odezwał się w końcu - że nie tylko o to im chodzi.



Było późne popołudnie. Darfura i dwie inne pokonane Żmije wyprowadzono w kajdankach do radiowozów. Zostali oskarżeni o zamordowanie ochrony Egana. Kelly i Thomas złożyli zeznania. Detektywi z wydziału zabójstw przesłuchali też Pitta i Giordina. Kelly miała rację, zastępcy szeryfa nie złapali Ono Kanai. Pitt doszedł jego tropem do wysokiego urwiska nad rzeką Hudson i znalazł linę zwisającą nad wodą.

- Musiał mieć łódź - zauważył Giordino.

Pitt stał z przyjacielem na krawędzi urwiska i patrzył w dół na rzekę. Potem przyjrzał się pagórkom i lasom na drugim brzegu w stanie Nowy Jork. W dolinie Hudson leżały małe miasteczka. Okolica zyskała sławę dzięki pisarzowi Washingtonowi Irvingowi.

- Spryciarz z tego Kanai. Zabezpiecza się ze wszystkich stron.

- Myślisz, że Żmije wyśpiewają coś gliniarzom? - zapytał Giordino.

- To chyba bez znaczenia. - Ten gang prawdopodobnie działa w małych zespołach, które nie znają się wzajemnie. Łańcuch dowodzenia kończy się dla nich na Kanai. Założę się, że nie mają pojęcia, kto naprawdę wszystkim kieruje.

- Szefowie Cerbera nie są głupi. Nie zostawiają śladów prowadzących do ich drzwi.

Pitt przytaknął.

- Oskarżyciele rządowi nigdy nie znajdą takich dowodów, żeby ich skazać. Jeśli kiedykolwiek ktoś ich ukarze, to nie prawo.

Z domu nadeszła Kelly.

- Jesteście głodni?

Giordino uśmiechnął się.

- Ja zawsze jestem.

- Zrobiłam lekką kolację, a Josh przyrządził drinki. Margarity.

Pitt objął ją w pasie.

- Kochanie, właśnie wymówiłaś magiczne słowo.

Stwierdzenie, że doktor Elmore Egan miał eklektyczny gust, byłoby zbyt skromne. Salon urządzone we wczesnym stylu kolonialnym, kuchnię musiał zaprojektować fanatyk nowoczesnej techniki, jadalnia przypominała chatę wikingów. Stały tu ciężkie, dębowe stoły i krzesła ozdobione wymyślnymi rzeźbami.

Pitt, Giordino i Thomas sęczyli mocne margarity, Kelly nakładała na talerze zapiekanek z tuńczyka i sałatkę z białej kapusty. Mimo ciężkich przeżyć, nikt nie stracił apetytu.

Po jedzeniu przeszli do salonu i ustawili meble na swoich miejscach. Thomas nalał każdemu kieliszek czterdziestoletniego porto.

Pitt spojrzał na Kelly.

- Powiedziałaś Kanai, że wzór chemiczny oleju jest ukryty w pracowni twojego ojca.

Zerknęła na Thomasa, jakby pytała o pozwolenie. Uśmiechnął się lekko i kiwnął głową.

- Tata schował teczkę z papierami w panelu drzwi.

Giordino wolno zamieszał porto w kieliszku.

- Nawet ja bym na to nie wpadł.

- Twój tata był sprytny.

- A Josh to kawał twardziela - pochwalił Giordino. - Dostał ostry wycisk, ale niczego nie zdradził.

Thomas pokręcił głową.

- Gdyby nie zjawił się Dirk, powiedziałbym Kanai, gdzie jest wzór, żeby oszczędzić Kelly dalszych tortur.

- Być może - odrzekł Pitt. - Ale kiedy zobaczyli, że nic z ciebie nie wyduszą, wzięli w obroty Kelly.

- Mogą tu wrócić - zaniepokoiła się dziewczyna. - Nawet jeszcze dziś.

- Bez obaw - uspokoił ją Pitt. - Kanai będzie potrzebował czasu, żeby zebrać nowy zespół. Nieprędko znów spróbuje.

- Ale lepiej się zabezpieczyć - powiedział poważnie Thomas. - Kelly musi stąd zniknąć i ukryć się.

- To prawda - przyznał Pitt. - Kanai na pewno pomyśli, że teraz schowacie wzór poza farmą. Nadal będziecie jego jedynym kluczem do tej zagadki.

- Mogłabym polecieć z tobą i Alem do Waszyngtonu - podsunęła Kelly z chytrym błyskiem w oku. - Pod twoją opieką byłabym bezpieczna.

Pitt odstawił pusty kieliszek.

- Jeszcze nie wiemy, czy wrócimy do Waszyngtonu. Pokażesz nam pracownię ojca?

- Nie ma tam wiele do oglądania - uprzedził Thomas i zaprowadził ich do stodoły. - Niezbyt imponujące miejsce, ale to właśnie tu opracowaliśmy Slick 66.

Wewnątrz stały trzy stoły z typową aparaturą laboratoryjną. Pitt obszedł pracownię

dookoła.

- Niezupełnie tego się spodziewałem.

Thomas zrobił zdziwioną minę.

- Nie rozumiem.

- Doktor Egan nie mógł tu zaprojektować swoich silników magnetohydrodynamicznych - odparł z naciskiem Pitt.

- Dlaczego? - zapytał ostrożnie Thomas.

- Bo to tylko laboratorium chemiczne. Doktor Egan był genialnym inżynierem. Nie widzę stołów kreślarskich, komputerów z obrazem trójwymiarowym, przyrządów do konstruowania modeli. Wybaczcie, ale wynalazca nie stworzyłby tutaj przełomowego źródła napędu.

Pitt urwał i przyjrzał się Kelly i Thomasowi. Stali ze wzrokiem utkwionym w drewnianej, poplamionej podłodze.

- Dlaczego kręcicie?

- Niczego nie ukrywamy - zapewnił poważnie Thomas. - Po prostu nie wiemy, gdzie Elmore prowadził badania. Był wspaniałym człowiekiem i przyjacielem, ale prawie wszystko trzymał w tajemnicy. Znikał na wiele dni - czasem tygodni - w swojej pracowni technicznej, której nikt nie znał. Próbowaliśmy go śledzić przy różnych okazjach, ale zawsze się nam wymykał.

- Myślicie, że tamta pracownia jest gdzieś na tej farmie? - zapytał Pitt.

- Nie wiemy - odrzekła Kelly. - Kiedy tata wyjeżdżał w interesach lub na wyprawy naukowe, szukaliśmy jej tutaj. Bez skutku.

- Nad czym pracował w chwili śmierci?

Thomas bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiem. Nie wtajemniczył mnie. Wspomniał tylko, że to rewolucyjny wynalazek.

- Byłeś jego najbliższym przyjacielem - zauważył Giordino. - Dziwne, że nic ci nie zdradził.

- Nie znaliście go. Miał dwie twarze. Raz był zamyślonym, kochającym ojcem i przyjacielem, kiedy indziej wynalazcą paranoikiem, który nie ufał nawet najbliższym osobom.

- Miał jakieś hobby? - zapytał Pitt.

Josh i Kelly popatrzyli na siebie.

- Pasjonowała go historia wikingów - odpowiedział Thomas.

- I książki Juliusza Verne'a - dodała Kelly. - W kółko je czytał.

Pitt wskazał pracownię.

- Tutaj tego nie widać.

Kelly roześmiała się.

- Jeszcze nie pokazaliśmy ci jego biblioteki.

- Chętnie zobaczę.

- Jest w oddzielnym budynku nad rzeką. Tata postawił go prawie dwadzieścia lat temu. To był jego azyl, uciekał tam, gdy był zmęczony.

Biblioteka Egana przypominała z zewnątrz osiemnastowieczny młyn. Zbudowano ją z kamienia polnego i pokryto dachówką łupkową. Ściany porastał bluszcz. Jedyne nowoczesnym akcentem były świetliki w dachu. Thomas otworzył grube, dębowe drzwi wielkim, staromodnym kluczem.

Wnętrze wyglądało tak, jak Pitt sobie wyobrażał: boazeria, mahoniowe półki z książkami, skórzane fotele i sofa. Wygoda i spokój. Na biurku z palisandru leżały jeszcze papiery. Egan musiał się tu czuć jak ryba w wodzie, pomyślał Pitt. Idealne miejsce do badań naukowych.

Przeszedł się wzdłuż półek. Sięgały od podłogi do sufitu. Po książki na górze wchodziło się po pionowej drabince przesuwanej na kółkach po gzymsie. Na jedynej wolnej ścianie wisiały obrazy statków wikingów. Na stoliku pod nimi stał model okrętu podwodnego. Miał ponad metr długości. Pitt ocenił, że jest w skali co najmniej jeden do pięćdziesięciu. Obejrzał go dokładnie. Doskonała robota, pomyślał. Okręt miał zaokrąglony dziób i rufę, iluminatory w burtach i mały kiosk przesunięty do przodu. Łopatki śruby napędowej przypominały pióra wiosła.

Pitt jeszcze nie widział takiej jednostki pływającej. Mógł ją porównać tylko z planami okrętu podwodnego konfederatów z czasów wojny secesyjnej, które kiedyś studiował.

Pod modelem przytwierdzono mosiężną tabliczkę: "Nautilus". Siedemdziesiąt metrów długości, osiem szerokości. Zwodowany w roku 1863.

- Piękna rzecz - zachwycił się Pitt. - Okręt podwodny kapitana Nemo, prawda? *Z 20 000 tysięcy mil podmorskiej żeglugi?*

- Tata zaprojektował go według książki. Zlecił budowę doskonałemu modelarzowi, Fredowi Torneau.

- Wspaniała robota - przyznał z podziwem Giordino.

Pitt poszedł dalej, patrząc na tytuły książek. Wszystkie opisywały epokę wikingów w latach 793 - 1450. Jeden dział był poświęcony tylko alfabetom runicznym, używanym przez Germanów i Skandynawów od trzeciego do trzynastego wieku.

Kelly zauważyła zainteresowanie Pitta. Podeszła i wzięła go pod rękę.

- Tata był ekspertem od tłumaczenia inskrypcji na kamieniach runicznych rozsianych po kraju.

- Wierzył, że wikingowie dotarli tak daleko na południe?

Przytaknęła.

- W dzieciństwie zwiedziłam z nim i mamą połowę stanów na Środkowym Zachodzie. Obozowaliśmy w starym samochodzie kempingowym. Tata kopiował i studiował inskrypcje na każdym napotkanym kamieniu runicznym.

- Chyba nie ma ich dużo - powiedział Giordino.

- Znalazł trzydzieści pięć - odrzekła Kelly i wskazała półkę pełną notatników. - Wszystko jest tutaj.

- Zamierzał to opublikować? - zapytał Giordino.

- Nie wiem. Jakies dziesięć lat temu zupełnie przestał się tym interesować.

- Wpadł z jednej obsesji w drugą - wyjaśnił Thomas i pokazał inną półkę. - Po wikingach zajął się Juliuszem Verne'em. Kolekcjonował wszystko, co Verne kiedykolwiek napisał.

Pitt wyciągnął i otworzył jedną z książek. Miała skórzaną oprawę, a z przodu i na grzbiecie złożony tytuł *Tajemnicza wyspa*. Na wielu stronach były grube podkreślenia. Wsunął ją na miejsce i cofnął się.

- Nie widzę żadnych notatek o Vernie. Najwyraźniej doktor Egan czytał powieści, ale nie pisał do nich komentarzy.

Thomas wyglądał już na zmęczonego. Usiadł w skórzanym fotelu.

- Jego fascynacja wikingami i Verne'em jest dla mnie zagadką. Nie był człowiekiem, który aż tak poświęca się czemuś dla czystej przyjemności. Zawsze zdobywał nową wiedzę w jakimś celu.

Pitt spojrzał na Kelly.

- Nigdy ci nie mówił, dlaczego tak go interesowali wikingowie?

- Nie tyle oni, ile ich inskrypcje runiczne.

Giordino wziął z półki jeden z notatników Egana. Otworzył go, przerzucił kartki i zrobił zdumioną minę. Zajrzał do drugiego notesu, potem do trzeciego. W końcu podał je innym.

- Wygląda na to, że doktor Egan był większą zagadką, niż wam się wydaje.

Obejrzelni notatniki i popatrzyli na siebie zaskoczeni.

Nigdzie nie znaleźli ani jednej zapisanej strony.

- Nic nie rozumiem - powiedziała zbita z tropu Kelly.

- Ja też nie - odrzekł Thomas.

Kelly sięgnęła po dwa następne notesy. Były czyste.

- Dobrze pamiętam nasze rodzinne wyprawy w poszukiwaniu kamieni runicznych. Tata pokrywał inskrypcje talkiem i fotografował. Wieczorami odczytywał ich treść w wozie kempingowym. Ciągłe mnie wyganiał, bo przeszkadzałam mu w pisaniu. Widziałam na własne oczy, że robił notatki.

- Nie w tych zeszytach - odparł Pitt. - Nie wygląda na to, żeby ktoś wyrwał zapisane kartki i wkleił czyste. Twój ojciec musiał gdzieś schować tamte notatki.

- Bez wątpienia porastają kurzem w jego tajnej pracowni - powiedział Giordino. Nagle stracił sporo szacunku dla doktora Egana.

Kelly posmutniała.

- Po co tata miałby robić coś takiego? Był szczery i uczciwy.

- Widocznie miał ważny powód - pocieszył ją Thomas.

Pitt popatrzył na nią ze współczuciem.

- Już późno. Dziś nic się nie wyjaśni. Prześpijmy się z tym problemem. Może jutro coś nam przyjdzie do głowy.

Nikt nie zaprotestował. Wszyscy byli wykończeni. Z wyjątkiem Pitta. Wyszedł z biblioteki ostatni. Udał, że zamyka drzwi i oddał klucz Thomasowi. Kiedy wszyscy zasnęli, wrócił potajemnie do budynku. Zapalił światło i zaczął przeglądać materiały Egana o kamieniach runicznych. Powoli wyłaniał się trop i pewna historia.

O czwartej nad ranem znalazł to, czego szukał. Wiele pytań pozostało bez odpowiedzi, ale mętna woda zrobiła się na tyle przejrzysta, że dostrzegł dno. Zasnął zadowolony w wygodnym, skórzanym fotelu, wdychając zapach starych książek.

Giordino zaskoczył wszystkich: zrobił śniadanie. Po jedzeniu niewyspany Pitt zadzwonił posłusznie do Sandeckera i zameldował, co się dzieje. Admirał nie miał wiele do powiedzenia o śledztwie w sprawie Cerbera. Wspomniał, że Hiram Yaeger nie może rozgryźć, jak Pitt napelnił olejem neseser Egana za jego plecami. Pitt sam nie rozumiał tej sztuczki.

Giordino poszedł z Thomasem do pracowni chemicznej; naukowiec miał tam coś do zrobienia. Pitt i Kelly wrócili do biblioteki. Dziewczyna zobaczyła stos książek i papierów na biurku.

- Zdaje się, że ktoś tu pracował po godzinach.

- Nikt obcy - uspokoił ją Pitt.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Teraz rozumiem, dlaczego masz podkrążone oczy. Myślałam, że w nocy przyjdiesz do mnie, nie tutaj.

Pitt chciał powiedzieć: "najpierw obowiązek, potem przyjemność", ale ugryzł się w język.

- Romanse mi nie wychodzą, kiedy myślami jestem gdzie indziej.

- Tysiąc lat wstecz - dodała, patrząc na otwarte książki o wikingach. - Czego szukałeś?

- Mówiłaś, że twój ojciec znalazł trzydzieści pięć kamieni runicznych.

- Mniej więcej. Nie pamiętam dokładnie, ile.

- A pamiętasz gdzie?

Przez chwilę w zamyśleniu kiwała głową. Długie włosy wiły się jej na ramionach. W końcu rozłożyła ręce.

- Przypominam sobie pięć czy sześć miejsc. Ale były na takim uboczu, że nie trafiłabym tam.

- Nie będziesz musiała.

- Do czego zmierzasz? - rzuciła wyzywająco.

- Zorganizujemy wyprawę szlakiem twojego ojca, żeby przetłumaczyć inskrypcje.

- Po co?

- Twój ojciec nie szukał tych kamieni i nie ukrył ani nie zniszczył tekstów dla zabawy.

O coś mu chodziło. Czuję, że to się wiąże z jego eksperymentami.

- Wątpię. Chyba że widzisz coś, czego ja nie widzę.

Pitt uśmiechnął się.

- Nie zaszkodzi spróbować.

- Tata zniszczył wszystkie zapiski, jak trafić do tych kamieni. Jak chcesz znaleźć te miejsca?

Pitt wziął z biurka książkę doktor Marlyns Kaiser *Dalekie echa wikingów*. Wręczył ją Kelly.

- Ta pani skatalogowała ponad osiemdziesiąt kamieni runicznych rozsianych po Ameryce Północnej i przetłumaczyła inskrypcje. Jej wcześniejsze prace są tu w bibliotece twojego ojca. Chyba warto złożyć wizytę doktor Kaiser.

- Osiemdziesiąt kamieni... - powiedziała w zamyśleniu Kelly. - A tata znalazł tylko trzydzieści pięć. Dlaczego przestał szukać następnych czterdziestu pięciu?

- Bo interesowały go tylko inskrypcje związane z projektem, nad którym wtedy pracował.

W niebieskich oczach Kelly błysnęła ciekawość.

- Ale dlaczego nie zostawił tych przetłumaczonych inskrypcji?

Pitt ścisnął jej rękę.

- Mam nadzieję, że dowiemy się tego od doktor Kaiser.

- Kiedy jedziemy? - zapytała podekscytowana.

- Dziś po południu albo jak tylko przyślą tu nowych ochroniarzy.

- Gdzie mieszka doktor Kaiser?

- W miasteczku Monticello. To około stu kilometrów na pomocny zachód od Minneapolis.

- Nigdy nie byłam w Minnesocie.

- O tej porze roku jest tam mnóstwo robali.

Kelly popatrzyła na półki z książkami o wikingach.

- Ciekawe, czy doktor Kaiser znała tatę?

- Podejrzewam, że udzielała mu konsultacji. W niedzielę o tej porze coś już będziemy wiedzieli.

- To dopiero za cztery dni! - zdziwiła się. - O co chodzi?

Wyprowadził ją z biblioteki i zamknął drzwi.

- Najpierw wykonam kilka telefonów. Potem polecimy do Waszyngtonu. Muszę tam zasięgnąć opinii zaufanych ekspertów. Chcę mieć jak najwięcej danych, zanim wyruszymy w plener szukać kamieni runicznych.



Kiedy tym razem odrzutowiec NUMA wylądował w Langley, na płycie lotniska czekała Loren Smith. Objęła Pitta, przeczesała mu włosy palcami i pociągnęła głowę w dół, żeby go pocałować.

- Cześć, marynarzu. Mój wędrowiec wrócił do domu.

Kelly zobaczyła, jak patrzą sobie w oczy i zatrzymała się w drzwiach samolotu. Zrozumiała, że to więcej niż przyjaźń, i poczuła ukłucie zazdrości. Loren była bardzo piękna. W jej twarzy i ciele odbijało się zdrowe dzieciństwo na rancho na zachodnich zboczach Kolorado. Doskonale jeździła konno. Wystartowała w wyborach do Kongresu i wygrała. Urzędowała już szóstą kadencję.

Ubrała się odpowiednio do waszyngtońskiego upału i wyglądała oszalamiająco w brązowych szortach, żółtej bluzce i złotych sandałkach. Miała wystające kości policzkowe, fiołkowe oczy i cynamonowe włosy. Mogła być modelką, a nie urzędniczką państwową. Znała Pitta od dziesięciu lat. Ich związek zmieniał się kilkakrotnie z intymnego w platoniczny i na odwrót. Kiedyś zastanawiali się poważnie nad małżeństwem, ale każde dawno wzięło ślub ze swoją pracą. Uznali, że wspólne życie byłoby trudne.

Podeszła Kelly i dwie kobiety zmierzyły się wzrokiem. Pitt przedstawił I e sobie i nie wyczuł natychmiastowego konfliktu. Jak to mężczyzna.

- Panna Kelly Egan, pani Loren Smith z Kongresu. Kelly uśmiechnęła się sztywno.

- Miło mi panią poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła słodko Loren. - Mów mi po imieniu.

Znałam twojego ojca. Był wspaniałym człowiekiem. Pozwól, że złożę ci kondolencje.

Kelly rozpromieniła się.

- Znałaś tatę?

- Zeznawał przed moją komisją badającą ceny ustalane przez koncerny naftowe. Spotykaliśmy się też prywatnie i dyskutowaliśmy o bezpieczeństwie narodowym.

- Wiedziałam, że tata bywał w Waszyngtonie, ale nigdy nie wspominał o rozmowach z członkami Kongresu. Myślałam, że jeździł do departamentu handlu i transportu.

Z samolotu wyłonił się Giordino. Podeszedł i uściskał Loren. Przy swoich stu sześćdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu był od niej dziesięć centymetrów niższy. Ucałowali się w policzki.

- Jak zwykle piękna.

- Co słyszeć u mojego ulubionego Rzymianina?

- Ciągłe walczę z barbarzyńcami. A ty?
- Wciąż wojuję z filistrami w stolicy.
- Powinniśmy się czasem zamieniać miejscami.

Loren roześmiała się.

- Podejrzewam, że za każdym razem wyszłabym na tym lepiej.

Znów mocno pocałowała Pitta.

- Ilekcóż myślę, że odszedłeś w siną dal, zjawiasz się z powrotem.

- Którym samochodem przyjechałaś? - zapytał Pitt. Wiedział, że na takie okazje zawsze bierze któryś z wozów jego zabytkowej kolekcji.

Wskazała eleganckiego, ciemnozielonego packarda model 1607 z 1938 roku. W zagłębieniach długich, wygiętych błotników tkwiły dwie zakryte opony zapasowe. Piękną karoserię zaprojektował na zamówienie Earle C. Anthony, który przez pół wieku handlował tą marką. Stworzył esencję klasycznego samochodu. Packard miał rozstaw osi przekraczający trzy i pół metra i wyjątkowo cichy silnik V-12 o pojemności prawie siedmiu tysięcy ośmiuset centymetrów sześciennych. Pitt podniósł jego moc do dwustu koni mechanicznych.

Wspaniały samochód wzbudza w kobiecie miłość erotyczną. Kelly delikatnie przesunęła palcami po chromowanym kormoranie na chłodnicy. Błyszczały jej oczy, kiedy z czcią dotykała dzieła sztuki inżynierskiej. Wiedziała, że ojciec byłby zachwycony packardem.

- Powiedzieć, że jest piękny, to za mało - westchnęła.

- Chcesz go poprowadzić? - zapytała Loren i spojrzała władczo na Pitta. - Dirk na pewno się zgodzi.

Pitt zrozumiał, że nie ma tu nic do gadania. Pomógł Ałowi włączyć rzeczy do bagażnika i usiadł z Loren z tyłu. Giordino usadowił się obok Kelly. Czują się jak w siódmym niebie za wielką kierownicą.

Szyba między odkrytymi przednimi siedzeniami i kabiną pasażerską była zamknięta. Loren popatrzyła na Pitta prowokacyjnie.

- Będzie z tobą mieszkać?

Roześmiał się.

- Wiem, o co ci chodzi. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że weźmiesz ją do siebie.

- Gdzie się podział ten dawny Dirk Pitt, którego kiedyś znałam?

- Wybacz, jeśli cię rozczarowałem, ale grozi jej śmierć. U ciebie byłaby bezpieczniejsza. Korporacją Cerber rządzą maniacy. Nie zawahają się zabić Kelly, żeby zdobyć wzór chemiczny superoleju jej ojca. Podejrzewam, że już wytropili, gdzie mieszkam. Dlatego chcę ją ukryć gdzie indziej.

Loren wzięła w dłoń jego rękę.

- Co kobiety zrobiłyby bez ciebie?

- Zaopiekujesz się nią?

Uśmiechnęła się.

- Mogę dla odmiany spróbować damskiego towarzystwa. A mówiąc poważnie, nie wiedziałam, że jesteś zamieszany w sprawę Cerbera.

- FBI i CIA utajniły dochodzenie.

- Wiesz coś, czego ja nie wiem? W mediach nic nie było.

- Ustaliliśmy, że pożar i zatonięcie "Emerald Dolphina" oraz wybuch, który zatopił "Golden Marlina" to była celowa robota. Jesteśmy pewni, że obie katastrofy spowodowały Żmije, spece Cerbera od tajnych operacji.

Przyjrzała się Pittowi uważnie.

- Skąd wiesz?

- Al i ja od początku siedzimy w tym po uszy.

Wyciągnęła się na wygodnym, skórzanym siedzeniu i przez chwilę patrzyła w okno.

- Tak się składa, że przewodniczę teraz komisji, która bada niedozwolone praktyki Cerbera. Podejrzewamy, że korporacja próbuje stworzyć monopol, wykupując większość eksploatowanych złóż ropy i gazu w Ameryce Północnej.

- Po co? - zdziwił się Pitt. - Prawie dziewięćdziesiąt procent ropy sprowadzamy z zagranicy. To żadna tajemnica, że amerykańscy producenci nie mogą konkurować cenowo z innymi.

- Tak - przyznała Loren. - Nie stać nas na własną ropę. Zagraniczni eksporterzy trzymają świat w szachu. Zmniejszają wydobycie, żeby podnosić ceny. Każdemu mogą przykręcić kurek. Co gorsza, nasze zapasy prawie wyschły. Amerykańscy producenci chętnie sprzedają pola naftowe Cerberowi i ograniczają się do przerobu surowca z importu. To długi łańcuch - wydobywanie ropy, składowanie, transport supertankowcami, znów składowanie i w końcu przerób w rafineriach. Gdyby strumień ropy przestał płynąć, pełne wznowienie dostaw zajęłoby od trzech do pięciu miesięcy.

- To byłaby katastrofa ekonomiczna.

Loren zacisnęła wargi.

- Ceny paliw skoczyłyby do nieba. Linie lotnicze żądałyby za bilety astronomicznych sum. Nie opanowalibyśmy inflacji. Baryłka ropy kosztowałaby prawdopodobnie osiemdziesiąt dolarów.

- Nie mogę sobie wyobrazić litra benzyny za dolara i trzydzieści centów albo więcej -

powiedział Pitt.

- Ale na to się zanoszą.

- A zagraniczni producenci nie straciliby na tym? - zapytał.

- Przy zmniejszonym wydobyciu i prawie trzykrotnie większych zyskach, na pewno nie. Kraje OPEC mają pretensje do Zachodu, że od lat nimi manipuluje. Zamierzają prowadzić twardą politykę i nie ulegać prośbom o zwiększenie wydobycia i obniżenie cen. I ignorować nasze groźby.

Pitt popatrzył przez okno na małe łodzie na rzece Potomac.

- Co prowadzi nas z powrotem do Cerbera. O co im właściwie chodzi? Jeśli mają zamiar utworzyć monopol wydobywczy, dlaczego nie przejmują również rafinerii?

Loren bezradnie rozłożyła ręce.

- Możliwe, że prowadzą tajne negocjacje z właścicielami rafinerii w sprawie wykupu. Na ich miejscu opanowałabym całą branżę.

- Muszą mieć silną motywację, inaczej nie zostawialiby za sobą tylu trupów.

Giordino wskazywał Kelly kierunek. Skręciła w bramę na krańcu międzynarodowego portu lotniczego Ronalda Reagana i podjechała gruntową drogą do starego hangaru. Pitt opuścił szybę działową.

- Podrzucić panie do domu Loren - powiedział do Giordina - a potem wpadnij do siebie i wykap się. Zabierzesz nas o siódmej na kolację. Zarezerwuję stolik w restauracji.

Kelly odwróciła się z uśmiechem do Loren.

- Cudownie! Mam nadzieję, że nie będę ci przeszkadzać?

- Ani trochę - zapewniła wspaniałomyślnie Loren. - Mam wolną sypialnię dla gości. Serdecznie zapraszam.

Kelly spojrzała na Pitta. Oczy jej błyszczały.

- Zakochałam się w tym samochodzie.

Pitt wyszczerzył zęby.

- Tylko nie przyzwyczajaj się do niego za bardzo. Chcę go mieć z powrotem.

Packard potoczył się cicho do bramy. Pitt wystukał na pilocie kod i wyłączył zabezpieczenia. Wszedł do hangaru, rzucił bagaż na podłogę i zerknął na starą doxę. Była druga trzydzieści. Sięgnął przez otwarte okno do dzipa NUMA i zadzwonił z telefonu komórkowego.

- Słucham - odpowiedział dystyngowanym tonem głęboki, melodyjny głos.

- Cześć, St. Julien.

- Dirk! - ryknął St. Julien Perlmutter, gawędziarz, smakosz i znany historyk morski. -

Miałem nadzieję, że się odezwiesz. Cieszę się, że cię słyszę. Wiem, że byłeś na tej łodzi.

- Tak.

- Bardzo udana ewakuacja.

- Masz trochę czasu na małe badanie naukowe?

- Dla ciebie zawsze.

- Mogę wpaść?

- Jasne. Właśnie zamierzam otworzyć nowe sześćdziesięcioletnie porto, które zamówiłem w Portugalii. Mam nadzieję, że się przyłączysz.

- Będę za piętnaście minut.

Pitt wjechał w zadrzewioną ulicę Georgetown. Stały tu eleganckie rezydencje z początku dwudziestego wieku. Skręcił na podjazd i minął duży, ceglany dom, porośnięty bluszczem. Zaparkował na zadaszonym podwórzu przed starą wozownią. Kiedyś trzymano w niej bryczki konne, później samochody. Teraz było tu przestronne mieszkanie z dwupoziomową piwnicą. Mieściła się w nim największa prywatna biblioteka morską.

Pitt wysiadł z dżipa, podszedł do wejścia i sięgnął do dużej kołatki z brązu w kształcie żaglowca. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył zastukać. W progu stał potężny, siwy brodac z czerwonym nosem i niebieskimi oczami. Nosił ciemnowiśniową piżamę i szlafrok tego samego koloru. Nie był nalany grubasem. Miał mocne ciało i poruszał się zadziwiająco zgrabnie.

- Dirk! - wykrzyknął i zmiażdżył Pitta w niedźwiedzim uścisku. - Wejdz. Ostatnio rzadko cię widuję.

- Brakuje mi twojej fantastycznej kuchni.

Pitt poszedł za St. Julienem Perlmutterem przez pokoje i korytarze zawałone po sufit książkami o morzu. Bibliotekę chętnie kupiłyby uniwersytety i muzea, ale Perlmutter zamierzał zachować każdy tom aż do śmierci. O dalszych losach kolekcji miał rozstrzygnąć jego testament. Wprowadził Pitta do przestronnej kuchni, której wyposażenie wystarczyłoby dziesięciu restauracjom. Wskazał gościowi miejsce przy okrągłym stole z kłapy luku okrętowego. Na środku blatu wznosił się postument kompasu.

- Siadaj, a ja otworzę porto. Trzymałem je na specjalną okazję.

- Trudno tak nazwać moją wizytę - uśmiechnął się Pitt.

- Można tak nazwać każdą okazję, kiedy nie muszę pić sam - zachichotał Perlmutter. Był wesołym człowiekiem i rzadko przestawał się uśmiechać. Wyciągnął korek i nalał do kieliszków ciemnoczerwony płyn. Podał wino Pittowi.

- Co o tym myślisz?

Pitt wolno rozprowadził wino językiem, potem przełknął.

- Nektar bogów.

Perlmutter wysączył kieliszek do dna i nalał sobie następny.

- Jedna z moich największych przyjemności. Mówiłeś o jakichś badaniach naukowych.

- Słyszałeś o doktorze Elmorze Eganie? - zapytał Pitt.

Perlmutter przez moment przyglądał mu się uważnie.

- Oczywiście. Genialny wynalazca. Jego silniki magnetohydrodynamiczne to cud techniki. Szkoda, że zginął w katastrofie "Emerald Dolphina" w przeddzień wielkiego sukcesu. Dlaczego pytasz?

Pitt wyciągnął się wygodnie w fotelu. Delektował się drugim kieliszkiem porto i opowiadał. Zaczął od pożaru liniowca, skończył na walce w domu Egana nad rzeką Hudson.

- A jaki to ma związek ze mną? - zapytał Perlmutter.

- Doktor Egan był wielkim miłośnikiem Juliusza Verne'a. Zwłaszcza jego książki *20 000 mil podmorskiej żeglugi*. Pomyślałem, że ty będziesz wiedział najwięcej o okręcie podwodnym kapitana Nemo, "Nautilusie".

Perlmutter odchylił się do tyłu i popatrzył w sufit.

- Ponieważ to fikcja, nie mam tego na liście moich projektów badawczych. Minęło kilka lat, od kiedy ostatnio czytałem tę książkę. Verne albo wyprzedzał swoją epokę, albo potrafił przewidywać przyszłość, bo "Nautilus" był wyjątkowo zaawansowany technicznie, jak na rok 1866.

- Czy ktoś mógł wtedy zbudować okręt podwodny choćby w połowie tak doskonały?

- Przychodzi mi do głowy tylko "H.L. Hunley" konfederatów.

Pitt przytaknął.

- Pamiętam. W 1864 roku zatopił w pobliżu Charleston w Karolinie Południowej korwetę unionistów "Housatonic". Przeszedł do historii jako pierwsza łódź podwodna, która zatopila okręt wojenny.

Perlmutter kiwnął głową.

- Tak. Ten wyczyn powtórzył dopiero pięćdziesiąt lat później U-21. W sierpniu 1914 roku zatopił na Morzu Pomocnym okręt HMS "Pathfinder". "Hunley" leżał na dnie sto trzydzieści sześć lat, zanim go odkryto, wydobyto i zabrano do konserwacji. Wystawiono go na widok publiczny. Kiedy usunięto muł i szczątki załogi, okazało się, że był dużo nowocześniejszy, niż przypuszczano. Miał opływowy kształt, podstawowy system do oddychania z miechami tłoczącymi powietrze, zbiorniki balastowe z pompami, stery głębokościowe i wpuszczane nity, żeby zmniejszyć opór wody. Nawiasem mówiąc, nikt nie wiedział, że ten ostatni wynalazek pojawił się wcześniej niż samolot z wpuszczanymi nitami, zbudowany przez Howarda Hughesa w połowie lat trzydziestych dwudziestego wieku. W "Hunleyu" eksperymentowano nawet z silnikami elektromagnetycznymi, ale ta technologia nie była jeszcze gotowa. Ośmiu ludzi siedziało w środku i kręciło wałem korbowym, który

obracał śrubę napędową. Potem w dziedzinie budowy okrętów podwodnych nic się nie działo, dopóki John Holland i Simon Lake nie stworzyli swoich łodzi. Ich koncepcje przyjęło kilka państw, w tym Niemcy i my. Pierwsze okręty podwodne wyglądałyby prymitywnie przy "Nautilusie".

Perlmutterowi zabrakło tchu. Kiedy zamierzał sięgnąć po butelkę porto, doznał olśnienia.

- Coś sobie przypomniałem - powiedział i zgrabnie podniósł wielkie cielsko z fotela. Zniknął w korytarzu i po kilku minutach wrócił z książką.

- Raport komisji śledczej o zatopieniu fregaty "Kearsarge".

- Okrętu, który posłał na dno słynną "Alabamę" konfederatów? - upewnił się Pitt.

- Zupełnie zapomniałem, w jak dziwnych okolicznościach fregata osiadła na rafie Roncador u wybrzeży Wenezueli w 1894 roku.

- Dziwnych? - zapytał Pitt.

- Tak. Według jej dowódcy, kapitana Leigh Hunta, została zaatakowana przez okręt podwodny o wyglądzie zbliżonym do wieloryba. Fregata ścigała go, ale zanurzył się, potem znów wypłynął na powierzchnię i staranował ją. Wybił w kadłubie wielką dziurę. "Kearsarge" ledwo dowlókł się do Roncador, gdzie osiadł. Załoga obozowała tam, dopóki jej nie uratowano.

- Kapitan chyba za bardzo lubił rum - zażartował Pitt.

- Mówił zupełnie poważnie - odparł Perlmutter. - Co więcej, jego relację potwierdziła cała załoga. Wszyscy zeznali dokładnie to samo. Opisywali stalowego potwora, od którego odbijały się pociski z dział "Kearsarge'a". Wspominali, że miał na grzbiecie piramidalną nadbudówkę z iluminatorami. Hunt przysięgał, że widział za szybą brodatą twarz.

- Podali rozmiary tego potwora?

- Twierdzili, że był w kształcie cygara. Cylindryczny, ze stożkowymi końcami. Oceniali długość na trzydzieści do dziewięćdziesięciu metrów, a szerokość na sześć do dwunastu.

- Pewnie coś pośrodku - powiedział w zamyśleniu Pitt. - Jakies sześćdziesiąt metrów długości i osiem szerokości. W 1894 roku nie można było lekceważyć takiego przeciwnika.

- Teraz sobie przypominam, że nie tylko "Kearsarge" padł ofiarą podmorskiego potwora.

- Statek wielorybniczy "Essex" z Nantucket zatonął po zderzeniu z wielorybem - podsunął Pitt.

- To był prawdziwy wieloryb - odparł surowo Perlmutter. - Mówię o kolejnym okręcie



wojennym, "Abraham Lincoln". Podwodna jednostka pływająca roztrzaskała mu ster.

- Kiedy?

- W roku 1866.

- Dwadzieścia osiem lat wcześniej.

Perlmutter przyjrzał się butelce porto. Została już tylko jedna trzecia.

- W tamtym okresie wiele statków zaginęło w tajemniczych okolicznościach. Głównie brytyjskie okręty wojenne.

Pitt postawił kieliszek na stole, ale podziękował za następną kolejkę.

- Nie uwierzę, że okręt wyprzedzający swoją epokę zbudowały prywatne osoby.

- Tak było z "Hunleyem" - powiedział Perlmutter. - Powstał za prywatne pieniądze.

Nawiasem mówiąc, Horace Hunley i jego inżynierowie już wcześniej zbudowali dwa okręty. Każdy był bardziej zaawansowany od poprzedniego.

- Nie wydaje mi się, żeby tego tajemniczego potwora skonstruowano w nieuprzemysłowionym kraju - powiedział sceptycznie Pitt.

Perlmutter wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może Juliusz Verne słyszał o takim wypadku i na tej podstawie stworzył postać kapitana Nemo i jego "Nautilusa".

- Jeśli taki okręt istniał naprawdę, to dziwne, że pływał po świecie prawie trzydzieści lat i tak rzadko go widywano. Albo że nikt z załogi nie zdezerterował i nie opowiedział o nim. A jeśli atakował i zatapiał statki, dlaczego nie uratowało się więcej osób i nie zameldowało o tym?

- Nie mam pojęcia - odparł wolno Perlmutter. - Wiem tylko to, co znajduję w archiwach morskich. Co nie znaczy, że gdzieś na świecie nie zachowały się jakieś wzmianki.

- A co z Verne'em? - zapytał Pitt. - Musi być jakieś muzeum pamiątek po nim. Albo może krewni przechowują jego papiery, materiały naukowe, listy?

- Owszem. Badacze jego życia i twórczości są wszędzie. Ale za największego eksperta uważany jest doktor Paul Hereoux, przewodniczący Towarzystwa imienia Juliusza Verne'a w Amiens we Francji. Verne mieszkał tam w latach 1872-1905, czyli do śmierci.

- Czy moglibyśmy się z nim skontaktować?

- Lepiej - odpowiedział Perlmutter - za kilka dni będę w Paryżu. Chcę poszukać w tamtejszych archiwach jakiś informacji o statku Johna Paula Jonesa "Bonhomme Richard". Wskoczę do Amiens i pogadam z doktorem Hereoux.

- Bomba - ucieszył się Pitt i wstał. - Muszę lecieć i trochę się odświeżyć. Idę na kolację z Alem, Loren i córką doktora Egana, Kelly.

- Pozdrów ich ode mnie.

Zanim Pitt zdążył wyjść na podwórze, Perlmutter otworzył następną butelkę starego porto.

Po powrocie do hangaru Pitt zadzwonił do Sandeckera. Potem wziął prysznic, ogolił się i przebrał w luźne spodnie i sportową koszulę. Na dźwięk klaksonu packarda wciągnął cienką marynarkę i wyszedł. Usiadł na miejscu pasażera i skinął głową Giordino. Al ubrał się podobnie, ale jego marynarka wisiała na oparciu. Wieczór był ciepły, wilgotność powietrza przekraczała dziewięćdziesiąt procent.

- Wszystko załatwione? - zapytał Giordino.

Pitt przytaknął.

- Admirał zorganizował małe wsparcie na wypadek, gdybyśmy mieli kłopoty.

- Wziąłeś broń?

Pitt odchylił marynarkę i pokazał starego colta w kaburze pod pachą.

- A ty?

Giordino obrócił się na siedzeniu. Z jego ramienia zwisał automatyczny ruger P94, kaliber czterdzieści.

- Miejmy nadzieję, że się nie przyda - powiedział.

Wdepnął sprzęgło i wrzucił jedynekę długą, wygiętą dźwignią z onyksową gałką. Wolno puścił sprzęgło i dodał gazu. Wielki samochód potoczył się miękko drogą do bramy lotniska.

Po kilku minutach Giordino zatrzymał packarda przed domem Loren w Alexandrii. Pitt podszedł do drzwi i nacisnął gong. Chwilę później zjawiły się kobiety. Loren wyglądała szalowo w bawełnianym półgolfie i prostej spódnicy do kostek. Kelly włożyła sukienkę z jedwabnej żorżety, która dodawała jej kobiecości.

Wsiadli do samochodu. Kelly usadowiła się z przodu obok Giordina. Al odwrócił się do Pitta.

- Dokąd teraz? - zapytał.

- Jedź Telegraph Road do miasteczka Rose Hill. Jest tam restauracja Knox Inn. Wiejski styl i doskonałe jedzenie domowe. Raj dla podniebienia.

- Po takiej reklamie - powiedziała Loren - lepiej, żeby to była prawda.

- Lubię wiejski styl - ucieszyła się Kelly. - I umieram z głodu.

Po drodze gawędzili o wszystkim i o niczym. Nie wspominali o ostatnich przeżyciach i Cerberze. Kobiety rozmawiały głównie o swoich podróżach. Pitt i Giordino w milczeniu

obserwowali szosę i przejeżdżające samochody. Byli przygotowani na nieprzewidziane komplikacje.

Letnie słońce zachodziło późno, kierowcy przyglądali się packardowi. Toczył się dostojnie jak powóz wdowy jadącej na bal u plantatora. Nie dorównywał szybkością współczesnym samochodom, ale ważył trzy tony i tylko duża ciężarówka mogłaby go zepchnąć z drogi. Miał budowę czołgu, Mocna karoseria i podwozie dobrze chroniły pasażerów w razie wypadku.

Giordino wjechał na parking gospody, kobiety wysiadły. Pitt i Giordino i nie spuszczała ich z oka. Rozejrzeli się czujnie, ale nie zauważyli nic podejrzanego. Gospodę zbudowano w roku 1772. Kiedyś był tu przystanek dylizansów. Weszli do środka, powitał ich kierownik sali. Dostali miły stół na dworze pod dużym dębem.

- Proponuję, żebyśmy zrezygnowali z koktajlów czy wina - powiedział Pitt - i wzięli tutejsze piwo. Warzą je na miejscu. Pierwsza klasa.

Pitt i Giordino wreszcie zaczęli się odprężyć. Czas szybko mijał. Giordino miał bogaty repertuar głupich kawałów i kobiety pokładały się ze śmiechu. Pitt słyszał te dowcipy co najmniej pięćdziesiąt razy, więc tylko uśmiechał się przez grzeczność. Obserwował ogródek i innych gości niczym kamera ochrony. Ale wszystko wydawało się w porządku.

Zamówili wieprzowinę i kurczaki z grilla, kaszę z krewetkami i krabami, surówkę z białej kapusty i kolby kukurydzy. Przy ciastku cytrynowym Pitt nagle zeszytniał. Do ich stolika szedł opalony, rudawy szatyn w eskorcie dwóch typów o wyglądzie zawodowych zabójców. Nosił drogi garnitur na miarę i solidne półbuty w przyciężkim angielskim stylu. Wpatrywał się w Pitta jasnoniebieskimi oczami. Poruszał się zgrabnie, ale z arogancją właściciela połowy świata.

Pitt usłyszał w mózgu dzwonek alarmowy i kopnął Giordina w kostkę. Krępy Włoch natychmiast zrozumiał.

Intruz zatrzymał się przy stoliku. Popatrzył na twarze całej czwórki, jakby chciał je zapamiętać. Najdłużej przyglądał się Pittowi.

- Nigdy się nie spotkaliśmy - powiedział. - Jestem Curtis Merlin Zale.

Nikt przy stoliku nie rozpoznał Zale'a, ale wszyscy dobrze znali jego nazwisko. Na widok legendarnego potwora we własnej osobie każde zareagowało inaczej. Kelly wytrzeszczyła oczy i gwałtownie wciągnęła powietrze. Loren wydawała się rozbawiona i oglądała go z ciekawością. Giordino skoncentrował się na dwóch gorylach Zale'a. Pitt udawał obojętność, choć skręcało go z nienawiści. Nie zamierzał wstać.

Zale złożył paniom krótki wytworny ukłon.

- Panno Egan, pani Smith, cieszę się, że w końcu się spotkaliśmy.

Potem zwrócił się do Pitta i Giordina.

- Jesteście wyjątkowo uparci, panowie. Sprawiacie mojej firmie duże kłopoty.

- Cieszy się pan reputacją chciwego socjopaty - odparł kwaśno Pitt.

Dwaj goryle zrobili krok naprzód, ale Zale ich powstrzymał.

- Miałem nadzieję na miłą rozmowę z korzyścią dla nas wszystkich - odrzekł bez cienia złości.

Zgrabne gadki, pomyślał Pitt. Cwaniak.

- A co my mamy ze sobą wspólnego? - zdziwił się. - Pan morduje mężczyzn, kobiety i dzieci. Al i ja jesteśmy zwykłymi, porządnymi obywatelami. Zostaliśmy wmieszani w pański szaleńczy projekt stworzenia krajowego monopolu naftowego.

- To się panu nie uda - wtrąciła Loren.

Jeśli Zale był niemile zaskoczony, że Pitt i Loren znają jego plany, nie okazał tego.

- Oczywiście zdaje pani sobie sprawę, że mam dużo większe możliwości niż pani. Nawet pani chyba już to rozumie.

- Niech pan się nie łudzi, że jest pan potężniejszy niż rząd Stanów Zjednoczonych - odparowała Loren. - Kongres zablokuje pańskie działania, zanim zdąży pan zrealizować choćby jeden ze swoich pomysłów. Jutro rano zażądam pełnego śledztwa w sprawie pańskiego udziału w katastrofach "Emerald Dolphina" i "Golden Marlina".

Zale uśmiechnął się z wyższością.

- Jest pani pewna, że to mądre? Każdemu politykowi może przytrafić się jakiś skandal albo... wypadek.

Loren zerwała się z miejsca tak gwałtownie, że przewróciła krzesło.

- Grozi mi pan? - wycodziła.

Zale nie cofnął się i nie przestał uśmiechać.

- Ależ nie, pani Smith. Po prostu uświadamiam pani, co się może stać. Jeśli chce pani zniszczyć Cerbera, proszę się przygotować na przykre konsekwencje.

Loren zaniemówiła. Grozić kongresmanowi zniesławieniem albo śmiercią?! Nie do wiary! Pitt podniósł jej krzesło. Usiadła wolno i zmiażdżyła Zale'a wzrokiem. Pitt nie odezwał się. Wyglądało, jakby dobrze się bawił.

- Pan jest nienormalny!

- Wręcz przeciwnie. Wiem, co mówię. Na pani miejscu nie liczyłbym na kolegów polityków. Mam na Kapitelu więcej przyjaciół niż pani.

- Bez wątplenia przekupionych i zaszantażowanych - dokończył Pitt.

Loren błyszczały oczy.

- Właśnie! I kiedy ujawnimy, komu pan zapłacił i ile, przedstawimy panu więcej zarzutów niż Johnowi Gotti.

- Wątpię - odparł pogardliwie Zale.

- Absolutnie zgadzam się z panem Zale'em - rzucił swobodnie Pitt. - Nigdy nie stanie przed sądem.

- Jest pan inteligentniejszy, niż myślałem - zauważył Zale.

- Źle mnie pan zrozumiał - odparł Pitt z sardonicznym uśmiechem. - Nie zostanie pan o nic oskarżony, bo wcześniej będzie pan trupem. Nikt nie zasługuje na śmierć bardziej niż ty, Zale. I te twoje szumowiny, zwane Źmijami.

Spojrzenie zielonych oczu Pitta było tak zimne, że Zale stracił trochę pewności siebie.

- Bez obaw, panie Pitt - odpowiedział chłodno. - Lepiej niech pan się martwi o siebie, bo może pan nie dożyć późnej starości.

- Może prawo nic ci nie zrobi, Zale. Ale są jeszcze ludzie, którzy działają poza prawem. Jest pewna grupa, równie niebezpieczna jak twoje Źmije, która wyeliminuje cię z gry. Radzę oglądać się za siebie.

Zale nie spodziewał się tego. Zastanawiał się, czy Pitt i Giordino mogą być kimś więcej niż tylko inżynierami z NUMA. Pomyślał, że Pitt blefuje i nie przestraszył się. Wzbierała w nim furia.

- Dobrze, że wiem, na czym stoję. Nie będę dłużej przeszkadzał w deserze. Ale moi koledzy zostaną.

- Co to znaczy?! - przeraziła się Kelly.

- Że kiedy tylko bezpiecznie odjedzie swoją limuzyną, jego kolesie postarają się nas rozwalić - wyjaśnił jej Pitt.

- Tutaj, przy ludziach? - zapytał z powątpiewaniem Giordino. - I bez masek? Nie dramatyzuj.

W jasnoniebieskich oczach Zale'a czaiła się groźba. Pitt miał nieprzeniknioną minę. Giordino siedział spokojnie z dłońmi splecionymi na brzuchu. Zawołał kelnera i zamówił remy martin. Tylko kobiety były spięte i nerwowe.

Zale był zbity z tropu. Zawsze panował nad sytuacją, ale ci faceci nie zareagowali tak, jak się spodziewał. Nie przestraszyli się. Nie rozumiał ich i to mu się nie podobało.

- Zobaczyliśmy już twarz wroga - odezwał się grobowym tonem Pitt. - Więc radzę stąd wyjść, Zale, dopóki jeszcze możesz chodzić. I nawet nie myśl o zrobieniu krzywdy pannie Egan czy komukolwiek przy tym stoliku.

To nie była czcza pogróżka, lecz poważne ostrzeżenie.

Zale nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Uważałem panów za godnych przeciwników, ale teraz widzę, że jesteście głupszy, niż myślałem.

Giordino popatrzył na niego znad kieliszka.

- Co to miało być? - mruknął gniewnie.

Spojrzenie Zale'a przypominało wzrok jadowitego gada. Rozejrzał się po ogródku restauracji, ale nikt z gości nie zwracał uwagi na rozmowę trzech stojących mężczyzn i czterech osób siedzących przy stoliku w rogu. Skinął na swoich goryle i odwrócił się, żeby odejść.

- Żegnaj państwa. Szkoda, że zostało wam już tak niewiele życia.

- Lepiej zabierz kumpli - doradził Pitt. - Inaczej pojedą za tobą karetką reanimacyjną.

Zale odwrócił się. Goryle zrobili krok do przodu i sięgnęli pod marynarki. Pitt i Giordino jak na komendę wyciągnęli broń spod stolika. Dotąd trzymali ją na kolanach pod serwetkami.

- Do zobaczenia, panie Zale - mruknął Giordino ze sztywnym uśmiechem. - A następnym razem...

Celowo nie dokończył.

Bandyci popatrzyli na siebie niepewnie. Nie zapowiadała się łatwa robota. Nawet przygłup zrozumiałby, że zanim zdąży wyjąć spluwę, będzie trupem.

Zale uspokajająco uniósł ręce.

- Przepraszam, że was nie doceniłem. Widzę, że przyszliście na kolację dobrze wyposażeni.

- Byliśmy z Alem w harcerstwie - odparł Pitt. - Lubimy być przygotowani. Mam nadzieję, że następnym razem zobaczę cię przypiętego do stołu i czekającego na zastrzyk uśmiercający.

Odwrócił się nonszalancko i wbił widelczyk w ciastko.

Zale poczerwieniał, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się.

- Pamiętajcie, że was ostrzegłem.

Odwrócił się i wyszedł z ogródka na parking. Wsiadł do wielkiego, czarnego mercedesa i ruszył. Jego goryle minęły kilka samochodów i włądowali się do lincolna navigatora, ale nie odjechali.

Loren dotknęła dłoni Pitta.

- Jak ty to robisz, że jesteś taki opanowany? Mnie chodziły ciarki po plecach.

- Ten typ to samo zło - szepnęła przerażona Kelly.

- Zale przyszedł do nas, chociaż nie musiał - powiedział Pitt. - Ciekawe dlaczego?

Loren spojrzała na wyjście z ogródka, jakby bała się, że Zale wróci.

- Właśnie. Po co facet z jego pozycją zniżył się do spotkania z takimi szaraczkami, jak my?

- Z ciekawości - podsunął Giordino. - Chciał zobaczyć na własne oczy, kto mu bruździ.

- Pyszne ciasto - powiedział Pitt.

- Straciłam apetyt - mruknęła Kelly.

- Szkoda, żeby się zmarnowało. - Giordino dokończył deser.

Po kawie Pitt zapłacił rachunek. Potem Giordino wszedł na krzesło i wyrżał przez bluszcz na murze ogródka na parking.

- Hekyll i Jekyll siedzą w dużej bryce terenowej pod drzewem.

- Wezwijmy policję - zaproponowała Loren.

Pitt roześmiał się.

- Mamy już plan.

Wyjął z kieszeni komórkę, wystukał numer, powiedział cztery słowa i wyłączył się. Uśmiechnął się do kobiet.

- Zaczekajcie w wejściu, dziewczyny. Al przyprowadzi samochód.

Loren wyrwała mu kluczyki od packarda.

- Al nie musi ryzykować. Ja to zrobię. Nie zastrzelą bezbronnej kobiety.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to - odparł Pitt. W gruncie rzeczy wiedział, że Loren ma rację. Ludzie Zale'a byli zabójcami, ale nie idiotami. Nie chodziło im o zabicie jednej osoby. Czekali, żeby wziąć na celowniki całą czwórkę.

- No, dobrze - zgodził się. - Ale biegnij schylona między samochodami. Nasi przyjaciele są na drugim końcu parkingu. Jeśli ruszą, zanim zdążysz zapalić silnik, Al i ja zajmujemy się nimi.

Loren i Pitt często biegali razem. Loren była szybka, na sto metrów przegrywała z Pittem tylko o metr. Po niecałej minucie dobiegła do packarda. Znała ten samochód, więc prawie jednocześnie przekręciła kluczyk i wcisnęła guzik rozrusznika. Widlasta dwunastka odpaliła natychmiast. Loren wdepnęła sprzęgło i wrzuciła jedynekę. Dała trochę za dużo gazu, spod wielkich opon wytrysnął żwir. Zahamowała z poślizgiem przed restauracją i przesunęła się szybko na miejsce pasażera. Pitt, Giordino i Kelly wskoczyli do środka.

Pitt wcisnął gaz do dechy i wielkie auto wystrzeliło cicho na drogę. Przyspieszało



płynnie, kiedy Pitt zmieniał biegi i zwiększał obroty. Nie paliło gum i nigdy nie wygrałoby wyścigu dragsterów; było skonstruowane do spokojnej jazdy, nie do sportu. Do stu trzydziestu kilometrów na godzinę rozpędzało się dopiero po kilometrze.

Szosa biegła prosto, więc Pitt długo patrzył w lusterko wsteczne. Navigator wyskoczył z parkingu. W blasku latarni ulicznej załśnił czarny lakier. Na ciemnej wiejskiej drodze niewiele więcej było widać. Navigator jechał bez świateł. Zbliżał się szybko.

- Doganiają nas - poinformował Pitt monotonnym głosem kierowcy autobusu, który powtarza pasażerom, żeby odsunęli się od drzwi.

Szosa była prawie pusta. Minęły ich tylko dwa samochody, jadące w przeciwnym kierunku. Gęste krzaki i drzewa na poboczach nie wyglądały zachęcająco i tylko spanikowany idiota chciałby tam uciec. Pitt parę razy zerknął na Loren. W poświacie tablicy rozdzielczej błyszczały jej oczy. Uśmiechała się lekko. Niebezpieczny pościg najwyraźniej bawił ją i podniecał.

Navigator dogonił packarda. Osiem kilometrów od restauracji zmniejszył dystans do stu metrów. Był prawie niewidoczny, pojawiał się tylko w reflektorach samochodów z przeciwka. Kierowcy migali mu ostrzegawczo, że jedzie bez świateł.

- Wszyscy na podłogę - rozkazał Pitt. - Zaraz zrównają się z nami.

Kobiety posłuchały. Giordino przykucnął i wycelował rugera w tylną szybę. Zbliżał się zakręt. Pitt wyciskał z wielkiego silnika pełną moc. Navigator zszedł na wewnętrzną łuku i zjechał beztrąsko na drugą połowę jezdni. Pitt ściągnął kierownicę i potężne opony zapisały w poślizgu.

Wypadli na prostą. Pitt spojrział w lusterko. Z lasu wyskoczyły dwa duże pikapy z karabinami maszynowymi na skrzyniach i przecięły navigatorowi drogę. Zaskoczony kierowca skręcił gwałtownie i wpadł w poślizg. Terenówka wyleciała na trawiaste pobocze i straciła przyczepność. Przekoziółkowała trzy razy i zniknęła w gęstych krzakach w tumanie kurzu, liści i gałązek. Z pikapów wysypali się uzbrojeni ludzie w kombinezonach maskujących i otoczyli przewróconego na dach dzipa.

Pitt zdjął nogę z gazu i zwolnił do osiemdziesiątki.

- I po wyścigu - powiedział. - Możecie się wyluzować.

Loren popatrzyła przez tylną szybę na blask reflektorów i opadającą chmurę kurzu na szosie.

- Co się stało?

- Admirał Sandecker zadzwonił do kilku przyjaciół i zorganizował małą imprezę dla najemników Zale'a.

- W samą porę - zauważył Giordino.

- Musieliśmy dojechać do skrzyżowania z boczną drogą, żeby chłopcy mogli zablokować pościg.

Loren przysunęła się do Pitta i zacisnęła dłoń na jego ramieniu jak właścicielka.

- Przyznam, że trochę mnie wystraszyłeś.

- Zbliżyli się bardziej, niż sobie zaplanowałem.

- Wy parszywe psy - powiedziała do Pitta i Giordina. - Nie powiedzieliście, że marines nas uratują.

Kelly wciągnęła głęboko powietrze wpadające nad przednią szybą do otwartego okna między kierowcą i kabiną pasażerską.

- Wieczór zrobił się nagle bardzo przyjemny. Mogłam się domyślić, że panujesz nad sytuacją.

- Rozwiozę was do domów - oznajmił Pitt i ruszył w kierunku świateł miasta. - A jutro znów w drogę.

- Dokąd? - zdziwiła się Loren.

- Al, Kelly i ja lecimy do Minnesoty zobaczyć kamienie runiczne.

- Po co?

- Żeby znaleźć rozwiązanie zagadki - powiedział wolno Pitt. - Klucz, który być może otworzy wiele drzwi.

Marlys Kaiser usłyszała w powietrzu warkot i wyszła z kuchni na ganek. Do jej farmy na obrzeżach Monticello w Minnesocie zbliżał się helikopter. Dom Marlys wyglądał jak większość wiejskich domów na Środkowym Zachodzie. Miał drewniany szkielet i boczne ściany oraz komin sięgający z salonu do sypialni na górze i wystający ze spiczastego dachu. Za rozległym trawnikiem stała stara czerwona obora. Gospodarstwo było kiedyś farmą mleczną, teraz Marlys miała w oborze biuro. Na trzystu akrach pól uprawnych rosła pszenica, kukurydza i słoneczniki. Za farmą teren opadał do jeziora Bertram, otoczonego drzewami. W płytkiej przybrzeżnej wodzie rosły lilie. Nad jezioro chętnie przyjeżdżali wędkarze z Minneapolis, bo zarybiano je regularnie samogłowami, szczupakami i okoniami. Była tu również wielka ławica sumików karłowatych, które zaczynały brać wieczorem.

Marlys osłoniła oczy przed porannym słońcem na wschodzie. Turkusowy helikopter z czarnymi napisami NUMA opadł nad oborą, zawisł na kilka chwil nad podwórzem i usiadł na trawie. Dwie turbiny ucichły i rotor powoli przestał się obracać. Opuszczono schodki.

Z helikoptera wysiadła młoda kobieta o lśniących, jasnokasztanowych włosach i niski, krępy mężczyzna o wyglądzie Włocha. Za nimi pojawił się wysoki, uśmiechnięty brunet o ostrych rysach. Sposobem chodzenia przypominał Marlys jej męża. Dopiero z bliska zobaczyła, że ma najbardziej zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

- Pani Kaiser? - zapytał miękko. - Nazywam się Dirk Pitt. Dzwoniłem do pani wczoraj wieczorem z Waszyngtonu.

- Nie spodziewałam się was tak szybko.

- Przylecieliśmy w nocy odrzutowcem do stacji badawczej NUMA nad Jeziorem Górnym w Duluth. Tam pożyczylimy helikopter i wystartowaliśmy do Monticello.

- Widzę, że nie mieliście problemu ze znalezieniem domu.

- Dała mi pani doskonale wskazówki - odrzekł Pitt i przedstawił Alę i Kelly.

Marlys uściskała dziewczynę jak matka.

- Córka Elmore'a Egana! Jestem naprawdę wzruszona. Tak się cieszę, że cię poznałam. Bardzo się przyjaźniliśmy z twoim ojcem.

Kelly uśmiechnęła się.

- Wiem. Dużo mi o pani opowiadał.

- Jedliście śniadanie?

- Od startu z Waszyngtonu nie mieliśmy nic w ustach - przyznał szczerze Pitt.

- Zrobię jajka na bekonie i naleśniki - powiedziała ciepło Marllys. - Będą gotowe za dwadzieścia minut. Przespacerujcie się po polach i zobaczcie jezioro.

- Sama prowadzi pani farmę? - zapytała Kelly.

- O, nie, moja droga. Dzierżawię pola sąsiadowi. Po sprzedaniu zbiorów płaci mi procent od cen rynkowych. Teraz to marne pieniądze.

- Brama pastwiska, wejście do obory i strych na siano świadczą, że kiedyś miała pani krowy mleczne.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Pitt. Mój mąż hodował je przez całe życie. Widzę, że zna się pan trochę na rzeczy.

- Spędzałem wakacje na farmie wuja w Iowa. Umiałem tak zacisnąć palce, żeby mleko trysnęło do wiadra, ale potem już nie chciało lecieć.

Marllys roześmiała się.

- Zawołam was, kiedy kawa będzie gotowa.

Poszli przez pola, a potem zeszli na przystań. Wzięli jedną z łodzi, które Marllys wypożyczała wędkarzom, i Pitt usiadł do wiosł. Wy płynęli na jezioro. Kiedy wracali, usłyszeli wołanie Marllys.

Usiedli wokół zastawionego stołu w prawdziwej wiejskiej kuchni.

- To bardzo miło z pani strony - powiedziała Kelly.

- Mów mi Marllys. Traktuj mnie jak starą przyjaciółkę rodziny.

Przy jedzeniu gawędzili o pogodzie, wędkowaniu i pogarszającej się sytuacji ekonomicznej farmerów w całym kraju. Po sprząnięciu naczyń - Giordino załadował je do zmywarki - rozmowa zeszła na kamienie runiczne.

- Ojciec nigdy mi nie wyjaśnił - zaczęła Kelly - dlaczego tak się nimi interesował. Matka i ja jeździłyśmy z nim na wyprawy, ale bardziej bawiło nas samo obozowanie i wędrowki niż szukanie starych głązów z napisami.

- Biblioteka doktora Egana jest pełna książek o wikingach - dodał Pitt - ale nie ma jego notatek.

- O Norwegach, panie Pitt - poprawiła Marllys. - Słowo "wikingowie" oznacza rozbójników morskich, bardzo odważnych i walecznych. Wiele wieków później nazywano by ich pewnie piratami czy korsarzami. Ich epoka zaczęła się od napaści na klasztor Lindisfarne w Anglii w roku 793. Przybywali z pomocy jak duchy i łupili Szkocję i Anglię, dopóki Wilhelm Zdobywca nie wygrał bitwy pod Hastings i nie został królem Anglii. Był Normanem o norweskich korzeniach. Od 800 roku flotyle wikingów grasowały po wodach Europy i

Morzu Śródziemnym. Ich panowanie trwało krótko i do trzynastego wieku przestali być potęgą. Ostatni z nich opuścili Grenlandię w roku 1450.

- Czy wiadomo, dlaczego na Środkowym Zachodzie zostało tyle kamieni runicznych?  
- zapytał Giordino.

- Sagi norweskie, zwłaszcza islandzkie, mówią o żeglarzach i mieszkańcach Islandii i Grenlandii, którzy w latach 1000-1015 próbowali skolonizować północno-zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Można przyjąć, że zapuszczali się również w głąb kraju.

- Ale jedynym niezbitym dowodem ich obecności w Ameryce Północnej jest osada w L'Anse aux Meadows na Nowej Fundlandii - zauważył Pitt.

- Jeśli zakładali kolonie we Francji, w Rosji, Anglii, Irlandii i w dalekich krajach śródziemnomorskich - odparła Marlys - równie dobrze mogli dopłynąć Rzeką Świętego Wawrzyńca do serca Ameryki. Albo okrążyć Florydę i popłynąć z Zatoki Meksykańskiej w górę Missisipi. Mogli wykorzystać sieć rzek i spenetrować dużą część kraju.

- Na co wskazują kamienie runiczne, które zostawili - podsumował Giordino.

- Nie tylko Norwegowie - odrzekła Marlys. - Różne ludy ze Starego Świata odwiedzały obie Ameryki przed Liefem Ericksonem i Krzysztofem Kolumbem. Żeglarze różnych cywilizacji przepływali Atlantyk i badali nasze brzegi. Znaleźliśmy już kamienie z hieroglifami egipskimi, literami i cyframi nubijskimi, pismem cypryjskim, punickim i ogamicznym. Przetłumaczyliśmy inskrypcje na ponad dwustu kamieniach zapisanych tym ostatnim alfabetem, którego używali głównie Celtowie z Irlandii, Szkocji i Iberii. Jest jeszcze mnóstwo niezidentyfikowanych kamieni z napisami. Możliwe, że pierwszych gości mieliśmy tu cztery tysiące lat temu.

Marlys urwała dla efektu i uśmiechnęła się.

- Inskrypcje z użyciem alfabetu to dopiero połowa tematu.

- Są inne? - zdziwiła się Kelly.

- Petroglify - domyślił się Pitt.

- Petroglify - powtórzyła jak echo Marlys, kiwając głową. - Skatalogowano setki rysunków naskalnych. Statki, zwierzęta, bogowie i boginie. Brodate twarze, identyczne jak te w starożytnej Grecji, i głowy ludzkie prawie takie same, jak na rysunkach znad Morza Śródziemnego. Najwięcej jest ptaków w locie, koni i łodzi. Są nawet petroglify zwierząt, które nie mieszkają w obu Amerykach: nosorożców, słoni i lwów. Często powtarza się motyw astronomiczny, czyli gwiazdy i konstelacje. Ich pozycje na kamieniach odpowiadają ich pozycjom na niebie przed tysiącami lat.

- Jak już mówiłem przez telefon - przypomniał Pitt - interesują nas kamienie, które

ojciec Kelly odkrył piętnaście lat temu.

Marlys w zamyśleniu spojrzała w sufit.

- Pamiętam. Znalazł trzydzieści pięć inskrypcji; kronikę wyprawy grupy Norwegów na Środkowy Zachód w roku 1035. Miał obsesję na tym punkcie. Chciał koniecznie odszukać jakąś grootę. Ale gdzie, tego nie wiem.

- Zostawił pani wyniki swoich badań?

Marlys klasnęła w rękę.

- To wasz szczęśliwy dzień. Chodźmy do mojego biura w oborze.

W dawnej oborze mieściło się teraz ogromne biuro. Strych na siano zniknął i odsłonił wysoki sufit. Połowę pomieszczenia zajmowały półki z książkami. Na środku stał duży, kwadratowy stół z głębokim wycięciem i dwoma komputerami. Na blacie leżały zdjęcia, teczki z dokumentami, książki i oprawione raporty. Dalej stał wielki monitor, a pod nim półki z kasetami wideo i dyskami optycznymi. Na starej, drewnianej podłodze pozostały ślady krowich kopyt od wierzgania przy dojeniu. Przez otwarte drzwi widać było laboratorium z podłogą i ścianami pokrytymi białym pyłem.

Część przestronnej sali wypełniały misy i garnki ceramiczne, ludzkie głowy i figury oraz zwierzęta. Kilka postaci wyglądało niemal komicznie w dziwnych pozach. W wielkiej, szklanej gablocie leżała co najmniej setka różnych artefaktów niewiadomego przeznaczenia. Pitta zainteresowały kamienne maski. Widział podobne w muzeum w Atenach. Nie mogli ich wyrzeźbić Indianie. Wszystkie podobizny miały kręcone brody. Ciekawe, pomyślał Pitt. Rdzenni mieszkańcy Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej nie mają zarostu.

- Wszystkie znaleziono w Stanach? - zapytał.

- Od Kolorado po Oklahomę i Georgię.

- A co jest w gablocie?

- Głównie narzędzia, broń i trochę starożytnych monet.

- Imponująca kolekcja.

- Zapisałam ją w spadku uniwersytetowi i muzeum.

- Nie do wiary, że tylu starożytnych podróżowało w naszym kierunku - powiedziała Kelly.

- Nasi przodkowie byli tak samo ciekawi świata, jak my - odrzekła Marlys i wskazała półki z książkami, fotele i sofę. - Rozgościć się, a ja poszukam dokumentacji ojca Kelly.

Po chwili przyniosła dwie grube teczki. W jednej było ponad sto fotografii, druga pękła w szwach od papierów.

Marlys pokazała swoje zdjęcie obok wielkiego głazu z inskrypcją.

- To kamień z Bertram. Znalazł go myśliwy po drugiej stronie jeziora w roku 1933.

Podeszła do wysokiej szafki i wyjęła płaski odlew gipsowy.

- Zwykle przed sfotografowaniem inskrypcji pokrywam ją talkiem albo pyłem kredowym - wyjaśniła. - Jeśli to możliwe, nakładam kilka warstw płynnego lateksu. Czekam, aż forma wyschnie, zabieram ją do mojej pracowni i zalewam gipsem. Kiedy odlew stwardnieje, robię reprodukcję światłodrukową tekstu. Wychodzą wtedy litery i symbole, których nie widać gołym okiem na zwietrzałym kamieniu.

Pitt przyjrzał się znaczkom przypominającym gałązki.

- Nie wyglądają na litery.

- Ten tekst to kombinacja futharku starogermańskiego i późniejszego skandynawskiego. Pierwszy alfabet miał dwadzieścia cztery runy czy też litery, drugi szesnaście. Nie wiadomo, skąd się wzięło pismo runiczne. Jest trochę podobne do starożytnej greki i łaciny, ale naukowcy uważają, że powstało w pierwszym wieku naszej ery w kulturze germańskiej, więc pochodzi od języka teutońskiego z tamtych czasów. W trzecim wieku zawędrowało do krajów nordyckich.

- Skąd pani wie, że napis na tym kamieniu to nie fałszyfikat? - zapytał sceptycznie Giordino.

- Po pierwsze - odpowiedziała łagodnie Marlys - policyjni specje od fałszerstw zbadali kilka kamieni i jednogłośnie orzekli, że wszystkie inskrypcje wykonała ta sama ręka. Charakter pisma jest wszędzie identyczny. Po drugie, kto przejechałby po kraju ponad trzy tysiące kilometrów, żeby po drodze wyryć w kamieniach inskrypcje runiczne o norweskiej wyprawie, której nie było? Po co? Taki fałszerz musiałby być wybitnym ekspertem od tego języka i alfabetu, bo współcześni runolodzy nie znaleźli w napisach żadnych błędów. Po trzecie, według historyków, kamień z Bertram pierwsi odkryli Indianie z plemienia Odżibuejów i powiedzieli o nim osadnikom w roku 1820. Potem natrafili na niego francuscy łowcy futer. Nie wydaje się prawdopodobne, żeby na długo przed zasiedleniem tych okolic inskrypcją wykonał ktoś inny niż Norwegowie. Wreszcie, po czwarte, choć węglowa metoda datowania sprawdza się tylko w wypadku materiałów organicznych, a nie kamienia, jedynym sposobem oceny wieku skały jest zbadanie wielkości erozji. Stopień zniszczenia inskrypcji i twardość kamienia pozwoliły ocenić w przybliżeniu, jak długo litery były wystawione na działanie wiatru, deszczu i śniegu. Wyrzyto je przypuszczalnie między rokiem tysięcznym i tysiąc sto pięćdziesiątym.

- Czy wokół któregoś z kamieni znaleziono jakieś artefakty? - nie ustępował Giordino.

- Nie. Nic się nie zachowało.

- Nic dziwnego - powiedział Pitt. - Na szlaku Francisco de Coronado i Meksyku do Kansas też odkryto ich bardzo niewiele, albo nawet żadnego. A jego wyprawa odbyła się kilka wieków później.

- A teraz pytanie za milion dolarów - uprzedził Giordino. - Co jest napisane na tym kamieniu?

Marlys włożyła do komputera płytę CD. Na monitorze pojawiły się wyraźne litery. Prawie sto czterdzieści znaków w czterech rzędach.

- Być może nigdy nie przetłumaczymy tego dokładnie - wyjaśniła Marlys - ale sześciu runologów z kraju i ze Skandynawii stwierdziło zgodnie, że inskrypcja brzmi tak:

*Magnus Sigvatson przechodził tędy w roku tysiąc trzydziestym piątym. Zajął ziemie po tej stronie rzeki dla swojego brata, Bjarne Sigvatsona, wodza naszego plemienia. Helgan Siggtrygg zamordowany przez Skraelingów.*

Słowo "Skraelingowie" oznacza barbarzyńców albo leniwych pogan, a w starym żargonie kanalie. Ten Siggtrygg zginął przypuszczalnie w potyczce z miejscowymi Indianami, przodkami Siuksów i Odżibuejów.

- Magnus Sigvatson - przeczytał półgłosem Pitt. - Brat Bjarne.

Marlys westchnęła.

- Saga mówi, że Bjarne Sigvatson wypłynął na czele flotyli kolonistów z Grenlandii na zachód. Późniejsze przekazy podają, że zatonęli.

- A co jest na pozostałych trzydziestu czterech kamieniach? - zapytał Pitt.

- Większość z nich wygląda na słupy graniczne. Magnus był bardzo gubimy. Zajął dla brata i swojego plemienia jedną czwartą dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

Marlys urwała i na monitorze pojawił się odlew innej inskrypcji.

- Ta mówi:

*Magnus Sigvatson tu wyszedł na brzeg.*

- Gdzie znaleziono ten kamień? - zapytał Giordino.

- Na cyplu Bark Point w zatoce Siskiwit.

Pitt i Giordino wymienili rozbawione spojrzenia.

- Nic nam to nie mówi - powiedział Pitt.



Marlys roześmiała się.

- Przepraszam. To na Jeziorze Górnym w Wisconsin.

- A gdzie odkryto inne? - zapytała Kelly.

- Norwegowie byli dość gadatliwi, jeśli wziąć pod uwagę, że prawdopodobnie zlokalizowano i przetłumaczono dopiero niecałą jedną czwartą ich inskrypcji. Pierwszy i ostatni kamień runiczny znaleziono na cyplu Crown Point na południowym krańcu jeziora Champlain. To na północy stanu Nowy Jork, panie Pitt.

Pitt odwzajemnił uśmiech Marlys.

- Wiem.

- Następne trzy kamienie - ciągnęła Marlys - odkryto w różnych miejscach na Wielkich Jeziorach. Sugeruje to, że nasi Norwegowie żeglowali na północ do Rzeki Świętego Wawrzyńca. Później przepłynęli przez jeziora i wyszli na brzeg w zatoce Siskiwit. Przypuszczam, że potem transportowali łodzie lądem z jednego akwenu do drugiego, aż dotarli do Missisipi. Tam rozpoczęli podróż na południe.

- Ale jezioro Bertram nie leży na tej trasie - zauważyła Kelly.

- Jest tylko trzy kilometry od rzeki. Podejrzewam, że Norwegowie wychodzili po drodze na brzeg i badali teren.

- Dokąd dotarli? - zapytał Giordino.

- Szlak kamieni runicznych wije się przez stany Iowa, Missouri, Arkansas i Kansas. Najdalszy kamień znalazła drużyna skautów w pobliżu Sterling w Kolorado. Uważamy, że potem Norwegowie wrócili do Missisipi, gdzie wcześniej zostawili łodzie. Następną inskrypcję odkryto na zachodnim brzegu rzeki, naprzeciwko Memphis. Brzmi tak:

*Łodzie zostają tu pod strażą Olafsona i Tyggvasona.*

- Z tamtego miejsca - mówiła dalej Marlys - musieli pożeglować w górą rzeki Ohio i wpłynąć na rzekę Allegheny. Dotarli nią do jeziora Erie, skąd wrócili tą samą drogą do jeziora Champlain.

Kelly się trochę pogubiła.

- Nie bardzo rozumiem, co znaczyło "pierwszy i ostatni kamień".

- Przypuszczamy, że kamień runiczny nad jeziorem Champlain został zapisany na samym początku wyprawy. Musiały być inne, ale ich nie znaleziono. Kiedy Norwegowie wrócili po blisko roku do punktu wyjścia, wyryli drugą inskrypcję, pod pierwszą.

- Możemy je zobaczyć? - zapytał Pitt.

Marlys postukała w klawiaturę i na monitorze ukazał się ogromny głaz. Sądząc po wielkości człowieka siedzącego na jego szczycie, miał wysokość trzech metrów. Stał w głębokim wąwozie.

Nad dziesięcioma rzędami liter widać było petroglif statku wikingów z ożaglowaniem, wiosłami i tarczami na burtach.

- To trudny tekst - wyjaśniła Marlys. - Żaden z epigrafologów, którzy go studiowali, nie był stuprocentowo pewien treści. Ale ich przekłady są podobne.

Zaczęła tłumaczyć długą inskrypcję.

*Po sześciu dniach podróży z naszej osady w górę fiordu, Magnus Sigvatson z setką towarzyszy odpoczywa tu i zajmuje całą ziemię w zasięgu wzroku dla swoich krewnych i wodza naszego plemienia, Bjarne Sigvatsona, oraz dla naszych dzieci.*

*Kraj jest dużo większy, niż myśleliśmy. Większy nawet od naszej ukochanej ojczyzny. Jesteśmy dobrze zaopatrzeni, a pięć małych, mocnych statków przeszło porządne naprawy. Nie będziemy wracać tą drogą jeszcze przez wiele miesięcy. Oby Odyn strzegł nas przed Skraelingami.*

- Muszę was uprzedzić - powiedziała - że to bardzo luźny przekład i zapewne nie oddaje w pełni treści oryginału. Druga inskrypcja brzmi:

*Po czternastu miesiącach od opuszczenia naszych rodzin jesteśmy tylko o sześć dni żeglugi w dół fiordu od grotty pod wysokim urwiskiem i naszych domów. Z setki ludzi zostało nas dziewięćdziesięciu pięciu. Chwała Odynowi, że nas strzegł. Ziemia, którą zająłem w imieniu mojego brata, jest większa, niż myśleliśmy, odkryliśmy raj. Magnus Sigvatson.*

- Potem jest data, rok 1036.

- Sześć dni żeglugi w dół fiordu... - powtórzył w zamyśleniu Pitt. - To by sugerowało, że Norwegowie mieli osadę w Stanach Zjednoczonych.

- Odkryto ją? - zapytał Giordino.

Marlys pokręciła głową.

- Oprócz tej na Nowej Fundlandii archeolodzy niczego nie znaleźli.

- Dlaczego?

- Stare indiańskie legendy opowiadają o wielkiej bitwie z dziwnymi, dzikimi ludźmi z zachodu. Mieli ponoć włosy na twarzach i lśniące głowy.

- Co?! - zdumiała się Kelly.

- Brody i hełmy. - Pitt uśmiechnął się. - Tak wyglądali wikingowie.

- Dziwne, że po osadzie nie został żaden ślad - powiedziała Kelly.

Pitt spojrzał na nią.

- Twój ojciec wiedział, gdzie była.

- Dlaczego tak uważasz?

- Inaczej nie szukałby tak uparcie kamieni runicznych. Miał nadzieję znaleźć grootę, o której wspomina ostatnia inskrypcja. A przerwał tak nagle poszukiwania, bo ją znalazł.

- Bez jego notatek i dokumentacji nie trafimy tam - zauważył Giordino. - Będziemy błądzić jak pijane dzieci we mgle.

Pitt odwrócił się do Marlys.

- Nie zostało pani nic po doktorze Eganie, co mogłoby nas naprowadzić?

- Nie miał zwyczaju pisać listów ani wysyłać e-mailów. Wszystkie informacje wymienialiśmy przez telefon.

- Nie jestem zaskoczona - mruknęła Kelly.

- I słusznie - odrzekł Giordino. - Mało miał problemów z Cerberem?

Pitt popatrzył w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Potem spojrzał uważnie na Kelly.

- Mówiłaś, że przeczesałicie z Joshem całą farmę i nie trafiliście na ukrytą pracownię ojca.

Skinęła głową.

- Zgadza się. Sprawdziliśmy każdy centymetr kwadratowy na naszym terenie i na farmach sąsiadów. I nic.

- A urwisko nad rzeką?

- Od tego zaczęliśmy. Sprowadziliśmy nawet ludzi z klubów wysokogórskich. Nie znaleźli żadnej jaskini, ścieżki ani schodków wykutych w skale... Jeśli jedyna wzmianka o grocie jest na pierwszym kamieniu runicznym, to po co ojciec włóczył się po kraju i szukał następnych inskrypcji, które nic nie mówią?

- Nie wiedział o tym, kiedy zaczynał poszukiwania - uspokoił ją Pitt. - Pewnie miał nadzieję, że na innych kamieniach będą dalsze wskazówki. Ale okazało się, że nie; trop prowadzi z powrotem do punktu wyjścia.

- A właściwie co go napadło z tymi kamieniami? - zapytał Giordino.

Kelly pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie zdradził matce ani mnie, czego szuka.

- Groty pod urwiskiem - powiedział wolno Pitt.

- Tak myślisz?
- Tak.
- Uważasz, że ją znalazł?
- Tak - powtórzył Pitt.
- Ale tam nie ma groty - zaprotestowała Kelly.
- Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. I jeśli ją znajdziemy, wyjaśni się wiele tajemnic.

Zagadka tajnego projektu twojego ojca też.

- Moglibyście pójść w innym kierunku - zasugerowała Marlys.
- To znaczy? - zapytał Pitt.
- Skonsultujcie się z doktorem Jerryem Wednesdayem. Największym znawcą dawnych plemion indiańskich z doliny rzeki Hudson. Może powie wam coś o ich kontaktach z Norwegami. Wykłada historię kultur w college'u Marymount w Tarrytown w stanie Nowy Jork.

- Znam Marymount - powiedziała Kelly. - To żeński college katolicki za rzeką na wprost farmy taty.

Pitt spojrzał na Giordina.

- Co ty na to?
- Poszukiwań skarbów historycznych nigdy za wiele.

Pitt uścisnął rękę Marlys.

- Dzięki za gościnność i pomoc.
- Nie ma za co. Przez was sąsiedzi będą o mnie plotkować.

Osloniła oczy przed słońcem i patrzyła, jak helikopter unosi się w bezchmurne niebo i bierze kurs na pomocny zachód do Duluth. Pomyślała o Elmorze Eganie. Pamiętała go jako prawdziwego ekscentryka, choć bardzo kochanego. Miała nadzieję, że skierowała gości pod właściwy adres i że doktor Wednesday da im ostatnią wskazówkę, jak rozwiązać zagadkę.

Prywatną drogą do posiadłości Cerbera nad jeziorem Tohono przyjeżdżały zakurzone dzipy, durango i chevy suburbany. Terenowe samochody nie rzucały się w oczy. Wszystkie były co najmniej ośmioletnie. Dobrano je tak, żeby nie wyróżniały się wśród pojazdów miejscowych kierowców. Kiedy przejeżdżały przez okoliczne miasteczka, nikt nie przyglądał się pasażerom przebranych za wędkarzy.

Goście zjawiali się co dziesięć do piętnastu minut. Wchodzili do drewnianego domu z pudełkami na przynętę, wędkami i kołowrotkami. O dziwo, nikt z przyjezdnych nawet nie zerknął na przystań z łódkami ani nie wyszedł łowić. Wszyscy zostali w środku. Nie przyjechali tu na ryby.

Nie zebrali się też towarzysko w dużym salonie z kominkiem. Nie rozsiedli się w fotelach i na sofach z indiańskimi narzutami wśród obrazów Russella i Remingtona i rzeźb z brązu. Zeszli do wielkiej podziemnej sali odgrudzonej stalowymi drzwiami od dwustumetrowego tunelu ewakuacyjnego, który kończył się w lesie. Dalej biegła prawie kilometrowa ścieżka. Wychodziła na otwartą przestrzeń, gdzie natychmiast mogły wylądować wezwane helikoptery. Terenu i drogi strzegły systemy alarmowe. Okolica wokół drewnianego domu wyglądała z pozoru zwyczajnie, ale była doskonale zabezpieczona przed inwigilacją agentów rządowych, policji stanowej i miejscowych szeryfów.

Przy stole konferencyjnym w luksusowo urządzonej podziemnej sali zasiadło sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Dziewiątą osobą był Curtis Merlin Zale. Zajmował miejsce u szczytu stołu. Rozdał skórzane teczki z aktami, wyciągnął się w fotelu i czekał, aż goście przestudują dokumenty.

- Zapamiętajcie to, co przeczytacie - polecił. - Kiedy będziemy stąd wyjeżdżali jutro wieczorem, wszystkie papiery zostaną zniszczone.

Interesy imperium Cerbera wymagały, żeby sesje planowania strategicznego odbywały się w ścisłej tajemnicy. Kobiety i mężczyźni wokół stołu kierowali największymi koncernami naftowymi na półkuli północnej. Mieli uzgodnić politykę swoich korporacji na najbliższe miesiące. Ekonomiści, wysocy urzędnicy z departamentu handlu i dziennikarze z "Wall Street Journal" uważali te giganty petrochemiczne za samodzielne firmy. Mylili się. Tylko obecni w tej sali wiedzieli, że są związani z Curtisem Merlinem Zale'em i Cerberem. Od czasów Rockefellera i Standard Oil nikt nie opanował rynku paliw tak ściśle jak oni.

Tworzyli największy monopol, jaki kiedykolwiek powstał.

Na potajemnej fuzji zarobili miliardy i za swoje machinacje nie zamierzali iść za kratki. Departament sprawiedliwości miał nadzieję, że dochodzenie ujawni istnienie kartelu, ale postarali się, żeby śledztwo stanęło w miejscu. Mogła im grozić jedynie zdrada kogoś z własnego grona. Ale ewentualni donosiciele wiedzieli, że oni i ich rodziny szybko znikną bez śladu albo zginą w nieszczęśliwych wypadkach. Kto wszedł do spółki, nie miał odwrotu.

Mimo dużego ryzyka spodziewane zyski były astronomiczne. Ludzie przy stole przewidywali, że wspólne przedsięwzięcie przyniesie im już nie miliardy, ale biliony dolarów. Oprócz pieniędzy chcieli zdobyć wpływy, które dadzą im kontrolę nad rządem Stanów Zjednoczonych.

Zale otworzył zebranie.

- Znacie prognozy - zaczął. - Dodam, że liczby nie są naciągane. W latach 1975-2000 zaludnienie świata wzrosło o pięćdziesiąt procent. Zapotrzebowanie na ropę o tyle samo. W roku 2010 jej światowa produkcja osiągnie szczyt. To już za niecałe siedem lat. Potem będzie spadać i do 2050 roku obniży się do małego ułamka dzisiejszego poziomu.

Rick Sherman, czterdziestosześcioletni prezes Zenna Oil, spojrział na Zale'a przez grube okulary bez oprawek. Wyglądał jak nauczyciel matematyki w szkole podstawowej, ale zarządzał trzecim co do wielkości koncernem naftowym w kraju.

- Statystyki są nieaktualne. Ciągły deficyt ropy na rynku już się zaczął. Dziesięć lat wcześniej niż przewidywano. Popyt przerasta produkcję, która od teraz będzie gwałtownie spadać.

- Podaż wygląda bardzo kiepsko, ale przyszłość gospodarki światowej jeszcze gorzej - powiedział Jesus Morales, szef CalTex Oil Company. - Zapowiada się bessa, skok cen, hiperinflacja, może nawet reglamentacja. Wolę nie myśleć, ile będzie kosztował transport.

- Właśnie - przytaknęła Sally Morse. Przetarła okulary do czytania i zajrzała do raportu Zale'a. Była szefową Yukon Oil, największego producenta ropy w Kanadzie. Do tajnej spółki przystąpiła niechętnie pięć lat temu jako ostatnia. Miała coraz większe wątpliwości, czy dobrze zrobiła.

- Nie ma co liczyć na odkrycie nowych dużych złóż - zaczęła. - Wbrew przewidywaniom geologów, od roku 1980 znaleziono bardzo niewiele miejsc, których wydobyte przekracza dziesięć milionów baryłek. Dziewięćdziesiąt cztery procent światowej produkcji ropy pochodzi z tysiąca trzystu jedenastu głównych terenów roponośnych. Kiedy te zasoby zmaleją, nie uda się powstrzymać stałego wzrostu cen ropy i gazu.

- Zła wiadomość jest taka - dorzucił Zale - że na każde dziesięć zużywanych baryłek

odkrywamy tylko jedną nową.

- Ta sytuacja może się tylko pogorszyć - dodał Morales.

Zale pokiwał głową.

- Dlatego połączyliśmy siły. Chiny i Indie potrzebują coraz więcej ropy. Rywalizacja między nimi, Europą i Stanami Zjednoczonymi przerodzi się niedługo w trudną do wygrania wojnę cenową.

- Z korzyścią dla krajów OPEC - dodał Sherman. - Przy szybko rosnącym zapotrzebowaniu światowym będą wyciskać z baryłki każdego centa możliwego do zdobycia.

- Okazja sama wpada nam w ręce - podsumował Zale. - Po koncentracji naszych środków, pól naftowych i rafinerii w Ameryce Północnej, możemy teraz dyktować warunki i ceny. Możemy też podwoić wydobycie i wiercić tam, gdzie dotąd rząd nam nie pozwalał. Nowo zbudowany system rurociągów zastąpi kosztowny transport tankowcami. Jeśli nasze plany strategiczne się powiodą, na północ od Meksyku będzie sprzedawana tylko amerykańska i kanadyjska ropa i gaz. Mówiąc prościej, dziewięćdziesiąt sześć procent zysku trafi do naszych kieszeni.

- Kraje OPEC nie dadzą się wymanewrować - odezwał się stary nafciarz, Gunnar Machowsky. - Mogę się założyć, że przy każdym ruchu ceny za baryłkę podstawią nam nogę.

Machowsky zaczynał jako poszukiwacz ropy i pięć razy zostawał z suchymi szybami wiertniczymi. Wreszcie trafił na ogromne złożo w środkowej Nevadzie. Miał wielki brzuch i łysą czaszkę okoloną siwymi włosami. Był wyłącznym właścicielem Gunnar Oil, słynął ze skąpstwa i nie przepuszczał żadnej okazji, żeby dobrze zarobić.

Zale uśmiechnął się.

- Nie wątpię. Nie jesteśmy w stanie dopasować się do ich cen. Ale plan jest taki: zniechęcić Amerykanów do zagranicznej ropy. Zrobi się szum i władze będą musiały wprowadzić embargo na import.

- Ilu ważnych ludzi mamy w kieszeni? - zapytał cicho spokojny okularnik Guy Kruse, dyrektor Eureka Offshore Oil Ventures.

Zale odwrócił się do Sandry Delage, szefowej administracji kartelu. Jej atrakcyjny i niewinny wygląd był bardzo mylący. Niebieskooka blondynka miała umysł ostry jak brzytwa i zdolności organizacyjne, które podziwiali wszyscy przy stole. Przez moment studiowała notes, potem podniosła wzrok.

- Dane z wczoraj: możemy w pełni liczyć na trzydziestu dziewięciu senatorów i stu dziesięciu członków Izby Reprezentantów. Będą głosować tak, jak im każemy.

Kruse uśmiechnął się.

- Nasze wydatki opłaciły się bardziej, niż myśleliśmy.  
- Biały Dom też chyba nas poprze - dodała Delage.  
- Zostają obrońcy środowiska i ci senatorzy i kongresmani, którzy chcą uratować bobry - burknął Machowsky.

Zale pochylił się nad stołem i pomachał ołówkiem.

- Kiedy zabraknie ropy i ceny skoczą, ludzie podniosą taki krzyk, że zagłuszą ich protesty. Już dziś wystarczy nam głosów w Kongresie, żeby uruchomić nowe pola naftowe od Alaski do Florydy. Ekolodzy są w mniejszości. Rządy Stanów i Kanady nie mają wyboru; muszą pozwolić nam na wiercenia na terenach państwowych, gdzie geolodzy odkrywają nowe złoża. Nie zapominajmy, że rząd sięgnął już do strategicznych rezerw paliwowych, Korzystał z nich sześć razy. Jeszcze trochę i zostaną zapasy najwyżej na trzy tygodnie.

Machowsky skrzywił się.

- To był wygłup polityczny. Nasze rafinerie pracowały na pełnych obrotach, a ludzie uwierzyli, że dobry rząd robi im przysługę.

Sally Morse przytaknęła.

- I sam się nam podłożył.

Po raz pierwszy odezwał się Sam Riley, prezes Pioneer Oil. Firma miała rozległe złoża na Środkowym Zachodzie.

- Nawet ze szklaną kulą nie moglibyśmy tego lepiej zaplanować.

- Owszem - zgodził się Zale. - To kombinacja szczęścia i umiejętności przewidywania.

Odwrócił się do emerytowanego generała Dana Goodmana z Diversified Oil Resources.

- Jak wygląda sytuacja z ropą w zachodnim Kolorado?

Dawny szef zaopatrzenia paliwowego armii był o dobre dziesięć lat starszy od reszty zebranych. Ważył prawie sto piętnaście kilogramów, miał niezłą kondycję i swoiste poczucie humoru.

- Dzięki przełomowi technologicznemu w branży, zaczniemy przerób za tydzień. Sprzęt i wszystkie systemy zostały przetestowane. Linia produkcyjna działa. Mamy teraz ogromne źródło ropy, gazu ziemnego i paliwa stałego, które przewyższa węgiel. Oceniamy, że z jednej tony łupków bitumicznych otrzymamy ponad sto pięćdziesiąt litrów ropy.

- Jak duże są te złoża? - zapytał Kruse.

- Wystarczą do uzyskania dwóch trylionów baryłek.

Zale spojrzał na Goodmana.



- Ilu?!

- Dwóch trylionów baryłek ropy. I są to ostrożne oceny.

- Dobry Boże! - mruknął Sherman. - To dużo więcej, niż wynika z raportów energetycznych rządu.

- Zaniżają dane - mruknął porozumiewawczo Goodman.

Riley roześmiał się.

- Jeśli zejdzie pan z kosztami poniżej pięćdziesięciu dolarów za baryłkę, reszta z nas wypadnie z gry.

- Jeszcze nie. Na razie koszty utrzymają się w granicach sześćdziesięciu dolarów.

Morales odchylił się do tyłu na dwóch nogach krzesła i założył ręce za głowę.

- Pozostało nam tylko dokończenie systemu rurociągów i możemy zaczynać operację.

Zale nie od razu odpowiedział. Skinął głową Sandrze Delage. Wcisnęła guzik na pilocie i opuściła duży ekran. Pojawiła się na nim wielka mapa Alaski, Kanady i czterdziestu ośmiu stanów poniżej. Granice państw i stanów przecinały czarne linie rurociągów z pól naftowych poprzez rafinerie do głównych miast.

- Panie i panowie, oto nasza podziemna sieć transportu ropy. Pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście kilometrów rur. Ostatni odcinek z pól Pioneer Oil Sama Riley'a w Nebrasce, Wyoming, Kansas i obu Dakotach będzie gotowy do końca miesiąca.

- Oszukanie obrońców środowiska przez położenie rur pod ziemią było genialnym posunięciem - powiedział Riley.

- Dzięki maszynom skonstruowanym przez naszych inżynierów z Cerbera ekipy mogą pracować na okrągło i kłaść szesnaście kilometrów rur na dobę.

- Wspaniały pomysł - dodał Morales - ta dzierzawa ziemi od kolei i puszczenie rurociągów wzdłuż torów.

- Muszę przyznać - odrzekł Zale - że zaoszczędziliśmy niewyobrażalne miliardy dolarów, unikając spraw sądowych i szarpaniny z właścicielami terenów państwowych i prywatnych. I możemy bez ograniczeń pompować ropę bezpośrednio do każdego dużego miasta w obu krajach. Nie musimy się przejmować żadnymi przepisami.

- To cud, że zaszliśmy tak daleko bez interwencji departamentu sprawiedliwości - powiedziała Sally Morse.

- Jesteśmy dobrze zabezpieczeni - odparł Zale. - Mamy tam wtyczki Pilnują, żeby wszelkie meldunki i zapytania agentów rządowych trafiały po cichu w próżnię albo na półkę do "rozpatrzenia w przyszłości".

Guy Kruse spojrział na Zale'a.

- Podobno komisja Kongresu pod przewodnictwem Loren Smith wszczyna śledztwo przeciwko panu i Gerberowi.

- Smith nic nie działa - zapewnił z przekonaniem Zale.

- Dlaczego? - zapytała Sally Morse. - Loren Smith zdecydowanie nie jest po naszej stronie.

Zale popatrzył na nią chłodno.

- Załatwimy to.

- Tak samo, jak "Emerald Dolphina" i "Golden Marlina"? - mruknął sarkastycznie Machowsky.

- Cel uświęca środki. Osiągnęliśmy, co chcieliśmy. Wina za katastrofy spadła na wadliwe silniki magnetohydrodynamiczne Elmore'a Egana. Stocznie zerwały wszystkie kontrakty na ich instalowanie. Egan nie żyje i lada dzień zdobędziemy wzór chemiczny jego superoleju. Kiedy rozpoczniemy produkcję, będziemy dzielić i kontrolować zyski z budowy i sprzedaży jego silników. Jak widzicie, panujemy nad całością rynku paliw ropopochodnych.

- Może nam pan zagwarantować, że nie będzie więcej ingerencji ze strony NUMA? - zapytał Sherman.

- Nie mają nad nami jurysdykcji.

- Porwanie ich statku badawczego z załogą nie było mądre - zauważył Riley.

- Tak, to zdarzenie nieoczekiwanie obróciło się przeciwko nam. Ale to już historia.

Żadne ślady nie prowadzą do Cerbera.

Dan Goodman podniósł rękę.

- Gratuluję udanej kampanii podburzania ludzi przeciwko importowi ropy do Stanów. Przez dziesiątki lat nikogo nie obchodziło, skąd bierzemy paliwa. Ale po katastrofach supertankowców, spowodowanych przez pańskie Żmije w Fort Lauderdale, Newport Beach, Bostonie i Vancouver, i ogromnych wyciekach ropy w gęsto zaludnionych i bogatych regionach kraju, podniosły się krzyki, że musimy być samowystarczalni.

- Przy tych wszystkich zaaranżowanych wypadkach w ciągu zaledwie dziewięciu miesięcy, wyciek z "Exxon Valdeza" na Alasce to niemal drobiazg - zgodził się Morales.

Zale obojętnie wzruszył ramionami.

- Tragiczna konieczność. Im dłużej potrwa sprzątanie, tym głośniejsze będzie wołanie o krajową ropę.

- Ale czy nie sprzedajemy duszy diabłu, żeby zdobyć pozycję monopolisty? - zapytała Sally Morse.

- Nie lubię słowa "monopol", łaskawa pani - odparł Zale. - Wolę "zaufanie rynku".

Morse oparła głowę na rękach.

- Kiedy pomyślę o tych wszystkich ludziach, ptakach, zwierzętach i rybach umierających po to, żebyśmy mogli osiągnąć cel, jestem chora.

- To nie czas na wyrzuty sumienia. Prowadzimy wojnę ekonomiczną. Nie potrzebujemy generałów, admirałów, czołgów, okrętów podwodnych czy bombowców, ale żeby wygrać, musimy rozbudzić w ludziach niezaspokojony apetyt na paliwa. Bardzo niedługo będziemy mogli mówić każdemu, kto mieszka na północ od Meksyku, jakie paliwo ma kupować, kiedy i za ile. Nie będziemy przed nikim odpowiedzialni. Z czasem zastąpimy rządy polityków rządami biznesmenów. Musimy być teraz twardzi, Sally.

- Świat bez polityków... - rozmarzył się Guy Kruse. - To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Lada chwila zaczną się masowe demonstracje przeciwko importowi ropy - powiedział Sherman. - Wystarczy jeszcze jeden incydent i lawina ruszy.

Zale uśmiechnął się chytrze.

- Wyprzedzam pana o krok, Rick. Taki incydent zdarzy się za trzy dni.

- Następnego wyciek z tankowca?

- Dużo gorzej.

- A co może być gorszego? - zapytał naiwnie Morales.

- Wyciek, który spowoduje eksplozję - odpowiedział Zale.

- Na wodach przybrzeżnych?

Zale pokręcił głową.

- W jednym z najbardziej ruchliwych portów świata.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Sandra Delage spojrzała na Zale'a.

- Mogę? - zapytała cicho.

Bez słowa kiwnął głową.

- W sobotę około szesnastej trzydzieści - zaczęła - największy supertankowiec świata, "Pacific Chimera", wpłynie do zatoki San Francisco. Statek ma czterysta dziewięćdziesiąt metrów długości i siedemdziesiąt szerokości. Weźmie kurs na terminal paliwowy na cyplu San Pedro, gdzie normalnie przycumowałby dziobem i opróżnił zbiorniki. Ale nie zatrzyma się. Na pełnej szybkości skieruje się w stronę centrum. Uderzy w brzeg przy World Trade Center. Oceniamy, że zanim się zatrzyma, wbije się w ląd na odległość prawie dwóch przecznic. Potem zostaną zdetonowane ładunki wybuchowe. Eksplozja sześciuset dwudziestu tysięcy ton ropy zmiecie z powierzchni ziemi całą nadbrzeżną część San Francisco.

Sally Morse zbladła.

- O, mój Boże - jęknęła. - Ile będzie ofiar?

- Mogą być tysiące, bo to godziny szczytu - odpowiedział brutalnie Kruse.

- Jakże to ma znaczenie? - zapytał Zale beznamiętnym tonem koronera pakującego zwłoki do chłodni w kostnicy. - Dużo więcej ginie w bezsensownych wojnach. Nam się to opłaci.

Wstał.

- Chyba wystarczy na dziś. Jutro rano zaczniemy od tego, na czym skończyliśmy. Podyskutujemy o taktyce wobec naszych rządów i o planach na nadchodzący rok.

Najwięksi potentaci naftowi dwóch krajów podnieśli się z miejsc i poszli za Zale'em do wind. Wjechali na górę do jadalni.

Została tylko Sally Morse z Yukon Oil. Siedziała sama i wyobrażała sobie straszliwe cierpienia, jakie czekały wkrótce niewinnych mężczyzn, kobiety i dzieci w San Francisco. W końcu podjęła decyzję, która mogła ją kosztować życie. Ale wychodząc z sali wiedziała, że się nie cofnie.

Po naradzie kierowca jej dzipa zatrzymał się przy firmowym odrzutowcu Lockheed Jetstar. Na schodkach czekał pilot.

- Wracamy do Anchorage, pani Morse? - upewnił się.

- Nie. Muszę być w Waszyngtonie na następnym spotkaniu.

- Zrobię tylko nowy plan lotu - powiedział pilot. - Za kilka minut startujemy.

Sally opadła na skórzany fotel za biurkiem z komputerem, faksem i baterią telefonów. Wiedziała, że weszła do labiryntu bez wyjścia. Pierwszy raz ryzykowała życie. Była zaradca i po śmierci męża umiejętnie kierowała Yukon Oil, ale to? Nie miała żadnego doświadczenia. Sięgnęła po słuchawkę telefonu, ale zdała sobie sprawę, że rozmowę mogą podsłuchać agenci Zale'a.

Poprosiła stewardesę o martini, zdjęła buty i zaczęła planować, jak uziemić Zale'a i jego organizację.

Pilot wielkiego Boeinga 727 siedział w kokpicie, czytał magazyn i czekał na swojego szefa, Curtisa Merlina Zale'a. Podniósł wzrok i popatrzył leniwie przez szybę na startującego Jetstara Yukon Oil. Samolot wzbiał się pod niebo upstrzone białymi obłokami i wziął kurs na południe.

Dziwne, pomyślał pilot Zale'a. Na Alaskę powinien polecieć na północny zachód. Wyszedł z kokpitu i wszedł do głównej kabiny. Siedział tam mężczyzna z nogą założoną na

nogę i czytał "Wall Street Journal".

- Przepraszam pana - powiedział pilot - ale pomyślałem, że to może być ważne.  
Samolot Yukon Oil odleciał na południe do Waszyngtonu zamiast na północ na Alaskę.

Ono Kanai odłożył gazetę i uśmiechnął się.

- Co za spostrzegawczość. Dzięki. To ciekawa wiadomość.

Tarrytown leży w okręgu Westchester w stanie Nowy Jork. To jedno z najbardziej malowniczych miasteczek w historycznej dolinie rzeki Hudson. Wzdłuż zadrzewionych ulic ciągną się antykwariaty w stylu kolonialnym, przytulne restauracyjki i sklepy z wyrobami miejscowych rzemieślników. W dzielnicach mieszkalnych stoją gotyckie dworki i eleganckie rezydencje.

Pitt drzemał na tylnym siedzeniu wynajętego samochodu, Giordino prowadził, Kelly siedziała obok i podziwiała okolicę. Dojechali krętą, wąską drogą do kampusu na wysokim wzgórzu z widokiem na rzekę Hudson i most Tappan Zee.

College Marymount założył w 1907 roku katolicki zakon Świętego Serca Marii. Uczelnia zapoczątkowała powstanie rozległej sieci żeńskich szkół wyższych na całym świecie. Matka Joseph Butler poświęciła życie na organizowanie placówek kształcących i przygotowujących kobiety do pracy na wysokich stanowiskach. Marymount miał profil humanistyczny i był jedną z najszybciej rozwijających się instytucji oświatowych w Stanach Zjednoczonych.

Giordino skręcił w główną aleję kampusu z surowymi budynkami z brązowej cegły. Nie mógł oderwać wzroku od dziewczyn idących na wykłady lub wracających z zajęć. Minął duży gmach Butler Hall z krzyżem na kopule i zaparkował przy Gerard Hall, gdzie na dwóch pierwszych kondygnacjach mieściły się biura uczelni.

Weszli po stopniach do holu i podeszli do informacji. Jasnowłosa studentka po dwudziestce odwzajemniła uśmiech Pitta.

- W czym mogę pomóc? - zapytała uprzejmie.

Szukamy gabinetu doktora Jerry'ego Wednesdaya z wydziału antropologii.

- Schodami po lewej na piętro, potem w prawo i korytarzem do końca.

- Dzięki.

- Na widok tych wszystkich laseczek mam ochotę wrócić do szkoły - powiedział Giordino, kiedy w drodze na górę minęli grupę dziewcząt.

- Masz pecha. To żeńska szkoła. Nie przyjmują tu facetów.

- Może mógłbym uczyć.

- Wywaliliby cię po tygodniu za sprośne zachowanie.

Studentka pracująca w biurze wydziału antropologii wprowadziła ich do gabinetu

doktora Wednesdaya. Mężczyzna w zagraconym pokoju wyciągał właśnie książkę z ciasno zastawionej półki. Odwrócił się i uśmiechnął do trójki przybyłych. Nie był wyższy od Giordina, ale dużo szczuplejszy. Nie nosił tweedowej marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach i nie palił fajki. Miał na sobie sportową bluzę, levisy i traperskie buty. Był gładko ogolony, łyślał od czoła i wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Patrzył na gości ciemnoszarymi oczami i szerzył białe, równe zęby, z których byłby dumny ortodonta.

- Jeden z was, panowie, musi być tym facetem, który do mnie dzwonił - powiedział jowialnie.

- Ja - odparł Pitt. - To Kelly Egan i Al Giordino, a ja nazywam się Dirk Pitt.

- Siadajcie. Złapaliście mnie w dobrym momencie. Mam dwie godziny przerwy między wykładami. Czy nie jest pani przypadkiem córką doktor Elmore'a Egana?

- Jestem - przytaknęła Kelly.

- Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o jego śmierci - powiedział szczerze Jerry Wednesday. - Zналиśmy się i korespondowaliśmy. Badał ślady wyprawy wikingów, którzy jego zdaniem, zapuścili się do stanu Nowy Jork chyba w roku... 1035, o ile pamiętam.

- Tak, tata bardzo się interesował kamieniami runicznymi na ich szlaku,

- Właśnie wracamy z Minnesoty od Marlys Kaiser - wtrącił Pitt. - To ona zasugerowała nam spotkanie z panem.

Wednesday usiadł za zagraconym biurkiem.

- Marlys to wspomniała kobieta. Pewnie powiedziała wam o przypuszczeniach doktora Egana, że wikingowie, którzy osiedlili się w tej okolicy, zostali zmasakrowani przez Indian z doliny?

Kelly kiwnęła głową.

- Wspomniała o tym.

Wednesday pogrzebał w szufladzie biurka i wyjął pogniecione papiery.

- Bardzo mało wiadomo o dawnych Indianach amerykańskich znad rzeki Hudson. Pierwsza wzmianka i opis tubylców pochodzi z roku 1524 od Giovanniego da Verrazano. Podczas długiego rejsu w górę i w dół Wschodniego Wybrzeża przybił do brzegu w stanie Nowy Jork. Badał okolicę przez dwa tygodnie, potem popłynął na północ do Nowej Fundlandii i wrócił do Francji.

Wednesday urwał i przejrzał swoje notatki.

Verrazano zapisał, że tubylcy amerykańscy mieli ostre rysy, ciemne oczy i długie, czarne włosy. Ubierali się w lisie i jelenie skóry i nosili miedziane ozdoby. Wyciosywali łodzie z pni drzew i mieszkali w okrągłych albo podłużnych chatkach z rozłupanych kłód.

Strzechy robili z długiej trawy i gałęzi. Poza opisem Verrazana po tamtych Indianach zostało niewiele śladów. Większość to domysły.

- Więc historia Indian amerykańskich zaczyna się w roku 1524 - podgumował Giordino.

- Udokumentowana historia, tak. Następny dowód zostawił w roku 1609 inny wielki żeglarz, Henry Hudson. Popłynął w górę rzeki nazwanej później jego nazwiskiem. O dziwo, dotarł aż do Cohoes, około piętnastu kilometrów powyżej Albany. Tam zatrzymały go wodospady. Według jego opisu, Indianie żyjący w dole rzeki byli silni i wojowniczy, natomiast ci mieszkający wyżej, przyjaźni i uprzejmi.

- Jakiej broni używali?

- Łuków i strzał z ostrymi, kamiennymi grotami przyklejanymi żywicą. Wyciosywali też maczugi i modelowali topory dużymi krzemieniami.

- A co jedli? - zapytała Kelly.

- To, co upolowali i złowili. Ostryg i ryb było mnóstwo, zwłaszcza jesiotrów i łososi. Uprawiali duże pola kukurydzy, którą piekli, oraz dynie, słoneczniki i fasolę. Wyrabiali również tytoń i palili go w fajkach z miedzi. Mieli jej w bród na północy wokół Wielkich Jezior i tylko ją potrafili obrabiać. Z innych metali znali żelazo, ale nie umieli go wykorzystać.

- Słowem, dobrze im się żyło.

Wednesday przytaknął z uśmiechem.

- Hudson nie zauważył wśród Indian śladów głodu czy niedożywienia. Co ciekawe, żaden z pierwszych odkrywców nie wspomina o skalpach, jeńcach czy niewolnikach. Te praktyki przypuszczalnie przywieźli ze sobą cudzoziemcy zza morza.

Pitt w zamyśleniu złożył dłonie.

- Są jakieś ślady kontaktów Indian z Europejczykami?

- Hudson i inni zanotowali kilka rzeczy. Na przykład to, że Indian wcale nie zdumiewał widok dziwnych statków i białych ludzi z jasnymi czy rudymi włosami. Jeden z marynarzy Verrazana wspomina o Indianach noszących żelazne ozdoby podobne do zardzewiałych ostrzy noży. Inny twierdzi, że widział żelazny topór na ścianie indiańskiej chaty. Kilku członków załogi znalazło podobno wklęsłe naczynie żelazne używane jako miska.

- Hełm wikinga - podsunął Giordino.

Wednesday uśmiechnął się wyrozumiale i mówił dalej.

- W1613 roku w dolinie zaczęli się osiedlać Holendrzy. Zbudowali fort w pobliżu



dzisiejszego Albany. Nauczyli się języka tubylców i poznali ich legendy.

- Czego się dowiedzieli?

- Trudno oddzielić mity od faktów - odparł Wednesday. - Opowieści przekazywane ustnie przez stulecia były, co zrozumiałe, bardzo mgliste. Jedna z legend mówiła o dzikich, brodatych białych z głowami błyszczącymi w słońcu, którzy przybyli do doliny i zbudowali osadę. Kiedy część obcych zniknęła na dłuższy czas...

- Magnus Sigvatson z setką swoich ludzi wyruszył na zachód - przerwała Kelly.

- Znam przekłady inskrypcji na kamieniach runicznych, które znalazł pani ojciec - odparł spokojnie Wednesday. - Idźmy dalej. Indianie nie uważali kradzieży za przestępstwo. Zaczęli zabierać i zarzynać zwierzęta domowe przywiezione przez obcych zza morza. Dzicy biali z włosami na twarzach, jak ich nazywano, odbierali Indianom swoje bydło i ucinali im ręce. Na nieszczęście, jednym ze złodziei był syn miejscowego wodza. Ojciec się wściekł i wezwał resztę plemion z doliny, między innymi Munsee Lenape, albo Delawarów, spokrewnionych kulturowo z Algonkinami. Połączone siły zaatakowały i zniszczyły osadę obcych i wyrżnęły wszystkich. Jest też wersja, że trochę kobiet i dzieci wzięto do niewoli, ale ten zwyczaj pojawił się dużo później.

- Magnus i jego ludzie musieli przeżyć szok, kiedy po powrocie zastali trupy swoich bliskich i przyjaciół.

Wednesday pokiwał głową.

- Teraz przyszła ich kolej. Legenda mówi o wielkiej bitwie. Dzicy biali o błyszczących głowach zabili ponad tysiąc Indian, potem wszyscy zginęli.

- Smutna historia - westchnęła Kelly.

Wednesday bezradnie rozłożył ręce.

- Kto wie, jak było naprawdę?

- Dziwne, że nie odkryto żadnych śladów osady - zauważył Pitt.

- Według legendy, Indianie w zrozumiłej furii spalili ją i zrównali z ziemią. Nie został kamień na kamieniu.

- Wiadomo coś o grocie?

- Jedyna wzmianka, jaką znam, jest na kamieniu runicznym znalezionym przez doktora Egana.

Pitt wyczekująco wpatrywał się w Wednesdaya. Historyk zrozumiał.

- No tak, było kilka niewyjaśnionych zdarzeń. Około roku tysięcznego w dolinie Hudson zaszły znaczące zmiany. Mieszkańcy odkryli nagle rolnictwo i zaczęli hodować warzywa. Do zbieractwa, łowiectwa i rybołówstwa dołączyła uprawa ziemi. Mniej więcej w

tym samym czasie wokół wiosek pojawiły się fortyfikacje z kamieni i pionowych bali, wzmocnionych wałami ziemnymi. Indianie stawiali też długie, owalne domy z platformami do spania w ścianach. Nie robili tego wcześniej.

- Pan sugeruje, że rolnictwa i budownictwa nauczyli się od wikingów. A po wielkiej bitwie obwarowali swoje wioski w obawie przed kolejnymi atakami obcych.

- Jestem realistą, panie Pitt - odparł Wednesday. - Niczego nie sugeruję. Mówię tylko, jakie są stare opowieści i przypuszczenia. Dopóki nie znajdziemy niezbitych dowodów, musimy traktować te historie jako legendy i mity. Inskrypcje na kamieniach runicznych nie wystarczą. Większość archeologów wątpi w ich autentyczność.

- Wierzę, że mój ojciec znalazł dowód na istnienie osady wikingów - powiedziała cicho Kelly. - Ale zginął, zanim zdążył to ujawnić i nie wiemy, gdzie się podziały jego notatki.

- Życzę szczęścia w poszukiwaniach - powiedział Wednesday. - Bardzo bym chciał, żeby się okazało, że osadnictwo w dolinie rzeki Hudson zaczęło się sześćset lat przed przybyciem tu Hiszpanów i Holendrów. Byłoby zabawnie pisać od nowa podręczniki historii.

Pitt wstał i uściśnął nad biurkiem dłoń Wednesdaya.

- Dziękujemy, panie doktorze. Jesteśmy wdzięczni, że poświęcił nam pan swój czas.

- Nie ma za co, było mi bardzo miło. - Historyk uśmiechnął się do Kelly. - Proszę dać mi znać, jeśli wypłynie coś nowego.

- Jeszcze jedno pytanie.

- Tak?

- Czy oprócz pierwszych odkrywców nikt nie natrafił na żadne artefakty wikingów?

Wednesday zastanowił się.

- O ile dobrze pamiętam, w latach dwudziestych ubiegłego wieku jakiś farmer znalazł zardzewiałą kolczugę. Ale nie wiem, co było dalej i czy kiedykolwiek badali ją naukowcy.

- Jeszcze raz dziękujemy.

Pożegnali się z Wednesdayem i wyszli na parking. Z ciemnych chmur lada chwila mogło lunąć. Ledwo wsiedli do samochodu, zaczęło padać i zrobiło się ponuro. Giordino włożył kluczyk do stacyjki i zapalił silnik.

- Tata znalazł osadę - powiedziała z naciskiem Kelly. - Wiem to.

- Mam problem - odrzekł Giordino. - Nie widzę związku między osadą i grota. Ale wygląda na to, że nie ma ani groty, ani osady.

- Założę się, że mimo zniknięcia osady, grota została - odparł Pitt.

- Ale gdzie? - zapytała w zamyśleniu Kelly. - Josh i ja nie znaleźliśmy jej.

- Indianie mogli zasypać wejście - podsunął Giordino.

Kelly popatrzyła przez szybę na drzewa wokół parkingu.

- Więc nigdy jej nie znajdziemy.

- Proponuję poszukać z rzeki pod urwiskiem - powiedział z przekonaniem Pitt. - Sonar wykryje otwór w skale pod powierzchnią wody. Weźmiemy łódź i sprzęt NUMA i pojutrze będziemy gotowi.

Giordino wrzucił bieg i wyjechał z parkingu. Nagle zadzwoniła jego komórka.

- Tak? - słuchał przez chwilę. - Już go daję, panie admirale.

Podał telefon Pittowi na tylne siedzenie.

- Sandecker do ciebie.

Pitt przywitał się, a potem zamilkł na trzy minuty.

- Tak jest, już wracamy - powiedział w końcu.

Wyłączył się i oddał komórkę Ałowi.

- Mamy być w Waszyngtonie jak najszybciej - wyjaśnił.

- Jakiś problem?

- Raczej alarm.

- Powiedział, o co chodzi? - zapytała Kelly.

- Znosi się na to, że Zale i jego kumple z Cerbera niedługo spowodują większą katastrofę niż zatopienie "Emerald Dolphina".

# **CZEŚĆ IV**

## **Podstęp**

8 sierpnia 2003, Waszyngton

Loren Smith czuła się tak, jakby przywiązano ją do dzikiego konia i wleczono przez pustynię. Dyrektorzy Cerbera wezwani przed komisję śledczą Kongresu do spraw nielegalnych praktyk marketingowych nie zjawili się. Przysłali armię prawników korporacji, którzy rozciągnęli nieprzeniknioną zasłonę dymną nad całą procedurą.

- Sprytny unik - mruknęła pod nosem, kiedy odkładała przesłuchania do następnego ranka. - Jutro pewnie będzie to samo.

Kongresman Leonard Sturgis, demokrat z Dakoty Północnej, położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie przejmuj się, Loren.

- Nie bardzo mi dziś pomogłeś - powiedziała ostro. - Zgadzałeś się ze wszystkim, co nam wciskali, choć doskonale wiedziałeś, że to kłamstwa i wykręty.

- Nie możesz zaprzeczyć, że mówili o rzeczach absolutnie zgodnych z prawem.

- Chcę tu widzieć Curtisa Merlina Zale'a i jego radę nadzorczą. Nie bandę cwaniaków, którzy mącą wodę.

- Pan Zale na pewno zjawi się we właściwym czasie - odrzekł Sturgis. - Myślę, że uznasz go za całkiem rozsądnego człowieka.

Loren zgromiła Sturgisa wzrokiem.

- Ostatnio po chamsku przerwał mi kolację. Uważam go za skończoną gnidę.

Sturgis zmarszczył brwi, co było do niego niepodobne. Rzadko przestawał się uśmiechać. W Kongresie uchodził za wzór łagodności. Wyglądał na farmera. Jego bracia nadal prowadzili rodzinne gospodarstwo rolne w Buffalo, w Dakocie Północnej. Był wciąż wybierany do Kongresu, gdyż nieustannie walczył o zachowanie wiejskiego stylu życia. W oczach Loren miał tylko jedną wadę: słabość do Curtisa Merlina Zale'a.

- Poznałeś go? - zapytał zaskoczony.

- Twój "rozsądny człowiek" groził mi śmiercią, jeśli nie zaniecham dochodzenia.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Lepiej uwierz! - parsknęła Loren. - I posłuchaj dobrej rady, Leo. Odczep się od Cerbera. Idą na dno. Zale będzie miał szczęście, jeśli nie skończy w celi śmierci.

Odwróciła się i odeszła. Sturgis popatrzył za nią. Wyglądała wspaniale w beżowym, wełnianym kostiumie z zamszowym paskiem. Niosła skórzany neseser w kolorze ubrania. To był jej znak rozpoznawczy.

Loren nie wróciła do gabinetu. Zrobił się późny wieczór, więc poszła prosto do samochodu. Stał na podziemnym parkingu kongresowym. W ulicznym korku rozmyślała o minionym dniu. Czterdzieści pięć minut później dojechała do swojego domu w Alexandrii. Kiedy zahamowała i wcisnęła guzik pilota do drzwi garażowych, z cienia wyszła kobieta. Podeszła do samochodu od strony kierowcy. Loren spokojnie opuściła szybę.

- Przepraszam, że panią nachodzę, pani Smith. Ale musimy pilnie porozmawiać.

- Kim pani jest?

- Sally Morse, szefowa firmy Yukon Oil.

Loren przyjrzała się jej džinsom i jasnoniebieskiemu swetrowi. Spojrzenie kobiety budziło zaufanie.

- Niech pani wejdzie do garażu.

Loren zaparkowała samochód i zamknęła drzwi garażowe.

- Zapraszam do środka.

Zaprowadziła Sally do nowocześnie urządzonego salonu, gdzie każdy mebel zrobiono na zamówienie.

- Proszę usiąść. Kawy?

- Wolałabym coś mocniejszego.

Loren otworzyła oszklony barek.

- Którą truciznę pani wybiera?

- Szkocką z lodem.

- Zupełnie jak facet.

Podziała Sally szklanekę cutty sark. Potem otworzyła sobie piwo coors i usiadła po drugiej stronie stolika.

- Słucham, pani Morse.

- Przyszłam tu, bo prowadzi pani śledztwo przeciw Gerberowi, który próbuje opanować rynek paliw płynnych.

Serce Loren zabiło żywiej, ale zmusiła się do spokoju.

- Czy mam rozumieć, że chce mi pani dostarczyć jakichś informacji?

Sally pociągnęła solidny łyk szkockiej, skrzywiła się i głęboko westchnęła.

- Mam nadzieję, że pani zrozumie: od tej chwili moje życie jest w niebezpieczeństwie, zapewne zniszczą mi dom, stracę dobrą reputację i pozycję, na którą długo i ciężko

pracowałam.

Loren nie naciskała.

- Jest pani bardzo odważna - powiedziała.

Sally smutno pokręciła głową.

- Wcale nie. Mam tylko szczęście, że jestem samotna. Curtis Merlin Zale i jego ludzie nie mogą zastraszyć ani zamordować moich bliskich, co spotkało wielu innych.

Loren poczuła przypływ adrenaliny. Sama wzmianka o Zale'u podziałała na nią jak nagle uderzenie pioruna w dach.

- Orientuje się pani w jego przestępczej działalności? - zaryzykowała.

- Od czasu, kiedy mnie zwerbował i razem z innymi szefami głównych firm paliwowych utworzył kartel.

Loren poczuła się tak, jakby odkryła żyłę złota.

- Nie wiedziałam o kartelu.

- Zale zaplanował tajną fuzję naszych firm, żeby uniezależnić Stany Zjednoczone od zagranicznej ropy. Początkowo myślałam, że to szczytny cel. Potem okazało się, że chodzi mu nie tylko o odcięcie się od OPEC.

- A o co jeszcze?

- Chce być potężniejszy od rządu. Potrzebujemy w kraju tyle ropy, że nieświadome niczego władze chętnie poprą jego starania o samowystarczalność. Pewnego dnia zaczną dyktować warunki. Stanie się monopolistą i zażąda zakazu importu paliw.

Loren nie do końca rozumiała.

- Niemożliwe. Jak może zostać monopolistą bez nowych pól naftowych w Ameryce Północnej?

- Uzyskując zniesienie wszystkich amerykańskich i kanadyjskich zakazów wierceń i eksploatacji złóż na terenach państwowych. Nie przejmując się ochroną środowiska. Przekupując i kontrolując Waszyngton. A co najgorsze, nakłaniając społeczeństwo amerykańskie do protestów przeciw importowi ropy.

- Bzdura! - parsknęła Loren.

- Protesty już się zaczęły - powiedziała ponuro Sally. - Niedługo wybuchną zamieszki. Zrozumie pani, kiedy powiem, jaką katastrofę ostatnio zaplanował. W tej chwili niewiele dzieli go od pozycji monopolisty.

- To nie do wiary.

Sally uśmiechnęła się smutno.

- Nic go nie powstrzyma. Nie cofnie się przed niczym, żeby osiągnąć cel. Nawet przed

ludobójstwem.

- "Emerald Dolphin" i "Golden Marlin"?

- Skąd pani wie, że te tragedie to jego robota?

- Skoro mówi mi pani, co wieją także będę szczerą. FBI i NUMA ustaliły, że te katastrofy nie były wypadkami. Spowodowali je agenci Cerbera, nazywani Żmijami. Podejrzewamy, że wina za pożar na liniowcu i zatonięcie łodzi podwodnej miała spaść na magnetohydrodynamiczne silniki doktora Elmore'a Egana. Zale chciał wstrzymać ich produkcję z powodu rewolucyjnego oleju Egana, praktycznie eliminującego tarcie. Gdyby ten olej trafił na rynek, rafinerie straciłyby większość klientów.

Sally była zaskoczona.

- Nie miałam pojęcia, że rządowi agenci dochodzeniowi wiedzą o tajnej grupie najemnych zabójców Zale'a.

- Zale też nie ma o tym pojęcia.

Sally z rezygnacją rozłożyła ręce.

- On wie.

- Skąd? - zapytała z niedowierzaniem Loren. - Śledztwo jest ściśle tajne.

- Curtis Merlin Zale wydał przeszło pięć miliardów dolarów, żeby przekupić w Waszyngtonie każdego, kto może mu się przydać. Ma w kieszeni ponad stu senatorów i członków Izby Reprezentantów oraz wysokich urzędników wszystkich resortów, łącznie z departamentem sprawiedliwości.

- Zna pani ich nazwiska? - zapytała gorączkowo Loren.

Sally miała minę fanatyczki. Wyjęła z torebki dyskietkę.

- Są tutaj. Dwieście jedenaście osób. Nie wiem, kto ile wziął i kiedy. Przez pomyłkę dostałam tajną kartotekę adresowaną do Sandry Delage, administratorki kartelu. Przejrzałam ją, zrobiłam kopie i odesłałam oryginał Sandrze. Na szczęście nie wiedziała, że zamierzam się wyłamać i nie nabrała podejrzeń.

- Pamięta pani jakieś nazwiska?

- Chodzi o liderów obu izb Kongresu i trzy osobistości z Białego Domu.

- O kongresmana Leonarda Sturgisa też?

- Jest na liście.

- Tego się obawiałam - powiedziała ze złością Loren. - A prezydent?

Sally pokręciła głową.

- O ile wiem, nie chce mieć nic wspólnego z Zale'em. Nie jest ideałem, ale przejrzał go na wylot. Dobrze wie, że nasz potentat naftowy jest zepsuty jak trzymiesięczny ładunek



owoców.

Loren i Sally rozmawiały prawie do trzeciej nad ranem. Loren przeraziła wiadomość, że Zale zamierza wysadzić supertankowiec w porcie San Francisco. Włożyła dyskietkę do komputera i wydrukowała stos kartek wielkości małej powieści. Potem obie schowały dyskietkę i wydruki do sejfu w podłodze garażu pod szafką.

- Możesz tu dziś przenocować, ale musimy znaleźć ci bezpieczną kryjówkę na czas śledztwa. Jeśli Zale się dowie, że chcesz mu pokrzyżować plany, zrobi wszystko, żeby cię uciszyć.

- Ładne określenie morderstwa.

- Próbował już torturować Kelly Egan, żeby wycisnąć z niej wzór chemiczny oleju jej ojca.

- Udało mu się?

- Nie. Została uratowana, zanim Żmije Zale'a zdążyły się czegoś dowiedzieć.

- Chciałabym ją poznać.

- Możesz. Mieszkała u mnie, ale Zale przyłapał nas razem i musiałam ją ukryć gdzie indziej.

- Zabrałam ze sobą tylko podręczną torbę podróżną. Mam trochę kosmetyków, biżuterii i bielizny na zmianę, nic więcej.

Loren przyjrzała się Sally.

- Mamy prawie te same wymiary. Możesz wziąć z mojej szafy, co ci odpowiada.

- Będę szczęśliwa, kiedy to się skończy.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziesz teraz musiała złożyć zeznania przed urzędnikami z departamentu sprawiedliwości i moją kongresową komisją dochodzeniową?

- Zgadzam się na wszystko - powiedziała uroczyście Sally.

Loren otoczyła ją ramieniem.

- Naprawdę: jesteś bardzo odważna.

- To rzadki wypadek w moim życiu, że dobre intencje wzięły górę nad ambicjami.

- Podziwiam cię - powiedziała szczerze Loren.

- Gdzie chcesz mnie ukryć po dzisiejszej nocy?

Loren uśmiechnęła się chytrze.

- Raczej nie w rządowym bezpiecznym domu. Zale ma za dużo wtyczek w departamencie sprawiedliwości. Zamelinuję cię w starym hangarze lotniczym u mojego przyjaciela. Jest tam więcej zabezpieczeń niż w Fort Knox. Ten ktoś nazywa się Dirk Pitt.

- Można mu ufać?

Loren roześmiała się.

- Kochanie, gdyby stary grecki filozof Diogenes nadal szukał z latarnią porządnego człowieka, mógłby zakończyć wędrówkę u Dirka.

Po wyjściu z samolotu w Waszyngtonie, Kelly została odprowadzona do nieoznakowanej furgonetki, która zabrała ją do domu Loren w Arlington. Pitt i Giordino wsiedli do lincolna NUMA. Odprężyli się, kiedy kierowca ruszył w kierunku Landover w Maryland. Po dwudziestu minutach skręcili w Arena Drive i wjechali na rozległy parking FedEx Field, stadionu drużyny piłkarskiej Washington Redskins. Zbudowano go w roku 1997. Ma wygodne, szerokie fotele dla osiemdziesięciu tysięcy stu szesnastu kibiców. Restauracje w sektorach serwują duży wybór dań narodowych. Widzowie mogą oglądać powtórki ciekawszych fragmentów meczu na dwóch wielkich ekranach wideo i śledzić wyniki na czterech tablicach.

Samochód wtoczył się na podziemny parking dla VIP-ów i stanął przy drzwiach. Wejścia strzegli dwaj wartownicy z bronią automatyczną. Zatrzymali Pitta i Giordina i porównali ich twarze ze zdjęciami dostarczonymi przez wydział bezpieczeństwa NUMA. Potem wpuścili ich do długiego korytarza pod widownią.

- Czwarte drzwi na lewo, panowie - powiedział jeden z wartowników.
- Nie uważasz, że to przesada? - zapytał Giordino.
- Znam admirała, musiał mieć ważny powód.

Przed wskazanymi drzwiami stał następny wartownik. Przyjrzał się im tylko, potem odsunął się i wpuścił ich do środka.

- Myślałem, że zimna wojna dawno się skończyła - mruknął cicho Giordino.

Byli trochę zaskoczeni na widok szatni dla drużyn gości. W gabinecie dla kierowników zespołów siedziało kilka osób, między innymi Loren i Sally Morse. NUMA reprezentowali admirał Sandecker, Rudi Gunn i Hiram Yaeger. Pitt rozpoznał admirała Amosa Dovera ze Straży Przybrzeżnej, kapitana Warrena Garneta z Korpusu Piechoty Morskiej i komandora Milesa Jacobsa, weterana morskiej jednostki specjalnej SEAL. Pitt i Giordino współpracowali w przeszłości z każdym z nich.

Nie znali tylko wysokiego, dystyngowanego mężczyzny o wyglądzie kapitana statku pasażerskiego. Miał około sześćdziesiątki i czarną przepaskę na lewym oku.

Pitt najpierw przywitał się z kolegami z NUMA i z wojskowymi. Zwalisty Dover pracował z nim przy programie Deep Six. Garnet i Jacobs przegrywali walkę z ogniem na Antarktydzie, dopóki Pitt i Giordino nie pojawili się w ogromnym "Snow Cruiserze" admirała

Byrda. Po krótkiej wymianie uprzejmości z przyjaciółmi i znajomymi Pitt odwrócił się do obcego.

- Dirk - powiedział Sandecker - przedstawiam ci Wesa Radera, starego kumpla z marynarki. Służyliśmy razem na Bałtyku. Śledziliśmy rosyjskie okręty podwodne kierujące się na Atlantyk. Wes jest teraz dyrektorem w departamencie sprawiedliwości. Będzie koordynował nasze działania od strony prawnej.

Dirk miał mnóstwo pytań, ale czekał na właściwy moment. Na osobności przytuliłby mocno Loren i pocałował w usta. Ale przyszedł tu służbowo, a ona była kongresmanką. Więc tylko skłonił się lekko i uściskał jej wyciągniętą dłoń.

- Miło mi, że znów się spotykamy.

- Ja też się cieszę - powiedziała Loren z figlarnym błyskiem w oku i odwróciła się do Sally. - To o nim ci mówiłam. Poznajcie się. Sally Morse, Dirk Pitt.

Sally popatrzyła uważnie w zielone oczy i dostrzegła to, co większość kobiet: na nim można polegać.

- Wiele o panu słyszałam.

Pitt zerknął na Loren i uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że pani informatorka nie przesadziła.

- Może wszyscy usiądą wygodnie i zaczniemy? - zaproponował Sandecker. Usadził się na krzesło i wyjął jedno ze swoich wielkich cygar, ale przez wzgląd na kobiety nie zapalił go. Pewnie by nie zaprotestowały. Zapewne wołały dym od zapachu potu, który jeszcze unosił się w szatni po ostatnim meczu.

- Panowie, jak niektórzy już wiedzą, pani Morse stoi na czele Yukon Oil Company. Przedstawi wam poważne zagrożenie naszego bezpieczeństwa narodowego.

- Przepraszam, że przerwę, admiral - odezwał się Rader. - Nie bardzo rozumiem, po co te wszystkie środki ostrożności. Spotkanie w szatni piłkarskiej na stadionie to chyba jednak przesada.

- Dowiesz się po wysłuchaniu pani Morse - odparł Sandecker i zwrócił się do Sally. - Proszę mówić.

Przez następne dwie godziny Sally opowiadała szczegółowo o planach utworzenia przez Zale'a monopolu naftowego, zdobycia ogromnego bogactwa i dyktowania warunków rządowi Stanów Zjednoczonych.

Kiedy skończyła, w szatni zapadła pełna niedowierzania cisza. W końcu przemówił Wes Rader.

- Jest pani tego pewna?

- Każdego słowa - powiedziała stanowczo Sally.

Rader zwrócił się do Sandeckera.

- Walka z takim zagrożeniem wykracza poza kompetencje ludzi zgromadzonych w tym pokoju. Musimy natychmiast zawiadomić kogo trzeba. Prezydenta, przewodniczących obu izb Kongresu, szefostwo połączonych sztabów i moich przełożonych w departamencie sprawiedliwości. To na początek.

- Nie możemy - odparł Sandecker i rozdał listy członków Kongresu, wysokich urzędników państwowych, ludzi z departamentu sprawiedliwości i bliskich doradców prezydenta z Zachodniego Skrzydła. - Oto powód naszych środków ostrożności, Wes. Masz w rękach nazwiska osób przekupionych przez Zale'a.

Rader ze zdumieniem przyjrzał się nazwiskom.

- Niemożliwe. Musiałyby zostać jakieś ślady na papierze.

- Pieniądze wypłacały zagraniczne firmy należące do innych firm, których właścicielem jest Zale - wyjaśniła Sally. - Wszystkie łapówki są na zagranicznych kontach. Wytropienie ich zajęłoby departamentowi sprawiedliwości lata.

- Jak to możliwe, że jeden człowiek skorumpował cały system?

Loren odpowiedziała za Sally.

- Zale zaproponował łapówki niezbyt zamożnym członkom Kongresu. Dali się skusić. Może nie zrezygnowaliby ze swoich ideałów i etyki za milion dolarów, ale nie mogli się oprzeć dziesięciu czy dwudziestu milionom. Nie wiedzą, w jaką pułapkę wpadli. Dzięki Sally na razie tylko my znamy prawdziwe wpływy Zale'a w rządzie.

- Nie zapominajmy o wpływowym komentatorach w mediach - dodała Sally. - Ci, których przekupił, przedstawiają go w dobrym świetle. Ten kto się wyłamie, straci wiarygodność i w efekcie pracę.

Rader pokręcił głową.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że to robota jednego człowieka. Bez względu na to, jak jest bogaty.

- Nie działał sam. Miał poparcie większości potentatów naftowych w Stanach i Kanadzie. Nie wszystkie pieniądze pochodziły od niego.

- Od Yukon Oil też?

- Tak - przyznała szczerze Sally. - Jestem tak samo winna, jak inni, których Zale omotał.

Loren ścisnęła jej rękę.

- Zrehabilitowałaś się, przychodząc do nas.

- Ale dlaczego ja? - zachnął się Rader. - Jestem zaledwie człowiekiem numer trzy w departamencie stanu.

- Jak widzisz, nie ma cię na liście, a twoi przełożeni są - odparł Sandecker. - Poza tym, znam ciebie i twoją żonę od lat. Wiem, że nie można cię przekupić.

- Choć na pewno próbowano - dodała Loren.

Rader spojrział w sufit i zastanowił się. Potem kiwnął głową.

- Tak, dwa lata temu. Wyszedłem z psem na spacer. Podeszła do mnie jakaś kobieta i zaczęła mnie zagadywać.

Sally uśmiechnęła się.

- Jasna blondynka, niebieskie oczy, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, około sześćdziesięciu kilogramów? Atrakcyjna i bezpośrednia?

- Tak.

- Sandra Delage. Główna administratorka Zale'a.

- Zaproponowała ci pieniądze? - zdziwił się Sandecker.

- Nie wprost - powiedział Rader. - Nie mówiła zbyt jasno. Pytała, co bym zrobił, gdybym wygrał na loterii. Czy jestem zadowolony z pracy. Czy mnie doceniają. Gdzie bym zamieszkał, gdybym postanowił wyjechać z Waszyngtonu. Najwyraźniej nie zdałem egzaminu. Zostawiła mnie na skrzyżowaniu i wsiadła do samochodu, stojącego nieopodal. Więcej jej nie widziałem.

- Musisz być z nami - powiedział Sandecker. - Trzeba zatrzymać Zale'a i jego współników z kartelu Cerber i postawić przed sądem. Mamy do czynienia z narodowym skandalem na niespotykaną skalę.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Rader. - Nawet jeśli lista pani Morse jest prawdziwa, nie mogę po prostu wkroczyć do gabinetu prokuratora generalnego i oświadczyć, że aresztuję go za branie łapówek.

- Gdyby pan to zrobił - wtrąciła Loren - Żmije Zale'a postarałyby się, żeby pańskie ciało wyłowiono z Potomacu.

Sandecker skinął głową Hiramowi Yaegerowi, który otworzył dwa duże pudła i zaczął rozdawać grube teczki z dokumentami.

- Oto niezbite dowody przeciw przestępczemu imperium Zale'a. Powinny przekonać władze. Wykorzystaliśmy wiedzę pani Morse i wyniki naszych własnych badań komputerowych.

Sandecker spojrział Raderowi prosto w oczy.

- Musisz zebrać zespół absolutnie pewnych ludzi z departamentu sprawiedliwości i

przygotować w tajemnicy akt oskarżenia. Wybierz takich, którzy nie boją się pogroźek, jak Nietykalni w czasach Ala Capone. Nie może być przecieków. Jeśli Zale cokolwiek wywęszy, naśle na was swoich zabójców.

- Nie do wiary, że coś takiego może się dzieć w Ameryce.

- Za kulisami polityki i biznesu ciągle zdarzają się afery, o których opinia publiczna nic nie wie - powiedziała Loren.

Rader wpatrywał się w leżące przed nim akta.

- Mam nadzieję, że nie porywam się z motyką na słońce.

- Zapewnię panu wszelką możliwą pomoc ze strony Kongresu - obiecała Loren.

Sandecker wcisnął rzędy guzików na pilocie i opuścił monitor z widokiem Zatoki San Francisco.

- Najważniejsze jest zatrzymanie tego tankowca, bo inaczej zmiecie z powierzchni ziemi pół miasta.

Odwrócił się do Dovera, Garneta i Jacobsa, którzy dotąd milczeli.

- To wasze zadanie, panowie.

- Zatrzymanie "Pacific Chimera" to dla moich ludzi żaden problem - odparł Dover ze Straży Przybrzeżnej.

Sandecker pokręcił głową.

- Nie tak szybko, Amos. Zatrzymujecie tysiące statków przewożących wszystko: od narkotyków i broni po nielegalnych imigrantów. Ale do zatrzymania największego supertankowca na świecie nie wystarczy strzał przed dziób i rozkaz wydany przez megafon.

Dover uśmiechnął się do Garneta i Jacobsa.

- To dlatego gościmy tu SEAL i zwiad marines?

- Oczywiście ty będziesz dowodził operacją - odrzekł Sandecker. - Ale jeśli kapitan tankowca zignoruje twoje rozkazy i utrzyma kurs na zatokę, nie będziemy mieli wyboru. Ten statek nie może dopłynąć do mostu Golden Gate. Ostrzelanie i ryzyko ogromnego wycieku ropy nie wchodzi w grę. Jako ostateczności użyjemy oddziału bojowego. Spuścimy go na pokład z helikoptera, żeby zneutralizowała załogę.

- Gdzie jest teraz "Pacific Chimera"? - zapytał Dover.

Sandecker wcisnął kolejny guzik na pilocie i mapa powiększyła się. Pokazywała teraz obszar oceanu na zachód od Golden Gate. Do wybrzeży Kalifornii zbliżała się mała sylwetka statku.

- Około dziewięciuset mil morskich od celu.

- To mamy tylko niecałe czterdzieści osiem godzin.

- Alarmującą wiadomość dostaliśmy od pań Morse i Smith dopiero dziś rano.  
- Wyśle kutry Straży Przybrzeżnej pięćdziesiąt mil w morze, żeby tam przechwyciły statek - obiecał Dover.

- A ja wyśle helikopter z oddziałem bojowym jako wsparcie - zapewnił Jacobs.

- Ludzie z SEAL będą gotowi do abordażu - dodał Garnet.

Dover popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Potraficie wejść z wody na pływający tankowiec?

Garnet wyszczerzył zęby.

- Ciągłe to ćwiczymy.

- Muszę to zobaczyć - mruknął Dover.

- Panie i panowie - powiedział Sandecker - co do udziału naszej agencji, udzielimy wam wszelkiej żądanej pomocy. Dostarczymy również dowody podpalenia i zatopienia "Emerald Dolphina" oraz spowodowania katastrof na łodzi podwodnej. Ale jesteśmy agencją naukową badań podmorskich i nie mamy upoważnienia do prowadzenia śledztwa. Zostawiam Wesowi i Loren zebranie grupy zaufanych patriotów i rozpoczęcie tajnego dochodzenia.

Loren spojrzała na Radera.

- Czeka nas kupa roboty.

- Tak - przyznał cicho. - Niektórzy ludzie z tej listy to moi przyjaciele. Będę bardzo samotny, kiedy to się skończy.

- Nie pan jeden - uśmiechnęła się boleśnie. - Moi przyjaciele też tam są.

Dover wstał.

- Będę pana informował o sytuacji co godzinę - obiecał Sandeckerowi.

- Dzięki, Amos.

Kolejno wychodzili z szatni. Sandecker polecił Pittowi, Ałowi i Gunnowi, żeby zostali. Yaeger przed wyjściem położył rękę na ramieniu Pitta i poprosił, żeby wpadł później do niego na piętro komputerowe.

Sandecker wyciągnął się na krześle i zapalił cygaro. Przyjrzał się małemu Włochowi z niezadowolaniem, jakby spodziewał się, że zrobi to samo. Al uśmiechnął się tylko z wyższością.

- Wygląda na to, chłopcy, że resztę meczu spędzicie na ławkach rezerwowych.

Pitt popatrzył na Sandeckera i Gunna.

- Wątpię, żebyście nam pozwolili długo tam siedzieć.

Gunn poprawił okulary.

- Wysyłamy ekspedycję do francuskiej bazy morskiej na północny zachód od



Hawajów, żeby zbadać przyczynę obumierania raf koralowych. Chcemy, żeby Al nią pokierował.

- A ja? - zapytał Pitt.

- Mam nadzieję, że nie wyrzuciłeś zimowego sprzętu - zadrwił Sandecker. - Wrócisz na Antarktydę i spróbujesz dotrzeć do wielkiego jeziora, które według naukowców jest ukryte pod lodem.

Przez twarz Pitta przemknął cień protestu.

- Oczywiście wykonam pańskie polecenie bez sprzeciwu, admirale. Ale proszę dla nas o pięć dni urlopu. Chcielibyśmy wyjaśnić do końca tajemnicę doktora Elmore'a Egana.

- Znaleźć jego tajne laboratorium?

- Skąd pan o tym wie?

- Mam swoje źródła.

Kelly, pomyślał Pitt. Stary cwaniak udawał dobrego wujka, kiedy chronił ją przed zbirami Zale'a. Musiała mu powiedzieć, że szukamy zaginionej groty wikingów.

- Trzeba się koniecznie dowiedzieć, nad czym pracował doktor Egan. Zale nie może nas ubiec. To sprawa bezpieczeństwa narodowego.

Sandecker spojrzał na Gunna.

- Co o tym myślisz, Rudi? Mamy dać tym łobuzom pięć dni na szukanie iluzji?

Gunn popatrzył znad okularów na Pitta i Giordina jak lis na parę kojotów.

- Chyba możemy być na tyle wspaniałomyślni, admirale. Skompletowanie wyposażenia i zaopatrzenia dla statków badawczych biorących udział w nowych programach i tak zajmie mi jeszcze co najmniej pięć dni.

Sandecker wypuścił kłęb niebieskiego, aromatycznego dymu.

- Niech będzie. Rudi zawiadomi was, gdzie i kiedy macie się zameldować na statkach. Życzę szczęścia w poszukiwaniach. Prawdę mówiąc, też jestem ciekaw, co wymyślił Egan.

Kiedy Pitt przyjechał ze stadionu, Yaeger siedział przed klawiaturą i rozmawiał z Max.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć.

Yaeger wyprostował się i wziął z szafki neseser Egana.

- Zgadłeś. Zdążyłeś na następny akt.

- Słucham?!

- Jeszcze trzy minuty.

- Nie nadążam.

- Co czterdzieści osiem godzin, dokładnie o trzynastej piętnaście, w tej teczce dzieją się cuda.

- Napełnia się olejem? - podsunął niepewnie Pitt.

- No właśnie.

Yaeger otworzył pusty neseser i wykonał ręką ruch jak magik. Następnie zatrzasnął wieko i zamki. Spojrzał na zegarek i zaczął odliczać sekundy. Potem ostrożnie odblokował zamki i uniósł wieko. Teczka była pełna oleju. Sięgał prawie dwa centymetry poniżej krawędzi.

- Wiem, że to nie twoja sprawka - powiedział Pitt - bo to samo zdarzyło się Ałowi i mnie, kiedy Kelly dała mi ten neseser na "Deep Encounterze".

- To musi być jakaś sztuczka albo iluzja - powiedział niepewnie Yaeger.

Pitt zanurzył w oleju palec wskazujący i potarł o kciuk.

- Żadna iluzja. To rzeczywistość. Nie czuję tarcia. Podejrzewam, że to superolej doktora Egana.

- Mam pytanie za milion dolarów: skąd się tu wziął?

Pitt popatrzył na holograficzną postać.

- Max nic nie odkryła?

- Przykro mi, Dirk - odpowiedziała Max. - To dla mnie taka sama zagadka, jak dla ciebie. Mam kilka pomysłów i chciałabym pójść tymi tropami, jeśli Hiram nie wyłączy mnie na noc przed wyjściem do domu.

- Pod warunkiem, że nie będziesz grzebała w tajnych ani prywatnych plikach.

- Postaram się być grzeczną dziewczynką.

Nie zabrzmiało to przekonująco.

Yaeger nie żartował. Max narobiła mu już kłopotów, bo wchodziła tam, gdzie nie powinna. Ale Pitt nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

- Nigdy nie żałowałeś, że nie zrobiłeś z niej faceta?

Yaeger miał taką minę, jakby wpadł w smokingu do ścieków.

- Szczęściarz z ciebie - westchnął. - Jesteś kawalerem. Ja mam tutaj Max, a w domu żonę i dwie kilkunastoletnie córki.

- Nawet nie wiesz, Hiram, że można ci tylko pozazdrościć.

- Łatwo ci mówić. Nigdy nie pozwoliłeś kobiecie wkroczyć w twoje życie.

- No tak - przyznał ze smutkiem Pitt.

Pitt jeszcze nie wiedział, że jego kawalerska samotność zostanie chwilowo przerwana. Po powrocie do hangaru zauważył, że Sandecker przysłał drużynę ochroniarzy do patrolowania pustej części lotniska. Nie kwestionował troski admirała o jego bezpieczeństwo. Mimo grózb Zale'a, nie uważał tego za konieczne, ale był wdzięczny. Prawdziwy powód poznał dopiero po wejściu na piętro.

Z głośników stereo płynęła radiowa muzyka pop, a nie jego ulubiony modern jazz. Potem poczuł aromat kawy i ślad zapachu kobiety. Zajrzał do kuchni i zobaczył Sally Morse. Mieszała coś w garnkach. Była w kostiumie plażowym i boso.

Kto cię tu zaprosił? Kto pozwolił ci się rządzić jak u siebie? Kto przepuścił cię przez system zabezpieczeń? pomyślał, ale jako dobrze wychowany inżynier morski powiedział tylko:

- Cześć. Co jest na kolację?

Sally odwróciła się i uśmiechnęła słodko.

- Beef stroganoff. Lubisz?

- Uwielbiam.

Zrozumiała, że jest zaskoczony jej obecnością.

- Loren uznała, że tu będę bezpieczniejsza. Zwłaszcza że admirał Sandecker otoczył hangar kordonem ochroniarzy.

Oto odpowiedzi na moje pytania, pomyślał Pitt. Otworzył szafkę nad barem, żeby nalać sobie drinka.

- Loren mówiła mi, że pijesz tequilę, więc pozwoliłam sobie przyrządzić margarity.

Pitt wolał pić drogą tequilę tylko z lodem, kropelką soku z limonki i cienkim wianuszkciem soli na szklance. Ale dobrze wymieszana margarita smakowała mu, choć lepiej wychodziła z tańszej tequili. Uważał, że rozcieńczanie szlachetnych gatunków to zbrodnia. Spojrzał tęsknie na pół butelki swojej juan julio silver. Sto procent błękitnej agawy. Przez uprzejmość pochwalił Sally i poszedł do sypialni, żeby wziąć prysznic i przebrać się w szorty i koszulkę.

Pokój wyglądał jak po wybuchu bomby. Na lśniącej drewnianej podłodze wały się damskie buty i ciuchy. Na oszklonej szafce i nocnych stolikach leżały buteleczki z lakierem do paznokci i kosmetyki. Zastanawiał się, dlaczego kobiety zawsze zostawiają ubrania na

podłodze. Mężczyźni przynajmniej rzucają je na krzesło. Nie mógł uwierzyć, że jedna kobieta narobiła tyle bałaganu. Nagle usłyszał głos w łazience. Ktoś nucił.

Drzwi były uchylone, więc ostrożnie otworzył je szerzej. Przed zaparowanym do połowy lustrem stała Kelly owinięta dużym ręcznikiem. Mniejszy miała na głowie. Malowała oczy. Zobaczyła w lustrze odbicie zdumionej twarzy Pitta i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Witaj w domu. Mam nadzieję, że Sally i ja nie zakłócamy ci spokoju.

- Ty też tu mieszkasz?!

- Loren uważała, że tu będę bezpieczniejsza niż u niej. Bezpieczne domy rządowe odpadają, bo Zale ma wtyczki w departamencie sprawiedliwości.

- Wybacz, ale mam tylko jedną sypialnię. Będziecie musiały spać razem.

Kelly wróciła do robienia makijażu, jakby mieszkała z nim od lat.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Łóżko jest szerokie. Przepraszam, może chcesz skorzystać z łazienki?

- Nie przejmuj się mną - powiedział ironicznie Pitt. - Spakuję kilka rzeczy i wezmę prysznic w pokoju gościnnym na dole.

Sally wyszła z kuchni.

- Obawiam się, że ci przeszkadzamy.

- Jakoś to przeżyję. - Pitt zaczął wrzucać rzeczy do torby podróżnej. - Czujcie się jak u siebie.

Poznały po jego tonie, że nie jest zachwycony ich obecnością.

- Nie będziemy ci wchodzić w drogę - obiecała Kelly.

- Nie zrozumcie mnie źle. Nie wy pierwsze będziecie tu nocować. Lubię kobiety i podoba mi się ich dziwny sposób bycia. Jestem ze starej szkoły, która każe stawiać je na piedestale. Nie uważajcie mnie za starego, upierdliwego faceta. Cieszę się, że dwie piękne kobiety będą mi sprzątać i gotować.

Wyszczerzył zęby, wyszedł z łazienki i zbiegł na dół po kręconych schodach. Patrzyły za nim w milczeniu. Potem spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

- Mój Boże! Czy on jest prawdziwy? - zapytała Sally.

- Uwierz mi na słowo - odparła Kelly.

Pitt ulokował się w wagonie kolejowym linii Manhattan Limited, który stał na szynach pod ścianą hangaru. Zabytek ten wydobył kilka lat temu z rzeki Hudson i urządził w nim pokoje dla gości i przyjaciół. Z wagonu często korzystał Giordino, kiedy chciał zaimponować kolejnej przyjaciółce. Kobiety uważały starego luksusowego pullmana za bardzo egzotyczne

miejsce na romantyczny wieczór.

Wyszedł spod prysznic i golił się, kiedy w wagonie zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Dirk! - zagrział głos Perlmuttera. - Jak się miewasz, chłopcze?

- Dobrze. Gdzie jesteś, St. Julien?

- W Amiens we Francji. Przegadałem cały dzień z badaczami życia i twórczości Juliusza Verne'a. Jutro mam spotkanie z doktorem Hereoux, przewodniczącym towarzystwa. Wspaniałomyślnie pozwolił mi pogrzebać w swoim archiwum, które mieści się w domu, gdzie Verne mieszkał i tworzył do śmierci w roku 1905. To był zdumiewający człowiek. Nie miałem o tym pojęcia. Prawdziwy wizjoner. Oczywiście jest ojcem gatunku science fiction, ale przewidział również loty na Księżyc, okręty podwodne, które mogą okrążyć świat w zanurzeniu, ogrzewanie energią słoneczną, ruchome schody i chodniki, trójwymiarowe obrazy holograficzne, co tylko chcesz. Był pierwszy. Przepowiedział też, że na Ziemię spadną asteroidy i komety, co spowoduje wielkie zniszczenia.

- Dowiedziałeś się czegoś nowego o kapitanie Nemo i "Nautilusie"?

- Żadnych rewelacji. Nic poza tym, co opisał w *20 000 mil podmorskiej żeglugi* i *Tajemniczej wyspie*.

- To dalszy ciąg, zgadza się? Historia Nemo po zaginięciu "Nautilusa" w wirze u wybrzeży Norwegii?

- Tak. *20 000 mil* ukazywało się w odcinkach w 1869 roku w jakimś czasopiśmie. *Wyspa* wyszła w 1875 roku. W tej powieści Nemo opowiadał o całym swoim życiu.

- Z badań doktora Egan domyśliłem się, że był zafascynowany tym, jak Verne zdołał stworzyć Nemo i jego okręt podwodny. Egan najwyraźniej uważał go nie tylko za genialnego pisarza. Chyba podejrzewał, że pierwowzorem kapitana Nemo była autentyczna postać.

- Za kilka dni będę wiedział więcej. Ale nie rób sobie dużych nadziei. Powieści Verne'a są wprawdzie genialne, ale to fikcja. Kapitan Nemo jest jedną z największych postaci literackich, to jednak tylko pierwowzór szalonych naukowców szukających zemsty za dawne krzywdy. Szlachetny geniusz, który poszedł w złym kierunku.

- Mimo to - nie ustępował Pitt - nie wydaje mi się prawdopodobne żeby Verne po prostu wymyślił taki cud techniki, jak "Nautilus". Musiał mieć doradcę technicznego, żeby wiedzieć, co jest możliwe. Chyba że był Leonardem da Vinci swojej epoki.

- Uważasz, że doradzał mu prawdziwy kapitan Nemo? - zażartował Perlmutter.

- Albo jakiś geniusz techniczny - odparł poważnie Pitt.

- Nie doceniasz mocy wyobraźni geniuszu literackiego - powiedział Perlmutter. - Może wygrzebię z archiwów coś nowego, ale nie postawiłbym na to oszczędności całego życia.

- Czytałem te książki w dzieciństwie - przyznał Pitt - ale pamiętam, w *20 000 mil Nemo* był zagadką. Verne wyjaśnił ją dopiero pod koniec *Tajemniczej wyspy*.

- W rozdziale szesnastym - przypomniał Perlmutter. - Nemo urodził się w Indiach. Był synem radży. Księciem Dakkar, jak go nazywano. Wyjątkowo inteligentne i uzdolnione dziecko, potem przystojny i bardzo bogaty młodzieniec. Nienawidził Brytyjczyków, bo podbili jego kraj. Pragnął zemsty. W roku 1857 walczył na czele wielkiego powstania narodowego. W odwecie agenci brytyjscy zamordowali jego rodziców, żonę i dwoje dzieci. Przez lata rozpamiętywał stratę bliskich i ojczyzny i zajmował się inżynierią morską. Wykorzystał majątek do zbudowania stoczni na odległej, bezludnej wyspie na Pacyfiku. Tam skonstruował "Nautilus". Verne napisał, że Nemo używał elektryczności na długo przed tym, zanim Tesla i Edison wynaleźli swoje generatory. Napęd okrętu podwodnego mógł pracować w nieskończoność bez uzupełniania paliwa i regeneracji.

- Zastanawiam się, czy to nie Verne wymyślił silniki magnetohydrodynamiczne doktora Egan.

- Po ukończeniu okrętu podwodnego - ciągnął Perlmutter - Nemo zebrał zaufaną załogę i przepadł w morzu. W 1867 roku wziął na pokład trzech rozbitków z amerykańskiej fregaty, którą zatopił: profesora, jego służącego i kanadyjskiego wielorybnika. Opłynęli z Nemo świat. Uciekli, gdy "Nautilus" dostał się w wir. Zanim Nemo dożył sześćdziesiątki, jego załoga wymarła i spoczęła na podmorskim cmentarzu w rafie koralowej. Ostatnie lata życia spędził samotnie na swoim ukochanym okręcie w grotcie pod wulkanem na Wyspie Lincolna, nie mogąc z niej wypłynąć. Pomógł amerykańskim rozbitkom, bohaterom powieści, pokonać piratów i odpłynąć do domu. Zmarł śmiercią naturalną. Potem nastąpił wybuch wulkanu i Wyspa Lincolna zapadła się w morzu, grzebiąc kapitana Nemo i jego "Nautilus".

- Ale czy to tylko fikcja, czy historia oparta na faktach? - powiedział Pitt w zadumie.

- Nie mówisz mi, że Nemo istniał naprawdę.

Pitt milczał przez chwilę. Nie ma co się oszukiwać, pomyślał. Ścigam cienie.

- Gdybym tylko wiedział, co doktor Egan wiedział o wikingach i kapitanie Nemo... - powiedział w końcu.

Perlmutter westchnął cierpliwie.

- Nie widzę żadnego związku. To dwie zupełnie różne sprawy.

- Ale Egan pasjonował się obu tematami. Czuję, że coś je wiąże.

- Wątpię, żeby znalazł coś nowego. Wszystkie fakty są już znane.  
- Jesteś starym cynikiem, St. Julien.  
- Jestem historykiem. Nie gromadzę i nie publikuję tego, czego nie mogę udokumentować.

- Miłej zabawy w zakurzonych archiwach - zażartował Pitt.  
- Nic mnie bardziej nie podnieca, niż znalezienie nowego wątku historycznego w zapomnianym dzienniku lub liście. Oczywiście poza dobrym winem i daniem przyrządzonym przez wybitnego szefa kuchni.

- Oczywiście - zgodził się Pitt. Wyobraził sobie z uśmiechem ogromne cielsko Perlmuttera, które przyjaciel zawdzięczał nadużywaniu jedzenia i picia.

- Zadzwoń, jeśli wpadnę na jakiś ciekawy trop.

- Dzięki.

Pitt wyłączył się. Sally Morse zawołała z góry, że kolacja gotowa. Odkrzyknął, że idzie, ale nie od razu wyszedł z wagonu.

Po wykluczeniu go z operacji wymierzonej przeciwko Zale'owi, Żmijom i kartelowi Cerber czuł się zagubiony. Jego rola się skończyła. Nie potrafił stać biernie z boku. Żałował, że przeoczył właściwą drogę i wypadł z gry.

Waszyngtońskie biura Cerbera mieściły się w dużej, trzypiętrowej rezydencji. Zbudowano ją w 1910 roku dla bogatego senatora z Kalifornii. Posiadłość zajmowała dziesięć akrów na obrzeżach Bethesdy. Otaczał ją wysoki, ceglany mur porośnięty winem. Wewnątrz nie było surowych pracowni inżynierów, naukowców czy geologów. W luksusowych apartamentach urzędowali prawnicy firmy, analitycy polityczni, lobbyści wysokiego szczebla i byli wpływowi senatorzy i kongresmani. Wszyscy pomagali Zale'owi zwiększać nacisk na rząd Stanów Zjednoczonych.

O pierwszej w nocy do bramy podjechała furgonetka zakładu elektrycznego. Wpuszczono ją do środka. Ochrona była szczelna. Dwaj ludzie pilnowali drzwi frontowych budynku, dwaj inni patrolowali teren z psami. Furgonetka zaparkowała obok wejścia. Do domu wszedł wysoki, czarny mężczyzna z długim pudełkiem jarzeniówek. Zameldował się ochroniarzowi przy biurku i wjechał windą na trzecie piętro. Tekową podłogę pokrywały drogie tkane ręcznie perskie dywany. W recepcji na końcu korytarza nie było sekretarki. Poszła do domu godzinę wcześniej. Mężczyzna minął puste stanowisko i wszedł przez otwarte drzwi do przestronnego gabinetu.

Curtis Merlin Zale siedział w wielkim skórzanym fotelu i studiował raport geologiczny o nowych złożach gazu i ropy w Idaho. Nie podniósł wzroku na elektryka. Zamiast instalować jarzeniówki, gość bezceremonialnie usiadł na krześle przed biurkiem. Dopiero wtedy Zale spojrzał w ciemne, groźne oczy Ono Kanai.

- Podejrzenia potwierdziły się? - zapytał Kanai.

Zale uśmiechnął się przebiegle.

- Naiwna rybka połknęła przynętę.

- Kto to jest?

- Sally Morse z Yukon Oil. Przestałem jej ufać, kiedy zaczęła kwestionować nasz plan staranowania San Francisco tankowcem.

- Myśli pan, że rozmawiała z władzami?

- Na pewno. Nie poleciała na Alaskę, tylko do Waszyngtonu.

- Może być niebezpieczna.

Zale pokręcił głową.

- Nie ma dokumentacji. Żadnego dowodu. Tylko słowa. Nie wie, że swoją zdradą



zrobiła nam przysługę.

- Jeśli złoży zeznania przed Kongresem...
- Postarasz się, żeby wcześniej miała wypadek.
- Umieścili ją w bezpiecznym domu?
- Nasze źródła w departamencie sprawiedliwości nie wiedzą, gdzie jest.
- Nie ma pan żadnego pomysłu, jak ją znaleźć?

Zale wzruszył ramionami.

- Na razie nie. Musi się u kogoś ukrywać.
- Więc niełatwo będzie ją wytropić - zauważył Kanai.
- Zlokalizuję ją - zapewnił Zale. - To kwestia godzin. Szuka jej ponad setka naszych

ludzi.

- Kiedy ma być przesłuchana przez komisję?
- Za trzy dni.

Kanai wyglądał na zadowolonego.

- Zakładam, że wszystko gotowe - powiedział Zale. - Nie może być żadnych przeoczeń, żadnych nieprzewidzianych problemów.

- Nie spodziewam się ich. Pański plan jest genialny. Operacja została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. Musi się udać.

- Twoje Żmije są na pokładzie?

- Wszyscy oprócz mnie. Helikopter zabierze mnie na statek, kiedy będzie sto mil od brzegu - wyjaśnił Kanai i zerknął na zegarek. - Już czas, muszę dopilnować ostatnich przygotowań.

- Mam nadzieję, że wojsko nie zdoła go zatrzymać?
- Jeśli spróbują, zawiodą się.

Wstali i uścisnęli sobie ręce.

- Powodzenia, Ono. Kiedy znów się spotkamy, w Waszyngtonie będą pociągali za sznurki nowi ludzie.

- Gdzie pan będzie podczas jutrzejszej katastrofy?

Twarz Zale'a wykrzywił szeroki uśmiech.

- Na przesłuchaniu u pani Smith.

- Wie o pańskich projektach dotyczących krajowej ropy?

Zale popatrzył przez okno na światła stolicy.

- Sally Morse bez wątpienia ją oświeciła. Ale jutro o tej porze to nie będzie miało znaczenia. Przez kraj przetoczy się fala protestów przeciwko importowi ropy i gazu. Nasi

wrogowie przestaną się liczyć.

Loren przeszła ze swojego biura do sali przesłuchań i stanęła jak wryta. Za stołem dla osób wezwanych przed komisję Kongresu nie zobaczyła prawników, dyrektorów czy wysokich urzędników Cerbera.

Curtis Merlin Zale był sam.

Nie miał przed sobą żadnych papierów, żadna teczka nie stała na podłodze. Siedział w swobodnej pozycji i uśmiechał się do wchodzących członków komisji. Popatrzył, jak Loren zajmuje miejsce i kładzie na pulpicie stertę dokumentów. Zauważyła jego spojrzenie i nagle poczuła się brudna. Mimo atrakcyjnego wyglądu i eleganckiego garnitur, Zale napawał ją wstrętem jak oślizły wąż.

Sprawdziła, czy wszyscy członkowie komisji usiedli na podwyższeniu i można zaczynać przesłuchanie. Kongresman Leonard Sturgis pochylił uprzejmie głowę. Był spięty, jakby wolał uniknąć zadawania Zale'owi kłopotliwych pytań.

Loren wygłosiła krótki wstęp i podziękowała Zale'owi za przyjęcie.

- Oczywiście wie pan - dodała - że miał pan prawo stawić się z adwokatem.

- Tak - odrzekł spokojnie. - Ale mogę szczerze odpowiedzieć na wszystkie pani pytania. Nie mam nic do ukrycia.

Loren zerknęła w górę na duży zegar na przeciwległej ścianie. Wskazywał dziewiątą dziesięć.

- Przesłuchanie może potrwać cały dzień - uprzedziła Zale'a.

- Jestem do pani dyspozycji - odpowiedział cicho.

Loren zwróciła się do kongresmanki Lorraine Hope z Teksasu.

- Zechce pani zacząć?

Lorraine Hope, gruba Murzynka z Galveston kiwnęła głową. Loren wiedziała, że Hope nie ma na liście łapówkarzy, ale nie była całkiem pewna jej zdania o Cerberze. Jak dotąd, Hope wyrażała stonowane i niezależne opinie. Przy bezpośrednim spotkaniu z Zale'em mogła je zmienić.

- Panie Zale, czy uważa pan, że Stanom Zjednoczonym wyszłoby na dobre uniezależnienie się od dostaw ropy z Bliskiego Wschodu i Ameryki Łacińskiej i korzystanie tylko ze złóż krajowych?

O, Boże, pomyślała Loren. Włazi mu prosto w łapy.

- Import ropy - zaczął Zale - drenuje nas ekonomicznie. Od pięćdziesięciu lat jesteśmy na łasce OPEC. Bawią się cenami rynkowymi jak jo-jo. Podnoszą cenę baryłki o dwa dolary,

potem obniżają o jeden. W rezultacie cena stale rośnie. Obecnie zbliża się do sześćdziesięciu dolarów za baryłkę. Ceny na stacjach benzynowych są przerażające. Firmy przewozowe i właściciele ciężarówek bankrutują. Bilety lotnicze kosztują majątek, bo drogie jest paliwo do samolotów. Ten obłęd doprowadzi nas w końcu do załamania gospodarczego. Jedyny ratunek to uruchomienie własnych pól naftowych i rezygnacja z importu ropy.

- Czy mamy w kraju odpowiednio duże złoża, a jeśli tak, na jak długo wystarczą? - zapytała Lorraine Hope.

- Mamy - odparł z przekonaniem Zale. - W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Na kontynencie i na morzu. Ameryka Północna może być całkowicie samowystarczalna przez następne pięćdziesiąt lat. W ciągu przyszłego roku będziemy gotowi do wydobycia ropy z ogromnych złóż w Kolorado, Wyoming i Montanie. Już ta operacja mogłaby uniezależnić nas od importu. A do połowy wieku na pewno uda się udoskonalić produkcję paliw alternatywnych.

- A co z ochroną środowiska? - wtrąciła Loren.

- obrońcy środowiska mocno przesadzają z protestami - odparł Zale. - Z powodu robót wiertniczych czy budowy rurociągów ginie niewiele zwierząt, jeśli w ogóle giną. Specjaliści z zarządu lasów potrafią zmieniać ich szlaki migracyjne. Wiercenia nie skażają gruntu ani powietrza. A co najważniejsze, rezygnacja z importu ropy uchroni nas przed takimi tragediami, jak katastrofa "Exxon Valdeza" i inne katastrofy ekologiczne z ostatnich kilku lat. Bez tankowców transportujących ropę nie będą nam groziły wycieki na naszych wodach terytorialnych.

- Zgadzam się z tym - odezwał się kongresman Sturgis. - To mnie przekonuje. Zawsze byłem przeciwko szantażowaniu nas przez zagraniczne kartele naftowe. Jeśli amerykańskie koncerny mogą zaspokoić nasze potrzeby paliwowe, jestem za uniezależnieniem się od zagranicy.

- A co z firmami, które wydobywają ropę na całym świecie i przywożą do naszych portów i rafinerii? - zapytała ostro Loren. - Jeśli stracą taki rynek, najprawdopodobniej upadną.

Na Zale'u nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Będą musiały sprzedawać swoją produkcję w innych krajach.

Padaly kolejne pytania i odpowiedzi. Zale nie dał się zbić z tropu. Dobrze wiedział, że ma w kieszeni trzech z pięciu członków komisji i panuje nad sytuacją. Był zupełnie spokojny. Czasem tylko zerkał na zegarek.

Loren również często patrzyła na zegar ścienny. Nie mogła przestać myśleć o

katastrofie grożącej San Francisco. Zastanawiała się, czy Straż Przybrzeżna i Siły Specjalne zdążą w porę zatrzymać tankowiec. Gnębiło ją, że nie może zdradzić Zale'owi tego, co wie, i oskarżyć go o próbę ludobójstwa.

Po powierzchni oceanu przetaczały się fale. Nie miały spienionych grzyw i wyglądały jak bruzdy na zaoranym polu. Panowała dziwna cisza. Mgła wisząca nad wodą tłumiła szum morza i prawie przesłaniała gwiazdy na zachodzie. Na wschodzie żarzyła się luna świateł San Francisco.

Do świtu została godzina. Kuter Straży Przybrzeżnej "Huron" płynął z pełną szybkością. Dwadzieścia mil na zachód od mostu Golden Gate zlokalizował ogromny tankowiec "Pacific Chimera". Nad wielkim statkiem krążyły dwa helikoptery Straży Przybrzeżnej i najnowszy model śmigłowca goshawk. Miał na pokładzie trzydziestoosobowy oddział zwiadowczy marines dowodzony przez kapitana Garneta. Za rufą tankowca płynęła szybka opancerzona łódź patrolowa z komandorem Jacobsem i drużyną SEAL. Komandosi byli gotowi do wystrzelenia haków z drabinkami i wejścia na statek.

Operacją dowodził wiceadmirał Dover. Patrzył na tankowiec przez lornetkę.

- Wielki. Ma długość co najmniej pięciu boisk piłkarskich.

- To największa jednostka tego typu - zauważył dowódca kutra, kapitan Buck Compton. - Trudno w to uwierzyć, ale osiemdziesiąt procent jej masy jest poniżej linii wodnej. Zabiera ponad sześćset tysięcy ton ropy.

Compton służył w Straży Przybrzeżnej od dwudziestu trzech lat. Pływał po wszystkich morzach świata. Dowodził kutrami podczas ryzykownych akcji ratowniczych i zatrzymywał statki z narkotykami i nielegalnymi imigrantami.

- Nie chciałbym być w promieniu dziesięciu mil, gdyby ten ładunek eksplodował - powiedział Dover.

- Lepiej tu niż w Zatoce San Francisco.

- Kapitan tankowca nie próbuje wpłynąć niepostrzeżenie do zatoki. Statek jest oświetlony od dziobu do rufy. Jakby chciał być widziany. Dziwne.

Dover opuścił lornetkę. Compton nadal przyglądał się ogromnej jednostce. Widział wyraźnie, jak kucharz okrętowy wyrzuca za burtę śmiecie. Nad spienionym kilwaterem krążyły mewy i chwytaly żer.

- Nie podoba mi się to - mruknął.

Dover odwrócił się do łącznościowca, który stał na mostku z przenośnym radiem włączonym do głośnika.

- Zapytajcie nasze helikoptery, czy widzą coś podejrzanego.

Podwładny wykonał polecenie i po chwili z głośnika dobiegła odpowiedź.

- Panie admirale, tu porucznik Hooker z pościgowca Jeden. Oprócz kucharza i marynarza sprawdzającego rury na pokładach statku nie ma nikogo.

- A w sterówce? - zapytał Dover.

- Na skrzydle mostka pusto - zabrzmiał po chwili następny meldunek. - Za szybą widzę dwóch oficerów wachtowych.

- Przekażcie to kapitanowi Garnetowi i komandorowi Jacobsowi. Powiedźcie, żeby byli w pogotowiu, kiedy wywołam statek.

Compton sprawdził w komputerze dane.

- Na tankowcu jest piętnastu oficerów i trzydziestu marynarzy. Rejestracja brytyjska. Będzie cholerna afera, jeśli bez pozwolenia wejdziemy na pokład statku pod obcą banderą.

- To problem Waszyngtonu. Mamy wyraźny rozkaz zatrzymania go.

- Skoro nie musimy się niczym przejmować, to do roboty.

- Tobie przypadnie ten zaszczyt, Buck. Compton wziął nadajnik od łącznościowca.

- Do kapitana "Pacific Chimery". Tu kapitan kutra Straży Przybrzeżnej "Huron".

Dokąd płyniecie?

Kapitan supertankowca był na mostku. Odpowiedział niemal natychmiast.

- Tu kapitan Don Walsh. Płyniemy do morskiego terminalu paliwowego San Pedro.

- Tego się spodziewałem - mruknął Dover. - Każ mu się zatrzymać.

Compton kiwnął głową.

- Kapitanie Walsh, tu kapitan Compton. Proszę się zatrzymać. Wchodzimy na pokład na inspekcję.

- Czy to konieczne? - zapytał Walsh. - Firma straci czas i pieniądze. Postój zakłóci plan rejsu.

- Proszę wykonać - odparł autorytatywnym tonem Compton.

- Ma duże zanurzenie - zauważył Dover. - Zbiorniki muszą być pełne.

Walsh nie odezwał się. Po chwili spieniony kilwater tankowca zaczął zanikać. Dziób nadal pruł wodę, ale Dover i Compton wiedzieli, że do całkowitego zatrzymania takiego kolosa potrzeba prawie mili.

- Wydadź komandorowi Jacobsowi i kapitanowi Garnetowi rozkaz wysłania na statek ich oddziałów bojowych.

Compton spojrział na Dovera.

- A nasi ludzie?

- Tamci są lepiej wyposażeni na wypadek oporu.

Compton wydał rozkaz. Helikopter z marines nadleciał nad tankowiec od rufy. Zniżył się nad nadbudówką, ominął komin i maszt radarowy. Wisiał przez minutę nad górnym pokładem Garnet oceniał sytuację. Kiedy uznał, że jest bezpiecznie, kiwnął do pilota, żeby wylądował przed nadbudówką.

Łódź patrolowa Jacobsa zbliżyła się do kadłuba tuż przed rufą. Haki wystrzelone z wyrzutni pneumatycznych zaczepiły się o reling statku. Komandosi szybko wspięli się po drabinkach sznurowych i pobiegli w stronę nadbudówki z bronią gotową do strzału. Oprócz jednego przestraszonego marynarza na pokładzie nie widać było śladu życia.

Kilku ludzi Jacobsa znalazło rowery używane przez załogę. Komandosi rozjechali się po ogromnym pokładzie i tunelach wzdłuż zbiorników ropy w poszukiwaniu ładunków wybuchowych. Garnet podzielił swój oddział. Jedną grupę wysłał do maszynowni, drugą poprowadził do nadbudówki rufowej i do sterówki. Na mostku zastąpił mu drogę wściekły kapitan Walsh.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnął. - Nie jesteście Strażą Przybrzeżną.

Garnet zignorował go i wyjął radio.

- Admirale Dover, tu oddział pierwszy. Kajuty załogi i sterówka czyste.

- Komandorze Jacobs? - odezwał się Dover. - Proszę o meldunek od oddziału drugiego.

- Mamy jeszcze mnóstwo do zbadania - odparł Jacobs. - Ale przy zbiornikach nie znaleźliśmy ładunków wybuchowych.

Dover odwrócił się do Comptona.

- Wchodzę.

Na wodę spuszczone szalupę i admirał podpłynął do tankowca. Ludzie Garneta rzucili mu drabinkę dla pilota. Dover wspiął się na pokład i po pięciu kondygnacjach schodków wszedł na mostek do wściekłego Walsha.

Kapitana "Pacific Chimery" zaskoczyła wizyta admirała ze Straży Przybrzeżnej.

- Żądam wyjaśnień - warknął.

- Dostaliśmy meldunek, że statek przewozi materiały wybuchowe. Przeprowadzamy rutynową inspekcję, żeby to sprawdzić.

- Materiały wybuchowe?! - wrzasnął Walsh. - Oszalał pan?! To tankowiec! Nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłby na pokład takich rzeczy.

- Właśnie chcemy się upewnić - odpowiedział spokojnie Dover.

- Ten meldunek to jakiś głupi żart. Od kogo go dostaliście?

- Od wysokiego urzędnika z Cerber Oil.

- A co Cerber Oil ma z nami wspólnego?! To statek brytyjskiego towarzystwa okrętowego Berwick. Transportujemy ropę i chemikalia dla klientów na całym świecie.

- A czyją ropę przewozicie teraz? - zapytał Dover.

- Indonezyjskiej firmy Zandak Oil.

- Od jak dawna transportujecie ich ładunki?

- Od ponad dwudziestu lat.

W radiu Dovera rozległ się głos Garneta.

- Meldunek od oddziału pierwszego.

- Admirał Dover. Słucham.

- W maszynowni i nadbudówce rufowej nie znaleźliśmy żadnych materiałów wybuchowych.

- W porządku. Pomóżcie teraz komandorowi Jacobsowi. Ma dużo większą przestrzeń do sprawdzenia.

Minęła godzina. Poirytowany Walsh spacerował nerwowo po mostku. Wiedział, że każda minuta opóźnienia kosztuje jego firmę tysiące dolarów.

Z "Hurona" przeszedł na tankowiec kapitan Compton i wspiął się na mostek.

- Zniecierpliwiłem się - wyjaśnił z uśmiechem. - Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, że wpadłem zobaczyć, jak idzie?

- Kiepsko - warknął Dover. - Jak dotąd, ani śladu ładunków wybuchowych czy detonatorów. Kapitan i załoga tankowca nie wyglądają na samobójców. Zaczynam się obawiać, że ktoś nas podpuścił.

Dwadzieścia minut później zgłosił się Jacobs.

- Statek jest czysty, admirale. Nie znaleźliśmy żadnych materiałów wybuchowych.

- Przecież mówiłem! - ryknął Walsh. - Jesteście stuknięci!

Dover nie próbował go uspokoić. Zaczynał mocno powątpiewać w prawdziwość Sally Morse. Ale jednocześnie poczuł wielką ulgę, że załoga statku nie miała zamiaru zdmuchnąć z powierzchni ziemi połowy San Francisco.

- Przepraszamy za nalot i opóźnienie - powiedział do Walsha. - Wycofujemy się.

- Może pan być pewien, że mój rząd złoży protest w Waszyngtonie - warknął Walsh. - Nie mieliście powodu zatrzymywać nas i wchodzić na pokład.

- Proszę nam wybaczyć - w głosie Dovera brzmiał szczery żal.

Kiedy schodzili z mostka, odwrócił się do Comptona i dodał ciszej: - Nie chciałbym oglądać min tych z Waszyngtonu, kiedy im powiem, że ktoś ich wpuścił w maliny.



Pitt siedział za biurkiem i porządkował papiery przed odlotem na farmę Egana w New Jersey. Nagle jego sekretarkę, Zerri Pochinsky, minął Sandecker i wszedł do gabinetu. Zaskoczony Pitt podniósł wzrok. Admirał prawie zawsze wzywał go do siebie w sprawach służbowych. Sandecker wyglądał na zaniepokojonego. Widać to było po oczach i zaciśniętych wargach.

- Zale nas wykołował - rzucił, zanim Pitt zdążył się odezwać.

- Co takiego?!

- Tankowiec "Pacific Chimera" okazał się czysty. Właśnie dostałem meldunek od admirała Dovera. Na pokładzie nie było materiałów wybuchowych. Kapitan i załoga nie planowali ataku na San Francisco. Albo ktoś podsunął nam fałszywy trop, albo Sally Morse miała halucynacje.

- Ja jej wierzę, więc raczej to pierwsze.

- Fałszywy trop? Po co?

Pitt zastanowił się.

- Zale to cwaniak. Mógł podejrzewać, że Sally zamierza go sypnąć i sprzedać jej bajeczkę o zniszczeniu San Francisco. Rozegrał to jak magik, który jedną ręką macha dla odwrócenia uwagi widowni, a drugą wykonuje sztuczkę. Obawiam się, że ma w rękawie inną katastrofę.

- Załóżmy, że masz rację - odrzekł Sandecker. - I co dalej?

- Liczę, że odpowiedź dostaniemy od Hirama Yaegera i Max.

Pitt wstał, okrążył biurko i szybko wybiegł z gabinetu.

Yaeger studiował wydruki z kont w bankach zagranicznych, które spenetrowała komputerowo Max, szukając nielegalnych wypłat Cerbera. Łapówki wzięło prawie tysiąc osób w amerykańskich władzach. Suma była więcej niż astronomiczna.

- Jesteś pewna tych liczb, Max? - zapytał zdumiony Yaeger. - Wyglądają po prostu nieprawdopodobnie.

Holograficzna postać wzruszyła ramionami.

- Zrobiłam, co mogłam. Przypuszczam, że zostało jeszcze co najmniej pięćdziesiąt osób, których dotąd nie wytropiłam. Czemu pytasz? Jesteś zaskoczony kwotami?

- Może dwadzieścia jeden miliardów dwieście milionów dolców to dla ciebie żadna forsa, ale dla biednego komputerowca to kupa szmału.

- Nie nazwałabym cię biednym.

Pitt wpadł do pokoju Yaegera, jakby ścigał go rozjuszony byk. Sandecker biegł dwa kroki za nim.

- Hiram, natychmiast potrzebujemy ciebie i Max.

Yaeger spojrział na dwie poważne twarze.

- Jesteśmy do dyspozycji. Czego mamy szukać?

- Wszystkich statków, które w ciągu najbliższych dziesięciu godzin wpłyną do naszych głównych portów. Zwróć szczególną uwagę na tankowce.

Yaeger kiwnął głową i odwrócił się do Max.

- Słyszałaś?

Uśmiechnęła się czarująco.

- Wracam za sześćdziesiąt sekund.

- Tak szybko? - zapytał Sandecker. Zawsze zdumiewały go możliwości Max.

Yaeger uśmiechnął się.

- Jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

Kiedy postać Max rozplynęła się wolno i zniknęła, wręczył admirałowi wyniki ostatnich badań.

- To nie wszystko - zastrzegł. - Ale prawie; dziewięćdziesiąt pięć procent. Nazwiska, konta zagraniczne i depozyty tych, którzy wzięli pieniądze od Zale'a i jego koleśków z Cerbera.

Sandecker popatrzył na liczby i wytrzeszczył oczy. Potem podniósł wzrok.

- Nic dziwnego, że Zale ma tyle osobistości w kieszeni. Te kwoty wystarczyłyby na stuletni budżet naszej agencji.

- Czy Straż Przybrzeżna i Siły Specjalne zatrzymały tankowiec, zanim wpłynął do Zatoki San Francisco? - zapytał Yaeger. Nie znał najnowszych wiadomości.

- Zale zrobił z nas durniów - parsknął admirał. - Owszem, zbiorniki statku były pełne ropy, ale nie znaleziono ładunków wybuchowych. Kapitan popłynął dalej na południe do terminalu paliwowego.

Yaeger spojrział na Pitta.

- Myślisz, że to zmyłka?

- Tak. Od początku coś nie dawało mi spokoju. Taki kolos, jak "Pacific Chimera" ma wyjątkowo duże zanurzenie z pełnym ładunkiem. Zatoka w San Francisco jest dla niego za

płytką. Gdyby spróbował dotrzeć do lądu, osiadłby na dnie daleko od miasta.

- I podejrzewasz, że Zale wysłał inny tankowiec do innego portu - domyślił się Yaeger.

Zamilkli, bo na małej scenie zmaterializowała się Max.

- Chyba mam to, czego szukacie, panowie.

- Sprawdziłaś wszystkie supertankowce wchodzące do naszych portów? - zapytał niecierpliwie Sandecker.

- Jest kilka. Jeden płynie z Arabii Saudyjskiej do Luizjany, ale ma terminal paliwowy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od najbliższego dużego miasta. Inny idzie kursem na przepompownię morską w New Jersey, ale przycumuje dopiero jutro. Trzeci jest spodziewany w Long Beach w Kalifornii za dwa dni. To tyle. Zdaje się, że wasz przyjaciel pan Zale stracił okazję potajemnego wprowadzenia tankowca do któregoś z portów.

- Cała ta zabawa to tylko strata czasu - mruknął admirał. - Zale wcale nie chciał zniszczyć San Francisco ani innego dużego miasta.

- Na to wygląda - przyznał zniechęcony Pitt. - Ale w takim razie, po co ten numer? Co chciał osiągnąć?

- Może tylko nas sprawdzał?

- To nie w jego stylu.

- Na pewno się nie pomyliłaś? - zapytał Yaeger.

- Weszłam do baz danych wszystkich zarządów portów w czterdziestu ośmiu stanach poniżej Kanady.

Sandecker pokręcił głową i ruszył do wyjścia.

- To przesądza sprawę.

- A czy braliście panowie pod uwagę inny rodzaj statku? - zapytała Max.

Pitt spojrział na nią z zainteresowaniem.

- To znaczy?

- Zbiornikowiec z płynnym gazem narobiłby dużo więcej zniszczeń niż supertankowiec z ropą.

Pitt poczuł się, jakby dostał cios w brzuch.

- Zbiornikowiec z płynnym gazem? - powtórzył.

- Jeden eksplodował w Japonii w latach czterdziestych - poinformowała Max. - Z siłą bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę. Było ponad tysiąc ofiar.

- Sprawdziłaś, czy płynie do nas jakiś zbiornikowiec? - zapytał Yaeger.

- Za kogo ty mnie masz? - obruszyła się Max. - Oczywiście, że tak.

- No i... ? - Yaeger był zniecierpliwiony.

- O dziesiątej trzydzieści do portu nowojorskiego powinien zawinąć "Mongol Invader" z Kuwejtu.

- Rano czy wieczorem? - upewnił się admirał.

- Rano.

Sandecker spojrział na zegarek.

- Odpada. Przycumowałby dwadzieścia minut temu.

- Spokojnie - powiedziała Max. - Miał przymusowy postój po drodze. Awaria generatorów. Spóźni się o pięć godzin.

Pitt i admirał popatrzyli na siebie.

- Oto plan Zale'a - powiedział Pitt. - Napuścił nas na "Pacific Chimere" na Zachodnim Wybrzeżu i zaatakuje Nowy Jork od wschodu.

Sandecker walnął pięścią w stół.

- Podszedł nas jak śpiące dzieci.

- Nie macie wiele czasu - przypomniała Max. - Statek niedługo wpłynie do zatoki i weźmie kurs na przesmyk Narrows.

- Jak on wygląda? - zapytał ją Yaeger.

Max pokazała "Mongol Invadera" na ekranie dużego monitora. Zbiornikowiec przypominał rysunek z fantastycznonaukowego komiksu. Kadłub i nadbudówka rufowa były takie, jak w tankowcu, ale na tym kończyły się podobieństwa. Z długiego pokładu wystawało osiem ogromnych półkulistych zbiorników.

Max zaczęła podawać dane.

- Największy zbiornikowiec, jaki kiedykolwiek zbudowano. Długość pięćset sześćdziesiąt siedem metrów, szerokość sto dziesięć. Załoga liczy tylko ośmiu oficerów i piętnastu marynarzy, gdyż statek jest prawie całkowicie zautomatyzowany. Ma dwie śruby i dwie turbiny o mocy sześćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych. Zarejestrowany w Argentynie.

- Kto jest właścicielem? - zapytał Yaeger.

- Trop przez labirynt firm istniejących tylko na papierze doprowadził mnie do Cerbera.

Yaeger roześmiał się.

- Dlaczego coś mi mówiło, że to usłyszę?

- Takie zbiornikowce mają o wiele mniejsze zanurzenie niż tankowce, bo gaz jest lżejszy od ropy - zauważył Sandecker. - Ten statek może swobodnie popłynąć w górę rzeki

Hudson i skrócić w stronę dolnego Manhattanu. Przejdzie między dokami bez obawy, że osiadzie na dnie, a potem uderzy w brzeg.

- Sally Morse mówiła, że "Pacific Chimera" miała staranować terminal World Trade Center - przypomniał Yaeger. - Chyba można przyjąć, że Zale'owi chodzi o World Trade Center w Nowym Jorku.

- Gdybym chciał spowodować najwięcej zniszczeń, uderzyłbym dokładnie w ten punkt Manhattanu - zgodził się admirał.

- Ile gazu wiezie statek? - zapytał Pitt.

- Dwieście dwanaście tysięcy metrów sześciennych - odpowiedziała Max.

- Niedobrze - mruknął Yaeger.

- Jaki to gaz?

- Propan.

- Jeszcze gorzej. - Yaeger był zrozpaczony.

- Kula ognia byłaby monstrualna - mówiła Max. - W latach siedemdziesiątych w Kingman w Arizonie eksplodowała cysterna kolejowa. Było w niej trzydzieści tysięcy litrów propanu. Kula ognia miała wtedy średnicę blisko dwustu metrów. Z litra płynnego propanu powstaje dwieście siedemdziesiąt litrów gazu. Albo inaczej: wyobraźcie sobie sto sześćdziesiąt dwa metry sześciennie oparów propanu z metra sześciennego płynu i pomnóżcie przez dwieście dwanaście tysięcy. Wyjdzie wam kula ognia o średnicy ponad trzech kilometrów.

- Jakie byłyby zniszczenia w mieście? - zapytał ją Sandecker.

- Niewyobrażalne. Główne budynki, na przykład bliźniacze wieże World Trade Center przetrwają, ale ich wnętrza zostaną wypalone. Większość innych budynków blisko epicentrum wybuchu zawali się. Co do liczby ofiar, wolę nawet nie spekulować.

- Wszystko dlatego, że szurnięty Zale i jego Cerber chcą podburzyć ludzi przeciwko importowi ropy - mruknął gniewnie Pitt.

- Musimy zatrzymać ten statek - powiedział lodowatym tonem admirał. - I tym razem nie może być żadnych pomyłek.

- Ta załoga nie pozwoli nikomu wejść na pokład - odparł powoli Pitt. - To nie "Pacific Chimera". Założę się o miesięczną pensję, że zbiornikowiec obsługują Żmije pod dowództwem Ono Kanai. Zale nie powierzyłby takiej operacji amatorom.

Sandecker znów spojrzał na zegarek.

- Za cztery i pół godziny statek wpłynie na rzekę Hudson poniżej Manhattanu. Zamelduję admirałowi Doverowi, co odkryliśmy. Powiem mu, żeby postawił w stan

gotowości nowojorskie jednostki Straży Przybrzeżnej i przechwycił zbiornikowiec.

- Powinien pan również zawiadomić antyterrorystów - zasugerowała Max. - Są wyszkoleni do takich zadań.

- Dzięki - powiedział do niej ciepło admirał. - Tak zrobię.

Zawsze uważał komputerowy twór Yaegera za zbędne obciążenie dla budżetu NUMA. Teraz przekonał się, że Max jest warta każdego wydanego centa.

- Wezwę Ala. Naszym nowym odrzutowcem "Aquarius" ze składanymi skrzydłami będziemy w nowojorskim doku NUMA za godzinę.

- A co potem? - zainteresowała się Max.

Pitt spojrzał na nią, jakby pytała Michaela Jordana, czy umie trafić piłką do kosza.

- Zatrzymamy "Mongol Invadera". A co myślałaś?

Widok zbiornikowca do przewozu gazu płynnego zawsze jest groteskowy. "Mongol Invader" z ośmioma półkulami sterzącymi z pokładu był największą z takich jednostek. Gdy sunął przez lekko wzburzone morze do portu nowojorskiego, wyglądał, jakby znalazł się w wodzie przez pomyłkę. Służył wyłącznie celom praktycznym, miał brązowy kolor cegły wypalanej na słońcu i z pewnością był jednym z najbrzydszych statków świata.

Konstruktorzy zaprojektowali go wyłącznie do bezpiecznego transportu ośmiu ogromnych aluminiowych kul, które teraz wypełniał propan. Płynny gaz powinien być schłodzony do minus stu sześćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza. Ale w czasie tego rejsu z Kuwejtu temperaturę stopniowo podnoszono, aż doszła do zaledwie dziesięciu stopni poniżej punktu krytycznego.

Pływająca bomba, zdolna zniszczyć cały dolny Manhattan, podróżowała z szybkością dwudziestu pięciu węzłów. Pchały ją dwie ogromne śruby z brązu, głęboko zanurzony dziób pruł wodę z zadziwiającą łatwością. Nad statek nadlatywały mewy, ale szybko milkły i uciekały, jakby wyczuwały złowrogą atmosferę.

W przeciwieństwie do załogi "Pacific Chimery", na zbiornikowcu nikt nie sprawdzał z pokładu zbiorników i nie chodził po długim pomoście łączącym ich kopuły. Piętnastu ludzi rozsianych po całym statku czuwało na swoich stanowiskach. Czterech obsługiwało sterówkę, pięciu maszynownię. Pozostałych sześciu miało ręczne wyrzutnie raketowe. Ich pociski mogły zatopić największy kuter Straży Przybrzeżnej i zestrzelić każdy atakujący samolot. Najemnicy, zwani Żmijami, zdawali sobie sprawę, ile może kosztować brak czujności. Wiedzieli, że łatwo odeprą szturm Sił Specjalnych, w których kiedyś sami służyli. Byli całkiem pewni, że nikt ich nie zatrzyma. A kiedy wpłyną za Verrazano Narrows Bridge, żaden dowódca jednostek przechwytyjących nie zaryzykuje eksplozji.

Ono Kanai stał na prawym skrzydle mostka. Opierał się o reling i patrzył na groźne ciemne chmury. Nikt chyba nie wierzy, pomyślał, że piętnastu dobrze opłacanych najemników popelni samobójstwo dla swojego szefa. Nie jesteśmy fanatycznymi terrorystami. To nie film z Jamesem Bondem. Uśmiechnął się. Tylko jego ludzie na pokładzie wiedzieli o łodzi podwodnej przyczepionej do kadłuba trzydzieści metrów przed sterem i śrubami. Po skierowaniu statku dziobem w kierunku Manhattanu, Żmije miały uciec pod wodę przed kulą ognia.

Wszedł do sterówki, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na mapę. Kurs wyznaczała czerwona linia. Biegła obok cyplów Rockaway Point i Norton Point at Seagate, potem pod mostem Verrazano spinającym Brooklyn i Staten Island. Dalej wznosiła się do zatoki Upper Bay aż za Statuę Wolności i wyspę Ellis. Za Battery Park skręcała ostro w prawo do brzegu i kończyła się przy dwóch wieżach World Trade Center.

Zgiął muskularne ramiona. Całym ciałem czuł pędzącą masę statku pod stopami. Nikt nie zatrzyma "Mongol Invadera". A jego będą pamiętać przez tysiąc lat jako człowieka, który wywołał największą katastrofę w historii Stanów Zjednoczonych.

Kanai spojrział przez szybę na samochody jadące po moście nad szarozieloną wodą. Wyglądały jak robaki w ruchu. Na konsoli z instrumentami zauważył, że wiatr od południowego wschodu ma szybkość dwudziestu węzłów. To dobrze, pomyślał. Rozdmucha ogień.

Nie zastanawiał się nad skutkami. Nie obchodziły go ofiary. Kanai nie miał żadnych uczuć. Nie bał się śmierci i bez wahania mógł jej spojrzeć w oczy, kiedy przyjdzie jego czas.

Na mostek wszedł jego zastępca, twardej z wytatuowanymi ramionami, Harmon Kerry. Wziął lornetkę i popatrzył na statek z lewej burty, wychodzący w morze.

- Już niedługo - powiedział z wyraźnym zadowoleniem. - Amerykanów czeka przykra niespodzianka.

- Żadna niespodzianka - odburknął Kanai. - Na pewno już wiedzą, że "Pacific Chimera" to zmyłka.

- Myślisz, że się przygotowali?

- Zale nie ułożył nigdy bezbłędnego planu - odparł ponuro Kanai. - Zawsze przeszkadzały niespodziewane i nieprzewidziane okoliczności. Jak na razie, wszystko idzie dobrze. Ale ktoś w rządzie potrafi dodać dwa do dwóch. Może nawet parę osób. Pięciogodzinne opóźnienie z powodu awarii generatorów będzie nas drogo kosztowało. Zamiast przyplłynąć nieoczekiwanie, w ciemności i w tym samym czasie, kiedy zatrzymywano "Pacific Chimerę", możemy się nadziać na komitet powitalny. Założę się, że tym razem nie dadzą się wykiwać.

Kerry wyszczerzył zęby.

- Nie mogę się doczekać widoku tego, jak płonie i topi się Statua Wolności.

- Czterdzieści minut do mostu - zameldował sternik przy konsoli.

Kanai popatrzył na zbliżające się powoli przęsła.

- Jeśli nie zatrzymają nas teraz, nie dostaną drugiej szansy.



Admirał Dover przyleciał myśliwcem marynarki wojennej z bazy morskiej Alameda na Zachodnim Wybrzeżu po piętnastu minutach od alarmu Sandeckera. Pilot poprosił o pozwolenie na lądowanie między samolotami pasażerskimi na lotnisku Kennedy'ego. Helikopter policji nowojorskiej zabrał Dovera do portu Straży Przybrzeżnej w Sandy Hook, gdzie czekały dwa trzydziestotrzymetrowe szybkie kutry patrolowe. Były gotowe do wypłynięcia i przechwycenia "Mongol Invadera".

Dover wszedł do sali konferencyjnej kapitanatu portu. Ze zdenerwowania zaciskał i rozluźniał palce. W końcu zmusił się do spokoju. Nie mógł pozwolić, żeby Zale go przechytrzył. Nie chciał przeoczyć czegoś, co potem okaże się oczywiste. Możliwe, że Sandecker się myli. Nie ma nic pewnego na poparcie swojej teorii. Ale trzeba się temu przyjrzeć. Nawet jeśli "Mongol Invader" to znów fałszywy trop, to trudno. Będą szukać, aż znajdą właściwy.

Dover skłonił się dziesięciorgu kobietom i mężczyznom i podszedł do szczytu stołu konferencyjnego. Nie tracił czasu na uprzejmości.

- Czy helikoptery policyjne są już nad statkiem?

Kapitan policji stojący pod ścianą przytaknął.

- Na razie jeden, jak uzgodniliśmy. Melduje, że zbiornikowiec płynie z pełną szybkością do portu.

Dover odetchnął z pewną ulgą. Jeśli to rzeczywiście ten statek, trzeba go zatrzymać.

- Znacie państwo sytuację. Dostaliście z Waszyngtonu telefony i fakсы od admirała Sandeckera. Albo zbiornikowiec zmieni kurs, albo go zatopimy.

Odezwał się miejscowy dowódca Straży Przybrzeżnej.

- Nie możemy do niego strzelać, admirale. Jeśli eksploduje, cała flotylla przechwytyjąca i helikoptery patrolowe znajdą się w kuli ognia.

- Lepszy tysiąc ofiar niż milion - odparł brutalnie Dover. - Po prostu celujcie w nadbudówkę na rufie, nigdzie indziej. Jeśli załoga odmówi zatrzymania statku, wezwę myśliwce marynarki wojennej. Zniszczą zbiornikowiec raketami powietrze-woda. Nie będę miał innego wyjścia. Ale wtedy wszyscy zawczasu dostaniecie ostrzeżenie, żeby możliwie jak najbardziej zwiększyć odległość od "Invadera".

- Jakie mamy szansę wejścia na pokład, unieszkodliwienia załogi i rozbrojenia ładunków wybuchowych? - zapytał ktoś z policji.

- Jeśli statek się nie zatrzyma i wypłynie z pełną szybkością do portu, słabe. Niestety, wojskowe Siły Specjalne wróciły do baz, kiedy się okazało, że alarm w San Francisco był fałszywy. Nie zdążymy wezwać ich na czas. Wiem, że nowojorskie jednostki

antyterrorystyczne są wyszkolone do takich zadań, ale wolę trzymać je w odwodzie, dopóki się nie przekonamy, czy załoga będzie stawiać opór.

Dover urwał i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

- Maksymalna temperatura płonącego propanu to prawie dwa tysiące stopni Celsjusza.

Jeden z dwóch kapitanów portowych statków pożarniczych podniósł rękę.

- Mogę dodać, panie admirale, że przy eksplozji ładunku zbiornikowca, czyli ponad dwustu tysięcy metrów sześciennych gazu, kula ognia miałaby średnicę przeszło trzech kilometrów.

- Tym bardziej musimy zatrzymać zbiornikowiec jak najdalej od miasta - odparł Dover. - Są pytania?

Nie było.

- Proponuję zacząć operację. Czas ucieka.

Dover wyszedł z odprawy i ruszył do basenu portowego. Wszedł po trapie na pokład kutra Straży Przybrzeżnej "William Shea". Miał poczucie nadchodzącego nieszczęścia. Jeśli "Mongol Invader" nie zatrzyma się, a myśliwcom nie uda się go zatopić, zostanie za mało czasu na ewakuację Manhattanu. Niestety, o tej porze dnia ulice i budynki będą pełne urzędników. Gdyby doszło do eksplozji, trudno sobie wyobrazić liczbę ofiar.

Przypomniał sobie krótką uwagę Sandeckera, że do akcji wejdą Dirk Pitt i Al Giordino. Jak dotąd, nie pokazali się. Dover zastanawiał się, dlaczego nie zdążyli na odprawę, choć to nie miało znaczenia. Wątpił, czy mogą odegrać w operacji decydującą rolę.

Słońce próbowało przebić się przez chmury, gdy "William Shea" i jego bliźniak "Timothy Firme" odbiły od brzegu i popłynęły na spotkanie z "Mongol Invaderem" i jego zabójczym ładunkiem.

- Jeszcze nie widziałem, żeby coś takiego pływało pod wodą - powiedział Giordino. Smukły stateczek wyglądał bardziej na luksusowy jacht niż na małą łódź podwodną.

Pitt stał w basenie portowym w zatoce Sheepshead na południe od Brooklynu i podziwiał dwudziestosześcimetrową jednostkę, stylizowaną na elegancką motorówkę. Giordino miał rację: powyżej linii wodnej wyglądała jak drogi jacht. Różnicę widać było dopiero pod powierzchnią wody. Duże, okrągłe iluminatory w przedniej części każdej z burt przypominały dziurę w kadłubie "Golden Marlina", tyle że mniejszą.

Łódź zapewniała komfortowe warunki jedenastu pasażerom i członkom załogi. Nazywała się "Coral Wanderer". Była największym modelem z serii "Nurek Morski", budowanej w stoczni Meridian w Massachusetts. Miała czterysta ton wyporności i zasięg dwustu mil morskich. Mogła pływać na głębokości trzystu sześćdziesięciu pięciu metrów.

Z pokładu na nabrzeże zszedł po schodkach kapitan Jimmy Flett. Podszedł do Pitta z wyciągniętą ręką. Był niski i tęgi. Twarz poczerwieniała mu od długoletniej miłości do whisky, ale niebieskie oczy jakimś cudem pozostały jasne i bystre. Po starym marynarzu można było się spodziewać mocniejszej opalenizny, ale Flett spędził większość życia na Morzu Północnym. Miał wygląd twardego rybaka, który mimo sztormu wraca do domu z pełnymi sieciami. Widział więcej burz, niż powinien i wszystkie przetrwał.

Zmiażdżył w uścisku dłoń Pitta.

- Kopę lat, Dirk. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio bujaliśmy się razem na pokładzie i pociągaliśmy szkocką.

- W osiemdziesiątym ósmym, na "Arvorze III".

- Szukaliśmy "Bonhomme Richarda" - powiedział Flett zadziwiająco miękkim głosem. - O ile sobie przypominam, nie znaleźliśmy go.

- Nie. Za to natknęliśmy się na rosyjski trałowiec szpiegowski, który zatonął podczas sztormu.

- Tak, tak. Brytyjska marynarka kazała nam zapomnieć, że go w ogóle widzieliśmy. Założę się, że zanurkowali do niego, zaraz jak tylko podaliśmy pozycję.

Pitt odwrócił się do Giordina.

- Al, to Jimmy Flett, mój stary kumpel.

- Miło mi cię poznać - powiedział Giordino. - Dirk często opowiada o tobie.

- Mam nadzieję, że nic dobrego - zarechotał Jimmy i zgniół dłoń Giordinowi, ale Włoch odwzajemnił się tym samym.

- Więc wymiękłeś i zostałeś szyprem luksusowego stateczku spacerowego - zażartował Pitt i wskazał podwodny jacht.

- Wolę pływać na wodzie. Nie interesuje mnie, co jest pod spodem.

- To po co się w to bawisz?

- Bo dobrze płacą i nie narobię się. Lata lecą i już nie chce mi się walczyć z żywiołem jak kiedyś.

- Dostałeś od swoich szefów zgodę na nasz rejs?

- Nie są zachwyceni tym pomysłem. Ta łajba na razie przechodzi testy, nie ma jeszcze certyfikatu. Jak tylko będzie odpowiadała przepisom, popłynę nią do Monte Carlo. Nowi właściciele chcą ją czarterować nadzianym Europejczykom.

- Sytuacja jest wyjątkowo krytyczna, Jimmy.

Flett popatrzył Pittowi prosto w oczy.

- Co właściwie jest grane? Przez telefon powiedziałaś tylko, że chodzi o czarter dla waszej agencji.

- Chcemy jej użyć jako łodzi torpedowej.

Flett przyjrzał mu się uważnie.

- Jasne - mruknął. - Jako łodzi torpedowej. A jaki statek chcesz zatopić?

- Zbiornikowiec z gazem płynnym.

Teraz Flett był już pewien, że Pitt nadaje się tylko do czubków.

- A jeśli odmówię?

- Będziesz miał na sumieniu ponad pół miliona ofiar.

Flett nagle pojął.

- Ten zbiornikowiec chcą wysadzić w powietrze terroryści?

- Niezupełnie terroryści. Raczej banda kryminalistów. Chcą walnąć nim w brzeg przy World Trade Center i spowodować eksplozję gazu.

Nie było więcej wahania, pytań ani protestów. Flett powiedział tylko:

- "Wanderer" nie ma luków torpedowych, więc jak go wykorzystasz?

- Słyszałeś kiedyś o "Hunleyu", okręcie podwodnym konfederatów?

- Jasne.

- Zrobimy powtórkę z historii - uśmiechnął się Pitt.

Giordino zaczął wypakowywać furgonetkę.

Dwadzieścia minut później trzech mężczyźni zamontowali na dziobie łodzi długą rurę skierowaną do przodu. Wystawała dziesięć metrów poza kadłub i udawała bom. Na pokładzie, wzdłuż wysokiej kabiny przymocowali dwie inne rury. Potem pospiesznie załadowali się do "Wanderera" i Flett odpalił dwa wielkie turbodiesle. Giordino przyczepił na końcach trzech bomów magnetyczne pojemniki z materiałami wybuchowymi. W dziobowym było czterdzieści pięć kilogramów plastiku połączonego z detonatorem.

Flett stanął za sterem, Pitt i Giordino odcumowali dziób i rufę. Stary kapitan stał przy konsoli. Sterczało z niej kilka dźwigni do obsługi sterów powierzchniowych i głębokościowych, wirników kierunkowych i przepustnicy.

Po chwili "Coral Wanderer" mknął na trzech czwartych mocy przez zatokę Sheepshead w kierunku otwartego morza i mostu Verrazano. Daleko przed nim płynęły już kutry Straży Przybrzeżnej i flotylla małych łodzi patrolowych. W górze latały cztery helikoptery: dwa policyjne i dwa Straży Przybrzeżnej. Krążyły jak sępy nad ogromnym, pokracznym statkiem w kolorze brudnej bawolej skóry.

Flett pchnął dźwignie dwóch przepustnic do oporu i dziób uniósł się nad wodę. "Coral Wanderer" ściał zatokę wzdłuż północnego brzegu, okrążył Norton Point at Seagate i wziął kurs na śródkręcie zbiornikowca.

- Ile to wyciąga? - zapytał Pitt.

- Na powierzchni czterdzieści pięć węzłów, pod wodą dwadzieścia pięć - odpowiedział Flett.

- Kiedy się zanurzymy, musisz wycisnąć z silników, ile się da. "Mongol Invader" też ma maksymalną szybkość dwudziestu pięciu węzłów.

Flett popatrzył na osiem ogromnych półkul na pokładzie zbiornikowca.

- Tak się nazywa? "Mongol Invader"?

- To do niego dziwnie pasuje - odparł Pitt.

- Trzeba go dogonić przed mostem.

Pitt przytaknął.

- Kiedy wpłynie do przesmyku Narrows, nie uda się go zatrzymać z powietrza bez rozwalenia połowy Brooklynu i Staten Island.

- Lepiej, żeby twój plan "Hunley" wypalił, jeśli Straż Przybrzeżna i gliniarze zawiodą.

Pitt wskazał armadę za szybą.

- Główne siły wchodzą do akcji.

Na pokładzie "Williama Shea" admirał Dover nawiązał łączność z "Mongol

Invaderem”.

- Tu Straż Przybrzeżna Stanów Zjednoczonych. Proszę natychmiast zatrzymać statek i przygotować się do inspekcji.

Cisza. Napięcie na mostku kutra rosło. Dover wywołał zbiornikowiec drugi raz, potem trzeci. Bez skutku. “Invader” nie zwolnił i nie zmienił kursu. Kapitan i załoga kutra wpatrywali się w admirała i czekali na rozkaz ataku.

Wtem ciszę przerwał spokojny, pewny głos.

- Tu kapitan “Mongol Invadera”. Nie zamierzam zatrzymać statku. Ostrzegam, że wszelkie próby uszkodzenia go skończą się tragicznie.

Napięcie nagle opadło. Niepewność i wątpliwości zniknęły. Wszystko stało się jasne. Dover mógł dalej rozmawiać z kapitanem zbiornikowca, ale czas działał na jego niekorzyść. Gra na zwłokę nie miała szans powodzenia. Admirał wydał rozkaz, żeby na pokładzie dziobowym “Invadera” wylądowały helikoptery z oddziałami antyterrorystycznymi. Polecił też kutrom podpłynięcie do burt statku z wycelowanymi działkami.

Popatrzył przez lornetkę na mostek pokracznego zbiornikowca. Ten kapitan to psychol, pomyślał. Nikt normalny nie próbowałby zniszczyć miasta i zabić miliona ludzi tylko dla forsy. A nie są to terroryści ani fanatycy religijni.

Dover nie wierzył, że ktoś może być tak zimnokrwistym zabójcą. Spojrzał na helikopter wiszący nad statkiem i kutry podchodzące do zbiornikowca szerokim łukiem. Dzięki Bogu, że morze jest spokojne, pomyślał.

Dwa czerwono-pomarańczowe śmigłowce Straży Przybrzeżnej zajęły pozycje za rufą “Invadera”. Pierwszy niebiesko-czarny policyjny jayhawk zbliżał się do dziobu. Pilot zwiększył obroty rotora, żeby zrównać się ze statkiem i zawisł na chwilę nad pokładem. Szukał wzrokiem luków, wentylatorów i łańcuchów kotwicznych, które mogłyby przeszkodzić w bezpiecznym lądowaniu. Przed pierwszym zbiornikiem sterczał tylko wysoki maszt radarowy. Zadowolony pilot uznał, że wystarczy mu miejsca i zniżył się na wysokość siedmiu metrów.

Nie zdążył zejść niżej.

Dover zobaczył przez lornetkę, jak z kopuły pierwszego zbiornika startuje mała rakietka. Trafiała w helikopter i rozerwała go jak petarda puszkę tuńczyka. Maszyna stanęła w płomieniach i runęła do wody. W ciągu kilku sekund zniknęła mu z oczu. Na powierzchni pozostało tylko kilka szczątków i spirala czarnego dymu unosząca się w błękitne niebo. Nikt nie wypłynął.

Kanai przyglądał się obojętnie, jak kadłub "Mongol Invadera" roztrąca pływające szczątki helikoptera. Nie cierpiał z tego powodu, że w ciągu niecałych dziesięciu sekund posłał na dno morza dwunastu ludzi. Uważał to tylko za drobną dokuczliwość.

Nie przejmował się też flotyllą kutrów Straży Przybrzeżnej i statków pożarniczych wokół zbiornikowca. Wiedział, że go nie ostrzelają. Dowódca operacji musiałby być szaleńcem albo kompletnym idiotą. Gdyby zabłąkana kula przedziurawiła któryś zbiornik z gazem i spowodowała eksplozję, w promieniu mili morskiej nikt by się nie uratował. Zginęliby również pasażerowie samochodów jadących po moście.

Spojrzał w górę na wielki most, jeden z najdłuższych na świecie. Statek był już tak blisko, że Kanai prawie słyszał ruch uliczny. Popatrzył z zadowoleniem na odlatujące helikoptery. Piloci zrozumieli, że nie mają szans z raketami. Skoncentrował się na dwóch białych kutrach Straży Przybrzeżnej z ukośnymi pomarańczowymi pasami, wąskimi niebieskimi wstęgami i insygniami CG, Coast Guard. Zbliżały się z dwóch stron. Ich zamiary były jasne, ale nie wyglądało na to, żeby ich działka mogły poważnie uszkodzić statek.

Teraz mój ruch, pomyślał z rozbawieniem. Ale zanim wydał Żmijom rozkaz odpalenia rakiet, kutry jednocześnie otworzyły ogień z dwulufowych bushmasterów, zamontowanych na dziobach. Tyle że ostrzał ogromnego statku wydawał się bez sensu.

Kuter z prawej burty walił pociskami przeciwpancernymi w mostek i sterówkę z dziewięćmilimetrowej stali. Ten z lewej próbował przedziurawić grubsze płyty kadłuba w dolnej części rufy, chroniące maszynownię. Obsługa obu działek bardzo uważała, żeby nie celować w poblizze gigantycznych zbiorników z zabójczym propanem.

Kanai padł na podłogę. Pociski roztrzaskały szyby i konsolę. Sternik zginął na miejscu. Inny najemnik zwałił się na ziemię śmiertelnie ranny. Kanai sięgnął po radio.

- Odpalić rakiety! - krzyknął. - Ale już!

Leżąc, wyrztał przez wybite okna. "Invader" był półtora kilometra od mostu. Kanai zauważył, że dziób lekko skręca na sterburtę. Z konsoli nawigacyjnej została miazga. Zniszczony system komputerowy nie mógł utrzymać statku na kursie.

- Jakie straty?! - zawołał do maszynowni.

Obsługiwał ją były główny mechanik okrętów wojennych, używanych do tajnych operacji.

- Przestrzelili nam lewy generator - odpowiedział flegmatycznie. - Ale silniki są w porządku. Mam jednego zabitego i jednego ciężko rannego. Pociski podziurawiły grodz jak

sito, ale metal je wyhamował i nie zniszczyły maszyn. Uszkodzenia są minimalne.

Kanai zobaczył, że zbiornikowiec płynie prosto na boję farwaterową.

- Rozwalili nam konsolę na mostku. Steruj statkiem z dołu. Sprowadź go z powrotem na kurs trzy-pięć-pięć w lewo, bo wpadniemy na przęsło mostu. I trzymaj tak, dopóki ci nie powiem.

Wyczołgał się na skrzydło mostka i spojrzał w dół. Jeden z bandytów wychylał się za reling na sterburcie i strzelał raketami w dziób "Timothy Firme'a". Pierwsza przebiła cienki pokład i kadłub i eksplodowała w wodzie. Druga wybuchła po trafieniu w parapet statku. Pokład zasypały odłamki metalu i wyeliminowały obsługę. Kawałki działka pofrunęły pod niebo jak płonące liście.

Potem powietrze z drugiej strony "Invadera" rozdarł huk. Rakietą przedziurawiła komin "William Shee". Uderzyła niczym młot i kuter przechylił się o dziesięć stopni. Dookoła rozprysły się szczątki i buchnął gęsty czarny dym. Ale samotne działko na dziobie nadal zasypywało maszynownię zbiornikowca gradem pocisków.

"Timothy Firme" dostał następną raketą. Kadłub zadrżał od eksplozji i rufa stanęła w płomieniach. Moment później kolejna rakietą trafiła w nadbudówkę poniżej mostka. Wybuch rozrzucił po przednim pokładzie odłamki rozerwanej stali. W przeciwieństwie do okrętów marynarki wojennej, kutry Straży Przybrzeżnej nie miały grubych pancerzy i zniszczenia były duże. Połowa oficerów zginęła na mostku. Okaleczony "Timothy" zszedł z kursu i zaczął się oddalać od zbiornikowca. Palił się w dwóch miejscach i dryfował bezradnie w kłębach dymu. Ostrzał raketowy nie ustawał, drugi uszkodzony kuter też ogarnął pożar.

Kanai zdobył przewagę taktyczną.

Był zadowolony, że wygrywa bitwę morską. Rzucił okiem za rufę. Dwie jednostki Straży Przybrzeżnej zamieniały się powoli w pływające wraki. Nie musiał się już nimi przejmować.

Helikoptery policyjne trzymały się z daleka, ale wiedział, że do sukcesu jeszcze daleko. "Mongol Invader" zbliżał się do mostu Verrazano. Kanai był pewien, że dowódca operacji wezwie myśliwce, zanim statek będzie względnie bezpieczny za mostem.

Dover sprawdził, czy nie jest ranny. Krwawił. Dostał drobnymi odłamkami w lewe ramię i skroń. Dotknął ucha. Wisiało na kawałku skóry. Oderwał je bardziej ze złości niż z bólu i wetknął do kieszeni. Chirurg przyszyje. Ruszył przez zrujnowaną sterówkę. Wokół leżeli zabici i ranni. Młodzi ludzie, pomyślał. Nie zasłużyli na taki los. To nie wojna z wrogiem zewnętrznym, to walka o wewnętrzne wpływy ekonomiczne. Ta rzeź nie miała



sensu.

Kutry były wystawione na zmasowany ogień co najmniej czterech wyrzutni pocisków rakietowych, odpalanych z ramienia. Dover czuł, jak szybkość spada i kuter zwalnia. Był poważnie uszkodzony poniżej linii wodnej i zaczynał tonąć.

Admirał nie wiedział, w jakim stanie jest "Timothy Firme" po drugiej stronie zbiornikowca, ale podejrzewał najgorsze. Rozkazał jednemu żyjącemu oficerowi na "Firme" doprowadzić kuter do najbliższego brzegu. Bitwa Straży Przybrzeżnej z koszmarnym statkiem skończyła się.

Ostatni rzut kośćmi, pomyślał ponuro. Zaciśnął palce na radiu i wezwał trzy F-16C. Myśliwce sił powietrznych Gwardii Narodowej krążyły nad oceanem kilka mil morskich dalej. Admirał schylił się odruchowo. Z pokładu zbiornikowca wystrzeliła jeszcze jedna rakietka, ale minęła mostek i wylądowała w wodzie sto metrów za kutrem. Dover przykucnął za relingiem i spojrzał na niebo. Potem zmienił częstotliwość w swoim radiu.

- Niebieska Eskadra, Niebieska Eskadra - powiedział wolno i wyraźnie - tu Czerwona Flota. Jeśli mnie słyszycie i rozumiecie, zaatakujcie zbiornikowiec. Powtarzam, zaatakujcie statek. Tylko, na litość boską, nie celujcie w zbiorniki z propanem.

- Zrozumiałem, Czerwona Flota - odezwał się dowódca eskadry. - Skoncentrujemy ogień na rufie.

- Spróbujcie trafić w maszynownię pod kominem - rozkazał Dover. - Zróbcie wszystko, żeby jak najszybciej zatrzymać statek, byle bez eksplozji.

- Przyjąłem, Czerwona Flota. Rozpoczynam atak.

Dowódca Niebieskiej Eskadry wypuścił do przodu swoich skrzydłowych, jednego pięćset metrów za drugim. Sam zatoczył krąg, żeby zobaczyć skutek ataku i wejść do akcji, gdyby prowadzący samolot chybił. Obawiał się, że piloci będą przez ostrożność celować w sam tył rufy jak najdalej od zbiorników, i w ogóle nie trafią w statek. Okazało się, że nie miał racji.

Pierwszy F-16 przechylił się na skrzydło, zrobił beczkę i zanurkował prawie pionowo. Pikował prosto na maszynownię pod wielkim kominem. Zaslaniały ją coraz gęstsze kłęby dymu z płonących kutrów. Systemy kierowania pociskami rakietowymi namierzyły cel, ale pilot nie zdążył nacisnąć spustu. Z "Mongol Invandera" wystrzeliła rakietka ziemia-powietrze i myśliwiec zamienił się w wielką kulę ognia. Rozleciał się na tysiąc kawałków i do morza spadła płonąca kupa złomu.

- Przerwać atak! - krzyknął dowódca eskadry do drugiego skrzydłowego.

- Za późno! - odpowiedział pilot. - Mam namierzony cel...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej ani zrobić uniku. Schodził pionowo w dół i nie miał czasu na reakcję. Z wyrzutni wystartowała następna rakietka. Drugi F-16 eksplodował i po chwili zniknął pod wodą sto metrów od pierwszego.

Dowódca eskadry zamarł. Nie wierzył własnym oczom. Zginęli jego dwaj bliscy przyjaciele, piloci Gwardii Narodowej, którzy zgłosili się na wezwanie. Spalili się żywcem. Byli biznesmenami, mieli rodziny. A teraz leżeli na dnie morza u wejścia do portu nowojorskiego. Dowódca nie przypuścił trzeciego ataku. Czuł się jak sparalizowany. Zawrócił i odleciał z powrotem do bazy na Long Island.

Dover patrzył ze zgrozą na klęskę lotnictwa. Wiedział, co się teraz stanie. Wiedzieli to wszyscy na kutrach, jednostkach ratowniczych i w helikopterach. Śmierć pilotów była przerażająca, a ich nieudana akcja oznaczała katastrofę.

Admirał nagle stanął jak wryty. W kierunku rufy zbiornikowca pędziła z pełną szybkością mała, dziesięciometrowa łódź ratownicza Straży Przybrzeżnej. Załoga wyskoczyła za burty w kamizelkach ratunkowych, został tylko szyper. Nie zwolnił i nie zmienił kursu.

- To samobójstwo - wymamrotał osłupiały Dover. - Czyste szaleństwo, ale niech Bóg go błogosławi.

Z pokładu "Invandera" zaterkotały pistolety maszynowe. Serie śmigły wokół łodzi jak roje szerszeni. Pociski rozchłapywały każdy centymetr kwadratowy wody wokół cienkiego kadłuba z włókna szklanego. Mężczyzna za sterem ocierał mokrą twarz jedną ręką i pruł dalej. W porannej bryzie łopotała czerwono-biało-niebieska bandera.

Ludzie na moście zobaczyli wybuchające myśliwce i zatrzymali samochody. Stali teraz wzdłuż balustrady i obserwowali rozgrywający się w dole dramat. Załogi helikopterów też wpatrywały się w małą łódź. Każdy przynaglał w duchu sternika, żeby wyskoczył za burtę, zanim dojdzie do kolizji.

- Wspaniały akt przekory - mruknął do siebie Dover. - Wystarczy! - wrzasnął, choć wiedział, że tamten go nie usłyszy. - Skacz!

Ale było już za późno. Kiedy wydawało się, że szyper chce dać nura z kokpitu, dostał serię w pierś i padł plecami na pokład. Silniki zawyły, śruby spieniły wodę i łódź uderzyła w lewy ster zbiornikowca.

Nie eksplodowała. Nie zamieniła się w płonący i dymiący stos. Po prostu rozpadła się w drobny mak. Na morzu pozostało tylko trochę śmieci i tuman kurzu. Ogromny statek parł naprzód jak słoń, który nawet nie poczuł ukąszenia komara.

Dover wstał z pokładu. Nie zauważył, że na prawym bucie ma krew z rozciętej odłamkiem kostki. Patrzył na płynący dalej zbiornikowiec. Dziób był już prawie pod mostem.

- Dobry Boże - wymamrotał admirał. - Nie pozwól nam go przepuścić. Miej nas w opiece, jeśli wpłynie za most.

Ledwo skończył krótką modlitwę, za rufą „Mongol Invadera” nastąpił podwodny wybuch. Dover nie wierzył własnym oczom: statek zaczął stopniowo skręcać w lewo i oddalać się od mostu. Najpierw bardzo wolno, potem coraz szybciej.

- Ten zbiornikowiec wygląda jak osiem ciężarnych kobiet leżących rzędem na plecach - powiedział zza konsoli Jimmy Flett, kiedy podchodzili do statku.

Giordino popatrzył na pływające dookoła szczątki roztrącane przez pędzące łodzie.

- W ciągu dwudziestu minut rozpieprzył helikopter, dwa kutry i dwa F-16 - mruknął ponuro. - Jest raczej niebezpieczny, a nie pokraczny.

Pitt obserwował wielki statek przez lornetkę.

- Teraz już go nie zatrzymają - powiedział. - Ma otwartą drogę do Manhattanu.

- Do mostu zostało mu jeszcze około kilometra - ocenił Flett. - Akurat tyle, żebyśmy zdążyli się zanurzyć i dobrać mu się do śrub i sterów.

- Będziemy mieli tylko jedno podejście - uprzedził Giordino. - Jeśli się nie uda, zabraknie nam czasu na powtórkę. Zbiornikowiec ma za dużą szybkość. Zanim zawrócimy, wynurzymy się, wyprzedzimy go i znów się zanurzymy, będzie za mostem.

Pitt spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Więc musi się udać za pierwszym razem.

“Coral Wanderer” ślizgał się po falach jak “kaczka” puszczona gładkim, płaskim kamieniem. Pitt skierował lornetkę na płonące kutry Straży Przybrzeżnej. “William Shea” włókł się w stronę Brooklynu, “Timothy Firme” miał przechył na rufę. Załogi łodzi ratowniczych Straży Przybrzeżnej pomagały w doraźnych naprawach. Statki pożarnicze gasiły strumieniami wody ogniska pożarów. Niedźwiedź rozprawił się z psami myśliwskimi, pomyślał Pitt. Szczerze żałował, że nie mógł zjawić się wcześniej, żeby temu zapobiec.

Zbagatelizował ostrzeżenie Giordina, ale w głębi duszy obawiał się, że przegrają. Był zdecydowany zatrzymać “Mongol Invadera” nawet za cenę życia Giordina, Fletta i własnego.

Nie miał odwrotu. Było już za późno, żeby się wycofać. Wahanie i niepewność zostały daleko za rufą. Wiedział, że na pokładzie jest Ono Kanai. Musieli wyrównać rachunki. Pitt czuł narastającą wściekłość.

Przyjrzał się roztrzaskanej pociskami i zdemolowanej sterówce zbiornikowca, ale nikogo tam nie zobaczył. Kadłub poniżej komina przypominał durszlak, ale dziury były małe i uszkodzenia nie wyglądały groźnie.

Minęła wieczność, zanim “Coral Wanderer” zmniejszył odległość do dziobu “Invadera”. Dwieście metrów od sterburty statku Flett zamknął przepustnice i włączył pompy

zbiorników balastowych. Łódź podwodna zanurzyła się szybko, zupełnie, jakby włożyła ją pod powierzchnię gigantyczna ręka. Flett dał pełną moc i rozpędził "Wanderera" bardziej, niż dopuszczali konstruktorzy. Odtąd nie było już miejsca na błąd.

Giordino został na mostku obok Fletta. Pitt zszedł na dół do kabiny. Na dziobie znajdował się wielki iluminator widokowy. Usiadł wygodnie na zamszowej sofie i podniósł słuchawkę telefonu.

- Słyszycie mnie? - zapytał.

- Przez głośnik - powiedział Giordino.

Flett odczytał namiary.

- Odległość sto pięćdziesiąt metrów i maleje.

- Widoczność około dwunastu - zameldował Pitt. - Nie spuszczać oka z radaru.

- Mamy na komputerze obraz statku - odparł Giordino. - Będę ci mówił, do której sekcji kadłuba podchodzimy.

Minęły trzy długie minuty. Flett podał kolejną odległość.

- Pięćdziesiąt metrów. W górze widać już cień statku.

Pitt usłyszał silniki i poczuł przepływ wody pod kilem. Wpatrzył się w zielony mrok. Ledwo widział białą pianę omywającą kadłub. I nagle zobaczył stalowe płyty poszycia. Wyłoniły się dziesięć metrów przed nim i trzy nad nim.

- Mamy go! - krzyknął.

Flett dał całą wstecz i wyhamował łódź, żeby nie uderzyć w "Invadera".

- Opuść nas jeszcze trzy metry, Jimmy.

- Robi się. - Flett zszedł łodzią pod sterburtę statku.

Pitt obserwował z kabiny, jak ogromny kadłub przewala się nad "Wandererem". Widok był niesamowity. Wielki, mechaniczny potwór bez mózgu. Odgłos śrub pulsował najpierw w oddali, ale szybko zamienił się w hałas młockarni. Pitt dostrzegł nagle duży pękaty kształt wystający z dna kadłuba blisko kila, ale obiekt zaraz zniknął z pola widzenia.

Pitt był teraz oczami Fletta. Tylko on mógł go ostrzec, że zbliżają się olbrzymie śruby statku. Ruch zbiornikowca mącił wodę i pogarszał widoczność. Pitt położył się na dywanie z twarzą tuż przy przedniej szybie. Starał się przeniknąć wzrokiem pianę i zieloną toń, żeby zobaczyć magnetyczny ładunek wybuchowy na końcu bomu dziobowego. Ale widział tylko wodę.

- Gotowy, Jimmy?

- Powiedz kiedy - odparł mocny głos.

- Powinieneś zobaczyć prawą śrubę trzy sekundy po mnie.

Zapadła cisza. Groza narastała. Pitt miał nerwy napięte jak struny. Trzymał telefon tuż przy ustach i zaciskał na nim palce, aż zbieleły mu kostki. Nagle zielona zasłona rozdzieliła się w białej eksplozji pęcherzy powietrza.

- Teraz! - krzyknął Pitt.

Flett zareagował z szybkością błyskawicy. Pchnął przepustnice do przodu i kiedy poczuł szarpnięcie od dziobu, natychmiast dał pełną wstecz. Modlił się o dobrą koordynację.

Pitt mógł się tylko przyglądać. Był bezbronny i odsłonięty. Magnetyczny ładunek wybuchowy przylgnął do płyt kadłuba ułamek sekundy wcześniej, niż Flett pociągnął przepustnice do tyłu. Masywna śruba rozbijała wodę na pianę niczym wiatrak, który wymknął się spod kontroli.

Giordino i Flett patrzyli w skupieniu z mostka, jak potężne wirujące łopaty wała prosto na nich. Przez moment byli pewni, że nie zdążą uciec i śruba o średnicy piętnastu metrów posieka luksusową łódź i ich ciała na kawałki. Ale w ostatniej chwili diesle "Wanderera" ryknęły i jego własne śruby zawirowały gwałtownie. Skoczył do tyłu, ogromne łopaty przeszły pół metra od oszklonego dziobu. Podwodny jacht zakołysał się jak drzewo w podmuchach tornada.

Pitt leżał na dywanie i trzymał się poręczy spiralnych schodków. Zobaczył tylko kipieli i usłyszał ogłuszający hałas wirujących łopat. Trzydzieści sekund później jacht wyrównał pozycję i woda w kilwaterze "Invadera" uspokoiła się. Hałas śrub zaczął cichnąć.

Pitt wstał.

- Teraz albo nigdy, Al.

- Myślisz, że już jesteśmy w bezpiecznej odległości?

- Jeśli ta łódź wytrzyma ciśnienie wody na głębokości trzystu metrów, detonacja w odległości stu metrów nic jej nie zrobi.

Giordino wziął w obie ręce czarne pudełeczko i nacisnął dźwigienkę. Rozległ się głośny huk spotęgowany przez wodę. Do "Wanderera" dotarła fala uderzeniowa o sile sześciometrowej fali morskiej. Potem rozeszła się i woda znów się uspokoiła.

W otworze u szczytu schodków pojawiła się głowa Pitta.

- Wynurz się, Jimmy. Zobaczymy, jak nam poszło.

Pitt spojrzał na Giordinę.

- Kiedy znajdziemy się na powierzchni, zamocuj następny ładunek.

Admirał Dover nie miał pojęcia, co mogło spowodować przytłumioną podwodną eksplozję, ale odetchnął z pewną ulgą. "Mongol Invader" schodził z farwateru i zawracał

szerokim łukiem tam, skąd przyplłynął. Dover nie mógł wiedzieć, że to zasługa Pitta i Giordina. Wszyscy na "Williamie Shea", którzy nie zostali ranni, byli zbyt zajęci, żeby zauważyć niezwykle stateczek przed zanurzeniem i przyczepieniem ładunku wybuchowego tuż przed prawą śrubą zbiornikowca. Eksplozja zrobiła w kadłubie ponad dwumetrową dziurę poniżej obudowy wału napędowego i rozerwała go. Ster, który wcześniej uszkodził samobójca ze Straży Przybrzeżnej, zablokował się pod kątem czterdziestu pięciu stopni w lewo.

Śruba opadła skośnie w dół i ledwie się trzymała na czopie urwanego wału. Wielki silnik turbinowy w głębi maszynowni potroił nagle obroty i wymknął się spod kontroli, zanim główny mechanik zdążył go wyłączyć.

Lewa śruba nadal wirowała z pełną szybkością i dziób statku powoli skręcał w stronę Staten Island. Zbiornikowiec zawracał. Mógł wypłynąć na pełne morze albo zataczać kręgi.

Najgorsze już się nie zdarzy, pomyślał Dover. Ale czy szaleniec na zbiornikowcu zrezygnuje? Musi wiedzieć, że nawet w tym miejscu eksplozja gazu spowodowałaby nieobliczalne straty w ludziach i zniszczenia.

Po przegranej bitwie Dover przygotował się na pełną katastrofę. Ale po nagłym cudzie modlił się, żeby dało się jej całkowicie uniknąć.

Nie tylko admirał Dover był zaskoczony, że wielki statek zawraca. Ono Kanai zgłupiał. Poczul i usłyszał wybuch głęboko pod rufą, ale nie przejął się nim. Nie wierzył, żeby jakikolwiek okręt czy samolot w promieniu trzydziestu kilometrów odważył się zaatakować. Kiedy dziób zaczął skręcać, wrzasnął na dół do maszynowni.

- Wracać na kurs! Nie widzicie, że zataczamy koło?!

- Straciliśmy prawą śrubę. Urwała ją eksplozja - odparł główny mechanik. - Zanim zdążyłem wyłączyć lewy silnik, śruba zaczęła obracać statek.

- Wyrównajcie sterami! - krzyknął Kanai.

- Nie da rady. Coś wcześniej uderzyło w lewy ster i zablokowało go. Może jakiś wrak.

Kanai po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą.

- Co ty chrzaniś, do cholery?!

- Albo będziemy pływać w kółko - padła flegmatyczna odpowiedź - albo damy "cała stop" i będziemy dryfować. Prawdę mówiąc, nie mamy wyjścia.

To był koniec, ale Kanai nie chciał słyszeć o porażce.

- Jesteśmy za blisko, żeby to sobie odpuścić! Za mostem nikt nas nie zatrzyma!

- A ja ci mówię, że im szybciej damy nogę z tej cysterny, tym lepiej. Mamy tylko

jedną śrubę i ster zablokowany pod kątem czterdziestu pięciu stopni w lewo.

Kanai zrozumiał, że kłótnia z głównym mechanikiem nie ma sensu. Spojrzał na wielki most. Miał prawie nad głową wiszącą jezdnię, od sukcesu dzieliło go kilkaset metrów, zanim tajemnicza eksplozja zawróciła "Mongol Invadera" z kursu. Zaszedł tak daleko i przegrał. Nie do wiary, że ktoś wydarł mu zwycięstwo u celu.

Rozejrzał się i zobaczył prywatny jacht płynący za zbiornikowcem. Dziwnie wygląda, pomyślał. Już miał się odwrócić, gdy jacht zniknął pod wodą. Kanai nagle zrozumiał i wpadł we wściekłość.

- Dobra, Jimmy - powiedział Pitt do szypra podwodnego jachtu. - Zawróciliśmy go. Teraz trzeba położyć na dnie te wielkie kule z gazem.

- Mam nadzieję, że tamte palanty nie odpalą ładunków wybuchowych - powiedział Flett. Poruszył dźwigniami, wypoziomował "Coral Wanderera" na dziewięciu metrach i zrobił drugie podejście do zbiornikowca. Na rumianej twarzy starego marynarza nie było widać obawy. Wyglądało wręcz na to, że dawno się tak dobrze nie bawił.

Łódź sunęła pod wodą jak ryba. Flett odprężył się trochę po pierwszej udanej akcji. Może nie uszkodzą jego drogiego jachtu? Wpatrzył się w radar i GPS, żeby utrzymać kurs na zbiornikowiec.

- Gdzie chcesz do niego podejść? - zapytał Pitta.

- Poniżej maszynowni, z lewej strony rufy. Trzeba uważać, żeby nie przyczepić ładunku do kadłuba pod którymś ze zbiorników. Jeśli zrobimy duże bum za blisko gazu, statek wyleci w powietrze. I wszystko w promieniu trzech kilometrów też.

- A trzeci i ostatni ładunek?

Też damy pod rufą, tylko z prawej strony. Jeśli zrobimy w tyle kadłuba dwie duże dziury, statek szybko zatoni, bo nie będzie miał dużej wyporności.

- Tym razem to pryszcz - zauważył dziwnie zadowolony Giordino. - Nie musimy się już przejmować śrubami.

- Nie chwał dnia przed zachodem słońca - odparł Pitt, jak zwykle przy takich okazjach. - Jeszcze się nie skończył.



- John Milton Hay napisał: "Największym szczęściarzem jest ten, kto wie kiedy wstać i iść do domu" - zacytował Jimmy Flett, gdy rakieta wystrzelona ze zbiornikowca minęła o włos zanurzając się sterówkę i eksplodowała w wodzie sto metrów za rufą. - Może powinniśmy skorzystać z tej mądrości.

- No dobra, namierzyli nas - przyznał Pitt.

- Musieli się naprawdę wkurzyć, kiedy się skapowali, że ta dziura to nasza robota - zaśmiał się Giordino.

- Wygląda na to, że ich załatwiliśmy.

- Nie widziałem, żeby spuszczała szalupy - powiedział Giordino, gdy woda sięgnęła powyżej szyby.

Kiedy tylko morze zamknęło się nad dachem kabiny i "Coral Wanderer" zniknął z oczu ludziom na zbiornikowcu, Flett znurkował na pełnej szybkości i skręcił ostro na sterburtę. W samą porę. Wybuch zakołysał łodzią, gdy następna rakieta eksplodowała tam, gdzie byli przed chwilą.

Flett wyprostował jacht i wziął kurs na lewą burtę "Invadera". Wybuchła jeszcze jedna rakieta, ale daleko. Żmije straciły szansę zniszczenia wroga, mały ślad, który za sobą zostawiał, rozpływał się, zanim dotarł na powierzchnię.

Pitt wrócił do kabiny i znów zajął pozycję przy iluminatorze. Wielki statek stał i ostatnie podejście do niego wydawało się dużo mniej skomplikowane i ryzykowne niż pierwsze. Żmije na pewno przygotowują się do ewakuacji, pomyślał Pitt. Ale czym? Nie spuszczała szalup. Wpław też nie popłyną. Nagle coś sobie przypomniał.

Nie miał jednak czasu na rozważanie tych możliwości. Musiał się skoncentrować, żeby znów ostrzec Fletta... i nagle zobaczył przed sobą ogromny kadłub. Teraz było łatwiej. Flett nie dał całej naprzód, jak przedtem. Tym razem podchodzili do nieruchomego statku, bez konieczności uników przed wielkimi śrubami.

Minęła minuta, potem druga. Wreszcie kadłub wypełnił cały iluminator.

- Jesteśmy, Jimmy.

Flett z wprawą zmniejszył obroty silników i skręcił równoległe do kadłuba. Po mistrzowsku podprowadził łódź dwa metry od statku i zwiększył szybkość. Popłynęli wzdłuż zbiornikowca w kierunku rufy i maszynowni.

W sterówce Giordino wpatrywał się uważnie w ekran komputerowego systemu podwodnego radaru. Uniósł wolno rękę, a potem szybko ją opuścił.

- Dziesięć metrów.

Flett posłusznie skrzył na wirnikach wstecznych i wycelował dziób i ładunek wybuchowy na końcu bomu w czułe miejsce kadłuba "Invadera" na wprost maszynowni.

Magnetyczny pojemnik przywarł do stalowych płyt i jacht szybko się wycofał. Kiedy byli w bezpiecznej odległości, Giordino uśmiechnął się.

- Jeszcze raz, z czuciem.

I pchnął włącznik detonatora. Znów głuchy grzmot, fala uderzeniowa i kołysanie.

- To był śmiertelny cios - powiedział Flett. - Te wasze nowoczesne materiały wybuchowe zrobią większą dziurę niż torpeda.

Pitt wszedł z dołu na mostek.

- Twoja łódź ma komorę ewakuacyjną, Jimmy?

Flett przytaknął.

- Oczywiście. Jak wszystkie pasażerskie statki podwodne. Międzynarodowe prawo morskie tego wymaga.

- A masz sprzęt do nurkowania?

- Mam. Cztery komplety dla pasażerów, którzy będą czarterować łódź.

Pitt spojrzał na Giordina.

- Masz ochotę się pomoczyć?

- Właśnie miałem to zaproponować - powiedział Al. - Lepiej uzbroić bom pod wodą, niż ryzykować trafienie rakieta.

Nie tracili czasu na wkładanie skafandrów. Liczyła się każda minuta. Morze było zimne, ale mieli nadzieję, że wytrzymają przez chwilę w samych szortach. Wyszli przez dwuosobową komorę powietrzną, przymocowali do bomu ładunek wybuchowy i po niecałych siedmiu minutach, zeszywniali z zimna wrócili na pokład. Woda miała temperaturę osiemnastu stopni Celsjusza.

Po zamknięciu wjazdu Flett rzucił "Wanderera" do ostatniego ataku. Zanim Pitt i Giordino weszli na górę, przyczepił ładunek do kadłuba zbiornikowca i cofnął łódź.

Pitt położył mu rękę na ramieniu.

- Dobra robota, Jimmy.

Flett uśmiechnął się.

- Jestem szybki facet.

Giordino wytarł się rękawkiem i usiadł w fotelu w samych szortach. Wziął detonator,

zanim włożył ubranie. Na komendę Fletta przesunął dźwignię, odpalił ładunek i zrobił w rufie zbiornikowca następną wielką dziurę.

- Ryzykujemy wynurzenie, żeby zobaczyć nasze dzieło? - zapytał Flett.

Pitt pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Najpierw muszę coś sprawdzić.

Pokład przechylił się, kiedy drugi wybuch rozerwał kadłub zbiornikowca. Kanai miał wrażenie, że eksplozja nastąpiła dokładnie pod jego nogami. Rufa zdrząła. Ludzie na brzegu, w łodziach i na moście zobaczyli, że dziób statku unosi się z wody.

Kanai łudził się, że po pierwszym wybuchu uda im się jakoś wrócić na kurs, ale druga eksplozja przesądziła o losie statku. Szedł na dno zatoki. Kanai siedział na mostku i wycierał zranione czoło. Krew spływała mu do oczu. Kawalek wybitej szyby przeciął skórę do kości.

Silnik zamilkł kilka minut przedtem. Kanai zastanawiał się, czy główny mechanik i załoga zdążyli uciec z maszynowni, zanim przez dwie wyrwy wdarły się tysiące litrów wody. Rozejrzał się dookoła. Sterówka wyglądała, jakby zdemolował ją rozszalały tłum. Wstał z rącznikiem przy twarzy i podszedł do szafki. Otworzył ją i popatrzył na panel z włącznikami. Mąciło mu się w głowie. Ustawił zegar detonatora na dwadzieścia minut. Nie wziął pod uwagę, że statek może zatonać, zanim wybuchną ładunki pod ogromnymi zbiornikami z propanem. Przesunął dźwignię detonatora w położenie "włączone".

Po zewnętrznych schodkach wszedł Harmon Kerry. Nawet nie zauważył, że krwawi z kilku ran. Miał szkliste oczy i dyszał jak po dużym wysiłku. Oparł się o pulpity nawigacyjny, żeby złapać oddech.

- Nie wjechałeś windą? - zdziwił się Kanai, jakby nie widział, co się dzieje dookoła.

- Nie działała... - wysapał Kerry - Była uszkodzona... Musiałem się wdrapać na dziesięć kondygnacji schodów. Lina wyskoczyła z uchwytu. Ale już naprawiłem. Chyba możemy zjechać na dolny pokład, byle powoli.

- Trzeba było iść prosto do łodzi podwodnej.

- Nie zejść ze statku bez ciebie.

- Dzięki za lojalność.

- Uzbroiłeś ładunki?

- Nastawiłem na dwadzieścia minut.

- Będziemy mieli fart, jeśli zdążymy odpłynąć na bezpieczną odległość. Lepiej chodźmy - odparł Kerry i przyjrzał się swojemu szefowi. Kanai miał minę, jakby szuler orznął go w pokera.

Statek przechylił się nagle na rufę.

- Ludzie są bezpieczni? - zapytał Kanai.
- O ile wiem, wszyscy już zeszli ze stanowisk do łodzi podwodnej.
- Więc nic tu po nas.

Kanai po raz ostatni spojrział na ciała. Jeden ranny jeszcze oddychał, ale Kanai potraktował go jak trupa. Przeszedł nad nim i wszedł do windy. Odwrócił się i zerknął na panel z włącznikami. Czerwone cyfry na wyświetlaczu zegara odmierzały czas do eksplozji. Nie wszystko stracone, pomyślał. Lepiej zabić mniej ludzi niż wcale.

Drzwi się zasunęły i Kerry z nadzieją wcisnął guzik. Winda ruszyła. Szarpała się i trzęsła, ale powoli jechała w dół. Zatrzymała się na pomoście tuż nad kilem.

Z uszczelnionego otworu w kadłubie wystawał otwarty właz ewakuacyjnej łodzi podwodnej. Musieli brnąć do niego w wodzie po kolana i pochylać się do przodu, żeby zrównoważyć ostry przechył tonącej rufy.

Czekał na nich główny mechanik. Był spocony i ubrudzony olejem.

- Szybko, bo zaleje łódź - przynaglił. - Statek idzie na dno.

Kanai zszedł ostatni do kabiny. Naprzeciwko siebie siedziało sześciu mężczyzn, w tym trzech rannych. Tyłu zostało z całej drużyny Żmij.

Kanai zaniknął kłapę i wszedł z głównym mechanikiem do kokpitu. Usiedli, mechanik włączył akumulatory.

Nad głowami słyszeli skrzypienie "Mongol Invadera". Dziób statku unosił się coraz wyżej. Zbiornikowiec mógł lada chwila zatonać rufą w dół.

Tuż przed włączeniem silników przez wypukłą szybę przednią zobaczyli dziwny statek. Wyłonił się z mrocznej głębi na wprost nich. Kanai pomyślał najpierw, że to prywatny jacht zatopiony przypadkowo podczas niedawnej bitwy. Po chwili przypomniał sobie, że widział ten stateczek pod wodą. Z dziobu wystawał długi metalowy bom. Celował w wielki kadłub powyżej. Kanai za późno zrozumiał zamiary tajemniczego jachtu.

Bom uderzył w mechanizm trzymający ewakuacyjną łódź podwodną pod dnem zbiornikowca i zablokował bolce zwalniające. Twarz Kanai stężała jak gipsowa maska. Złapał za dźwignię mechanizmu zwalniającego i zaczął go szarpać. Bez skutku. Bolce nie chciały się wysunąć z otworów i uwolnić łodzi spod kadłuba.

- Dlaczego nie opadamy? - krzyknął przerażony główny mechanik. - Na litość boską, pospiesz się, człowieku! Inaczej statek usiadzie na nas!

Kanai szarpał dźwignią z całej siły i patrzył na podwodny jacht, który zastygł w zielonej toni tuż za krzywizną kadłuba. Nagle ze zgrozą rozpoznał człowieka za wielkim okrągłym iluminatorem. Woda powiększała obraz, dostrzegł zielone oczy, czarne włosy i

szatański uśmiech.

- Pitt! - wysapał.

Pitt przyglądał się Kanai z makabrycznym zaciekawieniem. Wtem z tonącego zbiornikowca doszedł głośny łomot. Rufa uderzyła w dno pod kątem ostrym i wzbijała wielką chmurę mułu. Reszta kadłuba zaczęła powoli osiadać i ewakuacyjna łódź podwodna znalazła się pół metra nad dnem.

Zgroza na twarzy Kanai zmieniła się w ślepią furję. Pogroził Pittowi pięścią. Kolosalny ciężar ogromnego kadłuba zaczął wgniatać łódź w muł. Pitt musiał to zrobić, zanim będzie za późno. Z uśmiechem pomachał Kanai na pożegnanie. Jimmy Flett cofnął "Coral Wanderera", żeby nie przygniótł go zbiornikowiec.

Łódź podwodna z niedobitkami Żmij zniknęła w wirze zmąconej wody. Spoczęła na zawsze pod wrakiem "Mongol Invadera".

Kanai ogarnęła wieczna ciemność. Nigdy się nie dowiedział, że ładunki pod monstualnymi zbiornikami z propanem nie wybuchły. Nie wiedział, że pocisk z dwudziestopięciomilimetrowego działka "Timothy Firme'a" przeciął główny przewód elektryczny detonatora.

Heroiczna walka Straży Przybrzeżnej nie poszła na marne.

# **CZEŚĆ V**

## **Pełny krąg**

12 sierpnia 2003, Amiens, Francja

Srebrzystozielony rolls-royce toczył się cicho i dostojnie ulicami francuskiego miasta Amiens nad rzeką Sommą na północ od Paryża. Amiens istniało na długo przed podbojem Rzymian. Przez wieki w mieście i okolicy toczyły się bitwy między Celtami i legionami rzymskimi. Amiens nie ominęły wojny napoleońskie i światowe ani okupacja niemiecka.

Rolls-royce minął wspaniałą katedrę romańsko-gotycką z fasadą ozdobioną rozetowym oknem, galeryjkami, trzema portalami i dwiema wieżami, zbudowanymi w latach 1220-1270. Jechał dalej wzdłuż Sommy, mijając rolników sprzedających prosto z łodzi warzywa i owoce.

St. Julien Perlmutter nie podróżował z cuchnącym motłochem, jak nazywał zwykłych ludzi. Nie cierpiał lotnisk i samolotów. Wolał statki. Zawsze zabierał ze sobą swojego pięknego rolls-royce'a silver dawn model 1955 i kierowcę Hugona Mulhollanda.

Samochód wyjechał ze starej części Amiens i skręcił w wąską drogę. Po dwóch kilometrach zatrzymał się przed żelazną bramą w wysokim murze porośniętym dzikim winem. Mulholland wcisnął guzik domofonu i odezwał się do głośnika. Nikt nie odpowiedział, ale brama zaczęła się wolno otwierać. Hugo wjechał na kolisty żwirowy podjazd przed wiejską rezydencją.

Wysiadł zza kierownicy i przytrzymał otwarte drzwi. Perlmutter wygrabił się z tylnego siedzenia, wszedł o lasce na stopnie domu i pociągnął łańcuch dzwonka. Po chwili drzwi z witrażami otworzyły się. W progu stanął wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy. Był przystojny, miał niebieskie oczy i siwą czuprynę zaczesaną do tyłu. Skłonił się i wyciągnął rękę.

- Witam, monsieur Perlmutter. Jestem Paul Hereoux.

Jego wąska dłoń utonęła w wielkiej łapie Perlmuttera.

- Witam, doktorze Hereoux. To dla mnie zaszczyt poznać przewodniczącego Towarzystwa Juliusza Verne'a.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mogę gościć w domu pana Verne'a tak znakomitego historyka.

- A dom istotnie jest ładny.

Hereoux poprowadził Perlmuttera długim korytarzem. Weszli do wielkiej biblioteki z ponad dziesięcioma tysiącami książek.

- Jest tu wszystko, co napisał Juliusz Verne i co kiedykolwiek napisano o nim za jego życia. Późniejsze prace o nim są w drugim pokoju.

Perlmutter udał, że jest pod wrażeniem. Jego księgozbiór marynistyczny był ponad trzy razy większy. Podeszedł do półek z oprawionymi rękopisami, ale żadnego nie dotknął.

- Nieopublikowane dzieła?

- Jest pan bardzo domyślny. Tak, to manuskrypty, których Verne nie dokończył, albo nie uważał za warte opublikowania - odrzekł Hereoux i wskazał wygodną sofę pod dużym oknem z widokiem na wspaniały ogród. - Proszę usiąść. Napije się pan kawy albo herbaty?

- Poproszę o kawę.

Hereoux wydał polecenie przez interkom i usiadł naprzeciwko Perlmuttera.

- Mogę mówić panu po imieniu, St. Julien?

- Proszę bardzo. Wprawdzie widzimy się po raz pierwszy, ale znamy się od lat.

- Powiedz, czym mogę ci służyć?

Perlmutter zakreślił łaską przed rozstawionymi kolanami.

- Chciałbym się dogrzebać czegoś o kapitanie Nemo i "Nautilusie".

- To najwspanialszy wytwór fantazji Verne'a.

- A może nie tylko?

Hereoux przyjrzał się Perlmutterowi.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Mój przyjaciel podejrzewa, że Verne tego nie wymyślił. Wziął to z życia.

Wyraz twarzy Hereoux nie zmienił się, ale Perlmutter dostrzegł lekkie mrugnięcie niebieskich oczu.

- Niestety, nie mogę ci pomóc.

- Nie możesz, czy nie chcesz?

Perlmutter wiedział, że jego pytanie jest bezczelne, ale zadał je z pobłażliwym uśmiechem.

Przez twarz Hereoux przemknął cień niezadowolenia.

- Nie ty pierwszy przychodzisz tu z taką nedorzeczną koncepcją.

- Nedorzeczną? Być może. Ale jakże intrygującą.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić, stary przyjacielu?

- Pozwól mi przejrzeć te archiwa.

Hereoux odprężył się, jakby dostał sekwens w kartach.



- Są do twojej dyspozycji.

- Mam jeszcze jedną prośbę. Mógłbym wziąć do pomocy mojego kierowcę? Nie mogę wspiąć się po drabinkach do książek z górnych półek.

- Oczywiście. Przypuszczam, że można mu zaufać. Ale ty będziesz odpowiedzialny za jakiegokolwiek problemy.

Zgrabne określenie zniszczenia lub kradzieży książki czy rękopisu, pomyślał Perlmutter.

- To jasne, Paul. Obiecuję, że będziemy bardzo uważać.

- Więc zostawiam cię tutaj. Gdybyś miał jakieś pytania, będę w gabinecie na górze.

- Jedno już mam.

- Tak?

- Kto posegregował książki na półkach?

Hereoux uśmiechnął się.

- Verne. Wszystkie książki, manuskrypty i akta są dokładnie tam, gdzie je zostawił w chwili śmierci. Oczywiście z wielu korzystają badacze, ale uprzedzam każdego, że wszystko musi wrócić na swoje miejsce.

- Szalenie interesujące - powiedział Perlmutter. - Wszystko na swoim miejscu od dziewięćdziesięciu ośmiu lat. To daje do myślenia.

Ledwo Hereoux zamknął drzwi, Mulholland spojrzał znacząco na Perlmuttera.

- Zauważył pan, jak Hereoux zareagował na pańską sugestię, że Nemo i "Nautilus" to nie fikcja?

- Tak, chyba wytrąciłem go z równowagi. Może coś ukrywa, tylko co?

Kierowca Perlmuttera, Hugo Mulholland, był łysym facetem o ponurej twarzy i smutnych oczach.

- Zdecyduje się pan w końcu, od czego chce pan zacząć? - zapytał. - Od godziny siedzi pan beczynnym i wpatruje się w półki z książkami.

- Cierpliwości, Hugo - odrzekł miękko Perlmutter. - To, czego szukamy, nie leży na widoku. Inaczej inni badacze dawno by to znaleźli.

- Czytałem o Vernie, że był skomplikowanym gościem.

- Nie skomplikowanym i niekoniecznie genialnym, ale miał wyobraźnię. Był ojcem powieści science fiction. To jego wynalazek.

- A nie H.G. Wellsa?

- Verne napisał *Pięć tygodni w balonie* trzydzieści lat przed *Wehikulem czasu* Wellsa.

Perlmutter poprawił się na sofie i dalej patrzył na półki z książkami. Jak na swój wiek, miał doskonały wzrok. Okuliści nie mogli wyjść z podziwu. Ze środka pokoju mógł odczytać prawie każdy tytuł na grzbiecie książki. Chyba że litery wyblakły albo był napisane maczkiem. Nie zatrzymywał się dłużej na książkach i nieopublikowanych manuskryptach. Interesowały go notatniki.

Mulholland poczęstował się kawą, którą wcześniej przyniósł Hereoux.

- Więc uważa pan, że Verne stworzył *20 000 mil podmorskiej żeglugi* na podstawie prawdziwej historii?

- Verne kochał morze i był zapalonym żeglarzem. Dorastał w mieście portowym Nantes. Uciekł z domu i zaciągnął się jako majtek na mały żaglowiec, ale ojciec dogonił go parowcem i sprowadził z powrotem. Jego brat Paul służył we francuskiej marynarce wojennej. Kiedy Verne był już sławny, miał kilka jachtów i opłynął całą Europę. W młodości opisał swój rejs na największym liniowcu oceanicznym tamtych czasów, "Great Eastern". Podejrzewam, że podczas tej podróży zaszło coś, co zainspirowało go do napisania *20 000 mil*.

- Gdyby ten Nemo żył naprawdę w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, skąd miałby taką wiedzę techniczną, żeby zbudować okręt podwodny wyprzedzający o sto lat swoją epokę?

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Doktor Elmore Egan skądś znał tę historię. Ale skąd, to dla mnie zagadka.

- Wiadomo, co się stało z Nemo? - zapytał Mulholland.

- Sześć lat po opublikowaniu *20 000 mil podmorskiej żeglugi* Verne napisał *Tajemniczą wyspę*. To historia grupy rozbitków, którzy osiedlają się na bezludnej wyspie i są nękani przez piratów. Tajemniczy dobroczyńca dostarcza im żywność i zaopatrzenie. Zabija też piracką załogę atakującą osadę. W końcu rozbitkowie trafiają tunelem do zalanej groty pod wulkanem. Znajdują "Nautilusa" i umierającego Nemo. Kapitan ostrzega ich, że lada chwila nastąpi erupcja wulkanu. Uciekają w porę, a wyspa rozpada się i grzebie pod sobą Nemo i jego okręt.

- Dziwne, że Verne zwlekał tak długo z napisaniem zakończenia tej historii.

Perlmutter wzruszył ramionami.

- Kto wie, jak to było? Może czekał na wiadomość o śmierci prawdziwego Nemo?

Hugo obrócił się i spojrzał na tysiące książek.

- Więc gdzie szukamy klucza, czy raczej igły w stogu siana?

- Książki możemy pominąć. Wszystko, co zostało opublikowane jest dostępne dla

każdego. Rękopisy też sobie darujemy. Bez wątpienia badacze twórczości Verne'a już je prześwietlili na wylot. Są jeszcze notatniki. Ale z nich też już wszystko wygrzebali.

- To co nam zostaje? - zapytał Mulholland.

- Miejsca, gdzie nikt jeszcze nie szukał - odrzekł w zamyśleniu Perlmutter.

- To znaczy?

- Juliusz Verne nie trzymał swoich sekretów w zwykłych miejscach. Jak większość dobrych pisarzy, był przewrotny i przebiegły. Gdzie schowałbyś w bibliotece coś, czego nikt nie powinien znaleźć nawet po stu latach, stary przyjacielu?

- Wygląda mi na to, że z góry wyeliminował pan każdy zadrukowany czy zapisany ręcznie skrawek papieru.

- Tak jest! - zagrział Perlmutter. - Nie biorę pod uwagę żadnej książki ani półki.

Mulholland przyjrzał się uważnie kamieniom w obudowie kominka.

- Tu byłaby bezpieczniejsza skrytka.

- Nie doceniasz Verne'a. Miał niesamowitą wyobraźnię. Skrytki w kominkach występują w wielu powieściach.

- A jakaś część mebla albo obraz?

- Mebli i obrazów można się pozbyć albo zastąpić je innymi. Pomyśl o czymś bardziej trwałym.

Mulholland zastanowił się. Nagle jego ponura twarz rozjaśniła się trochę. Spojrzał w dół.

- Podłoga!

- Zwiń dywany i rzuć na sofę - powiedział Perlmutter. - Przyjrzyj się dokładnie klepkom. Sprawdź, czy któraś jest ruchoma.

Mulholland blisko pół godziny chodził na czworakach. Nagle podniósł wzrok, uśmiechnął się i wyjął z kieszeni dziesięciocentówkę. Wsunął ją między dwie klepki.

- Eureka! - krzyknął podekscytowany.

Perlmutter opuścił wielkie cielsko na podłogę, położył się na boku i zajrzał do otworu. W środku leżała skórzana sakiewka. Wziął ją ostrożnie w dwa palce i wyciągnął. Potem wstał przy wydatnej pomocy Mulhollanda i znów opadł na sofę.

Niemal z czcią rozwiązał aksamitną wstążeczkę i wyjął z sakiewki notes wielkości pocztówki, ale grubości prawie ośmiu centymetrów. Zdmuchnął z okładki kurz i przetłumaczył na głos francuski napis wyciśnięty na skórzanej oprawie.

- "Dzieje genialnego kapitana Amhersta".

Zaczął powoli czytać słowa zapisane starannym, trzymilimetrowym pismem. Znał

biegle sześć języków, więc nie miał problemu ze zrozumieniem opowieści Verne'a o genialnym wynalazcy brytyjskim, kapitanie Cameronie Amherście.

Perlmutter patrzył na litery, ale widział niezwykłego człowieka, którego historię opisał Verne. Po dwóch godzinach zamknął notes i wyciągnął się na sofie z taką miną, jakby ukochana kobieta właśnie przyjęła jego oświadczenia.

- Jakaś rewelacja? - zapytał zaciekawiony Mulholland. - Coś, o czym nikt jeszcze nie wie?

- Zauważyłeś wstążeczkę na sakiewce?

Mulholland kiwnął głową.

- Nie może mieć więcej niż dziesięć, dwanaście lat. Gdyby zawiązał ją Verne, dawno nic by z niej nie zostało.

- Stąd wniosek, że doktor Hereoux dawno poznał tajemnicę Verne'a.

- Co to za tajemnica?

Perlmutter przez dłuższą chwilę patrzył w przestrzeń. W końcu odezwał się cichym, dalekim głosem:

- Pitt miał rację.

Potem zamknął oczy, westchnął głęboko i zapadł w drzemkę.

Po ośmiu godzinach przesłuchiwania przez komisję Kongresu Curtis Merlin Zale coraz częściej patrzył na zegarek i wiercił się nerwowo na krześle. Nie był już pewnym siebie facetem, który zasiadł wcześniej przed Loren Smith i jej kolegami. Nie uśmiechał się obłudnie, tylko zaciskał wargi.

Meldunek od Ono Kanai i ostatnie wiadomości o katastrofie w Nowym Jorku powinny dotrzeć do sali godzinę temu.

Kongresman William August z Oklahomy wypytywał teraz Zale'a o wzrost cen, wymuszany przez koncerny naftowe. Nagle do Curtisa podeszła z tyłu Sandra Delage i położyła przed nim kartkę. Zale przeprosił na chwilę Augusta i zaczął czytać. Po chwili wytrzeszczył oczy i podniósł wzrok na Sandrę. Zasłonił ręką mikrofon i zadał jej kilka szybkich pytań. Odpowiedziała tak cicho, że poza nim nikt jej nie usłyszał. Potem odwróciła się i wyszła.

Zale nigdy się nie załamywał, ale w tym momencie wyglądał jak Napoleon po Waterloo.

- Przepraszam - wymamrotał do Augusta. - Mógłby pan powtórzyć pytanie?

Loren była wykończona. Z późnego popołudnia zrobił się wczesny wieczór. Ale nie zamierzała jeszcze zwolnić Zale'a. Jej asystenci informowali ją na bieżąco o operacji zatrzymania "Pacific Chimery". Okazało się, że na statku nie znaleziono ładunków wybuchowych. Dwie godziny później dowiedziała się o akcji przeciwko "Mongol Invaderowi". Od czternastej nie miała żadnej wiadomości od Pitta ani Sandeckera. Przez następne cztery godziny siedziała jak na szpilkach.

Jej niepokój potęgowała rosnąca nienawiść do Zale'a. Odpowiadał gładko na pytania, nie wahał się i nie zasłaniał brakiem pamięci. Reporterzy obsługujący przesłuchanie uważali, że doskonale panuje nad sytuacją i wyjdzie z sali jako zwycięzca.

Loren wiedziała, że Zale też ma już dosyć i zmuszała się do cierpliwości. Czaiła się jak lwica w zasadzce, żeby w odpowiednim momencie zmiażdżyć go informacjami od Sally Morse. Wyjęła z nesesera przygotowaną zawczasu listę pytań i oskarżeń i czekała, aż kongresman August skończy swoją część przesłuchania.

Zauważyła, że widownia przygląda się czemuś za jej plecami. Po sali zaczęły krążyć szepty. Ktoś dotknął jej ramienia. Za nią stał Dirk Pitt w brudnych dzinsach i pogniecionej

bluzie. Wyglądał na wyczerpanego jak po wspinaczce wysokogórskiej, ze zmierzwionymi włosami i trzydniowym zarostem. Ochroniarz trzymał go za ramię i próbował bez skutku wyciągnąć z sali. Pitt przywłókł faceta za sobą jak uparty bernardyn.

- Dirk! - szepnęła Loren. - Co tu robisz?

Nie patrzył na nią, tylko na Zale'a. Uśmiechał się. Nachylił się do jej mikrofonu.

- Zatrzymaliśmy zbiornikowiec z gazem, który miał eksplodować w porcie nowojorskim. Leży teraz na dnie morza. Proszę poinformować pana Zale'a, że jego Żmije zatoniły razem ze statkiem, więc pani Sally Morse, szefowa Yukon Oil, może już bezpiecznie zeznawać przed tą komisją.

Pitt niby przypadkiem musnął kasztanowe włosy Loren i wyszedł z sali.

A jej nagle spadł wielki ciężar z serca.

- Panie i panowie - powiedziała - robi się późno. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym przenieść resztę przesłuchania na jutro na dziewiątą rano. Zamierzam wezwać ważnego świadka, który złoży zeznania ujawniające przestępczą działalność pana Zale'a...

- To dość mocne słowa - przerwał jej kongresman Sturgis. - Jak dotąd, nie mamy żadnych dowodów takiej działalności pana Zale'a.

Loren spojrzała na niego z wyższością.

- Będziemy mieć jutro - odparła. - Kiedy pani Morse poda nam nazwiska ludzi, którzy przyjęli łapówki od pana Zale'a. Dowiemy się, ile pieniędzy wpłynęło na ich konta zagraniczne i jak głęboko sięgnęła korupcja w Waszyngtonie i reszcie kraju. Zapewniam, że rząd i opinia publiczna przeżyją wstrząs. Takiego skandalu jeszcze nie było.

- A co ta Sally Morse ma wspólnego z panem Zale'em? - zapytał Sturgis. Za późno zdał sobie sprawę, że wszedł na kruchy lód.

- Jest byłym członkiem tajnej rady nadzorczej Cerbera. Ma pisemny rejestr zebrań, wypłat i przestępstw. Wiele nazwisk na liście przekupionych osób powinien pan znać.

Lód zarysował się i pękł; Sturgis wpadł w dziurę. Zerwał się i wyszedł bez słowa. Loren zastukała młotkiem i odroczyła posiedzenie do następnego dnia.

Galeria oszalała. Część reporterów otoczyła Zale'a, inni pobiegli za Loren. Ale Pitt czuwał przy drzwiach. Objął ją w pól i przeprowadził przez tłum dziennikarzy wykrzykujących pytania i blokujących im drogę. Udało mu się skierować ją do schodów Kapitolu. Przy krawężniku czekał samochód agencji z otwartymi drzwiami. Obok stał Giordino.

Curtis Merlin Zale siedział przy stole wśród błyskających fleszy jak człowiek zagubiony w otchłani koszmaru.

W końcu wstał chwiejnie i przedarł się przez tłum reporterów. Z pomocą policji dotarł bezpiecznie do swojej limuzyny. Kierowca zawiózł go do centrali Cerber w waszyngtońskiej rezydencji. Patrzył, jak Zale idzie przez hol niczym starzec i wsiada do windy.

Zale wszedł do luksusowego gabinetu. Nie miał rodziny ani przyjaciół. Ono Kanai - być może jedyny człowiek, na którego mógł liczyć - zginął. Został sam we własnym świecie.

Usiadł za biurkiem i popatrzył przez okno na dziedziniec w dole. Czarno widział swoją przyszłość. Wiedział, że bez względu na to, jak długo będzie walczył o wolność, skończy w więzieniu federalnym. Członkowie kartelu zwrócą się przeciwko niemu, żeby ratować siebie. Nie pomogą mu najlepsi adwokaci w kraju. Przegrają bitwę, zanim się zacznie. Same zeznania współników wystarczą, żeby go skazać.

Jego majątek pochłonie lawina zasądzonych odszkodowań. Lojalna drużyna Żmij nie istnieje. Leżą głęboko w mule na dnie zatoki nowojorskiej. Już nie wyeliminują niewygodnych świadków.

Nie uda mu się uciec, nie ukryje się nigdzie. Człowieka z jego pozycją zbyt łatwo wytropić. Nawet na Saharze czy samotnej wysepce na oceanie.

Ci, którzy zginęli przez jego chciwość, powrócili teraz, żeby go straszyć. Niejako duchy czy widma, lecz jako parada zwyczajnych ludzi na ekranie telewizyjnym. Przegrał wielką grę i nie widział wyjścia z sytuacji. Decyzja nie była trudna.

Wstał, podszedł do barku i nalał sobie porcję drogiej pięćdziesięcioletniej whisky. Pociągnął łyk, wrócił ze szklanką za biurko i wyjął z bocznej szuflady antyczną tabakierkę. W środku były dwie pigułki. Trzymał je z obawy przed skutkami ciężkiego wypadku albo cierpieniami nieuleczalnej choroby. Dopił szkocką, wsunął pastylki pod język i wyciągnął się wygodnie w skórzanym fotelu.

Znaleziono go martwego nazajutrz rano. Biurko było wyczyszczone z papierów. Curtis Merlin Zale nie zostawił listu wyrażającego wstyd czy żal.

Giordino zatrzymał samochód przed budynkiem NUMA. Pitt wysiadł i nachylił się do Loren.

- Tylko patrzeć, jak reporterzy i kamery telewizyjne otoczą twój dom w Alexandrii. Lepiej, żeby Al zawiózł cię do hangaru, przynajmniej na dziś. Przenocujesz razem z innymi paniami. Przez ten czas twój sztab załatwi ci ochronę.

Wychyliła się i pocałowała go lekko w usta.

- Dzięki - szepnęła.

Uśmiechnął się i pomachał za odjeżdżającym samochodem.

Poszedł prosto do gabinetu Sandeckera. Admirał i Rudi Gunn czekali na niego. Sandecker już odzyskał dobry humor. Z zadowoleniem palił jedno ze swoich robionych na zamówienie cygar. Potrząsnął energicznie dłonią Dirka.

- Wspaniała robota, naprawdę doskonała - pochwalił. - Genialny pomysł z tym bomem i materiałami wybuchowymi w magnetycznych pojemnikach. Rozerwaliście pół rufy statku bez zagrożenia dla zbiorników z propanem.

- Mieliśmy szczęście, że się udało - powiedział skromnie Pitt.

Gunn też uściśnął mu dłoń.

- Zostawiliście nam niezły bajzel do posprzątania.

- Mogło być gorzej.

- Już przygotowujemy kontrakty dla firm ratownictwa morskiego na wyciągnięcie wraku - powiedział Gunn. - Lepiej, żeby nie zagrażał żegludze.

- A co z propanem?

- Kopuły zbiorników są tylko dziesięć metrów pod powierzchnią - wyjaśnił admirał. - Nurkowie nie powinni mieć problemu z przyłączeniem rur i przepompowaniem gazu do innego zbiornikowca.

- Straż Przybrzeżna oznaczyła wrak bojami i ustawiła latarniowiec, żeby ostrzec przepływające statki - dodał Gunn.

Sandecker wrócił za biurko i wypuścił pod sufit kłąb niebieskiego dymu.

- Jak poszło Loren przesłuchanie?

- Źle dla Zale'a.

Admirał zrobił zadowoloną minę.



- Czyżbym słyszał dźwięk zatraskujących się drzwi celi?

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że to będzie cela śmierci.

Gunn przytaknął.

- Facet, który dla forsy i władzy zabija setki niewinnych ludzi, zasługuje na taki koniec.

- Zobaczymy jeszcze takich jak on - powiedział ponuro Pitt. - To tylko kwestia czasu, żeby pojawił się następny socjopata.

- Lepiej jedź do domu i odpocznij - doradził dobrodusznie Sandecker. - Potem weź kilka dni wolnego na dokończenie sprawy Elmore'a Egana.

To mi przypomniało - wtrącił Rudi Gunn - że czeka na ciebie Hiram Yaeger.

Pitt zszedł na piętro komputerowe NUMA. Yaeger siedział w małym magazynie i gapił się na skórzany neseser Egana. Na widok Pitta wskazał wewnątrz otwartej teczki.

- Dobra koordynacja. Powinien napęlić się olejem za trzydzieści sekund.

- Znasz jego rozkład jazdy? - zażartował Pitt.

- To się dzieje regularnie co czternaście godzin.

- Domyślasz się, dlaczego tak jest?

- Max pracuje nad tym - odpowiedział Yaeger i zamknął ciężkie, stalowe drzwi. - Dlatego czekałem na ciebie. To bezpieczne miejsce ze stalowymi ścianami do ochrony ważnych danych przed pożarem. Nie przenikają tutaj fale radiowe, mikrofałe, dźwięk... nic.

- A mimo to neseser się napęlnia?

- Zaraz zobaczysz - odrzekł Yaeger, spojrzawszy na zegarek i zaczął odliczać na palcach czas. - Teraz!

Na oczach Pitta teczkę zaczął wypełniać olej, jakby nalewała go niewidzialna ręka.

- To musi być jakaś sztuczka.

- Żadna sztuczka - odparł Yaeger i zatrzasnął wieko.

- Więc co?

- Max i ja znaleźliśmy w końcu odpowiedź. Neseser Egana to odbiornik.

- Nie rozumiem.

Yaeger otworzył ciężkie, stalowe drzwi. Przeszli do pracowni komputerowej. Max stała na swojej scenie i uśmiechała się do nich.

- Cześć, Dirk. Stęskniłam się za tobą.

Pitt roześmiał się.

- Przyniósłbym kwiaty, ale nie mogłabyś ich wziąć.

- Brak ciała wcale nie jest zabawny, Dirk.

- Powiedz mu, co odkryliśmy - polecił Yaeger.

Max popatrzyła na Pitta, jakby coś do niego czuła.

- Kiedy zaangażowałam się w ten problem wszystkimi obwodami drukowanymi, rozwiązanie zagadki zajęło mi niecałą godzinę. Czy Hiram już ci powiedział, że neser Egana to odbiornik?

- Tak, ale jaki odbiornik?

- Teleportacji kwantowej.

Pitt wytrzeszczył oczy.

- Niemożliwe. Teleportacja wykracza poza ramy współczesnej fizyki.

- Hiram i ja też tak myśleliśmy, kiedy zaczynaliśmy to analizować. Ale to fakt. Olej pojawiający się w teczce jest najpierw umieszczany gdzieś w komorze, która mierzy każdy atom i cząsteczkę. Potem jest sprowadzany do stanu kwantowego i przesyłany do odbiornika. Tu jest rekonstruowany dokładnie co do atomu i każdej cząsteczki, zgodnie z ich ilością zmierzoną przez komorę nadawczą. Oczywiście przedstawiam ten proces w dużym uproszczeniu. Tylko jeszcze nie rozumiem, jak olej może być przesyłany przez litą stal i to z szybkością światła. Ale myślę, że z czasem znajdę odpowiedź.

- Czy wiesz, co mówisz? - zapytał oszołomiony Pitt.

- Oczywiście - odparła z przekonaniem Max. - Choć wygląda to na niewiarygodny przełom w nauce, nie rób sobie zbyt dużych nadziei. Nie ma mowy, żeby kiedykolwiek w przyszłości można było teleportować ludzi. Nawet gdyby ktoś mógł być przesłany na odległość i gdyby odzyskano w odbiorniku ciało, nie potrafilibyśmy teleportować jego umysłu i danych zgromadzonych tam przez całe życie. Taki człowiek wyszedłby z komory odbiorczej z mózgiem noworodka. Olej składa się z płynnych węglowodorów i innych minerałów. W porównaniu z człowiekiem ma o wiele prostszą strukturę molekularną.

Pitt gorączkowo próbował zebrać myśli.

- To fantastyczne, że doktor Egan stworzył prawie w tym samym czasie supernowoczesny silnik i urządzenie do teleportacji.

- Był geniuszem. Co do tego nie ma wątpliwości. Tym bardziej że zrobił to bez armii asystentów i wielkich laboratoriów, sponsorowanych przez rząd.

- To prawda - przyznał Pitt. - Zrobił to samotnie w ukrytej pracowni, którą dopiero musimy wytropić.

- Mam nadzieję, że ją znajdziecie - powiedział Yaeger. - Odkrycie Egana działa

niepokojąco na wyobraźnię. Substancje o prostej budowie molekularnej, jak ropa, węgiel, ruda żelaza czy miedzi i mnóstwo innych minerałów, można transportować bez statków, pociągów i ciężarówek. System teleportacji zmieniłby zupełnie całą branżę przewozową.

Pitt przez chwilę rozważał ogromny potencjał wynalazku.

- Masz wystarczająco dużo danych z teczki doktora Egana, Max, żeby odtworzyć urządzenie do teleportacji?

Pokręciła smutno głową.

- Niestety, nie. Neserer mógłby mi posłużyć za model odbiornika, ale to nie wystarczy. Brakuje drugiej części systemu, czyli nadajnika. Nawet gdybym poświęciła na to całe lata, do niczego bym nie doszła.

Yaeger położył dłoń na ramieniu Pitta.

- Przykro mi, że tylko tyle mogliśmy zrobić.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty i jestem wam wdzięczny - powiedział szczerze Pitt.

- Teraz moja kolej na szukanie odpowiedzi.

Pitt wpadł przed wyjściem do swojego gabinetu, żeby uporządkować biurko, przeczytać pocztę i odpowiedzieć na nagrane wiadomości. Po godzinie zaczął przysypiać, więc postanowił zakończyć dzień. Zadzwoił telefon.

- Tak?

- Dirk! - zagrmiał Perlmutter. - Cieszę się, że cię złapałem.

- Gdzie jesteś, St. Julien?

- W domu Juliusza Verne'a w Amiens we Francji. Znaleźliśmy z Hugonem notatnik, który Verne ukrył prawie sto lat temu. Doktor Hereoux pozwolił mi wspaniałomyślnie zostać tu na noc i przestudiować te zapiski.

- Jest w nich coś ciekawego? - zainteresował się Pitt.

- Byłeś na dobrym tropie. Kapitan Nemo istniał naprawdę. Nazywał się Cameron Amherst. Był kapitanem brytyjskiej marynarki wojennej.

- A nie indyjskim księciem?

- Nie - odparł Perlmutter. - Verne najwyraźniej nie cierpiał Brytyjczyków i zmienił nazwisko i ojczyznę Camerona z Anglii na Indie.

- Jaka jest jego historia?

- Amherst pochodził z bogatej rodziny armatorów i właścicieli stoczni. Wstąpił do brytyjskiej marynarki wojennej i szybko awansował. W wieku dwudziestu dziewięciu lat dosłużył się stopnia kapitana. Urodził się w 1830 roku, był niezwykle uzdolniony. Cudowne dziecko, geniusz techniczny. Ciągle wymyślał coś nowego w dziedzinie budowy okrętów i

ich systemów napędowych. Niestety, miał trochę buntowniczy charakter. Kiedy starzy dekonowicy w admiralicji odmówili rozpatrzenia jego projektów, obsmarował ich w gazetach. Więc wyrzucili go z marynarki za niesubordynację. - Coś jak Billy Mitchell osiemdziesiąt lat później. Verne poznał Amhersta podczas rejsu przez Atlantyk na liniowcu pasażerskim "Great Eastern". Amherst opowiedział mu o swoich marzeniach zbudowania okrętu podwodnego. Narysował w jego notatniku plany i opisał szczegóły rewolucyjnego napędu. Verne przez cztery lata korespondował z Amherstem. Nagle listy przestały przychodzić, więc Verne zajął się pisaniem powieści, stał się sławny i zapomniał o kapitanie. - Jak wiesz, Verne kochał morze, miał kilka jachtów i opłynął Europę. Żeglował kiedyś wzdłuż wybrzeża Danii, gdy nagle z morza wynurzył się wielki okręt podobny do wieloryba i zrównał się z jego statkiem. Z włazu kiosku wyłonił się kapitan Amherst i zaprosił pisarza na pokład. Oslupiały Verne zostawił jacht pod dowództwem swojego syna Michela, który mu towarzyszył, i przesiadł się na okręt podwodny.

- Więc "Nautilus" istniał naprawdę.

W dalekiej Francji Perlmutter niemal z czcią pokiwał głową.

- Tak, nazwa jest prawdziwa. Verne dowiedział się, że Amherst potajemnie zbudował okręt w wielkiej podwodnej grocie pod urwiskiem w szkockiej posiadłości rodziny. Kiedy pomyślnie zakończył próby, skompletował załogę. Wybrał zawodowych marynarzy bez rodzin. Pływał potem po świecie przez trzydzieści lat.

- Ile czasu Verne spędził na pokładzie? - zapytał Pitt.

- Kazał synowi wrócić żaglowcem do portu i czekać w hotelu. Został na "Nautilusie" dwa tygodnie.

- Nie dwa lata, jak jego bohaterowie?

- Wystarczyło mu czasu, żeby dokładnie zbadać każdy centymetr kwadratowy okrętu. Wszystko zanotował, choć tu i tam pozwolił sobie na swobodę twórczą. Kilka lat później napisał *20 000 mil podmorskiej żeglugi*.

- Co się stało z Amherstem?

- Verne wspomina w notatniku, że w 1895 roku zjawił się u niego tajemniczy posłaniec z listem. Większość załogi kapitana już nie żyła, a on zamierzał wrócić do posiadłości w Szkocji. Ale dom spłonął i jego krewni zginęli w pożarze. W dodatku grot, gdzie powstał "Nautilus", zawaliła się. Więc nie miał do czego wracać.

- I popłynął na *Tajemniczą wyspę*?

- Nie - odparł Perlmutter. - Verne wymyślił to, żeby nikt nigdy, a przynajmniej przez długie lata nie znalazł grobu Amhersta i "Nautilusa". Amherst napisał mu, że odkrył podobną

grootę na rzece Hudson w stanie Nowy Jork i tam spocznie na zawsze ze swoim okrętem.

Pitt nie mógł powstrzymać okrzyku.

- Na rzece Hudson?!

- Tak jest napisane w notesie.

- St. Julien.

- Tak?

- Wyściskam cię do bólu.

Perlmutter zachichotał.

- Z moją tuszą to mi nie grozi, drogi chłopcze.

Poranna mgła wisiała nad niebieską wstęgą rzeki jak tysiąc lat temu, kiedy przybyli tu wikingowie. Widoczność nie przekraczała stu metrów. Jachty i motorówki, których zwykle pełno było na wodzie w każdą letnią niedzielę, jeszcze nie wypłynęły z portów. Mgła przypominała miękkie, delikatny dotyk młodej kobiety, gdy otulała małą łódź płynącą wzdłuż skalnego urwiska. Kadłub nie miał smukłego kształtu, dziób i rufa nie wyginały się wdzięcznie do góry i nie zdobiły ich rzeźbione smoki, jak przed wiekami. Ośmiometrowa łódź robocza NUMA była sprawna i funkcjonalna. Służyła do poszukiwań przybrzeżnych.

Płynęła z szybkością czterech węzłów i ciągnęła w kilwaterze żółty, długi i wąski sensor. Wysyłał sygnały do odbiornika sonaru zaburtowego. Giordino wpatrywał się intensywnie w kolorowy trójwymiarowy obraz dna rzeki i podwodnych skał u podnóża urwiska. Nie było tu plaży, tylko wąski pas kamieni i piasku, który gwałtownie opadał na granicy wody.

Kelly stała za sterem i czujnie obserwowała lewy brzeg i rzekę przed sobą. Musiała bardzo uważać, żeby nie uszkodzić dna o podwodne skały. Mała motorówka ledwie sunęła po wodzie. Przepustnica doczepnego silnika yamaha o mocy dwustu pięćdziesięciu koni mechanicznych była ustawiona jedną kreskę powyżej biegu jałowego.

Kelly była bez makijażu, zaplotła z tyłu warkocz. Na jej włosach osiadała mgła, a kropelki wilgoci lśniły jak perły. W białych szortach, zielonym wełnianym bezrękawniku, lekkiej kurtce i sandałach w kolorze sweterka, stała pewnie na rozstawionych nogach, żeby zrównoważyć kołysanie pokładu, kiedy mijała ich jakaś łódź niewidoczna we mgle.

Giordino od czasu do czasu zerkał łakomie na zgrabny tyłeczek Kelly; nie mógł się powstrzymać. Pitt nie miał takiej możliwości. Leżał wyciągnięty na wyściełanym krzeselku ogrodowym ustawionym na dziobie. Często zabierał je ze sobą na wyprawy, jeśli nie było powodu stać godzinami na pokładzie. Sięgnął w dół po nieprzewracalny kubek i upił łyk kawy. Potem wrócił do obserwowania urwiska przez mocną szerokokątną lornetkę.

Z wyjątkiem miejsc, w których wulkaniczne skały opadały pionowo, stromy brzeg porastały krzaki i małe drzewa. Okolica była częścią sieci rozpadlin doliny Newark, gdzie aktywność sejsmiczna skończyła się w okresie jurajskim. Stąd pochodził charakterystyczny czerwonawobrunatny piaskowiec używany do budowy domów w Nowym Jorku. Strome skarpy wulkanicznych skał odpornych na erozję dodawały krajobrazowi naturalnego piękna.

- Jeszcze dwieście metrów i będziemy pod farmą taty - oznajmiła Kelly.
- Masz jakieś odczyty, Al? - zapytał Pitt.
- Kamienie i muł - odparł krótko Giordino. - Muł i kamienie.
- Szukaj śladów obsunięcia skały.
- Myślisz, że wejście do groty zablokowała natura?
- Raczej człowiek.
- Jeśli Cameron wprowadził swój okręt do wnętrza urwiska, musiał tu być podwodny

rów.

Pitt nie odrywał lornetki od oczu.

- Pytanie, czy nadal jest.

- Płetwonurkowie już by go odkryli - zauważyła Kelly.

- Chyba przez przypadek. W pobliżu nie ma wraków, żeby do nich nurkować, a do połowów z harpunem są na tej rzece lepsze miejsca.

- Sto metrów - upредиła Kelly.

Pitt skierował lornetkę na szczyt stumetrowego urwiska i zobaczył nad jego krawędzią dachy domu i studia Egana. Pochylił się do przodu i wpatrzył w rząd skał.

- Widzę ślady obsunięcia - powiedział i wskazał stertę kamieni pod stromą ścianą.

Giordino szybko zerknął przez boczną szybę i natychmiast wrócił do obserwacji wydruku.

- Ciągłe nic.

- Odbij jeszcze sześć metrów od brzegu - rozkazał Kelly Pitt. - Sonar będzie miał lepszy kąt do odczytu pochyłości pod wodą.

Kelly spojrzała na wskaźnik sondy głębokości.

- Dno opada stromo, potem pochyla się w stronę środka rzeki.

- Ciągłe nic - powtórzył Giordino. - Same kamienie.

- Ja coś mam - pochwalił się Pitt.

Giordino podniósł wzrok.

- Co?

- Coś, co wygląda jak znaki zrobione na skale przez człowieka.

Kelly popatrzyła w górę urwiska.

- Inskrypcje?

- Nie - odparł Pitt. - Raczej ślady dłuta.

- Na sonarze żadnego tunelu ani groty - meldował monotonicznie Giordino.

Pitt zeskoczył na pokład roboczy.

- Wyciągniemy sensor i rzucimy tu kotwicę.

- Myślisz, że warto nurkować przed namierzeniem celu? - zapytał Giordino.

Pitt spojrzał w górę.

- Jesteśmy dokładnie pod studium doktora Egana. Jeśli grota istnieje, musi być gdzieś tutaj. Pod wodą łatwiej ją znajdziemy.

Kelly z wprawą zawróciła ciasnym łukiem i zamknęła przepustnicę silnika. Pitt wyciągnął z rzeki sensor i rzucił kotwicę. Kelly powoli cofnęła łódź z prądem. Łapy kotwicy zaryły się w dnie. Wyłączyła zapłon i strząsnęła kropelki wilgoci z długiego warkocza.

- Tu chciałeś zaparkować? - zapytała z wdzięcznym uśmiechem.

- Właśnie tu.

- Ja też mogę zanurkować? Mam certyfikat. Zrobiłam go na Wyspach Bahama.

- Najpierw zanurkujemy sami. Jeśli coś znajdziemy, wynurzymy się i damy ci znać.

Było lato i woda w rzece Hudson miała orzeźwiająca temperaturę dwudziestu dwóch stopni. Pitt wybrał neoprenowy skafander o grubości sześciu i pół milimetra z miękkimi nakładkami na łokciach i kolanach. Zapiął pas balastowy z lekkimi ciężarkami, włożył rękawice i płetwy. Potem naciągnął kaptur i wsunął na głowę maskę z rurką. Nie zamierzał nurkować głębiej niż trzy metry, więc zrezygnował z kamizelkowego kompensatora pławności, żeby mieć większą swobodę ruchów.

- Najpierw zbadamy teren. Butle weźmiemy później.

Giordino bez słowa kiwnął głową i opuścił drabinkę za rufę. Zamiast spaść na plecy przez burłę, zszedł trzy stopnie i dał krok do wody. Pitt przełożył nogi przez parapet łodzi i zsunął się do rzeki niemal bez plusku.

Dziesięć metrów przed nim woda była przezroczysta jak szkło. Dalej panował zielony mrok z plamami alg. Zimno przenikało do szpiku kości. Pitt lubił ciepło i wolałby temperaturę mniej więcej trzydziestu stopni. Gdyby Bóg chciał uczynić ludzi rybami, pomyślał, dałby naszemu ciału temperaturę piętnastu stopni zamiast trzydziestu siedmiu.

Zrobił hiperwentylację, zanurkował głową w dół i zaczął swobodnie opadać. Stłoczone wyszczerbione głazy przypominały źle dopasowane kawałki układanki, wiele z nich ważyło kilka ton. Sprawdził, czy łapy kotwicy dobrze siedzą w piaszczystym dnie i wynurzył się, żeby nabrać powietrza.

Prąd spychał ich w dół rzeki. Musieli chwytać się kamieni i podciągać po omszałych powierzchniach. Dziękowali Bogu, że wzięli rękawice do ochrony palców przed ostrymi krawędziami. Szybko się zorientowali, że szukają grotty w złym miejscu, bo pochyłość opada tu zbyt łagodnie.



Wynurzyli się znowu i postanowili się rozdzielić. Pitt wybrał kierunek w górę, Giordino w dół rzeki. Pitt spojrzał w niebo, żeby określić swoją pozycję według budynków na brzegu. Zauważył szczyt komina. Popłynął pod prąd wzdłuż domu i studia Egana sto dwadzieścia metrów powyżej.

Mgła rozwiewała się, woda zaczynała iskrzyć w słońcu. Na śliskie głazy padały drgające plamy światła. Niewiele tu było ryb większych niż jego mały palec. Śmigały bez strachu, jakby wiedziały, że dziwaczne niezgrabne stworzenie jest zbyt powolne, żeby je złapać. Pogroził im, ale zawirowały wokół palca jak rozbawiony tłum na festynie ludowym. Pitt leniwie poruszał płetwami, płynął tuż pod powierzchnią, oddychał wolno przez rurkę i obserwował skaliste dno.

Nagle zobaczył pod sobą przestrzeń bez kamieni. W płaskim, gładkim dnie był wydrążony poprzeczny kanał o głębokości około dziesięciu metrów. Pitt dopłynął na drugą stronę. Dalej znów skały. Zawrócił i zmierzył szerokość rowu. Na oko dwanaście metrów. Kanał prowadził w kierunku brzegu i osuwiska kamieni. Pitt zaczerpnął trochę powietrza, wstrzymał oddech i zanurkował w poszukiwaniu podwodnego przejścia. W głazach leżących jeden na drugim było coś diabolicznego. Wyglądały zimno i odpychająco, jakby strzegły jakiejś tajemnicy i nie chciały jej ujawnić.

Wodorosty falowały z prądem niczym długie palce baletnicy. Pitt zauważył nieobrobioną półkę skalną z dziwnymi znakami wrytymi w twardej powierzchni. Serce zabiło mu żywiej, gdy rozpoznał prymitywny rysunek psa. Poczł ucisk w płucach, musiał się wynurzyć, nabrał powietrza i wrócił pod wodę. Płynął i czasem wciągał się rękami między głazy.

Spod dużego kamiennego nawisu wyłonił się dwudziestopięciocentymetrowy okon. Dostrzegł cień Pitta i szybko zniknął. Pitt zanurkował za nim w dół. Wśród skał zobaczył ciemny tunel. Włosy zjeżyły mu się na karku. Jeszcze raz nabrał powietrza i wpłynął ostrożnie do środka. Korytarz rozszerzał się trzy metry przed nim. Postanowił nie zapuszczać się dalej. Zużył resztkę powietrza i wrócił na powierzchnię.

Al był już w łodzi. Nie znalazł nic ciekawego. Kelly siedziała na dachu kabiny i patrzyła w kierunku Pitta. Zamachał do niej.

- Znalazłem wejście! - zawołał.

Nie potrzebowali dalszych przynagleń. Po niecałych trzech minutach płynęli pod prąd obok niego. Pitt nie wyjął ustnika rurki oddechowej, żeby rozmawiać. Pokazywał im drogę na migi. Zatrzymali się, by nabrać powietrza, i zanurkowali w rumowisko odłamków skalnych.

W wąskiej części tunelu ocierali się płetwami o ściany i zostawiali za sobą zieloną

zawieszinę oderwanych glonów. Kelly zaczynało brakować tlenu w płucach. Przestraszyła się, że za chwilę otworzy usta i zachłyśnie się wodą. Złapała Pitta za kostkę i wtedy korytarz rozszerzył się. Wypłynęli na powierzchnię.

Cała trójka jednocześnie wynurzyła głowy. Wypłuli ustniki rurek i podnieśli maski. Byli w rozległej grocie, której sklepienie wisiało sześćdziesiąt metrów nad nimi. Rozglądali się z zaskoczeniem. Jeszcze nie dotarło do nich, co odkryli.

Pitt wpatrywał się jak urzeczony w głowę węża z nagimi zębami jadowymi, który spoglądał na niego z góry.

Wdzięcznie wygięta głowa węża z rozdziawioną paszczą patrzyła niewidzącymi ślepiami na rzekę wpływającą do groty, jakby szukała dalekiego brzegu. Na ogromnej półce skalnej metr nad wodą stało rzędem sześć drewnianych łodzi. Spoczywały na drewnianych stojakach, burta przy burcie, dziób przy rufie. Wąż wyrastał z dziobu największego statku, stojącego najbliżej krawędzi półki.

Łodzie były w całości zbudowane z drewna dębowego. Największa miała ponad osiemnaście metrów długości. Refleksy słoneczne docierające przez wodę w tunelu rzucały smugi światła na zgrabne kształty. Nurkowie widzieli z dołu stępki i szerokie, symetrycznie wygięte kadłuby. Zachodzące na siebie deski poszycia trzymały się jeszcze na zardzewiałych żelaznych nitach. Poniżej stelaży, gdzie kiedyś kładziono tarcze, z małych okrągłych otworów wystawały wiosła. Zdawało się, że trzymają je niewidzialne ręce czekające na komendę. Trudno było uwierzyć, że te zgrabne konstrukcje zaprojektowano i zbudowano tysiąc lat temu.

- Statki wikingów - szepnęła zdumiona Kelly. - Były tu cały czas i nikt o nich nie wiedział.

- Poza twoim ojcem - zauważył Pitt. - Dowiedział się z inskrypcji, że wikingowie osiedlili się w skałach nad rzeką Hudson i odkrył tunel prowadzący do groty.

- Są dobrze zachowane - zauważył z podziwem Giordino. - Mimo wilgoci przegniły w niewielu miejscach.

Pitt wskazał maszty ze zwiniętymi czerwono-białymi żaglami z surowej wełny i sklepienie groty wysoko nad głowami.

- Nie musieli ich składać.

- Wyglądają, jakby wystarczyło je spuścić na wodę, postawić żagle i odpłynąć - wyszeptała Kelly z zapartym tchem.

- Przyjrzyjmy się im - zaproponował Pitt.

Zdjęli maski, płetwy i pasy balastowe, a potem wspięli się po schodkach wykutych w skale. Z półki do burt statków prowadziły zupełnie nowe trapy. Było oczywiste, że ustawił je doktor Egan. Zajrzeli do największej łodzi.

Mimo słabego światła w grocie, rozpoznali na dnie kształty ciał w całunach pogrzebowych. W środku leżało większe, po bokach dwa mniejsze. Wokół walały się figury

świętych z brązu, iluminowane manuskrypty, relikwiarze pełne monet i srebrne kielichy, zrabowane zapewne z klasztorów w Anglii i Irlandii, bursztynowe naszyjniki, wisiory z brązu i srebra, złote i srebrne brosze, bransolety w wymyślnie rzeźbionych szkatułkach z drewna, brązowe naczynia i kadzielnice z Dalekiego Wschodu, meble i materie, a nawet pięknie rzeźbione sanie dla wodza.

- Podejrzewam, że to zwłoki Bjarne Sigvatsona - powiedział Pitt.

Kelly popatrzyła smutno na dwa mniejsze tobołki.

- I jego dzieci.

- Musiał być z niego dobry wojownik, skoro zagarnął tyle skarbów - mruknął oczarowany kosztownościami Giordino.

- Z notatek taty wywnioskowałam - odezwała się Kelly - że wielcy wodzowie wikingów po zaszczytnej śmierci byli wysyłani do Walhalli. Z całym dobytkiem i majątkiem. Nawet z końmi, zwierzętami i sługami. Powinien tu być również topór, miecz i tarcza, ale nie widzę ich.

- Chowali go w pośpiechu - przytaknął Giordino.

Pitt wskazał w kierunku trapów.

- Zobaczmy resztę łodzi.

Ku przerażeniu Kelly, statki wypełniały kości przemieszane ze zniszczonymi sprzętami domowymi. Kilka szkieletów pozostało nietkniętych, ale większość wyglądała, jakby je posiekano.

Pitt przyklęknął i przyjrzał się rozłupanej czaszce.

- Musiała tu być straszna masakra.

- Czy to możliwe, żeby pozabijali się nawzajem?

- Wątpię - odrzekł Giordino i wyciągnął strzałę spomiędzy żeber w stosie ludzkich szczątków. - To Indianie.

- Sagi sugerują, że Sigvatson i jego ludzie wypłynęli z Grenlandii i słuch po nich zaginął - powiedział Pitt. - To pasuje do legendy o rzezi w osadzie, o której wspominał doktor Wednesday.

- Mamy dowód, że to nie mit - przyznał cicho Giordino.

Kelly podniosła wzrok na Pitta.

- Więc osada Norwegów...

- Była na farmie twojego ojca - dokończył Pitt. - Znalazł artefakty i postanowił ją odszukać.

Kelly ze smutkiem załamała rękę.

- Ale dlaczego trzymał to w sekrecie? Dlaczego nie zawiadomił archeologów? Dlaczego nie ujawnił, że wikingowie skolonizowali dzisiejszy stan Nowy Jork?

- Musiał mieć ważny powód - odparł Giordino. - Najwyraźniej nie chciał, żeby armia archeologów i reporterów zakłócała jego prywatność, kiedy przeprowadzał eksperymenty.

Minęło pół godziny. Kelly i Giordino nadal oglądali łodzie, co nie było łatwe w słabym świetle. Pitt zaczął spacerować po półce skalnej. W mroku dostrzegł schody wykute w kamieniu. Prowadziły w górę tunelu. Wspiął się na pierwsze cztery stopnie. Przytrzymał się ściany i nagle natrafił ręką na dźwignię przypominającą włącznik elektryczny. Poruszył nią lekko i sprawdził, że przesuwana się w lewo. Pociągnął mocniej i usłyszał pstryknięcie.

Całą grootę zalało nagle światło jarzeniówek wmontowanych w skalne ściany.

- Super! - zawołała Kelly. - Nareszcie wszystko widać.

Pitt podszedł do statku, który przeszukiwała z Giordinem.

- Twój ojciec miał jeszcze jeden powód, żeby nie ujawniać tego miejsca.

Kelly nie wykazała wielkiego zainteresowania, Giordino tak. Zbyt długo przyjaźnił się z Pittem, żeby nie poznać po jego minie, że coś odkrył. Zauważył, że Pitt pokazuje mu coś oczami i spojrzał w tamtą stronę.

W doku w głębi groty był przycumowany stalowy, cylindryczny okręt. Kadłub pokrywała rdza. Blisko dziobu sterczał kiosk z włazem. Dopóki Pitt nie zapalił światła, tamta część groty tonęła w ciemności.

- Co to jest, na Boga? - wymamrotała Kelly.

- "Nautilus" - odparł triumfalnie Pitt.

Stali na brzegu doku zbudowanego przez doktora Egana i gapili się na legendarny okręt podwodny. Byli tak samo zaskoczeni, jak wcześniej widokiem łodzi wikingów. Znaleźli cud dziewiętnastowiecznej techniki, uważany za fikcję literacką. Marzenie stało się rzeczywistością.

Na krawędzi skalnej półki u stóp doku wznosił się stos kamieni. Na drewnianej tablicy był wyryty napis:

*Tu spoczywają szczątki kapitana Camerona Amhersta. Zaszynął dzięki powieściom Juliusza Verne'a jako nieśmiertelny kapitan Nemo. Niech ci, którzy kiedyś odkryją jego grób, złożą mu należny hołd.*

- Mój szacunek dla twojego ojca rośnie - powiedział Pitt do Kelly. - Jest mu czego

zazdrościć.

Giordino spenetrował boczną grotę i wrócił na krawędź doku.

- Znalazłem odpowiedź na jeszcze jedno pytanie, które mnie nurtowało.

Pitt spojrzał na niego.

- Jakie?

- Jeśli doktor Egan miał tu swoją tajną pracownię, to skąd brał elektryczność? Okazało się, że w bocznej grotcie są trzy przenośne generatory. Oprócz nich jest tyle akumulatorów, że wystarczyłoby prądu dla małego miasta.

Giordino wskazał ręką kable biegnące do wjazdu okrętu podwodnego.

- Dziesięć do jednego, że pracownia jest w "Nautilusie".

- Jest dużo większy, niż sobie wyobrażałam - przyznała Kelly.

- Raczej nie przypomina filmu Disneya - odparł Giordino. - Kadłub jest prosty i funkcjonalny.

Pitt przytaknął. Powierzchnia wystająca metr nad wodę zdradzała wielkość całości.

- Ma około siedemdziesięciu pięciu metrów długości i siedmiu i pół szerokości. Więcej niż w książce Verne'a. Wymiarami przypomina pierwszy hydrodynamiczny okręt podwodny naszej marynarki wojennej, zwodowany w 1953 roku.

- "Albacore" - przypomniał sobie Giordino. - Widziałem go jakieś dziesięć lat temu na rzece York. Masz rację. Widzę pewne podobieństwo.

Podszedł do panela elektrycznego obok trapu prowadzącego na pokład "Nautilusa" i wcisnął kilka włączników. Wnętrze okrętu zalało jasne światło. Było widoczne przez mniejsze iluminatory nad wodą i większe pod powierzchnią.

Pitt odwrócił się do Kelly i wskazał otwarty wjazd kiosku.

- Panie mają pierwszeństwo.

Przycisnęła dłonie do piersi, jakby bała się, że wyskoczy jej serce. Chciała zobaczyć wewnątrz sławnego okrętu i jednocześnie pracownię ojca, ale nie mogła zrobić kroku. Czowała się, jakby stała na progu domu duchów. W końcu weszła do wjazdu.

Przedział wejściowy był mały. Zaczekała na Pitta i Giordina. Zobaczyli przed sobą drzwi, przypominające raczej wejście do budynku niż do okrętu podwodnego. Pitt przekreślił klamkę i przekroczył próg.

Przeszli w milczeniu przez elegancką jadalnię o długości około pięciu metrów. Na środku stał tekowy stół na dziesięć osób z nogami w kształcie delfinów. Dalej była biblioteka. Pitt ocenił, że na półkach stoi ponad pięć tysięcy książek. Przyjrzał się tytułom na grzbietach. Z jednej strony stały książki naukowe i techniczne, z drugiej dzieła literackie. Wyjął powieść

Verne'a i otworzył. Na stronie tytułowej była dedykacja: "Dla największego umysłu świata". Pitt ostrożnie wsunął książkę na miejsce.

Następny przedział był dość duży; miał ponad dziesięć metrów długości i około czterech szerokości. Pitt domyślił się, że to salon opisany przez Verne'a. Cameron gromadził tu dzieła sztuki i antyczne znaleziska z dna morskiego. Ale po galerii i muzeum nie zostało śladu. Elmore Egan urządził tu warsztat i pracownię chemiczną. Na blatach stały urządzenia techniczne, łącznie z wiertarką pionową i tokarką, aparatura laboratoryjna i trzy komputery z drukarkami i skanerami. Elmore nie usunął tylko organów, zapewne z powodu ich ciężaru. Instrument, na którym Amherst grywał utwory największych kompozytorów, był również dziełem sztuki. Miał pięknie wykończone części drewniane i mosiężne piszczałki.

Kelly podeszła do zagraconego blatu stołu i czule dotknęła kolb i probówek. Potem powkładała je porządkie do stojaków na półkach. Ociągała się z wyjściem z pracowni ojca, jakby chłonęła jego obecność. Pitt i Giordino doszli długim korytarzem do wodoszczelnej przegrody i następnego przedziału. Ta część "Nautilusa" służyła kiedyś Amherstowi za prywatną kajutę. Egan przerobił ją na swoje biuro projektowe. Wielki stół kreślarski był zavalony wykresami, planami, rysunkami i setką notatników.

- Oto miejsce, gdzie jeden wielki człowiek mieszkał, a inny wielki człowiek tworzył - stwierdził filozoficznie Giordino.

- Chodźmy dalej - przynaglił Pitt. - Chcę zobaczyć, gdzie zbudował swoją teleportacyjną komorę wysyłkową.

Następne pomieszczenie kiedyś mieściło zbiorniki powietrza. Egan usunął je, żeby zrobić miejsce dla urządzeń teleportacyjnych. Były tu dwa panele z włącznikami i wskaźnikami, biurko z komputerem i komora ze stacją wysyłkową. Stała w niej dwustulitrowa beczka z napisem "Super Slick" połączona z zegarem sterującym i rurkami, które prowadziły do okrągłych pojemników w podłodze.

Pitt uśmiechnął się.

- Teraz wiemy, skąd bierze się olej w neseserze Egana.

- Ciekawe, jak to działa? - Giordino zaczął oglądać urządzenie.

- Mnie nie pytaj. Znajdź kogoś mądrzejszego.

- Nie do wiary, że to w ogóle funkcjonuje - podsumował Giordino.

- Może wygląda prymitywnie, ale masz przed sobą wynalazek, który jest przyszłością transportu.

Pitt podszedł do panela z zegarem. Sekwencja była ustawiona na czternaście godzin. Zmniejszył ją do dziesięciu.

- Co robisz? - zdziwił się Giordino.

Pitt uśmiechnął się chytrze.

- Wysłałam wiadomość Hiramowi Yaegerowi i Max.

Doszli do dziobu okrętu i wrócili do salonu. Kelly siedziała w fotelu z natchnioną miną.

Pitt delikatnie ścisnął jej ramię.

- Idziemy do maszynowni. Pójdiesz z nami?

Otarła się policzkiem o jego rękę.

- Znaleźliście coś ciekawego?

- Pomieszczenie teleportacyjne twojego ojca.

- Więc naprawdę wynalazł i zbudował urządzenie do przesyłania przedmiotów w przestrzeni!

- Tak.

Zerwała się i poszła za nimi w kierunku rufy.

Za salonem i przedziałem wejściowym była kuchnia okrętowa. Kelly skrzywiła się ze wstrętem. Na blatach wały się pojemniki z jedzeniem, w wielkim zlewie leżały brudne naczynia pozieleniałe od pleśni, w rogu stała sterta koszy z plastikowymi workami pełnymi odpadków i śmieci.

- Twój ojciec miał wiele zalet, ale nie należało do nich zamiłowanie do porządku - zauważył Pitt.

- Miał na głowie ważniejsze sprawy - odparła Kelly tonem kochającej córki. - Szkoda, że mnie nie wtajemniczył. Mogłam być jego sekretarką i gosposią.

Weszli do kwater załogi i stanęli jak wryci.

Egan przeniósł tu wszystkie skarby z salonu i biblioteki. Płótna mistrzów zajęłyby dwie sale w Metropolitan Museum of Art. W wysokich stosach leżały obrazy Leonarda da Vinci, Tycjana, Rafaela, Rembrandta, Vermeera, Rubensa i innych. W toaletach i osobnych kajutach stały antyczne rzeźby z marmuru i brązu. Były też skarby uratowane przez Amhersta z wraków: sterty sztabek złota i srebra oraz skrzynie pełne monet i kosztowności. Wartość tego bogactwa nie mieściła się w głowie.

- Czuję się jak Ali Baba po odkryciu jaskini skarbów czterdziestu rozbójników - powiedział cicho Pitt.

Kelly przytaknęła.

- Nawet mi się nie śniło, że coś takiego istnieje.

Giordino wziął garść złotych monet i przesiał przez palce.



- Teraz wiemy, jak doktor Egan finansował swoje eksperymenty.

Oglądanie wszystkiego zajęło im blisko godzinę. Potem poszli dalej. Po przejściu kolejnej przegrody wodoszczelnej weszli do maszynowni "Nautilusa". Zajmowała najwięcej miejsca na okręcie. Miała osiemnaście metrów długości i sześć szerokości.

Labirynt rur, zbiorników i dziwnych mechanizmów, w których Pitt i Giordino rozpoznali generatory prądotwórcze, wyglądał jak koszmarny sen hydraulika. W tylnej części pomieszczenia dominował system ogromnych przekładni. Kelly spacerowała po maszynowni, nawet w połowie nie tak zafascynowana techniką, jak mężczyźni. Podeszła do wysokiego stołu przypominającego podium. Na blacie leżała księga w skórzanej oprawie. Otworzyła ją i popatrzyła na staromodne pismo kreślone brązowym atramentem. Był to dziennik pokładowy głównego mechanika. Ostatni wpis miał datę 10 czerwca 1901 roku.

*Wyłączyłem silniki na zawsze. Generatory będą pracowały do mojej śmierci. "Nautilus", który służył mi tak wiernie przez czterdzieści lat, posłuży mi teraz za grobowiec. To mój ostatni wpis.*

Poniżej widniał podpis: Cameron Amherst.

Pitt i Giordino próbowali rozgryźć konstrukcję masywnego silnika z charakterystycznym dziewiętnastowiecznym osprzętem, zaworami i nieznanymi mechanizmami. Wiele z nich było odlanych z mosiądzu i wypolerowanych na błysk.

Pitt czołgał się dookoła i zaglądał pod spód. W końcu wstał i podrapał się w brodę.

- Widziałem już setki silników na setkach różnych jednostek pływających, ze starymi parowcami włącznie, ale czegoś takiego jeszcze nigdy.

Giordino przyjrzał się tabliczkom firmowym na różnych częściach maszynierii.

- To nie jest robota jednego producenta. Wygląda na to, że Amherst zamówił podzespoły w trzydziestu różnych fabrykach europejskich i amerykańskich, a potem złożył wszystko do kupy ze swoją załogą.

- Dlatego udało mu się zbudować "Nautilusa" w tajemnicy.

- Jak myślisz, na jakiej zasadzie to działa?

- Podejrzewam, że to kombinacja potężnej energii elektrycznej i podstawowej formy magnetohydrodynamiki.

- Więc Amherst stworzył to pojęcie sto czterdzieści lat temu.

- Nie miał takiej technologii, żeby przepuszczać wodę morską przez rdzeń magnetyczny, schładzany płynnym helem do temperatury zera absolutnego. To weszło do

produkcji dopiero sześćdziesiąt lat później. Więc użył jakiegoś typu konwertora sodowego, który nawet w przybliżeniu nie był tak wydajny, ale wystarczył do jego celów. Amherst musiał to kompensować potężną energią elektryczną generującą tyle prądu, żeby śruba obracała się z odpowiednią szybkością.

- Czyli że Egan wykorzystał pomysł Amhersta.

- W każdym razie ten wynalazek mógł go zainspirować.

- Wspaniały - powiedział Giordino, patrząc z uznaniem na wielki silnik. - Zwłaszcza że ciągnął "Nautilus" przez czterdzieści lat na wszystkich morzach świata.

Kelly pokazała im dziennik pokładowy maszynowni. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

- Chciałabym poszukać przejścia między grotą i naszym domem, które musiał odkryć tata.

Pitt kiwnął głową i spojrzał na Giordina.

- Trzeba zameldować admirałowi, co tu znaleźliśmy.

- Na pewno chciałby wiedzieć - zgodził się Al.

Wspinaczka tunelem do szczytu urwiska trwała niecałe pięć minut. Pitt doznawał dziwnego wrażenia, idąc trasą wikingów sprzed tysiąca lat. Słyszał niemal ich głosy i czuł ich obecność.

Josh Thomas siedział w studiu Egana i czytał dziennik analiz chemicznych Nagle zmarł z przerażenia. Dywan na środku pokoju uniósł się i przesunął na bok. Duchy! Kłapa w podłodze otworzyła się gwałtownie i pojawiła się ludzka głowa.

- Przepraszam że przeszkadzam - uśmiechnął się Pitt. - Ale właśnie przechodziłem obok.

# **CZEŚĆ VI**

## **Duch z przeszłości**

16 sierpnia 2003, Waszyngton

Pitt wstał z łóżka, włożył szlafrok i nalał filiżankę kawy, zaparzonej przez Sally Morse. Chciał jeszcze pospać, ale Sally i Kelly wyjeżdżały. Sally złożyła zeznania przed komisją Loren i w departamencie sprawiedliwości. Otrzymała gorące podziękowania od wdzięcznego prezydenta i pozwolono jej wrócić do domu. Mogła nadal zarządzać Yukon Oil, dopóki nie będzie wezwana na dodatkowe przesłuchania.

Zaspany Pitt wszedł chwiejnie do kuchni. Sally nuciła wesoło i wyjmowała naczynia ze zmywarki. Miała rozpuszczone włosy, była w jedwabnej bluzce i brązowych dżinsach z zamszu.

- Nie myślałem, że to kiedyś powiem, ale będzie mi was brakować.

Sally roześmiała się.

- Tylko dlatego, że znów będziesz musiał sam robić sobie jedzenie, zmywać, ścielić łóżko i prać.

- Nie mogę zaprzeczyć, że to polubiłem.

Spowaźniała.

- Powinieneś znaleźć sobie fajną dziewczynę, która o ciebie zadba.

Pitt usiadł z kawą przy stole, wydobyłym kiedyś z wraku starego parowca na Wielkich Jeziorach.

- W grę wchodzi tylko Loren, ale jest za bardzo zajęta zabawą w politykę. A co z tobą? Jesteś za bardzo zajęta prowadzeniem firmy, żeby znaleźć sobie fajnego faceta?

- Nie - odrzekła wolno. - Jestem wdową. Yukon Oil stworzyliśmy razem z mężem. Kiedy zginął w katastrofie lotniczej, przejęłam interes. Od tamtej pory onieśmiałam większość mężczyzn.

- Taką cenę musi płacić kobieta zajmująca stanowisko prezesa. Ale nie przejmuj się. Zanim rok się skończy, będziesz szczęśliwa.

Uśmiechnęła się.

- Nie wiedziałam, że umiesz przepowiadać przyszłość.

- Wielki Dirk Pitt widzi i wie wszystko. Teraz widzę, jak przystojny brunet z dużą forszą zabiera cię na Tahiti.

- Nie mogę się doczekać.

Do kuchni weszła Kelly w krótkim białym sweterku bez rękawów i niebieskich bawełnianych szortach.

- Prawie mi przykro, że zostawiam to muzeum na pastwę mężczyzny - zażartowała.

- Rachunek dostaniesz pocztą - odparł groźnie Pitt. - I chyba przeliczę ręczniki, zanim rozplyniecie się w sinej dali, dziewczyny.

- Sally podrzuci mnie swoim odrzutowcem na lotnisko w pobliżu farmy taty - powiedziała Kelly, zapinając suwak torby podróźnej.

- Gotowa? - zapytała Sally.

Pitt wstał.

- Jakie masz plany?

- Założę fundację filantropijną imienia taty. Potem przekażę muzeom obrazy i inne dzieła sztuki.

- Brawo - pochwaliła Sally.

- A srebro i złoto?

- Część pójdzie na budowę i finansowanie Ośrodka Naukowego imienia Elmore'a Egana. Będzie go prowadził Josh Thomas. Chce ściągnąć najzdolniejszych młodych ludzi z całego kraju. Resztę sztabek i monet przeznaczę na cele dobroczynne. Oczywiście ty i Al dostaniecie swoją działkę.

Pitt pokręcił głową i zamachał rękami.

- Nie, nie, daj spokój. Niczego nie potrzebuję. Al może przyjałby nowe ferrari, ale wolałbym, żebyś lepiej spożytkowała naszą dolę.

- Zaczynam rozumieć, co Loren w tobie widzi - powiedziała Sally.

- Co takiego?

- Po prostu porządnego faceta.

- W takich chwilach nienawidzę samego siebie.

Zniósł ich bagaż do limuzyny, która miała je zawieźć na pobliskie lotnisko dla prywatnych samolotów.

Sally objęła go i pocałowała w policzek.

- Trzymaj się, Dirk. Cieszę się, że cię poznałam.

- Cześć, Sally. Mam nadzieję, że znajdziesz swojego faceta.

Kelly pocałowała go mocno w usta.

- Kiedy znów się zobaczymy?

- Nieprędko. Admirał zadbał o to, żebym się nie nudził w najbliższym czasie.

Stał przez chwilę i machał, póki limuzyna nie skręciła do bramy lotniska. Potem wolno zamknął drzwi hangaru, wszedł na górę i wrócił do łóżka.

Kiedy Loren przyjechała do Pitta, żeby spędzić z nim weekend, zastała go grzebiącego pod maską zielonego packarda rocznik 1938. Była wyraźnie zmęczona po kolejnym długim dniu przesłuchań w sprawie afery Zale'a, która wywołała skandal polityczny. Ale wyglądała oszałamiająco w eleganckim czarnym kostiumie.

- Cześć, wielki człowieku. Co tam majstrujesz?

- Te stare gaźniki są przystosowane do benzyny ołowiowej. Bezołowiowa ma tyle paskudnych chemikaliów, że wyżera im wnętrzności. Zawsze, kiedy jeżdżę starymi samochodami, muszę czyścić gaźniki, bo się zapychają.

- Co chcesz na kolację?

- A nie wolisz zjeść na mieście?

- Media szaleją. Ciągłe szukają sensacji. Muszę się ukrywać. Przywiozła mnie tutaj moja fryzjerka pikapem swego męża. Całą drogę siedziałam na podłodze.

- Szczęściara z ciebie. Jesteś sławna.

Loren zrobiła surową minę.

- Zjesz makaron ze szpinakiem i prosciutto?

- Fajna randka.

Godzinę później zawołała z góry, że kolacja gotowa. Pitt umył się i wszedł do kuchni. Zajrzał do garnka z gotującym się makaronem.

- Ładnie pachnie, jak na zwykle nitki.

- Oczywiście. Wlałam tam pół butelki chardonnay.

- Więc nie musimy pić koktajlu przed jedzeniem.

W czasie kolacji żartowali i docinali sobie wzajemnie, jak to bywa między dwojgiem ludzi o podobnym poczuciu humoru i poziomie intelektualnym. Pitt i Loren przeczyli starej zasadzie, że przeciwieństwa się przyciągają. Mieli te same upodobania i nie lubili tych samych rzeczy.

- Kiedy kończysz przesłuchania? - zapytał.

- We wtorek. Potem sprawę przejmuje departament sprawiedliwości. Już prawie zrobiłam swoje.

- Miałaś szczęście, że Sally przyszła do ciebie.

Loren przytaknęła i podniosła kieliszek chardonnay.

- Gdyby nie ona, Zale żyłby dalej, niszczył i mordował. Jego samobójstwo rozwiązało

wiele problemów.

- A co departament sprawiedliwości szykuje dla jego koleśków?

- Członkowie kartelu Cerber zostaną postawieni w stan oskarżenia. Każdy agent w departamencie wyrabia nadgodziny, żeby przedstawić zarzuty tysiącom skorumpowanych urzędników państwowych i polityków. Skutki tego skandalu będą trwały bardzo długo.

- Miejmy nadzieję, że to zniechęci innych do brania łapówek.

- Duża grupa specjalna bada teraz zagraniczne inwestycje i konta bankowe podejrzanych. Dzięki danym dostarczonym przez Hiram Yaegera.

Pitt spojrzał na swoje wino i zakręcił nim w kieliszku.

- A co będzie z nami?

Dotknęła palcami jego dłoni.

- Nic się nie zmienia.

- Ty w Kongresie, ja pod wodą - powiedział wolno.

Spojrzała na niego miękko.

- Chyba tak musi być.

- To tyle, co do moich iluzji, że zostanę dziadkiem.

Cofnęła rękę.

- Nie jest łatwo konkurować z duchem.

- Z Summer?

Wymówił to słowo, jakby widział coś w oddali.

- Nigdy o niej całkiem nie zapomniałeś.

- Chyba raz.

- Przy Maeve?

- Kiedy Summer zginęła w morzu, a Maeve umarła w moich ramionach, poczułem pustkę - odrzekł Pitt i otrząsnął się jak mokry pies. - Jestem zbyt sentymentalny.

Wstał, okrążył stół i pocałował Loren w usta.

- Mam piękną, cudowną kobietę i nie doceniam tego.

Romantyczny nastrój przerwał dzwonek do drzwi. Pitt uniósł brwi i odwrócił się do monitora kamery ukrytej na zewnątrz. Na ekranie zobaczył dwoje młodych ludzi. Stali przed drzwiami obok sterty bagażu.

- Wyglądają, jakby chcieli się tu wprowadzić - stwierdziła sardonicznie Loren.

- Ciekawe, kto to?

Pitt chciał włączyć domofon, ale Loren złapała go za rękę.

- Zostawiłam torebkę na błotniku packarda. Zbiegnę na dół, wezmę ją i pozbędę się

ich.

Pitt spokojnie zabrał się do makaronu. Dopijał wino, kiedy w interkomie usłyszał głos Loren.

- Dirk, chyba powinienes tu przyjść.

Zastanowił go jej ton. Mówiła jakby z wahaniem. Zbiegł po schodach, minął zabytkowe samochody i podszedł do drzwi hangaru. Były szeroko uchylone. Loren chowała się za nimi i rozmawiała z młodą parą.

Oboje wyglądali na niewiele ponad dwadzieścia lat. Mężczyzna dobrze się prezentował. Był kilka centymetrów wyższy od Pitta, ale identycznie zbudowany. Miał czarne falujące włosy i zielone oczy. Pitt zerknął na Loren. Patrzyła na dwójkę młodych ludzi jak zaczarowana. Przyjrzał się uważniej twarzy mężczyzny i zeszywniał. Jakby zobaczył w magicznym lustrze siebie sprzed dwudziestu pięciu lat.

Z trudem oderwał wzrok od mężczyzny i spojrzął na kobietę. Doznał dziwnego wrażenia i poczuł przyspieszone bicie serca. Była bardzo ładna, zgrabna i wysoka. Miała ognistorude włosy i szare oczy. Ogarnęła go fala wspomnień. Ugięły się pod nim kolana i musiał się przytrzymać framugi.

- Pan Pitt? - bardziej stwierdził, niż zapytał młody człowiek.

- Tak.

Loren zadrżała na widok jego szerokiego uśmiechu, który tyle razy widziała na twarzy Pitta.

- Siostra i ja długo czekaliśmy, żeby pana poznać. Dokładnie dwadzieścia trzy lata.

- A teraz, kiedy mnie wreszcie znaleźliście, czym mogę wam służyć? - zapytał, jakby obawiał się odpowiedzi.

- Matka miała rację, że jesteśmy podobni.

- Czyja matka?

- Moja. Summer Moran. Naszym dziadkiem był Frederick Moran.

Pitt poczuł, jakby imadło ścisnęło mu serce i z trudem to wytrzymał.

- Ona i jej ojciec zginęli lata temu podczas podwodnego trzęsienia ziemi na Hawajach.

Młoda kobieta pokręciła głową.

- Matka przeżyła, ale została ciężko ranna. Miała zmiążdżone plecy i nogi i zdeformowaną twarz. Już nigdy nie mogła chodzić. Resztę życia spędziła przykuta do łóżka.

- Nie mogę... nie, nie chcę w to uwierzyć. Zginęła w morzu, kiedy popłynęła na ratunek ojcu.

- Mówię prawdę - zapewniła młoda kobieta. - Matkę przygniotła podwodna skała, ale



ludzie dziadka uratowali ją. Wyciągnęli na powierzchnię i zabrali kutrem rybackim z wyspy. Przewieźli ją szybko do szpitala w Honolulu i przez miesiąc walczyła ze śmiercią. Przez większość czasu była nieprzytomna, więc nie mogła powiedzieć lekarzom i pielęgniarce, kim jest. Po roku wydobrzała na tyle, że ją wypisali. Wróciła do rodzinnego domu na wyspie Kauai i tam mieszkała do śmierci. Na szczęście dziadek zostawił jej w spadku taki majątek, że miała doskonałą opiekę służących i pielęgniarek.

- Urodziliście się przed jej wypadkiem? - zapytała Loren.

Kobieta pokręciła głową.

- Urodziła nas w szpitalu dziewięć miesięcy bez jednego tygodnia później.

- Jesteście bliźniakami?

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

- Nie jesteśmy identyczni. To się zdarza u bliźniaków. Brat jest podobny do ojca, ja do matki.

- Nigdy nie próbowała skontaktować się ze mną? - zapytał ponuro Pitt.

- Wiedziała, że gdyby pana zawiadomiła, zjawiłby się pan natychmiast. Ale nie chciała, żeby zobaczył ją pan w takim stanie. Wolała, żeby zapamiętał ją pan taką, jaka była przed wypadkiem.

Pitt czuł się winny.

- Boże, gdybym tylko wiedział...

Przypomniał sobie Hawaje. Summer była uderzająco piękna i wciąż nawiedzała go w snach.

Loren ścisnęła go za ramię.

- To nie twoja wina. Uważała, że tak będzie lepiej.

- Jeśli jeszcze żyje, chcę wiedzieć, gdzie jest - zażądał Pitt.

- Umarła miesiąc temu - odpowiedział młody człowiek. - Pochowano ją na wzgórzu z widokiem na ocean. Zmuszała się do życia, dopóki siostra i ja nie ukończyliśmy studiów. Dopiero wtedy opowiedziała nam o panu. Jej ostatnim życzeniem było, żebyśmy się poznali.

- Dlaczego? - zapytał Pitt, choć znał odpowiedź.

- Mam imię po matce - powiedziała młoda kobieta. - Summer.

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

- A ja po ojcu. Też nazywam się Dirk Pitt.

Pittowi o mało nie pękło serce. Kaleka Summer urodziła mu syna i córkę i wychowała ich bez niego. Był zdruzgotany, a jednocześnie uszczęśliwiony. Wziął się w garść i objął ich ramionami.

- Musicie mi wybaczyć. Nie co dzień człowiek dowiaduje się, że ma dwójkę wspaniałych dorosłych dzieci.

- Nawet nie wiesz, ojcze, jacy jesteśmy szczęśliwi, że w końcu cię znaleźliśmy - powiedziała Summer łamiącym się głosem.

Wszystkim napłynęły łzy do oczu. Dzieci płakały otwarcie. Loren ukryła twarz w dłoniach. Pitt miał mokre policzki.

Wziął oboje za ręce i wprowadził do hangaru. Potem cofnął się z szerokim uśmiechem.

- Wolę, żebyście mówili do mnie tato. Zwłaszcza w domu.

- Możemy tu zamieszkać? - zapytała niewinnie Summer.

- A czy na Kapitelu jest kopuła?

Pomógł im wnieść bagaż do środka. Potem wskazał wagon ze złotym napisem "Manhattan Limited".

- Macie do wyboru cztery luksusowe przedziały. Kiedy się zainstalujecie, przyjdźcie na górę. Mamy sobie dużo do opowiedzenia.

- Gdzie chodziliście do szkoły? - zapytała Loren.

- Summer skończyła Instytut Oceanograficzny Scrippsa, a ja wydział budowy okrętów w nowojorskim Maritime College.

- Podejrzewam, że wasza matka miała z tym coś wspólnego - powiedział Pitt.

- Tak - przyznała Summer. - To ona doradziła nam taki kierunek studiów.

- Mądra kobieta - mruknął.

Dobrze wiedział, że Summer chciała przygotować dzieci do przyszłej pracy z ojcem.

Młodzi ludzie stanęli jak wryci na widok kolekcji zabytkowych samochodów i samolotów.

- To wszystko twoje? - zapytała Summer.

- Na razie - roześmiał się Pitt. - Kiedyś będzie wasze.

Młody Dirk patrzył z podziwem na wielki pomarańczowo-brązowy samochód.

- Duesenberg? - zapytał cicho.

- Znasz się na starych samochodach?

- Uwielbiam je od dziecka. Zaczynałem od forda kabrioleta z 1943 roku.

Loren otarła łzy.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Jeździłeś kiedyś duesenbergiem?

- Jeszcze nie.

Pitt objął go.

- To pojeździsz, chłopcze - powiedział z dumą.